

DOUGLAS PRESTON & LINCOLN CHILD

GRANICA LODU

Przełożył Piotr Kuś

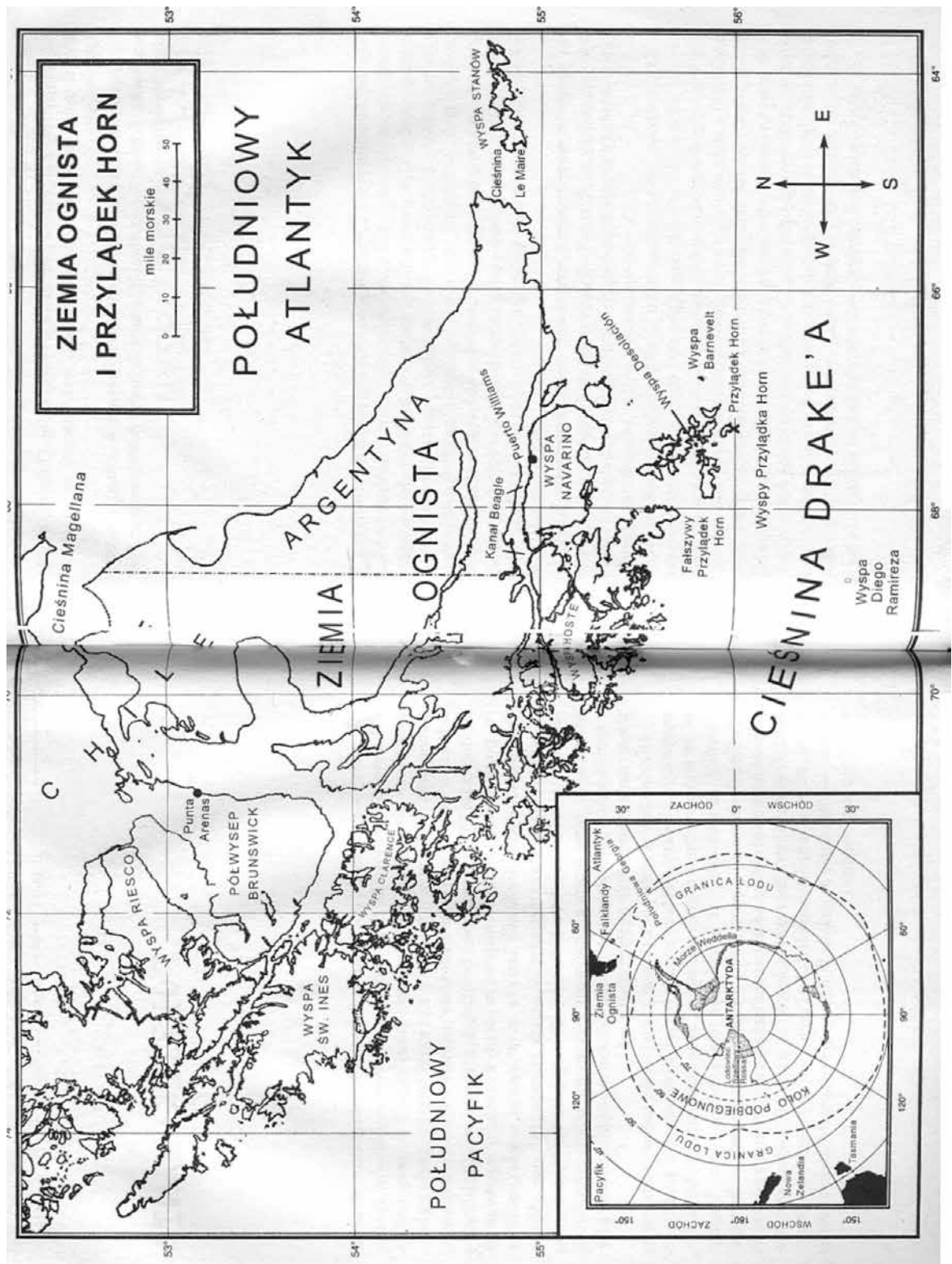
Lincoln Child dedykuje tę książkę swojej córce, Veronice

Douglas Preston dedykuje tę książkę Walterowi Winingsowi Nelsonowi, artyście, fotografowi i partnerowi w przygodach

PODZIĘKOWANIA

Autorzy pragną złożyć podziękowania komandorowi porucznikowi rezerwy Stephenowi Littfinowi z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych za nieocenioną wprost pomoc, jakiej udzielił w pracy nad zagadnieniami morskimi przy tworzeniu tej książki. Jesteśmy także głęboko wdzięczni Michaelowi Tusianiemu, który poprawił fragmenty maszynopisu, dotyczące różnych zagadnień związanych z tankowcami. Chcielibyśmy też podziękować Timowi Tiernanowi za porady z dziedziny metalurgii i fizyki oraz Charliemu Snellowi z Santa Fe za informacje, w jaki sposób naprawdę postępują łowcy meteorytów, a także Frankowi Ryle'owi, głównemu inżynierowi w Ove Arup & Partners. Chcemy ponadto wyrazić naszą wdzięczność wielu innym anonimowym inżynierom, którzy podzielili się z nami licznymi poufnymi szczegółami z zakresu inżynierii na temat przemieszczania ekstremalnie ciężkich obiektów.

Lincoln Child pragnie podziękować swojej żonie, Lucilie, właściwie za wszystko; Sonny'emu Baula za przekłady z języka tagalog; Gregowi Tearowi za kompetentne i chętnie wnoszone uwagi krytyczne; swojej córce, Veronice, za sprawianie, że każdy dzień jest niezwykle cenny. Dziękuje również Denisowi Kelly'emu, Malou Baula i Juanito „Boyętowi” Nepomuceno za najprzeróżniejsze oddane przez nich przysługi. Jestem z głębi serca wdzięczny Liz Ciner, Rogerowi Lasleyowi i szczególnie George'owi Soule'owi, mojemu doradcy (nie wiedziałeś tego?) w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Niechaj ciepłe promienie słońca zawsze lśnią nad Carleton College i nad jego absolwentami.



Douglas Preston pragnie podziękować swojej żonie, Christine, a także swoim trojgu dzieciom - Selene, Alethei oraz Isaacowi - za ich miłość i wsparcie.

Chcemy też podziękować Betsy Mitchell i Jaime'owi Levine'owi z Warner Books, Ericowi Simonoffowi z Janklow & Nesbit Associates oraz Matthew Snyderowi z CAA.

WYSPA DESOLACIÓN

16 stycznia, godz. 13.15

Bezimienna dolina biegła pomiędzy nagimi wzgórzami długim, pstrokatym pasmem szarej, tylko miejscami zielonej ziemi, pokrytej gdziegdzie starym mchem, porostami i rzadką trawą. Była połowa stycznia - środek lata - i spomiędzy szczelin w popękanych skałach strzelały w górę łodygi drżących kwiatów. Po stronie wschodniej niezgłębionym błękitem lśniła jednak ściana śniegu. W powietrzu krążyły gzy i komary, ale letnie mgły, które niemal bez przerwy unosiły się nad wyspą Desolación, na jakiś czas się rozpięchły, pozwalając bladym promieniom słońca oświetlać dno doliny.

Pewien mężczyzna powoli przemierzał ponurą wyspę, co chwilę zatrzymując się, ruszając i znowu przystając. Nie podążał wzdłuż żadnego śladu. Na wyspach przyładka Horn, najdalej wysuniętego na południe cypła Ameryki Południowej, było to niemożliwe.

Nestor Masangkay ubrany był w znoszony sztormiak i lśniący skórzany kapelusz. Jego gęsta broda była tak mocno pokryta solą morską, że podzieliła się na sztywne odrębne pasma, przypominające wyglądem długi widelec. Kiedy Nestor szedł, prowadząc za sobą dwa ciężko objuczone muły, broda podrygiwała jak język węża. Nikt dookoła nie mógł usłyszeć głośnych narzekań mężczyzny na temat pochodzenia, charakterów i w ogóle prawa do egzystencji obu mułów. Co jakiś czas jego narzekania przerywały uderzenia kijem, który trzymał w brązowej dłoni i którym okładał zwierzęta. Nestor Masangkay jeszcze nigdy w życiu nie natrafił na muła, a już szczególnie na pożyczonego muła, którego by polubił.

W jego głosie nie było jednak złości, a i w uderzenia kijem wkładał niewiele siły. Narastała w nim ekscytacja. Wzrokiem omiatał pejzaż, odnotowując każdy jego szczegół: kolumnowa bazaltowa skarpa w odległości około mili, podwójny pień wulkaniczny, niezwykła wychodnia skały osadowej. Geologia tego miejsca była obiecująca. Bardzo obiecująca.

Szedł pośrodku doliny, z oczyma utkwionymi w ziemi. Co jakiś czas któryś z jego nabijanych ćwiekami butów ślizgał się na jakimś luźnym kamieniu. Masangkay potrząsał wtedy głową, aż mocniej podrygiwała jego długa broda, głośno chrząkał i po chwili dziwny pochód, złożony z człowieka i dwóch mułów, szedł dalej.

Jednak na samym środku doliny, kiedy jego but znowu poślizgnął się na kamieniu, Masangkay zatrzymał się, żeby kamień podnieść. Popatrzył na niego i potarł go kciukiem. Do skóry przywarły drobne granulki. Przysunął kamień bliżej do twarzy i po chwili już oglądał go przez jubilerską lupę.

Rozpoznał w okazie - kruchym, zielonkawym materiale z białymi inkluzjami - minerał znany jako koezyt. Właśnie ten brzydki, bezwartościowy minerał był przyczyną wyprawy, podczas której przemierzył aż dwanaście tysięcy mil. Wreszcie go znalazł.

Na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Rozłożył ręce i wydał głośny okrzyk zadowolenia. Wzgórza zwielokrotniły jego głos donośnym echem, które kilkakrotnie do niego powracało, po czym uciekało, aż wreszcie zupełnie zanikło.

Zapadła cisza i mężczyzna rozejrzał się po otaczających go wzgórzach, oceniając aluwialne formy erozji. Ponownie zatrzymał wzrok na skałach osadowych o wyraziście rozdzielonych warstwach. Następnie znowu popatrzył na ziemię. Poprowadził muły dziesięć jardów i czubkiem buta trącił kolejny kamień, odwracając go na drugą stronę. Kopnął trzeci kamień, a potem czwarty. Same koezyty - dolina była nimi po prostu usłana.

Na skraju pokrywy śniegowej leżał gładz polodowcowy o nieregularnych kształtach. Masangkay poprowadził do gładzu swoje muły i przywiązał je do niego, wykorzystując jedną z ostro zakończonych wypustek. Następnie, postępując powoli i niezwykle ostrożnie, wyszedł z powrotem na płaski środek wąskiej doliny. Zaczął podnosić niektóre kamienie, a inne tylko trącał czubkami butów, w myślach rysując mapę rozłożenia koezytów. To było wprost niewiarygodne, przekraczało jego najbardziej optymistyczne przypuszczenia.

Przybył na tę wyspę z nadziejami mającymi tym razem jak najbardziej realne podstawy, mimo że osobiste doświadczenie podpowiadało mu przecież, iż lokalne legendy rzadko się sprawdzają. Przypomniawszy sobie zakurzoną bibliotekę w muzeum, gdzie po raz pierwszy zetknął się z legendą Hanuxy: zapach niszczących monografii antropologicznych, wyblakłe fotografie artefaktów i dawno temu zmarłych Indian. Dużo nie brakowało, a by się tym nie zainteresował; przyłodek Horn znajdował się przecież cholernie daleko od Nowego Jorku. A instynkt Masangkaya wielokrotnie już w przeszłości zawodził. Jednak w końcu się tutaj znalazł.

I został za to nagrodzony jak jeszcze nigdy w życiu.

Wziął głęboki oddech. Musiał ochłonać. Wróciwszy do gładzu, sięgnął pod brzuch pierwszego jucznego muła. Sprawnie rozwiązał linę konopną, którą muł był obwiązany, i zdjął ze zwierzęcia duże wiklinowe pudła do bagażu, zabezpieczone dotąd liną. Zdjąwszy z jednego z nich pokrywę, wydobyl z niego długi worek i położył go na ziemi. Z worka wyciągnął sześć wąskich aluminiowych cylindrów, małą klawiaturę przenośnego komputera z ekranem, skórzany pasek, dwie metalowe kule i akumulator kadmowy. Usiadłszy na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, podłączył sprzęt do aluminiowego pręta, złożonego z kilku odrębnych cylindrów, długiego na piętnaście stóp, ze sferycznymi występami na obu

końcach. Komputer z ekranem umieścił przed sobą, przymocowawszy go dodatkowo do pręta skórzanym paskiem, i we właściwy otwór z boku wsunął akumulator. Wstał i z satysfakcją zmierzył wzrokiem najnowszy krzyk techniki - lśniący anachronizm na całkowitym odludziu. Był to wart ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów elektromagnetyczny sonograf tomograficzny. Masangkay zapłacił za niego dziesięć tysięcy dolarów zaliczki. Pozostałe czterdzieści tysięcy zwiększało dodatkowo jego długi, z których nie był w stanie wyjść już od wielu lat. Oczywiście, gdyby obecny projekt wypalił, zdołałby spłacić wszystko i wszystkich, nawet swojego starego partnera.

Masangkay włączył zasilanie i poczekał, aż urządzenie się rozgrzeje. Ustawił ekran we właściwej pozycji, złapał za rączkę na środku pręta i podniósł urządzenie. Oparł je na karku, balansując nim tak, jak balansuje cyrkowiec chodzący po linie wysoko pod kopułą cyrku. Wolną ręką zdołał sprawdzić ustawienia, skalibrować i wyzerować instrument, po czym, utkwivszy wzrok w ekranie, ruszył po płaskim dnie doliny. Tymczasem mgła uniosła się i niebo pociemniało. Na środku doliny mężczyzna nagle się zatrzymał.

Popatrzył na ekran zaskoczony. Po chwili dokonał korekty ustawień i zrobił krok do przodu. Zaraz jednak znowu przystanął i zmarszczył czoło. Zaklął i wyłączył urządzenie, po czym wrócił na skraj doliny, wyzerował sonograf i ponownie skierował się tam, skąd przed chwilą wrócił. Po chwili znów się zatrzymał. Jego zaskoczenie zaczynało się przemieniać w niedowierzanie. Oznaczył punkt na ziemi za pomocą dwóch kamieni, ułożonych jeden na drugim. Następnie szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę doliny i natychmiast zaczął wracać, teraz już znacznie wolniej. Rozpadał się drobny deszczyk, zraszając jego twarz i ramiona, lecz Masangkay zignorował to. Nacisnął jakiś przycisk i z komputera zaczął wysuwać się wąski pasek papieru. Masangkay obejrzał go pośpiesznie, gdyż z powodu wilgoci atrament na papierze szybko się rozmazywał. Oddech mężczyzny stał się szybszy. Początkowo poszukiwacz odniósł wrażenie, że komputer analizuje niewłaściwe dane, jednak po krótkim zastanowieniu musiał tę myśl wykluczyć. Po raz drugi powtórzył doświadczenie, nerwowo wyrwał papier z komputera, obejrzał go, po czym zwinął w kulkę i wsunął do kieszeni kurtki.

Kiedy skończył czwarty pomiar, zaczął mówić sam do siebie cichym, monotonnym głosem. Wróciwszy do mułów, starannie złożył i schował sonograf. Śpieszył się i dlatego jedno z pudeł upadło na ziemię i otworzyło się. Wysypały się z niego oskardy, łopaty, młotki do kamieni, świder i laski dynamitu. Masangkay szybko zgarnął oskard i łopatę, po czym wrócił na środek doliny. Wbiwszy łopatę w ziemię, zaczął energicznie pracować oskardem, rozbijając twardą powierzchnię. Następnie nabrał na łopatę luźny żwir i odrzucił go daleko na

bok. Przez długi czas pracował w ten sposób, na zmianę używając oskarda i łopaty. Muły przypatrywały mu się bez najmniejszego zainteresowania, z opuszczonymi głowami i półprzymkniętymi oczami.

Tymczasem deszcz padał coraz gęstszy. We wgłębieniach płaskiej, żwirowej powierzchni doliny pojawiały się płytkie kałuże. Znad Kanału Franklina ku północy unosił się zimny zapach lodu. W oddali rozległy się grzmoty nadchodzącej burzy. Nad głową Masangkaya zaczęły krążyć ciekawskie mewy, wydając rozpaczliwe skrzeki.

Dziura w ziemi z każdą chwilą stawała się głębsza. Pod twardą żwirową pokrywą znajdował się aluwialny piasek, w którym kopanie nie stanowiło żadnego problemu. Wzgórza stopniowo znikwały za kurtyną deszczu i mgły. Masangkay intensywnie pracował, nie zważając zupełnie na nic. Najpierw zdjął płaszcz, później koszulę, a wreszcie podkoszulek. Błoto i woda mieszały się na jego umięśnionym torsie ze spływającym potem. Na końcu długiej brody lśniły kropłe wilgoci.

Nagle Masangkay krzyknął i przerwał pracę. Przykucnął w dziurze i zaczął dłońmi odgarniać spod stóp resztę ziemi, pokrywającej jakąś twardą powierzchnię. Wreszcie pozwolił, żeby jej resztki splukał ulewny deszcz.

Ogarnął go szok i niedowierzanie. Ukłękł jak do modlitwy i rozłożył dłonie na powierzchni czegoś twardego. Jego oddech stał się gwałtowny, nieregularny, oczy rozszerzyły się z niedowierzania, pot na czole zmieszał się z deszczem, serce biło jak oszalałe - z wyczerpania, podniecenia i nieopisanej radości.

W tym momencie z dziury gwałtownie wystrzeliła fala jaskrawego światła, a po niej rozległ się ogłuszający huk. Przez chwilę odbijał się echem od wzgórz, aż nastąpiła absolutna cisza. Dwa muły odwróciły łby w kierunku źródła niedawnego hałasu. Ujrzały niewielki obłok znacznie gęstszej mgły, która przybrała kształt jakby kraba, po czym rozerwała się na drobne części i poszybowała ku deszczowemu niebu.

Muły, przywiązane do głazu, z całkowitą obojętnością odwróciły łby od tej sceny. Tymczasem nad wyspą Desolación zaczęła zapadać noc.

WYSPA DESOLACIÓN

22 lutego, godz. 11.00

Długa łódka z wydrążonego pnia drzewa rozcinała wody kanału, sunąc gładko z prądem wody. Na łódce widać było samotną sylwetkę klęczącego człowieka, drobnego i zgiętego w pół, który sprawnymi ruchami operował wiosłem, pewnie prowadząc łódkę w obranym kierunku. Za rufą unosiła się smuga dymu, wznoszącego się znad glinianego paleniska skonstruowanego na środku łódki.

Mężczyzna okrążył czarne urwiska wyspy Desolación, skręcił na spokojniejsze wody małej zatoczki i wreszcie zatrzymał dziób łodzi na kamienistej plaży. Szybko wyszedł na brzeg i zaciągnął łódź na tyle daleko, by nie porwały jej wody przypływu.

Będąc w okolicy, usłyszał niedawno od koczujących tu rybaków, którzy samotnie mieszkali nad zimnymi wodami, że ostatnio wybrał się tutaj pewien mężczyzna, wyglądający na obcokrajowca. Już choćby taka informacja, zasłyszana mimochodem wiadomość o obcym podróżniku wędrującym po tych opuszczonych i niegościnnych terenach, była sama w sobie niezwykle. Bardziej niezwykle było jednak to, że minął miesiąc, a podróżnik najprawdopodobniej jeszcze nie wrócił.

Mężczyzna zastygł w bezruchu, utkwivszy wzrok w czymś, czego się tutaj zupełnie nie spodziewał. Postąpiwszy wreszcie do przodu, podniósł z kamieni poszarpany kawałek płytki z włókna szklanego i po chwili jeszcze jeden. Zaczął je oglądać, oddzierając kilka pasków z poszarpanych brzegów i odrzucając je na bok. Były to fragmenty łodzi, która musiała się tutaj rozbić zupełnie niedawno. Cóż, może więc zagadka tajemniczego wędrowca miała bardzo proste wyjaśnienie?

Mężczyzna wyglądał dość dziwnie. Był stary, miał ciemną twarz i długie siwe włosy oraz drobniutkie długie wąsy, które opadały mu na policzki niczym fragmenty pajęczej sieci. Mimo przenikliwego zimna ubrany był jedynie w poplamioną koszulkę i zniszczone krótkie spodnie. Przytknąwszy palec do nosa, wydmuchnął na ziemię flegmę najpierw z jednej dziurki, potem z drugiej. Następnie zaczął się wspinać po klifie górującym nad zatoczką.

Kiedy stanął na szczycie, zatrzymał się i lśnącymi czarnymi oczyma przepatrywał ziemię w poszukiwaniu jakichś śladów. Żwirowa powierzchnia wyspy, upstrzona licznymi wzgórkami mchów, była jak gąbka, to zamarzająca, to puszczająca wody, i doskonale zachowywała odciski ludzkich butów oraz zwierzęcych kopyt.

Ruszył śladem, który prowadził lekko w górę, a potem w kierunku zalegającej pokrywy śnieżnej. Następnie ślad wiódł wzdłuż granicy śniegu, w stronę doliny, położonej trochę niżej. Przy grani górującej nad doliną regularne ślady urywały się, obierając jakieś dziwne, bezładne kierunki. Mężczyzna zatrzymał się, spoglądając w dół, ku jałowej dolinie. Coś przyciągnęło jego uwagę: jaskrawe kolory wśród absolutnej szarości i błysk promieni słońca odbitych w wypolerowanym metalu.

Zaczął zbiegać w tym kierunku.

Najpierw dotarł do mułów, wciąż przywiązanych do skały. Od dawna nie żyły. Potem zaczął wodzić głodnym wzrokiem po ziemi. Jego oczy aż zabłyśły z chciwości, kiedy natrafił spojrzeniem na zapasy żywności i sprzęt. Po chwili zobaczył ludzkie zwłoki.

Podszedł do nich, poruszając się już o wiele ostrożniej. Leżały na plecach w odległości mniej więcej stu jardów od stosunkowo niedawno wykopanej dziury w ziemi. Były nagie, do zwęglonych mięśni przywierały zaledwie strzępy tkanin. Czarne, spalone ramiona trupa wznosiły się ku niebu niczym szpony martwego kruka, a jego rozłożone nogi były podciągnięte aż do roztrzaskanej klatki piersiowej. W oczodołach zmarłego zgromadziła się deszczówka, tworząc dwa zbiorniczki z wodą, na których powierzchni odbijał się obraz nieba i chmur.

Stary człowiek zaczął się powoli cofać, krok po kroku, ostrożnie niczym kot. Wreszcie przystanął. Sprawiał wrażenie, jakby wrósł w ziemię; przez długi czas wpatrywał się w poczerniałe zwłoki i rozmyślał. Wreszcie, znów powoli, ani na moment nie odwróciwszy się tyłem do trupa, wrócił do martwych mułów i skierował całą swoją uwagę na porozrzucany wokół nich bezcenny sprzęt.

NOWY JORK

20 maja, godz. 14.00

Sala licytacji w Domu Aukcyjnym Christie's była przestronnym pomieszczeniem, o ścianach obitych boazerią z jasnego drewna, oświetlonym kwadratowymi żyrandolami zwisającymi z sufitu. Chociaż parkiet na podłodze ułożony był w piękne jodełki, prawie nie było ich widać pod niezliczonymi rzędami krzeseł - wypełnionych do ostatniego miejsca - oraz stopami dziennikarzy, licznych spóźnialskich i zwykłych ciekawskich, zgromadzonych przed tylną ścianą.

Kiedy prezes domu aukcyjnego wszedł na centralne podwyższenie, w pomieszczeniu zapanowała cisza. Długi kremowy ekran za jego plecami, na którym podczas zwyczajnych aukcji wieszano zazwyczaj licytowane obrazy, był pusty.

Prezes postukał w blat drewnianym młotkiem aukcyjnym, popatrzył pobieżnie po zgromadzonych, wyciągnął z kieszeni marynarki jakąś kartę i przez chwilę uważnie się w nią wpatrywał. Wreszcie umieścił ją na blacie przed sobą, lekko z boku i znowu spojrzał na ludzi.

- Jak mniemam - powiedział do mikrofonu, a krótkie angielskie głoski lekko rezonowały w głośnikach - przynajmniej kilka osób spośród państwa jest świadomych, co mamy dzisiaj do zaoferowania.

Przez salę przebiegł cichy szmer stonowanego rozbawienia.

- Żałuję, że nie mogliśmy tego wynieść na podium, żeby państwo sami to zobaczyli, jednak jest to nieco zbyt duże.

Wśród zgromadzonych znów rozległy się śmiechy. Prezes najwyraźniej napawał się wagą tego, co miało się za chwilę wydarzyć.

- Przyniosłem jednak mały fragment, powiedzmy, że dowód, gwarancję, iż będą państwo uczestniczyli w licytacji autentycznego przedmiotu.

Wypowiedziawszy te słowa, prezes skinął głową i na podwyższenie lekkim krokiem gazeli wszedł młody, szczupły człowiek. W obu rękach trzymał małe pudełko, obite aksamitem. Niemal natychmiast zdjął z niego pokrywę i półkolistym ruchem, kierując wewnątrz pudełka ku zgromadzonym, pokazał im jego zawartość. Wśród ludzi przebiegł szmer, który wkrótce ucichł.

W środku, na białym aksamicie, leżał skręcony ciemnobrązowy kiel. Miał mniej więcej siedem cali długości i wystrzępioną wewnętrzną krawędź. Prezes odchrząknął.

- Konsygnantem artykułu numer jeden, jedynego przedmiotu licytowanego w dniu dzisiejszym, jest naród Nawaho, na podstawie porozumienia powierniczego z rządem Stanów Zjednoczonych Ameryki. - Zmierzył uważnym wzrokiem wszystkich zebranych. - Przedmiotem tym jest skamielina. - Popatrzył na leżącą przed nim kartkę. - W roku 1996 pasterz Nawaho, o personaliach Wilson Atcitty, zagubił kilka owiec w górach Lukachukai, na granicy Arizony z Nowym Meksykiem. Poszukując swoich owiec, natrafił na wielką kość wystającą ze ściany piaskowca w jakimś zapomnianym kanionie. Geolodzy nazywają te pokłady piaskowca formacją piekielnej zatoki; pochodzą one z ery kredy. Wiadomość dotarła do Muzeum Historii Naturalnej w Albuquerque. W porozumieniu z Nawahami geolodzy z muzeum rozpoczęli prace, których celem było wydobycie całego szkieletu. W miarę postępu robót zorientowano się, że chodzi o dwa poskręcane szkielety. Naukowcy ustalili, że jeden z nich należał do tyranozaura, a drugi do triceratopsa. Tyranozaur trzymał szczęki zaciśnięte na szyi triceratopsa, tuż pod grzebieniem. Jednym mocnym kłapnięciem szczęk był w stanie odgryźć jego łeb. Z kolei triceratops zdołał wbić środkowy róg głęboko w klatkę piersiową tyranozaura. Oba stwory wyzionęły ducha razem, złączone w straszliwym śmiertelnym uścisku. - Prezes odchrząknął. - Nie mogę się doczekać filmu.

Wśród zgromadzonych znów rozległy się głośnie śmiechy.

- Pod triceratopsem paleontolodzy znaleźli pięć kłów tyranozaura, które ten najprawdopodobniej stracił podczas gwałtownej walki. Oto jeden z tych kłów. - Prezes skinął na asystenta, który zamknął pudełko. - Kamienny blok, ze znajdującymi się w nim dwoma dinozaurami, został wycięty ze zbocza górskiego i wystawiony na widok publiczny w

muzeum w Albuquerque. Następnie przetransportowano go do Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku, gdzie prace badawcze są wciąż kontynuowane. Dwa szkielety nadal częściowo tkwią w skale z piaskowca. - Prezes znów zerknął do notatek. - Według naukowców, z którymi konsultował się nasz dom aukcyjny, są to najlepiej zachowane szkielety dinozaurów, na jakie kiedykolwiek natrafiono. Dla nauki mają wprost nieocenioną wartość. Główny paleontolog nowojorskiego muzeum stwierdził, że jest to najwspanialsza skamielina, jaką kiedykolwiek odnaleziono.

Prezes starannie poskładał kartki i sięgnął po młotek. Na ten sygnał jego trzech pomocnicy, niczym widma, wskoczyli na podwyższenie. Wśród absolutnej ciszy zastygli w bezruchu. Telefonistki zamarły na swoich stanowiskach ze słuchawkami w rękach. Linie telefoniczne zostały otwarte.

- Oceniamy, że licytowany dzisiaj artykuł wart jest dwanaście milionów dolarów. Cena wywoławcza wynosi pięć milionów. - Prezes uderzył młotkiem w drewnianą podstawkę.

Wśród uczestników aukcji dał się słyszeć szmer nawoływań, ludzie wykręcali głowy, chcąc widzieć reakcje innych, jednak niemal natychmiast zaczęły się podnosić tabliczki z numerami licytujących.

- Mam pięć milionów! Sześć milionów! Dziękuję, mam siedem milionów! - Ludzie przebierali nerwowo nogami, podwyższali stawki i wykrzykiwali je w kierunku prowadzącego aukcję. Hałas w sali stopniowo narastał. - Mam osiem milionów!

Hałas wzmógł się, gdy pobita została rekordowa cena, jaką dotąd zapłacono za szkielet dinozaura.

- Dziesięć milionów! Jedenaście milionów! Dwanaście! Dziękuję, mam trzynaście! Mam czternaście! Piętnaście!

Tabliczki nie unosiły się już tak gromadnie, w licytacji wciąż jednak uczestniczyło z pół tuzina osób, znajdujących się na sali i dodatkowo kilka walczących o szkielety dinozaurów przez telefon. Na elektronicznej tablicy za prezesem co kilka sekund pojawiała się wyższa kwota w dolarach, błyskawicznie przeliczana na euro i funty brytyjskie.

- Osiemnaście milionów! Mam osiemnaście milionów! Dziewiętnaście! Zgromadzeni niemal wrzeszczeli i prowadzący kilkakrotnie uderzył ostrzegawczo młotkiem. Trochę to poskutkowało i licytację kontynuowano. Zrobiło się ciszej, ale atmosfera była nerwowa.

- Dwadzieścia pięć milionów. Mam dwadzieścia sześć. Pan po prawej stronie zgłosił dwadzieścia siedem milionów.

Hałas znowu się wzmógł, jednak tym razem prezes domu aukcyjnego nie uczynił już nic, żeby nad nim zapanować.

- Mam trzydzieści dwa miliony! Trzydzieści dwa i pół od telefonicznego uczestnika aukcji! Trzydzieści trzy! Dziękuję, trzydzieści trzy i pół. Trzydzieści cztery od pani w pierwszym rzędzie!

Napięcie w sali aukcyjnej sięgało zenitu. Licytacja urosła do kwot o wiele wyższych, niż prognozowano w najśmielszych przypuszczeniach.

- Trzydzieści pięć przez telefon. Trzydzieści pięć i pół od pani. Trzydzieści sześć.

Przez tłum przeszedł wyraźny szmer i ludzie nagle zmienili obiekt zainteresowania. Oczy niemal wszystkich powędrowały ku górnej galerii. Na stopniach schodów zbudowanych w kształcie półksiężycy stał mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat. Był potężnej postury, dobrze ubrany i już sam jego widok wzbudzał szacunek. Miał całkowicie ogoloną czaszkę i ciemną brodę w stylu Vandyke'a. Ubrany był w granatowy jedwabny garnitur od Valentina. Kiedy się poruszał, materiał garnituru odbijał padające na niego światło i skrzył się w jego blasku. Pod garniturem mężczyzna miał koszulę marki Turnbull & Asser, nieskazitelnie białą, rozpiętą pod szyją. W luźno zawiązanym krawacie tkwiła szpilka z dużą bursztynową główką. W bursztynie widoczne było pióro archeopteryksa, jedyne, jakie kiedykolwiek znaleziono.

- Trzydzieści sześć milionów - powtórzył prezes.

Jego spojrzenie, jak zresztą spojrzenia wszystkich pozostałych osób, skierowane było teraz na nowo przybyłego.

Mężczyzna stał na schodach, a jego niebieskie oczy iskrzyły wielką energią oraz jakimś rozbawieniem, którego przyczyny znał jedynie on sam. Powoli uniósł do góry swoją tabliczkę. Nagle w sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. Gdyby przypadkiem ktoś dotąd tego mężczyzny nie rozpoznał, tabliczka mówiła wszystko: miała numer 001, jedyny numer, jaki Dom Aukcyjny Christie's zgodził się przyznać na stałe konkretnemu klientowi.

Prezes popatrzył na niego z wyczekiwaniem.

- Sto - odezwał się w końcu mężczyzna, spokojnie, lecz bardzo wyraźnie.

Cisza jeszcze się pogłębiła, o ile to w ogóle było możliwe.

- Słucham pana? - zapytał prezes suchym głosem.

- Sto milionów dolarów - powtórzył mężczyzna. Miał bardzo duże, proste i bardzo białe zęby.

W sali panowała absolutna cisza.

- Usłyszałem kwotę sto milionów dolarów - powiedział prezes lekko drżącym głosem.

Czas jakby zatrzymał się w miejscu. Gdzieś w budynku dzwoniły telefony, z ulicy docierały przytłumione odgłosy klaksonów samochodowych, lecz nikt zdawał się tego nie słyszeć.

I nagle wszyscy jakby wyrwali się spod działania zaklęcia po jednym zwyczajnym uderzeniu młotkiem aukcyjnym.

- Artykuł numer jeden kupił pan Palmer Lloyd za sto milionów dolarów.

Sala eksplodowała. Zgromadzeni w jednej chwili zerwali się na równe nogi. Zewsząd rozległy się żywiołowe oklaski, nawoływania „brawo” - tak jakby przed momentem jakiś wspinały tenor zakończył właśnie występ, najlepszy w życiu. Na sali znajdowało się jednak także wiele osób niezadowolonych z wyniku aukcji i oklaski sprzęgły się z sykami niechęci oraz nieprzyjaznymi pomrukiwaniami. Kilka osób wzniosło w górę zaciśnięte pięści. Dom Aukcyjny Christie's nigdy dotąd nie widział tłumu tak bliskiego hysterii. Wszyscy uczestnicy zakończonej aukcji, niezależnie od tego, czy usatysfakcjonowani, czy rozczarowani jej przebiegiem, byli świadomi, że brali udział w wydarzeniu historycznym.

Mężczyzny, który wywołał to całe zamieszanie, już tutaj nie było. Zszedł po schodach z głównej galerii, wkroczywszy na zielony dywan, minął kasjera - i już po chwili zgromadzeni krzyczeli jedynie do pustego korytarza.

PUSTYNYIA KALAHARI

1 czerwca, godz. 18.45

Sam McFarlane siedział ze skrzyżowanymi nogami na piasku. Wieczorne ognisko z suchych gałęzi położonych na gołej ziemi rzucało drżące cienie na cierniste krzewy otaczające obóz. Najbliższe osiedle ludzkie leżało w odległości mniej więcej stu mil za jego plecami.

Popatrzył po niewyraźnych sylwetkach pomarszczonych ludzi, kucających wokół ogniska. Byli nadzy, jeśli nie liczyć przepasek, które mieli przewiązane wokół bioder. Ich oczy lśniły. Buszmeni San. Minęło wiele czasu, nim zdołał zyskać ich zaufanie, jednak gdy raz je zdobył, było ono już niewzruszone. Zupełnie inaczej, rozmyślał McFarlane, niż w rodzinnych stronach.

Przed każdym Buszmenem leżał zdezelowany, przechodzony wykrywacz metali. Kiedy McFarlane wstał, Buszmeni San nawet się nie poruszyli. Zaczął mówić, powoli, niezgrabnie, w ich dziwnym języku przywodzącym na myśl trzaskanie. Początkowo, gdy z trudem udawało mu się dobierać słowa, rzeli szyderczo, jednak McFarlane miał naturalną zdolność do nauki języków i w miarę, jak kontynuował, mężczyźni milkli i wreszcie wokół ogniska zapadła pełna respektu cisza.

Kończąc mówić, McFarlane wygładził połąć piasku. Używając kija, zaczął rysować na niej mapę. Buszmeni wysunęli do przodu głowy, chcąc dokładniej przyjrzeć się rysunkowi. Mapa szybko nabierała kształtów i San wkrótce już przytakiwali, gdy McFarlane wskazywał na niej różne punkty. Chodziło mu o płaskowyż Makgadikgadi, leżący na północ od obozu: tysiące mil kwadratowych niecek po wyschniętych jeziorach, piaszczyste pagórki i zasadowe równiny, beznadziejnie wymarłe, niezamieszkane. Niemal na samym środku płaskowyżu narysował kijem małe koło, po czym wbił w nie kij i z szerokim uśmiechem popatrzył po zgromadzonych.

Nastąpiła chwila zupełnej ciszy, którą przerwało jedynie nawoływanie samotnego ptaka ruoru nad płaskim pustkowiec. Zaraz jednak San zaczęli rozmawiać pomiędzy sobą przytłumionymi głosami. Ich krótkie, urywane słowa przypominały trzaski małych kamyczków toczących się w wartkim i płytkim strumieniu. Pewien kościsty starzec, przywódca grupy, wskazał na mapę. McFarlane pochylił się ku niemu, starając się zrozumieć jego słowa. Tak, znamy ten teren, mówił stary. Zaczął opisywać szlaki przecinające opustoszały obszar, znane tylko ludowi San. Za pomocą gałązki i kilku kamieni przywódca oznaczał miejsca, w których znajdują się źródła wody, gdzie żyją zwierzęta i gdzie można natrafić na różne korzenie i rośliny. McFarlane czekał cierpliwie.

W końcu w grupie znów zapanowała cisza. Przywódca odezwał się do McFarlane'a. Mówił teraz bardzo powoli. Tak, chcieliby uczynić to, o co prosi ich biały człowiek. Boją się jednak maszyn białego człowieka, a także nie rozumieją, czego właściwie szuka.

McFarlane znowu wstał i wyciągnął kij wbity dotąd w mapę. Wydobył z kieszeni małą bryłkę żelaza i położył ją w dziurze, która pozostała po kiju. Wepchnął ją głęboko do środka i zakrył piaskiem. Następnie podniósł się, wziął do ręki wykrywacz metalu i włączył go. Rozległ się krótki, wysoki dźwięk. Wszyscy Buszmeni czekali w nerwowym napięciu, co będzie dalej. McFarlane odszedł dwa kroki od mapy, odwrócił się i ruszył do przodu, unosząc wykrywacz tuż nad powierzchnią ziemi. Kiedy tarcza wykrywacza znalazła się nad bryłką żelaza, rozległ się jakby skrzek. San, przestraszeni, błyskawicznie odskoczyli do tyłu i zaczęli gwałtownie coś mówić, wszyscy naraz.

McFarlane uśmiechnął się, powiedział kilka słów, i San powrócili na dawne miejsca. Wyłączył wykrywacz i skierował go ku przywódcy, który niechętnie wziął urządzenie do ręki. McFarlane pokazał mu, w jaki sposób wykrywacz należy włączać, a następnie powoli poprowadził starca nad koło, każąc mu zakreślać wykrywaczem półkola nad piaskiem znajdującym się przed nim. Urządzenie znowu zaskrzeczało. Starzec wzdrygnął się, ale zaraz

na jego twarzy pojawił się uśmiech. Ponownie najechał wykrywaczem nad koło, potem jeszcze raz, a ha jego pomarszczonej twarzy kwitł coraz szerszy uśmiech.

- Surfa ai, Ma!gad' i!gadi!iaad' mi - powiedział, wykonując ręką szeroki gest ku swym współplemięcom.

Przy cierplivej pomocy McFarlane'a każdy Buszmen po kolei wziął do ręki urządzenie i każdy przetestował je nad ukrytą bryłką żelaza. Powoli ich niepewną rezerwę zastępował śmiech i coraz głośniejsze rozmowy. W końcu McFarlane uniósł obie ręce i wszyscy znowu usiedli. Każdy miał teraz na kolanach własny wykrywacz. Buszmeni San byli gotowi do rozpoczęcia poszukiwań.

McFarlane wyciągnął z kieszeni skórzany worek, otworzył go i wywrócił na drugą stronę. Na jego dłoń wypadł tuzin złotych krugerrandów. W ostatnich promieniach słońca żalosne nawoływania rozpoczął ptak ruoru. Powoli, ceremonialnie, McFarlane wręczył każdemu mężczyźnie po kolei po złotej monecie. Odbierali je od niego jakby z czcią, wyciągając ku nim obie ręce i pochylając głowy.

Przywódca znów się odezwał do McFarlane'a. Jutro zwiną obóz i rozpoczną podróż do serca płaskowyżu Makgadikgadi, zabierając ze sobą maszyny białego człowieka. Będą szukać tej dużej rzeczy, którą chce znaleźć biały człowiek. Kiedy już ją znajdą, udadzą się w drogę powrotną. Powiedzą białemu człowiekowi, gdzie się ta rzecz znajduje...

Nagle stary człowiek ze strachem wzniosł oczy ku niebu. Inni uczynili to samo, a McFarlane tylko to obserwował, coraz intensywniej marszcząc czoło w zdumieniu. Wtem usłyszał to, co wcześniej dotarło do uszu Buszmenów: odległe, rytmiczne dudnienie. Podążył wzrokiem za ich spojrzeniami, skierowanymi teraz ku ciemnemu horyzontowi. Zaczęli gwałtownie rozmawiać, przekrzykując jeden drugiego. Na odległym niebie pojawiła się kula światła, z początku słaba, lecz z każdą chwilą jaśniejsza. Również dudnienie zdawało się coraz głośniejsze. Raptem z ciemnego nieba ku równie ciemnej ziemi wystrzelił strumień światła cienki jak ołówek.

Z cichym jękiem przerażenia stary człowiek, przywódca, upuścił swojego krugeranda i zniknął w ciemnościach. Reszta Buszmenów natychmiast się rozpierzchła. W jednej krótkiej chwili McFarlane pozostał zupełnie sam, wpatrujący się w mrok poza żółtawym kręgiem rzucanym przez ognisko. Jednak aż podskoczył, gdy zdał sobie sprawę, że początkowo odległe światło jest coraz intensywniejsze i bliższe. Sunęło bez wątpienia w kierunku obozu. McFarlane nie miał już wątpliwości, że zbliża się ku niemu helikopter, blackhawk. Jego śmigła rozdzierały nocne powietrze, światła pozycyjne lekko mrugały, a strumień światła z potężnego reflektora błędził po ziemi, dopóki nie natrafił na sylwetkę mężczyzny.

McFarlane rzucił się pomiędzy krzewy i padł na ziemię, czując się w jaskrawym świetle zupełnie nagi. Wsunąwszy rękę w długi but, wyciągnął z niego mały pistolet. Piasek unosił się gwałtownie w powietrzu, wzniecony przez rotory helikoptera, boleśnie kłując McFarlane'a w oczy, a krzewy wiły się jak szalone. Helikopter zwolnił, zawisł nad obozem, lekko z boku, i powoli zaczął się opuszczać ku ziemi. Podmuch rozrzucił drewno na ognisku i rozsypał dookoła tysiące iskier. Kiedy maszyna wreszcie osiadła na sypkim piasku, rozbłysnął reflektor na jej dachu i skąpał rozległy obszar dookoła w potężnym blasku. Wirniki stopniowo zwalniały obroty. McFarlane czekał, ścierając kurz z twarzy i obserwując cały czas drzwi helikoptera. Pistolet wciąż trzymał w pogotowiu. Wkrótce drzwi się otworzyły i z blackhawka wysiadł potężnie zbudowany mężczyzna.

McFarlane wyteżał wzrok, spoglądając ku niemu przez suche zarośla. Mężczyzna ubrany był w krótkie spodnie koloru khaki i wełnianą koszulę. Na jego głowie, ogolonej na zero, tkwił kapelusz od Tilleya. Jedną z dużych kieszeni spodni wypychało coś bardzo ciężkiego. Mężczyzna powoli ruszył w kierunku McFarlane'a.

McFarlane podniósł się z ziemi i starając się, aby pomiędzy nim a helikopterem znajdowało się jak najwięcej krzewów, wycelował pistolet w pierś mężczyzny. Obcy zdawał się jednak tym nie przejmować. Mimo ciemności McFarlane odniósł wrażenie, że dostrzega na jego twarzy uśmiech i wyszczerzone białe zęby. Mężczyzna zatrzymał się pięć kroków od niego. Musiał mieć przynajmniej sześć stóp wzrostu; McFarlane nie był pewien, czy kiedykolwiek w życiu widział już kogoś tak wysokiego.

- Trudno cię odszukać - powiedział przybysz.

W głębokim, dźwięcznym głosie McFarlane usłyszał ślady nosowego akcentu ze Wschodniego Wybrzeża.

- Do diabła, kim pan jest? - zareagował pytaniem, wciąż trzymając pistolet gotowy do strzału.

- Prezentacja byłaby o wiele przyjemniejsza, gdybyś odłożył broń.

- Niech więc pan wyciągnie swoją broń z kieszeni i odrzuci na piasek - odparł McFarlane.

Mężczyzna zachichotał i wyjął przedmiot obciążający jego kieszeń. Nie był to pistolet ani rewolwer, lecz mały termos.

- Mam tu coś, co chroni przed chłodem - rzekł, unosząc termos do góry. - Jeśli chcesz, mogę się z tobą podzielić.

McFarlane popatrzył w kierunku helikoptera i dostrzegł, że znajduje się w nim jeszcze tylko pilot.

- Straciłem miesiąc, zanim zyskałem ich zaufanie - powiedział cichym głosem - a pan ich po prostu w jednej chwili rozproszył po okolicy i już ich nie znajduję. Chcę wiedzieć, kim pan jest i czego tutaj chce. I oby miał pan dobry powód zjawienia się tutaj.

- Obawiam się, że powód wcale nie jest dobry. Twój partner, Nestor Masangkay, nie żyje.

McFarlane odniósł wrażenie, jakby ktoś uderzył go w głowę. Powoli opuścił pistolet.

- Nie żyje? Mężczyzna przytaknął.

- Jak?

- Robił to samo, co ty teraz. A jak zginął? Do końca nie wiemy. - Wzruszył ramionami. - Możemy podejść do ogniska? Nie spodziewałem się, że noce na Kalahari będą aż takie chłodne.

McFarlane zbliżył się do resztek ogniska, trzymając pistolet w ręce luźno opuszczonej wzdłuż ciała. W jego umyśle kotłowało się mnóstwo sprzecznych emocji. Mimochodem zauważył, że powietrze wzburzone przez wirniki helikoptera wymazało z piasku jego mapę i odkryło małą bryłkę żelaza. - Jakie są twoje związki z Nestorem? - zapytał.

Przybysz nie odpowiedział natychmiast. Zamiast tego uważnie zlustrował wzrokiem miejsce spotkania, zatrzymując spojrzenie na wykrywaczach metalu porozrzucanych w pośpiechu przez uciekających San i na złotych monetach leżących na piasku. Pochylił się i podniósł cenny kawałek metalu. Zważył go na dłoni, po czym uniósł do oczu.

Po chwili popatrzył na McFarlane'a.

- Znowu szukasz meteorytu Okavango?

McFarlane nie odpowiedział, za to jego dłoń zacisnęła się na rękojeści pistoletu.

- Znałeś Masangkaya lepiej niż ktokolwiek inny. Chciałbym, żebyś dokończył jego projekt.

- A co to za projekt? - zapytał McFarlane.

- Obawiam się, że na razie powiedziałem wszystko, co mogłem na ten temat powiedzieć.

- A ja się obawiam, że usłyszałem już wszystko, co chciałem usłyszeć. Jediną osobą, której w czymkolwiek chciałbym pomagać, jestem ja sam.

- Tak właśnie słyszałem.

McFarlane zrobił gwałtowny krok do przodu. Znowu ogarnęła go złość. Mężczyzna jednak uspokajająco podniósł rękę.

- Mógłbyś mnie przynajmniej wysłuchać.

- Na razie nie usłyszałem nawet, jak się pan nazywa, i, szczerze mówiąc, za bardzo mnie to nie interesuje. Dziękuję za przywiezienie złych wieści. A teraz niech pan wsiada z powrotem do swojego helikoptera i wynosi się stąd do diabła.

- Wybacz, że się wcześniej nie przedstawiłem. Nazywam się Palmer Lloyd.

McFarlane zaczął się śmiać.

- Tak, a ja jestem Bill Gates.

Ale potężnie zbudowany mężczyzna nie zamierzał się śmiać. Na jego ustach pojawił się jedynie grymas słabego uśmiechu. McFarlane po raz pierwszy uważnie przyjrzał się jego twarzy.

- Jezu - jęknął.

- Być może słyszałeś, że buduję nowe muzeum. McFarlane potrzęsął przecząco głową.

- Czy Nestor pracował dla pana? - spytał.

- Nie. Jednak jego poczynania przyciągnęły ostatnio moją uwagę i chciałbym dokończyć to, co on zaczął.

- Proszę mnie posłuchać - powiedział McFarlane, wsuwając pistolet za pasek. - Nie jestem tym zainteresowany. Nasze drogi z Nestorem rozeszły się bardzo dawno temu. I jestem pewien, że doskonale pan o tym wie.

Lloyd uśmiechnął się i wyciągnął ku niemu termos.

- Może porozmawiamy o tym przy odrobinie grogu?

Nie czekając na zaproszenie, usiadł przy ognisku, tak jak siada biały człowiek: tyłkiem na piasku. Odkręcił głębokie wieczko i nalał do niego porcję gorącego płynu. Zaprosił McFarlane'a, żeby wypił, ten jednak tylko niecierpliwie pokręcił głową.

- Lubisz polować na meteoryty? - zapytał Lloyd.

- Kiedyś bardziej mi się to podobało.

- I naprawdę przypuszczasz, że znajdziesz Okavango?

- Tak właśnie przypuszczałem, dopóki nie zleciał mi pan z nieba. - McFarlane przykucnął obok niego. - Z przyjemnością bym nawet z panem pogawędził. Jednak z każdą chwilą, jaką pan tu spędza i w jakiej stoi tutaj ten kretyński helikopter, Buszmeni są coraz dalej stąd. Powtórzę więc jeszcze raz. Nie interesuje mnie żadna praca. Ani w pana muzeum, ani w ogóle w żadnym muzeum. - Zawahał się. - Poza tym nie jest mi pan w stanie zapłacić takich pieniędzy, jakie zamierzam uzyskać za Okavango.

- A jaką kwotę masz na myśli? - zapytał Lloyd i upił z kubka łyk alkoholu.

- Ćwierć miliona. Co najmniej. Lloyd pokiwał głową.

- O ile znajdziesz meteoryt. A jeżeli od tego, co byś uzyskał, odejmiesz długi, w jakie wpadłeś po fiasku w Tornarssuk, wyobrażam sobie, że prawdopodobnie masz szansę wyjść na zero.

McFarlane roześmiał się szorstko.

- Każdy ma prawo do jednego błędu. Zostało mi dość pieniędzy, żeby przystąpić do poszukiwań następnego kamienia. Tam jest mnóstwo meteorytów. Z pewnością zgarnę więcej, niż wynosi pensja kuratora pana muzeum.

- Nie rozmawiam przecież z tobą o twoim zawodzie.

- Właściwie więc o czym pan ze mną rozmawia?

- Jestem pewien, że potrafiłbyś odgadnąć. Nie mogę mówić o szczegółach, dopóki nie znajdziesz się w mojej drużynie. - Znowu upił trochę grogu. - Zrób to dla swojego starego partnera.

- Starego byłego partnera. Lloyd westchnął.

- Masz rację. Wiem wszystko o tobie i Masangkayu. Utrata meteorytu Tornarssuk nastąpiła wyłącznie z twojej winy. Jeżeli można by winić za to jeszcze kogoś, to jedynie biurokratów z Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku.

- Niech pan już skończy, dobrze? W ogóle nie interesuje mnie to, co pan mówisz.

- Pozwól jednak, że powiem, jak chciałbym ci zrekompensować twoje niepowodzenia. Na początek, jedynie za twój podpis, zapłaciłbym ci ćwierć miliona dolarów, żebyś mógł pozbyć się wszystkich wierzycieli. Jeśli projekt odniesie sukces, dostaniesz kolejne ćwierć miliona. Jeżeli nie, pozostaniesz przynajmniej bez długów. Tak czy siak, jeśli tylko zechcesz, będziesz mógł podjąć pracę w moim muzeum jako dyrektor Departamentu Nauk o Ciałach Niebieskich. Zbuduję dla ciebie najlepsze laboratorium, jakie widział ten świat. Będziesz miał sekretarkę, asystentów i sześciocyfrowe wynagrodzenie.

McFarlane znów zaczął się śmiać.

- Pięknie. Jak długo ma trwać ten projekt?

- Sześć miesięcy. Ani chwili dłużej. McFarlane przestał się śmiać.

- Pół miliona za sześć miesięcy pracy?

- Jeżeli wszystko nam się uda.

- Gdzie tu tkwi haczyk?

- Nie ma żadnego haczyka.

- Dlaczego akurat ja?

- Znałeś Masangkaya, jego dziwactwa, sposób pracy, sposób myślenia. Nad jego dokonaniem unosi się gęsta mgła tajemnicy i tylko ty możesz ją przeniknąć. Poza tym jesteś

na tym świecie jednym z najlepszych łowców meteorytów. Wyczuwasz je szóstym zmysłem. Mówi się, że potrafisz chwycić nozdrzami ich zapach.

- Oprócz mnie jest wielu innych, równie dobrych. - Pochwały zirytowały McFarlane'a. Na odległość wyczuwał w nich manipulację.

Lloyd zareagował na te słowa, wyciągając w jego kierunku pięść z dużym pierścieniem, widocznym na palcu. Cenny metal zalsnił przed oczami McFarlane'a.

- Przepraszam, ale mógłbym pocałować wyłącznie pierścień papieża. Lloyd zachichotał.

- Popatrz jedynie na kamień.

Przyjrząwszy się uważniej, McFarlane dostrzegł, że na palcu Lloyda tkwi ciężki platynowy pierścień z matowym kamieniem jubilerskim w kolorze głębokiej purpury. Rozpoznał kamień natychmiast.

- Piękna rzecz - powiedział. - Ale przecież mógłby pan kupować ode mnie coś takiego hurtowo.

- Bez wątpienia. W końcu to ty i Masangkay wywieźliście z Chile tektyty, które znaleźliście na pustyni Atakama.

- Racja. I z tego powodu wciąż nie mogę tam wrócić.

- Zapewnimy ci właściwą ochronę.

- A więc chodzi o Chile? Cóż, wiem już, jak wyglądają cele w tamtejszych więzieniach. Przykro mi, ale nic z tego.

Lloyd nie odpowiedział natychmiast. Podniósł z ziemi jakiś kij i zaczął nim rozgarniać rozżarzone węgielki, aż wreszcie rzucił kij na dogasające ognisko. Suchy kij natychmiast zajął się płomieniem, który rozjaśnił okolicę.

- Gdybyś wiedział, co planujemy, zrobiłbyś to za darmo. Oferuję ci nagrodę naukową stulecia.

McFarlane parsknął śmiechem i pokręcił głową.

- Skończyłem przygodę z tak zwaną nauką - odparł. - Na całe życie mam już dość zakurzonych laboratoriów i biurokratów z muzeów.

Lloyd westchnął i powstał.

- Cóż, wygląda na to, że straciłem tylko czas. Chyba musimy zastosować wariant numer dwa.

McFarlane znieruchomiał.

- A co to za wariant?

- Hugo Breitling z wielką radością weźmie udział w moim projekcie.

- Breitling? Przecież on nie potrafiłby znaleźć meteorytu, nawet gdyby ten uderzył go w dupę!

- A jednak znalazł meteoryt z Tuły - odparł Lloyd, otrzepując piasek z nogawek spodni. Popatrzył na McFarlane'a z ukosa. - Największy spośród dotychczas znalezionych.

- Ale to wszystko! Na nic więcej nigdy już nie natrafił. A i z tym meteorytem to był tylko czysty przypadek, łut szczęścia.

- Fakty są takie, że przy realizacji najnowszego projektu będę potrzebował mnóstwo szczęścia. - Lloyd zakręcił termos i rzucił go pod nogi McFarlane'a. - Baw się dobrze. Na mnie już czas.

Poszedł w kierunku helikoptera. McFarlane patrzył, jak zaczynają się obracać jego wielkie rotory, rozcinając powietrze i wznosząc nad ziemię gęste tumany piasku. Nagle zrozumiał, że jeśli helikopter teraz odleci, być może już nigdy nie zdoła się dowiedzieć, w jaki sposób zginął Masangkay i na czym polegały jego ostatnie poszukiwania. Z trudem przyznawał, że jednak go to interesuje. Rozejrzał się szybko dookoła. Popatrzył na leżące na piasku porozrzucane wykrywacze metalu, na małe, marne obozowisko, na rozpościerającą się aż po linię horyzontu suchą ziemię, jeśli nie wrogą, to przynajmniej obojętną, niczego nie obiecującą.

Lloyd przystanął przed schodkami helikoptera.

- Zrobię to za równy milion! - zawołał McFarlane w kierunku jego szerokich pleców.

Ostrożnie, żeby nie strącić kapelusza, Lloyd pochylił głowę i zaczął wsiadać do helikoptera.

- Niech będzie siedemset pięćdziesiąt tysięcy! - krzyknął McFarlane.

Po chwili, która zdawała się trwać wieczność, Palmer Lloyd powoli odwrócił się w stronę McFarlane'a. Na jego twarzy widniał szeroki uśmiech.

DOLINA RZEKI HUDSON

3 czerwca, godz. 10.45

Palmer Lloyd uwielbiał różne rzadkie i cenne rzeczy, a jednym z przedmiotów, które kochał najbardziej, był obraz Thomasa Cole'a, *Słoneczny poranek nad rzeką Hudson*. Dawno temu, jako utrzymujący się z niewielkiego stypendium student, często chodził w Bostonie do Muzeum Sztuk Pięknych. Znalazłszy się w środku, szybko przemierzał sale muzeum z oczyma wbitymi w parkiet, żeby sobie nie zanieczyszczać wyobraźni. Dopiero gdy stał przed tym wspaniałym obrazem, unosił wzrok.

Lloyd zawsze starał się posiadać rzeczy, które kochał, jednak obrazu Thomasa Cole'a nie był w stanie nabyć za żadną cenę. Zamiast niego kupił więc kolejną rzecz ze swej listy

najwspanialszych rzeczy. Tego słonecznego poranka siedział w swoim gabinecie w domu zbudowanym na szczycie wysokiego zbocza doliny Hudsonu i patrzył przez okno, za którym rozpościerał się dokładnie ten sam widok, który Cole uwiecznił na swoim obrazie. Na horyzoncie skrzyły się smugi światła. Pola, widoczne pod rzednącą mgłą, zdawały się niezwykle zielone i świeże. Zbocza gór, zza których miało wkrótce wyłonić się słońce, jakby błyszczały. Od tego dnia w 1827 roku, kiedy Cole namalował obraz, w dolinie zmieniło się bardzo niewiele, a Lloyd pilnował, zakupiwszy większość terenu, który teraz obejmował wzrokiem, żeby żadne zmiany nie następowały.

Okręcił się na krześle i ponad wielkim biurkiem z drewna klonowego popatrzył w okno po przeciwnej stronie. Tutaj wzgórze stromo opadało, sprawiając wrażenie, że ziemia gwałtownie osuwa się spod murów budynku, w którym znajdował się Lloyd, budynku lśniącego jaskrawą mozaiką kolorowego szkła i stali. Złączywszy dłonie za głową, Lloyd z satysfakcją kontemlował rozpościerający się przed nim widok. Na przeciwległym zboczu doliny w pocie czoła pracowali już robotnicy, jego robotnicy, których zadaniem było tylko i wyłącznie spełnienie jego wizji, wizji nieporównywalnej na tym świecie do niczego innego.

- Przecież to jest niemal cud - mruknął sam do siebie, wypuszczając powietrze z płuc.

W samym centrum prac skrzyła się w porannym słońcu oświetlającym Catskill potężna jaskrawozielona kopuła, znacznie większa od oryginału replika londyńskiego Crystal Palace, pierwszej budowli na świecie wykonanej całkowicie ze szkła. W 1851 roku Crystal Palace uważany był za najpiękniejszy budynek na planecie, jednak zburzono go podczas drugiej wojny światowej, ponieważ bijący od niego blask działał jak przewodnik naprowadzający nad Londyn nazistowskie bombowce.

Pod wielką kopułą Lloyd mógł dostrzec ułożone już pierwsze bloki piramidy Chefreta II, małej piramidy z okresu Starego Królestwa. Z lekkim żalem uśmiechnął się na wspomnienie swojej podróży do Egiptu, bizantyjskich interesów, jakie z konieczności robił z przedstawicielami tamtejszego rządu, wrzawy w Keystone Kops wokół walizki ze złotem, której nikt nie był w stanie podnieść, i wielu innych uciążliwych, nieprzewidywalnych zdarzeń i sytuacji. W efekcie piramida, którą zaczął tu stawiać, kosztowała go więcej, niżby sobie tego życzył. Nie była też dokładnie taka, jaką kazał zbudować dla siebie Cheops, ale mimo wszystko robiła wrażenie.

Myśli o piramidzie przypomniały mu o wściekłości, jaką jej zakup wywołał w świecie archeologów. Podniósł wzrok na ścianę, na której umieścił w ramach artykuły z gazet i kolorowe okładki magazynów. *Gdzie się podziały zabytki naszej kultury?* - grzmiał tytuł jednego z nich, ilustrowanego groteskową karykaturą Lloyda, z rozbieganym wzrokiem, w

pomiętym kapeluszu na głowie, wsuwającego pod czarny płaszcz miniaturową piramidę. Przebiegł wzrokiem po kolejnym dużym tytule: *Hitler kolekcjonerów?* Na ścianie rozwieszonych było jeszcze wiele gazet i magazynów potępiających jego ostatni zakup. *Paleontolodzy oburzeni transakcją.* Wreszcie dotarł do okładki „Newsweeka”: *Co zrobiłbyś z trzydziestoma miliardami? Odpowiedź: kupiłbym Ziemię.* Właściwie cała ściana zakryta była drukowanymi sprzeciwami niechętnych i wrogich mu ludzi, samozwańczych strażników moralności w kulturze. Lloyd znajdował w nich nieskończone źródło radości i zadowolenia z siebie.

Mała konsola na biurku cicho zabrzęczała i niemal natychmiast usłyszał słowa sekretarki:

- Przyszedł pan Glinn, proszę pana.

- Wprowadź go.

Lloyd nawet nie próbował ukryć ekscytacji w głosie. Nigdy wcześniej nie spotkał się z Elim Glinnem, a sprowadzenie go tutaj okazało się zaskakująco trudnym przedsięwzięciem.

Uważnie popatrzył na mężczyznę, który wszedł do jego gabinetu. Nie miał przy sobie nawet małej aktówki, a jego opalona twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. W czasie swej długiej i owocnej kariery w biznesie Lloyd doszedł do wniosku, że pierwszy osąd człowieka, jeśli zostanie przeprowadzony na podstawie uważnej obserwacji, bywa zaskakująco trafny. Dlatego teraz z wielkim zaciekawieniem patrzył na brązowe włosy, kwadratową szczękę i cienkie usta przybysza. Mężczyzna sprawiał wrażenie równie nieprzeniknionego jak Sfinks. Nie było w nim nic szczególnego, nic, co pod jakimkolwiek względem mogłoby cokolwiek o nim powiedzieć. Nawet jego szare oczy tkwiły jakby za jakimś welonem, ostrożne i nieruchome. Mężczyzna był po prostu zwyczajny: przeciętnej wagi, przeciętnego wzrostu, postawny, lecz nie przystojny, ubrany dobrze, ale nie elegancko. Niezwykły, pomyślał Lloyd, był tylko jego sposób poruszania się. Buty nie wydawały w zetknięciu z podłogą żadnego dźwięku, ubranie nie szeleściło, a kończyny poruszały się swobodnie i lekko. Kilka kroków w kierunku Lloyda przeszedł tak zgrabnie jak jeleń przez gęsty las.

Oczywiście, niezwykła była przeszłość mężczyzny.

- Panie Glinn. - Lloyd wyszedł mu naprzeciw i podał mu rękę. - Dziękuję, że pan do mnie przyjechał.

Glinn jedynie skinął głową, potrząsnął podaną mu ręką, przytrzymując ją w ani nie za długim, ani nie za krótkim uścisku, który z kolei nie był ani zbyt silny, ani zbyt słaby. Lloyd poczuł się lekko skonsternowany. Miał poważne kłopoty z ukształtowaniem w myślach tak

ważnego, pierwszego wrażenia o swoim gościu. Wykonał szeroki ruch ręką, wskazując na okno i na wyrastające za nim bryły niedokończonych budynków.

- A więc? Co pan sądzi o moim muzeum?

- Duże - odparł Glinn bez uśmiechu. Lloyd roześmiał się.

- Wśród muzeów historii naturalnej jest olbrzymem. A raczej będzie nim wkrótce, bogate i wielkie.

- To interesujące, że postanowił pan wznieść je tutaj, sto mil od miasta.

- To zasługa mojej niepokromionej pychy. Lecz właściwie to robię przysługę nowojorskiemu Muzeum Historii Naturalnej. Gdybym wybudował moje muzeum w pobliżu, tamto w ciągu miesiąca wypadłoby z gry. Stałoby się jedynie celem jakichś marnych szkolnych wycieczek, skoro niedaleko stałoby moje muzeum, dysponujące właściwie wszystkim, co najlepsze. - Lloyd zachichotał. - No, ale czeka już na nas McFarlane. To on oprowadzi pana po moich włościach.

- Sam McFarlane?

- Jest moim ekspertem od meteorytów. Ale właściwie to on jest mój tylko w połowie, jednak wciąż nad nim pracuję. I to od całkiem niedawna.

Lloyd położył dłoń na łokciu Glinna, chcąc dotknąć materiału jego garnituru, dobrze uszytego, lecz nie zdradzającego żadnej poważnej marki; materiał okazał się lepszy, niż sądził. Poprowadził gościa przez sekretariat ku schodom z granitu i polerowanego marmuru, a następnie szerokim korytarzem w kierunku Crystal Palace. Z każdą chwilą wzrastał hałas i wkrótce odgłosy ich kroków zostały zagłuszone przez krzyki, nawoływania, strzały z pistoletów do wbijania gwoździ i wycie wiertarek udarowych.

Kiedy szli, Lloyd z niemal zupełnie nieskrywanym entuzjazmem wskazywał na co ciekawsze widoki.

- Niech pan popatrzy, to jest przedsionek diamentowy - mówił do Glinna, pokazując ręką wejście do wielkiej podziemnej sali, oświetlonej fioletowymi żarówkami. - Odkryliśmy, że w zbczu znajdują się jakieś jamy, korytarze wydrążone bardzo dawno temu, zaczęliśmy więc je pogłębiać i natrafiliśmy na tę wielką komnatę. To będzie jedyna sala muzealna na świecie - oczywiście, mam na myśli tylko poważne muzea - poświęcona wyłącznie diamentom. No, ale skoro mamy w kolekcji trzy największe okazy, jakie w ogóle istnieją, wydaje się to całkiem na miejscu. Chyba pan słyszał, jak zdobyliśmy Błękitnego Mandaryna od De Beersa? Sprzątnęliśmy go wprost sprzed nosa Japończykom. - Lloyd zarechotał szyderczo na wspomnienie tej sytuacji.

- Czytałem o tym w gazetach - odparł Glinn sztywno.

- A tutaj - kontynuował Lloyd coraz bardziej ożywiony - znajdzie miejsce Galeria Wygasłego Życia. Będzie tu można zobaczyć ptaka dodo z Galapagos, a nawet mamuta z lodu syberyjskiego, doskonale zamrożonego. W jego paszczy znaleziono zmiażdżone szczękami jaskry, wspomnienie po ostatnim posiłku.

- O mamucie także czytałem - powiedział Glinn. - Czy ten nabytek nie spowodował na Syberii jakichś waśni, strzelaniny?

Mimo uszczypliwości tkwiącej w pytaniu ton Glinna był łagodny, spokojny, nie zawierał najmniejszego śladu potępienia, dlatego Lloyd równie spokojnie odrzekł:

- Byłby pan zdziwiony, panie Glinn, jak łatwo i szybko niektóre kraje pozbywają się swojego tak zwanego dziedzictwa kulturowego, kiedy w grę wchodzi duże sumy pieniędzy. Zaraz panu pokażę, co mam na myśli.

Przepuścił gościa przodem, pod niedokończonym łukowym sklepieniem, przy którym pracowali dwaj mężczyźni w kaskach. Po chwili znaleźli się w wielkiej, ciemnej hali, szerokiej i długiej mniej więcej na sto jardów. Lloyd zatrzymał się, włączył światła, po czym z uśmiechem na ustach odwrócił się do gościa.

Przed nimi rozpościerała się twarda powierzchnia, wyglądająca jak zamrożone błoto. Powierzchnię tę przecinały odciski dwóch par stóp. W pierwszej chwili można było odnieść wrażenie, że to ludzie przeszli przez salę, kiedy cement na posadzce jeszcze nie wyschł.

- Odciski stóp Lateoli - powiedział Lloyd z czią w głosie. Glinn milczał.

- Najstarsze odciski stóp istot człękoksztalnych, na jakie kiedykolwiek natrafiono. Niech pan tylko o tym pomyśli: odciski te pozostawili trzy i pół miliona lat temu nasi pierwsi dwunożni przodkowie, idąc po warstwie nie zastygłego jeszcze popiołu wulkanicznego. Bezcenne odkrycie, prawda? Nikt nie wiedział, że *Australopithecus afarensis* poruszał się w pozycji pionowej, dopóki nie natrafiono na te odciski. Są one najwcześniejszymi świadectwami powstania ludzkości, panie Glinn.

- Instytut Getty'ego zapewne interesował się tym pana nabytkiem - zauważył Glinn.

Lloyd popatrzył na swojego towarzysza znacznie uważniej. Naprawdę trudno było odgadnąć jego myśli.

- Widzę, że odrobił pan zadanie domowe. Ludzie od Getty'ego chcieli pozostawić te odciski nienaruszone, na miejscu. Ale jak pan myśli, jak długo by jeszcze przetrwały w takim kraju jak Tanzania, bo tam właśnie zostały odkryte? - Lloyd potrząsnął głową. - Getty gotów był zapłacić milion dolarów, żeby nic nie ruszano, a ja zapłaciłem dwadzieścia milionów za przywiezienie ich tutaj, w miejsce, gdzie będą je mogli oglądać studenci, uczeni i niezliczeni widzowie. Glinn uważnie przyjrzał się rekonstrukcji.

- Skoro już mówimy o uczonych, gdzie są pańscy naukowcy? Widziałem dzisiaj mnóstwo niebieskich kołnierzyków, a prawie w ogóle nie widziałem białych fartuchów.

Lloyd machnął ręką.

- Korzystam z ich usług jedynie sporadycznie. W gruncie rzeczy sam doskonale wiem, co powinienem kupować. Ale kiedy nadejdzie właściwy czas, będę miał tutaj najlepszych ludzi nauki. Przejadę się po kraju i złowię ich jak na wędkę.

Poruszając się już trochę energiczniej, Lloyd wyprowadził swojego gościa z sali i poprowadził go płataniną korytarzy, które wiodły w głąb Crystal Palace. Na końcu jednego z nich zatrzymali się przed drzwiami oznaczonymi napisem: SALA KONFERENCYJNA. Stał już przy nich Sam McFarlane, w każdym calu wyglądający jak typowy wędrowiec i poszukiwacz przygód. Był szczupły, nieogolony i niestarannie ubrany, a jego niebieskie oczy sprawiały wrażenie wyblakłych od promieni słonecznych. Miał spalone słońcem włosy o kolorze słomy, a na czole wyraźną pręgę, odcisniętą od ciężkiego kapelusza. Zaledwie spojrzawszy na niego, Lloyd mógł sobie doskonale wyobrazić, dlaczego mężczyzna nigdy na dobre nie zadomowił się w środowisku akademickim. Wydawał się zupełnie nie na miejscu w świecie świateł fluorescencyjnych i sterylnie czystych laboratoriów. Lloyd z satysfakcją zauważył, że McFarlane sprawia wrażenie zmęczonego. Bez wątplenia w ciągu ostatnich dwóch dni spał bardzo niewiele.

Sięgnąwszy ręką do kieszeni, Lloyd wyciągnął klucz i otworzył drzwi. To, co znajdowało się za nimi, zawsze wywoływało szok u gości, którzy zjawiali się tutaj po raz pierwszy. Za trzema przeszklonymi ścianami sali konferencyjnej rozpościerał się widok na wspaniałe wejście do muzeum, wielki ośmiokątny plac przed Crystal Palace, obecnie zupełnie pusty. Lloyd zerknął na Glinna, chcąc zobaczyć, jak gość na to zareaguje. Mężczyzna był jednak równie nieprzenikniony jak na początku ich spotkania.

Od miesięcy Lloyd zadreślał się pytaniem, jaki eksponat powinien ustawić na środku ośmiokątnego placu przed wejściem. Trwało to aż do dnia, w którym odbyła się aukcja w Christie's. Wtedy uznał, że największą atrakcją w tym miejscu okażą się walczące dinozaury. Z ich popękanych kości niemal promieniował skrajny wysiłek, desperacja i wreszcie agonia, poprzedzająca nieuchronną śmierć.

W pewnej chwili jego oczy spoczęły na biurku zarzuconym kartkami papieru, wydrukami i fotografiami wykonanymi z lotu ptaka. W tym samym momencie zapomniał o dinozaurach. Co innego będzie przecież najwspanialszym eksponatem w Muzeum Lloyd'a, w jego muzeum. Moment wyeksponowania tego obiektu w samym centrum Crystal Palace będzie najwspanialszą chwilą w jego życiu.

- Przedstawiam panu doktora Sama McFarlane'a - powiedział. Oderwał wzrok od biurka i popatrzył na Glinna. - W najbliższym czasie muzeum będzie korzystało właśnie z jego wiedzy i doświadczenia.

McFarlane potrząsnął ręką Glinna.

- Jeszcze w ubiegłym tygodniu Sam błędził po pustyni Kalahari, szukając meteorytu Okavango. Marna sprawa, przecież stworzony jest do znacznie większych rzeczy. Zapewne zgodzi się pan, że znaleźliśmy dla niego o wiele ciekawsze zajęcie. - Wskazał ręką na Glinna.
- Sam, poznaj pana Eliego Glinna, prezesa Effective Engineering Solutions. Niech ta enigmatyczna nazwa cię nie zwiedzie, EES jest uznaną firmą. Pan Glinn specjalizuje się w takich sprawach, jak podnoszenie z dna mórz nazistowskich łodzi podwodnych pełnych złota albo badania nad przyczynami wybuchów na wahadłowcach kosmicznych. Rozwiązuje najbardziej zawile problemy techniczne i analizuje przyczyny awarii skomplikowanych urządzeń.

- Interesujące zajęcie - stwierdził McFarlane. Lloyd pokiwał głową.

- Zazwyczaj EES wkracza na scenę po zaistnieniu konkretnego faktu, czyli kiedy coś się spierdoli. - Niespodziewana wulgarność Lloyda sprawiła, że pozostali dwaj mężczyźni zastygli w bezruchu, całkowicie zaskoczeni. Ale chyba właśnie to było jego celem. - Teraz jednak zamierzam zatrudnić tę firmę, aby sobie zagwarantować, że pewna bardzo ważna sprawa nie zostanie spierdolona. Omówieniu tego przedsięwzięcia służy, panowie, nasze dzisiejsze spotkanie. - Gestem wskazał na stół konferencyjny. - Sam, chcę, żebyś powiedział panu Glinnowi, czego się dowiedziałeś w ciągu ostatnich kilku dni.

- Teraz mam o tym mówić? - zapytał McFarlane. Zdawał się bardzo nerwowy.

- A kiedyżby indziej?

McFarlane popatrzył na stół, jeszcze chwilę się wahał, po czym przemówił:

- Mamy tutaj dane geofizyczne na temat pewnego niezwykle miejsca na jednej z należących do Chile wysp, położonych w okolicach przyłądka Horn.

Glinn skinął głową, zachęcając go, żeby kontynuował.

- Pan Lloyd poprosił mnie, żebym je przeanalizował. A więc, po pierwsze, te dane wydają się... niewiarygodne. Chociażby ten wydruk tomograficzny. - Wziął do ręki właściwy papier, popatrzył na niego i z powrotem opuścił na stół. W milczeniu zaczął się przypatrywać pozostałym dokumentom.

Lloyd odchrząknął. Sam McFarlane był tym wszystkim ciągle trochę wstrząśnięty; potrzebował pomocy. Dlatego Lloyd zwrócił się do Glinna:

- Może lepiej będzie, jeśli to ja pokrótce zaprezentuję panu całą historię. Jeden z naszych wywiadowców natknął się w Punta Arenas, w Chile, na pewnego handlarza sprzętem elektronicznym. Handlarz ten próbował sprzedać porzuciły elektromagnetyczny tomograf dźwiękowy. Jest to urządzenie, które stosuje się przy poszukiwaniach różnych podziemnych złóż i produkowane jest tutaj, w Stanach, przez DeWitter Industries. Zostało znalezione, razem z workiem pełnym próbek skał i jakimiś notatkami, przy szczątkach jakiegoś poszukiwacza na jednej z zapomnianych wysp niedaleko przylądka Horn. Mój człowiek z miejsca wszystko to kupił. Kiedy uważniej przyjrzał się papierom, a przynajmniej tym ich fragmentom, które zdołał zrozumieć, stwierdził, że należały do mężczyzny o nazwisku Nestor Masangkay. - Wzrok Lloyda powędrował w kierunku stołu konferencyjnego. - Zanim śmierć go dopadła na wyspie, Masangkay był geologiem planetarnym. A dokładniej mówiąc, łowcą meteorytów. I dodajmy, że jeszcze mniej więcej dwa lata temu był też partnerem obecnego tutaj Sama McFarlane'a. - Zobaczył, że McFarlane jakby zeszywniał. - Kiedy wywiadowca pojął to wszystko, czym prędzej przysłał swoje zdobycze tutaj do analizy. W tomografie znajdowała się dyskietka, zniekształcona, niemal wtopiona w napęd. Jeden z naszych techników zdołał jednak odzyskać zapisane na niej informacje. Kolejni moi ludzie długo je analizowali, ale nie byli w stanie niczego z nich zrozumieć. Oto, dlaczego wynajęliśmy Sama.

McFarlane zaczął przewracać kartki wydruku.

- Początkowo przypuszczałem, że Nestor nie skalibrował swojego urządzenia - powiedział. - Ale kiedy przejrzałem wszystko... - Znowu odłożył wydruk na stół, po czym powoli, jakby z nabożeństwem, przesunął dwie wyświechtane kartki w kierunku Glinna. Wziął do ręki kolejne.

- Nie wysłaliśmy tam żadnej ekspedycji - kontynuował z kolei Lloyd, kierując swe słowa do Glinna - ponieważ w żadnym wypadku nie chcieliśmy wzbudzać niczyjej uwagi. Ale zamówiliśmy komplet zdjęć satelitarnych wyspy, na której znaleziono zwłoki Masangkaya. To, co trzyma teraz w ręce Sam, to komplet fotografii wyspy, wykonanych przez satelitę LOG II, Low Orbit Geosurvey.

McFarlane ostrożnie odłożył fotografie na stół.

- Muszę powiedzieć, że musiałem mocno samego siebie przekonywać, aby uwierzyć w to, co na nich zobaczyłem - rzekł w końcu. - Oglądałem je dziesiątki razy, wmawiając sobie, że mimo wszystko jednak błędę. Ale nic z tego, faktom nie można przeczyć. Te zdjęcia mogą oznaczać tylko jedno.

- Tak? - zapytał wreszcie Glinn. Jego głos był niski i spokojny, zachęcał McFarlane'a, żeby kontynuował swoje wywody, ale nie zdradzał ani śladu gorączkowego zainteresowania.

- Chyba wiem, na co natrafił Nestor.

Lloyd czekał w milczeniu. Wiedział, co powie za chwilę McFarlane, lecz chciał usłyszeć to z jego ust jeszcze raz.

- Mamy do czynienia z największym meteorytem na świecie. Na ustach Lloyda pojawił się szeroki uśmiech.

- Powiedz panu Glinnowi, Sam, jak wielki to meteoryt. McFarlane odchrząknął.

- Największy meteoryt, jaki do tej pory znaleziono na naszej planecie, nazywa się Ahnighito i znajduje się w Muzeum Nowojorskim. Waży sześćdziesiąt jeden ton. Ten, z którym mamy do czynienia w tym przypadku, waży przynajmniej cztery tysiące ton. Z pewnością ani trochę mniej.

- Dziękuję - powiedział Lloyd rozradowany. Jego twarz promieniała. Znowu popatrzył na Glinna, jednak oblicze tego ostatniego nie zdradzało żadnych uczuć.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Lloyd odezwał się znowu, chrapliwym głosem, który zdradzał targające nim emocje:

- Chcę dostać ten meteoryt. I pan, panie Glinn, ma mi to zapewnić.

NOWY JORK

4 czerwca godz. 11.45

Land-rover sunął płynnie West Street. Zapadające się nabrzeża rzeki Hudson lśniły po stronie foteli pasażerów światłami cumujących jednostek, a niebo nad Jersey miało w słabym blasku księżycy kolor mętnej sepii. McFarlane nacisnął gwałtownie na hamulec, unikając zderzenia z taksówką, której kierowca, ujrawszy klienta, beztrąsko przeciął trzy pasy ruchu i zatrzymał się przy krawężniku. McFarlane funkcjonował odruchowo, niemal jak automat. Jego myśli koncentrowały się na czymś bardzo odległym.

Przypominał sobie popołudnie, kiedy na Ziemię spadł meteoryt Zaragoza. Właśnie ukończył szkołę średnią, nie miał pracy ani jakichkolwiek planów jej podjęcia i podróżował autostopem przez pustynie Meksyku z którąś z książek Carlosa Castanedy w tylnej kieszeni spodni. Słońce znajdowało się już bardzo nisko nad horyzontem i zaczynał się właśnie zastanawiać, gdzie najlepiej będzie rozłożyć śpiwór. Nagle horyzont dookoła zaśnił jasnym blaskiem, tak jakby słońce niespodziewanie wyłoniło się zza ciemnych chmur. Lecz przecież na niebie przez cały dzień nie było ani jednej chmury. McFarlane zamarł w bezruchu. Na piasku tuż przed nim pojawił się jego drugi cień. Początkowo długi i rozmazany, wkrótce zaczął przybierać wyraźne kształty. Usłyszał jakby jakiś śpiew, a po chwili huk potężnej eksplozji. Padł na ziemię, zastanawiając się, z czym ma do czynienia: z trzęsieniem ziemi, wybuchem atomowym, a może z końcem świata? Z nieba zaczął spadać dookoła niego jakby

deszcz, tylko że to nie był prawdziwy deszcz, lecz tysiące odłamków skał i kamieni uderzających w ziemię. Wziął do ręki jeden z takich odłamków, mały niepozorny kamyczek pokryty czarną powłoką. Mimo długiego lotu przez atmosferę ziemską wciąż miał w sobie chłód kosmosu i był cały oszroniony.

Patrząc na coś, co przyleciało z kosmosu, McFarlane zdał sobie sprawę, czemu powinien poświęcić swoje życie.

Ale to wydarzyło się wiele lat temu. Teraz starał się myśleć o czasach, kiedy był niepoprawnym idealistą, możliwie jak najmniej. Jego wzrok powędrował ku zamkniętej na kluczyk walizeczce leżącej na siedzeniu pasażera, zawierającej podniszczony dziennik Masangkaya. O nim także starał się jak najmniej myśleć.

Światło nad przejściem zmieniło się na zielone i McFarlane skręcił w wąską jednokierunkową ulicę. Znajdował się w niewielkim kwartale, gdzie głównie pakowano mięso ze statków przed wysyłką do sklepów, kwartale ulic przycupniętym niepozornie na samym skraju West Village. Stare magazyny jakby ziewały szeroko otwartymi wrotami ramp, przed którymi uwijali się krzepy mężczyźni, to ładujący, to rozładowujący surowe mięso z ciężarówek. Przy końcu ulicy, jakby korzystając z bliskości źródeł zaopatrzenia, tłoczyły się jedna przy drugiej podłe restauracje o nazwach takich jak „The Hog Pit” czy „Uncle Billy’s Backyard”. Zabudowania w tej okolicy były całkowitym przeciwieństwem zbudowanego ze szkła i chromowanej stali budynku przy Park Avenue, mieszczącego centralę Lloyd Holdings, skąd McFarlane właśnie przybywał. Cóż, było to doskonale miejsce dla firm, babrzących się w świńskich bebechach, pomyślał, ponownie sprawdzając adres na kartce, którą położył na tablicy rozdzielczej.

Zwolnił i wreszcie zatrzymał land-rovera naprzeciwko najbardziej obskurnej rampy załadunkowej. Wyłączywszy silnik, wyszedł z klimatyzowanego samochodu. Natychmiast otuliło go ciepłe i wilgotne powietrze, w którym unosił się wszechogarniający zapach surowego mięsa. Rozejrzał się dookoła. W połowie ulicy zobaczył śmieciarkę, ociążale wlokącą się z ładunkiem. Nawet z oddali widział jakiś gęsty zielony płyn, wylewający się z niej na tylny zderzak. Śmierdziała w sposób właściwy wszystkim nowojorskim śmieciarkom. Człowiek, który poczuł go chociaż jeden raz w życiu, później już nigdy go nie zapominał.

Głęboko westchnął. Spotkanie jeszcze się przecież nie zaczęło, a on już był spięty, nastawiony defensywnie wobec całego świata. Zastanawiał się, co Lloyd opowiedział Glinnowi o nim i o Masangkayu. Właściwie nie miało to znaczenia: jeżeli czegokolwiek jeszcze o nim nie wiedzieli, i tak wkrótce się dowiedzą. Plotki pędzą zdecydowanie szybciej niż meteory.

Z tylnej części land-rovera wyciągnął ciężką teczkę, po czym starannie zamknął drzwi kluczykiem. Przed nim wyrastała z ziemi ponura ceglana fasada ciężkiego findesieciowego budynku. Przesunął wzrokiem po jego dziesięciu piętrach, aż wreszcie natrafił na wyblakły szyld PRICE & PRICE PORK PACKING INC. Mimo że okna na niższych piętrach były zamurowane, na tych wyższych dostrzegł lśniąca nowością framugi i czyste szyby.

Jedynе wejście do budynku zdawało się prowadzić przez stalowe drzwi rampy załadunkowej. McFarlane nacisnął dzwonek umieszczony na murze obok nich i czekał. Po kilku sekundach usłyszał ciche kliknięcie i drzwi rozstały się, poruszając się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach.

Przestąpił przez próg i znalazł się w słabo oświetlonym korytarzu, zakończonym kolejną parą stalowych drzwi, o wiele nowszych niż poprzednie. Na framudze znajdowała się klawiatura do wprowadzania zaszyfrowanych kodów i terminal do skanowania siatkówki oczu osób pragnących przekroczyć próg. Kiedy McFarlane stanął pod drzwiami, te otworzyły się i w jego kierunku wyskoczył niski, czarnowłosy, dobrze zbudowany mężczyzna, ubrany w ciemny dres z emblematem Massachusetts Institute of Technology. Miał brązowe, inteligentne oczy, a na twarzy przyjemny uśmiech.

- Doktor McFarlane? - zapytał przyjaźnie, wyciągając owłosioną dłoń. - Jestem Manuel Garza, konstruktor EES. - Uścisk jego dłoni był zadziwiająco łagodny.

- Czy to jest siedziba firmy? - zapytał McFarlane, uśmiechając się krzywo.

- Ceniemy sobie anonimowość.

- Cóż, nie musicie przynajmniej daleko chodzić na steki. Garza roześmiał się szorstko.

- Rzeczywiście, jest to pewne udogodnienie. Oby tylko nie korzystać z niego zbyt często.

McFarlane ruszył za nim przez otwarte drzwi. Znalazł się w olbrzymim pomieszczeniu, jasno oświetlonym lampami halogenowymi. W długich rzędach stały tu niezliczone stalowe stoły. Leżały na nich najróżniejsze przedmioty i materiały oznaczone przywieszkami: kopce z piasku, skały, silniki odrzutowe, porozbierane na drobne części, i wreszcie kawałki metali, których pochodzenia i przeznaczenia nie sposób było określić. Po całym pomieszczeniu bezszelestnie krążyli technicy w białych fartuchach laboratoryjnych. Jeden z nich wyminął McFarlane'a, trzymając w dłoniach osłoniętych białymi rękawiczkami niczym w kołysce kawałek asfaltu, i to w taki sposób, jakby prznosił co najmniej bardzo cenną chińską porcelanę.

Garza, dostrzegłszy zainteresowanie McFarlane'a, który uważnie rozglądał się dookoła, zerknął na zegarek i rzekł:

- Mamy jeszcze kilka minut. Chce się pan tu rozejrzeć?

- Czemu nie? Zawsze lubiłem pętać się po składnicach złomu.

Garza ruszył wzdłuż stołów, co jakiś czas skinieniem głowy pozdrawiając jakiegoś technika. Wreszcie zatrzymał się przy niezwykle długim blacie, na którym leżały jakby powykręcane fragmenty czarnych skał.

- Poznaje pan to?

- Pahoehoe. Piękny okaz lawy wulkanicznej. Bomby wulkaniczne. Zamierzacie zbudować tutaj wulkan?

- Nie - odparł Garza. - Po prostu jeden wulkan rozwaliliśmy.

Ruchem głowy wskazał na ustawiony na skraju stołu model wyspy wulkanicznej. Znajdowało się na niej miasto, kaniony, lasy i góry. Sięgnął ręką pod blat i nacisnął jakiś przycisk. Niespodziewanie wyspa zdrząła, rozległ się dziwny niski szum i sztuczny wulkan zaczął pluć lawą, która zaraz popłynęła po zboczach górskich w kierunku miasta.

- Lawę wykonaliśmy ze specjalnego gatunku celulozy.

- To jest znacznie ciekawsze niż moja domowa kolejka elektryczna - zauważył McFarlane.

- Pewien rząd jednego z krajów Trzeciego Świata zwrócił się do nas o pomoc. Otóż na którejś z wysp w tym państwie uaktywnił się śpiący dotąd wulkan. W jego czaszy zaczęła gromadzić się płynna lava, która nieodwołalnie musiała przelać się przez jej brzegi i spłynąć na sześćdziesięciotysięczne miasto. Naszym zadaniem było ocalenie tego miasta.

- Zabawne, ale nigdy o tym nie słyszałem.

- To wcale nie było zabawne. Rząd nie miał najmniejszej ochoty ewakuować miasta. Chodziło o morski raj bankowy. Banki obracały głównie pieniędzmi, które pochodziły z handlu narkotykami.

- Może więc miasto powinno było jednak spłonąć, jak Sodom i Gomora?

- Jesteśmy inżynierami, a nie bogami. Nie interesuje nas moralność wypłacalnych klientów.

McFarlane roześmiał się. Czuł, że się trochę rozluźnia.

- W jaki sposób powstrzymaliście więc ten wulkan?

- Zablokowaliśmy te dwie doliny, o, tutaj są widoczne, osuwiskami. Następnie zrobiliśmy w wulkanie dziurę, korzystając z mocnego materiału wybuchowego, i spowodowaliśmy, że lava popłynęła taką drogą, jaką sobie zażyczyliśmy. W całej akcji zużyliśmy znaczącą ilość semteksu, spory procent rocznego zapasu, jaki świat zużywa w celach niewojсковych. Lava spłynęła do morza, tworząc dla naszego klienta niemal tysiąc

akrów nowego terytorium. Oczywiście, miało to znaczący wpływ na wysokość naszego honorarium, chociaż, biorąc pod uwagę doskonale efekty, jakie osiągnęliśmy, wcale nie jesteśmy nim usatysfakcjonowani.

Garza postąpił parę kroków do przodu. Obaj minęli kilka stołów zarzuconych fragmentami jakiegoś kadłuba i popalony mi urządzeniami elektronicznymi.

- Katastrofa samolotu odrzutowego - wyjaśnił Garza. - Bomba podłożona przez jakiegoś terrorystę. - Zbył temat niedbałym machnięciem ręki.

Dotarłszy do końca pomieszczenia, Garza otworzył wąskie białe drzwi i poprowadził McFarlane'a płataniną sterylnie czystych korytarzy. McFarlane słyszał cichy szum oczyszczaczy powietrza, pobrzękiwanie czyichś kluczy i regularne dudnienie, dobiegające spod podłogi.

Wkrótce Garza otworzył kolejne drzwi i McFarlane jak wryty stanął na progu, kompletnie zaskoczony. Rozpościerało się przed nim ogromne pomieszczenie, wysokie przynajmniej na sześć pięter i sięgające co najmniej dwieście stóp w dół. Pod jego ścianami wyrastał dosłownie las sprzętu i urządzeń technicznych najnowszej generacji. Dostrzegł całe rzędy kamer cyfrowych, kable piątej generacji i wielkie „zielone ekrany” do kreowania najbardziej wymyślnych efektów wizualnych. Wzdłuż jednej ze ścian stało z pół tuzina kabrioletów marki Lincoln z lat sześćdziesiątych, długich i masywnych. W każdym samochodzie zasiadały po cztery manekiny, dwa z przodu i dwa z tyłu.

Środek tej wielkiej przestrzeni zajmował model skrzyżowania ulic w dużym mieście, wyposażony nawet w funkcjonujące światła kierujące ruchem. Wzdłuż ulic ustawiono fasady budynków o różnej wysokości. Pośrodku wyasfaltowanej drogi biegł rów z systemem napędzania pojazdów doświadczalnych. Podłączony był do niego kolejny lincoln. Także w nim zasiadały cztery manekiny. Lekko pofałdowane pobocza ulicy porastał zielony trawnik. Na samym jej końcu znajdowała się kładka dla pieszych, na której stał Eli Glinn z megafonem w ręce.

McFarlane postąpił w ślad za Garzą i zatrzymał się dopiero na trotuarze w sztucznym cieniu rzucanym przez plastikowe krzaki. Coś w całej tej scenie robiło wrażenie bardzo znajomego.

Glinn na kładce przyłożył megafon do ust.

- Trzydzieści sekund! - zawołał.

- Pełna cyfrowa synchronizacja - poinformował jakiś bezosobowy głos. - Wyłączam dźwięk.

Rozbrzmiał szmer głosów potwierdzających zrozumienie jego instrukcji.

- Zielono nad deską - odezwał się głos.

- Wszystko w pełnym pogotowiu - powiedział Glinn. - Pełna moc i naprzód.

Nagle sztuczne miasto jakby ożyło. System napędzający z cichym szumem zaczął poruszać samochodem. Technicy obsługujący kamery przystąpili do rejestrowania doświadczenia.

W pobliżu rozległ się głośny huk eksplozji, zaraz po nim nastąpiły dwa kolejne. McFarlane skulił się odruchowo, rozpoznając w wybuchach odgłosy strzelaniny. Nikt poza nim nie wydawał się przestraszony, dlatego odważył się popatrzeć w kierunku źródła hałasu. Dobiegał z krzaków po jego prawej ręce. Wejrzawszy w nie uważniej, dostrzegł dwa wielkie karabiny na stalowych postumentach. Ich kolby były odpiłowane.

Nagle McFarlane zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje.

- Dealey Plaża - mruknął. Garza uśmiechnął się.

McFarlane postąpił krok do przodu i przyjrzał się jeszcze dokładniej dwóm karabinom. Popatrzywszy w stronę, w którą skierowane były ich lufy, zobaczył, że manekin w lincolnie, umiejscowiony po prawej stronie, przechylił się na bok, a jego głowa jest roztrzaskana.

Glinn podszedł do samochodu, obejrzał manekiny, po czym mruknął kilka słów do kogoś znajdującego się obok niego, ruchem palca wykreślając trajektorię pocisku. Wreszcie cofnął się i podszedł do McFarlane'a. Do pracy przystąpili kolejni technicy, wykonując fotografie i dokonując wszelkich możliwych pomiarów.

- Witam w moim muzeum, doktorze McFarlane - powiedział Glinn, potrząsając dłonią gościa. - Radziłbym panu jednak zejść z pola strzału. Te karabiny wciąż są nabite ostrymi pociskami. - Popatrzył na Garze. - Tym razem doświadczenie udało się doskonale. Nie ma potrzeby go powtarzać.

- A więc to jest ten projekt, nad którym pan właśnie pracuje? - zapytał McFarlane.

Glinn pokiwał głową.

- Ostatnio pojawiło się kilka nowych dowodów, które wymagały dodatkowej analizy.

- I czego się pan dowiedział?

Glinn obdarzył go chłodnym spojrzeniem.

- Zapewne któregoś dnia przeczyta pan o tym w „New York Timesie”, doktorze McFarlane. Chociaż właściwie szczerze w to wątpię. Na dzisiaj mogę panu powiedzieć tyle, że dla zwolenników teorii spiskowych mam o wiele większy szacunek niż jeszcze przed miesiącem.

- Bardzo interesujące. To doświadczenie musiało jednak kosztować fortunę. Kto za to zapłacił?

Zapadła znacząca cisza.

- Co to ma wspólnego z inżynierią techniczną? - zapytał w końcu McFarlane.

- Wszystko. EES było pionierem naukowej analizy agresji, nieszczęśliwych wypadków i połowa naszej pracy wciąż obraca się wokół tego zagadnienia. Umiejętność zrozumienia takich incydentów jest ważnym składnikiem procesu rozwiązywania skomplikowanych problemów technicznych.

- Ale to...? - McFarlane ruchem ręki wskazał na odtworzony plac. Glinn uśmiechnął się nieznacznie.

- Zamordowanie prezydenta jest chyba bardzo poważnym incydentem, nie sądzi pan? Że nie wspomnę już o nieudanym śledztwie, które po nim nastąpiło. Poza tym nasza praca przy analizie takich incydentów pozwala nam na stosowanie doskonałej metodologii.

- Metodologii?

- Właśnie. EES jeszcze nigdy nie nawaliło, nie popełniło błędu. Nigdy. To jest nasz znak firmowy. - Skinął na Garze i zaczęli się wycofywać w kierunku drzwi. - Nie wystarczy wiedzieć, w jaki sposób coś należy wykonać. Trzeba także przeanalizować wszystkie możliwe ewentualności popełnienia błędu. Tylko wtedy można być pewnym sukcesu. I dlatego właśnie w naszej działalności nigdy nie odnotowaliśmy niepowodzenia. Nie podpisujemy żadnego kontraktu, dopóki nie zyskamy pewności, że jesteśmy w stanie bezbłędnie go zrealizować. W rzeczy samej, zawierając kontrakt, z góry gwarantujemy sukces. Nasze umowy są proste i przejrzyste, nie zawierają żadnych kruczków, które moglibyśmy stosować w wypadku, gdyby coś się nam nie udało.

- Czy to właśnie brak pewności powoduje, że nie podpisaliście jeszcze kontraktu z Muzeum Lloyda?

- Tak. Jest to zarazem przyczyna pana dzisiejszej tutaj obecności. - Glinn wyciągnął z marynarki ciężki, pięknie zdobiony złoty zegarek. Sprawdził, która jest godzina, i schował zegarek z powrotem do kieszeni. - Chodźmy. Inni już na nas czekają.

CENTRALA EES

Godz. 13.00

Krótki zjazd w dół windą przemysłową, wędrówka przez płataninę połączonych ze sobą długich białych korytarzy i po chwili McFarlane znalazł się w sali konferencyjnej. Miała niski sufit i była bardzo skromnie umeblowana; w porównaniu z nią podobne pomieszczenia u Palmera Lloyda jawiły się jako szczyt przepychu. W sali nie było okien, a ściany nie miały

żadnych ozdób. Na środku pomieszczenia ustawiono okrągły stół z jakiegoś egzotycznego drewna, a na najodleglejszej ze ścian wisiał ciemny w tej chwili ekran.

Przy stole siedziało dwoje ludzi: kobieta i mężczyzna. Oboje natychmiast skierowali na McFarlane'a badawcze spojrzenia. Kobieta o czarnych włosach, ubrana w pelerynę zaprojektowaną w stylu Farmera Browna, nie była uderzająco piękna, jednak miała śliczne brązowe oczy, w których czaiły się złote iskierki. Teraz jej wzrok spoczął na McFarlanie w taki sposób, że poczuł się trochę skrępowany. Była przeciętnej budowy, szczupła, o pięknie opalonych na brązowo kościach policzkowych i prostym nosie, lecz mimo wszystko sprawiała wrażenie jakiejś nieokreślonej, łatwo ginącej w tłumie. Miała bardzo długie ręce i nadzwyczaj długie palce, aktualnie zajęte rozgniataniem orzecha nad szeroką, stojącą przed nią popielniczką. Wyglądała jak przerośnięta chłopczyca.

Siedzący obok niej mężczyzna w białym fartuchu laboratoryjnym był chorobliwie chudy i miał brzydką twarz o skórze podrażnionej przez codzienne golenie. Jedną z jego powiek zdawała się opadać w niekontrolowany sposób, przez co wyglądał, jakby bezustannie żartobliwie puszczał do kogoś oko. Poza tym jednak w całej sylwetce tego mężczyzny nie było nic żartobliwego. Wręcz przeciwnie, wydawał się osobnikiem całkowicie pozbawionym poczucia humoru, nadętym i spiętym jak kogut. Bawił się automatycznym ołówkiem, bez przerwy obracając go w palcach. Glinn skinął głową.

- Przedstawiam panu Eugene'a Rocheforta, naszego głównego inżyniera. Specjalizuje się w skomplikowanych, wysublimowanych projektach.

Rochefort przyjął komplement nieznacznym wyduchem ust. Zaciśnął je na chwilę, przez co jego wargi lekko pobielaly.

- A to jest doktor Rachel Amira. Zaczynała u nas jako zwykły fizyk, lecz już wkrótce zaczęliśmy wykorzystywać jej nadzwyczajne zdolności matematyczne. Jeśli ma pan jakikolwiek problem, Rachel natychmiast przedstawi go w formie równania. Rachel, Gene, przedstawiam doktora Sama McFarlane'a. Łowcę meteorytów.

W odpowiedzi oboje skinęli głowami. McFarlane znowu poczuł na sobie ich badawcze spojrzenia. Tymczasem jednak otworzył aktówkę i rozdał wszystkim obecnym przyniesione komplety dokumentów. Poczuł, jak rośnie w nim napięcie.

Glinn wziął dokumenty.

- Chciałbym najpierw ogólnie naszkicować problem, po czym poproszę państwa o dyskusję - powiedział.

- Jasne - odparł McFarlane, siadając wygodnie na krześle.

Glinn rozejrzył się po pomieszczeniu. Z jego szarych oczu nie sposób było wyczytać żadnych myśli. Niespodziewanie z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął notatki.

- Przede wszystkim informacje ogólne. Obszarem docelowym jest mała wyspa, znana jako Isla Desolación, u południowych wybrzeży Ameryki Południowej, po prostu jedna z wysp przyłądka Horn. Stanowi fragment terytorium Chile. Ma mniej więcej osiem mil długości i trzy mile szerokości. - Na chwilę urwał i popatrzył po zebranych. - Nasz klient, Palmer Lloyd, nalega, abyśmy jak najszybciej przystąpili do akcji. Obawia się ewentualnych konkurencyjnych działań ze strony innych muzeów. Zatem rozpoczęlibyśmy pracę w samym środku południowoamerykańskiej zimy. Na wyspach przyłądka Horn temperatura w lipcu waha się od mniej więcej równej temperaturze zamarzania wody do jakichś minus trzydziestu stopni w skali Fahrenheita. Przyładek Horn jest najbardziej wysuniętym na południe lądem przed Antarktydą, leży przynajmniej o tysiąc mil bliżej bieguna południowego niż afrykański Przyładek Dobrej Nadziei. W miesiącu, w którym będziemy prowadzili działania, możemy się spodziewać po pięć godzin światła dziennego w ciągu doby.

Isla Desolación nie jest miejscem gościnnym. To pusta, smagana wiatrami wyspa pochodzenia wulkanicznego z licznymi nieckami osadowymi z trzeciorzędu. Jest jakby przecięta na pół przez szerokie pasmo wiecznego śniegu, a w kierunku jej północnego skraju rozciąga się stary czop wulkaniczny. Fale morskie u jej wybrzeży osiagają w pionie od trzydziestu do trzydziestu pięciu stóp, a wyspę i kilka innych w jej pobliżu otacza prąd morski o prędkości mniej więcej sześciu węzłów, kierujący się od brzegów ku otwartemu oceanowi.

- Doskonałe miejsce na piknik - mruknął Garza.

- Najbliższe ludzkie osiedle znajduje się na wyspie Navarino, w kanale Beagle, mniej więcej czterdzieści mil na północ od wysp przyłądka Horn. Jest to baza chilijskiej marynarki wojennej. Nazywa się Puerto Williams. Niedaleko niej leży małe, nędzne miasto, w którym mieszkają tylko miejscowi...

- Puerto Williams? - zdziwił się Garza. - Myślałem, że rozmawiamy o Chile.

- Pierwsze mapy tego terenu wykonali Anglicy. - Glinn odłożył notatki na stół. - Doktorze McFarlane, rozumiem, że był pan już kiedyś w Chile.

McFarlane pokiwał głową.

- Co może nam pan powiedzieć o chilijskiej marynarce?

- Sami uroczy faceci.

Zapadła cisza. Rochefort, inżynier, zaczął uderzać końcem ołówka w stół, w jakimś irytującym rytmie. Niespodziewanie otworzyły się drzwi i wszedł kelner z kanapkami i kawą.

- Chilijska marynarka wojenna bardzo uważnie patroluje wody przybrzeżne - kontynuował McFarlane. - Szczególnie na południu, przy granicy z Argentyną. Oba kraje toczą już od bardzo dawna spór graniczny, jak pewnie doskonale wiecie.

- Czy może pan dodać coś do tego, co powiedziałem o klimacie?

- Kiedyś późnym latem przebywałem w Punta Arenas. Wichury, deszcz ze śniegiem i mgły niemal tego miejsca nie opuszczają. Pogoda jest o tyle przewidywalna, że bezustannie fatalna. Nie wspomnę już o minitornadach.

- Minitornadach? - zapytał Rochefort zatrwożonym, ciekawym głosem.

- Zasadniczo są to króciutkie ataki wichury. Trwają minutę albo dwie, ale osiągają prędkość ponad stu pięćdziesięciu węzłów.

- Są tam jakieś miejsca odpowiednie do rzucenia kotwicy?

- Powiedziano mi, że takich miejsc w ogóle tam nie ma. W gruncie rzeczy, z tego, co wiem, nikt jeszcze nie słyszał o dobrych kotwicowiskach gdziekolwiek wokół wysp przyładka Horn.

- Lubimy trudne wyzwania - zauważył Garza.

Glinn zebrał swoje papiery, złożył je starannie i schował z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki. McFarlane odniósł dziwne wrażenie, że ten mężczyzna zna odpowiedzi na wszystkie pytania, które chciałby mu zadać.

- Sytuacja rysuje się jasno - powiedział Glinn. - Stoimy w obliczu bardzo złożonego problemu, nawet gdybyśmy nie brali pod uwagę meteorytu. Zastanówmy się jednak nad sytuacją. Rachel, rozumiem, że będziesz chciała uzyskać bardziej szczegółowe dane.

- Chciałabym pewne dane skomentować. - Wzrok Amiry na moment spoczął na leżących przed nią dokumentach, po czym przesunął się na McFarlane'a. Spoglądała na niego niewątpliwie z wyższością, co wprawiało go w pewne rozdrażnienie.

- Słucham? - zapytał.

- Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co usłyszałam.

- A konkretnie, to w co pani nie wierzy?

Ruchem ręki wskazała na przyniesione przez niego papiery.

- Jest pan ekspertem od meteorytów, prawda? Zatem wie pan, dlaczego nikt nigdy nie znalazł meteorytu, który ważyłby więcej niż sześćdziesiąt ton. Gdyby meteoryt był cięższy, roztrzaskałby się pod wpływem uderzenia o ziemię w drobny mak. Meteoryt o wadze powyżej dwustu ton wskutek uderzenia po prostu by wyparował. Jakim więc cudem takie monstrum może istnieć w pełnej okazałości?

- Nie mogę... - zaczął McFarlane. Amira przerwała mu.

- Ponadto żelazne meteoryty rdzewieją. Wystarczy około pięciu tysięcy lat, żeby nawet największy meteoryt stał się jedynie kupą złomu. Zatem skoro pana meteoryt jakimś cudem przetrwał uderzenie, dlaczego w ogóle jeszcze istnieje? Jak pan wytłumaczy raport geologiczny, według którego spadł na ziemię trzydzieści milionów lat temu, ugrzązł głęboko i dopiero teraz, w wyniku erozji, wynurza się na powierzchnię?

McFarlane wygodniej rozparł się na krześle. Amira cierpliwie czekała na jego odpowiedź, patrząc na niego natarczywie z wysoko uniesionymi brwiami.

- Czy kiedykolwiek czytała pani powieści o Sherlocku Holmesie? - zapytał w końcu McFarlane z lekkim uśmiechem na ustach.

Amira przewróciła oczami.

- Chyba nie będzie pan chciał nam cytować jego starej opowieści, że po wyeliminowaniu niemożliwego cokolwiek pozostanie, nieważne jak nieprawdopodobne, musi być prawdą?

McFarlane popatrzył na nią z zaskoczeniem.

- A czyż tak właśnie nie jest?

Amira uśmiechnęła się z wyższością, a Rochefort tylko potrząsnął głową.

- Zatem, doktorze McFarlane - powiedziała - rozumiem, że to sir Arthur Conan Doyle jest pana autorytetem naukowym.

McFarlane nabrał powietrze w płuca i spokojnie odetchnął.

- Podstawowe dane na temat tego meteorytu zbierał ktoś inny. Nie mogę za nie ręczyć głową. Mogę jedynie powiedzieć, że jeśli są prawdziwe, inne wytłumaczenie nie wchodzi w grę. To jest meteoryt.

Zapadła krótka cisza.

- Ktoś inny zebrał dane - powtórzyła Amira. Rozkruszyła nad popielniczką kolejny orzech i wsunęła go sobie do ust. - Czy przypadkiem nie ma pan na myśli doktora Masangkaya?

- Tak, chodzi właśnie o niego.

- Rozumiem, że się znaliście?

- Byliśmy partnerami.

- Aha. - Amira pokiwała głową, jakby usłyszała tę wiadomość po raz pierwszy w życiu. - A więc skoro te dane zebrał doktor Masangkay, całkowicie im pan ufa. Ufa pan Masangkayowi?

- Tak.

- Zastanawiam się, czy doktor Masangkay powiedziała to samo o panu - odezwał się Rochefort cichym, wysokim, urywanym głosem.

McFarlane odwrócił głowę i ostrym wzrokiem zmierzył inżyniera.

- Wróćmy do tematu - zaproponował Glinn.

McFarlane oderwał spojrzenie od Rocheforta i wierzchem dłoni kilkakrotnie lekko uderzył w teczkę z dokumentami.

- Na tej wyspie znajduje się wielki pokład pogruchoanych i poskręcanych koezytów. Na samym jej środku spoczywa gęsta masa materiału ferromagnetycznego.

- Naturalny pokład rud żelaza - stwierdził Rochefort.

- Badania lotnicze wykazały, że warstwy skał osadowych na wyspie są podwracane.

Amira wyglądała na zaskoczoną.

- Co takiego?

- Warstwy skał osadowych są ułożone odwrotnie, niż być powinno. Rochefort ciężko westchnął.

- A to znaczy...?

- Kiedy wielki meteoryt uderza w pokłady skał osadowych, ich warstwy układają się odwrotnie.

Rochefort zaczął uderzać końcem ołówka w stół.

- Jakimż to czarodziejskim sposobem?

McFarlane znowu na niego spojrział. Tym razem nie spuścił wzroku z Rocheforta przez dłuższą chwilę.

- Zapewne pan Rochefort chciałby, żeby to zademonstrował.

- Tak, chciałbym - odparł Rochefort.

McFarlane wziął do ręki swoją kanapkę. Dokładnie ją obejrzał i obwąchał.

- Masło orzechowe i dżem? - wykrzywił twarz w grymasie.

- Może przejdziemy jednak do demonstracji? - zaproponował Rochefort spiętym, rozdrażnionym głosem.

- Oczywiście. - McFarlane położył kanapkę na stole pomiędzy sobą a Rochefortem. Następnie wziął do ręki filiżankę z kawą i powoli wylał zawartość na kanapkę.

- Co on robi? - zapytał Rochefort, zwracając się do Glinna. Głos miał tak wysoki, że niemal piszczał. - Wiedziałem, że to błąd. Powinniśmy byli zażądać, żeby zamiast niego przyszedł tu jeden z dyrektorów.

McFarlane uniósł do góry rękę.

- Spokojnie. Właśnie przygotowuję skałę osadową. - Sięgnął po kolejną kanapkę, położył ją na wierzchu poprzedniej, po czym lał na nie kawę tak długo, aż całkowicie przesiąkły płynem. - W porządku. Kanapka jest skałą osadową: chleb, masło orzechowe, dżem i następny kawałek chleba - kolejnymi warstwami skały osadowej. A moja pięść - uniósł rękę nad głowę - jest meteorytem.

Z całej siły uderzył pięścią w kanapkę. Rozległ się głośny trzask.

- Na miłość boską! - wrzasnął Rochefort, odskakując do tyłu.

Na koszulę bryznęła mu spora porcja masła orzechowego. Wyprostował się i zaczął strzepywać z ramion kawałki mokrego chleba.

Przy drugim końcu stołu Garza siedział nieruchomo, z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Twarz Glinna pozostawała nieprzenikniona.

- Teraz obejrzyjmy sobie te resztki kanapki - zaproponował McFarlane głosem tak spokojnym, jakby prowadził wykład dla studentów. - Zauważcie, że poszczególne warstwy pozamieniały się miejscami. Spodnia warstwa chleba znajduje się na wierzchu, masło orzechowe i dżem ułożyły się w odwrotnej kolejności, a ta warstwa chleba, która jeszcze przed chwilą była na wierzchu, teraz jest na samym dnie. Właśnie w taki sposób działa meteoryt, uderzając w skałę osadową: ściera w proch poszczególne warstwy, wywraca je i układa odwrotnie, niż zalegały do chwili uderzenia. - Popatrzył na Rocheforta. - Ma pan jeszcze jakieś pytania albo komentarze?

- To jest oburzające - powiedział Rochefort, wycierając chusteczką szkła okularów.

- Proszę usiąść, Rochefort - odezwał się Glinn cichym głosem.

Ku zaskoczeniu McFarlane'a Amira zaczęła się śmiać głębokim, dźwięcznym śmiechem.

- To było bardzo interesujące, doktorze McFarlane. Bardzo ciekawe. Potrzeba nam trochę takich przeżyć podczas naszych zebrań. - Spojrzała na Rocheforta. - Gdyby pan zamówił kanapki z wędliną i sałatą, nic podobnego by się nie wydarzyło.

Z wyrazem niezadowolenia na twarzy Rochefort zajął z powrotem swoje miejsce.

- W każdym razie - powiedział McFarlane, również siadając i wycierając dłonie w serwetkę - odwrócenie warstw skał osadowych oznacza tylko jedną rzecz: potężne uderzenie. Jeśli dodamy dwa do dwóch, nie będziemy mieli wątpliwości, że chodzi o meteoryt. Ale jeżeli państwo proponują jakieś inne, lepsze wytłumaczenia, to chciałbym je teraz usłyszeć.

Czekał.

- Może chodzi o jakiś obcy statek kosmiczny? - zapytał Garza z nadzieją w głosie.

- Rozważaliśmy to, Manuelu - odparła Amira sztywno.

- I?

- Lipa. Zupełnie nieprawdopodobne.

Rocheport wciąż wycierał z okularów masło orzechowe.

- Spekulacje nie mają sensu. Trzeba tam po prostu wysłać ekspedycję w celu sprawdzenia terenu i zebrania dokładniejszych danych.

McFarlane popatrzył na Glinna, który jedynie przysłuchiwał się dyskusji z półprzymkniętymi oczyma.

- Pan Lloyd i ja ufamy danym, którymi obecnie dysponujemy - stwierdził McFarlane.

- Poza tym pan Lloyd nie chce, żeby wyspa wzbudziła gdziekolwiek więcej zainteresowania niż do tej pory. Z oczywistych powodów.

Niespodziewanie odezwał się Garza:

- Tak... W związku z powyższym powstaje drugi problem, który musimy przedyskutować. W jaki sposób wywieziemy coś, cokolwiek to będzie, z Chile? Rozumiem, że ma pan pewne pojęcie o organizacji tego typu, nazwijmy to, operacji?

Operacja... O wiele sympatyczniejsze słowo niż „przemysł”, pomyślał McFarlane. Głośno jednak odrzekł:

- Mniej więcej.

- Co więc podpowiada panu doświadczenie?

- Mam do czynienia z metalem. Zasadniczo z rudą żelaza. W grę zatem nie wchodzi przepisy o zachowaniu dziedzictwa narodowego. Za moją namową Lloyd utworzył kompanię, która ma podjąć badania geologiczne na wyspie. Zasugerowałem, abyśmy pojechali tam niby w celu wykonania jakichś ważnych prac górniczych, wykopali meteoryt i wywieźli go statkiem do domu. Według prawników nie byłoby w tym nic nielegalnego.

Amira znowu się uśmiechnęła.

- Ale gdyby rząd Chile niespodziewanie zorientował się, że w sprawie chodzi o największy meteoryt świata, a nie o jakieś tam rudy żelaza, mógłby całą tę operację zablokować, prawda?

- Zablokować? To chyba nie ta skala zagrożenia. Pewnie wszyscy uczestnicy ekspedycji zostaliby rozstrzelani.

- Zdaje się, że o włos uniknął pan takiego losu, szmuglując z tego kraju tektyty z pustyni Atakama, prawda? - zapytał Garza.

W czasie całego spotkania Garza prezentował przyjazne nastawienie; nie było w nim nic z wrogości Rocheporta ani z sardonicznej postawy Amiry. Mimo to McFarlane poczuł teraz, że się czerwieni.

- Cóż, musieliśmy ryzykować. To nieodłączny element tej roboty.

- Na to wygląda. - Garza roześmiał się i zaczął kartkować leżące przed nim dokumenty. - Jestem zdziwiony, że pan w ogóle rozważa powrót na tę wyspę. Ten projekt może wywołać poważny międzynarodowy incydent.

- Kiedy Lloyd pokaże ten meteoryt w swoim nowym muzeum - odparł McFarlane - gwarantuję, że wywoła to międzynarodowy incydent.

- Sedno sprawy tkwi więc w tym - powiedział Glinn spokojnie - że całą operację należy przeprowadzić w całkowitym sekrecie. A to, co się stanie, kiedy już wykonamy naszą część zadania, jest wyłącznym zmartwieniem pana Lloyd'a.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

- Jeszcze jedno pytanie - odezwał się w końcu Glinn. - Chodzi o pana byłego partnera, doktora Masangkaya.

No, właśnie, pomyślał McFarlane. Wyprostował się sztywno na krześle.

- Ma pan chociaż mgliste pojęcie, co go zabiło? McFarlane zawahał się. Takiego pytania się nie spodziewał.

- Nie - odparł po chwili. - Jego zwłok nie odnaleziono. Mógł umrzeć z powodu wyziębienia organizmu albo chociażby z głodu. Klimat na wyspie nie jest raczej przyjazny.

- Ale nie miał wcześniej żadnych problemów ze zdrowiem? Wiadomo panu o jakichś jego wcześniejszych chorobach?

- Jako dziecko czasami głodował. Nic więcej. Jeśli nawet coś mu wcześniej dolegało, to ja nic na ten temat nie wiem. W jego dzienniku nie natrafiłem na żadne wzmianki o chorobach czy głodzie.

McFarlane patrzył, jak Glinn przewraca kartki dokumentów. Narada zdawała się zakończona.

- Pan Lloyd nakazał mi, żebym wrócił z konkretną odpowiedzią. Glinn odłożył teczkę na bok.

- To będzie kosztowało milion dolarów.

McFarlane'a całkowicie to zaskoczyło. Kwota, którą właśnie usłyszał, była znacznie niższa od tej, jakiej się spodziewał. Najbardziej jednak zaskoczyło go to, że Glinn podał cenę aż tak szybko.

- Oczywiście, pan Lloyd będzie musiał tę cenę zatwierdzić, ale wydaje mi się ona bardzo rozsądna...

Glinn uniósł do góry dłoń.

- Obawiam się, że nie do końca mnie pan zrozumiał. Milion dolarów będzie kosztowała nasza ocena, czy jesteśmy w stanie podjąć się realizacji tego projektu.

McFarlane popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Chce pan powiedzieć, że za milion dolarów jedynie oceni pan możliwości realizacji zamówienia?

- Gorzej - odparł Glinn. - Może być i tak, że za milion dolarów odpowiemy tylko tyle, iż EES nie jest w stanie podołać zadaniu.

McFarlane potrząsnął głową.

- Lloyd będzie z pewnością zachwycony.

- W przedstawionym projekcie jest wiele niewiadomych i tą największą niewiadomą wcale nie jest brak pewności, co naprawdę znajdziemy, kiedy już się zjawimy na wyspie. W grę wchodzi problemy polityczne, naukowe i inżynierskie. Aby je przeanalizować, będziemy musieli zbudować modele. Nasz superkomputer będzie potrzebował sporo czasu na analizy. Będziemy musieli zamówić całe mnóstwo poufnych opracowań u najwybitniejszych fizyków, inżynierów, międzynarodowych prawników, a nawet historyków i politologów. Nacisk pana Lloyda na pośpiech uczyni całe przedsięwzięcie jeszcze bardziej kosztownym.

- Dobrze, dobrze. Kiedy więc otrzymamy odpowiedź?

- W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin od dostarczenia przez pana Lloyda potwierdzonego czeku.

McFarlane oblizwał usta. Zaczął sobie zdawać sprawę, że on sam podjął się pracy u Lloyda za śmiesznie małe pieniądze.

- A jeśli udzielicie odpowiedzi negatywnej? - zapytał.

- Wtedy Lloyd będzie mógł przynajmniej spokojnie pogodzić się z myślą, że projekt jest niewykonalny. Jeśli jednak istnieje jakikolwiek sposób na wydobycie tego meteorytu, my do niego dotrzemy.

- Czy kiedykolwiek mówiliście komuś „nie”?

- Często.

- Naprawdę? Na przykład kiedy? Glinn cicho się roześmiał.

- Zaledwie w ubiegłym miesiącu pewien kraj z Europy Wschodniej poprosił nas o zatopienie w betonie popsutego reaktora nuklearnego i przewiezienie go w takim stanie przez granicę do sąsiedniego kraju. Ot, takie podrzucenie kukulczego jaja.

- Pan żartuje - powiedział McFarlane.

- Ani trochę - odparł Glinn. - Oczywiście, musieliśmy odmówić.

- Niestety, dysponowali zbyt małym budżetem, jak na operację o takiej skali - wtrącił się Garza.

McFarlane potrząsnął głową i zamknął teczkę z dokumentami.

- Zaprowadźcie mnie do jakiegoś telefonu, to poinformuję o waszych warunkach pana Lloyda - rzekł.

Glinn skinął na Garze, który natychmiast wstał.

- Proszę tędy, doktorze McFarlane - powiedział Garza, otwierając przed nim drzwi.

*

Kiedy drzwi się zatrzasnęły, Rochefort po raz kolejny wydał z siebie pełne irytacji westchnienie.

- Chyba jednak nie będziemy musieli z nim pracować, co? - Strząsnął z laboratoryjnego fartucha jeszcze jedną porcyjkę dżemu. - On nie jest naukowcem, to jakiś śmieciarz.

- Ma doktorat z geologii planetarnej - zauważył Glinn.

- Doktorat z takiej dziedziny nie jest dzisiaj wiele wart. Chodzi mi o postawę etyczną tego faceta, o to, co uczynił swojemu partnerowi. No i popatrzcie na to. - Wskazał na swoją koszulę. - Ten facet to jakiś nieprzewidywalny wariat.

- Na świecie nie ma nieprzewidywalnych osób - zaprotestował Glinn. - Są tylko ludzie, których nie rozumiemy. - Popatrzył na pobojowisko, jakie pozostało po McFarlane na stole wartym pięćdziesiąt tysięcy dolarów. - Oczywiście, będziemy starali się zrozumieć doktora McFarlane. Rachel?

Kobieta odwróciła się w jego kierunku.

- Otrzymasz bardzo specjalne zadanie.

Amira po raz kolejny posłała sardoniczny uśmiech Rochefortowi.

- Oczywiście - odparła.

- Zostaniesz asystentką doktora McFarlanea.

Zaległa absolutna cisza, a uśmiech nagle znikł z twarzy Amiry. Glinn tymczasem kontynuował, nie dając jej czasu na reakcję.

- Będziesz go uważnie obserwowała i przygotowywała dla mnie regularne raporty na jego temat.

- Cholera, nie jestem żadnym pieprzonym psychoanalitykiem! - eksplodowała kobieta.

- A już na pewno nie jestem szpiclem.

Tym razem na twarzy Rocheforta pojawił się wyraz, który można by wziąć za zaskoczenie, gdyby nie towarzyszący mu uśmiezek mściwej satysfakcji.

- Masz go jedynie obserwować - powiedział Glinn. - Twoje raporty zostaną ocenione przez psychiatrów. Rachel, jesteś równie dobrą obserwatorką ludzi jak matematyczką. Asystentką McFarlane'a masz być tylko nominalnie. Jeśli chodzi o słowo „szpicel”, którego użyłaś, jest ono zupełnie nie na miejscu. Wiesz, że doktor McFarlane jest człowiekiem o bardzo burzliwej przeszłości, prawda? W czasie ekspedycji będzie jedynym jej uczestnikiem nie wybranym przez nas. Zatem już od teraz musimy bardzo uważnie go obserwować.

- Czy to nie oznacza jednak, że mam go szpiegować?

- Przecież cię o to nie proszę. Ale gdybyś złapała go na czymś, co mogłoby narazić ekspedycję na szwank, musisz mi o tym bez chwili wahania meldować. Nic więcej. Moja prośba jedynie odrobinę formalizuje wasze przyszłe wzajemne stosunki.

Amira zaczerwieniła się, ale milczała.

Glinn zebrał papiery i szybko włożył do kieszeni marynarki.

- Cała ta gadanina nie będzie miała sensu, jeżeli projekt okaże się nie do zrealizowania. Na początek muszę sprawdzić pewną drobną rzecz.

MUZEUM LLOYDA

7 czerwca, godz. 15.15

McFarlane nerwowo krążył po swoim gabinecie w nowiułkim budynku administracji muzeum, poruszając się od ściany do ściany jak zwierzę w klatce. Wielka przestrzeń pomieszczenia zastawiona była zamkniętymi pudłami, a blat biurka zasłany wydrukami komputerowymi, notatkami na pojedynczych kartkach, notesami i książkami. Do tej pory McFarlane zatroszczył się jedynie o zdarcie ochronnego plastiku z jednego krzesła. Reszta mebli nadal owinięta była materiałami chroniącymi je podczas transportu. W biurze unosił się ostry zapach nowiułkiego dywanu i świeżej farby. Budowa za oknami posuwała się w błyskawicznym tempie. McFarlane'owi aż nieprzyjemnie było patrzeć, jak wielkie pieniądze wydaje się tutaj w nieprawdopodobnie krótkim czasie. Ale cóż, jeżeli ktokolwiek mógł sobie na coś takiego pozwolić, z pewnością był to właśnie Lloyd. Porozrzucane po świecie firmy, składające się na Lloyd Holdings - z branży inżynierii lotniczej, zbrojeniowej, komputerowej, informatycznej - przynosiły tyle dochodów, że Lloyd można było śmiało uznawać za jednego z dwóch czy trzech najbogatszych ludzi na kuli ziemskiej.

Zmusiwszy się, żeby w końcu usiąść, McFarlane przesunął papiery na biurku, aby uzyskać na nim trochę wolnego miejsca. Otworzył szufladę i wyciągnął z niej pomięty dziennik Masangkaya. Widok jego pisma na okładce momentalnie przywołał mnóstwo wspomnień. Większość była dziwnie słodko-gorzka i wyblakła jak stare fotografie.

Otworzył dziennik i przewrócił kilka kartek, po czym po raz nie wiadomo który wpatrzył się w koślawe litery ostatniego wpisu. Masangkay był kiepski w pisaniu. W ogóle nie można się było zorientować, ile czasu minęło pomiędzy tym wpisem a jego śmiercią.

Nokaupo ako at nagpapauskok para umalis ang mga lintik na lamok. Akala ko masama na ang South Greenland, mas grabe pala dito SA Isla Desolación...

McFarlane popatrzył na tłumaczenie, które sporządził dla Lloyd'a:

Siedzę przy moim ognisku, w dymie, starając się trzymać na odległość cholerne komary. Pomyślałem, jak wstrętnym miejscem jest South Greenland. Isla Desolación: dobra nazwa. Zawsze się zastanawiałem, jak jest na końcu świata. Teraz wiem.

Wszystko wygląda obiecująco: odwrócone warstwy ziemi, widoczna gwałtowna aktywność wulkanów, anomalie meteorologiczne, a na dodatek te legendy Yaghanów. Ale to właściwie nie ma sensu. Musiało to się odbyć cholernie szybko, niewyobrażalnie szybko, jeżeli w grę miała wchodzić orbita eliptyczna. Wciąż rozmyślam o szalonej teorii McFarlane'a. Chryste, niemal żałuję, że tego starego drania tutaj nie ma i nie może tego zobaczyć. Ale przecież gdyby tu był, bez wątpienia, jak to on, znalazłby sposób, żeby wszystko spieprzyć.

Jutro rozpocznę dokładne poszukiwania w dolinie. Jeśli to jest w dolinie, nawet bardzo głęboko, znajdę to. Jutrzejszy dzień zadecyduje.

I tyle. Masangkay zmarł całkowicie osamotniony w jednym z najbardziej zapomnianych miejsc na ziemi.

McFarlane ciężko westchnął. Szalona teoria McFarlane'a... Właściwie słów *walang kabalbalan* nie można było dosłownie przełożyć na „szalona”. Miały o wiele bardziej niekorzystne dla niego znaczenie, ale przecież Lloyd nie musiał wiedzieć wszystkiego.

To było poza dyskusją. Problem tkwił w tym, że jego teoria rzeczywiście była szalona. Obecnie, z mądrością wynikającą z perspektywy czasu, zastanawiał się, dlaczego tak kurczowo i tak długo trzymał się tej teorii, i to za tak straszną cenę.

Wszystkie meteoryty, które spadły na Ziemię, pochodziły z Układu Słonecznego. Jego teoria o meteorytach międzygwiazdnych, meteorytach, które pochodziły z zewnątrz, z innych systemów planetarnych, z perspektywy czasu wydawała się nie do przyjęcia. Jak można w ogóle przypuszczać, że jakiś kawałek skały zdołałby przewędrować ogromną, niezmierną pustkę i wylądować właśnie na Ziemi? Matematycy zawsze twierdzili, że

prawdopodobieństwo wystąpienia takiego zdarzenia wynosi jeden do pięćdziesięciu miliardów. Dlaczego więc McFarlane nie porzucił tej teorii? Jego przekonanie, że pewnego dnia ktoś - najlepiej on sam - natknie się na meteoryt międzygwiazdny, było jedynie bujaniem w obłokach, pobożnym życzeniem, niedorzecznością, wręcz naukową arogancją. Co więcej, odebrało mu zdolność do dokonywania rzeczowych ocen i w końcu niemal wywróciło jego życie do góry nogami.

Dziwnie się teraz czuł, czytając o tej teorii w dzienniku Masangkaya. Zmian w ułożeniu warstw ziemi można się było spodziewać. Co więc nie miało dla niego sensu? Co czyniło sytuację na Isla Desolación taką zagadką?

Zamknął dziennik i wstał. Znowu podszedł do okna. Przypomniał sobie okrągłą twarz Masangkaya, jego gęste, ciągle brudne włosy, nieodłączny sarkastyczny uśmiezek, wesołe oczy, wielki temperament i inteligencję. Z bólem wspominał ten ostatni dzień przed Muzeum Nowego Jorku i promienie słońca, oświetlające wszystko tak jaskrawo, że aż bolały oczy, kiedy Masangkay zbiegł w pośpiechu po schodach z przekrzywionymi okularami i wrzeszczał:

- Sam! Dali nam zielone światło! Wyjeżdżamy na Grenlandię!

Jeszcze bardziej bolało wspomnienie nocy po dniu, w którym znaleźli ten meteoryt w Tornarssuk. Masangkay wznosił do góry beczenną butelkę z whisky i oświetlony przez płomienie ogniska pił długimi łykami, opierając się o bryłę ciemnego metalu. Boże, i ten kac następnego dnia... Ale znaleźli to, czego szukali. Przez te wszystkie wspólnie spędzone lata natrafili na wiele meteorytów, jednak nigdy na coś takiego. Był po prostu przepiękny.

Teraz spoczywał w przydomowym ogrodzie jakiegoś biznesmena z Tokio. A ceną, jaką oni zapłacili za jego znalezienie, była przyjaźń, która prysła jak bańka mydlana. No i zszargana reputacja McFarlane'a.

Wyjrzał przez okno i zmusił się, żeby wrócić myślami do teraźniejszości. Ponad liściastymi klonami i białymi dębami wznosiła się konstrukcja, która zdawała się zupełnie nie na miejscu w górnej części doliny Hudsonu: replika skąpanej w słońcu starożytnej piramidy egipskiej. Obserwował, jak dźwig unosi kolejny wapienny blok i powoli układa go na właściwym miejscu w piramidzie. Wiatr zwał z bloku chmurę piasku. McFarlane dostrzegł Lloyd'a stojącego w cieniu drzewa w wielkim kapeluszu safari i osobiście dogląającego budowy.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł Glinn. Pod pachą trzymał teczkę z dokumentami. Płynnie obszedł kartony ułożone na podłodze i stanął u boku McFarlane'a. Również on zaczął się przyglądać scenie za oknem.

- Czy pan Lloyd kupił także mumię na wyposażenie tej piramidy? - zapytał.

McFarlane parsknął śmiechem.

- Prawdę mówiąc, zrobił to. Nie oryginalną, z piramidy, bo te już dawno zostały splądrowane i zniszczone, ale inną. Mumię jakiejś biednej duszyczki, która za życia przenigdy by nie odgadła, że spędzi wieczność w dolinie rzeki Hudson. Lloyd ma także kopie złotych przedmiotów, pochodzące z grobowca faraona Tutenchamona. Zdaje się, że nie zdołał kupić oryginałów.

- Nawet trzydzieści miliardów dolarów w kieszeni nie czyni człowieka wszechmocnym - stwierdził Glinn. Skinął głową w kierunku McFarlane. - Idziemy?

Wyszli z budynku, kierując się pomiędzy drzewa żwirową ścieżką opadającą w dół. Wśród liści nad ich głowami wesoło cykały cykady. Wkrótce dotarli na otwarty piaszczysty teren. Tutaj piramida wyrastała w górę dokładnie spod ich stóp, lśniąca i żółtawa na tle błękitnego nieba. Niedokończona budowla pachniała starożytnym pyłem i piaskami bezkresnej pustyni.

Lloyd zauważył przybyszów i natychmiast ruszył w ich kierunku, z obiema rękami wyciągniętymi przed siebie.

- Eli! - zawołał z nieskrywaną radością. - Spóźniłeś się - dorzucił jednak. - Ktoś mógłby pomyśleć, że planujesz przeniesienie Mount Everestu, a nie kupy żelaza. - Ujął Glinna pod łokieć i poprowadził go w stronę kamiennych ławek ustawionych pod ścianą piramidy.

McFarlane usiadł na ławce naprzeciwko Lloyd'a i Glinna. Tutaj, w cieniu piramidy, było przynajmniej chłodno.

Lloyd wskazał na cienką teczkę pod pachą Glinna.

- Czy to wszystko, co zdołały nabyć moje miliony? Glinn nie odpowiedział wprost; wpatrywał się w piramidę.

- Jak wysoka będzie, kiedy ją pan skończy? - zapytał.

- Na siedemdziesiąt siedem stóp - odparł Lloyd dumnym głosem. - To grobowiec faraona z okresu Starego Państwa, Chefreta II. Pod każdym względem był niewiele znaczącym władcą; biedaczek zmarł jako dziecko, w wieku trzynastu lat. Oczywiście chciałem tu mieć kogoś bardziej znaczącego. Lecz cóż... I tak jest to jedyna piramida stojąca poza doliną Nilu.

- A jaka jest jej podstawa?

- Z każdej strony ma sto czterdzieści stóp.

Glinn przez chwilę milczał. Jego oczy jakby zachodziły mgłą.

- Interesująca zbieżność - powiedział.

- Zbieżność?

Glinn spojrzał na Lloyda.

- Ponownie przeanalizowaliśmy wszystkie dane na temat pana meteorytu. Uważamy, że w przybliżeniu waży jakieś dziesięć tysięcy ton. Mniej więcej tyle, ile ta piramida. Jeśli za podstawę obliczeń przyjmujemy standardowe meteoryty niklowo-żelazne, wyjdzie nam, że pana skała z kosmosu ma promień o długości jakichś czterdziestu stóp.

- Wspaniale! Im większy, tym lepszy.

- Ruszenie tego meteorytu będzie właściwie identycznym przedsięwzięciem jak hipotetyczne ruszenie tej piramidy. Nie bloku po bloku, lecz całości, na jeden raz.

- No i co?

- Niech pan pomyśli, na przykład, o wieży Eiffla - zasugerował Glinn.

- Nie mam ochoty. Jest brzydka jak cholera.

- Wieża Eiffla waży mniej więcej pięć tysięcy ton. Lloyd popatrzył na niego.

- Rakietę Saturn V, najcięższy obiekt zbudowany na Ziemi, jaki kiedykolwiek został przeniesiony przez istoty ludzkie, waży trzy tysiące ton. Przeniesienie pana meteorytu, panie Lloyd, będzie zadaniem na miarę przetransportowania dwóch wież Eiffla. Albo trzech rakiet Saturn V.

- Do czego pan zmierza? - zapytał Lloyd.

- Do tego, że dziesięć tysięcy ton, jeżeli się nad tym poważnie zastanowić, to ciężar oszałamiający. To dwadzieścia milionów funtów. A rozmawiamy o przetransportowaniu tego ciężaru przez pół świata.

Lloyd wykrzywił usta w grymasie przypominającym uśmiech.

- Największy ciężar przeniesiony przez człowieka... to mi się podoba. Trudno o coś bardziej spektakularnego. Ale nie widzę problemu. Kiedy tylko meteoryt znajdzie się na statku, przetransportujemy go w górę rzeki Hudson właściwie pod sam próg muzeum.

- Problemem jest samo załadowanie meteorytu na statek. Szczególnie przeniesienie go na odcinku ostatnich pięćdziesięciu stóp z wybrzeża do ładowni. Największy żuraw na świecie nie jest w stanie dźwignąć więcej niż dziesięć tysięcy ton.

- Zbudujemy więc molo, po którym przepchniemy meteoryt na statek.

- Tuż przy Isla Desolación, zaledwie dwadzieścia stóp od brzegu, dno morskie opada na głębokość stu stóp. Nie da się tam więc wybudować stabilnego mola. A zwyczajne molo pływające pana meteoryt od razu zatopi.

- Znajdź więc jakieś płytsze miejsce, Eli.

- Już takiego szukaliśmy. Nie ma żadnego płytszego miejsca. W gruncie rzeczy jedyne miejsce, które by się nadawało do akcji załadowania meteorytu, znajduje się przy wschodnim wybrzeżu wyspy. Jednak pomiędzy tym miejscem a meteorytem leży pole wiecznego śniegu. Na samym środku tego pola śnieg ma dwieście stóp głębokości. A to oznacza, że aby załadować meteoryt na statek, będziemy musieli okrążyć z nim pole śniegu.

Lloyd odchrząknął.

- Zaczynam dostrzegać problem. Dlaczego po prostu nie podpłyniemy statkiem blisko brzegu i nie przetoczymy cholernego meteorytu prosto do ładowni? Największe supertankowce przewożą i po milionie ton ropy naftowej. Przecież zachowamy jeszcze mnóstwo rezerwy.

- Jeśli przetoczy pan meteoryt do ładowni statku, z miejsca przebije jego dno. To przecież nie jest ropa naftowa, która rozkłada się w ładowni równomiernie.

- O czym my właściwie rozmawiamy? - zapytał Lloyd ze zniecierpliwieniem. - Czy ten dialog ma prowadzić do odmowy?

Glinn potrząsnął głową.

- Wręcz przeciwnie. Zamierzamy podjąć się zadania. Lloyd rozpromienił się.

- Wspaniale! Po co więc cała ta gadka?

- Chciałem panu po prostu uświadomić nadzwyczajny wymiar zadania, które pan przed nami stawia. I uzasadnić tym samym nadzwyczajną wysokość rachunku, który będziemy musieli wystawić.

Rysy twarzy Lloyda wyostrzyły się.

- A ma on wynosić...

- Sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Naszą sprawą będzie wyczarterowanie odpowiedniej jednostki pływającej i dostarczenie towaru do Muzeum Lloyda.

Twarz Lloyda zbladła.

- Mój Boże. Sto pięćdziesiąt milionów. - Ukrył twarz w dłoniach.

- Za kawał skały o wadze dziesięciu tysięcy ton. To będzie...

- Siedem dolarów i pięćdziesiąt centów za jeden funt wagi - odpowiedział Glinn.

- Całkiem nieźle - wtrącił McFarlane - jeśli weźmiemy pod uwagę, że cena porządnego meteorytu wynosi około stu dolców za funt.

Lloyd zmierzył go wzrokiem.

- Naprawdę? McFarlane pokiwał głową.

- W każdym razie - kontynuował Glinn - ze względu na nadzwyczajną naturę przedsięwzięcia możemy je zaakceptować jedynie pod dwoma warunkami.

- Mianowicie?

- Pierwszym warunkiem jest zabezpieczenie podwójnego budżetu. Jak pan się przekona, czytając nasz raport, nie określiliśmy spodziewanych kosztów w jakiś sztywny sposób. Jednak w celu uzyskania absolutnej pewności, że przedsięwzięcie nie padnie z powodu braku środków finansowych, musi pan zabezpieczyć budżet dwukrotnie wyższy niż spodziewane koszty.

- A to oznacza, że tak naprawdę wydam trzysta milionów dolarów?

- Nie. Jesteśmy przekonani, że wszystko będzie pana kosztować sto pięćdziesiąt milionów. W przeciwnym wypadku nie przedstawilibyśmy panu tej liczby. Ale musimy też zakładać, że mogą zaistnieć jakieś zmienne czynniki, o których w tej chwili niczego nie wiemy albo że mamy nie do końca kompletne dane. Bierzymy również pod uwagę ogromną wagę meteorytu. To wszystko sprawia, że za absolutnie niezbędne uważamy posiadanie jakiejś przestrzeni dla manewru finansowego.

- Przestrzeni dla manewru finansowego. - Lloyd potrząsnął głową.

- A drugi warunek?

Glinn wyjął teczkę spod pachy i położył ją na kolanach.

- Rampa awaryjna.

- Co takiego?

- Specjalna klapa śluzowa, wbudowana w dno statku transportowego, przez którą w razie niebezpieczeństwa będzie można meteoryt wyrzucić do oceanu.

Lloyd zdawał się nie rozumieć.

- Wyrzucić meteoryt?

- Jeśli meteoryt zdoła zerwać się z mocowań, zagrozi zatopieniem całego statku.

Gdyby coś takiego nastąpiło, będziemy musieli pozbyć się meteorytu, i to bardzo szybko.

W miarę jak Lloyd słuchał tych słów, bladość na jego twarzy zaczęła ustępować i stopniowo pojawiał się na niej rumieniec gniewu.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy tylko wpłyniemy na niespokojne morze, wyrzucisz meteoryt za burtę? Najlepiej od razu o tym zapomnij.

- Według doktor Amiry, naszej matematyczki, prawdopodobieństwo, że będziemy musieli tak postąpić, wynosi zaledwie jeden do pięciu tysięcy.

Do rozmowy wtrącił się McFarlane.

- Myślałem, że pan Lloyd płaci wam tak duże pieniądze, ponieważ gwarantujecie sukces. Wyrzucenie meteorytu do wody to, moim zdaniem, całkowita porażka.

Glinn popatrzył na niego niechętnie.

- EES gwarantuje, że nie poniesie porażki przy pracy, za którą jest odpowiedzialne. Jest to jednoznaczna gwarancja, bez żadnych dodatkowych warunków. Nie możemy jednak mierzyć się z wolą Boga. Natura, przyroda, są z samej swojej istoty nieprzewidywalne. Jeśli na trasie statku nie wiadomo skąd pojawi się wielki sztorm i zatopi jednostkę, nie będziemy tego uważali za naszą porażkę.

Lloyd zerwał się na równe nogi.

- Cholera, ani mi się śni, Eli, wyrzucać meteoryt na dno oceanu bez względu na okoliczności. A zatem budowanie jakiegokolwiek rampy awaryjnej na statku nie ma najmniejszego sensu.

Odszedł kilka kroków od Glinna i McFarlane'a, po czym zatrzymał się i z ramionami splecionymi na piersiach odwrócił się w kierunku piramidy.

- Niestety, nie zrezygnujemy z tego zabezpieczenia - odezwał się Glinn. Mówił cicho, jednak w jego głosie brzmiała absolutna pewność siebie.

Przez długą chwilę Lloyd nie odpowiadał. Potrząsał głową, jakby sam ze sobą toczył wewnętrzną walkę. Wreszcie odwrócił się.

- W porządku - powiedział. - Kiedy zaczynamy?

- Jeszcze dzisiaj, jeśli pan sobie życzy. - Glinn wstał i ostrożnie położył teczkę na kamiennej ławce. - Wśród tych papierów znajdzie pan informacje o przygotowaniach, które musimy przedsięwziąć, oraz o towarzyszących im kosztach. Potrzebujemy jedynie pana akceptacji i zaliczki w wysokości pięćdziesięciu milionów. Jak pan zobaczy, EES jest w stanie zająć się wszystkimi szczegółami.

Lloyd wziął do ręki dokumenty.

- Przeczytam to jeszcze przed lunchem.

- Będzie to dla pana z pewnością interesująca lektura. A teraz pozwoli pan, że wrócę do Nowego Jorku. - Glinn po kolei skinął głową obydwu mężczyznom. - Panowie, radujcie się tą piękną piramidą.

Następnie odwrócił się, przebrnął przez sypki piasek i po chwili zniknął w cieniu klonów.

MILLBURN, NEU JERSEY

9 czerwca, godz. 14.45

Eli Glinn siedział bez ruchu za kierownicą byle jakiego czterodrzwiowego sedana. Niemal instynktownie zaparkował w taki sposób, że promienie słoneczne odbijały się od przedniej szyby samochodu, utrudniając przypadkowym przechodniom dojrzenie jego twarzy.

Obojętnie reagował na widoki i odgłosy typowego przedmieścia na Wschodnim Wybrzeżu: starannie wystrzyżone trawniki, stare drzewa i odległy szum autostrady.

Wkrótce otworzyły się drzwi stojącego w pobliżu małego georgiańskiego domu i na progu stanęła jakaś kobieta. Glinn wyprostował się automatycznie. Patrzył uważnie, jak kobieta schodzi po schodach, jakby się wahając, po czym ogląda się ponad ramieniem w kierunku drzwi. Te już były jednak zamknięte. Odwróciła się więc i zaczęła iść w jego stronę, szybko, z wysoko uniesioną głową, wyprostowana. Jej jasne włosy lśniły w słońcu wczesnego popołudnia.

Glinn otworzył szarą kopertę leżącą na siedzeniu pasażera i zaczął oglądać fotografię przypiętą do znajdujących się w środku papierów. To była ona. Odrzucił kopertę, tym razem na tylne siedzenie, i znów popatrzył przez okno. Nawet w mundurze kobieta emanowała pewnością siebie, kompetencją i wewnętrzną dyscypliną. I nic w jej wyglądzie nie zdradzało, jak trudne było dla niej ostatnie osiemnaście miesięcy. Cóż, to dobrze, bardzo dobrze. Kiedy kobieta znalazła się bliżej samochodu, Glinn opuścił szybę po stronie pasażera. Zaskoczenie, jego zdaniem, dawało największą nadzieję na sukces.

- Kapitan Britton?! - zawołał. - Nazywam się Eli Glinn. Czy mógłbym zamienić z panią kilka słów?

Kobieta zatrzymała się. Zauważył, że zaskoczenie na jej twarzy stopniowo ustępuje zaciekawieniu. Nie zauważył natomiast strachu. Wciąż była całkowicie pewna siebie.

Kobieta zrobiła kilka kolejnych kroków w kierunku samochodu.

- Słucham pana.

Glinn automatycznie poczynił w myślach pewne spostrzeżenia. Kobieta nie pachniała żadnymi perfumami, a małą, lecz funkcjonalną torebkę, trzymała bezpiecznie blisko prawego boku. Była wysoka, lecz kształtnie zbudowana. Mimo że miała bardzo bladą twarz, widoczne były na niej zmarszczki i drobne piegi, świadczące o długich latach wystawiania jej na promienie słońca i podmuchy wiatru. Jej głos był bardzo niski.

- Prawdę mówiąc, to, co chciałbym pani powiedzieć, musi potrwać dłuższą chwilę. Czy mógłbym więc panią gdzieś podwieźć?

- Dziękuję, to nie jest konieczne. Stacja kolejki znajduje się kilka przecznic dalej.

Glinn pokiwał głową.

- Jedzie pani do domu, do New Rochelle? Połączenia z New Rochelle są niezbyt dobre. Będę szczęśliwy, jeśli mimo wszystko skorzysta pani z mojej propozycji.

Tym razem zaskoczenie na jej twarzy gościło chwilę dłużej, a kiedy wreszcie znikło, w jej oczach zielonych jak woda morska pojawiło się głębokie zastanowienie.

- Mama zawsze mi powtarzała, żebym nie wsiadała do samochodów nieznajomych mężczyzn.

- Pani mama miała absolutną rację. Sądzę jednak, że to, co mam do powiedzenia, bardzo panią zainteresuje.

Kobieta przez chwilę zastanawiała się nad słowami Glinna. Wreszcie skinęła głową.

- Dobrze - powiedziała.

Otworzyła drzwi po prawej stronie i wsiadła do samochodu.

Glinn zaobserwował, że ułożyła torebkę na kolanach, a prawą dłoń oparła znacząco na klamce drzwi. Nie był zdziwiony, że przyjęła zaproszenie do samochodu. Jednak spore wrażenie wywarła na nim jej umiejętność dokonania błyskawicznej oceny sytuacji, rozważenia stojących przed nią możliwości i zdolność do szybkiego podjęcia decyzji. Gotowa była podjąć ryzyko, choć nie za wszelką cenę. Z jej dossier wynikało, że takiej właśnie postawy powinien był się spodziewać.

- Proszę mi wskazywać, którędy mam jechać - poprosił, uruchamiając auto. - Nie znam zbyt dobrze tej części New Jersey.

Nie było to do końca zgodne z prawdą. Znał przynajmniej pół tuzina dróg dojazdowych do Westchester County, lecz chciał usłyszeć, w jaki sposób kobieta wydaje polecenia i instrukcje, nawet drobne. Podczas jazdy Britton pozostawała skupiona, kierując go tak, jak to czyni osoba przyzwyczajona do tego, że jej rozkazy są wykonywane bez słowa sprzeciwu. Tak, bez wątplenia miał do czynienia z nietuzinkową kobietą, co z pewnością musiało być widoczne także w trakcie wydarzeń i przejść, których doświadczyła w związku ze swoją jedyną katastrofą.

- Pozwoli pani, że zacznę mówić od początku - zagadnął. - Znam pani przeszłość i zapewniam, że nie ma ona znaczenia dla tego, co zamierzam pani powiedzieć.

Kątem oka dostrzegł, że kobieta napina się w sobie i jakby sztywnieje. Ale kiedy się odezwała, jej głos był spokojny.

- Rozumiem, że w tym momencie dama powinna powiedzieć: zaskoczył mnie pan, proszę pana.

- W tej chwili nie mogę jeszcze omawiać szczegółów. Mogę natomiast zdradzić, że spotkałem się z panią, żeby zaoferować pani stanowisko kapitana na wielkim tankowcu.

Przez kilka minut podróżowali w ciszy. Wreszcie kobieta popatrzyła na Glinna i rzekła:

- Gdyby znał pan moją historię tak dobrze, jak pan twierdzi, że ją zna, nie składałby mi pan takiej oferty.

Jej głos pozostawał chłodny, spokojny, jednak Glinn potrafił wiele wyczytać z jej twarzy: zaciekawienie, dumę, podejrzliwość i, być może, także nadzieję.

- Błąd, pani kapitan Britton. Wiem o pani wszystko. Wiem, że była pani jedną z niewielu kobiet zajmujących najwyższe stanowiska na tankowcach. Wiem, że panią bojkotowano, wiem, że musiała pani przyjmować najmniej popularne trasy. Naciski, jakim panią poddawano, były ogromne. - Na chwilę zamilkł. - Wiem, że gdy po raz ostatni pełniła pani funkcję kapitana statku, znaleziono panią na mostku w stanie upojenia alkoholowego. Uznano panią za alkoholiczkę i umieszczono w centrum odwykowym. Po rehabilitacji w tym centrum odzyskała pani licencję.

Ale od ponad roku, to jest od opuszczenia centrum, nie zaoferowano pani jeszcze żadnego stanowiska dowódczego. Czy coś pominąłem? - Glinn spokojnie czekał na odpowiedź kapitan Britton.

- Nie - odparła mocnym głosem. - Z grubsza powiedział pan wszystko.

- Będę szczery, pani kapitan. Mam zamiar zaproponować pani bardzo nietypową pracę. Lista innych dowódców, którym mógłbym ją zaproponować, jest bardzo krótka i obawiam się, że w większości nie byliby oni gotowi podjąć się tego zadania.

- Gdy tymczasem ja z desperacją szukam zatrudnienia - stwierdziła Britton niskim głosem. Beznamiętne wypatrywała się w dal przez przednią szybę.

- Gdyby była pani desperatką, zapewne przyjąłaby pani pracę na panamskim parowcu, którą proponowano pani ostatnio w listopadzie, albo na liberyjskim frachtowcu z uzbrojonymi ochroniarzami i podejrzanym ładunkiem. - Glinn obserwował, jak jej oczy zwężają się w niewielkie szparki. - Widzi pani, moja praca polega między innymi na analizie niepowodzeń.

- A co to za praca, panie Glinn?

- Szeroko pojęta inżynieria. Nasze analizy wykazały, że ludzie, którzy raz zawiedli, dają dziewięćdziesięcioprocentową pewność, że nie zawiodą ponownie. - Sam jestem żywym tego dowodem, pomyślał.

Tego ostatniego zdania nie wypowiedział, chociaż nieomal wymknęło mu się z ust. Pozwolił sobie przelotnie zmierzyć wzrokiem sylwetkę kapitan Britton. Co sprawiło, że prawie jej zdradził swoją najgłębszą tajemnicę? Uznał, że będzie musiał poważnie się nad tym zastanowić.

Znów patrzył na drogę przed samochodem.

- Starannie przeanalizowaliśmy pani życiorys. Kiedyś była pani doskonałym kapitanem statku, mającym problemy z alkoholem. Teraz jest pani tylko doskonałym kapitanem. Kapitanem, na którego dyskrecji, jak wiem, można polegać.

Britton przyjęła te słowa lekkim skinieniem głowy.

- Dyskrecja - powtórzyła zgryźliwie.

- Jeśli przyjmie pani stanowisko, które pani proponuję, będę mógł powiedzieć więcej. Teraz mogę jedynie poinformować panią o podstawowych sprawach. Całe przedsięwzięcie, w tym podróż morską, nie będzie długie, potrwa najwyżej trzy miesiące. Zostanie przeprowadzone w wielkiej tajemnicy. Punktem docelowym są odległe tereny na południowych szerokościach geograficznych, a więc obszar, który pani dobrze zna. Zabezpieczenie finansowe jest więcej niż adekwatne. Może pani sama dobrać załogę; nasz warunek jest tylko taki, że wszystkich dokładnie sprawdzimy. Wszyscy oficerowie i marynarze otrzymają wynagrodzenie potrójne w stosunku do normalnie obowiązujących stawek. Britton zmarszczyła czoło.

- Skoro pan wie, że odmówiłam Liberyjczykom, wie pan także, że nie uczestniczę w przemyśle narkotyków, nie wożę broni ani kontrabandy. Nie będę łamała prawa, panie Glinn.

- Misja, którą proponuję, jest legalna, ale jedyna w swoim rodzaju. Stąd konieczność dysponowania wysoce umotywowaną załogą. Jeśli misja zakończy się powodzeniem... powinienem powiedzieć, kiedy misja zakończy się powodzeniem, ponieważ moja praca polega na zapewnianiu takiego powodzenia, dużo napisze o nas międzynarodowa prasa. W zdecydowanej większości będą to artykuły bardzo nam życzliwe. Nie wobec mnie, ponieważ staram się unikać wszelkiej popularności, ale wobec pani. Będzie pani mogła z tego skorzystać na wiele sposobów. Na przykład znowu utrwali pani swoją pozycję jako jeden z najlepszych kapitanów żeglugi morskiej. Albo odzyska pani prawo do opieki nad dzieckiem, uwalniając się wreszcie od tych męczących weekendowych odwiedzin...

Ostatnie słowa wywarły na niej takie wrażenie, jakiego Glinn się spodziewał. Britton posłała mu krótkie spojrzenie, po czym popatrzyła ponad ramieniem za siebie, jakby chcąc jeszcze raz zerknąć na georgiański domek, który przecież znajdował się już wiele mil za nimi. Ponownie skierowała wzrok na Glinna.

- Czytałam ostatnio Wystana Hugh Audena - powiedziała. - W pociągu dzisiaj rano natrafiłam na wiersz *Atlantis*. Jego ostatnie wersy brzmią mniej więcej tak:

Wszystko, co mam w domu

Zaczęto płakać, lecz woła

Do widzenia, czas ruszać w morze.

Uśmiechnęła się. Gdyby Glinn zwracał uwagę na takie drobiazgi, musiałby stwierdzić, że było to bardzo piękny uśmiech.

PORT OF ELIZABETH

17 czerwca, godz. 10.00

Palmer Lloyd zatrzymał się przed drzwiami bez okienka, brudnym prostokątem w ponurym budynku z blachy. Zza pleców, mniej więcej od strony samochodu, gdzie jego kierowca czytał rozłożony na masce tableid, docierały do niego odgłosy New Jersey Turnpike, odbijające się echem od martwych trzęsawisk i pustych magazynów. Przed nim, za suchymi dokami przy Marsh Street, w letnim słońcu lśnił Port of Elizabeth. Wzdłuż nabrzeży stały wielkie tankowce i masowce, a do pierów przystani przycumowane były płaskodenne łodzie rybackie. Daleko za portem holowniki ciągnęły akurat barkę załadowaną nowymi samochodami. Jeszcze dalej, za poczerniałymi zabudowaniami Bayonne, na horyzoncie widoczny był Manhattan, lśniący w słońcu niczym rząd drogocennych kamieni.

Lloyda w jednej chwili ogarnęła fala nostalgii. Minęły długie lata, odkąd był tutaj po raz ostatni. Pamiętał jeszcze, jak dorastał w ponurym Rahway, niedaleko portu. W czasie swego marnego i biednego dzieciństwa spędzał mnóstwo czasu, wędrując po dokach, zakazanych podwórkach, dziedzińcach i brudnych fabrykach.

Wciągnął głęboko do płuc zanieczyszczone przemysłowe powietrze. Mieszał się w nim kwaśny odór sztucznych róż, zmieszany z zapachem słonych bagien, smoły i siarki. Lloyd wciąż uwielbiał to miejsce, obłoki pary unoszące się ze starych maszyn i dym z kominów, lśniące rafinerie i gęszcz przewodów wysokiego napięcia nad głową. To miasteczka takie jak Elizabeth, rozmyślał w zadumie, z ich synergia handlu i przemysłu, pozwalają mieszkańcom przedmieść zdobywać środki finansowe, dzięki którym beztrudno szydzą z brzydoty miejsc, w których wiodą w miarę komfortowe, wygodne życie. Lloyd dziwił się sam sobie, jak bardzo tęskni za chłopięcymi latami, jakie tutaj spędził, i swoimi ówczesnymi marzeniami, mimo że przecież wszystkie jego marzenia z tamtych lat się spełniły.

Jeszcze dziwniejsze zdawało się jednak to, że jego droga do największego osiągnięcia rozpocznie się właśnie tutaj, w miejscu, gdzie tkwiły jego korzenie. Już jako chłopiec uwielbiał wszelkiego rodzaju zbieractwo. Nie mając pieniędzy, musiał zebrać kolekcję kamieni obrazującą przeszłość Ziemi. Samodzielnie gromadził eksponaty. Na osypujących się skarpach wyszukiwał ostrza strzał, na brudnym brzegu morza podnosił muszle, skały i surowce wydobywane kiedyś w dawno już opuszczonych kopalniach. W pobliskim Hackensack wykopywał skamieliny z pokładów jurajskich, a na bagnach całymi dziesiątkami wylapywał motyle. Zbierał żaby, jaszczurki, węże i wszelkie inne okazy różnych żyjatek, konserwując je w dzinie, który podkradał ojcu. Zgromadził ciekawą kolekcję, jednak w jego piętnaste urodziny spalił się cały dom, w którym mieszkał z rodzicami, grzebiąc wszystkie

jego skarby. Po pożarze nie powrócił już do swojego hobby. Pojechał do college'u, a potem zajął się biznesem i zaczął odnosić sukces za sukcesem. I pewnego dnia zrozumiał, że jest w stanie kupić wszystko to, co jest najlepszego na świecie. Mógł wymazać z pamięci stratę z dnia piętnastych urodzin. To, co rozpoczęło się jako chłopięce hobby, stało się jego wielką pasją. Wkrótce w jego umyśle zrodziła się wizja Muzeum Lloyd'a. A teraz stał wśród doków Jersey, gotowy do rozpoczęcia wyprawy, która miała mu przynieść największy ze wszystkich skarbów.

Głęboko odetchnął po raz kolejny i szarpnął za klamkę. Przez jego ciało przebiegł lekki dreszcz zniecierpliwienia i podniecenia. Dokumenty, które przygotował Glinn, były opracowane doskonale i z pewnością warte miliona, które za nie zapłacił. Plan naszkicowany przez Glinna był kapitalny. Uwzględniał wszelkie możliwe okoliczności i przewidywał wszelkie trudności, które mogły się pojawić przy jego realizacji. Zanim Lloyd skończył czytać, jego szok i złość, wywołane wysoką ceną, ustąpiły miejsca pragnieniu, by jak najszybciej rozpocząć realizację przedsięwzięcia. Teraz, po dziesięciu dniach niecierpliwego oczekiwania, miał świadomość, że pierwszy etap planu jest niemal zakończony. Niebawem będzie transportował najcięższy obiekt kiedykolwiek poruszony przez człowieka. Pociągnął drzwi do siebie i wszedł do środka.

Duża fasada budynku mimo wszystko nie dawała właściwego wyobrażenia co do rozmiarów jego wnętrza. Wielka przestrzeń, nie podzielona żadnymi ścianami, na krótki czas odbierała oczom zdolność do właściwego oceniania odległości. Zdawało się jednak, że pomieszczenie, w którym znalazł się Lloyd, ma przynajmniej ćwierć mili długości. Nad podłogą niczym pajęczna sieć rozpościerała się płatanina metalowych pomostów. W olbrzymim wnętrzu rozlegała się kakofonia najrozmaitszych dźwięków: odgłos wbijania gwoździ, szcęk metalu czy suche trzaski, towarzyszące pracom spawalniczym.

W samym środku tego jazgotu było to, co pragnął zobaczyć: ogromny statek, podtrzymywany w suchym doku dzięki stalowemu rusztowaniu, wysoki i majestatyczny. Był to tankowiec, bynajmniej nie należący do największych na świecie, jednak przez to, że nie znajdował się na wodzie, wydał się Lloydowi największą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział. Jego nazwa, „RoIvaag”, widniała na lewej burcie, wyraźnie, starannie wymalowana białą farbą. Ludzie i najprzeróżniejsze urządzenia poruszali się wokół niego niczym zastępy mrówek. Kiedy do nozdrzy Lloyd'a dotarł zapach spalonego metalu, rozpuszczalników i oparów z silnika dieslowskiego, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Jakaś jego część radowała się widokiem beztróskiego wydawania pieniędzy - nawet jego własnych.

Wkrótce zjawił się przy nim Glinn. W ręce trzymał rulon z jakimiś projektami, a na głowie miał kask z emblematem EES. Lloyd popatrzył na niego, wciąż uśmiechnięty, i bez słowa z wielkim podziwem potrząsnął głową.

Glinn wręczył mu zapasowy kask.

- Widok z pomostów jest jeszcze ciekawszy - powiedział. - Na górze spotkamy panią kapitan Britton.

Lloyd nałożył kask na głowę i ruszył za Glinnem do małej windy. Pojechali mniej więcej sto stóp do góry, po czym wysiedli na pomoście, który biegł wzdłuż ścian suchego doku. Lloyd złapał się na tym, że nie jest w stanie oderwać wzroku od wielkiego statku, który stał poniżej. Był wprost niesamowity. I należał tylko do niego.

- Zbudowano go w Stavanger, w Norwegii, sześć miesięcy temu. - Suchy głos Glinna był ledwie słyszalny w panującym wokół hałasie. - Zważywszy na przeróbki, jakich zamierzamy dokonać, nie mogliśmy stawiać na czarter. Musieliśmy po prostu kupić statek.

- Podwójny budżet - mruknął Lloyd.

- Później, oczywiście, najprawdopodobniej zdołamy go sprzedać i zapewne odzyskamy niemal wszystkie pieniądze, jakie włożyliśmy w jego kupno. Jestem przekonany, że uzna pan „Rolvaaga” za wart swojej ceny. To jest naprawdę cudo, trójpokładowiec doskonale nadający się do pływania po wzburzonych morzach. Jest w stanie przewozić ładunki o wadze stu pięćdziesięciu tysięcy ton, a przecież to i tak łupinka w porównaniu z tankowcami, które transportują w ładowniach nawet i po pół miliona ton ropy.

- Mimo wszystko robi wrażenie. Wiele bym dał, żeby popłynąć razem z wami.

- Całą wyprawę, rzecz jasna, udokumentujemy. Codziennie będziemy odbywali konferencje, korzystając z łącz satelitarnych. Sądzę, że będzie pan dzielił z nami wszystko, z wyjątkiem choroby morskiej.

Idąc pomostem, widzieli całą lewą burtę statku. W pewnej chwili Lloyd zatrzymał się.

- Co się stało? - zapytał Glinn.

- Ja... - Lloyd urwał. Przez chwilę brakowało mu słów. - Ja po prostu nigdy nie sądziłem, że to będzie wyglądać tak wiarygodnie.

W oczach Glinna na moment pojawił się błysk rozbawienia.

- Industrial Light and Magic robią dobrą robotę, prawda?

- Firma z Hollywood? Glinn pokiwał głową.

- Po co wyważać otwarte drzwi? Efekty wizualne to ich specjalność od wielu lat. Poza tym są bardzo dyskretni.

Lloyd nie zareagował. Po prosu oparł dłonie na barierce i patrzył w dół. Przed jego oczyma rozpościerał się widok wspaniałego, nowoczesnego tankowca, który na użytek jednej podróży upodabniano do pospolitego, rdzewiejącego masowca do przewozu rudy. Jego przednia część pięknie lśniła i błyszczała nowością jednostki pływającej, wybudowanej zaledwie przed sześcioma miesiącami. Jednak od śródokręcia do rufy był to jakby zupełnie inny statek. Jego tylna część wyglądała dosłownie jak wrak. Burta na rufie sprawiała wrażenie, jakby przez lata położono na niej przynajmniej dwadzieścia warstw farby. Jedno ze skrzydeł mostka, zresztą niezwykle dziwacznej struktury, wyglądało na mocno pogruchothane, a potem byle jak umocnione. Wzdłuż burty jakby spływały gęstymi strugami w dół rzeki rdzy. Bariereki na górnym pokładzie były odkształcone, a ich brakujące fragmenty byle jak pouzupełniano różnej grubości rurami, rurkami i łomami.

- Doskonały kamuflaż - powiedział Lloyd.

- Szczególnie zadowolony jestem z radaru masztowego - stwierdził Glinn, wskazując na rufę.

Nawet z tej odległości Lloyd widział miejsce, z którego zerwano farbę, fragmenty nagiego metalu oraz jakieś wystające druty. Kilka anten było połamanych, byle jak połączonych ponownie i połamanych jeszcze raz. Wszystko wyglądało jak po wielkim pożarze.

- Wewnątrz tego wspomnienia po maszcie antenowym znajdują się najnowocześniejsze urządzenia łącznościowe. Różnicowy GPS, SPizz-64, FLIR, LN-66, SLick 32, pasywny ESM i inne specjalistyczne urządzenia radarowe, Tigershark Loran C, INMARSAT i stacje komunikacyjne Sperry GMDSS. Gdybyśmy, nie daj, Boże, znaleźli się w wyjątkowo skomplikowanej sytuacji, wystarczy naciśnięcie jednego przycisku i z nadbudówki wystrzelą w górę specjalne maszty elektroniczne.

Lloyd obserwował, jak żuraw, unoszący wielką kulę do burzenia murów, powoli przesuwa ją w kierunku kadłuba statku. Z nadzwyczajną ostrożnością operatorzy doprowadzili do kontaktu kuli z lewą burtą i wykonali nią trzy uderzenia, powodując nowe uszkodzenia. Malarze z grubymi pędzlami uwijali się w środkowej części górnego pokładu, stopniowo nadając mu wygląd usmolonego, upstrzonego plamami oleju i zasypanego brudnym piachem.

- Najtrudniejszym zajęciem będzie wysprzątanie tego wszystkiego i doprowadzenie całego statku do ładu - powiedział Glinn. - Kiedy już wyładujemy meteoryt i będziemy mogli odsprzedać tę jednostkę.

Lloyd popatrzył w górę. Kiedy już rozładujemy meteoryt... Za niecałe dwa tygodnie statek wypłynie w morze. A kiedy wróci, kiedy wreszcie Lloyd będzie mógł rozpakować swój prezent, cały świat będzie mówił tylko o jego sukcesie.

- Oczywiście, nie dokonujemy żadnych zniszczeń we wnętrzu statku - odezwał się Glinn, kiedy ruszyli pomostem, kontynuując obchód jednostki. - Pomieszczenia mieszkalne są całkiem luksusowe. Wewnątrz są także wielkie sale recepcyjne, drewniane boazerie, oświetlenie sterowane przez komputer, sale telewizyjne, gimnastyczne i tak dalej.

Lloyd znowu się zatrzymał, dostrzegłszy robotników pracujących intensywnie przed rampą, specjalnie wybitą w przedniej części kadłuba. Dookoła tej prowizorycznej rampy stało, oczekując na załadunek, mnóstwo buldożerów, pojazdów gaśnicowych, ciężarówek o wielkich kołach i różnego rodzaju sprzętu, używanego w kopalniach. Z ogromnym hałasem pracowały silniki dieslowskie, a sprzęt, jeden po drugim, zniknął w brzuchu statku.

- Arka Noego ery przemysłowej - stwierdził Lloyd.

- O wiele szybsze i tańsze okazało się wybitcie w statku specjalnych drzwi niż ładowanie tego całego sprzętu za pomocą dźwigu - wyjaśnił Glinn. - „Rolvaag” został zaprojektowany jako typowy tankowiec. Przestrzeń na ładunek ropy zajmuje niewiele więcej niż połowę kadłuba. Reszta to różne pomieszczenia o zupełnie innym przeznaczeniu, maszynownia i tym podobne. Żeby przewieźć sprzęt i materiały, które będą nam potrzebne na miejscu, musieliśmy wybudować specjalne przedziały. Już załadowaliśmy tysiąc ton przewodów wysokiego napięcia z najlepszej stali z Mannsheim, mnóstwo tarcicy i w ogóle wszystko, co będzie się mogło przydać, od kół do samolotu, po generatory.

Lloyd wskazał na coś palcem.

- A te kryte wagony towarowe na górnym pokładzie?

- Mają sprawiać wrażenie, że „Rolvaag” zarabia dodatkowe pieniądze, transportując jakieś ładunki w wagonach. W środku znajdują się specjalistyczne laboratoria.

- Powiedz mi coś o nich, Eli.

- Ten szary wagon, najbliżej dziobu, to laboratorium hydrologiczne. Następny to czysty pokój komputerowy. Dalej ustawiliśmy wspieraną komputerowo stację roboczą, ciemnię, magazyn sprzętu technicznego, lodówkę naukową, mikroskop elektronowy i krystalograficzne laboratoria rentgenowskie. Z kolei mamy pomieszczenie, a właściwie szatnię, dla nurków oraz komorę izotopową. Na niższych poziomach mamy pomieszczenia szpitalne i sale operacyjne, laboratorium, gdzie będziemy badać organizmy, które mogłyby stanowić zagrożenie dla ludzi, oraz warsztaty mechaniczne. Nie ma żadnych okien, żeby nikt nie mógł się zorientować w prawdziwej roli naszego statku.

Lloyd potrząsnął głową.

- Zaczynam rozumieć, do czego są potrzebne moje pieniądze. Nie zapominaj, Eli, że to, co zaplanowałem, jest w istocie tylko operacją poszukiwawczą. Nauka może poczekać.

- Nie zapomniałem. Jednak biorąc pod uwagę wielką liczbę niewiadomych i fakt, że będziemy mieli tylko jedno podejście do wydobycia tego, czego szukamy, musimy być przygotowani na wszystko.

- Oczywiście. Właśnie dlatego wysyłam Sama McFarlane'a. Jednak tak długo, jak długo wszystko będzie przebiegało zgodnie z planem, jego doświadczenie i wiedza będą się odnosiły tylko do problemu inżynierskiego. Tego sobie życzę. Nie życzę sobie natomiast marnowania czasu i żadnych badań naukowych. Macie jedynie wywieźć mój meteoryt z Chile. Później będzie mnóstwo czasu na wszelakie badania i rozważania.

- Sam McFarlane - powtórzył Glinn. - Interesujący wybór. Ciekawa osoba.

Lloyd zmierzył go wzrokiem.

- Tylko nie zaczynaj mi opowiadać, że popełniłem błąd.

- Tego nie twierdzę. Załedwie wyraziłem zaskoczenie pana wyborem geologów planetarnych.

- To najlepszy facet do tej roboty. Nie potrzebuję na miejscu tłumów mięczakowatych naukowców. Sam ma doświadczenie w pracy i w laboratorium, i w terenie. Potrafi niemal wszystko. Jest bystry. Zna Chile. Facetem, który natrafił na to znalezisko, był jego niedawny partner, na miłość boską, a jego analiza okazała się doskonała. - Lloyd pochylił się konfidencko ku Glinnowi. - Tak, McFarlane popełnił pewien błąd w ocenie kilka lat temu. I wcale nie był to mały błąd. Ale czy to znaczy, że nikt już nie powinien mu nigdy wierzyć do końca jego życia? Poza tym - zacisnął dłoń na ramieniu Glinna - przecież ty tam będziesz i będziesz mógł mu patrzeć na ręce, Eli. W razie gdyby pokusy okazały się dla niego silniejsze niż zdrowy rozsądek. - Zwolnił uścisk. - A mówiąc o pokusach, gdzie właściwie załadujecie ten meteoryt?

- Proszę za mną - powiedział Glinn. - Pokażę panu.

Znów wspięli się po stalowych schodach i ruszyli długim pomostem, wznoszącym się ponad lewą burtą statku. Wkrótce dojrzeli samotną sylwetkę smukłej kobiety, opierającej się o barierkę. Była szczupła, w mundurze kapitana żegluga wyglądała bardzo elegancko. Kiedy ich spostrzegła, wyprostowała się i zastygła w oczekiwaniu.

- Pani kapitan Britton. - Glinn dokonał prezentacji. - Przedstawiam pana Lloyda.

Lloyd wyciągnął do niej rękę, po czym nagle, jakby sobie o czymś przypomniał, zastygł w bezruchu.

- Kobieta? - zapytał bezmyślnie.

Kapitan Britton bez chwili wahania uścisnęła jego dłoń.

- Bardzo trafne spostrzeżenie, panie Lloyd. - Krótko i mocno potrząsnęła jego ręką. - Sally Britton.

- Oczywiście - powiedział Lloyd. - Po prostu nie spodziewałem się...

Dlaczego Glinn mnie nie uprzedził?, pomyślał. Zaciekawionymi oczyma mierzył szczupłą sylwetkę i pasma jasnych włosów, wystające spod marynarskiej czapki.

- Cieszę się, że pani przyszła - odezwał się Glinn. - Właściwie to bardzo chciałem, żeby mogła pani zobaczyć ten statek, zanim go kompletnie przerobimy.

- Dziękuję, panie Glinn - odparła. Z jej ust nie schodził lekki uśmiech. - Chyba nigdy w życiu nie widziałam jeszcze czegoś tak odrażającego.

- To tylko niezbędna kosmetyka.

- Przez kilka najbliższych dni pewnie będę się o tym przekonywała. - Wskazała na kilka otworów w kadłubie. - Co się znajduje za tymi grodziami?

- To dodatkowe zabezpieczenia - wyjaśnił Glinn. - Podjęliśmy wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa.

- Interesujące.

Lloyd z zainteresowaniem przypatrywał się profilowi kobiety.

- Eli nie wspomniał mi o pani ani jednym słowem - zauważył. - Mogłaby mi pani coś o sobie powiedzieć?

- Przez pięć lat byłam pierwszym oficerem i przez trzy lata kapitanem na statkach dalekomorskich.

Lloyd odnotował w pamięci, że mówiła w czasie przeszłym.

- Na jakich statkach?

- Na tankowcach i BDM.

- Słucham?

- Bardzo dużych masowcach. O wyporności ponad pięćdziesiąt tysięcy ton. Takich tankowcach na sterydach.

- Pani kapitan wielokrotnie opłynęła przyładek Horn - wtrącił Glinn.

- Horn? Nie wiedziałem, że nadal korzysta się z tej trasy.

- Bardzo duże masowce nie mieszczą się w Kanale Panamskim - wyjaśniła Britton. - Wolimy Przyładek Dobrej Nadziei, jednak czasami trzeba także zmierzyć się z Hornem.

- Jest to jeden z powodów, dla których wynajęliśmy kapitan Britton. Morze wokół przyładka bywa bardzo zdradliwe.

Lloyd pokiwał głową, wciąż przypatrując się Britton. Zareagowała, posyłając mu chłodne spojrzenie i zupełnie się nie przejmując panującym wokół pandemonium.

- Czy wiadomo pani, jak niezwykle ładunek ma przewieźć ten statek? Pokiwała twierdząco głową.

- Ma pani coś przeciwko temu? Popatrzyła mu w oczy.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Dziwny błysk w jej wzroku nasunął Lloydowi podejrzenie, że jest zupełnie inaczej. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, jednak Glinn nie dopuścił go do głosu.

- Chodźmy - powiedział łagodnym tonem. - Pokażę panu łożysko dla pańskiego meteorytu.

Gestem nakazał Lloydowi, żeby ruszył przed nim. Teraz zaczęli przechodzić pomostem bezpośrednio nad górnym pokładem, nad którym snuł się dym z silników dieslowskich. Część pokładu zdemontowano, przez co w statku powstała wielka dziura, widoczna tylko z góry. Na jej skraju stał Manuel Garza, główny inżynier EES. W jednej ręce trzymał krótkofalówkę, przytykając jej głośnik do ucha, a drugą gestykulował. Zobaczywszy gości niemal nad swoją głową, pomachał do nich.

Wejrząwszy do otwartej dziury w kadłubie, Lloyd dostrzegł zaskakująco skomplikowaną strukturę o elegancji kryształowej kraty. Promienie żółtawego światła sodowego wzdłuż jej brzegów sprawiały, że ciemne wnętrze lśniło i skrzyło niczym głęboka, zaczarowana grotka.

- To jest ładownia dla meteorytu? - zapytał Lloyd.

- Nie ładownia, ale raczej zbiornik. Środkowy zbiornik tankowca, numer trzy, żeby być precyzyjnym. Umieścimy meteoryt na samym środku stępki, żeby zapewnić maksymalną stabilność. Będziemy mieli do niego łatwy dostęp, ponieważ zainstalowaliśmy specjalne drzwi po obu stronach zbiornika.

Miejsce, na którym miał spocząć meteoryt, znajdowało się daleko pod stopami Lloyd'a. Oślepiony światłem docierającym z ładowni bezwiednie zamrugał oczyma.

- Cholera jasna, przecież połowa zabezpieczeń jest wykonana z drewna! - zawołał.

Kąciaki ust Glinna wygięły się w szerokim uśmiechu.

- Drewno, panie Lloyd, jest ulubionym materiałem wszystkich inżynierów.

Lloyd potrząsnął głową.

- Drewno? I drewno ma utrzymać w miejscu bryłę o wadze dziesięciu tysięcy ton? Nie wierzę.

- Właśnie drewno idealnie się do tego nadaje. Pod naciskiem lekko ustępuje, ale nigdy się nie odkształca. Ma tendencje do wpijania się w ciężkie przedmioty, przytrzymując je w miejscu. Rodzaj zielonego dębu, z którego korzystamy, w końcowej fazie obróbki epoksydowanego, jest znacznie mocniejszy i bardziej sprężysty niż stal. Poza tym drewno można obcinać i kształtować tak, aby dokładnie je dopasować do kształtu kadłuba. Drewno nie przebije kadłuba na wzburzonym morzu, no i nie podlega takiemu zmęczeniu jak stal.

- Ale dlaczego przygotowanie go jest takie skomplikowane?

- Musieliśmy rozwiązać pewien mały problem - powiedział Glinn. - Przy ciężarze dziesięciu tysięcy ton meteoryt musi na swoim miejscu w ładowni zostać całkowicie unieruchomiony. Jeśli w drodze powrotnej do Nowego Jorku „Rolvaaag” napotka złą pogodę, nawet najmniejsze przesunięcie meteorytu może zdestabilizować statek do tego stopnia, że zatoni. Sieć drewnianych belek nie tylko przytrzyma meteoryt w jednym, stałym miejscu, ale też równomiernie rozłoży jego wagę w kadłubie, sprawiając, że statek będzie się zachowywał tak, jakby po prostu przewoził płynny ładunek.

- Imponujące - stwierdziła Britton. - A czy wziął pan pod uwagę wewnętrzne stelaże i przedziały?

- Tak. Doktor Amira jest geniuszem, jeśli chodzi o obliczenia matematyczne. Przygotowała kalkulację, która wymagała dziesięciu godzin pracy naszego superkomputera Cray T3D. Ale komputer dokładnie wykonał obliczenia, o które chodziło. Oczywiście, nie zakończymy pracy, dopóki nie poznamy dokładnych kształtów meteorytu. Jednak przygotowaliśmy się do tego na podstawie szacunkowych danych pana Lloyda. A kiedy już wydobędziemy z ziemi to, czego poszukujemy, zbudujemy wokół meteorytu drugą kołyskę, swoje łóżysko, i tę wsuniemy do pierwszej.

Lloyd pokiwał głową.

- A co robią ci ludzie? - Wskazał na sam dół ładowni, gdzie zastęp robotników, ledwie widocznych, wycinał palnikami acetylenowymi fragment samego spodu kadłuba.

- Rampa awaryjna - odparł Glinn obojętnie. Lloyd poczuł, jak ogarnia go irytacja.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Już o tym dyskutowaliśmy - zauważył Glinn. Lloyd starał się, żeby jego głos brzmiał przekonująco.

- Posłuchaj mnie, Eli. Jeżeli otworzycie dno statku, żeby wypieprzyć meteoryt do wody w samym środku burzy, ten cholerny statek i tak zatoni. Przecież każdy idiota to zrozumie.

Glinn wbił w niego nieprzeniknione szare oczy.

- Kiedy otworzymy dno, wystarczy mniej niż sześćdziesiąt sekund, żeby wyrzucić skałę i z powrotem zamknąć właz. Tankowiec w ciągu sześćdziesięciu sekund nie zatoni, niezależnie od tego, jak bardzo będzie wzburzony ocean. Wręcz przeciwnie, gwałtowny potok wody, która przedostanie się do kadłuba, w rzeczywistości zrekompensuje nagłą utratę balastu, spowodowaną wyrzuceniem meteorytu. Doktor Amira pracowała także nad tym. I nie były to akurat najbardziej skomplikowane z jej obliczeń.

Lloyd bez trudu wytrzymał jego spojrzenie. Doszedł do wniosku, że Glinnowi sprawia niewątpliwą przyjemność myśl, że zupełnie bezkarnie będzie mógł posłać bezcenny meteoryt na dno Atlantyku.

- Powiem tylko jedno. Ktokolwiek wyrzuci mój meteoryt przez tę pięprzoną rampę awaryjną, będzie się mógł uważać za martwego.

Kapitan Britton roześmiała się dźwięcznym śmiechem, który uniósł się wysoko nad kadłubem statku. Obaj mężczyźni popatrzyli na nią wyczekująco.

- Niech pan nie zapomina, panie Lloyd, że na razie ten meteoryt jeszcze do nikogo nie należy - powiedziała po chwili rzeczowym tonem. - Poza tym pomiędzy nami a nim znajduje się mnóstwo wody morskiej.

NA POKŁADZIE „ROLVAAGA”

26 czerwca, godz. 00.35

McFarlane przeszedł pod niskim sklepieniem, starannie zamknął za sobą stalowe drzwi i wszedł na górny pokład. Było to najwyższe miejsce na statku i rozpościerał się z niego widok, jakby się znajdowało na dachu świata. Łagodna powierzchnia Atlantyku skrzyła się teraz ponad sto stóp pod jego butami. Lekki wiatr niósł ze sobą odległe popiskiwanie mew i wspaniały zapach oceanu.

McFarlane podszedł do barierki ograniczającej pokład z przodu i mocno zacisnął na niej dłonie. Pomyślał, że przez kilka lub kilkanaście kolejnych tygodni ten wielki statek będzie jego domem. Dokładnie pod stopami miał mostek. Poniżej mostka rozciągał się zupełnie pusty pokład, pozostawiony w takim stanie, nie wiadomo dlaczego, przez Glinna. Jeszcze niżej były wygodne kwatery przeznaczone dla wyższych oficerów. Całe sześć pięter poniżej McFarlane widział główny pokład, mający od rufy po dziób długość jednej szóstej mili. Od czasu do czasu o dziób rozbijała się jakaś większa fala, spryskując pokład kroplami wody połyskującymi światłem gwiazd. Na pokładzie pozostawiono nienaruszoną całą sieć rur i zaworów, przeznaczonych do tankowania ropy, jednak w tym gąszczu znalazło się miejsce dla mnóstwa różnych starych kontenerów, mieszczących laboratoria i warsztaty. Z góry wyglądały jak klocki, którymi jeszcze przed chwilą bawiły się dzieci.

Za kilka minut, pomyślał McFarlane, będzie obowiązkowo musiał zejść na „wieczorny lunch”, pierwszy oficjalny posiłek od wyjścia statku w morze. Wcześniej postanowił, że odwiedzi na chwilę to miejsce, żeby się przekonać, iż wyprawa naprawdę się rozpoczęła.

Mocno wciągnął powietrze, próbując nim właśnie wyczyścić głowę z ostatnich zwariowanych dni, budowania laboratoriów i do znudzenia powtarzanego testowania wyposażenia. Mocniej zacisnął dłonie na barierce; zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest tym wszystkim zmęczony. Co więcej, jeszcze kilka dni temu nawet perspektywa celi w więzieniu w Chile zdawała się wizją miłego odpoczynku, niezwykle kuszącą w sytuacji, gdy w trakcie przygotowań do podróży uparty, nachalny i niestrudzony Lloyd bezustannie patrzył wszystkim swoim ludziom na ręce, ciągle się o coś dopytując, próbując wnikać nawet w najbardziej trywialne szczegóły. Cokolwiek mieli napotkać u celu podróży, na cokolwiek natrafił Nestor Masangkay, teraz przynajmniej byli już w drodze.

McFarlane odwrócił się i zrobił sobie jeszcze długi spacer do tylnej części pokładu. Mimo że z wnętrza statku bezustannie docierał delikatny pomruk silników, tutaj w ogóle nie czuło się ich wibracji. W oddali widoczne były światła latarni morskiej na przylądku May: jeden błysk długi, jeden krótki. Po tym, jak Glinn skompletował sobie tylko znanym sposobem wszystkie papiery potrzebne do opuszczenia portu, wypłynęli z Elizabeth pod osłoną nocy, starając się do samego końca działać w jak największym sekrecie. Mieli najpierw płynąć głównym korytarzem żeglugowym i dopiero po opuszczeniu szelfu kontynentalnego skręcić na południe. Za pięć tygodni, o ile wszystko pójdzie zgodnie z planem, znów zobaczą światła tej samej latarni. McFarlane zaczął się zastanawiać, co będzie, jeśli ich wyprawa naprawdę zakończy się sukcesem. Już sobie wyobrażał głośne protesty środowiska, może nawet zmovę naukowców przeciwko nim, lecz przede wszystkim własną dumę i oczyszczenie z grzechów, które popełnił w przeszłości.

Uśmiechnął się z cynizmem sam do siebie. Życie wcale nie było takie proste. Łatwiej było mu wyobrazić sobie, jak znów wędruje po pustyni Kalahari, może trochę bogatszy i lepiej odżywiony po tygodniach korzystania z doskonałej kuchni na statku, i szuka Buszmenów, pojawiających się od czasu do czasu jak zjawy, w kolejnej wyprawie po Okavango. Poza tym nikt i nic nie zmaże już tego, co uczynił Nestorowi. Tym bardziej teraz, kiedy jego stary przyjaciel i partner nie żył.

Popatrzwszy bez zainteresowania w kierunku rufy, McFarlane zdał sobie niespodziewanie sprawę, że w powietrzu unosi się jeszcze jeden zapach: zapach tytoniu. Rozejrzał się i zrozumiał, że na górnym pokładzie nie jest już sam. W pewnej odległości od

siebie dostrzegł czerwony punkcik zapalonego papierosa. Ktoś tam stał w zupełnej ciszy. Bez wątplenia któryś ze współpasażerów, cieszący się urokiem ciepłej morskiej nocy.

Nagle czerwony punkcik poruszył się i osoba, która dotąd niezauważenie towarzyszyła McFarlane'owi na pokładzie, zaczęła iść w jego kierunku. Ze zdziwieniem rozpoznał w niej Rachel Amirę, fizyczkę Glinna i swoją rzekomą asystentkę. Pomiedzy palcami prawej ręki trzymała końcówkę grubego cygara. McFarlane westchnął w duchu z niechęcią, gdyż wcale go nie ucieszyła ta nagła inwazja w jego samotność, szczególnie ze strony tej sardonicznej kobiety.

- Cześć, szefie. Masz dla mnie jakieś polecenia?

McFarlane milczał, czując, jak na dźwięk słowa „szefie” ogarnia go złość. Nie wszedł na pokład tego statku po to, żeby być czymkolwiek szefem. Poza tym Amira nie potrzebowała żadnej niańki. Zresztą i ona nie wydawała się zadowolona z układu, jaki im obojgu narzucono. Dlaczego Glinn w ogóle to zrobił? O czym wtedy myślał?

- Trzy godziny na morzu, a ja już się nudzę. - Pomachała cygarem. - Zapalisz jedno?

- Nie, dziękuję. Wolę, żeby mi smakowała kolacja.

- Z tej kuchni na statku? Chyba jesteś masochistą. - Oparła się o barierkę obok McFarlane'a i westchnęła ze znudzeniem. - Ten statek przyprawia mnie o gęsią skórę.

- Dlaczego?

- Jest taki zimny, taki... zrobotyzowany. Kiedy myślę o pływaniu po morzach, widzę w wyobraźni mężczyzn o stalowych mięśniach, biegnących po pokładach, poruszających się w rytm głośnych rozkazów, a tymczasem? - Wskazała kciukiem ponad swoim ramieniem. - Osiemset stóp bieżących pokładu i nic się nie dzieje. Kompletnie nic. To nawiedzony statek. Opustoszały. Całą robotę wykonuje na nim komputer.

Coś w tym jest, pomyślał McFarlane. Mimo że, jak na standardy współczesnych supertankowców, „Rolvaag” zajmował miejsce zaledwie w klasie statków średnich, i tak był ogromny. Tymczasem, żeby nim kierować, potrzebna była bardzo niewielka grupa ludzi. Chociaż tym razem płynęła na nim większa liczba osób niż zazwyczaj, przede wszystkim specjaliści i inżynierowie z EES oraz dodatkowi konstruktorzy, na jego pokładach wciąż znajdowało się znacznie mniej niż sto osób. Zwyczajne statki wycieczkowe, o rozmiarach połowy „Rolvaaga”, mogły przewozić ponad dwa tysiące pasażerów i członków załogi.

- I jest taki cholernie wielki - usłyszał słowa Amiry, jakby chciała odpowiedzieć na jego myśli.

- Porozmawiaj o tym z Glinnem. Lloyd byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby mógł wydać mniej pieniędzy na mniejszą jednostkę.

- Czy wiesz - zapytała niespodziewanie Amira - że te wielkie tankowce są pierwszymi wehikulami wybudowanymi przez człowieka, na które ma wpływ ruch obrotowy Ziemi?

- Nie, dotąd o tym nie wiedziałem. - Chyba miał do czynienia z kobietą, która bardzo lubiła słuchać własnego głosu.

- Taak. Siłę ciągu silnika trzeba w nich odrobinę moderować, biorąc pod uwagę efekt Cariolisa. No, i żeby zatrzymać to cacuszko, potrzeba aż trzech mil morskich.

- Widzę, że masz doskonałą wiedzę na temat tankowców.

- Och, jestem całkiem dobra podczas koktajlowych konwersacji. - Amira wydmuchnęła w ciemność obłok dymu.

- W czym jeszcze jesteś dobra? Amira roześmiała się.

- Jestem całkiem dobra z matematyki.

- Tak słyszałem.

McFarlane odwrócił się od niej i oparł o barierkę, mając nadzieję, że Amira pojmie, co chce jej przez to przekazać.

- Cóż, przecież kiedy dorośniemy, nie możemy być wszystkie stewardesami, prawda?

- Amira przez chwilę błogosławionej ciszy w milczeniu paliła cygaro. - Hej, szefie, wiesz co?

- Byłbym wdzięczny, gdybyś nie nazywała mnie szefem.

- Ale przecież nim jesteś, co? McFarlane odwrócił się do niej.

- Posłuchaj, nie prosiłem nikogo o asystentkę. Nie potrzebuję asystentki. Tak samo jak ty nie mam na taki układ ochoty.

Amira znów wypuściła dym, a na jej ustach pojawił się lekki sardoniczny uśmiech. W jej oczach McFarlane zauważył jednak zaskoczenie.

- Mam pomysł - powiedział.

- Zamieniam się w słuch.

- Po prostu udawajmy, że nie jesteś moją asystentką.

- Co jest, zwalniasz mnie?

McFarlane westchnął, dusząc w sobie pierwszą reakcję.

- Będziemy musieli spędzać razem mnóstwo czasu. Pracujmy więc razem tak, jakbyśmy oboje byli sobie zupełnie równi, zgoda? Glinn nie musi absolutnie niczego wiedzieć o naszym układzie. A ja uważam, że dzięki niemu oboje będziemy o wiele bardziej zadowoleni z tego, co robimy.

Amira popatrzyła na wydłużający się słupek popiołu na końcu cygara, po czym wyrzuciła je do wody. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos brzmiał niemal przyjaźnie:

- To, co zrobiłeś wtedy z kanapką, zupełnie mnie rozbroiło. Rochefort to palant. Wkurzyłeś go i jeszcze na dodatek upaprałeś go dżemem. To było wspaniałe.

- Ale osiągnąłem swoje.

Amira zachichotała i wtedy McFarlane popatrzył na nią uważniej. Jej oczy lśniły w półmroku, a ciemnych włosów prawie nie było widać. Była z pewnością bardzo skomplikowaną osobą, mimo że dość udanie kryła się za fasadą niemal chłopczycy, równej kumpeli. Odwrócił wzrok i znów patrzył w morze.

- Cóż, jestem pewien, że nigdy nie zostanę dobrym kolegą Rocheforta.

- Nikt nie jest dobrym kolegą Rocheforta. To półczłowiek.

- Tak jak Glinn. Wątpię, żeby Glinn kiedykolwiek powiedział coś istotnego, nie obliczywszy przedtem wszystkich możliwych trajektorii.

Nastąpiła cisza. McFarlane zrozumiał, że dowcipem o Glinnie wywołał niezadowolenie Amiry.

- Powiem ci coś o Glinnie - rzekła. - W życiu zatrudniony był tylko w dwóch firmach. W Effective Engineering Solutions. I w wojsku.

Coś w jej głosie kazało McFarlane'owi znów na nią spojrzeć.

- Zanim przyszedł do EES, Glinn był specjalistą do spraw wywiadu w Siłach Specjalnych. Przesłuchiwanie więźniów, ocena fotografii lotniczych, wybuchy podwodne, takie tam różności. Był szefem drużyny A. Przeszedł służbę w jednostkach powietrznodesantowych, a potem w rangersach. Podczas wojny wietnamskiej zawiadywał projektem Feniks.

- Interesujące.

- Cholernie interesujące - odparła Amira niemal gwałtownie. - Przed akcją zawsze przeprowadzali staranne symulacje sytuacji bojowych. Z tego, co powiedział mi Garza, dzięki temu ginęło bardzo mało ludzi.

- Garza?

- Był inżynierem specjalistą w drużynie Glinna. Jego zastępcą. Pewnego dnia Glinn, zamiast wykonać kolejną dobrą robotę, wszystko rozpieprzył.

- Garza ci o tym powiedział? Amira zawahała się.

- Część opowiedział mi sam Eli.

- Co więc się stało?

- Jego drużyna została rozbita podczas próby zabezpieczenia mostu na granicy z Kambodżą. Dostali złe informacje od wywiadu na temat rozmieszczenia wroga. Eli stracił całą drużynę, wszystkich, z wyjątkiem Garzy. - Amira wsunęła rękę do kieszeni, wyciągnęła

jakiś zapomniany orzeszek i niemal wrzuciła go sobie do ust. - A teraz Glinn jest szefem EES. I wszystkie informacje zbiera osobiście. Sądzę więc, Sam, że chyba źle go odebrałeś.

- Zdaje się, że wiesz o nim bardzo wiele.

Oczy Amiry niespodziewanie jakby zaszyły mgłą. Zaraz jednak wzruszyła ramionami, po czym uśmiechnęła się. Żarliwość opuściła jej twarz tak szybko, jak się na niej pojawiła.

- Mamy stąd piękny widok - powiedziała kobieta, wskazując głową w kierunku światła przyładka May. Było już bardzo słabe, mimo przejrzystego, aksamitnego nocnego powietrza; ich ostatni kontakt z Ameryką Północną.

- Rzeczywiście - odparł McFarlane.

- Założysz się, ile mil odpłynęliśmy od latarni morskiej? McFarlane zmarszczył czoło.

- Słucham?

- Taki mały zakład. O naszą odległość od tej latarni.

- Nie lubię zakładów. Poza tym pewnie zapisałeś sobie na ręce jakiś tajemny wzór matematyczny, żeby to szybko obliczyć.

- Masz rację. - Amira wyciągnęła z kieszeni następne orzeszki i wsunęła je do ust. - A więc?

- Co „a więc”?

- Znajdujemy się na statku zmierzającym na koniec świata, żeby wyciągnąć z ziemi największy meteoryt, jaki kiedykolwiek widział człowiek. A więc, panie Łowco Meteorytów, co pan tak naprawdę myśli?

- Myślę... - zaczął McFarlane, ale zaraz urwał. Zdał sobie sprawę, iż jeszcze nie może sobie pozwolić na zbyt wielką nadzieję, że ta druga szansa która w końcu spadła mu jak z nieba, przyniesie upragniony rezultat - Myślę - powiedział zatem głośno - że najlepiej będzie, jeżeli zejdziemy na kolację. Jeśli się spóźnimy, nasza pani kapitan najprawdopodobniej zmyje nam głowy. A na tankowcu to nie jest żart.

„ROLVAAG”

26 czerwca, godz. 00.55

Wyszli z windy na pokład rufowy. Tutaj, pięć pokładów bliżej silników, McFarlane był już w stanie wyczuć głęboką, regularną wibrację, słabą, lecz wyraźnie wyczuwalną w uszach i w kościach.

- Tędy - powiedziała Amira, wskazując na niebiesko-biały korytarz. McFarlane podążył za nią, przez cały czas uważnie patrząc na boki. Większość nocy na tym statku, które spędził w suchym doku, przebywał w kontenerowych laboratoriach i teraz właściwie po raz pierwszy wstępował do jego ogromnych pomieszczeń. Doświadczenie przypominało mu, że

wszystkie statki są zagraconymi, ciasnymi strukturami, w których można się nabawić jedynie klaustrofobii. Ale „Rolvaag” zdawał się zbudowany zupełnie w innej skali. Przejścia były szerokie, kabiny mieszkalne i wszelkie pomieszczenia rozległe i wyłożone grubymi dywanami. Zaglądając za kolejne drzwi, zauważył kino z dużym ekranem, z krzesłami dla mniej więcej pięćdziesięciu osób, oraz bibliotekę o ścianach obitych piękną boazerią. Kiedy skręcili o dziewięćdziesiąt stopni, Amira otworzyła pierwsze drzwi i oboje znaleźli się w jadalni.

McFarlane zatrzymał się. Spodziewał się zwyczajnej stołówki, jakich widział na statkach już wiele, gdzie jada się w pośpiechu i byle co. „Rolvaag” jednak jeszcze raz go zaskoczył. Mesa oficerska była przestronną salą, rozciągającą się niemal na całą szerokość kadłuba. Przez jej wielkie okna rozpościerał się widok na kilwater i białą pianę wody spienionej przez śruby. W całym pomieszczeniu ustawiono mniej więcej tuzin okrągłych stołów, przykrytych płóciennymi obrusami i udekorowanych wazonami ze świeżymi kwiatami. Stewardzi podający do stołu, ubrani w wykrochmalone uniformy, stali w oczekiwaniu na swoich pozycjach. McFarlane poczuł się w tych okolicznościach niezbyt dobrze ubrany.

Ludzie zaczęli się już kierować do stołów. McFarlane’a uprzedzono, że na statku rozmieszczenie poszczególnych osób przy stołach będzie podlegało ścisłemu protokołowi, przynajmniej podczas pierwszego posiłku, i powinien dziś zająć miejsce przy stoliku kapitańskim. Rozglądając się, dostrzegł Glinna stojącego przy stoliku ustawionym najbliżej okien. Ruszył w jego kierunku po wypolerowanej, lśniącej podłodze z desek dębowych.

Glinn czytał jakąś niewielką książeczkę, którą, spostrzegłszy McFarlane’a i Amirę, wsunął do kieszeni marynarki. Uczynił to jednak nie na tyle szybko, żeby McFarlane nie mógł dostrzec jej tytułu: *Wiersze wybrane* W.H. Auden. Glinn nigdy nie sprawiał wrażenia mężczyzny, który lubi poezję. McFarlane doszedł do wniosku, że od samego początku ocenia go zupełnie błędnie.

- Co za luksus - odezwał się. - Kto by się spodziewał czegoś takiego na tankowcu?

- Prawdę mówiąc, na takim statku to prawie standard - odpowiedział mu Glinn. - Na wielkich jednostkach nigdy nie brakuje przestrzeni. A są one tak kosztowne w utrzymaniu, że właściwie w ogóle nie spędzają czasu w portach. To oznacza, że załoga przebywa na pokładzie bez przerwy nieraz przez wiele długich miesięcy. Opłaca się trochę zainwestować, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Przy stołach zaczęło się pojawiać coraz więcej ludzi i rósł poziom hałasu w jadalni. McFarlane rozejrzał się szybko po twarzach techników, oficerów i specjalistów z EES.

Wydarzenia minionych dni rozgrywały się w tak błyskawicznym tempie, że w tej chwili rozpoznawał jedynie kilkanaście spośród siedemdziesięciu kilku osób zgromadzonych w pomieszczeniu.

Nagle w całej mesie zaległa cisza. Kiedy McFarlane spojrział w kierunku drzwi, akurat przechodziła przez nie Sally Britton, kapitan „Rolvaaga”. Wiedział już, że kapitan statku jest kobietą, ale zaskoczył go zarówno jej młody wiek - z pewnością nie miała więcej niż trzydzieści pięć lat - jak i dostojny wygląd. Poruszała się z naturalną godnością. Ubrana była w nienagannie skrojony mundur: niebieską kurtkę ze złotymi guzikami i wykrochmaloną oficerską spódniczkę. Jej kształtne ramiona zdobiły złote kapitańskie dystynkcje. Podeszła do swojego stolika starannie wystudowanym krokiem, który emanował wielką kompetencją, ale też czymś jeszcze. Zapewne, pomyślał McFarlane, żelazną wolą.

Pani kapitan zajęła swoje miejsce, po czym przez chwilę, kiedy pozostałe osoby zgromadzone w jadalni siadały przy wyznaczonych stolikach, słychać było szuranie przestawianych krzeseł. Britton zdjęła czapkę, ukazując krąg gęstych jasnych włosów, i położyła go na małym bocznym stoliku, prawie na pewno specjalnie przygotowanym w tym celu. Kiedy McFarlane przyjrzał się jej bliżej, dostrzegł w oczach kobiety jakby znużenie, które zdawało się o wiele poważniejsze niż jej wiek.

Podszedł do niej pewien mężczyzna w mundurze oficerskim, o siwiejących włosach i wyszeptał kilka słów do jej ucha. Był wysoki, chudy i miał ciemne oczy, głęboko osadzone w jeszcze ciemniejszych oczodołach. Britton skinęła głową i oficer cofnął się, taksując wzrokiem osoby zgromadzone przy jej stole. Jego płynne, harmonijne ruchy przywodziły McFarlane'owi na myśl wielkiego drapieżnika.

Britton wskazała na niego otwartą dłonią.

- Pozwólcie państwo, że przedstawię wam pierwszego oficera na „Rolvaagu”, pana Victora Howella.

W sali rozległo się ciche mormorando pozdrowień, a mężczyzna skinął głową, po czym wycofał się na swoje miejsce przy sąsiednim stole. Tymczasem odezwał się Glinn.

- Czy mogę dokończyć prezentację? - zapytał.

- Oczywiście - odparła pani kapitan. Miała dźwięczny, urywany głos, w zasadzie bez śladu jakiegokolwiek lokalnego akcentu.

- To jest specjalista do spraw meteorytów z Muzeum Lloyda, doktor Sam McFarlane.

Kapitan uścisnęła jego rękę ponad stołem.

- Sally Britton - powiedziała. Miała chłodną i silną dłoń. Wreszcie McFarlane usłyszał u niej cień akcentu ze Szkocji. - Witam na pokładzie, doktorze McFarlane.

- A to jest doktor Rachel Amira, matematyczka mojego zespołu - kontynuował Glinn, przedstawiając osoby zgromadzone wokół stołu zgodnie z ruchem wskazówek zegara. - Z kolei pan Eugene Rochefort, główny inżynier.

Rochefort krótko i jakby nerwowo skinął głową. Czujnymi i inteligentnymi oczami rzucał na boki szybkie spojrzenia. Ubrany był w niebieską marynarkę, którą można by nawet uznać za elegancką, gdyby nie fakt, że była wykonana z poliestru i dziwnie lśniła w blasku jaskrawych lamp jadalni. Wzrok Rocheforta na moment zatrzymał się na twarzy McFarlane'a, po czym znowu uciekł gdzieś w bok. Rochefort wydawał się chory, kiedy musiał dłużej patrzeć w jedno miejsce.

- To jest doktor Patrick Brambell, nasz lekarz okrętowy. Dalekie morza nie są mu obce.

Brambell posłał zgromadzonym promienny uśmiech i skłonił się lekko na japońską modłę. Był starszym mężczyzną, na pierwszy rzut oka sprawiającym wrażenie drobnego krętacza. Miał ostre rysy, głębokie poziome zmarszczki na czole, chude opadające ramiona i głowę tak nieskazitelnie okrągłą, jakby wykonano ją z porcelany.

- Pracował pan już jako lekarz na statkach? - zapytała Britton grzecznym tonem.

- Pomocy medycznej udzielam jedynie na pełnym morzu - odparł Brambell. Miał cierpki głos, z wyraźnym irlandzkim akcentem.

Britton skinęła głową, jednocześnie rozprostowując serwetkę, którą zaraz rozłożyła na kolanach. Jej ruchy i sposób, w jaki prowadziła rozmowę, zdawały się niezwykle oszczędne, jakby koncentrowała się na maksymalnej wydajności przy zaangażowaniu minimum środków. Była chłodna i opanowana, co zdawało się MacFarlane'owi po prostu postawą obronną. Kiedy brał do ręki swoją serwetkę, zauważył kartę z menu umieszczoną na stole w srebrnym stojaku. Przeczytał: *consommé Olga, jagnię vinaloo, kurczak po lyońsku, tiramisu*. Cicho gwizdnął.

- Nie odpowiada panu nasze menu, doktorze McFarlane? - zapytała Britton.

- Wręcz przeciwnie. Spodziewałem się zaledwie sałatki z jajkiem i kanapek oraz lodów pistacjowych.

- Smaczne posiłki na statku to dobra tradycja - powiedziała Britton. - Szef naszej kuchni, pan Singh, jest jednym z najlepszych w całej flocie handlowej na świecie. Jego ojciec gotował dla brytyjskiej admiralicji.

- Nie ma nic lepszego, jak dobre *vinaloo*, żeby człowiekowi przypomnieć o jego śmiertelności - stwierdził Brambell.

- Zaczniemy od rzeczy najważniejszych - niespodziewanie odezwała się Amira, zacierając ręce i rozglądając się dookoła. - Gdzie jest steward od napojów? Marzę o dobrym koktajlu.

- Wspólnie wypijemy jedną butelkę - odparł Glinn, wskazując na otwartą butelkę chateau margaux, stojącą obok wazonu z kwiatami.

- Sympatyczne wino. Ale nie ma to jak wytrawne martini przed kolacją. Nawet jeśli kolację podaje się o północy. - Amira roześmiała się.

Glinn odrobinę podniósł głos.

- Przykro mi, Rachel, ale na tym statku mocne alkohole są zabronione. Amira popatrzyła na Glinna.

- Mocne alkohole zabronione? - powtórzyła i jeszcze raz parsknęła śmiechem. - To coś nowego, Eli. Czyżbyś zapisał się do jakiegoś kółka różańcowego?

Glinn kontynuował, nie zbity z tropu.

- Kapitan pozwala nam na jedną szklankę wina przed kolacją lub w jej trakcie. I zapewniam cię, że na tym statku naprawdę nie ma mocnych alkoholi.

W głowie Amiry jakby wreszcie zapaliła się jakaś żaróweczka. Nagle z jej twarzy zniknęło rozbawienie i zaczerwieniła się zakłopotana. Popatrzyła na Britton i uciekła wzrokiem.

- Och! - wymknęło się jej.

Podążając za wzrokiem Amiry, McFarlane dostrzegł, że skóra kapitan Britton nieco pobrała pod opalenizną.

Glinn wciąż wpatrywał się w Amirę, która zdawała się czerwienić coraz bardziej.

- Jestem pewien, że bordeaux, które podano, jest na tyle doskonałe, iż zrekompensuje nam wszystkim brak mocnych trunków.

Amira milczała. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że jest bardzo zakłopotana.

Britton wzięła do ręki butelkę i napełniła winem wszystkie kieliszki stojące na stoliku z wyjątkiem swojego. McFarlane pojął, że wszyscy oprócz niego znają jakąś tajemnicę. Kiedy steward postawił przed nim talerz z *consommé*, zanotował w myślach, że później będzie musiał wypytać Amirę na temat ostatniego zajścia.

Rozmowy przy sąsiednich stolikach stały się coraz głośniejsze i szybko wypełniły krótką, lecz nieprzyjemną ciszę. Przy jednym z nich Manuel Garza smarował masłem kawałek chleba i głośno śmiał się z jakiegoś dowcipu.

- Jak to jest, kiedy się dowodzi takim dużym statkiem? - zapytał McFarlane.

Było to nie tylko proste grzecznościowe pytanie. Coś w postawie Britton intrygowało go. Bardzo pragnął się dowiedzieć, co naprawdę się kryje pod czarującym uśmiechem doskonale pięknej kobiety.

Britton nabrała na łyżkę odrobinę *consommé*.

- Pod wieloma względami te nowe tankowce właściwie same się prowadzą. Wystarczy nadzorować załogę, żeby wszyscy jej członkowie dokładnie wypełniali swoje obowiązki, a kiedy sytuacja tego wymaga, żeby kompetentnie rozwiązywali powstające problemy. Te statki nie lubią płytkiej wody, nie lubią zmieniać kierunku i nie lubią niespodzianek. - Opuściła łyżkę. - Moja praca polega na pilnowaniu, żeby nie natykać się na niespodzianki. No, właśnie... - Popatrzyła na Glinna. - Jeśli mowa o niespodziankach, chciałabym poprosić pana o przysługę. Nasza wyprawa jest raczej... cóż, niezwykła. Załoga rozmawia o tym pomiędzy sobą. Ludzie mają pewne pytania.

Glinn skinął głową.

- Oczywiście. Jutro, kiedy zgromadzi pani wszystkich razem, porozmawiam z nimi.

Britton pokiwała głową, zadowolona z odpowiedzi. Powrócił steward i w milczeniu zaczął stawiać przed wszystkimi nowe, czyste talerze. Po chwili nad stołami uniósł się aromatyczny zapach curry i tamaryndowca. McFarlane wbił widelec w *vindaloo* i już po sekundzie czy dwóch zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie jadł dania o tak płomiennym smaku.

- Mój Boże, to jest doskonale - mruknął Brambell.

- Ile razy opłynęła pani Horn? - zapytał McFarlane. Niemal jednocześnie upił spory łyk wody. Poczul, jak na jego czole pojawia się pot.

- Pięć - odparła Britton. - Ale te podróże odbywały się zawsze w środku lata na południowej półkuli, kiedy prawdopodobieństwo napotkania złej pogody było mniejsze.

Coś w jej głosie sprawiło, że McFarlane poczuł się trochę niepewnie.

- Ale jednostka tak duża i potężna jak nasza nie musi chyba obawiać się sztormów, prawda?

Britton lekko się uśmiechnęła.

- Regionu przyładka Horn nie da się porównać z żadnym innym miejscem na Ziemi. Wichury i sztormy są tutaj na porządku dziennym. Zapewne słyszał pan o osławionych minitornadach?

McFarlane pokiwał głową.

- Cóż, pojawia się tam także inny wiatr, o wiele bardziej śmiertcionośny, chociaż znacznie mniej znany. Miejscowi nazywają go *panteonero*, „wiatr cmentarny”. Bywa, że

przez kilka dni wieje bez chwili przerwy z prędkością stu węzłów. Swoją nazwę zawdzięcza przekonaniu, że wywiewa marynarzy prosto do ich grobów.

- Mam jednak nadzieję, że nawet najsilniejszy wiatr nie jest w stanie uszkodzić tak potężnego statku jak „Rolvaag”. Prawda? - zapytał McFarlane.

- Tak długo, jak długo statek jest sterowny, nic mu nie grozi. Jednak wiatr cmentarny zwiewał już bezbronne jednostki aż do Ryczących Sześćdziesiątek; nazywamy tak obszar otwartego oceanu pomiędzy Ameryką Południową a Antarktydą. Dla marynarzy jest to najgorsze miejsce na ziemi. Powstają tam gigantyczne fale, które mogą okrążyć nasz glob, nie zahaczając o ląd. Z każdą chwilą rosną, czasami osiągając aż do dwustu stóp wysokości.

- Jezu - jęknął McFarlane. - Czy kiedykolwiek pływała pani pomiędzy nimi?

Britton potrząsnęła przecząco głową.

- Nie - odparła. - Nie pływałam i nie zamierzam pływać. - Na chwilę urwała. Następnie zwinęła serwetkę i popatrzyła na McFarlane'a ponad stołem. - Słyszał pan kiedykolwiek o kapitanie Honeycutcie?

McFarlane przez chwilę się zastanawiał.

- Angielskim marynarzu? Britton pokiwała głową.

- W roku 1607 wyruszył czterema statkami z Londynu, kierując się na Pacyfik. Trzydzieści lat wcześniej Drake opłynął Horn, jednak podczas ekspedycji stracił pięć z sześciu okrętów. Honeycutt koniecznie chciał udowodnić, że taką wyprawę można odbyć, nie tracąc ani jednej jednostki. Dotarłszy do cieśniny Le Maire, natrafili na paskudną pogodę. Załoga błagała Honeycutta, żeby zawrócił. On jednak ani myślał się wycofywać. Kiedy wreszcie opłynęli Horn, dopadła ich niewyobrażalna wichura. Dwie ogromne fale - Chilijczycy nazywają je *tigres* - w ciągu niecałej minuty zatopiły dwa statki. Kolejne dwa straciły maszty. Przez kilka dni kadłuby dryfowały na południe, pchane przez potężny wiatr ku granicy wiecznego lodu.

- Granicy wiecznego lodu?

- To linia, na której wody południowych oceanów spotykają się z lodem powstałym na wodach otaczających Antarktydę. Oceanografowie nazywają to zjawisko konwergencją antarktyczną. Tam właśnie zaczyna się lód. W każdym razie pewnej nocy statki Honeycutta uderzyły burtami o lodową wyspę.

- Jak „Titanic” - powiedziała Amira cicho. Były to jej pierwsze słowa od kilku minut.

Kapitan Britton popatrzyła na nią.

- To nie była góra lodowa, lecz wyspa lodowa. Góra lodowa, która zniszczyła „Titanica”, to kostka lodu w porównaniu z tym, co można spotkać poza granicą lodu. Wyspa,

o którą roztrzaskały się statki Honeycutta, miała prawdopodobnie powierzchnię o rozpiętości dwudziestu na czterdzieści mil.

- Powiedziała pani „czterdzieści”? - zapytał McFarlane.

- W przeszłości odnotowywano już istnienie znacznie większych wysp lodowych; niektóre były nawet większe od wielu znanych nam państw. Są widoczne z przestrzeni kosmicznej. To wielkie lodowe płaszczyzny, oderwane od antarktycznego szelfu lodowcowego.

- Jezu.

- Spośród mniej więcej stu ludzi Honeycutta, którzy dotąd żyli, około trzydziestu zdołało wczłgać się na wyspę. Zebrali trochę drewna ze statków, które wyrzucił ocean, i rozniecili małe ognisko. W ciągu następnych dwóch dni połowa z nich zmarła z powodu wyziębienia organizmów. Ognisko powoli pogrążało się coraz głębiej w topniejącym lodzie. Ludzi zaczynały dopadać halucynacje. Niektórzy twierdzili, że widzieli, jak wielkie stwory o śnieżnobiałych futrach i czerwonych zębach brały w paszcze kolejnych członków załogi i odnosiły ich gdzieś w dal.

- Dobry Boże - powiedział Brambell, przerwawszy na chwilę jedzenie. - Jakbym czytał Edgara Allana Poe *Opowieść Artura Gordona Pyma*.

Britton przerwała swój wywód i skierowała na niego spojrzenie.

- Ma pan całkowitą rację - odrzekła. - Właśnie dzięki tamtym wydarzeniom wpadł na pomysł stworzenia swego dzieła. Stwory, mawiano, zjadały uszy, palce rąk i nog oraz kolana tych ludzi, pozostawiając resztę poszarpanych zwłok na lodzie.

Śluchając kapitan Britton, McFarlane zdał sobie sprawę, że rozmowy przy najbliższych stołach całkowicie zamarły.

- W ciągu dwóch tygodni żeglarze kolejno umierali, jeden po drugim. Wkrótce pozostało ich tylko dziesięciu, głodnych i osłabionych. Ci, którzy wciąż żyli, chwycili się jedyne go sposobu, żeby ocaleć.

Amira zrobiła krzywą minę i z głośnym brzękiem opuściła widelec na talerz.

- Chyba wiem, co teraz nastąpi - powiedziała.

- Tak. Byli zmuszeni jeść to, co żeglarze eufemistycznie nazywają „długimi świniami”. Zjadali zwłoki swoich martwych towarzyszy.

- Urocze - westchnął Brambell. - Rozumiem, że jeśli dobrze przyrządzić ludzkie mięso, bywa lepsze od wieprzowiny. Naturalnie, daleko mu do cielęcinki.

- Prawdopodobnie tydzień później jeden z tych, którzy przeżyli, zauważył zbliżające się do wyspy szczątki jakiegoś statku. Była to część rufowa jednej z ich dwóch jednostek,

które przełamały się podczas burzy. Rozbitkowie zaczęli się kłócić. Honeycutt i kilku innych chcieli wypłynąć na tym wraku z wyspy. Jednak wrak znajdował się tak daleko przy wysokim i stromym brzegu, że po prostu nie można się było na niego dostać. W końcu tylko Honeycutt, jego kwatermistrz i jeden z marynarzy podjęli ryzyko. Kwatermistrz zginął w lodowatej wodzie, ale Honeycutt i marynarz dotarli na wrak. Tego wieczoru, kiedy po raz ostatni popatrzyli na potężną lodową wyspę, odnieśli wrażenie, że odpływa ona w kierunku Antarktydy. Gdy znikła we mgle, dostrzegli jeszcze futrzastego stwora rozdzierającego na strzępy pozostałych rozbitków.

Trzy dni później wrak roztrzaskał się na podwodnych skałach, otaczających wyspę Diego Ramireza, na południowy zachód od Hornu. Honeycutt utonął i jedynie marynarz dopłynął do brzegu. Żywił się tylko wyłącznie tym, co znalazł na wyspie. Bezustannie podtrzymywał ogień w słabej nadziei, że któregoś dnia dostrzeże go załoga jakiegoś przypadkowego statku. Nadzieja ta ziściła się: po sześciu miesiącach sygnały dostrzeżono na jakimś hiszpańskim okręcie, który go zabrał na pokład.

- Na pewno się ucieszył, kiedy go zobaczył - powiedział McFarlane.

- I tak, i nie - odparła Britton. - Anglia znajdowała się wówczas w stanie wojny z Hiszpanią. Następne dziesięć lat marynarz spędził w lochu w Kadyksie. Kiedy wreszcie odzyskał wolność, wrócił do swojej rodzinnej Szkocji, pojął za żonę pannę o dwadzieścia lat młodszą od siebie i resztę życia spędził na farmie, starając się nigdy nie zbliżyć do brzegu morza. - Britton zamilkła, gładząc końcami palców grube płótno. - Tym marynarzem był - dokończyła cicho - William McKyle Britton. Mój przodek.

Upiła łyk wody, otarła usta chustką i skinęła na stewarda, żeby przyniósł jej następne danie.

„ROLVAAG”

27 czerwca, godz. 15.45

McFarlane opadł się o barierkę na głównym pokładzie, wchłaniając w siebie leniwy, niemal niewyczuwalny ruch statku na falach. „Rolvaag” płynął „pod balastem”: jego ładownie tylko do połowy wypełnione były morską wodą, aby częściowo kompensować brak ładunku, dzięki czemu unosił się wysoko na wodzie. Po lewej ręce McFarlane’a znajdowała się nadbudówka rufowa, wielki biały klocek upstrzony jedynie czarnymi oczodołami iluminatorów i skrzydłami szerokiego mostka. Sto mil w kierunku zachodnim, daleko za linią horyzontu, leżały Myrtle Beach i wybrzeże Karoliny Południowej.

Na pokładzie dookoła niego zgromadziło się mniej więcej pięćdziesięciu marynarzy, którzy stanowili załogę „Rolvaaga”; raczej niewielka grupa, zważywszy na rozmiary statku.

McFarlane'a uderzały wielkie kontrasty pomiędzy nimi. Załogę stanowili Afrykanie, Portugalczycy, Francuzi, Anglicy, Amerykanie, Chińczycy i Indonezyjczycy, posługujący się w rozmowach pomiędzy sobą pół tuzinem języków. McFarlane bardziej zgadywał, niż był pewien, że taki skład załogi to nie przypadek. Miał tylko nadzieję, że mustrując ich, Glinn wiedział, co robi.

W grupie po prawej stronie rozległ się ostry śmiech i McFarlane odwrócił się w tym kierunku. Zobaczył Amirę. Była w tej chwili jedyną pracownicą EES na pokładzie. Siedziała na ławce pomiędzy Afrykanami rozebranymi do pasa. Wszyscy z ożywieniem o czymś rozmawiali, co kilka sekund wybuchając śmiechem.

Słońce powoli opadało ku subtropikalnym wodom, łącząc się z chmurami o kolorze brzoskwini, wyrastającymi niczym grzyby nad wodą, na odległym horyzoncie. Morze było łagodne i spokojne, prawie bez fal.

Otworzyły się drzwi nadbudówki i stanął w nich Glinn. Ruszył powoli wąskim środkowym pomostem, biegnącym ku dziobowi przez całą długość „Rolvaaga”. Za nim szli kapitan Britton, pierwszy oficer i jeszcze kilka innych osób spośród najważniejszych członków załogi.

McFarlane przypatrywał się pani kapitan ze wzrastającym zainteresowaniem. Cokolwiek speszona Amira opowiedziała mu po późnej kolacji całą jej historię. Dwa lata temu Britton dowodziła tankowcem, który uderzył w Rafę Trzech Braci, niedaleko Spitsbergenu. W ładowniach statek nie miał ani odrobiny ropy, jednak uszkodzenia okazały się bardzo poważne. Wyszło na jaw, że kapitan była wówczas pod wpływem alkoholu, po prostu pijana. Chociaż nie udowodniono, że to upojenie alkoholowe stało się przyczyną wypadku - ustalono, że spowodował go błąd sternika - od tego czasu nie powierzono kapitan Britton dowództwa żadnej jednostki.

Nic dziwnego, że przyjęła to zlecenie, myślał McFarlane, obserwując kapitan Britton. A poza tym Glinn musiał sobie i tak zdawać sprawę, że żaden uznany kapitan by się go nie podjął. McFarlane z zastanowieniem pokiwał głową. Glinn na pewno niczego nie pozostawiał przypadkowi, a zwłaszcza sprawy dowodzenia „Rolvaagiem”. Bez wątplenia wiele wiedział o tej kobiecie.

Amira pozwoliła sobie w tej kwestii na żart, który trochę zmieszał McFarlane'a.

- To chyba niesprawiedliwe karać cały statek za słabość jednej osoby - powiedziała do niego. - Założę się, że załoga nie jest zadowolona z tego, jakiego ma kapitana. Szklanka wina do kolacji! To dla nich zniewaga! - Skończyła, robiąc krzywą minę.

Tymczasem Glinn zatrzymał się na rampie, ponad głowami zebranych. Złożył ręce za plecami i popatrzył na wzniesione ku niemu twarze ludzi stojących na głównym pokładzie.

- Nazywam się Eli Glinn - zaczął cichym, matowym głosem. - Jestem prezesem Effective Engineering Solutions. Wielu z was zna już w zarysie cel naszej ekspedycji. Pani kapitan poprosiła mnie, żebym dorzucił do tego trochę szczegółów. Kiedy skończę, chętnie odpowiem także na wasze pytania.

Zamilkł i przez chwilę mierzył wzrokiem załogę.

- Płyniemy w kierunku południowego cypla Ameryki Południowej, aby przywieźć stamtąd do Muzeum Lloyda pewien duży meteoryt. Jeśli się nie mylimy, będzie to największy meteoryt kiedykolwiek znaleziony na Ziemi. W ładowni, jak wielu z was wie, zbudowaliśmy dla niego specjalne łożysko. Nasz plan jest bardzo prosty: rzucimy kotwicę pomiędzy wyspami przylądka Horn. Moi ludzie, z pomocą niektórych spośród was, wydobędą z ziemi meteoryt, przetransportują go na statek i umieszczą w łożysku. Następnie dostarczymy meteoryt do Muzeum Lloyda. Na chwilę przerwał.

- Pewnie część z was będzie się zastanawiać, czy nasza operacja jest legalna. Zgłosiliśmy właściwym władzom fakt, że będziemy prowadzili na konkretnej wyspie doświadczalne prace górnicze. Meteoryt to w zasadzie ruda żelaza, w związku z czym nie złamiemy żadnego prawa. Z drugiej strony może potencjalnie zaistnieć praktyczny problem wynikający z tego, że władze Chile jednak nie będą wiedzieć, iż zamierzamy wydobyć z ziemi właśnie meteoryt. Ale zapewniam was, że jest to raczej mało prawdopodobne. Wyprawę naszą przygotowaliśmy aż do najdrobniejszego szczegółu i nie spodziewamy się podczas niej żadnych trudności. Wyspy przylądka Horn są niezamieszkane. Najbliższe osiedle ludzkie znajduje się w Puerto Williams, w odległości około pięćdziesięciu mil od miejsca naszych prac. Nawet jeżeli władze Chile dowiedzą się, co robimy, będziemy w stanie za meteoryt po prostu dobrze zapłacić. Jak więc widzicie, nie ma żadnego powodu do niepokoju.

Znów umilkł, po czym dodał:

- Czy są jakieś pytania?

Natychmiast w górę wystrzeliło z dziesięć rąk. Glinn skinął na marynarza stojącego najbliżej niego, przysadzistego nafcjarza w kombinezonie tłustym od smarów.

- Co to za meteoryt? - zagrzmiął marynarz. Pomruk aprobaty poparł jego pytanie.

- Prawdopodobnie jest to bryła niklu i żelaza o masie około dziesięciu tysięcy ton. Po prostu wolno leżąca bryła metalu.

- Dlaczego jest on tak ważny?

- Jesteśmy przekonani, że mamy do czynienia z największym meteorytem, na jaki kiedykolwiek natrafił człowiek.

W górę uniosły się kolejne ręce.

- Co się stanie, jeżeli Chilijczycy nas nakryją?

- Nasza misja jest w stu procentach legalna - odparł Glinn.

Do przodu wystąpił mężczyzna w niebieskim uniformie, jeden z elektryków okrętowych.

- Wcale mi się to nie podoba - powiedział z wyraźnie wyczuwalnym akcentem z Yorkshire. Miał gęste rude włosy i równie gęstą brodę, której z pewnością nigdy nie czesał. Glinn czekał cierpliwie na jego dalsze słowa. - Jeśli cholerni Chilijczycy przyłapią nas, jak majstrujemy przy ich własności, wydarzyć się może wszystko. Jeżeli cała operacja jest w stu procentach legalna, dlaczego po prostu nie kupimy od nich tej cholernej bryły?

Glinn wbił spojrzenie w mężczyznę. Na jego jasnoszarych oczach nawet nie drgnęła powieka.

- Zechce mi pan podać swoje nazwisko? - zapytał.

- Lewis - padła odpowiedź.

- Ponieważ, panie Lewis, Chilijczycy by nam jej nie sprzedali, chociażby ze względów politycznych. Z drugiej strony, nie dysponują oni ani wiedzą, ani środkami technicznymi, aby meteoryt odkopać i wywieźć z wyspy. Zapewne więc, gdyby o jego istnieniu mieli pojęcie, przeznaczeniem meteorytu byłoby pozostanie na wyspie, raczej na zawsze. W Ameryce natomiast zostanie on dokładnie zbadany. Będzie eksponowany w muzeum, każdy, kto zechce, będzie mógł go zobaczyć. Ten meteoryt nie stanowi spuścizny historycznej Chile, jest własnością całego gatunku ludzkiego. Mógł przecież spaść na ziemię w każdym miejscu, nawet w Yorkshire.

Koledzy Lewisa parsknęli śmiechem. McFarlane ucieszył się, widząc, że proste słowa Glinna doskonale trafiają do marynarzy.

- Proszę pana - odezwał się jeden z młodszych oficerów. - A co z rampą awaryjną?

- Rampa awaryjna - odparł Glinn spokojnym, lecz mocnym, niemal hipnotyzującym głosem - stanowi dla nas wszystkich ostateczne zabezpieczenie, którego z pewnością nie będziemy musieli używać. W raczej nieprawdopodobnym przypadku, gdyby meteoryt uwolnił się z przygotowanego łożyska, na przykład podczas potężnego sztormu, dzięki tej rampie pozbedziemy się balastu, wyrzucając go do oceanu. Tak bywało jeszcze w dziewiętnastym wieku, kiedy marynarze podczas złej pogody wyrzucali ładunki do wody. Jednak prawdopodobieństwo, że i my będziemy musieli posunąć się do takiego rozwiązania, jest

naprawdę znikome. Ta rampa najlepiej świadczy, że naszym głównym celem jest zachowanie bezpieczeństwa statku i załogi, nawet za cenę utraty meteorytu.

- W jaki sposób uruchamia się tę rampę? - rzucił jeden z marynarzy.

- To ja znam sposób. Zna go również mój główny inżynier, Eugene Rochefort, oraz szef konstruktorów, Manuel Garza.

- A kapitan?

- Uznaliśmy, że zastosowanie tej opcji powinno leżeć wyłącznie w rękach personelu EES - odpowiedział Glinn. - W końcu to nasz meteoryt.

- Ale, do cholery, nasz statek!

Jazgot niezadowolonej załogi wzniósł się ponad lekki szum wiatru i cichy pomruk silników statku. McFarlane popatrzył na kapitan Britton. Zachowując niewzruszoną, kamienną twarz, stała za Glinnem, z rękami wyprostowanymi wzdłuż tułowia.

- Pani kapitan wyraziła zgodę na takie, przyznaję, niecodzienne rozwiązanie. To my, EES, zbudowaliśmy rampę awaryjną i my wiemy, jak ją uruchomić. W razie konieczności jej użycia, choć to raczej mało prawdopodobne, trzeba będzie postępować z wielką ostrożnością i precyzją. Uruchomienia jej mogą się podjąć tylko ludzie odpowiednio do tego przygotowani i przeszkoleni. Jeśli zabierze się do tego ktoś niekompetentny, statek zatonie razem z meteorytem. - Glinn uważnie popatrzył po twarzach zgromadzonych. - Są jeszcze jakieś pytania?

Odpowiedziała mu jedynie cisza.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że to nie jest zwyczajny rejs - kontynuował. - Niepewność, a nawet obawy, jakie wyrażacie, zdają się więc całkiem naturalne. Jak podczas każdej ekspedycji morskiej, tak i teraz podejmujemy pewne ryzyko. Powiedziałem wam już, że nasze przedsięwzięcie jest zupełnie legalne. Zwodziłbym was jednak, gdybym twierdził, że Chilijczycy z pewnością potraktują nas przyjaźnie. Ale dlatego właśnie każdy z was, jeżeli nasza wyprawa zakończy się powodzeniem, otrzyma premię w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Po chwili ciszy nagle wszyscy marynarze zaczęli jednocześnie mówić i przekrzykiwać jeden drugiego. Glinn podniósł do góry rękę i wszyscy znowu ucichli.

- Jeśli ktokolwiek z was nie jest przekonany, że powinien brać udział w tej wyprawie, wolno mu opuścić „Rolvaaga”. Zapewnimy mu powrót do Nowego Jorku i zwrócimy koszty podróży - powiedział. Znacząco popatrzył na Lewisa.

Mężczyzna wytrzymał jego wzrok, po czym szeroko się uśmiechnął.

- Przekonałeś mnie, stary - stwierdził.

- Cóż, przed nami wiele pracy - zwrócił się Glinn do całej grupy. - Jeżeli chcecie jeszcze coś dodać, jeżeli chcecie o coś zapytać, czyńcie to teraz, a nie później.

Uważnie wędrował wzrokiem od jednego marynarza do drugiego. Wreszcie, uznawszy, że cisza wśród załogi jest już absolutna, skinął głową, odwrócił się i ruszył rampą w drogę powrotną ku nadbudówce.

„ROLVAAG”

Godz. 16.20

Marynarze podzielili się na małe grupki i wracając na stanowiska, rozmawiali pomiędzy sobą przyciszonymi głosami. Wiatrówką McFarlane'a targnął nagły poryw wiatru. Odwróciwszy się, mężczyzna ujrzał Amirę. Stała przy barierce na prawej burcie i wciąż rozmawiała z grupą marynarzy pokładowych. Chyba znowu popisała się jakimś zgryźliwym komentarzem, bo otaczający ją ludzie po raz kolejny wybuchli gromkim śmiechem.

McFarlane skierował się do pokoju dziennego dla oficerów. Jak większość pomieszczeń na statku, które do tej pory widział, tak i to było olbrzymie i bogato wyposażone. Poza wszystkimi innymi miało jedną wielką atrakcję, która go tutaj przyciągała: ekspres do kawy z dzbankiem, który nigdy nie był pusty. Nalał sobie pełną filiżankę czarnego płynu i z westchnieniem ulgi upił duży łyk.

- Może trochę śmietanki? - usłyszał damski głos z za pleców. Odwrócił się i zobaczył kapitan Britton. Właśnie zamknęła za sobą drzwi do pomieszczenia i z szerokim uśmiechem na ustach zmierzała w jego kierunku. Wiatr wiejący na pokładzie trochę potargał jej włosy, które niesforne opadały teraz spod czapki na szyję kobiety.

- Nie, wolę czarną - odparł.

Patrzył, jak kapitan Britton nalewa sobie kawę, dodając do filiżanki łyżeczkę cukru.

Przez chwilę popijali w milczeniu.

- Muszę panią o coś zapytać - odezwał się wreszcie McFarlane, bardziej żeby nawiązać rozmowę, niż w jakimikolwiek innym celu. -

Wydaje mi się, że ten dzbanek z kawą zawsze jest pełen. A kawa zawsze świeża. W jaki sposób dochodzi się do takiego cudu?

- To żaden cud. Steward przynosi świeży dzbanek co piętnaście minut, czy tego potrzeba czy nie. Dziewięćdziesiąt sześć dzbanków na dobę.

McFarlane pokiwał głową.

- Nadzwyczajne - powiedział z uznaniem. - Tak jak nadzwyczajny jest cały ten statek.

Kapitan Britton upiła kolejny łyk.

- Oprowadzić pana po nim? - zapytała.

McFarlane popatrzył na nią uważnie. Bez wątpienia jako dowódca „Rolvaa” miała o wiele ważniejsze zajęcia. Lecz przecież wycieczka po statku z kapitanem jako przewodnikiem mogła być dobrym sposobem przynajmniej na częściowe zabicie pokładowej nudy. W końcu życie na morzu prędko przeradzało się w żmudną rutynę. Podjąwszy decyzję, McFarlane wypił ostatni łyk kawy z filiżanki i odstawił naczynie na tacę.

- Wspaniały pomysł - stwierdził. - Przez cały czas zastanawiam się, jakie sekrety kryje w swoim wnętrzu ten wielki kadłub.

- Jest ich bardzo niewiele - odparła Britton, otwierając drzwi pokoju dziennego i wprowadzając McFarlane'a do szerokiego holu. - Niemal każdy zakamarek nadaje się, żeby wlać do niego ropę.

Otworzyły się drzwi prowadzące na główny pokład i pojawiła się w nich drobna sylwetka Rachel Amiry. Ujrzawszy McFarlane'a i Britton, kobieta przystanąła. Kapitan Britton pozdrowiła ją formalnym skinieniem głowy, po czym ruszyła w kierunku korytarza. McFarlane podążył za nią. Kiedy skręcali przy pierwszym rozgałęzieniu, McFarlane obejrzał się. Amira wciąż patrzyła za nimi, z lekkim uśmiechem wyższości na ustach.

Otworzywszy szerokie podwójne drzwi, Britton wprowadziła McFarlane do kuchni. Tutaj pan Singh sprawował władzę nad zastępami stewardów, pomocników szefa kuchni oraz nad rzędami kuchenek i lśniących piecyków. Znajdowały się tu wielkie lodówki i zamrażarki, pełne cielęciny, wołowiny, kurczaków i kaczek oraz kopusów, które McFarlane rozpoznał jako pochodzące od kóz.

- Można by tutaj wykarmić całą armię - stwierdził.

- Pan Singh powiedziałby raczej, że wy, naukowcy, jecie więcej niż wojsko - odparła Britton z uśmiechem. - Chodźmy, nie przeszkadzajmy mu.

Powoli przeszli przez salę bilardową, minęli basen i wreszcie zaczęli schodzić po schodach do pokoju dziennego i jadalni załogi. Zszedłszy kolejne piętro w dół, znaleźli się w pomieszczeniach mieszkalnych załogi. Były to duże kajuty z łazienkami, wciśnięte pomiędzy galeriami, które biegly wzdłuż obu burt statku. Zatrzymali się na początku przejścia po stronie prawej burty. Tutaj bardzo wyraźnie było już słychać odgłos pracującego silnika. Ciągący się stąd korytarz zdawał się nie mieć końca. Po jego lewej stronie widoczne były iluminatory, a po prawej drzwi do kabin.

- Wszystko to jest takie wielkie i puste - zauważył McFarlane. Britton roześmiała się.

- Goście zawsze odnoszą podobne wrażenie. A fakty są takie, że zasadniczo statkiem kierują komputery. Nawigacja odbywa się przy wykorzystaniu satelity geofizycznego, kurs utrzymywany jest automatycznie, na zasadzie automatu działa także detektor antykolizyjny.

Trzydzieści lat temu elektryk na statku był jedynie poślednim członkiem załogi. Teraz nie sposób się obejść bez wysoko wykwalifikowanych elektroników.

- Wszystko to robi ogromne wrażenie. - McFarlane odwrócił się do Britton. - Niech pani nie zrozumie mnie źle, ale od samego początku zastanawiam się, dlaczego Glinn wybrał na tę wyprawę właśnie tankowiec. Po co te wszystkie problemy z pracochłonnym przeistaczaniem tankowca w masowiec przeznaczony do przewozu rud? Dlaczego po prostu nie wyczarterował zwyczajnego masowca? Albo kontenerowca? Przecież bez cienia wątpliwości byłoby to o wiele tańsze.

- Myślę, że jestem w stanie to panu wyjaśnić. Proszę za mną. Britton otworzyła jakieś drzwi i skinęła na McFarlane'a, żeby podążył za nią. Dywany i drewniane panele podłogowe ustąpiły teraz miejsca linoleum i lśniącemu metalowi. Oboje zeszli po kolejnych schodach i stanęli przed drzwiami oznaczonymi tabliczką: POMIESZCZENIE KONTROLI ŁADUNKU. Znajdował się w nim wielki elektroniczny schemat głównego pokładu, błyszczący niezliczonymi czerwonymi i żółtymi lampkami.

- Oto elektroniczny diagram statku - wyjaśniła Britton, zachęcając McFarlane'a, żeby podszedł bliżej. - Dzięki tej elektronice przez cały czas na bieżąco kontrolujemy rozmieszczenie i zachowanie ładunku. Wprost stąd sprawdzamy balasty, funkcjonowanie pomp, wszystkie zawory i tak dalej. Mamy możliwość błyskawicznego reagowania na wszelkie anomalie. - Wskazała na rząd wskaźników i przełączników na desce rozdzielczej pod diagramem. - Tutaj na przykład regulujemy ciśnienie w pompach.

Poprowadziła McFarlane'a w kierunku mężczyzny, który siedział przy szerokim pulpicie, wpatrując się jednocześnie w kilkanaście ekranów komputerowych.

- Ten komputer kontroluje rozłożenie ładunku. A następnie zawiadują automatycznym systemem przepompowywania. Monitorują ciśnienie, poziom i temperaturę w zbiornikach statku. - Britton poklepała beżową obudowę jednego z monitorów. - To właśnie dlatego Glinn wybrał tankowiec. Ten wasz meteoryt jest bardzo ciężki. Już samo ładowanie go będzie nadzwyczaj trudną operacją. Mając te wszystkie komputery, będziemy mogli reagować na zachowanie statku, przepompowując balasty ze zbiornika do zbiornika i utrzymując jednostkę w równowadze niezależnie od tego, jak bardzo asymetryczny obiekt znajdzie się w ładowni. A przecież chyba nikt nie byłby zadowolony, gdybyśmy nagle, w momencie załadowania meteorytu, wywrócili się stępką do góry.

Britton podeszła do przyrządów kontrolujących balast.

- A jeżeli mowa o komputerach, czy wie pan, co to takiego? - Wskazała na wolno stojącą jakby wieżę z czarnego metalu, zupełnie gładką, jeśli nie liczyć znajdującej się w niej

dziurki od klucza i tabliczki z napisem: POMIARY BEZPIECZEŃSTWA. Urządzenie zdecydowanie wyróżniało się na tle wszystkich innych urządzeń elektronicznych. - Ludzie Glinna zainstalowali to jeszcze w Elizabeth. Druga taka wieżyczka, ale znacznie mniejsza, znajduje się na mostku. Żaden z moich oficerów nie ma pojęcia, do czego to służy.

McFarlane z zaciekawieniem przesunął dłonią po lekko skośnej frontowej ścianie wieży.

- Ja też nie mam pojęcia. Może ma to coś wspólnego z rampą awaryjną?

- Początkowo też tak przypuszczałam. - Britton wyprowadziła gościa z pomieszczenia i powiodła go korytarzem o stalowej podłodze w kierunku czekającej już na nich windy. - Ale odnoszę wrażenie, że ta wieża jest połączona z więcej niż jednym systemem zarządzania statkiem.

- Czy chce pani, żebym zapytał o to Glinna?

- Nie, niech się pan nie kłopotuje. W końcu zapytam go sama. No, ale ja ciągle gadam na temat „Rolvaaga” - zauważyła, wciskając przycisk w windzie - a tymczasem chciałabym się dowiedzieć, w jaki sposób zostaje się poszukiwaczem meteorytów.

Winda ruszyła w dół, a McFarlane ponownie popatrzył z uwagą na kapitan Britton. Kobieta niezmiennie sprawiała wrażenie osoby bardzo pewnej siebie. Ramiona miała wyprostowane, głowę dumnie uniesioną. Nie było jednak w tej postawie ani krzty bezmyślnej sztywności właściwej wojskowemu. Wręcz przeciwnie, Britton nosiła się z dumą wynikającą z wiedzy i inteligencji. Wiedziała, że McFarlane jest poszukiwaczem meteorytów; w myślach zadał sobie pytanie, czy wiedziała też o Masangkayu i o fiasku poszukiwań meteorytu Tornarssuk. Ty i ja, droga żeglarko, mamy ze sobą wiele wspólnego, pomyślał. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak trudno jej było znowu nałożyć mundur kapitański i wejść na mostek dowodzenia ze świadomością nieprzychylnych szeptów unoszących się za plecami.

- Kiedyś w Meksyku wpadłem w deszcz meteorytów - powiedział.

- Niesłychane. I nic się panu nie stało?

- Historia odnotowała tylko jeden przypadek uderzenia kogokolwiek przez meteoryt - odparł McFarlane. - Ofiarą była kobieta, hipochondryczka leżąca w łóżku. Wyższe piętra jej domu osłabiły siłę uderzenia, dlatego została jedynie ranna. Oczywiście, błyskawicznie wyskoczyła z łóżka.

Britton roześmiała się. Zabrzmiało to bardzo ładnie.

- Kiedy potem wróciłem do szkoły, postanowiłem zostać geologiem planetarnym. Nigdy jednak nie czułem się dobrze w skórze grzecznego studenta i naukowca.

- A czym się zajmują geolodzy planetarni?

- Dopóki nie trafią na coś interesującego, całą gamą różnych nudnych prac. Są jednocześnie geologami, chemikami, astronomami, fizykami i kamieniarzami.

- Mimo wszystko nie odnoszę wrażenia, aby pana studia były nudne. A co się dzieje po trafieniu na coś interesującego?

- Ja osobiście już w szkole średniej zająłem się meteorytem z Marsa. Badałem wpływ promieniowania kosmicznego na jego skład chemiczny. Próbowałem wszystko obliczyć i zapisać liczbami.

Drzwi otworzyły się i oboje wyszli z windy.

- Już jako chłopak trzymał pan więc w rękach prawdziwą marsjańską skałę - powiedziała Britton, wchodząc do kolejnego korytarza, który zdawał się nie mieć końca.

McFarlane wzruszył ramionami.

- Lubilem znajdować meteoryty. Przypominało to trochę poszukiwanie skarbów. I lubilem je badać. Nie lubilem jednak długich bezczynnych godzin w laboratoriach albo uczestnictwa w nudnych konferencjach i perorowania o kolizjach planet oraz o kraterach powstałych w wyniku takich zderzeń. Cóż, nie dało się z tym żyć i moja kariera naukowca trwała zaledwie pięć lat. Zrobiłem, co prawda, doktorat, ale na uczelni nie przyznano mi stałego etatu i od tego czasu pracuję wyłącznie na własny rachunek.

Nagle bezwiednie wstrzymał oddech, gdy pomyślał o zmarłym partnerze i zdał sobie sprawę, że niezbyt właściwie dobrał słowa. Ku jego uldze kapitan Britton nie drażyła jednak tematu.

- O meteorytach wiem jedynie tyle, że są to skały, które spadają z nieba - odezwała się Britton. - Skąd one pochodzą? Oczywiście te spoza Marsa.

- Meteoryty marsjańskie są niezmiernie rzadkie. Większość meteorytów to odłamki skał z wewnętrznego pasa asteroid. To małe kawałki lub fragmenty planet, które oderwały się od nich wkrótce po powstaniu Systemu Słonecznego.

- Meteoryt, po który teraz płynie, nie jest przecież mały.

- Ale w większości meteoryty są jednak małe. Chociaż wcale wiele nie trzeba, żeby poważnie wstrząsnąć naszą planetą. Meteoryt tunguski, który uderzył w Syberię w 1908 roku, uczynił to z siłą równą bombie wodorowej o mocy dziesięciu megaton.

- Dziesięciu megaton?

- To jest jeszcze małe piwo. W przeszłości pojawiały się meteoroidy, które uderzały w Ziemię z energią kinetyczną przekraczającą sto milionów megaton. Tego rodzaju katastrofy oznaczały zmierzch całej ery geologicznej, wyginięcie dinozaurów i w ogóle psuły wszystkim miły dzień.

- Jezu! - Britton potrząsnęła głową. McFarlane zaśmiał się sucho.

- Niech się pani nie martwi. Takie zjawiska są bardzo rzadkie. Zdarzają się raz na sto milionów lat.

Zmierzali ku kolejnemu rozwidleniu korytarzy. McFarlane czuł się w tym labiryncie beznadziejnie zagubiony.

- Czy wszystkie meteoryty są takie same? - zapytała kapitan Britton.

- Nie, skądże znowu. Jednak większość tych, które do tej pory uderzyły w Ziemię, to zwykłe chondryty.

- Chondryty?

- Najogólniej stare szare kamienie. Nic interesującego. - McFarlane zawahał się. - Są jednak jeszcze meteoryty niklowe, jak prawdopodobnie ten, po który właśnie płyniemy. Ale najbardziej interesujące są chondryty CI. - Zatrzymał się.

Britton popatrzyła na niego wyczekująco.

- Trudno w szczególach o nich opowiadać. Mógłbym panią zanudzić.

McFarlane przypomniał sobie, jak w młodych latach bezskutecznie próbował podczas wieczornych przyjęć zainteresować takimi opowieściami zgromadzone towarzystwo.

- Studiowałam nawigację astronomiczną. Niech pan spróbuje.

- Cóż, chondryty CI są grudami pochodzącymi wprost z czystego, naturalnego pyłu gwiazdowego, z którego uformował się System Słoneczny. Co sprawia, że są bardzo interesujące. To one zawierają w sobie odpowiedź na pytanie, w jaki sposób powstał ten system. Są także bardzo stare. Starsze od Ziemi.

- Czyli jak stare?

- Mają około czterech i pół miliarda lat.

McFarlane zauważył w oczach kapitan Britton błysk autentycznego zainteresowania.

- Niezwykłe.

- Powstała teoria, że istnieją meteoryty jeszcze bardziej niezwykle... McFarlane nagle umilkł, starając się zapanować nad swoim językiem.

Nie chciał, żeby wróciły do niego dawne obsesje; przynajmniej nie teraz. W milczeniu szedł dalej obok kapitan Britton, czując na sobie jej zaskoczone spojrzenie.

Korytarz skończył się rozsuwanymi wrotami. Lekko je uchyliwszy, Britton weszła razem z McFarlane'em do kolejnego pomieszczenia. Od razu ogłuszyło ich potężne wycie nieskończonej ilości koni mechanicznych. McFarlane podążył za Britton na wąską rampę. Mniej więcej pięćdziesiąt stóp poniżej dostrzegł dwie ogromne turbiny, wyjące w zgodnym duecie. Wielka otaczająca je przestrzeń zdawała się kompletnie opustoszała;

najprawdopodobniej także funkcjonowaniem turbin zawiadywał komputer. McFarlane chwycił na moment jakiś gruby pręt sterczący z podłogi, aby nie stracić równowagi. Wibrował w jego rękach w dzikim rytmie razem ze wszystkimi innymi elementami przedziału silnikowego.

Britton popatrzyła na geologa z lekkim uśmiechem i kontynuowała wędrówkę.

- Tankowce napędzane są za pomocą kotłów parowych, a nie silników dieslowskich, jak inne statki - powiedziała, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć hałas. - Mamy, oczywiście, zapasowy silnik dieslowski, który w razie konieczności może być źródłem energii elektrycznej. Na takim nowoczesnym statku ani na chwilę nie można sobie pozwolić na brak energii. Bez prądu nagle wszystko przestanie funkcjonować: komputery, nawigacja czy sprzęt przeciwpożarowy. W takim przypadku statek staje się jedynie bezwładnym wrakiem. Określamy taką sytuację skrótem MNW: martwi na wodzie.

Minęli kolejne ciężkie drzwi. Britton zamknęła je za nimi, następnie podążyła do przejścia, które kończyło się zamkniętymi drzwiami windy. McFarlane szedł za nią, uradowany, że uwolnili się od hałasu przedziału silnikowego.

Pani kapitan zatrzymała się przed drzwiami windy i spojrzała na geologa badawczym wzrokiem. Nagle McFarlane zdał sobie sprawę, że kiedy rozpoczęła z nim ten spacer, chodziło jej o coś więcej niż tylko o wspólne zwiedzenie „Rolvaaga”.

- Pan Glinn doskonale dał sobie dzisiaj radę z załogą - powiedziała.

- Cieszę się, że tak pani uważa.

- Załogi statków zwykle bywają bardzo przesądne, sam pan chyba wie. To zadziwiające, jak szybko zwyczajne plotki i spekulacje stają się pod pokładem sprawdzonymi faktami. Myślę, że dzisiejsze słowa pana Glinna ucięły wszelkie plotki. - Zapanowała niezręczna cisza, po czym kapitan Britton kontynuowała: - Odnoszę wrażenie, że pan Glinn wie znacznie więcej, niż dzisiaj powiedział. Albo, w rzeczy samej, źle to wyraziłam. On wie mniej, niż dał dzisiaj wszystkim do zrozumienia. - Zerknęła z ukosa na McFarlane'a. - Mam rację?

McFarlane zawahał się. Nie wiedział, co Lloyd albo Glinn wcześniej już wyjawili pani kapitan. Nie miał też pojęcia, co przed nią zataili. Mimo to był przekonany, że im więcej ta kobieta wiedziała, tym lepiej dla całego statku. Poza tym wyczuwał w niej pokrewną duszę. Oboje popełnili w przeszłości poważne błędy. Życie doświadczyło ich znacznie mocniej niż przeciętnego zjadacza chleba. Przeczucie podpowiadało mu, że powinien ufać Sally Britton.

- Ma pani rację - odparł. - Prawda jest taka, że właściwie nie wiemy prawie nic o tym, co nas czeka u kresu tej podróży. W zasadzie nie mamy pojęcia, w jakim stanie jest meteoryt

po potężnym uderzeniu w Ziemię. Skromne dane z zakresu elektromagnetyki i grawitacji, jakimi na jego temat dysponujemy, wydają się nieprawdopodobne i w wielu miejscach są sprzeczne.

- Rozumiem. - Britton zajrzała mu głęboko w oczy. - Czy nasza misja jest niebezpieczna?

- Nie ma powodu, żeby tak przypuszczać. - Zawahał się. - Nie ma też powodu, żeby lekceważyć możliwość zagrożenia.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Chodzi mi o to, czy może zaistnieć jakieś niebezpieczeństwo dla mojego statku i mojej załogi?

McFarlane przygryzł wargę, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- Niebezpieczeństwo? Nasz meteoryt jest ciężki jak jasna cholera. Trzeba będzie nie lada zręczności, żeby wydobyć go z ziemi i przetransportować na statek. Ale kiedy już umieścimy go bezpiecznie w ładowni i umocujemy, jestem przekonany, że będzie równie bezpieczny jak zbiornik pełen ropy. - Popatrzył na kobietę. - Poza tym Glinn wydaje mi się człowiekiem, który nigdy niczego nie pozostawia przypadkowi.

Britton przez moment zastanawiała się nad jego słowami, po czym energicznie pokiwała głową.

- Też odniosłam takie wrażenie. Jest zbyt ostrożny, żeby mógł popełnić jakiś błąd. - Nacisnęła przycisk wzywający windę. - Lubię mieć na pokładzie tego typu osoby. Ponieważ kiedy następnym razem znajdę się na podwodnych skałach, będę musiała zatonać z moim statkiem.

„ROLVAAG”

3 lipca, godz. 14.15

Kiedy „Rolvaag” przecinał równik, mając daleko na zachodzie wybrzeża Brazylii i ujście Amazonki, na jego pokładzie dziobowym odbywał się rytuał uświęcony setkami lat niezmiennej tradycji.

Trzydzieści stóp poniżej poziomu pokładu dziobowego i niemal dziewięćset stóp z tyłu doktor Patrick Brambell rozpakowywał swój ostatni karton z książkami. Podczas całej swojej kariery zawodowej przepływał równik przynajmniej raz w roku i towarzysząc temu ceremonię picia „herbatki Neptuna”, przyrządzanej z gotowanych skarpet i uwalanych smarem rękawic ochronnych, odbywającą się wśród prostackich okrzyków i gromkich śmiechów rozbawionych marynarzy, uważał za w najwyższym stopniu niesmaczną.

Rozpakowywał i ustawiał na półkach swą rozległą bibliotekę od pierwszych chwil po wypłynięciu „Rolvaaga” z portu. Lubił to zajęcie równie mocno jak samo czytanie i nigdy się przy nim nie śpieszył. Powoli rozcinał skalpelem taśmę, którą były oklejone kartony, odginał ich skrzydełka i zaglądał do środka. Niemal z uwielbieniem wziął do ręki książkę, leżącą na wierzchu jednego z nich, *Anatomię melancholii* Burтона. Zanim postawił ją na ostatniej wolnej półce w kabinie, delikatnie pogłaskał jej obwolotę ze sztucznej skóry. Obok znalazło się miejsce dla *Orlando Furioso*, następnie dla *À rebours* Huysmansa, wykładów Coleridge’a o Szekspirze, esejów doktora Johnsona, zatytułowanych *Rambler*, wreszcie dla *Apologia pro Vita Sua* Newmana. Żadna z tych książek nie miała nic wspólnego z medycyną. W zasadzie spośród tysiąca eklektycznych książek znajdujących się w bibliotece podróźnej Brambella tylko mniej więcej dziesięć można było uznać za profesjonalną lekturę doktora medycyny. Te trzymał oddzielnie w specjalnej walizce medycznej, pragnąc, aby jego cennej i uwielbianej biblioteki w żadnym wypadku nie plamiła rdza literatury zawodowej. Doktor Brambell był przede wszystkim namiętym mołem książkowym, a dopiero potem lekarzem.

Opróżniwszy w końcu karton, Brambell westchnął z cichą satysfakcją, lecz także z żalem, że ulubioną czynność ma już za sobą. Wreszcie cofnął się kilka kroków i przystanął, podziwiając grzbiety starannie poustawianych książek. Stojąc bez ruchu, usłyszał, jak niedaleko zatraskują się jakieś drzwi i po chwili na korytarzu rozległ się odgłos czyichś kroków. Jeszcze przez chwilę nie zmieniał pozycji, mając nadzieję, że kroki nie zmierzają do niego, jednak wiedział już, że jest to nadzieja złudna. Ktoś zatrzymał się i kilkakrotnie zapukał do drzwi poczekalni.

Brambell znowu westchnął, ale było to już zupełnie inne westchnienie niż poprzednio. Szybko rozejrzał się po kabinie. Odszukał wzrokiem maskę chirurgiczną i założył ją na usta. Doświadczenie podpowiadało mu, że pacjenci widzący go w masce starają się skrócić wizytę u niego do minimum. Posłał swoim książkom ostatnie, pełne uwielbienia spojrzenie, po czym wyszedł z kabiny, starannie zamknąwszy za sobą drzwi.

Przeszedł przez długi hol, minął salę z pustymi łózkami szpitalnymi, salę operacyjną i laboratorium, po czym wszedł do poczekalni. Był tam już Eli Glinn z opasłym tomem akt pod pachą.

Wzrok Glinna spoczął na masce chirurgicznej.

- Nie spodziewałem się, że ma pan pacjenta.

- Bo nie mam - odparł Brambell przez maskę. - Jest pan pierwszy. Glinn jeszcze przez chwilę patrzył na maskę. Wreszcie skinął głową.

- W porządku. Możemy porozmawiać?

- Oczywiście.

Brambell wprowadził gościa do swojego gabinetu. Uważał Glinna za jedną z najbardziej niezwykłych osób, z jakimi miał kiedykolwiek do czynienia. Mężczyznę o wysokiej kulturze osobistej, który nią jednak świadomie nie epatował. Mężczyznę potrafiącego prowadzić poważną konwersację niemal na każdy temat. Mężczyznę o ciemnych, nieprzeniknionych oczach, lubiącego znać wszystkie słabości ludzi, z którymi miał do czynienia. Także słabości doktora Brambella.

Tymczasem Brambell zamknął drzwi gabinetu.

- Niech pan usiądzie, panie Glinn. - Wskazał ręką na teczkę z aktami. - Zakładam, że są to historie chorób osób, które znajdują się na statku? Trochę późno. Na szczęście do tej pory nie były potrzebne.

Glinn usiadł na krześle.

- Wybrałem kilka teczek, które mogą wzbudzić pana zainteresowanie. Większość to rutynowe sprawy. Poza kilkoma wyjątkami.

- Rozumiem.

- Zacznę od załogi. Victor Howell od dawna cierpi na zstąpienie jąder.

- Jestem zaskoczony, że jeszcze nie poddano go stosownemu zabiegowi.

Glinn popatrzył na doktora.

- Pewnie wcale nie chciałby być krojony w tym miejscu. Brambell pokiwał głową.

Glinn przerzucił kilka cienkich teczek. Wśród ludzi zgromadzonych na statku były przypadki różnych chorób i dolegliwości, jak to zwykle bywa w takich grupach. Na pokładzie znajdowało się kilku cukrzyków, komuś chronicznie wypadał dysk, ktoś inny był z kolei dotknięty chorobą Addisona.

- Zasadniczo mamy do czynienia ze zdrowymi ludźmi - powiedział Brambell, mając nadzieję, że rozmowa zaraz dobiegnie końca. Ale nie, Glinn położył na biurko kolejną stertę teczek.

- Tutaj mam profile psychologiczne - oznajmił. Brambell popatrzył na nazwiska.

- A co z ludźmi z EES?

- My mamy trochę inny system - odparł Glinn. - Dokumenty ludzi z EES mogą być ujawniane tylko w razie konieczności.

Doktor Brambell nie zareagował. Nie widział sensu w sprzecznaniu się z takim człowiekiem jak Glinn.

Glinn wydobyl z neseseru dwie dodatkowe teuczki, položyl je na biurku Brambella, po czym rozparł się na krześle.

- Martwi mnie tylko jedna osoba.

- A któż to taki?

- McFarlane.

Brambell opuścił maskę poniżej policzków.

- Ten dziarski łowca meteorytów? - zapytał zaskoczonym tonem. Jego zdaniem akurat ten mężczyzna nie zapowiadał żadnych kłopotów.

Glinn postukał palcami w tekturową teczkę.

- Będę panu dostarczał regularne raporty na jego temat. Brambell ze zdziwieniem zmarszczył czoło.

- McFarlane jest na tym statku jedyną kluczową postacią, którą nie ja kwalifikowałem do ekspedycji. Najogólniej mówiąc, jego przeszłość wzbudza co najmniej wątpliwości. Dlatego właśnie chciałem, żeby ocenił pan ten raport o nim oraz następne, które panu dostarczę.

Brambell z niesmakiem popatrzył na teczkę.

- Kto jest pana szpiegiem? - zapytał. Spodziewał się, że urazi tym pytaniem Glinna, jednak się pomylił.

- Wolałbym pozostawić nazwisko tej osoby dla siebie.

Brambell skinął głową. Przysunął do siebie teczkę i zaczął przeglądać kolejne znajdujące się w niej kartki.

- „Niezbyt przekonany co do sensu wyprawy i jej szans na sukces” - przeczytał głośno. - „Motywacje niejasne. Nieufność do naukowców. Bardzo niepewny w zarządzaniu. Osobowość samotnicza”. - Odłożył kartkę. - Nie widzę w tym nic niezwykłego.

Glinn ruchem głowy wskazał na drugą, znacznie grubszą teczkę.

- Tutaj mamy wszystko, co wiemy o przeszłości McFarlanea. Wśród innych informacji mamy raport na temat pewnego nieprzyjemnego incydentu, który wydarzył się kilka lat temu na Grenlandii.

Brambell westchnął. Był człowiekiem, dla którego ostatnią motywacją do działania była ciekawość. Przypuszczał, że Glinn zatrudnił go przede wszystkim z tego powodu.

- Przejrzę to później.

- Zajmijmy się tym teraz.

- W takim razie niech pan pokrótce streści mi zawartość tej teczki.

- Oczywiście.

Brambell usiadł wygodniej, złożył ramiona na piersiach i zrezygnowany zaczął słuchać wyводу Glinna.

- Przed laty McFarlane miał partnera o nazwisku Masangkay. Po raz pierwszy zawiązali spółkę, aby przesmuglować z Chile tektyty z pustyni Atakama. Od tego czasu są w tym kraju bardzo niemile widziani. Później z powodzeniem poszukiwali kilku mniejszych, lecz równie ważnych meteorytów. Doskonale razem współpracowali. Podczas ostatniej roboty dla pewnego muzeum McFarlane niespodziewanie popadł w kłopoty i z konieczności został wolnym strzelcem. Miał doskonały instynkt poszukiwacza, jednak gonitwa za meteorytami nie jest zajęciem, z którego na dłuższą metę da się wyżyć, chyba że ma się sponsorów. Masangkay, w przeciwieństwie do McFarlane'a, ściśle trzymał się wytycznych, jakie dawało mu muzeum, i dzięki temu dostał kilka atrakcyjnych zleceń. Obaj byli sobie bardzo bliscy od dzieciństwa. McFarlane ożenił się z siostrą Masangkaya, Malou, przez co panowie zostali szwagrami. Ale w miarę, jak mijały lata, ich związki zaczynały się rozluźniać. Zapewne McFarlane zazdrościł Masangkayowi kariery, jaką ten robił w muzeum. Albo Masangkay zazdrościł McFarlane'owi jego doskonałej intuicji poszukiwacza. Przede wszystkim jednak nieporozumienia obu panów miały jako tło pewną teorię McFarlane'a.

- Mianowicie?

- McFarlane wierzył, że pewnego dnia na Ziemi zostanie znaleziony meteoryt pozagalaktyczny. Taki, który przyleci do nas z innego systemu słonecznego. Wszyscy mu mówili, że jest to matematycznie niemożliwe; wszelkie znane nam meteoryty przybyły na Ziemię z Układu Słonecznego. Jednak teoria ta szybko stała się obsesją McFarlane'a. Przyłgnęła do niego opinia czubka i szarlatana, co zupełnie nie pasowało tradycjonalistom Masangkayowi.

W każdym razie mniej więcej trzy lata temu na Grenlandię, niedaleko Tornarssuk, spadł duży meteoryt. Śledziły go satelity i czujniki sejsmiczne, dzięki czemu z dość dużą dokładnością określono miejsce jego upadku, jeszcze zanim on nastąpił. Ostatnie chwile meteorytu przed upadkiem ktoś nawet sfilmował amatorską kamerą wideo, ale ze znacznej odległości. Nowojorskie Muzeum Historii Naturalnej, współpracując z rządem Danii, wynajęło Masangkaya, żeby meteoryt odszukał. Masangkay zabrał ze sobą na Grenlandię McFarlane'a.

Znaleźli meteoryt w pobliżu Tornarssuk, jednak stracili na to znacznie więcej czasu, a akcja okazała się znacznie droższa, niż przewidywali. Narobili poważnych długów, a tymczasem muzeum się na nich wypięło. Co gorsza, pokłócili się. McFarlane ekstrapolował orbitę meteorytu z danych satelitarnych i nabrał na tej podstawie przekonania, że meteoryt zmierzał ku Ziemi po orbicie hiperbolicznej, co oznaczało, że musiał przylecieć spoza naszego Układu Słonecznego. Geolog uznał, że natrafił na meteoryt pozagalaktyczny, którego

poszukiwał przez całe życie. Masangkay nawet nie chciał o tym słyszeć. W miejscu, gdzie znaleźli meteoryt, czuwali przez wiele dni, jednak nie mieli żadnych perspektyw na znalezienie jakiegokolwiek sponsora, który sypnąłby pieniędzmi niezbędnymi na jego przetransportowanie. W końcu Masangkay udał się po zapasy żywności i na spotkanie z duńskimi władzami. Zostawił McFarlane'a samego z cennym kamieniem i, nieszczęśliwie, z telefonem satelitarnym.

Odnoszę wrażenie, że McFarlane przeszedł wtedy coś w rodzaju załamania psychicznego. Był przy meteorycie zupełnie sam, przez cały tydzień. Nabrał ostatecznego przekonania, że muzeum nie da żadnych dodatkowych pieniędzy i że w końcu meteoryt dostanie się w ręce jakichś handlarzy spod ciemnej gwiazdy, zostanie pocięty i sprzedany w kawałkach na czarnym rynku, bez szans na dokładne zbadanie. Skorzystał więc z telefonu satelitarnego, żeby się połączyć z pewnym bogatym japońskim kolekcjonerem; miał pewność, że człowiek ten kupi meteoryt w całości i go dla siebie zachowa. Mówiąc zatem w skrócie, zdradził partnera. Kiedy Masangkay wrócił z zapasami i, o dziwo, wyposażony w dodatkowe fundusze, Japończycy byli już na miejscu. Nie tracąc czasu, zabrali meteoryt i znikli. Masangkay poczuł się zdradzony, a naukowcy z branży wściekli się na McFarlane'a. Nigdy mu nie wybaczyli tego, co wtedy zrobił.

Brambell leniwie skinął głową. Opowieść Glinna uznał jednak za interesującą. Mogłaby stanowić szkic do dobrej, nawet sensacyjnej, powieści. Jack London zrobiłby z niej wielką rzecz. Nie wspominając o Conradzie...

- McFarlane mnie martwi - powiedział Glinn, przerywając Brambellowi rozmyślenia.
- Nie możemy sobie pozwolić, żeby coś takiego wydarzyło się w czasie naszej wyprawy, ponieważ stracilibyśmy dosłownie wszystko. Skoro McFarlane zdradził własnego szwagra, bez większego namysłu może zdradzić także Lloyda i EES.

- Niby dlaczego? - Brambell ziewnął. - Lloyd ma bardzo głębokie kieszenie, a czeka wypisuje z uśmiechem na ustach.

- McFarlane jest najemnikiem, oczywiście, ale cała kwestia dotyczy czegoś o wiele poważniejszego niż pieniądze. Meteoryt, po który płyniemy, ma bardzo szczególne właściwości. Jeśli McFarlane dostanie obsesji na jego punkcie, tak jak jej dostał w Tornarsuk... - Glinn zawahał się. - Na przykład, jeżeli w jakimkolwiek momencie będziemy musieli uruchomić rampę bezpieczeństwa, nastąpi to w momencie śmiertelnego zagrożenia i wielkiego kryzysu. Liczyć się będzie każda sekunda. Nie chcę, żeby ktokolwiek wówczas podejmował działania mające uniemożliwić wyrzucenie meteorytu do morza.

- A jaka jest moja rola w tym wszystkim?

- Ma pan doświadczenie psychiatryczne. Chcę, żeby pan uważnie przeglądał okresowe raporty. Jeżeli natrafi pan u McFarlane'a na cokolwiek, co mogłoby być niepokojące, w szczególności na sygnały zwiastujące możliwość załamania nerwowego, takiego jak na Grenlandii, proszę mi dać znać.

Brambell znowu zaczął oglądać kartki znajdujące się w teczkach - w tej nowej oraz poprzedniej. Teczka medyczna była bardzo dziwna. Zastanawiał się, skąd Glinn uzyskał tego typu informacje; tylko niewielka część jej zawartości, o ile w ogóle cokolwiek, stanowiła standardową informację psychiatryczną czy medyczną. Większość notatek nie została podpisana ani przez lekarzy, ani w ogóle przez nikogo. Tym niemniej, ktokolwiek je sporządził, z pewnością robił to za duże pieniądze, tego jednego Brambell był pewien.

Spojrzał wreszcie na Glinna i zamknął teczkę.

- Uważnie to przeczytam i będę miał oko na pana McFarlane'a. Nie jestem jednak pewien, czy moja ocena tego, co się wydarzyło na Grenlandii, jest taka sama jak pana.

Glinn wstał, zbierając się do wyjścia. Jego szare oczy były nieprzeniknione jak kamienie. Brambell uważał jego wzrok za cholernie drażniący.

- A ten meteoryt z Grenlandii - zapytał. - Czy rzeczywiście pochodził spoza naszego Układu?

- Oczywiście, że nie. Okazał się zwykłym kamieniem z pasa asteroid. McFarlane się mylił.

- A żona? - kontynuował Brambell po chwili.

- Jaka żona?

- Żona McFarlane'a. Malou Masangkay.

- Zostawiła go. Wróciła na Filipiny i ponownie wyszła za męża.

Po chwili Glinn wyszedł, a z korytarza dobiegał jedynie odgłos jego miarowych kroków. Doktor przez kilka sekund się w nie wsłuchiwał, rozmyślając. Wreszcie przyszedł mu do głowy cytat z Conrada. Wypowiedział go głośno:

- „Żaden mężczyzna nigdy nie zrozumie do końca własnych forteli, które stosuje, aby uciec z ponurego cienia swojej świadomości”.

Z westchnieniem zadowolenia odłożył na bok akta i powrócił do swojej prywatnej kajuty. Senny klimat równikowy, ale także coś emanującego z postawy Glinna, nakazały doktorowi pomyśleć o Maughamie, a właściwie o jego opowiadaniach. Przebiegł palcami po grzbietach swoich książek - a każda zawierała w sobie cały wszechświat wspomnień, emocji, których doświadczył podczas lektury - znalazł to, czego szukał, zasiadł w dużym fotelu i z dreszczykiem zadowolenia otworzył książkę na pierwszej stronie.

„ROLVAAG”

11 lipca, godz. 7.55

McFarlane stanął na podłodze wyłożonej pięknym parkietem i rozejrzył się dookoła z zaciekawieniem. Po raz pierwszy znalazł się na mostku, a było to bez wątpienia najwspanialsze miejsce na „Rolvaagu”. Mostek był tak szeroki jak sam statek. Trzy boki pomieszczenia stanowiły wielkie kwadratowe okna, sięgające od podłogi po dach, każde wyposażone w elektryczną wycieraczkę. Drzwi na obu wąskich końcach wiodły do skrzydeł mostka. Inne drzwi, na tylnej ścianie, opatrzone były mosiężnymi tabliczkami: POKÓJ MAP i POKÓJ RADIOWY. Przed przednimi oknami, wzdłuż całej szerokości mostka, rozstawione było wyposażenie służące do dowodzenia statkiem, w tym różne konsole oraz rzędy telefonów umożliwiających bezpośrednie połączenie z punktami kontrolnymi na całym statku. Za oknami rozpościerał się widok na sztormowe morze tuż przed świtem. Jedyne źródła światła stanowiły deski rozdzielcze i ekrany monitorów. Przez węższy rząd okien z tyłu można było zobaczyć rufę oraz ocean aż ku coraz bardziej błękitniejącemu horyzontowi.

Na samym środku pomieszczenia znajdowało się kapitańskie stanowisko dowodzenia i kontroli. McFarlane dojrzał tam drobną sylwetkę Sally Britton, ledwie widoczną w półmroku. Kobieta cichym głosem rozmawiała właśnie przez telefon, od czasu do czasu pochylając się ku stojącemu obok niej sternikowi. Jego oczy świeciły zimnym zielonym światłem, odbijającym się od ekranów radarowych.

Kiedy McFarlane dołączył do tej cichej grupy, zaczął właśnie budzić się dzień i horyzont za oknem stawał się z każdą chwilą jaśniejszy. Na pokładzie można było już dostrzec marynarza, który musiał wykonać na nim jakąś pracę w najmniej przyjemnej porze dnia. Nad statkiem unosiło się kilka mew; krążyły w kółko i gardłowo skrzeczały. Morze stanowiło teraz szokujący kontrast w stosunku do leniwych tropików, które statek zostawił za sobą zaledwie przed tygodniem.

Po tym, jak „Rolvaag” przeciął równik, w słonej gorącości i smagany potężnymi ulewami, na statku zapanowało jakby znużenie i odrętwienie. McFarlane także to odczuł. Ziewał nad grą w karty, nudził się w kajucie, bez celu gapił się w orzechowe panele na ścianach. Jednak w miarę, jak podążali na południe, powietrze stawało się coraz bardziej suche i rześkie, fale na oceanie coraz szersze i wyższe, a perłowoniebieskie niebo tropików zaczęło przybierać barwę skrzącego błękitu, gdzieniegdzie upstrzonego chmurami. W miarę jak powietrze odzyskiwało świeżość, ogólny marazm ustępował miejsca podnieceniu.

Drzwi na mostek otworzyły się ponownie i pojawiły się w nich dwie sylwetki: trzeciego oficera, mającego objąć poranną wachtę od ósmej do dwunastej, oraz Eli Glinna. Eli stanął w milczeniu obok McFarlane'a.

- O co chodzi? - zapytał McFarlane szeptem.

Zanim Glinn zdążył odpowiedzieć, za plecami mężczyzn rozległ się cichy trzask. McFarlane odwrócił się i zobaczył, jak Victor Howell wychodzi z pokoju radiowego, z odprężoną miną człowieka, który właśnie zakończył wachtę.

Trzeci oficer wyszeptał kilka słów do ucha kapitan Britton. Ta natychmiast spojrzała na Glinna.

- Uważaj na sterburtę - powiedziała do oficera, wskazując głową na odległy horyzont rysujący się na tle nieba jak ostry nóż.

W miarę jak na dworze jaśniało, fale na wzburzonym morzu były coraz bardziej widoczne. Po prawej stronie statku przez ciężką pokrywę chmur przebił się na moment ostry promień światła słonecznego. Odstąpiwszy od sternika, z rękami złożonymi za plecami kapitan Britton podeszła do przednich okien. Kiedy się zatrzymała, kolejny promień słońca przebił chmury. Po chwili zupełnie niespodziewanie cały zachodni horyzont eksplodował jakby ścianą światła. McFarlane zmrużył oczy, starając się zrozumieć, co się stało. I nagle pojął: ujrzał ścianę pokrytych śniegiem górskich szczytów, otoczonych lodem niemal płonącym w porannym słońcu.

Kapitan odwróciła się do grupy mężczyzn.

- To góry na Tierra del Fuego - powiedziała. - W ciągu kilku godzin przepłyniemy cieśninę Le Maire i weźmiemy kurs prosto na Ocean Spokojny.

McFarlane założył ciemne okulary i patrzył na odległe i niedostępne pasmo gór. Szczyty, otulone w śniegu, wyglądały jak przedmurze jakiegoś zaginionego kontynentu.

Glinn wyprostował się i popatrzył na Victora Howella. Pierwszy oficer tymczasem podszedł do jednego z techników, który wysłuchał jego krótkiego polecenia, po czym szybko wstał i zniknął w drzwiach po prawej stronie mostka. Howell powrócił na stanowisko dowodzenia.

- Masz teraz piętnaście minut na kawę - powiedział. - Ja się wszystkim zajmę.

Młodszy oficer popatrzył na kapitan Britton, zdziwiony tym łamaniem procedury.

- Czy mam to wpisać do dziennika pokładowego, proszę pani? - zapytał.

Britton potrząsnęła przecząco głową.

- To nie będzie konieczne. Po prostu wróć tu za kwadrans. Kiedy mężczyzna opuścił mostek, kapitan zwróciła się do Howella:

- Czy Banks nawiązał łączność z Nowym Jorkiem? Pierwszy oficer pokiwał głową.
- Pan Lloyd już na nas czeka.
- Doskonale. Łączcie.

McFarlane stłumił w sobie westchnienie. Czy jedno połączenie dziennie nie wystarczy?, zadał sobie pytanie. Nużyły go już wideokonferencje, które wraz z ludźmi z EES odbywał z Muzeum Lloyda codziennie o północy. Lloyd za każdym razem wypytywał o najdrobniejsze szczegóły, chciał wiedzieć co do mili morskiej, gdzie aktualnie znajduje się „Rolvaaag”, czepiał się najmniejszych nieścisłości w odpowiedziach i wreszcie kwestionował niemal wszystkie pomysły, jakie rodziły się na statku. McFarlane podziwiał Glinna za cierpliwość, jaką wówczas wykazywał.

W głośnikach zawieszonych na ścianach rozległy się donośne trzaski, jednak po chwili dobiegł z nich głos Lloyda, wyraźny i głośny, doskonale słyszalny na całej przestrzeni mostka.

- Sam? Sam, słyszysz mnie?

- Panie Lloyd, mówi kapitan Britton - odezwała się kobieta i skinęła do pozostałych osób obecnych na mostku, żeby zbliżyły się do mikrofonu przy stanowisku dowodzenia. - Widzimy już wybrzeże Chile. Jesteśmy o dzień drogi od Puerto Williams.

- Wspaniale! - zawołał Lloyd tubalnym głosem. Do mikrofonu podszedł Glinn.

- Panie Lloyd, tutaj Eli Glinn. Jutro przejdziemy chilijską odprawę celną. Doktor McFarlane, ja osobiście oraz kapitan Britton zejdziemy na ląd w Puerto Williams z dokumentami.

- Czy to konieczne? - zapytał Lloyd. - Dlaczego wy wszyscy?

- Proszę pozwolić, że wyjaśnię sytuację. Pierwszy problem polega na tym, że celnicy prawdopodobnie będą chcieli wejść na pokład statku.

- Jezu - dobiegł głos Lloyda. - To może wszystko popsuć.

- Potencjalnie tak. Dlatego naszym pierwszym działaniem będzie zapobieżenie tej wizycie. Chilijczycy z pewnością zechcą poznać najważniejsze osoby: kapitana i głównego specjalistę od złóż naturalnych. Jeśli pošlemy do nich mniej istotne osoby, prawie na pewno będą się upierali, żeby wejść na pokład.

- Zaraz, zaraz - odezwał się McFarlane. - Przecież ja w Chile jestem persona non grata, nie pamiętacie? Mogą mnie tam aresztować.

- Przykro mi, ale jest pan naszym jedynym atutem - odparł Glinn.

- Niby dlaczego?

- Jest pan wśród nas jedyną osobą, która była w Chile. Ma pan więc o wiele więcej doświadczenia niż my w podobnych sytuacjach. W raczej mało prawdopodobnym wypadku, że wydarzenia potoczą się nie tak, jak zakładamy, będziemy tego pańskiego doświadczenia bardzo potrzebowali.

- Wspaniale. Chyba jednak moje wynagrodzenie jest zbyt małe, żebym mógł zgodzić się na takie osobiste ryzyko.

- Och, rzeczywiście. - W głosie Lloyda dało się słyszeć zniecierpliwienie. - Posłuchaj, Eli, co jednak zrobicie, jeśli oni mimo wszystko będą chcieli wejść na pokład?

- Na taką okazję przygotowaliśmy dla nich specjalne pomieszczenie, powiedzmy, recepcyjne.

- Pomieszczenie recepcyjne? Przecież nie możemy pozwolić, żeby zaczęli się wałęsać po statku.

- To, co dla nich przygotowujemy, nie wzbudzi ich podejrzeń. Poprowadzimy ich prosto do pomieszczenia, w którym nadzoruje się tankowanie ropy. Jest mało okazałe i niezbyt wygodne. Wyposażyliśmy je w kilka metalowych krzeseł i proste meble. Nie działa w nim ogrzewanie. Część pokładu, na której mogliby się znaleźć, pomalowaliśmy specjalną farbą, która lekko cuchnie ekskrementami i rzygowinami.

Na mostku rozległ się głośny, metaliczny śmiech Lloyda.

- Eli, niech Bóg strzeże tego, komu kiedyś wyda wojnę. Ale jeśli będą chcieli wejść na mostek?

- Przygotowaliśmy się i na taką okoliczność. Proszę mi zaufać, kiedy skończymy z celnikami w Puerto Williams, raczej już nie będą chcieli wchodzić na pokład, a na pewno nie będą chcieli oglądać mostka. - Odwrócił się. - Doktorze McFarlane, od tej chwili nie potrafi pan powiedzieć ani słowa po hiszpańsku. Niech pan tylko słucha moich wskazówek. Ja i kapitan Britton będziemy, również w pana imieniu, mówili wszystko, co należy powiedzieć Chilijczykom.

Zapadła chwilowa cisza.

- Nadmieniałeś, że to jest nasz pierwszy problem - odezwał się po chwili Lloyd. - Jest jeszcze jakiś inny?

- Przebywając w Puerto Williams, będziemy musieli załatwić pewną sprawę.

- Czy wolno mi zapytać, co to za sprawa?

- Zamierzam w dalszej części wyprawy korzystać z usług człowieka o nazwisku John Puppup. Będziemy musieli go znaleźć i zabrać na pokład statku.

Lloyd jęknął.

- Eli, odnoszę wrażenie, że bawi cię takie strzelanie we mnie niespodziankami. Kto to taki, ten John Puppup, i do czego jest nam potrzebny?

- Jest w połowie Indianinem Yaghan, a w połowie Anglikiem.

- A Indianie Yaghan to niby kto?

- Pierwotni mieszkańcy wysp przyłądka Horn. Do dzisiejszych czasów niemal już wymarli. Żyje ich bardzo niewiele. Puppup to stary człowiek, ma około siedemdziesięciu lat. Jest świadkiem zagłady swojego narodu. To ostatni człowiek dysponujący taką wiedzą, jaką kiedyś dysponowali miejscowi Indianie.

Głośniki nad głowami zgromadzonych na moment ucichły. Wreszcie znów ożyły.

- Eli, ten plan wydaje mi się jakby niedopracowany. Mówisz, że zaplanowałeś skorzystanie z usług tego człowieka? Ale czy on o tym wie?

- Jeszcze nie.

- A jeśli odmówi?

- Kiedy do niego dotrzemy, nawet mu nie przyjdzie do głowy, żeby odmawiać. Poza tym, czy słyszał pan o starej morskiej tradycji „przymusowego naboru”?

Lloyd znowu jęknął.

- Zatem do listy naszych przestępstw chcesz dopisać porwanie?

- Gramy o wielką stawkę - odparł Glinn. - Przecież wiedział pan o tym, kiedy zaczynaliśmy. Puppup powróci do domu jako bogaty człowiek. Nie sprawi nam żadnych kłopotów. Jedyne kłopoty związane z jego osobą polega na konieczności szybkiego odszukania go i przetransportowania na pokład.

- Masz jeszcze jakieś inne niespodzianki?

- Celnikom doktor McFarlane i ja zaprezentujemy fałszywe paszporty. To znacznie skróci naszą drogę do sukcesu, chociaż oznaczać będzie drobne naruszenie chilijskiego prawa.

- Zaraz, niech pan chwilę poczeka - wtrącił się McFarlane. - Podróżowanie z fałszywym paszportem stanowi przecież naruszenie prawa amerykańskiego!

- Nikt się nigdy o tym nie dowie. Dopilnowałem, żeby dane z tych paszportów zaginęły na trasie pomiędzy Puerto Williams a Punta Arenas. Oczywiście, wróci pan do Stanów z prawdziwym paszportem, z właściwymi wizami i stemplami. Tak to przynajmniej będzie wyglądało.

Glinn rozejrzył się po zebranych, jakby czekając na jakieś dodatkowe zastrzeżenia. Nikt się nie odezwał. Pierwszy oficer stał za sterem i wpatrywał się we wzburzony ocean. Tylko kapitan Britton popatrzyła na Glinna szeroko otwartymi oczyma. Milczała jednak.

- Doskonale - powiedział Lloyd. - Ale muszę ci powiedzieć, Eli, że ten twój projekt bardzo mnie niepokoi. Kiedy tylko wrócicie z odprawy celnej, życzę sobie, żebyś zdał mi pełną relację.

Połączenie urwało się. Britton skinęła na Victora Howella, który zniknął w pokoju radiowym.

- Każdy, kto będzie schodził na ląd, musi odpowiednio wyglądać - oznajmił Glinn. - Doktor McFarlane może być ubrany tak jak teraz. - Glinn zmierzył go raczej pobieżnym spojrzeniem. - Ale kapitan Britton musi sprawiać stanowczo mniej oficjalne wrażenie.

- Powiedział pan, że będziemy mieli fałszywe paszporty - odezwał się McFarlane. - Zakładam więc, że będziemy mieli także fałszywe nazwiska.

- Zgadza się. Pan będzie doktorem Samuelem Widmanstattenem.

- Bardzo mi miło. Zapadła krótka cisza.

- A jak będzie brzmiało pana nazwisko? - zapytała kapitan Britton.

Po raz pierwszy, odkąd McFarlane sięgał pamięcią, Glinn roześmiał się. Jego śmiech był niski i bardzo cichy.

- Nazywajcie mnie Ishmaelem - powiedział.

CHILE

12 lipca, godz. 9.30

Następnego dnia „Rolvaag” stanął na kotwicy w Goree Road, szerokim kanale pomiędzy trzema wyspami wynurzającymi się z Pacyfiku. Ziemię skąpaną w promieniach jasnego słońca smagał przenikliwy wiatr. McFarlane stał przy poręczy na pokładzie motorowej szalupy ratunkowej „Rolvaaga”, dużej podniszczonej łodzi, prawie tak skorodowanej jak statek-matka, i niemal z utęsknieniem patrzył na tankowiec, coraz bardziej oddalający się od jej burty. Z poziomu morza zdawał się jeszcze większy niż zazwyczaj. Wysoko nad głową dostrzegł wychylającą się z pokładu Amirę, ubraną w kurtkę co najmniej o trzy rozmiary za dużą.

- Hej, szefie! - dotarł do niego jej słaby głos. Energicznie machała rękami. - Tylko nie wracaj bez porządnej flaszki!

Szalupa opłynęła dziób „Rolvaaga” i skierowała się ku ponuremu krajobrazowi wyspy Navarino. Był to wysunięty najbardziej na południe, zamieszkały przez stałych mieszkańców, fragment lądu na całej planecie. W przeciwieństwie do urozmaiconych górzystych wybrzeży, które minęli poprzedniego popołudnia, wschodnie rubieże Navarino były niskie i nieciekawe. Tworzyły je zmrożone, pokryte śniegiem, łagodne zbocza, przechodzące w szerokie plaże opadające ku oceanowi. Z szalupy nie można było dojrzeć żadnego śladu cywilizacji. Puerto

Williams leżał nad kanałem Beagle dopiero w odległości około dwudziestu mil, przy znacznie spokojniejszych wodach. McFarlane zadrżał i mocniej otulił się peleryną. Pobyt na wyspie Desolación - samotnej, zapomnianej i wyklętej, nawet jak na standardy tego opuszczonego przez Boga miejsca na Ziemi - to jedno. Natomiast perspektywa włóczenia się po jakimś chilijskim porcie - to zupełnie co innego. Tysiąc mil na północ stąd wciąż mnóstwo ludzi mogło pamiętać jego twarz i z radością powitać możliwość zamknięcia go w jakimś ponurym lochu, zwanym tutaj więzieniem. Istniało prawdopodobieństwo, chociaż niewielkie, że ktoś z tych ludzi będzie akurat przebywał w Puerto Williams.

Poczuł jakiś ruch za sobą i po chwili stanął przy nim Glinn. Mężczyzna ubrany był w lśniąca od smarów pikowaną kurtkę, pod którą nosił kilka starych wełnianych koszul, a na głowie miał brudną pomarańczową czapkę. Pod pachą ścisnął podniszczoną aktówkę. Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia podróży był nieogolony. Z ust zwisał mu byle jaki papieros. McFarlane spostrzegł, że Glinn naprawdę go pali, zaciągając się z wyraźną przyjemnością.

- Nie wierzę, że naprawdę się spotkaliśmy - powiedział McFarlane.

- Jestem Eli Ishmael, główny inżynier-górnik.

- Cóż, panie inżynierze górnictwa, gdybym pana nie znał lepiej, powiedziałbym, że jest pan bardzo rozbawiony całą tą sytuacją.

Glinn wyciągnął z ust papierosa, przez moment się w niego wpatrywał, po czym wyrzucił go do lodowato zimnej wody.

- Rozbawienie niekoniecznie musi towarzyszyć sukcesowi. McFarlane wskazał na jego zniszczone ubranie.

- Skąd pan to wziął? Wygląda pan, jakby jeszcze wczoraj wrzucał pan w tym węgiel do pieca w jakiejś kotłowni.

- Kiedy przygotowaliśmy statek do drogi, odwiedziło nas kilku kostiumologów z Hollywood - odparł Glinn. - Mamy kilkanaście skrzyń z przebraniami na każdą okazję.

- Miejmy też nadzieję, że nie będziemy musieli zbyt intensywnie z nich korzystać. Jakie jednak zadania czekają nas w tym porcie?

- Bardzo proste. Musimy się przedstawić celnikom, poprawnie odpowiedzieć na wszystkie ich pytania dotyczące zezwoleń na prowadzenie prac górniczych i w końcu znaleźć Johna Puppupa. Podejmujemy ryzykowne przedsięwzięcie, chcąc odnaleźć tutaj rudę żelaza. Nasza firma znajduje się na skraju bankructwa i ta wyprawa stanowi dla niej ostatnią szansę. Jeśli ktokolwiek będzie panu zadawał pytania w języku angielskim, proszę stanowczo utrzymywać, że znalezienie złóż rud żelaza jest naszym jedynym celem. Ale, o ile to tylko

będzie możliwe, niech pan najlepiej w ogóle nic nie mówi. A jeśli w urzędzie celnym wydarzy się coś niespodziewanego, proszę reagować naturalnie.

- Naturalnie? - McFarlane potrząsnął głową. - Mój naturalny instynkt podpowie mi wówczas, żeby spieprzać do diabła. - Urwał na chwilę. - A co z naszą panią kapitan? Uważa pan, że temu podola?

- Jak pan już zapewne zauważył, nie jest ona przeciętnym kapitanem żeglugi morskiej.

Szalupa cicho zadrżała i w powietrze uniosło się przytłumione dudnienie właśnie uruchomionych silników dieslowskich. Otworzyły się drzwi kabiny i niebawem do mężczyźni dołączyła kapitan Britton, ubrana w stare dzinsy, kurtkę w kolorze zielonego groszku i pomiętą czapkę ze złotymi dystynkcjami kapitana. Na szyi miała zawieszoną lornetkę. McFarlane po raz pierwszy zobaczył ją ubraną inaczej niż w nienagannie odprasowany mundur; zmiana jakby odmłodziła kobietę i uczyniła ją jeszcze bardziej ponętą.

- Pozwoli pani, że stwierdzę, iż doskonale pani wygląda w tym przebraniu - powiedział Glinn.

McFarlane popatrzył na niego ze zdziwieniem. Nigdy dotąd nie słyszał, żeby Glinn komukolwiek prawil komplementy.

Kiedy szalupa okrążyła północny cypel wyspy Navarino, w oddali na wodzie ukazała się jakaś ciemna sylwetka. McFarlane dostrzegł, że jest to wielki stalowy kadłub statku.

- Boże - jęknął. - Popatrzcie tylko, co za olbrzym. Musimy go szeroko okrążyć, inaczej utoniemy w wirze wodnym, jaki tworzą jego śruby.

Britton szybkim ruchem przyłożyła do oczu lornetkę. Przez chwilę uważnie wpatrywała się w dal, po czym opuściła lornetkę, tym razem znacznie wolniej.

- Raczej nie - odparła. - Ten statek nigdzie już nie popłynie. Mimo że dziób olbrzyma skierowany był w ich stronę, zdawało się, że minęła cała wieczność, zanim znaleźli się trochę bliżej niego. Jego dwa wysokie maszty przechylone były lekko w bok. Nagle McFarlane zrozumiał: mieli do czynienia z wrakiem, uwięzionym na rafie, na samym środku kanału.

Glinn wziął do ręki lornetkę podaną mu przez kapitan Britton.

- To „Capitan Praxos” - powiedział. - Wygląda na kontenerowiec. Chyba osiadł na mieliznie.

- Aż trudno uwierzyć, że statkowi tej wielkości mogło przydarzyć się nieszczęście na tak spokojnych wodach - zauważył McFarlane.

- Wody w tej cieśninie są spokojne tylko w czasie, kiedy wiatr wieje z północnego wschodu, jak dzisiaj - powiedziała Britton zimnym tonem. - Kiedy zmieniają kierunek na

zachodni, rozpętuje się tu piekło. Być może ten statek znalazł się tutaj w takim właśnie momencie i miał problemy z silnikami.

Pasażerowie szalupy ucichli, a tymczasem stalowy kadłub znajdował się coraz bliżej. Mimo kryształowo czystego powietrza sylwetka statku wydawała się dziwnie nieostra, jakby wrak otoczony był własną chmurą mgły. Pokryty był, od rufy po dziób, rdzą i zgnilizną. Jego stalowe wieżyczki były pogruchotane. Część jednej z nich wisiała przy burcie na ciężkich łańcuchach, druga leżała w plątaninie kabli i złomu bezpośrednio na pokładzie. Nad tą zardzewiałą konstrukcją nie krążyły żadne ptaki ani żadne na niej nie siadały. Burty zdawały się omijać nawet fale. Wrak sprawiał wrażenie widma, bryły jakby nie z tego świata. Był jak wymizerowany wartownik, samym swoim milczeniem karcący wszystkich, którzy go mijali.

- Ktoś powinien porozmawiać na temat tego statku-widma w Izbie Handlowej w Puerto Williams - powiedział McFarlane. Nikt jednak nie roześmiał się z dowcipu.

Pilot zwiększył moc silnika, jakby możliwie szybko chciał minąć wrak, po czym szalupa skierowała się prosto do kanału Beagle. Tutaj już wyrastały z wody wysokie skały, ostre jak sztylety, mroczne i groźne, a ich szczyty tonęły w śniegu. Szalupę lekko popychał wiatr, bijący w rufę. McFarlane znowu szczelniej owinął się peleryną.

- Po prawej stronie mamy Argentynę - objaśnił Glinn. - Po lewej jest Chile.

- A ja poprowadzę szalupę w sam środek - stwierdziła Britton i weszła z powrotem do kabiny.

*

Godzinę później przed dziobem szalupy wyrosły z szarej poświaty zabudowania Puerto Williams, zbieranina byle jakich drewnianych budynków, głównie żółtych z czerwonymi dachami, posadowionych w niewielkiej niecce pomiędzy dwoma wzgórzami. Za nimi wznosiły się grzbiety gór, przybierające na horyzoncie kształt hiperboli, białe i ostre jak zęby. Od strony morza widać było rząd zdezelowanych nabrzeży. W porcie cumowały drewniane kutry rybackie i jednomasztowe żaglowce o kadłubach upstrzonych smołą. Niedaleko McFarlane dostrzegł Barrio de los Indios, składające się z niekształtnych domów i zawilgoconych chat. Z ich prowizorycznych kominów unosiły się w powietrze obłoki czarnego dymu. Przed nimi rozpościerała się stacja morska, rząd żaloznych, rdzewiejących blaszanych budynków. W pobliżu cumowały dwie wojskowe łodzie patrolowe i jakiś bardzo stary niszczyciel.

Pasażerowie szalupy odnieśli wrażenie, że w ciągu kilku minut jasne poranne niebo gwałtownie pociemniało. Kiedy zaczęli dobijać do jednego z drewnianych nabrzeży, dotarł do ich nozdrzy odór gnijących ryb, zdecydowanie przebijający się ponad smród odpadów i

śmiecici oraz morskich wodorostów. Z okolicznych chat wyszło kilku mężczyzn, którzy powłócząc nogami, ruszyli w kierunku nabrzeża. Każdy z nich krzychał coś i gestykułował, wskazując na konkretny fragment pieru lub boję do cumowania statków. Wielu z nich trzymało w rękach liny cumownicze. Kiedy szalupa wreszcie przybiła do brzegu, pomiędzy dwoma mężczyznami, znajdującymi się najbliżej, rozgorzała gwałtowna, głośna sprzeczka. Ucichła dopiero wtedy, gdy Glinn rozdał im po kilka papierosów.

Troje podróżnych wyskoczyło na śliskie molo i popatrzyło w kierunku posępnego miasta. Zabłąkane płatki śniegu szybko pokryły ramiona peleryny McFarlane'a.

- Gdzie się tutaj znajduje biuro celników? - zapytał Glinn jednego z mężczyzn po hiszpańsku.

- Zaprowadzę tam pana - odparło jednocześnie trzech spośród nich.

Do portu zaczęły teraz przybywać także kobiety. Tłoczyły się i popychały, trzymając przed sobą plastikowe wiadra, pełne jeżowców, małży, *congrío colorado* i innych owoców morza. Wszystko na sprzedaż.

- Jeże morskie - powiedziała jedna z kobiet łamaną angielszczyzną. Miała pomarszczoną twarz siedemdziesięciolatki i jeden jedyny, za to bielutki, ząb w ustach. - Bardzo dobre dla mężczyzn. Dodają siły i wzmacniają potencję. *Muy fuerte*. - Wyprostowała znacząco rękę, wskazując, jakie rezultaty może przynieść spożycie jeżowca. Stojący obok mężczyźni wybuchli głośnym śmiechem.

- Nie, dziękujemy - odparł Glinn. Zaczął przepychać się przez tłum, podążając za trzema przewodnikami.

Mężczyźni poprowadzili ich najpierw pomostem, a potem wzdłuż brzegu w kierunku stacji morskiej. Wreszcie, przy kolejnym pomoście wyróżniającym się od innych tym, że był trochę mniej zniszczony, zatrzymali się przed niskim drewnianym budynkiem. Z jego jedynego okna sączyło się w zapadający półmrok słabe światło, a z cynkowego komina wydobywał się aromatyczny dym. Nad drzwiami wisiała wypłowiała flaga chilijska.

Glinn dał po kilka drobnych monet przewodnikom, po czym otworzył drzwi. Kapitan Britton podążała zaraz za nim, a na końcu szedł McFarlane. Głęboko odetchnął, nabierając w płuca wilgotne, chłodne powietrze, po raz kolejny uspokajając się, że przecież nikt go tutaj nie może rozpoznać z ostatniego pobytu na pustyni Atakama.

W środku było dokładnie tak, jak się spodziewał. Głównym meblem był zagracony stół i wypalony piecyk. Za stołem siedział urzędnik o ciemnych oczach. Dobrowolne wejście do chilijskiego urzędu państwowego, nawet w tak odległym i zapomnianym miejscu jak to,

mimo wszystko wywołało obawy McFarlane'a. Odruchowo skierował wzrok ku podniszczonym listom gończym, wiszącym na jednej ze ścian.

Urzędnik celny miał włosy starannie zaczesane do tyłu i nienagannie wyprasowany mundur. Uśmiechnął się do przybyłych, ukazując rząd złotych zębów.

- Proszę - odezwał się po hiszpańsku. - Siadajcie.

Miał łagodny, zniewieściały głos. Wprost emanował zadowoleniem z siebie i dobrobytem, zdającym się na tej zapomnianej placówce ekstrawagancją.

Odgłosy jakiejś kłótni dobiegające z zaplecza biura nagle ucichły. McFarlane poczekał, aż Glinn i Britton usiądą, po czym także on zajął miejsce na koślawym krześle. Drewno płonące w piecyku wesoło trzaskało, a ogień dawał wspaniałe ciepło.

- Por favor - powiedział urzędnik, wyciągając ku gościom cedrowe pudełko z papierosami bez filtrów.

Odmówili poczęstunku, z wyjątkiem Glinna, który wziął od razu dwa. Jednego wsunął do ust, a drugiego schował do kieszeni.

- Mas tarde - rzekł z uśmiechem.

Mężczyzna pochylił się nad stołem i złotą zapalniczką zapalił Glinnowi papierosa. Ten głęboko się zaciągnął, po czym splunął w kierunku piecyka, pozbywając się z języka okruszka tytoniu. McFarlane patrzył to na niego, to na Britton.

- Witamy w Chile - rzekł urzędnik, tym razem po angielsku. Kilkakrotnie obrócił w palcach zapalniczkę, po czym schował ją do kieszeni munduru. Znow przeszedł na hiszpański. - Oczywiście, jesteście z amerykańskiego statku górniczego „Rolvaag”?

- Tak - odparła Britton, również po hiszpańsku.

Z widoczną ostrożnością wydobyla z podniszczonej skórzanej teczki jakieś dokumenty i plik paszportów.

- Szukacie rudy żelaza? - zapytał mężczyzna z uśmiechem. Glinn pokiwał głową.

- I spodziewacie się znaleźć tę rudę na wyspie Desolación? - McFarlane pomyślał, że w jego uśmiechu czai się cynizm. A może podejrzliwość?

- Oczywiście - odpowiedział Glinn szybko, najpierw jednak gwałtownie zakaszłał. - Jesteśmy wyposażeni w najnowocześniejszy sprzęt górniczy, no i mamy statek doskonały do transportu rudy. To bardzo profesjonalne przedsięwzięcie.

Lekkie zaskoczenie na twarzy urzędnika nie pozostawiało wątpliwości, że otrzymał już informację o wielkiej zardzewiałej łajbie, stojącej na kotwicy u ujścia kanału. Przyciągnął do siebie dokumenty i zaczął je wertować, jakby od niechcenia.

- Będę potrzebował trochę czasu, żeby się z nimi zapoznać - stwierdził. -
Prawdopodobnie zechcemy odwiedzić wasz statek. Gdzie jest kapitan?

- Ja jestem kapitanem „Rolvaaga” - odezwała się Britton. Urzędnik ze zdziwienia otworzył szeroko oczy. Zza ścianki działowej rozległo się szuranie butów i w wąskich drzwiach ukazało się kolejnych dwóch oficjeli, o nieokreślonej randze. Podeszli do piecyka i usiedli obok niego na wąskiej ławeczce.

- Pani jest kapitanem - powiedział urzędnik.

- Si.

Urzędnik odchrząknął, wbił wzrok w papiery, przez chwilę wertował je bezmyślnie, po czym zniechęcony podniósł głowę.

- A pan, señor? - zapytał, patrząc na McFarlane'a. Odpowiedział za niego Glinn:

- To jest doktor Widmanstätten, nasz główny naukowiec. Nie mówi po hiszpańsku. Ja z kolei jestem głównym inżynierem. Nazywam się Eli Ishmael.

McFarlane czuł, że urzędnik nie spuszcza spojrzenia z jego twarzy.

- Widmanstätten - powtórzył Chilijczyk powoli, jakby smakując brzmienie tego nazwiska. Także dwaj mężczyźni, którzy od niedawna siedzieli na ławeczce, wpatrywali się w McFarlane'a.

A on czuł, że ma sucho w ustach. Jego fotografii nie publikowano w gazetach chilijskich przynajmniej w ciągu ostatnich pięciu lat. Poza tym pięć lat temu nie miał brody. Nie powinien się niczego obawiać. A jednak na jego czole pojawiły się kropelki potu.

Chilijczycy wpatrywali się w niego z zaciekawieniem, jakby szóstym zawodowym zmysłem wyczuwając jego obawy.

- Nie mówi pan po hiszpańsku? - zapytał go urzędnik. Im dłużej wpatrywał się w McFarlane'a, jego oczy coraz bardziej się zwężały.

Zapadła krótka cisza. Nagle, zupełnie bezmyślnie, McFarlane wypowiedział pierwsze słowa, jakie mu przyszły do głowy:

- Quiero una puta. Chilijczycy roześmiali się.

- Mówi wręcz doskonale! - zawołał urzędnik, siedzący za stołem. McFarlane wyprostował się i oblizał wargi, powoli wypuszczając powietrze.

Glinn znów zakaszłał, głośno i gwałtownie.

- Przepraszam - powiedział, wyciągając z kieszeni pomiętą chusteczkę. Wytrzeł policzki, ścierając z nich żółtą flegmę, po czym schował chusteczkę z powrotem do kieszeni.

Urzędnik zdążył popatrzeć na chusteczkę, po czym zatarł delikatne dłonie.

- Mam nadzieję, że nie przypłynął pan w te surowe rejony z jakimś choróbskiem.

- To nic takiego - odparł Glinn.

McFarlane od dłuższej chwili wpatrywał się w niego z rosnącym strachem. Jego oczy były mętne i przekrwione. Niewątpliwie wyglądał na chorego. Britton odchrząknęła delikatnie, zasłaniając usta ręką.

- Przeziębienie - wyjaśniła. - Choruje już pół statku.

- Zwyczajne przeziębienie? - zapytał urzędnik. Jego brwi wygięły się w ostre łuki.

- Cóż... - zaczęła Britton i na chwilę urwała. - Wielu z nas nie czuje się najlepiej...

- To nic poważnego - przerwał jej Glinn ochryplym głosem. - Być może normalna grypa. Wie pan, jak to jest na statku, kiedy wszyscy razem przebywają w małych pomieszczeniach. - Roześmiał się sztucznie, jednak jego śmiech przeszedł w kolejny atak kaszlu. - Ale, mówiąc o statku, będziemy zaszczyceni, mogąc gościć pana na pokładzie, dzisiaj lub jutro, jak panu wygodniej.

- Pewnie to nie będzie konieczne - odparł urzędnik. - O ile, oczywiście, wasze papiery są w porządku. - Znowu zaczął je przeglądać. - Gdzie jest zezwolenie na prowadzenie robót górniczych?

Głośno odchrząknąwszy, Glinn pochylił się nad stołem i wyciągnął z kieszeni kurtki kilka opieczutowanych dokumentów. Dotykając ich tylko końcami palców, urzędnik uważnie popatrzył na kartkę leżącą na wierzchu, następnie tylko pobieżnie zaczął oglądać pozostałe. Wreszcie odłożył je na bok.

- Jest mi niezmiernie przykro - powiedział, ze smutkiem potrząsając głową. - Dysponujecie jednak państwo nieprawidłowymi formularzami.

McFarlane dostrzegł, że dwaj pozostali urzędnicy popatrzyli po sobie ukradkiem.

- Naprawdę? - zapytał Glinn.

Nagle w pomieszczeniu zmieniła się atmosfera. Zapanowało pełne napięcia oczekiwanie.

- Będziecie musieli postarać się o właściwe formularze w Punta Arenas - kontynuował urzędnik. - W tej postaci nie mogę potwierdzić waszych dokumentów. Na razie, dopóki nie dostarczycie właściwych, zatrzymam na wszelki wypadek wasze paszporty.

- Przecież te formularze są prawidłowe - odezwała się Britton ostrym głosem.

- Pozwól, że się tym zajmę - poprosił ją Glinn po angielsku. - Myślę, że oni się spodziewają, że dostaną trochę pieniędzy.

Britton aż poczerwieniała.

- Chcą łapówki?

Glinn wykonał uspokajający ruch ręką.

- Spokojnie.

McFarlane spoglądał na nich, zastanawiając się, czy prowadzą normalną rozmowę, czy też odgrywają z góry zaplanowane przedstawienie.

Glinn popatrzył na urzędnika, na którego ustach widniał fałszywy uśmiech.

- A może - odezwał się po hiszpańsku - moglibyśmy tutaj zakupić właściwe formularze?

- Istnieje taka możliwość - usłyszał w odpowiedzi. - Ale są bardzo drogie.

Pociągnawszy głośno nosem, Glinn podniósł z podłogi neserer i położył go na stole. Mimo że był brudny i podniszczony, urzędnicy zaczęli się w niego wpatrywać ze źle skrywanym oczekiwaniem. Glinn otworzył neserer i unióśł jego górną część, udając, że stara się ukryć jego zawartość przed Chilijczykami. Wewnątrz znajdowały się kolejne dokumenty i kilka paczek z amerykańskimi dwudziestodolarówkami, spiętych gumkami. Glinn wyciągnął z neserera połowę pieniędzy i położył je na stole.

- Czy to wystarczy? - zapytał.

Urzędnik uśmiechnął się, rozparł się wygodnie na krześle i ułożył palce w namiot.

- Obawiam się, że nie, señor. Zezwolenia na prowadzenie prac górniczych są bardzo drogie - odparł. Starał się nie patrzeć na otwarty neserer.

- A zatem ile?

Urzędnik udawał, że szybko liczy w myślach.

- Dwa razy tyle, ile leży na stole.

Zapadła krótka cisza. Wreszcie Glinn bez słowa sięgnął do neserera, wyciągnął z niego resztę pieniędzy i położył je przed Chilijczykiem.

McFarlane odniósł wrażenie, że napięcie unoszące się w powietrzu w jednej chwili jakby wyparowało. Urzędnik szybko zgarwał pieniądze ze stołu. Britton sprawiała wrażenie rozeźlonej, lecz zrezygnowanej. Dwaj urzędnicy siedzący przy piecyku uśmiechali się szeroko. Wyjątek w tej atmosferze powszechnego zadowolenia stanowił jedynie nowo przybyły osobnik, który mniej więcej w połowie negocjacji wyłonił się z tylnego pomieszczenia i teraz stał przy drzwiach wyjściowych. Był wysokim mężczyzną o brązowej twarzy i niezwykle ostrych rysach. Miał czujne czarne oczy, grube rzęsy i sterczące uszy, które sprawiały, że przywodził na myśl Mefistofelesa. Ubrany był w czysty, lecz wypłowiały mundur marynarki chilijskiej, a na naramiennikach miał złote dystynkcje. McFarlane zauważył, że mężczyzna po wojskowemu trzymał lewą rękę wzdłuż tułowia, natomiast prawą, niezdarnie zaciśniętą w pięść, położył poziomo na brzuchu. Nie był jednak w stanie

ukryć powykęcanych, zniekształconych palców. Popatrzył na urzędników, na Glinna, potem na pieniądze na stole, a jego usta wygięły się w słabym, krzywym uśmiechu pogardy.

Pieniądze leżały już podzielone na cztery kupki.

- Co z pokwitowaniem? - zapytała Britton.

- Obawiam się, że nie mamy zwyczaju... - Urzędnik rozłożył szeroko ręce i znowu się uśmiechnął. Szybkim ruchem jeden plik wsunął do szuflady stołu, a dwa kolejne rozdał mężczyznom siedzącym na ławeczce.

- Dla bezpieczeństwa - powiedział do Glinna.

Nie zwlekając, ostatnią działkę postanowił dać mężczyźnie w mundurze. Ten, przez cały czas uważnie przyglądając się McFarlane'owi, zacisnął zdrową dłoń na chorej, nie czyniąc żadnego gestu, który by świadczył, że chce odebrać pieniądze. Urzędnik trzymał je przed nim przez moment, po czym powiedział coś do niego nerwowym szeptem.

- Nada - odparł głośno mężczyzna w mundurze. Postąpił kilka kroków do przodu i odezwał się do grupy przybyszów z nienawiścią w oczach:

- Wy, Amerykanie, myślicie, że możecie wszystko kupić - mówił doskonałą angielszczyzną, bez śladu obcego akcentu. - Ale nic z tego. Ja nie jestem taki sam, jak ci skorumpowani urzędnicy. Zatrzymajcie swoje pieniądze.

- Weź to, ty głupcze! - zawołał główny celnik, wymachując przed nim plikiem banknotów.

W chwili, gdy Glinn starannie zamykał neseser, rozległo się głośne kliknięcie.

- Nie - odparł mężczyzna w mundurze, przechodząc na język hiszpański. - Przecież to jest farsa, a wy wszyscy doskonale o tym wiecie. Oni chcą nas obrabować. - Splunął w kierunku piecyka. W absolutnej ciszy, która zapadła w tej samej chwili, McFarlane usłyszał skwierczenie śliny na rozgrzanej blasze.

- Obrabować? - zapytał urzędnik. - Nie rozumiem.

- Czy myślisz, że Amerykanie przypływaliby tutaj, żeby szukać rudy żelaza? - zawołał mężczyzna. - Jeśli tak myślisz, jesteś głupcem! Chodzi im o coś zupełnie innego.

- Powiedz mi więc, mądry kapitanie, o co im chodzi?

- Na wyspie Desolación nie ma rudy żelaza. Im może chodzić tylko o jedną rzecz. O złoto.

Po krótkiej chwili urzędnik zaczął się śmiać, głośno, rubasznie, jednak bez cienia wesołości. Wreszcie zwrócił się do Glinna:

- Złoto? - zapytał trochę ostrzejszym tonem, niż mówił przed chwilą, kiedy rozmawiał z kapitanem. - A więc o to wam chodzi? Chcecie ukraść naszemu krajowi złoto?

McFarlane popatrzył na Glinna. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczył na jego twarzy wyraz winy i nieskrywanego strachu. Z pewnością wystarczyło to, żeby wzbudzić podejrzenia nawet u najbardziej tępego celnika.

- Poszukujemy rud żelaza - odparł Glinn, jednak zupełnie bez przekonania.

- Muszę was poinformować, że zezwolenie na kopanie złota będzie o wiele droższe - stwierdził urzędnik.

- Ale nam chodzi przecież o rudy żelaza.

- Dobrze, dobrze - westchnął urzędnik. - Porozmawiajmy ze sobą szczerze i nie stwarzajmy niepotrzebnych problemów. Ta historia o żelazie... - Uśmiechnął się z wyższością.

Zapadła długa, pełna oczekiwania cisza. Przerwał ją dopiero Glinn atakiem głośnego kaszlu.

- W tych okolicznościach powinniście państwo zapłacić na miejscu stosowne honorarium. To wystarczy i udzielimy wam zgody na podjęcie prac, o ile, oczywiście, wszelka dokumentacja, którą dysponujecie, będzie w absolutnym porządku.

Urzędnik celny czekał. A Glinn ponownie otworzył walizeczkę. Wyciągnął z niej wszystkie papiery i wsunął do kieszeni. Następnie przesunął palcami po podstawie pustego teraz neseseru, jakby czegoś szukając. Wreszcie rozległo się przytłumione kliknięcie i niespodziewanie do góry podskoczyło fałszywe dno walizeczki. Żółty blask złotych sztabek, ukrytych pod jej podwójnym dnem, oświetlił zaskoczoną twarz urzędnika.

- Mądre de dios - wyszeptał.

- To dla ciebie i twoich kumpli. Możecie to wziąć od razu - powiedział Glinn. - W drodze powrotnej, gdy przepuścicie nas przez kontrolę celną, dostaniecie dwa razy tyle. Oczywiście, jeżeli jakieś fałszywe pogłoski o złocie na wyspie Desolación dotrą do Punta Arenas albo jeśli na wyspie pojawią się niechciani przez nas goście, nie będziemy w stanie dokończyć naszych prac. Wtedy nie dostaniecie już niczego. - Niespodziewanie odkaszlnął, obryzgując śliną wierzch neseseru.

Urzędnik pośpiesznie zamknął walizeczkę.

- Tak, tak. Wszystkim się zajmiemy. Chilijski kapitan zareagował ze złością:

- Popatrzcie tylko na siebie, jesteście jak psy wężące dookoła suki w rui.

Dwaj celnicy wstali z ławeczki i zaczęli coś do niego pomrukiwać, jednocześnie gwałtownymi gestami wskazując na neseser. Na kapitanie nie zrobiło to jednak wrażenia.

- Wstydzę się, że przebywam z wami w jednym pokoju. Potrafilibyście sprzedać własne matki.

Główny celnik odwrócił się na krześle i popatrzył w przestrzeń za mężczyzną, jakby go nie widząc.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli powróci pan na swój okręt, kapitanie Vallenar - powiedział lodowatym tonem.

Mężczyzna w mundurze zmierzył po kolei nienawistnym spojrzeniem każdą osobę obecną w pomieszczeniu. Następnie, wyprostowany i milczący, obszedł stół i wyszedł na zewnątrz, nie zamykając za sobą drzwi, które zaraz zaczęły się ruszać w zawiasach, smagane ostrym wiatrem.

- Co z nim? - zapytał Glinn.

- Musicie wybaczyć kapitanowi Vallenarowi - oświadczył urzędnik, sięgając do kolejnej szuflady i wyciągając z niej jakieś papiery i oficjalną pieczęć. Szybko złożył kilka podpisów i opieczętował dokumenty, sprawiając wrażenie, jakby chciał teraz jak najszybciej pozbyć się gości. - To idealista w kraju pragmatyków. Ale jest nieszkodliwy. Nie będzie żadnych plotek, nikt nie będzie wam przeszkadzał w pracy. Macie na to moje słowo. - Przesunął po stole w kierunku Glinna dokumenty i paszporty.

Glinn zebrał dokumenty, wstał i odwrócił się do wyjścia, jednak niespodziewanie zawahał się.

- Jeszcze jedno. Wynajęliśmy mężczyznę o nazwisku John Puppup. Ma pan pojęcie, gdzie moglibyśmy go teraz znaleźć?

- Puppupa? - Urzędnik był wyraźnie zdziwiony. - Tego starucha? Po co wam on?

- Poinformowano nas, że dysponuje dogłębną wiedzą na temat wysp przyładka Horn.

- Nie wierzę, że ktoś mógł wam naopowiadać takich bzdur. Tak się nieszczęśliwie składa, że kilka dni temu otrzymał skądś jakieś pieniądze. A to oznacza tylko jedno. Spróbowałbym go szukać najpierw w El Picoroco. Na Callejón Barranca. - Urzędnik wstał i błysnął szerokim uśmiechem, znów ukazując rząd złotych zębów. - Życzę wam szczęścia w poszukiwaniach rudy żelaza na wyspie Desolación.

PUERTO WILLIAMS

Godz. 11.45

Wyszedszy z urzędu celnego, skierowali się w głąb lądu i zaczęli wspinać się w kierunku Barrio de los Indios. Żwirowa droga szybko ustąpiła pokrywie ze śniegu i brudnego lodu. Zbocza wzgórz utwardzone były drewnianymi okrągłakami, żeby powstrzymać erozję. Wzdłuż traktu stały małe domy, sklecone z byle jakich płyt i otoczone nierównymi drewnianymi płotami. Za przybyszami szybko uformował się pochód, złożony z małych dzieci, które wesoło chichotały i wytykały ich palcami. Minął ich jakiś mężczyzna

prowadzący w dół osła z wielkim ładunkiem drewna. Droga była tak wąska, że osioł niemal zepchnął z niej McFarlane'a. Ten głośno zaklął, ale, chociaż z trudem, utrzymał równowagę.

- A teraz niech mi pan powie, jak duża część tego przedstawienia z celnikami została zaplanowana? - zapytał Glinna cichym głosem.

- Wszystko, z wyjątkiem pojawienia się kapitana Vallenara. I pana krótkiej wypowiedzi. Nie zaplanowanej, jednak bardzo przydatnej. W każdym razie nasza wizyta u celników zakończyła się pełnym sukcesem.

- Sukcesem? Oni teraz uważają, że zamierzamy nielegalnie wydobywać złoto. Powiedziałbym, że nastąpiła katastrofa.

Glinn uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie mogło nam pójść lepiej. Gdyby ci faceci zaczęli się trochę zastanawiać, przenigdy nie uwierzyliby, że jakaś amerykańska kompania wysłała na koniec świata masowiec, żeby przywieźć do kraju rudę żelaza. Wybuch kapitana Vallenara nastąpił w doskonałym momencie. Oszczędził mi wysiłków. Gdyby nie on, sam musiałbym tym tumanom zaszczerpić w głowach podejrzenie, że tak naprawdę chodzi nam właśnie o złoto. McFarlane potrząsnął głową.

- Niech pan pomyśli o plotkach, jakie wkrótce rozejdą się po okolicy.

- One już się rozchodzą. Nie ma takiej ilości złota, która zamknęłaby komukolwiek usta do końca życia. Teraz nasi dobrzy celnicy postarają się zdławić plotki i wiedzę o zlocie na wyspie wykorzystać dla siebie. Oni to wszystko świetnie potrafią, no i mają przecież doskonałą motywację.

- A co z kapitanem? - zapytała Britton. - Nie wyglądał na faceta, który byłby gotów z nimi współdziałać.

- Nie każdego da się przekupić. Szczęśliwie dla nas ten facet nie ma już żadnej władzy ani wiarygodności. W miejscu takim jak to kończą wyłącznie oficerowie marynarki, którzy zostali skazani za coś przez sądy albo z jakiegoś innego powodu splamili swój honor. Ci celnicy już się postarają, żeby kapitan nie sprawił im żadnego kłopotu. Co oznacza, że najprawdopodobniej dadzą łapówkę dowódcy bazy marynarki wojennej. Dostali aż nadto złota i pieniędzy, żeby bez żalu odpalić trochę i jemu. - Glinn na chwilę umilkł. - Chociaż, mimo wszystko, powinniśmy zebrać trochę wiadomości na temat kapitana Vallenara.

Droga zaczęła wkrótce bieć po płaskim terenie i podróżnicy znaleźli się w niewielkiej wiosce. Przeskoczyli przez wąski rów z wodą pełną mydlin. Glinn zapytał o drogę jakiegoś przechodnia i po chwili skręcili w wąską boczną uliczkę. Nad wioską zawisła brudna, wilgotna mgła, niosąca ze sobą mroźne i jednocześnie wilgotne powietrze. W rynsztoku

dostrzegli martwego mastyfa. McFarlane wciągnął nosem powietrze, w którym unosił się zapach ryb i mokrej ziemi. Wkrótce zauważył jakąś reklamę, wymalowaną na sękatej desce. Reklama zapraszała do pobliskiego baru, który jakoby sprzedawał fantę i lokalne piwo. Mimowolnie cofnął się myślami o pięć lat. Po dwukrotnej nieudanej próbie przedostania się do Argentyny, opętani wizją tektytów z Atakamy, razem z Nestorem Masangkayem przeszli niedaleko miasteczka Ancuaque do Boliwii. Miasteczko było całkowicie niepodobne do Puerto Williams z wyglądu, natomiast niemal identyczne duchem.

Glinn zatrzymał się. Na końcu alei stał brzydki budynek z czerwonej cegły. Wyróżniał go czerwony napis: EL PICOROCO. CERVEZA MAS FINA i wisząca nad nim niebieska żarówka. Przez niedomknięte drzwi na ulicę wydostawały się dźwięki jakiejś lokalnej muzyki.

- Chyba zaczynam rozumieć niektóre pana metody - odezwał się McFarlane. - Ten celnik powiedział, zdaje się, że ktoś przysłał Puppupowi jakieś pieniądze. Czy to przypadkiem nie był pan?

Glinn skłonił głowę, jednak nic nie powiedział.

- Chyba poczekam na was na zewnątrz - postanowiła Britton.

McFarlane wszedł za Glinnem do baru. Panował w nim półmrok. Geolog dostrzegł pod ścianą bar, byle jak sklecony z zestawionych drewnianych stołów, a obok angielską tarczę do gry w strzałki, o wyblakłych liczbach oznaczających zdobywane punkty. Zadymione powietrze cuchnęło, jakby pomieszczenia nie wietrzono od wielu lat.

Kiedy przybysze znaleźli się w środku, barman wyprostował się, natomiast rozmowy jakby przycichły, a na McFarlanie i Glinnie spoczęły spojrzenia kilkunastu par zaciekawionych oczu.

Glinn przemknął do baru i zamówił dwa piwa. Barman podał piwo; było ciepłe, a kufle ociekały pianą.

- Szukamy senora Puppupa - powiedział Glinn.

- Puppupa? - Usta barmana ułożyły się w uśmiech, ukazując rząd zepsutych, poczerniałych zębów. - Jest na zapleczu.

Poszli za barmanem, który odciągnął zasłonę z paciorków, i ich oczom ukazała się mała przytulna wnęka. Pod jej ścianą stał niewielki stolik, na którym walały się puste butelki po piwie. Pod drugą ścianą ustawiono szeroką ławkę. Leżał na niej chudy stary człowiek w nieprawdopodobnie brudnym ubraniu. Nad jego górną wargą rosły drobne czarne wąsiki w stylu Fu Manchu. Z jego głowy na ławkę opadła okrągła czapka, wyglądająca, jakby ktoś ją uszył ze starych szmat.

- Śpi czy pijany? - zapytał Glinn. Barman zaniósł się głośnym śmiechem.

- I to, i to.

- Do kiedy wytrzeźwieje?

Mężczyzna pochylił się, szybko przetrząsnął kieszenie Puppupa i wyciągnął z nich niewielki zwitek brudnych banknotów. Przeliczył je, po czym schował z powrotem do kieszeni starego.

- W najbliższy wtorek będzie trzeźwy.

- Ale przecież zatrudniliśmy go na naszym statku. Barman znowu się zaśmiał, tym razem cynicznie.

Glinn przez chwilę się nad czymś zastanawiał, a przynajmniej sprawiał wrażenie, że się zastanawia.

- Otrzymaliśmy polecenie, żeby go zabrać na pokład. Czy mógłby pan poprosić ze dwóch swoich klientów, aby nam pomogli?

Barman pokiwał głową i wrócił do baru. Po chwili zjawił się z powrotem z dwoma krzepkimi mężczyznami. Po krótkich negocjacjach i przekazaniu gotówki z rąk do rąk mężczyźni podnieśli Puppupa z ławki i zaczęli wynosić go z baru. W ich objęciach wyglądał tak niepozornie i delikatnie jak suchy liść.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, McFarlane głęboko odetchnął powietrzem, które teraz wydawało mu się rześkie i zdrowe. Mimo unoszącego się w nim odoru i tak było lepsze niż zatęchła atmosfera baru.

Podeszła do nich Britton, która dotąd stała ukryta w cieniu. Kiedy spojrzała na Puppupa, jej oczy zwęziły się.

- Teraz nie bardzo jest na co patrzeć - wyjaśnił Glinn. - Ale kiedy wytrzeźwieje, będzie doskonałym pilotem. Facet od pięćdziesięciu lat przemierza łódką wody w rejonie przylądka Horn. Zna wszystkie prądy, wiatry, rafy, fale i z wielkim wyprzedzeniem przewiduje wszelkie zmiany pogody.

Britton uniosła zdziwione spojrzenie.

- Ten stary pijaczyna? Glinn pokiwał głową.

- Jak powiedziałem dziś rano Lloydowi, jest w połowie Indianinem Yaghan. A Indianie ci to pierwotni mieszkańcy wysp przylądka Horn. To właściwie ostatni człowiek, który zna ich język, pieśni i legendy. Większość czasu spędza, przemierzając wyspy, żyje z łowienia ryb, zbierania ziół i korzeni. Gdyby zadał mu pan pytanie, zapewne odpowiedziałby, że wszystkie wyspy przylądka Horn należą wyłącznie do niego.

- Cóż za barwna postać - stwierdził McFarlane z przekąsem. Glinn popatrzył na niego uważanie.

- Rzeczywiście, barwna. I przypadkiem to właśnie on znalazł zwłoki pana partnera. McFarlane zatrzymał się jak wryty.

- No, właśnie. - Glinn kontynuował niemal szeptem. - To on zabrał tomograf dźwiękowy i próbki skał, po czym sprzedał wszystko w Punta Arenas. Poza wszystkim innym jego nieobecność w Puerto Williams będzie miała dla nas ogromne pozytywne znaczenie. Teraz, kiedy skierowaliśmy uwagę co niektórych na wyspę Desolación, nie będzie go przynajmniej tutaj, na miejscu, i nie będzie w stanie rozpuszczać żadnych plotek.

McFarlane po raz kolejny, tym razem uważniej, popatrzył na pijaka.

- A więc to ten drań obrabował mojego partnera? Glinn położył rękę na ramieniu McFarlane'a.

- To bardzo ubogi człowiek. Znalazł martwego człowieka, a przy nim kilka wartościowych przedmiotów. To chyba zrozumiałe i wybacalne, że chciał odnieść z tego jakąś drobną korzyść. Nikomu nie uczynił nic złego. Poza tym, gdyby nie on, pana dawny przyjaciel mógłby leżeć na ziemi do końca świata, zaginiony i zapomniany przez wszystkich. A pan nie miałby okazji, aby dokończyć jego dzieło.

McFarlane ruszył przed siebie. W duchu musiał przyznać, że Glinn ma rację.

- Będzie dla nas bardzo użyteczny - powiedział Glinn. - Mogę panu to obiecać.

Przez całą drogę powrotną do portu McFarlane w ponurym milczeniu podążał za resztą grupy.

„ROLVAAG”

Godz. 14.50

Zanim szalupa motorowa wypłynęła z kanału Beagle i dotarła do „Rolvaaga”, nad morzem zaległa gęsta, ciężka mgła. Grupka podróżnych kryła się w budce sternika. Wszyscy siedzieli skuleni na kapokach, prawie nic nie mówiąc. Puppup, posadzony prosto pomiędzy Glinnem i Sally Britton, nie zdradzał na razie żadnych oznak powracającego życia. Kilkakrotnie jednak z trudem utrzymano go w pionie, gdyż miał wyraźne skłonności, aby przechylać się na panią kapitan.

- Czy on udaje? - zapytała Britton, zdejmując drobną rękę starego człowieka ze swojego uda i delikatnie go odpychając.

Glinn uśmiechnął się. McFarlane zauważył, że palone w pośpiechu papierosy, obrzydliwy kaszel i przekrwione oczy są już tylko wspomnieniem; odzyskiwał dawną chłodną prezencję.

Wkrótce przed szalupą wyłoniła się z mgły upragniona sylwetka tankowca. Kiedy przybili do burty, dźwig uniósł szalupę i po chwili delikatnie umieścił ją na pokładzie. Tymczasem Puppup zaczął zdradzać pierwsze oznaki życia. McFarlane z wysiłkiem postawił go na nogi. Stary nie waży więcej niż dziewięćdziesiąt funtów, pomyślał.

- John Puppup? - zapytał Glinn łagodnie. - Jestem Eli Glinn.

Puppup ujął jego wyciągniętą rękę i delikatnie nią potrząsnął. Następnie w absolutnym milczeniu przywitał się z pozostałymi osobami zgromadzonymi dookoła niego, w tym z palaczem, stewardem i dwoma zaskoczonymi marynarzami. Dłoń kapitań Britton uściśnął na końcu i trzymał ją najdłużej ze wszystkich.

- Czy nic panu nie jest? - zapytał Glinn.

Mężczyzna rozejrzał się dookoła czarnymi oczyma i poprawił drobny wąsik. Nie wydawał się ani zaskoczony, ani przestraszony dziwnym otoczeniem.

- Panie Puppup, najprawdopodobniej zastanawia się pan, dlaczego się pan tutaj znalazł?

Ręka Puppupa niespodziewanie wbiła się w kieszeń spodni i ukazała się z powrotem z plikiem banknotów. Stary szybko przeliczył pieniądze, odchrząknął z satysfakcją, że go nie okradziono, po czym schował pieniądze.

Glinn skinął na stewarda.

- Pan Davies zaprowadzi pana do kabiny. Tam się pan wykąpie i nałoży świeże ubranie, zgoda?

Puppup popatrzył z zaciekawieniem na Glinna.

- Może on nie mówi po angielsku? - mruknął McFarlane. Natychmiast utknęło w nim spojrzenie Puppupa.

- Mówi jak sama królowa - powiedział starzec. Miał wysoki i melodyjny głos, w którym mieszało się mnóstwo akcentów. Dominowała w nim angielszczyzna z przedmieść dużych miast.

- Z przyjemnością odpowiem na wszystkie pana pytania, kiedy pan już na dobre rozgości się na naszym statku - oznajmi! Glinn. - Jutro rano spotkamy się w bibliotece. - Skinął na Daviesa.

Już bez zbędnych słów Puppup odwrócił się. Kiedy szedł za stewardem prowadzącym go ku nadbudówce na rufie, śledził go wzrok wszystkich osób zebranych na pokładzie.

Niespodziewanie rozległ się głośny sygnał dźwiękowy.

- Kapitan na mostek! - dotarł do wszystkich metaliczny głos Victora Howella.

- Co się stało? - zapytał McFarlane. Britton potrząsnęła głową.

- Zobaczymy.

*

Z mostka widać było jedynie wszechogarniającą szarość wokół statku. Poza nią nie dało się dostrzec dosłownie niczego, pokładu nie wykluczając. Znalazłszy się na stanowisku dowodzenia, McFarlane natychmiast wyczuł, że panuje tu napięta atmosfera. Zamiast normalnego szcztąkowego składu pełniącego wachtę teraz znajdowała się tutaj przynajmniej potowa oficerów. Z pokoju radiowego dobiegał odgłos, który świadczył, że ktoś bardzo szybko uderza palcami w klawiaturę komputera.

- O co chodzi, panie Howell? - zapytała Britton chłodno. Howell oderwał wzrok od najbliższego monitora.

- Kontakt radarowy.

- Kto to taki? - zapytał McFarlane.

- Nie wiemy. Nie reaguje na nasze sygnały. Jeśli weźmiemy pod uwagę jego prędkość i obraz na ekranie radaru, mamy najprawdopodobniej do czynienia z kanonierką. - Znow popatrzył na ekran. Zaczął kręcić jakimiś potencjometrami. - Jest zbyt daleko, żeby dokładniej określić jego gabaryty.

- Jak daleko jest od nas? - zapytała Britton.

- Zdaje się przez cały czas krążyć dookoła, jakby czegoś szukał. Zaraz, chwila... Ustabilizował kurs. Jest osiem mil od nas, na kierunku jeden sześć zero i się zbliża. Chyba nas po prostu szuka.

Kapitan szybko do niego podeszła i popatrzyła na ekran radaru.

- Jest na naszym kursie. Przewidywany czas do kolizji?

- Dwanaście minut, o ile zachowa dotychczasowy kurs i prędkość. Britton spojrzała na trzeciego oficera, który utrzymywał łączność z maszynownią.

- Możemy ruszyć? - zapytała. Oficer pokiwał głową.

- Jesteśmy pod parą, proszę pani. Mamy pełną zdolność do manewrowania.

- To przekaz do maszynowni, żeby powoli ruszyli do przodu.

- Tak jest! - odparł oficer i wziął do ręki czarną słuchawkę wewnętrznego telefonu.

W chwili, gdy silniki zaczęły nabierać mocy, statek lekko zadrżał. Rozległy się sygnały alarmów antykolizyjnych i syreny przeciwmgłowej.

- Robimy unik? - zapytał McFarlane. Britton potrząsnęła przecząco głową.

- Statek jest na to zbyt ciężki, nawet gdybyśmy sterowali silnikami. Ale możemy naszego nieznajomego trochę nastraszyć.

Z masztu radarowego rozległ się ogłuszający dźwięk syreny, włączanej w sytuacji zagrożenia w czasie mgły.

- Kurs niezmienny - powiedział Howell. Wzrok miał utkwiony w ekranie radaru.

Britton podeszła do pokoju radiowego i szerzej otworzyła szare metalowe drzwi.

- Jakich wiadomości, Banks?

- Żadnej odpowiedzi.

McFarlane zbliżył się do okna. Wycieraczki pracowały bezustannie, zbierając gromadzącą się na szkle wodę. Odnosił wrażenie, że mimo wszystko wkrótce przez gęstą mgłę przebijają się słońce.

- Czy on nas nie słyszy? - zapytał.

- Oczywiście, że nas słyszy - odparł Glinn cichym głosem. - Doskonale wie, że tutaj jesteśmy.

- Kurs niezmienny - mruknął Howell wpatrujący się w ekran radaru. - Kolizja za dziewięć minut.

- Wystrzelić racę w kierunku intruza - rozkazała Britton, która wróciła na stanowisko dowodzenia.

Howell przekazał rozkaz dalej i Britton podeszła do oficera wachtowego.

- Jak pracuje ster? - zapytała.

- Jak muł. Cóż, przy tej szybkości...

McFarlane poczuł, że statek z wielkim wysiłkiem zmienia położenie.

- Pięć minut i zbliża się - powiedział Howell.

- Wystrzelcie jeszcze kilka rac. Celujcie prosto w ten statek. I proszę mnie przełączyć na częstotliwość ICM. - Britton wzięła z konsoli dowodzenia mikrofon. - Do niezidentyfikowanego obiektu w odległości trzech tysięcy jardów od mojej lewej burty, mówi kapitan masowca „Rolvaag”. Żeby uniknąć kolizji, zmień kurs o dwadzieścia stopni w prawo. Powtarzam, zmień kurs o dwadzieścia stopni w prawo. - Powtórzyła jeszcze komunikat po hiszpańsku, po czym przełączyła radio na odbiór. Wszyscy zgromadzeni na mostku w absolutnym milczeniu wsłuchiwali się w szum dobiegający z głośników.

Britton odłożyła mikrofon. Popatrzyła na sternika, a następnie na Howella.

- Trzy minuty do kolizji - zameldował Howell. Britton bez słowa włączyła interkom.

- Uwaga, komunikat dla wszystkich. Mówi kapitan. Proszę się przygotować na kolizję, uderzenie w prawą burtę.

Jeszcze raz rozbrzmiała syrena alarmowa, przebijając się przez coraz rzadszą mgłę. Mostek błyskał różnokolorowymi światłami.

- Zbliża się do prawej burty, tuż przy rufie - powiedział Howell.

- Natychmiast po zderzeniu informować o uszkodzeniach i zagrożeniu pożarowym - odparła Britton.

Potem wzięła do ręki megafon i popędziła na prawe skrzydło mostka. Otworzyła drzwi i zniknęła na zewnątrz. Jakby kierowani tą samą myślą, Glinn i McFarlane pośpieszyli za nią.

W tej samej chwili, w której McFarlane opuścił ciepły mostek, ogarnęła go ciężka, wilgotna mgła. Spod jego stóp docierały nerwowe pokrzykiwania i odgłosy butów tupiących o pokład. Syrena alarmowa brzmiała tutaj o wiele donośniej niż na osłoniętym mostku, jakby atomizując ciężkie powietrze wiszące nad „Rolvaagiem”. Britton, z megafonem przy ustach, wychylała się przez barierkę. Znajdowała się ponad sto stóp nad powierzchnią morza.

Mgła zaczynała ustępować i z wysokości mostka widać już było niemal cały statek. Jednak McFarlane odniósł wrażenie, że za prawą burtą mgła gęstnieje i powietrze robi się jeszcze ciemniejsze. Niespodziewanie w tej ścianie nieprzeniknionego powietrza ukazał się las anten i ostre czerwone oraz zielone światła zbliżającej się jednostki. Znów ostrzegawczo rozbrzmiała syrena alarmowa „Rolvaaga”, ale obcy statek mknął w jego kierunku z pełną prędkością, niczym taran rozdzierając spokojną wodę. W końcu można było dostrzec całą jego sylwetkę. Był to niszczyciel o burtach gęsto upstrzonych plamami rdzy. Nad okrętem powiewały flagi i bandera Chile. Na jego przednim i tylnym pokładzie znajdowały się karabiny maszynowe dużego kalibru.

Britton przez cały czas krzyczała do megafonu. Powietrze rozdzierały odgłosy syren alarmowych i przeciwmgłowych. McFarlane poczuł, jak statek drży pod jego stopami, gdy pracujące z pełną mocą silniki starały się usunąć go z drogi rozpędzonego niszczyciela. Jednak uniknięcie kolizji było już niemożliwe. McFarlane mocniej stanął na nogach i zacisnął dłonie na barierce, przygotowując się na uderzenie.

W ostatniej chwili niszczyciel skierował się w prawo i zmniejszył prędkość, po czym przepłynął w odległości zaledwie dwudziestu jardów od „Rolvaaga”. Britton opuściła megafon. Wszyscy ludzie zgromadzeni na pokładzie „Rolvaaga” patrzyli w ślad za mniejszą jednostką.

Lufy karabinów i dział niszczyciela, od broni maszynowej po 40-milimetrowe działa, skierowane były na „Rolvaaga”. McFarlane obserwował tę scenę z niedowierzaniem i przerażeniem. Wreszcie spojrzął na mostek okrętu.

Samotny, w pełnym umundurowaniu, stał na nim marynarz, którego spotkali dzisiejszego ranka w urzędzie celnym. Wiatr targał złotymi paskami na czapce oficera, McFarlane widział kropłe wilgoci na jego twarzy.

Kapitan Vallenar jakby nie zwracał uwagi na ludzi zgromadzonych na „Rolvaagu”. W pozie udawanego lekceważenia opierał się o ciężki karabin maszynowy przytwierdzony do barierki. Lufa karabinu, poplamiona od rdzy i soli morskiej, celowała prosto w nich, zapowiadając zadanie niechybnej śmierci. Zniekształconą rękę, ułożoną pod kątem czterdziestu pięciu stopni, marynarz przyciskał do piersi. Nie spuszczał wzroku z pokładu tankowca. W miarę jak niszczyciel go mijał, głowa kapitana Vallenara i lufa karabinu przesuwwały się, nie zmieniając raz wybranego celu.

Wreszcie niszczyciel minął „Rolvaaga” i jak zjawa zniknął we mgle. W niesamowitej ciszy, która nagle zapadła, McFarlane słyszał jedynie odgłos silników oddalającego się niszczyciela, które znowu nabierały pełnej mocy. „Rolvaag”, lekko niczym dziecko w kołysce, zakołysał się na fali, którą wywołał przepływający intruz. Woda szybko się uspokoiła i gdyby nie koszmar sprzed chwili, można by odnieść wrażenie, że wszystko było i jest w jak najlepszym porządku.

„ROLVAAG”

13 lipca, godz. 6.30

W półmroku swojej kabiny McFarlane męczył się, bezskutecznie próbując zasnąć. Pościel wokół niego była w kompletnym nieładzie, jakby przez łóżko przeszedł cyklon, a poduszka pod jego głową była ciężka i mokra od potu. Po raz kolejny przewrócił się w półśnie na drugi bok, instynktownie wyciągając rękę, żeby znaleźć ciepłe ciało Malou. Ale oprócz niego w łóżku nie było nikogo.

Usiadł i czekał, aż serce, bijące jak oszalałe, uspokoi się i znów będzie pracować w normalnym rytmie. Jednocześnie wyrzucał z myśli koszmar, który przed chwilą mu się śnił: obraz niewielkiego statku walczącego o przetrwanie na wzburzonym morzu. Kiedy przetarł dłonią oczy, zdał sobie sprawę, że nie wszystko jest koszmarnym snem; „Rolvaag” kołysał się na falach gwałtownie jak jeszcze nigdy dotąd. Zeskoczywszy z łóżka, McFarlane podszedł do iluminatora i odciągnął zasłonę. Na pleksiglasowym oknie pienila się woda, a jego dolną część przykrywała gruba warstwa lodu.

Ciemna kabina nagle wydała mu się miejscem bardzo nieprzyjemnym. Ubrał się szybko, pragnąc wydostać się z pomieszczenia, do którego powietrze dostarczały urządzenia klimatyzacyjne, i chociaż przez chwilę pooddychać świeżą, naturalną atmosferą. Gdy biegł

dwa piętra do góry, zmierzając ku głównemu pokładowi, statek zakołysał się mocniej i McFarlane upadłby, gdyby w porę nie złapał się poręczy schodów.

Kiedy geolog otworzył drzwi na zewnątrz, natychmiast poczuł na twarzy silny podmuch nieprzyjemnego lodowatego powietrza. Było ono jednak również orzeźwiające, dzięki czemu ostatecznie mógł odegnąć od siebie nocny koszmar. W półmroku dostrzegł, że wszystkie wloty powietrza, żurawie i kontenery pokryte są lodem i że lekko oblodzone są też deski pokładu. Wyraźnie usłyszał szum ciężkich fal przewalających się przez statek. Tutaj kołysanie „Rolvaaga” na wzburzonej wodzie czuło się jeszcze mocniej niż w kabinie. Ciemne, ponure morze było w wielu punktach spienione i widać było na nim białe grzywy wysokich bałwanów. Ponad świst wiatru do uszu McFarlane’a co chwilę przedzierały się odgłosy fal rozcinanych przez dziób statku.

Ktoś był już na pokładzie i mocno trzymając się barierki prawej burty, wychylał się na zewnątrz. Zbliżywszy się do tej postaci, McFarlane rozpoznał Amirę, znów otuloną w grubą kurtkę, stanowczo dla niej za dużą.

- Co tutaj robisz? - zapytał.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Pod wielkim futrzanym kapturem dostrzegł twarz, która była niemal zielona. Na czole Amiry zauważył kilka kosmyków czarnych włosów.

- Staram się wymiotować - odparła. - A ty jakie masz wytłumaczenie? Co cię tu sprowadziło?

- Nie mogłem spać. Amira pokiwała głową.

- Mam nadzieję, że ten niszczyciel znów się pojawi w pobliżu. Nie marzę o niczym innym, jak o wyrzuceniu zawartości mojego żołądka na tego śmiesznego, obrzydliwego kapitana.

McFarlane nic nie odpowiedział. Spotkanie z chilijskim okrętem i spekulacje na temat motywów, które kierowały kapitanem Vallenarem, ostatniego wieczoru zdominowały rozmowy przy kolacji. A Lloyd, kiedy usłyszał o incydencie, wpadł w szal. Jedyne Glinn wydawał się nieporuszony.

- Popatrz tylko - odezwała się Amira.

Podążając za jej wzrokiem, McFarlane dostrzegł ciemną sylwetkę kogoś biegnącego wzdłuż lewej burty statku. Osoba ta ubrana była jedynie w lekki szary dres. Patrząc dłużej, rozpoznał Sally Britton.

- Tylko ona ma dość jaj, żeby uprawiać jogging w taką pogodę - powiedziała Amira kwaśnym tonem.

- Twarda sztuka.

- Chyba raczej szalona. - Amira zarżała krótkim, urywanym śmiechem. - A popatrz, jak dyndają jej cycki pod bluzą.

McFarlane, który właśnie na nie patrzył, nie zareagował.

- Nie zrozum mnie źle. Wyrażam jedynie czysto naukowe zainteresowanie. Zastanawiam się, jak ciężkie musiałyby być te wspaniałe cycki, żeby pociągnęły ją podczas biegu na deski. Muszę na to znaleźć odpowiednie równanie.

- Równanie?

- My, fizycy, wszystko wyrażamy równaniami. Zawieramy w nich wszystkie właściwości fizyczne interesującego nas obiektu: temperaturę, ciśnienie, gęstość, elastyczność...

- Chyba rozumiem.

- Popatrz! - zawołała Amira, nagle zmieniając temat. - Kolejny wrak.

Na ponurych, zimowych falach McFarlane dostrzegł zarys wielkiego statku, który bez wątpienia dawno temu roztrzaskał się na podwodnych skałach.

- Który to już, czwarty? - zapytała Amira spokojnie.

- Chyba piąty.

W miarę jak „Rolvaag” zmierzał od Puerto Williams w kierunku przylądka Horn, wielkie wraki pojawiały się na morzu coraz częściej. Niektóre z nich były niemal tak duże jak sam „Rolvaag”. Wody, którymi płynęli, bez wątpienia stanowiły ogromne cmentarzysko statków i w miarę, jak mijali te roztrzaskane kadłuby, które unosiły się jeszcze na wodzie, przestawały one być jakąkolwiek sensacją.

- A oto i ona - mruknęła Amira.

Zbliżywszy się do nich, Britton zatrzymała się i teraz tylko podskakiwała w miejscu, wysoko unosząc kolana. Dres, który miała na sobie, był mokry od potu i deszczu i mocno przywierał do jej ciała.

- Chciałabym, żebyście wiedzieli, że o dziewiątej wydam rozkaz, aby ze względów bezpieczeństwa nikt spoza załogi nie wychodził na pokład. Marynarze, którzy będą musieli pracować na zewnątrz, będą zakładali uprząż zabezpieczającą - powiedziała.

- A to dlaczego? - zapytał McFarlane.

- Nadchodzi nawałnica.

- Nadchodzi? - spytała Amira i roześmiała się ponuro. - Chyba już nadeszła?

- Zmierzając ku zawietrznej stronie wyspy Navarino, dostaniemy się w sam środek huraganu. Nikomu nie będzie wolno wyjść na pokład bez zabezpieczenia - odparła Britton na pytanie Amiry, patrzyła jednak na McFarlane'a.

- Dziękuję za ostrzeżenie - mruknął.

Britton skinęła mu głową, po czym odbiegła. Po chwili znikła z pola widzenia McFarlane'a i Amiry.

- Co ty właściwie do niej masz? - zapytał McFarlane. Amira przez moment milczała.

- Coś w tej Britton mnie gryzie. Jest zbyt doskonała.

- Zdaje się, że właśnie tacy ludzie jak ona najlepiej nadają się na dowódców.

- Ale to niesprawiedliwe: cały statek cierpi z powodu jej problemów z alkoholem.

- To jest jednak decyzja Glinna - przypomniał McFarlane. Po chwili Amira głęboko westchnęła i potrzęsnęła głową.

- Tak. Cóż, nie mogłabym się spodziewać po Elim niczego innego. Podjął taką decyzję, kierując się żelazną i niezachwianą logiką.

McFarlane zadrżał pod mocniejszym podmuchem wiatru.

- Cóż, na razie mam chyba dosyć morskiego powietrza. Idziemy na śniadanie?

Amira cicho jęknęła.

- Idź sobie na śniadanie, ja tu jeszcze trochę zostanę. Wcześniej czy później, w końcu uda mi się wymiotować.

*

Po śniadaniu McFarlane poszedł do biblioteki na spotkanie, o które poprosił go Glinn. Biblioteka, jak wszystko na statku, była ogromna. Okna, pokryte śniegiem i kroplami deszczu, w całości zajmowały jedną ze ścian. Śnieg na zewnątrz padał niemal poziomo i jego mokre, ciężkie płaty długo wirowały w powietrzu, zanim wpadły do czarnej wody.

Na półkach stały książki z najróżniejszych dziedzin, od traktatów i opowieści morskich, po encyklopedie, roczniki „Reader's Digest” i zapomniane, stare bestsellery. Czekając na Glinna, McFarlane zaczął je przeglądać, trochę niespokojny. Im bliżej znajdował się wyspy Desolación, miejsca, w którym zmarł Masangkay, tym większy odczuwał niepokój. Teraz „Rolvaag” był już bardzo blisko punktu docelowego. Dzisiaj miał okrążyć przylądek Horn i wreszcie rzucić kotwicę pomiędzy wyspami.

Geolog zatrzymał dłoń na jakiejś niezbyt grubej książce. *Opowieści Artura Gordona Pyma z Nantucket*. Było to dzieło Edgara Allana Poe, o którym Britton wspomniała podczas pierwszego wieczoru na morzu. Zaciekawiony, wziął książkę do ręki i usiadł na najbliższej sofie. Ciemna skóra, którą była obita, wydała mu się bardzo śliska, kiedy się na niej usadowił

i otworzył tom. Do jego nozdrzy dotarł przyjemny zapach płótna introligatorskiego i starego papieru.

Nazywam się Arthur Gordon Pym. Mój ojciec był szanowanym handlarzem w morskich sklepach w Nantucket, gdzie się urodziłem. Mój dziadek ze strony matki był adwokatem i prowadził cenioną kancelarię. Zawsze miał szczęście. Z powodzeniem obracał akcjami Edgarton New-Bank, jak dawniej ten bank nazywano.

Był to zaskakująco nijaki i nudny początek, dlatego McFarlane z ulgą powitał otwarcie się drzwi i wejście Glinna. Za nim podążał Puppup, wykąpany i uśmiechnięty, w niczym nie przypominający pijaka, którego zabrano na pokład minionego popołudnia. Długie siwe włosy miał zaczesane do tyłu, a cienki wąsik starannie ułożony.

- Przepraszam, że kazałem panu czekać - powiedział Glinn. - Przeprowadziłem rozmowę z panem Puppupem. Wydaje się uradowany, że będzie mógł nam pomóc.

Puppup uśmiechnął się jeszcze szerzej i potrząsnął ręką McFarlane'a, który zauważył, że dłoń starca jest zadziwiająco zimna i sucha.

- Podejźmy do okna - kontynuował Glinn.

McFarlane wstał z sofy i znów wyjrzał na zewnątrz. Ponad wzburzonym, spienionym morzem wyłowił teraz wzrokiem widoczny na północnym wschodzie fragment nagiego łądu, wystający znad wody, niczym szczyt dawno temu zatopionej góry. Ojej zbocza rozbiły się białe grzywy fal.

- Oto wyspa Barnevelt - mruknął Glinn.

W oddali widoczna była linia szkwałów, niczym kurtyna zasłaniająca sztormowy horyzont. Przed nią jednak pojawiła się kolejna wyspa: czarna, poszarpana i nieprzyjazna. Jej szczyty były niemal niewidoczne we mgle i gęstym śniegu.

- A to wyspa Deceit. Najdalej wysunięta na wschód wyspa przy łądka Horn.

Nagły błysk słońca ukazał kolejny dziki szczyt wylaniający się z morza. Trwało to bardzo krótko i wyspa tak jak się pojawiła, tak zaraz znikła. Można było odnieść wrażenie, że szybkimi krokami zbliża się środek nocy. Kolejny potężny podmuch wiatru zachwiał statkiem, a ogromna ściana wody rozbiła się o szyby. Ciężkie krople uderzyły w nie niczym kule z karabinu maszynowego. McFarlane poczuł, że statek się przechyla. Glinn podał McFarlane'owi kartkę papieru.

- Otrzymałem to pół godziny temu.

Geolog z zaciękawieniem rozłożył papier. Była na nim zapisana krótka telegraficzna wiadomość:

Pod żadnym pozorem nie wolno wam lądować na wyspie przeznaczenia, zanim nie otrzymacie ode mnie dalszych instrukcji. Lloyd.

McFarlane oddał kartkę Glinnowi, który schował ją z powrotem do kieszeni.

- Lloyd nie wtajemniczył mnie w swoje plany. Jak pan myśli, co to może znaczyć? I dlaczego po prostu do nas nie zatelefonował albo nie wysłał e-maila?

- Być może nie miał pod ręką telefonu. - Glinn odszedł od okna. - Widok z mostka jest jeszcze przyjemniejszy. Pójdzie pan z nami?

McFarlane powątpiewał, czy szefowi EES zależy na ładnych widokach. Mimo to poszedł z nim. A jednak Glinn miał rację: z wysokości mostka spienione morze wyglądało fascynująco. Wielkie złe fale rozbijały się i walczyły pomiędzy sobą, a wiatr marszczył ich wierzchy i żłobił pomiędzy nimi głębokie wąwozy. McFarlane patrzył, jak dziób „Rolvaaga” opada w jeden z nich, a potem z trudem unosi się do góry. Przez pokład przelewały się kaskady wody.

Do nowo przybyłych podeszła Britton. W sztucznym świetle jej twarz wyglądała, jakby należała do widma.

- Widzę, że przyprowadziliście pilota - powiedziała, spoglądając z lekkim powątpiewaniem na Puppupa. - Kiedy tylko opłyniemy Horn, zobaczymy, czy da się skorzystać z jego rad.

Wtem stojący obok niej Victor Howell jakby zeszywniał.

- Jest - odezwał się.

Daleko przed dziobem statku dało się zauważyć wśród sztormu przebłysk światła nad nieregularną granią, wyższą i ciemniejszą od innych, groźnie wznoszącą się nad spienionym morzem.

- Cabo de Hornos - oznajmił Glinn. - Przylądek Horn. Ale czeka nas coś jeszcze. W każdej chwili powinniśmy spodziewać się gościa...

- Kapitanie! - przerwał mu trzeci oficer, pochylony nad radarem. - Mam kontakt z jednostką powietrzną zbliżającą się od północnego wschodu.

- Położenie?

- Zero cztery zero, proszę pani. Leci dokładnie na nas.

Na mostku zapanowało nagle ogromne napięcie. Victor Howell szybkim krokiem podszedł do trzeciego oficera i popatrzył ponad jego ramieniem na ekran.

- Odległość i prędkość - zażądała informacji Britton.
- Czterdzieści mil, zbliża się z prędkością mniej więcej czterdziestu węzłów.
- Jednostka rekonesansowa? Howell wyprostował się.
- Niemożliwe. Przy takiej pogodzie?

Jakby na potwierdzenie jego słów kolejny dziki powiew wiatru pchnął wielkie, ciężkie krople wody na szyby mostka.

- Cóż, z pewnością nie mamy do czynienia z jakimś fanatykiem latania w cессnie - mruknęła Britton. - Czy to może być samolot pasażerski, który zboczył z kursu?

- To nieprawdopodobne. Tutaj latają jedynie małe jednostki czarterowe, które startują i lądują na wodzie. I nigdy nie wznoszą się w powietrze w takich warunkach, jakie panują teraz.

- Samolot wojskowy?

Nikt jej nie odpowiedział. Przez minutę na mostku panowała cisza, w której słychać było jedynie zawodzenie wiatru i huk spienionych wód.

- Położenie? - Kapitan Britton zadała to pytanie po raz drugi, tym razem ciszej niż poprzednio.

- Wciąż leci na nas, proszę pani. Britton powoli pokiwała głową.

- Bardzo dobrze. Dowiemy się czegoś z nasłuchu radiowego, panie Howell?

Niespodziewanie z pokoju radiowego wychylił się oficer łącznościowy Banks.

- Chodzi wam o tego ptaszka, który leci prosto na nas? To helikopter z Lloyd Holdings.

- Jest pan pewien? - zapytała Britton.

- Zweryfikowałem jego sygnał rozpoznawczy.

- Panie Banks, proszę więc nawiązać kontakt z helikopterem. Glinn odchrząknął. McFarlane patrzył, jak chowa do kieszeni marynarki kartkę papieru, złożoną w pół. Był podekscytowany, jednak starał się tego nie okazywać.

- Proponuję - rzekł cichym głosem do kapitan Britton - żeby kazała pani przygotować lądowisko.

Kapitan wbiła w niego niedowierzające spojrzenie.

- Przy takiej pogodzie?

Banks ponownie wyszedł z pokoju radiowego.

- Proszę o zgodę na lądowanie, pani kapitan.

- Nie wierzę! - krzyknął Howell. - Przecież wichura osiąga osiem stopni!

- A ja z kolei nie wierzę, że ma pan w tej kwestii jakiś wybór - odparł rzeczowo Glinn.

*

W ciągu następnych dziesięciu minut cała załoga została postawiona na nogi w celu przygotowania operacji lądowania helikoptera. Kiedy McFarlane znalazł się razem z Glinnem przy drzwiach prowadzących na lądowisko, jakiś marynarz o ponurym spojrzeniu wydał im obu uprząż zabezpieczającą przed wypadnięciem za burtę. McFarlane bez słowa ją założył, po czym przypiął się liną do barierki. Marynarz wydał jakiś nieartykułowany dźwięk, na znak, że wszystko jest w porządku.

Kiedy McFarlane wyszedł na pokład, huraganowy wiatr natychmiast podjął wysiłek, żeby znieść go do morza. Poruszając się tuż przy barierce, geolog z trudem przesuwał się ku lądowisku. Marynarze, bezpiecznie przymocowani do wszelkich możliwych stałych elementów, zajmowali już regulaminowe pozycje, przewidziane na wypadek lądowania helikoptera. Mimo że silniki statku były dość mocne, aby nawet w ekstremalnych warunkach jednostka mogła utrzymywać stały kurs, pokład i tak unosił się i kołysał na wszystkie strony. Wokół lądowiska zapalono z dziesięć rac, które płonęły teraz jaskrawymi szkarłatnymi płomieniami i mimo wichury i śniegu widoczne były z bardzo daleka.

- Jest! - krzyknął ktoś w końcu.

McFarlane wyteżył wzrok, chcąc przeniknąć spojrzeniem gęsty śnieg. W oddali zdołał dostrzec helikopter chinook, błyskający światłami pozycyjnymi. Z fascynacją patrzył, jak maszyna zbliża się do statku, wstrząsana podmuchami wiatru. Niespodziewanie rozległ się sygnał syreny alarmowej i sylwetkę „Rolvaaga” rozświetliły pomarańczowe światła ostrzegawcze. McFarlane słyszał już warkot silników helikoptera, wyraźnie przebijający się przez wycie wiatru. Howell, z nadajnikiem radiowym przy ustach, jednocześnie wykrzykiwał rozkazy także przez megafon.

Helikopter zawisł w końcu nad lądowiskiem. McFarlane dostrzegł twarz pilota, zmagającego się z urządzeniami sterowniczymi i kontrolnymi. Maszyna kołysała się z boku na bok, niepewnie zbliżając się do lądowiska, co rusz zmieniającego położenie. Niespodziewany silniejszy powiew wiatru wypchnął helikopter na bok i pilot szybko poderwał go w górę. Zatoczył koło nad statkiem i po chwili podjął drugą próbę lądowania. Niebawem nastąpił okropny moment, w którym McFarlane odniósł wrażenie, że pilot stracił panowanie nad maszyną, jednak jej koła opadły dokładnie na środek lądowiska. Ze swoich bezpiecznych stanowisk podbiegli marynarze i szybko podłożyli drewniane klocki zabezpieczające. Natychmiast otworzyły się drzwi przedziału ładunkowego helikoptera.

Wyskoczyło przez nie kilkoro kobiet i mężczyzn, a zaraz za nimi zaczęły wypadać na lądowisko różne ładunki, urządzenia i sprzęt.

Wkrótce McFarlane zobaczył sylwetkę, której nie sposób było pomylić z jakąkolwiek inną. Na mokrym pokładzie ukazał się sam Lloyd, potężny i wysoki w grubym ubraniu oraz ciężkich, wysokich butach. Wyszedł spod wciąż obracających się rotorów helikoptera, przytrzymując na głowie kapelusz o szerokim rondzie. Ujrzawszy McFarlane'a i Glinna, radośnie pomachał im ręką. Odepchnął od siebie marynarza, który chciał go zaopatrzyć w sprzęt zabezpieczający. Starł z twarzy krople deszczu, po czym podszedł do McFarlane'a i Glinna. Uścisnął im dłonie.

- Panowie! - wrzasnął, przekrzykując sztorm. Na jego twarzy kwitł szeroki uśmiech. - Zapraszam na kawę. Oczywiście, ja stawiam.

„ROLVAAG”

Godz. 11.15

Popatrzwszy na zegarek, McFarlane wszedł do windy i nacisnął przycisk środkowego pokładu. Wielokrotnie już mijał ten pusty pokład, zastanawiając się, dlaczego Glinn zakazuje tam wstępu. Teraz, w cicho wznoszącej się windzie, zdał sobie wreszcie sprawę, jaka była tego przyczyna. Wszystko wskazywało na to, że Glinn od początku wiedział, iż Lloyd i tak zjawi się na „Rolvaaqu”.

Drzwi windy otworzyły się i oczom McFarlane'a ukazała się niewiarygodna scena. Miał przed sobą biuro, w którym trwał dzień intensywnej pracy. Dzwoniły telefony, szumiały telefaksy i drukarki, głośno pokrzykiwali pracownicy. Przy biurkach ustawionych wzdłuż ściany zasiadało kilka sekretarek. Kobiety i mężczyźni odbierali telefony, pisali na klawiaturach komputerowych, po prostu prowadzili bieżące interesy holdingu Lloyda.

Z głębi biura wyłonił się i podszedł do nich mężczyzna w jasnej marynarce. McFarlane z miejsca rozpoznał nadzwyczaj wielkie uszy, opadające usta i grube, wydęte wargi Penfolda, osobistego asystenta Lloyda. Penfold nigdy do nikogo nie podchodził od przodu, zawsze udawało mu się zbliżyć do ludzi pod pewnym kątem, jakby się wstydział podejść do kogokolwiek na wprost.

- Doktor McFarlane? - zapytał wysokim, nerwowym głosem. - Tędy, proszę.

Poprowadził McFarlane'a do jakichś drzwi, a potem wąskim korytarzem do małego salonu, którego centralne miejsce zajmował szklany stół. Jego blat ozdobiony był złotymi motywami. Wokół stały wygodne, czarne skórzane sofy. Przez kolejne otwarte drzwi do McFarlane'a docierał basowy głos Lloyda.

- Proszę, niech pan usiądzie - powiedział Penfold. - Pan Lloyd wkrótce do pana dołączy.

Znikł za drzwiami, a McFarlane usiadł wygodnie na skrzypiącej skórzanej sofie. Na ścianie naprzeciwko siebie miał rzędy telewizorów, nastawionych na odbiór kanałów informacyjnych z całego świata. Na stole leżały najnowsze magazyny „Scientific American”, „New Yorker” i „New Republic”. McFarlane wziął jeden z nich do ręki, przez chwilę bezmyślnie przewracał kartki, po czym odłożył go na miejsce. Dlaczego Lloyd przybył na statek tak niespodziewanie? Czy stało się coś złego?

- Sam!

Geolog podniósł głowę i zobaczył stojącego w drzwiach potężnie zbudowanego mężczyznę. Emanował władzą, dobrym humorem i bezgraniczną pewnością siebie.

McFarlane wstał. Lloyd podszedł do niego z szerokim uśmiechem na ustach i rozłożonymi rękami.

- Sam, jak wspomniałem, że cię znów widzę. - Potężnymi dłońmi ścisnął ramiona McFarlane'a i nie uwalniając go z uścisku, uważnie się mu przyjrzał. - Nie uwierzysz, jaki jestem podekscytowany. Chodź za mną.

McFarlane ruszył za szerokimi plecami Lloyda, ubranego we wspomniałą marynarkę od Valentino. Prywatny gabinet Lloyda na statku był umeblowany bardzo oszczędnie. Stały tu tylko dwa szerokie krzesła, biurko z telefonem i laptopem oraz przeszklona komoda z butelkami alkoholu, głównie wina. Na komodzie McFarlane dostrzegł świeżo otwartą butelkę chateau margaux. Przez rząd iluminatorów do środka wpadało zimne światło Antarktydy.

Lloyd wskazał na butelkę.

- Wypijesz kieliszek?

McFarlane uśmiechnął się i pokiwał głową. Lloyd nalał rubinowego płynu do dwóch kieliszków. Następnie opadł na krzesło i wznosił swój do góry.

- Na zdrowie.

Stuknęli się kieliszkami i McFarlane zaczął sączyć wspomniałe wino. Nie był koneserem tego trunku, jednak w tym wypadku nawet największy ignorant zorientowałby się, że pije coś doskonałego.

- Nienawidzę tego cholernego zwyczaju Glinna, żeby za nic w świecie o niczym mi nie mówić, nie opowiadać o żadnych problemach - odezwał się Lloyd po chwili. - Dlaczego, na przykład, nie powiedziano mi wszystkiego o kapitan Britton? Jakież ten Glinn jest bezmyślny. Powinien był porozmawiać ze mną jeszcze w Elizabeth. Dzięki Bogu, nie mieliśmy z nią dotąd problemu.

- Pani Britton jest doskonałym kapitanem - odparł McFarlane. - Ma wielką wiedzę i dowodzi tym statkiem bez zarzutu. Zna go dosłownie na wylot. Załoga ją szanuje. A ona odwdzięcza się marynarzom tym samym.

Lloyd słuchał go ze zmarszczonym czołem.

- Miło mi to słyszeć. - Zadzwoił telefon i Lloyd podniósł słuchawkę. - Tak? - odezwał się niecierpliwie. - Mam właśnie spotkanie.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Lloyd tylko słuchał swojego rozmówcy. McFarlane obserwował go, zastanawiając się, czy to, co biznesmen powiedział o Glinnie, jest prawdą. Tajemniczość, utrzymywanie sekretów przed innymi, rzeczywiście były stałym zwyczajem Glinna. A może po prostu instynktem?

- Oddzwonię do senatora - odpowiedział wreszcie Lloyd. - I proszę na razie nie łączyć żadnych rozmów.

Podszedł do okna i stanął przy nim z rękami złączonymi na plecach. Mimo że sztorm powoli słabł, panoramiczne okna wciąż były pokryte kroplami wody i wilgotnym śniegiem.

- Nadzwyczajnie - westchnął. W jego głosie zabrzmiało jakby uwielbienie. - Pomyśleć, że za godzinę dopłyniemy już do tej wyspy. Chryste, Sam, jesteśmy prawie na miejscu!

Odwrócił się. Z jego twarzy spłynęła już wszelka troska i wahanie. Teraz można było na niej zauważyć jedynie euforię, jakby natchnienie.

- Zamierzam wbić flagę, Sam. McFarlane popatrzył na Lloyda.

- Co pan zamierza?

- Dzisiaj po południu wybieram się na wyspę Desolación.

- W pojedynkę? - McFarlane poczuł dziwną sensację w brzuchu.

- Tak, tylko ja. I ten stary, zwariowany Puppup, oczywiście. To on zaprowadzi mnie do meteorytu.

- Ale pogoda...

- Jest najlepsza z możliwych. - Lloyd zaczął krążyć pomiędzy krzesłami jak lew w klatce. - Takich chwil nie dożywa zbyt wielu ludzi na tym świecie.

McFarlane siedział na swoim miejscu, ale w jego żołądku przez cały czas działo się coś nieprzyjemnego.

- Właśnie pan? Zamierza pan tylko dla siebie zatrzymać miano odkrywcy?

- Tak jest. A niby dlaczego nie, do diabła? Perry postąpił tak samo podczas swojej ostatniej wyprawy na biegun. Glinn będzie musiał to zrozumieć. Może mu się to nie spodoba, ale w końcu to jest moja ekspedycja. Zamierzam sam znaleźć ten meteoryt.

- Nie - powiedział McFarlane cicho. - Nie z gadzam się. Lloyd stanął w miejscu.

- Nie zostawi mnie pan na statku.

Lloyd odwrócił się, zaskoczony, lecz wciąż uśmiechnięty, i wbił spojrzenie w McFarlane'a.

- Słucham?

McFarlane milczał, jednak wytrzymał wzrok Lloyda. Ten po chwili zachichotał.

- Wiesz co, Sam, chyba nie jesteś tym samym człowiekiem, którego poznałem ukrytego za jakimiś krzakami na pustyni Kalahari. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że coś takiego może mieć dla ciebie znaczenie. - Jego uśmiech niespodziewanie znikł. - A co zrobisz, jeżeli ci odmówię?

McFarlane wstał.

- Nie wiem. Prawdopodobnie coś gwałtownego i nieprzemyślanego. Lloyd zrobił się czerwony na twarzy. Rozzłoszczony, sprawiał wrażenie, jakby puchnął.

- Grozisz mi?

McFarlane znów wytrzymał jego spojrzenie.

- Tak, chyba tak.

Lloyd wciąż patrzył mu w oczy.

- Cóż...

- To pan mnie szukał i pan mnie znalazł. Wie pan, o czym marzyłem przez całe życie.

- McFarlane nie spuszczał wzroku z twarzy Lloyda. Miał do czynienia z człowiekiem nieprzywykłym do tego, by podawano w wątpliwość jego postanowienia. - Na tej pustyni próbowałem zapomnieć o przeszłości, zostawić ją za sobą. Ale zjawił się pan i zaczął nią grać, jakby pan wyciągał przede mną marchewkę na kijku. Wiedział pan, że będę chciał ją ugryźć. I oto tutaj jestem. Nie może mnie pan teraz, w najważniejszym momencie, po prostu odsunąć od wszystkiego.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie odległym stukotem klawiszy na klawiaturach komputerowych i dzwonieniem telefonów. Zdawała się trwać całą wieczność, gdy nagle rysy twarzy Lloyda złagodniały. Położył dłoń na swojej łysinie i pogłaskał się po niej. Po chwili podrapał się z kolei po koziej bródce.

- Jeśli cię zabiorę, to co z Glinnem? Albo z Amirą? Czy Britton? Każdy chciałby mieć w życiorysie udział w takim odkryciu.

- Nie. Będzie nas tylko dwóch. Tylko my na to zasłużyliśmy i zapracowaliśmy. To wszystko. Ma pan dość władzy, żeby tak właśnie postanowić.

Lloyd wciąż na niego patrzył.

- Chyba polubiłem nowego Sama McFarlane'a - powiedział w końcu. - Nigdy mi się nie podobałeś w ostatniej, cynicznej wersji. Ale jedno ci powiem, Sam: lepiej, żebyś przy okazji znowu nie nabroił. Czy wyrażam się jasno? Nie życzę sobie, żeby się powtórzyła historia z Tornarssuk.

McFarlane poczuł przypływ złości.

- Będę udawał, że tego nie słyszałem.

- Słyszałeś. Nie zgrywaj głupka. McFarlane czekał.

Lloyd machnął ręką i posłał mu niechętny uśmiech.

- Minęło wiele lat, odkąd ktoś po raz ostatni rozmawiał ze mną w podobny sposób. To odświeża, wiesz? Cholera jasna, Sam, masz rację. Zrobimy to razem. Chyba sobie jednak zdajesz sprawę, że Glinn łatwo nie odpuści? - Powrócił pod okno, po drodze patrząc na zegarek. - Będzie mi jęczał jak stara baba.

Tak jakby wybrał odpowiedni dla siebie moment - później McFarlane zdał sobie sprawę, że tak właśnie było - Glinn wślizgnął się do gabinetu. Za nim sunął Puppup, cichy i pomarszczony, jakby cień Glinna. W jego czujnych czarnych oczach można było dostrzec iskiarki rozbawienia, wywołanego tylko jemu znanymi przyczynami. Puppup zakrył usta i uklonił się gospodarzowi w niespotykany już, staromodny sposób.

- Dokładnie na czas, jak zawsze - zagrmiał Lloyd, odwracając się do Glinna i potrząsając jego ręką. - Posłuchaj, Eli, podjąłem pewną decyzję. Potrzebuję twojego błogosławieństwa, chociaż wiem, że pewnie go nie dostanę. Chcę cię więc z góry ostrzec, że nie ma takiej siły na niebie czy na ziemi, która by mnie zmusiła do jej zmiany. Czy to jest jasne?

- Całkowicie - odparł Glinn. Usiadł na jednym z krzeseł i założył nogę na nogę.

- Nie ma więc także sensu sprzeczać się ze mną. Decyzja została podjęta.

- Cudownie. Szkoda, że w jej ramach nie ma też miejsca dla mnie. Przez chwilę Lloyd stał jak oniemiały. Zaraz jednak na jego twarzy pojawił się wyraz furii.

- Ty sukinsynu, założyłeś podsłuch na całym statku!

- Niech pan nie będzie śmieszny. Od początku wiedziałem, że będzie pan chciał samodzielnie złożyć pierwszą wizytę naszemu meteorytowi.

- To niemożliwe. Nawet ja sam nie wiedziałem... Glinn machnął ręką.

- Czyżby pan zapomniał, że analizując każdą możliwą ścieżkę, która może prowadzić do klęski lub sukcesu, biorę pod uwagę także profile psychologiczne uczestników naszego przedsięwzięcia? Wiedzieliśmy, jakie będą pana zamiary, jeszcze zanim sam pan o nich pomyślał. - Popatrzył na McFarlane'a. - Czy obecny tutaj Sam nalega, żeby iść z panem?

Lloyd po prostu pokiwał głową.

- Rozumiem. Łódź motorowa z prawej burty będzie dla was najlepszym środkiem transportu. Jest najmniejsza i najłatwiej nią manewrować. Poproszę pana Howella, żeby ją wam przygotował. Dostaniecie także chlebaki z żywnością, wodą, zapalkami, paliwem, latarkami i tak dalej oraz, oczywiście, GPS i krótkofalówki. Rozumiem, że będziecie chcieli zabrać Puppupa w charakterze przewodnika?

- Będę zaszczycony, mogąc panom towarzyszyć - powiedział Puppup śpiewnym głosem.

Lloyd popatrzył na Glinna, potem na Puppupa i jeszcze raz na Glinna. Po chwili odchrząknął niepewnie.

- Nikt nie lubi, kiedy się czyta w jego myślach. Czy zaskoczyłem cię czymkolwiek?

- Nie wynajął mnie pan po to, żebym był czymś zaskakiwany. Ma pan przed sobą jeszcze tylko kilka godzin światła dziennego, musi więc pan odpłynąć na wyspę, zaraz kiedy statek wpłynie do Kanału Franklina. A może w ogóle poczekać do jutra rana?

Lloyd potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Nie mam za wiele czasu.

Glinn pokiwał głową, jakby spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi.

- Puppup opowiedział mi o małej plaży w kształcie półksiężyca, rozciągającej się na osłoniętej od wiatru stronie wyspy. Małą łodzią motorową można tam dotrzeć do samego brzegu. To najlepsze rozwiązanie, jeżeli ktoś chce popłynąć na wyspę i wrócić z niej jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Lloyd westchnął.

- Cholera, ty jednak wiesz, jak odzierać życie z wszelkiego romantyzmu.

- Nie - odpad Glinn, wstając. - Ja tylko próbuję eliminować z niego ryzyko i niepewność. - Ruchem głowy wskazał na okna. - Jeśli zależy panu na romantyzmie, proszę wyjrzeć na zewnątrz.

Wszyscy czterej mężczyźni podeszli do szyb. McFarlane zobaczył małą wyspę, która dopiero przed kilkoma minutami pojawiła się na horyzoncie. Była o wiele ciemniejsza niż otaczające ją wody.

- Panowie, oto wyspa Desolación.

McFarlane patrzył na nią z zaciekawieniem, a jednocześnie ze wzrastającym niepokojem. Nad dzikimi skatami unosiło się słabe światło, znikające i powracające, zależnie od kaprysów mgły zalegającej nad lądem. Potężne fale uderzały o skaliste brzegi wyspy. Nad jej północnym krańcem wznosił się stożek dawno wygasłego wulkanu. Wewnętrzne zbocza gór pokryte były głębokimi połaciami śniegu i wiecznego lodu.

Po dłuższej chwili odezwał się Lloyd:

- Dobry Boże, oto ona. Nasza wyspa, Eli, wyspa na końcu świata. Nasza wyspa. I mój meteoryt.

W gabinecie rozległ się dziwny niski chichot. McFarlane odwrócił się i dojrzał, że Puppup, który przez cały czas milczał, teraz zakrywa usta wąskimi palcami.

- O co chodzi? - zapytał Lloyd ostro.

Puppup jednak nic nie odpowiedział, a tylko chichotał, aż wreszcie zaczął wycofywać się z gabinetu. Spojrzenie jego czarnych oczu utkwione było w oczach Lloyd'a.

WYSPA DESOLACIÓN

Godz. 12.45

Nie minęła nawet godzina i tankowiec rzucił kotwicę w Kanale Franklina, który był raczej zatoką o nieregularnych kształtach, otoczoną przez skaliste szczyty wysp przylądka Horn. McFarlane siedział na środku otwartej łodzi motorowej, zaciskając dłonie na uchwytych zamocowanych w górnej części nadburcia. Ruchy krępował mu zestaw ratunkowy, który miał umocowany pasami na grubej kurtce i błyszczącym płaszczu przeciwdeszczowym. Pierwszy oficer „Rolvaaga”, Víctor Howell, stał przy sterze, skoncentrowany i uważny, starając się ani na moment nie zboczyć z właściwego kursu. John Puppup, który zajął wygodne miejsce na rufie, robił wrażenie podekscytowanego chłopca. W ciągu ostatniej godziny pełnił doraźnie funkcję pilota portowego „Rolvaaga”. Tylko jego rzadkie, lecz precyzyjne uwagi, pozwoliły tankowcowi wpłynąć do kanału. Teraz wypatrywał w kierunku wyspy. Jego wąskie ramiona pokryte były płatami mokrego śniegu.

W pewnym momencie łódź szarpnęła mocno do przodu i zaraz gwałtownie zmieniła kierunek. McFarlane musiał mocno przytrzymać się uchwyty, żeby nie stracić równowagi.

W miarę jak łódź zbliżała się do wyspy Desolación, woda stawała się spokojniejsza. Wyspa, coraz wyraźniej widoczna za kurtyną śniegu, była godna swojej nazwy. Samotna i opustoszała, sprawiała niesamowite wrażenie. Gdy wśród czarnych skał wybrzeża pod którąś ze skalnych półek ukazał się mroczny otwór jaskini, Puppup dał sygnał, by popłynąć właśnie tam. Howell posłusznie wykonał jego polecenie. W odległości dziesięciu jardów od jaskini wyłączył silnik i łódź w zupełnej ciszy przepłynęła pod niskim sklepieniem. Po chwili jej dziób zarył w wąskiej kamienistej plaży. Puppup wyskoczył na ląd jak małpa, a McFarlane natychmiast podążył w jego ślady. Zaraz się jednak odwrócił i wyciągnął dłoń do Lloyd'a, chcąc mu pomóc w wydostaniu się z łodzi.

- Na miłość boską, przecież nie jestem aż taki stary - powiedział Lloyd.

Złapał swój plecak i szybko sam wyskoczył na plażę. Przy akompaniamencie głośniego warkotu silników Howell wycofał łódź z powrotem na wodę.

- Wróć tu o trzeciej! - zawołał.

McFarlane patrzył, jak łódź motorowa odpływa od brzegu. W oddali można było już dostrzec horyzont o kolorze cynku, świadczący o tym, że pogoda wkrótce się pogorszy. Geolog zadrżał z zimna. Chociaż wiedział, że „Rolvaag” znajduje się zaledwie o milę stąd, nie widział go, i to napawało go niepokojem. Nestor miał rację, pomyślał. To jest prawdziwy koniec świata.

- Cóż, Sam, mamy dwie godziny - rzekł Lloyd z szerokim uśmiechem na ustach. - Wykorzystajmy je najlepiej, jak się da. - Włożył rękę do szerokiej kieszeni i wyciągnął z niej mały aparat fotograficzny. - Ale najpierw niech Puppup zrobi bohaterom zdjęcie, zaraz po tym, jak zeszli na ląd. - Rozejrzał się. - A gdzie on się podział?

McFarlane rozejrzał się po małej plaży. Starego nigdzie nie było widać.

- Puppup! - zawołał Lloyd.

- Tutaj, szefie! - dotarł na plażę słaby głos.

Uniósłszy głowę, McFarlane zobaczył Puppupa na tle ciemnego nieba, stojącego na najwyższej ze skalnych półek górujących nad plażą. Wymachiwał kościstą ręką, a drugą wskazywał na wąwóz, który przecinał na pół ścianę klifu.

- Jakim cudem on tam się tak szybko dostał? - zapytał McFarlane.

- To żwawy drobny człowieczek, prawda? - Lloyd potrząsnął głową. - Do diabła, mam nadzieję, że pamięta drogę.

Weszli po kamienistym zboczku trochę poniżej podstawy półki, chcąc dołączyć do Puppupa. Z góry widzieli kawałki lodu wyrzucone na brzeg przez sztorm. W powietrzu unosił się ostry odór mchu i soli. McFarlane zmrużył oczy, zerkając na czarny bazaltowy klif. Wziął głęboki oddech, po czym ruszył w kierunku wąskiej oblodzonej szczeliny. Wspinaczka okazała się znacznie trudniejsza, niż mógł się spodziewać. Zalegający na ziemi śnieg sprawiał, że podłoże było bardzo śliskie, a ostatnie piętnaście stóp trzeba było iść niemal na czworakach, co chwilę natrafiając na oblodzone głazy. Słyszał za sobą głośny, ciężki oddech Lloyd'a. Miliarder nie dawał jednak za wygraną; jak na sześćdziesięcioletniego człowieka, imponował formą fizyczną. Po chwili obaj stanęli na szczycie klifu.

- Dobrze - powiedział Puppup, kłaniając się z uznaniem swoim towarzyszom. - Bardzo dobrze.

McFarlane zgiął się w pół i oparł dłonie na kolanach. Zimne powietrze zdawało się rozdzierać mu płuca, a tymczasem pod grubym kaftanem pocił się całym ciałem. Słyszał, jak

stojący obok niego Lloyd z trudem łapie oddech. O aparacie fotograficznym nie wspomniał już ani słowem.

Wyprostowawszy się, McFarlane ocenił, że przebywają na skalistym płaskowyżu. W odległości około jednej czwartej mili od nich teren się wznosił i zaczynało się pole lodowe, ciągnące się w głąb wyspy. Niebo zakrywały ciężkie chmury. Padał coraz gęstszy śnieg.

Puppup bez słowa odwrócił się i sprężystym krokiem ruszył w kierunku pola lodowego. Lloyd i McFarlane z trudem zebrali się w sobie i podjęli marsz. Nadążanie za Puppupem okazało się trudnym zadaniem. Tymczasem niemal z sekundy na sekundę padający śnieg przeszedł w gwałtowną zamieć, ograniczając pole widzenia do białego koła o niewielkim promieniu. Dwadzieścia stóp z przodu ledwie widzieli zarys sylwetki Puppupa. W miarę, jak szli coraz wyżej, wzmagał się wiatr, sprawiając, że płaty śniegu nie spadały już z nieba na ziemię, lecz po prostu wirowały w poziomie. McFarlane poczuł wdzięczność wobec Glinna, który przed ich wymarszem nalegał, żeby ubrali grube polarne kurtki z kapturami i buty, w których nogi zachowywały ciepło nawet wtedy, gdy temperatura powietrza spadała znacznie poniżej zera.

Wreszcie wspięli się na wzniesienie. Śnieżycą trochę osłabła, dzięki czemu McFarlane mógł rzucić okiem na dolinę rozpościerającą się z przodu. Znajdowali się na jej skraju, mając po bokach pola śniegu. Tutaj robiły wrażenie o wiele większych niż widziane z brzegu wyspy. Tworzyły wielką, niebieskobiałą, niemal niewzruszoną masę, fragmentami przechodzącą w lód. Zbocza doliny przeobrażały się po jednej stronie w dwa wysokie szczyty wulkaniczne o kształcie kłów. McFarlane dostrzegł kolejną falę śnieżycy, zmierzającą ku nim z głębi doliny. - Wspaniałe widoki, co? - zapytał Puppup.

Lloyd pokiwał głową. Frędzle jego kurtki pokryte były śniegiem, a na koziej bródce błyszcząły kryształki lodu.

- Patrzę na to wielkie pole śniegu i zastanawiam się, czy ma jakąś nazwę.

- Och, tak - odparł Puppup, kołysząc głową. - Nazywają je Wymiocinami Hanuxy.

- Bardzo obrazowo. A te dwa szczyty?

- To Szczęki Hanuxy.

- To ma sens. A kto to taki ten Hanuxa?

- To postać z legendy Indian Yaghan - odparł Puppup. Więcej już nic na ten temat nie powiedział.

Tymczasem McFarlane popatrzył na niego z wielkim zaciekawieniem. Przypomniał sobie wzmiankę o legendach Indian Yaghan, na którą natrafił w dzienniku Masangkaya. Przez chwilę zastanawiał się, czy Masangkaya nie ściągnęły tutaj właśnie te legendy.

- Bardzo się interesuję starymi legendami - odezwał się ostrożnie. - Może nam którąś opowiesz?

Puppup wzruszył ramionami, po czym wesoło pokiwał głową.

- Ani trochę nie wierzę w żaden z tych starych przesądów - odparł. - Jestem chrześcijaninem.

Po raz kolejny niespodziewanie się odwrócił i zaczął iść w kierunku pola śniegowego. McFarlane musiał niemal biec, żeby dotrzymać mu kroku. Za plecami słyszał ciężki oddech Lloyda.

Pole śniegowe leżało w wielkiej fałdzie ziemi. Jego skraje wyznaczały sterty popękanych głazów i gruzu. W połowie drogi na wędrowców spadła kolejna fala śnieżycy. McFarlane skurczył się w sobie, zaatakowany przez potężny podmuch wiatru.

- Chodźcie, chodźcie, dalej! - wołał Puppup, chcąc przekrzyczeć wichurę.

Szli teraz równolegle do pola śniegowego, które wznosiło się ponad nimi niczym łapa potężnej bestii. Od czasu do czasu Puppup przystawał, żeby przyjrzeć mu się dokładniej.

- Tutaj - powiedział w końcu, kopiąc w niemal pionową ścianę śniegu, aby wyźłobić w niej stopień. Po chwili kopnął wyżej i zaczął się wspinać.

Kiedy starzec dotarł na wysokość większą niż wzrost przeciętnego człowieka, McFarlane ruszył za nim, osłaniając twarz przed wiatrem.

Strome zbocze, pokryte śniegiem, stopniowo łagodniało, za to wiatr wiał coraz gwałtowniej.

- Powiedz Puppupowi, żeby zwolnił! - krzyknął Lloyd zza pleców McFarlane'a. Puppup jednak z każdą chwilą posuwał się coraz szybciej.

- Hanuxa - zaczął niespodziewanie krzyczeć, ze swym dziwnym, śpiewnym akcentem - był synem Yekaijiza, boga nocnego nieba. Yeka-ijiz miał dwoje dzieci: Hanuxe i jego brata bliźniaka, Haraxe. Haraxa od zawsze był ulubieńcem ojca. Jego oczkiem w głowie, jak wy byście powiedzieli. W miarę, jak biegł czas, Hanuxa stawał się coraz bardziej zazdrosny o brata. Chciał być taki jak on, chciał osiąść całą jego moc.

- Aha, stara historia o Kainie i Ablu - zauważył Lloyd.

Na środku pola wiatr wywiał warstwę śniegu, odsłaniając pod spodem twardą powierzchnię niemal błękitnego lodu. McFarlane poczuł się nagle bardzo dziwnie. Oto znajdował się właściwie w sercu nicości, przemierzał jakąś zapomnianą białą wyspę na krańcu świata w poszukiwaniu wielkiej tajemniczej skały i grobu swojego byłego partnera. I słuchał starego człowieka opowiadającego legendę z wyspy Desolación.

- Indianie Yaghan wierzyli, że źródłem życia i mocy jest krew - kontynuował Puppup.
- Tak więc pewnego dnia Hanuxa zabił brata. Przeciął gardło Haraxy i wypił jego krew. Jego własna skóra przybrała wtedy czerwony kolor, a on sam zyskał natychmiast wielką potęgę. O zbrodni syna dowiedział się jednak ojciec, Yekaijiz. Uwięził zbrodniarza na wyspie, w komorze pod powierzchnią ziemi. I czasami, kiedy jakiś zabłąkany żeglarz za bardzo zbliży się do wyspy w nocy, widzi błyski światła i słyszy wściekłe, bezsilne wycie Hanuxy, który bez powodzenia próbuje wydostać się z więzienia.

- I nigdy nie ucieknie? - zapytał Lloyd.

- Nie wiem, przyjacielu. Lepiej, żeby nie uciekł.

Pole lodowe zaczęło opadać, kończąc się wreszcie stromym gzymsem o wysokości sześciu stóp. Podróżnicy ostrożnie, jeden za drugim, ześlizgnęli się po nim na pewniejszy grunt. Wiatr znowu był słabszy, a śnieg, mniej intensywny, padał ciężkimi i mokrymi, lecz rzadkimi płatami, które wiatr natychmiast zmiatał z powierzchni ziemi. Kilkaset jardów z przodu McFarlane dostrzegł wielki głaz. Patrzył, jak Puppup ruszył w jego kierunku niemal biegiem.

Lloyd podążył za nim, chcąc dotrzymać mu kroku, ale McFarlane nie wysiłał się. W zakamarku głazu leżał płat pomarszczonej skóry. Wokół zalegały kości zwierzęce i dwie czaszki. Jedna z nich wciąż była przewiązana gnijącym kantarem, którego koniec owinięty był dookoła głazu. Na ziemi leżały też cynkowe puszkę, wielki płat grubego płótna, mokry śpiwór i dwa popękane siodła juczne. Spod płótna coś wystawało. McFarlane nagle zadrżał.

- Mój Boże - powiedział Lloyd. - To musiały być muły twojego partnera. Zdechły tu z głodu przywiązane do kamienia.

Pochylił się, żeby podnieść coś z ziemi, ale McFarlane powstrzymał go ruchem ręki w grubej rękawiczce. Następnie sam zbliżył się do głazu. Ukucnął i delikatnie uniósł skraj zamrożonego płótna. Potrzęsnał nim, żeby odrzucić śnieg, po czym odsunął je na bok. Pod spodem nie było jednak zwłok Masangkaya, lecz mnóstwo rzeczy, które kiedyś do niego należały. McFarlane wyłowił wzrokiem paczkę makaronu i puszkę z sardynkami. Stare puszkę popękały i na zamrożonej ziemi leżały kawałki ryb. Nestor zawsze uwielbiał sardynki, pomyślał gorzko McFarlane.

Niespodziewanie wróciły do niego wspomnienia dawnych dni. To było pięć lat temu i kilkanaście tysięcy mil dalej na północ. McFarlane i Nestor leżeli w głębokim rowie przy zakurzonej drodze. Ich plecaki były dokładnie wypełnione tektytami z pustyni Atakama. Potężne wojskowe wozy bojowe i opancerzone ciężarówki mijały ich w odległości kilku stóp, zasypując ich żwirem i drobnymi kamieniami z wyboistej drogi. Skrajnie zmęczeni, byli

jednak niemal pijani odniesionym sukcesem. Pokaszując, poklepywali się po plecach. Byli wygłodniali, ale nie ośmielali się zapalić ogniska, w obawie, że ktoś ich wykryje. W pewnej chwili Masangkay sięgnął do plecaka i wyciągnąwszy z niego puszkę sardynek, podał McFarlane'owi.

- Żartujesz? - wyszeptał McFarlane. - To paskudztwo jeszcze gorzej smakuje niż śmierdzi.

- Dlatego tak bardzo to lubię - odpowiedział, również szeptem, Masangkay. - Amoy ek-ek yung kamay mo!

McFarlane posłał mu pytające spojrzenie. Ale Masangkay, zamiast wyjaśnić mu znaczenie ostatnich słów, zaczął się śmiać, najpierw łagodnie, niemal spokojnie, a potem z każdą chwilą coraz bardziej gwałtownie i dziko. W atmosferze zagrożenia i napięcia jego śmiech okazał się skrajnie zaraźliwy. Nie wiedząc dlaczego, McFarlane również dostał ataku niepohamowanego śmiechu. Przyciskał twarz do bezcennego plecaka, nie chcąc, aby głośny śmiech ujawnił ich obecność. Tymczasem nad ich głowami w tę i z powrotem jeździły wojskowe samochody opancerzone, a w samochodach znajdowali się polujący na nich żołnierze.

McFarlane zamrugnął oczyma i powrócił do rzeczywistości. Nadal kucał w śniegu, wpatrując się w porozrzucane u swoich stóp cynkowe puszkę żywnością i kawałki podartych materiałów. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Cóż to za żalosne szczątki. Jaka straszna śmierć spotkała Masangkaya w całkowitej samotności, w tak ponurym miejscu. Poczul łyż w kącikach oczu.

- A gdzie jest meteoryt? - usłyszał pytanie Lloyd'a.

- Co takiego? - zdziwił się Puppup.

- Dziura, człowieku! Gdzie jest dziura, którą kopał Masangkay? Puppup wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką.

- Cholera jasna, zaprowadź mnie tam.

McFarlane popatrzył najpierw na Lloyd'a, a potem na Puppupa. Starzec znowu był w swoim żywiole i żwawo dreptał w kierunku, który przed chwilą wskazał Lloydowi. McFarlane powstał i wśród padającego śniegu ruszył za nimi.

Przeszli mniej więcej pół mili i Puppup zatrzymał się, wskazując dłonią na ziemię. McFarlane postąpił kilka kroków i spojrzał na znajdujący się tam wykop. Jego brzegi były ostre, a ściany niemal pionowe. Na dnie zalegał śnieg. Pomyślał, że wykop powinien być większy. Poczul, że Lloyd ściska go za ramię. Uścisk był tak mocny, że sprawił mu ból, mimo grubego kaftana i kilku warstw odzieży, które miał na sobie.

- Pomyśl tylko, Sam - wyszeptał Lloyd. - To jest właśnie tutaj. Pod naszymi stopami. - Oderwał wzrok od wykopu i popatrzył na McFarlane'a. - Cholera, koniecznie chcę go zobaczyć.

McFarlane pomyślał, że powinien w tej chwili czuć coś zupełnie innego niż tylko pustkę i wszechogarniający smutek.

Lloyd zsunął na ziemię swój plecak, rozpiął go i wyciągnął termos oraz trzy plastikowe kubki.

- Gorącej czekolady? - zapytał.

- Jasne.

Lloyd uśmiechnął się ironicznie.

- Och, ten cholerny Eli. Powinien dać nam na drogę butelkę koniaku, a nie to słodkie paskudztwo. No, ale jest przynajmniej gorące.

Otworzył termos i nalał parującego płynu do kubków. Następnie podniósł swój w taki sposób, jakby wznosił toast, a McFarlane i Puppup poszli za jego przykładem.

- Za meteoryt z wyspy Desolación. - Na cichej, pustej wyspie głos Lloyda brzmiał słabo i głucho.

Po krótkiej chwili ciszy McFarlane niespodziewanie usłyszał własny głos:

- Za Masangkay a.

- Słucham?

- Za meteoryt Masangkay a.

- Sam, protokół na to nie pozwala. Meteoryt zawsze otrzymuje nazwę od miejsca, gdzie...

Poczucie pustki i beznadziei nagle opuściło McFarlane'a.

- Pieprzyć protokół - rzekł, opuszczając kubek. - To on go znalazł, a nie pan, ani nie ja. I przypłacił to życiem.

Lloyd przyjrzał mu się uważnie. Jego wzrok zdawał się mówić: trochę za późno na żal i poczucie winy, nie sądzisz?

- Porozmawiamy o tym potem - powiedział beznamiętnie. - Teraz po prostu wypijmy za ten meteoryt; nieważne, jak się będzie nazywał.

Stuknęli się wreszcie plastikowymi kubkami i wypili gorącą czekoladę. Nad ich głowami przeleciała samotna mewa, głośno skrzecząc. McFarlane poczuł, jak w jego brzuchu rozchodzi się przyjemne ciepło, i cały gniew, jaki tkwił w nim jeszcze przed chwilą, nagle go opuścił. Nad wyspą powoli zaczynał zapadać zmrok. Biel śniegu stopniowo przechodziła w szarość. Lloyd odebrał kubki i razem z termosem schował je z powrotem do plecaka.

Wszyscy trzej poczuli się trochę niezręcznie. Może właśnie tak wyglądają wszystkie historyczne chwile?, pomyślał McFarlane.

Ich zakłopotanie potęgował fakt, że nie znaleźli dotąd zwłok Masangkaya. McFarlane stwierdził, że boi się oderwać wzrok od ziemi i boi się też po prostu zapytać Puppupa, gdzie się one znajdują.

Lloyd jeszcze raz zajrzał do wykopu u swych stóp i powiedział:

- Niech Puppup zrobi nam zdjęcie.

McFarlane posłusznie stanął obok niego. Miliarder podał Puppupowi aparat fotograficzny.

W oczekiwaniu na wykonanie fotografii Lloyd jakby zeszywniał, wpatrując się w jakiś punkt za starcem.

- Popatrz tam - powiedział do McFarlane'a, ruchem głowy wskazując na małe wzniesienie w odległości około stu jardów od wykopu.

Kiedy Puppup zrobił zdjęcie, podeszli do tego miejsca. W śniegu leżały resztki szkieletu. O tym, że porozrzucane kości należały do człowieka, świadczyła tylko czaszka i zęby wyszczerzone w ostatnim, niesamowitym, straszliwym uśmiechu. Obok leżało ostrze łopaty. Brakowało przy nim trzonka. Na jednej z nóg kościotrupa wciąż widać było gnijące resztki buta.

- Masangkay - wyszeptał Lloyd.

Stojący obok niego McFarlane milczał. Tak wiele razem przeżyli. Jego były przyjaciel, były szwagier był teraz tylko stertą zimnych, popękanych kości leżących w zapomnieniu na bezludnej wyspie na krańcu świata. W jaki sposób umarł? Z zimna? Może miał atak serca? Na pewno nie umarł z głodu; przy mułach znajdowało się przecież jeszcze mnóstwo jedzenia. Dlaczego jego kości są popękane, dlaczego leżą w takim nieładzie? Czy to sprawka ptaków? Zwierząt? Przecież na tej wyspie nie miało prawa istnieć żadne życie. A Puppup nawet się nie wysilił, żeby pogrzebać zmarłego.

Lloyd pochylił się ku starcowi.

- Możesz mi jakoś wytłumaczyć, dlaczego zginął? Puppup jedynie pociągnął nosem.

- Pozwól, że zgadnę. Hanuxa.

- Cóż, jeśli dajesz wiarę legendom, przyjacielu... - odparł Puppup. - Ja już ci powiedziałem, że w nie ani trochę nie wierzę.

Lloyd patrzył na niego przez chwilę ostrym wzrokiem. Wreszcie westchnął i poklepał po ramieniu McFarlane'a.

- Przykro mi, Sam. To musi być dla ciebie bardzo trudne.

Jeszcze przez długą chwilę stali w milczeniu, pochyleni nad żalnymi szczątkami. Wreszcie Lloyd dał sygnał do działania:

- No, czas już, żebyśmy się ruszyli. Howell zapowiedział się na trzecią, a ja raczej nie chciałbym spędzić nocy na tej skalistej wyspie.

- Niech pan chwilę poczeka - zareagował McFarlane, wciąż wpatrując się w kości. - Musimy go najpierw pochować.

Lloyd zawahał się. McFarlane czekał w napięciu na jego protest. Milioner jednak pokiwał tylko głową.

- Oczywiście.

Podczas gdy Lloyd zaczął zbierać kości na małą stertę, McFarlane przynosił kamienie. Zimnymi palcami, w których już prawie nie miał czucia, z trudem wyciągał je z zamrożonej ziemi. Wspólnie z Lloydem ułożył z nich kopiec, pod którym spoczęły szczątki Masangkaya. Puppup jedynie stał w pewnej odległości i przyglądał się ich pracy.

- A może byś nam pomógł? - zawołał w końcu Lloyd.

- Ani myślę. Już wam powiedziałem, że jestem chrześcijaninem. W Biblii napisano: „niech martwi grzebią martwych”.

- A żywi niech im opróżniają kieszenie, co? - zapytał McFarlane z gryźliwie.

Puppup skrzyżował ramiona na piersiach, ale na jego ustach pojawił się słaby uśmiech winowajcy.

Po piętnastu minutach mogli zatknąć nad prowizorycznym grobem równie prowizoryczny krzyż. Potem cofnęli się, otrzepali ze śniegu i oddali zmarłemu ostatni pokłon.

- Canticum graduum de profundis clamavi ad te Domine - powiedział McFarlane, niemal szeptem. - Spoczywaj w pokoju, partnerze.

Następnie skinął na Lloyda i skierowali się na wschód, w stronę pola lodowego. Niebo jeszcze bardziej pociemniało, a za ich plecami zbierała się kolejna burza śnieżna.

WYSPA DES OLACIÓN

16 lipca, godz. 8.42

McFarlane popatrzył ponad nowym żwirowym szlakiem, wijącym się niczym czarny wąż wśród nieskazitelnej bieli świeżego śniegu. Potrząsnął głową, uśmiechając się do siebie w ponurym podziwieniu. W ciągu trzech dni od pierwszej wizyty na wyspie zmienili ją niemal nie do poznania.

Nagły powiew wiatru sprawił, że połowa kawy z kubka McFarlane'a wylała się na jego spodnie.

- Chryste! - wrzasnął, wyciągnawszy w bok rękę z kubkiem, a drugą strząsając z siebie wylany płyn.

Siedzący obok niego w kabinie kierowca, przysadzisty facet o imieniu Evans, uśmiechnął się.

- Przepraszam - powiedział. - Te dźwigi bynajmniej nie suną jak po sznurku.

Mimo ogromnej konstrukcji i kół niemal dwukrotnie wyższych od człowieka, kabina cata 785 przeznaczona była tylko dla jednej osoby i McFarlane z konieczności siedział ze skrzyżowanymi nogami na wąskiej platformie za kierowcą. Dokładnie pod nim warczał potężny silnik dieslowski. Ale jemu to nie przeszkadzało. Dzisiaj był wielki dzień. Dzisiaj mieli wykopać upragniony meteoryt.

Powrócił myślami do minionych siedemdziesięciu dwóch godzin. Jeszcze wieczorem tego dnia, kiedy rzucili kotwicę, Glinn zapoczątkował dziwaczną operację rozładowywania statku. Wszystko przebiegło z niewiarygodną szybkością i dokładnością. Do rana najważniejszy sprzęt znalazł się na wyspie, w hangarach zmontowanych na brzegu ze specjalnych prefabrykatów. Równocześnie pracownicy EES, pod nadzorem Garzy i Rocheforta, zaczęli dla potrzeb ekspedycji przystosowywać plażę, budując ze stali i kamieni mola oraz falochrony. Następnie wytyczyli i zbudowali szeroką drogę, okrążającą pole śniegowe i prowadzącą od miejsca lądowania na wybrzeżu do meteorytu - drogę, na której McFarlane właśnie się znajdował. Zespół EES wyładował także kilka kontenerów z przenośnymi laboratoriami i warsztatami, po czym przetransportował je do tymczasowej bazy, gdzie też stanęły rzędy kontenerów mieszkalnych.

W miarę jak caterpillar 785 okrążał pole śniegowe i zbliżał się do bazy, McFarlane zaczynał dostrzegać, że największa zmiana na wyspie zaszła na skarpie oddalonej mniej więcej o milę. Tam zastępy robotników wyposażonych w ciężki sprzęt żłobiły w ziemi wielką dziurę. Wzdłuż jej dłuższego boku stało około dziesięciu kontenerowych domków. Od czasu do czasu McFarlane słyszał, jak powietrzem wstrząsa huk eksplozji i znad dziury ku niebu wznoszą się chmury kurzu. Niedaleko rosła góra wydobytej ziemi, a przy niej błyszczało bajoro z wodą służącą do jej płukania.

- Co tam się dzieje? - wrzasnął McFarlane do ucha Evansowi, starając się przekrzyczeć warkot silnika. Jednocześnie ruchem głowy wskazał na skarpe.

- To jest kopalnia.

- Rozumiem. Ale co oni wydobywają? Evans szeroko się uśmiechnął.

- Nada.

McFarlane nie mógł powstrzymać śmiechu. Glinn był nadzwyczajny. Ktokolwiek zainteresowałby się tym miejscem, nie miałby wątpliwości, że uczestnicy ekspedycji koncentrują swe wysiłki przede wszystkim na skarpie. Obszar wokół meteorytu wyglądał, jakby prowadzono tu jakieś prace uboczne i pomocnicze.

Odwrócił wzrok od zastępczej kopalni i znów patrzył na drogę przed maską caterpillara. Pole śniegowe zwane Wymiocinami Hanuxy skrzyło się, jakby chciało sobie przywłaszczyć całe światło padające na ziemię i przemienić jego kolor na wszelkie odcienie turkusu i błękitu. Szczęki Hanuxy wyrastały za polem, trochę stępione przez warstwę pokrywającego je świeżego śniegu.

McFarlane ostatniej nocy w ogóle nie spał, a mimo to wprost kipiał energią. Jeszcze niecała godzina i wszystko będzie wiadomo. Zobaczą to. Dotkną.

Maszyna znowu szarpnęła i McFarlane zacisnął dłoń na metalowej barierce. Szybko dopił resztę kawy. Jak nigdy dotąd wyspę zalewało jaskrawe słońce, ale za to było piekielnie zimno. Zdusił w dłoni styropianowy kubek i wsunął go do kieszeni kurtki. Wielki caterpillar wyglądał z zewnątrz tylko trochę lepiej niż sam „Rolvaag”, jednak McFarlane zdążył się już zorientować, że to także jest iluzją. Wnętrze kabiny było nowiutkie i funkcjonalne.

- Doskonała maszyna! - krzyknął do ucha Evansowi.

- Och, tak! - odkrzyknął kierowca. Z jego ust uniosły się kłęby pary. Droga stała się łatwiejsza do jazdy i caterpillar przyśpieszył. Sunąc do przodu, minęli się z kolejnym pojazdem i z buldożerem; oba zmierzały w kierunku brzegu. Kierowcy wesoło pomachali rękami do Evansa. McFarlane zdał sobie sprawę, że nie wie absolutnie nic o mężczyznach i kobietach obsługujących cały ciężki sprzęt zwieziony na wyspę. Nie ma zielonego pojęcia, kim są ani co myślą o tym dziwnym projekcie.

- Czy wy wszyscy pracujecie dla Glinna? - zapytał Evansa. Ten tylko pokiwał głową.

- Tak, dla niego.

Krzepki kierowca zdawał się mieć przyklejony na stałe szeroki uśmiech do pobrużdżonej twarzy, nad którą dominowała para szczeciniastych rzęs.

- Jednak nie na stałe - dodał po chwili. - Niektórzy chłopacy są robotnikami na platformach wiertniczych, inni budują mosty i robią jeszcze wiele różnych rzeczy. Mamy nawet ludzi z załogi Big Dig z Bostonu. Cóż, kiedy ktoś otrzymuje telefon z EES, rzuca wszystko inne i biegiem stawia się tam, dokąd go wołają.

- Dlaczego?

Evans uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Pense są pięć razy wyższe, dlatego.

- To ja chyba źle wynegocjowałem mój kontrakt.

- A ja nie wątpię, doktorze McFarlane, że dobrze pan się o siebie zatroszczył.

Evans zwolnił, żeby wyminąć pracującą równiarkę. Jej metalowe łopaty lśniły w jaskrawych promieniach słońca.

- Czy to do tej pory największe przedsięwzięcie EES, w jakim bierze pan udział?

- Nie. - Evans dodał gazu i caterpillar, gwałtownie szarpnąwszy, znowu ruszył ostro do przodu. - Właściwie to jest taka przeciętna wyprawa.

Pole śniegu zostało za nimi. Z przodu McFarlane widział szeroką depresję o powierzchni mniej więcej jednego akra. Ziemia była tu całkowicie zamrznięta. Na czterech krańcach tego obszaru stały wielkie platformy z urządzeniami emitującymi promienie podczerwone, skierowanymi w dół. Niedaleko, jakby na baczność, stał prościutki rząd równiarek. Wokół sprzętu w wielkim pośpiechu przemieszczali się inżynierowie i robotnicy. Niektórzy pochyleni byli nad planami i mapami, inni dokonywali pomiarów, rozmawiali przez krótkofalówki. W pewnej odległości pług śnieżny - wielka maszyna o potężnych stalowych łopatach - pełznął w kierunku pola śniegowego. Tym razem służył jedynie do transportu skomplikowanych przyrządów. W pewnym oddaleniu, mały i opuszczony, wyrastał ponad ziemię kopczyk, który McFarlane i Lloyd wzniesli nad szczątkami Nestora Masangkaya.

Evans zatrzymał maszynę na skraju obszaru robót i ustawił silnik na wolnych obrotach. McFarlane wyskoczył na ziemię i szybko podążył do kontenera mieszkalnego z napisem KANTYNA. Wewnątrz, obok prowizorycznej kuchenki, siedzieli przy stole Lloyd i Glinn, pogrążeni w dyskusji. Amira stała przy blasze do pieczenia i właśnie nakładała sobie jedzenie na talerz. Na wygodnym krześle obok grzejnika siedział John Puppup i drzemał. W pomieszczeniu unosił się zapach kawy i bekonu.

- Wreszcie jesteś - powiedziała Amira do McFarlane'a, powróciwszy do stołu z talerzem, na którym miała przynajmniej dziesięć plastrów bekonu. - Leniuchujesz w łóżku do późnych godzin. A tymczasem powinienes być przykładem dla swojej asystentki.

Poląła bekon syropem klonowym, trochę pomieszała na talerzu, po czym uniosła ociekający syropem plaster do ust. Lloyd rozgrzewał dłonie nad filiżanką kawy.

- Rachel, z twoimi upodobaniami kulinarnymi powinnaś już dawno nie żyć - stwierdził wesóło.

Amira roześmiała się.

- Umysł podczas minuty myślenia zużywa o wiele więcej kalorii niż ciało podczas minuty biegania. Jak pan myśli, dlaczego jestem taka szczupła i taka seksy? - Poklepała się dłonią po czole.

- Ile jeszcze czasu do odsłonięcia naszego kamienia? - zapytał McFarlane.

Glinn wyprostował się, bez pośpiechu wydobył złoty zegarek kieszonkowy i otworzył jego pokrywę.

- Pół godziny. Dotrzemy do wystarczającego fragmentu jego powierzchni, żeby móc wykonać kilka testów i badań. Doktor Amira będzie panu asystować, kiedy je pan zacznie. Pomoże też panu przeanalizować wszystkie dane.

McFarlane skinął głową. Wszystko to już dokładnie przedyskutowali, jednak Glinn wolał jeszcze raz powtórzyć podstawowe sprawy. Podwójna kontrola, pomyślał McFarlane.

- Będziemy musieli go ochrzcić - zauważyła Amira, wsuwając do ust kolejny plaster bekonu. - Czy ktoś ma szampana?

Lloyd zmarszczył czoło.

- Niestety, ta wyprawa bardziej przypomina zjazd abstynentów niż ekspedycję naukową.

- Chyba będzie nam musiał wystarczyć jeden z pana termosów z gorącą czekoladą... z lodem - powiedział McFarlane.

Tymczasem Glinn w milczeniu sięgnął do swojej torby i wyciągnął z niej butelkę perrierjouéa. Ostrożnie postawił ją na stole.

- Najwspanialszy szampan - wyszeptał Lloyd, niemal z uwielbieniem. - Mój ulubiony. Eli, ty stary łgarzu, ani słowem mi nie wspomniałeś, że masz na pokładzie butelki szampana.

Jedyną odpowiedzią Glinna był lekki uśmiezek.

- Skoro mamy tę rzecz ochrzcić, czy ktoś w ogóle pomyślał, jakie nadamy jej imię? - zapytała Amira.

- Sam chce ją nazwać meteorytem Masangkaya - powiedział Lloyd. Umilkł na chwilę i zaraz dodał: - Ja jednak skłaniam się ku temu, by pozostać przy ogólnie przyjętej nomenklaturze i nazwać go meteorytem z Desolación.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

- Musimy ustalić nazwę - przypomniała wszystkim Amira.

- Nestor Masangkay poniósł dla znalezienia tego meteorytu najwyższą ofiarę - odezwał się McFarlane cichym głosem, jednocześnie patrząc badawczo na Lloyda. - Gdyby nie on, i nas by tutaj nie było. Z drugiej strony, to pan finansuje tę ekspedycję i z tego tytułu

nabył pan prawo, aby dać nazwę meteorytowi - kontynuował, nie spuszczać wzroku z miliardera.

Lloyd przemówił głosem, jak na niego, bardzo spokojnym:

- Nie wiemy nawet, czy Nestor Masangkay pragnąłby tego honoru. Chyba to nie jest pora na zrywanie z tradycją, Sam. Nazwiemy nasze trofeum meteorytem z wyspy Desolación, ale sali muzealnej, w której będzie on wyeksponowany, nadamy imię Nestora Masangkaya. Postawimy w niej tablicę pamiątkową, na której opiszemy jego udział w odkryciu. Czy to ci odpowiada?

McFarlane przez chwilę się zastanawiał, wreszcie lekko skinął głową.

Glinn podał butelkę Lloydowi, po czym wstał. Wszyscy wyszli na zewnątrz i natychmiast zaalały ich promienie wspaniałego porannego słońca. Kiedy ruszyli, Glinn postarał się znaleźć obok McFarlane'a.

- Oczywiście, zdaje pan sobie sprawę, że w pewnym momencie będziemy musieli ekshumować pana przyjaciela?

- Po co? - zapytał McFarlane zaskoczony.

- Powinniśmy poznać przyczynę jego śmierci. Doktor Brambell musi zbadać jego szczątki.

- Dlaczego?

- Po prostu nie możemy nie dowiedzieć się, dlaczego zginął. Bardzo mi przykro.

McFarlane zaczął protestować, ale zaraz zamilkł. Jak zwykle, kwestionowanie żelaznej logiki Glinna nie miało sensu.

Wkrótce stanęli na skraju wyrównanego terenu. Starego dołu po Nestorze już nie było. Został zasypany.

- Zerwaliśmy warstwę ziemi o grubości mniej więcej trzech stóp nad meteorytem - zaczął mówić Glinn - zbierając próbki każdej warstwy. Będziemy ją zrywać nadal, ale ostatnią stopę usuniemy za pomocą kielni i szczotek. Nie chcemy zarysować meteorytu.

- Bardzo dobrze. - Lloyd pokiwał głową.

Garza i Rochefort stali dotąd razem przed rzędem wyrównywarek. Teraz Rochefort podszedł do nowo przybyłych. Twarz miał purpurową od zimna i wiatru.

- Gotowi? - zapytał Glinn.

Rochefort przytaknął. Silniki koparek pracowały na niskich obrotach. Z rur wydechowych wydobywały się kłęby gęstego dymu.

- Żadnych problemów? - zapytał Lloyd.

- Żadnych.

Glinn popatrzył na rząd koparek i kciukiem uniesionym do góry dał sygnał Garzy. Inżynier, ubrany jak zwykle w sportowy dres, odwrócił się, uniół rękę zaciśniętą w pięść, po czym zatoczył nią koło i koparki natychmiast ożyły. Ruszyły niespiesznie do przodu, wysyłając w powietrze jeszcze więcej dymu z rur wydechowych, po czym powoli opuściły czerpaki i wbiły je w ziemię.

Za pierwszą z nich szło kilku robotników w białych kurtkach z kapturami, trzymając w rękach plastikowe torby do przechowywania próbek. Zbierali do badań kamienie i ziemię odkrywaną przez maszyny.

Rząd koparek przebył wszerz obszar wykopaliska, usuwając wierzchnią warstwę ziemi o grubości sześciu cali. Lloyd patrzył na to z grymasem niechęci na ustach.

- Cholera, aż mnie skręca na samą myśl, że te wielkie łopaty grzebią w ziemi tak blisko mojego meteorytu.

- Niech się pan nie martwi - uspokoił go Glinn. - Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, że spowodują jakąkolwiek szkodę.

Koparki przejechały po raz drugi, zbierając ziemię. Wtedy Amira powoli weszła na środek wykopaliska, pchając przed sobą protonowy magnetometr na kółkach. Kiedy znalazła się z nim na przeciwnym skraju tego terenu, przystanęła i bez pośpiechu nacisnęła kilka przycisków na centralnym panelu urządzenia. Po chwili oderwała wąski pasek zadrukowanego papieru, który wysunął się z magnetometru. Od razu podeszła z nim do Lloyda i pozostałych uczestników ekspedycji, z powrotem ciągnąc za sobą urządzenie.

Papier wziął do ręki Glinn.

- Jest - powiedział, wręczając go Lloydowi.

Lloyd niemal wyrwał mu wydruk, a McFarlane zerknął Lloydowi przez ramię. Słaba, nieregularna linia przedstawiała grunt. Poniżej znacznie ciemniejszą kreską narysowane były górne skraje wielkiego, półkolistego przedmiotu. Papier drżał w silnych dłoniach Lloyda. Boże, tam naprawdę coś jest, pomyślał McFarlane. Aż do tej pory nie do końca w to wierzył.

- Jeszcze piętnaście cali - oznajmiła Amira.

- Czas więc przejść na system archeologiczny - stwierdził Glinn. - Wiercimy otwór w pewnej odległości od miejsca, w którym kopał Masangkay, w związku z czym możemy wydobywać na górę próbki nieporuszonej ziemi.

Cała grupa poszła za nim w kierunku świeżej sterty żwiru. Amira wykonała jeszcze kilka odczytów, po czym powbijając w ziemię paliki, połączyła je taśmą i wysypała kredą linie będące granicami kwadratu o bokach długich na dwa metry. Na tak oznaczony teren weszła grupa laborantów, którzy szybko zaczęli zbierać z niego grudki ziemi.

- Dlaczego ziemia nie jest zamrznięta? - zapytał McFarlane. Glinn wskazał na cztery wieże.

- Skapaliśmy ją promieniami podczerwonymi.

- Pomyślałeś o wszystkim - mruknął Lloyd, potrząsając głową.

- Właśnie za to pan nam płaci.

Robotnicy czyścili teren, zbierając grudkę po grudce i od czasu do czasu odkładając do osobnych woreczków jakieś bardziej interesujące próbki minerałów, żwiru i piasku. Jeden z nich w pewnej chwili zatrzymał się i podniósł jakiś przedmiot o postrzępionych kształtach, oblepiony piaskiem.

- Bardzo interesujące - odezwał się Glinn, po czym szybko do niego podszedł. - Co to takiego?

- Dobre pytanie - odparła Amira. - Dziwne. Wygląda jak kawałek szkła.

- Fulguryt - odpowiedział McFarlane.

- Co?

- Fulguryt. Coś takiego powstaje, kiedy potężny piorun uderza w mokry piasek. Wytapia w piasku kanał, zamieniając piasek w szkło.

- Oto, moi drodzy, dlaczego go zatrudniłem - wyjaśnił Lloyd, rozglądając się po twarzach ludzi.

- Jeszcze jeden - zauważył któryś z pracowników.

Robotnicy starannie obkopali bryłę dookoła, jednak nie wyciągnęli jej, ale pozostawili sterczącą z ziemi jak korzeń drzewa.

- Meteority mają właściwości ferromagnetyczne - powiedział McFarlane. Uklęknął i ostrożnie, pracując w rękawiczkach, wyciągnął fulguryt z piasku. - Ten z pewnością przyjął ponadprzeciętną porcję piorunów.

Mężczyźni kontynuowali pracę, odkrywając jeszcze kilkanaście kolejnych fulgurytów. Opakowywali je w papierowe chusteczki i składali w drewnianych skrzyniach. Amira uważnie badała grunt swoim przyrządem.

- Jeszcze sześć cali - oszacowała.

- Przejdźcie na szczotki - polecił Glinn.

Dwaj mężczyźni przykucnęli teraz w wykopie, a pozostali zajęli miejsca za nimi, na brzegach. McFarlane widział, że na tej głębokości piasek jest wilgotny, niemal nasycony wodą i pracownicy nie zmiatali już piasku, lecz raczej zbierali błoto. W miarę jak otwór w ziemi pogłębiał się cal po calu, wśród ludzi stojących dookoła zapadała coraz głębsza cisza.

- Kolejny odczyt - zarządził Glinn.

- Jeszcze cał - odrzekła Amira po chwili.

McFarlane pochylił się do przodu. Dwaj robotnicy używali sztywnych plastikowych mioteł, ostrożnie zbierając błoto do szerokich naczyń i po wypełnieniu podając je tym, którzy stali za nimi.

Wreszcie jedna ze szczotek natrafiła na twardą powierzchnię. Dwaj robotnicy wyszli z dziury w ziemi i ostrożnie zebrali resztę ciężkiego błota, pozostawiając tylko jego cieniutką warstwę, pokrywającą twardą powierzchnię pod spodem.

- Spłuczcie to - polecił Glinn. McFarlane odniósł wrażenie, że słyszy w jego głosie nutę zniecierpliwienia.

- Pospiesz się, człowieku! - zawołał Lloyd.

Jeden z robotników zaczął szybko rozwijać cienki wąż ogrodowy. Glinn osobiście wziął do ręki jego końcówkę i wycelował strumień wody w pokryty błotem meteoryt. Przez kilka sekund nie było słyhać żadnego dźwięku, poza cichym sykiem wody. Po chwili resztki błota spłynęły z widocznego fragmentu meteorytu.

Glinn dał sygnał, żeby wyłączono wodę. Gromadę ludzi stojących nad wykopem ogarnął jakby paraliż. Dookoła zaległa absolutna cisza. Trwało to jednak niezbyt długo.

Nagle wysoko w niebo wystrzelił korek od szampana.

WYSPA DESOLACIÓN

Godz. 9.55

Palmer Lloyd stał na skraju wykopu z oczami utkwionymi w nagiej powierzchni meteorytu. Olśniewający i długo oczekiwany widok sprawił, że przez kilka sekund czuł pustkę w głowie. Powoli jednak zaczął odzyskiwać świadomość tego, gdzie się znajduje, i tego, co właśnie się wydarzyło. Poczł, jak krew pulsuje mu w skroniach, poczul zimne powietrze wypełniające mu płuca, poczul przejmujący chłód w nosie i na policzkach. Patrzył na swój meteoryt, widział go, ale jeszcze do końca nie wierzył.

- Margaux - mruknał. Jego głos w śnieżnym pustkowiu zabrzmiał bardzo słabo.

Wokół niego znów panowała kompletna cisza. Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak wielkiej chwili są świadkami.

Lloyd odbył w życiu pielgrzymki do większości żelaznych meteorytów, jakie znaleziono na świecie: Hoba, Ahnighito, Willamette czy Woman. Mimo bardzo różnych kształtów, wszystkie miały podobną, brązowo-czarną powierzchnię.

Tymczasem ten był szkarłatny, ciemnoczerwony. Nie, pomyślał Lloyd, kiedy jego umysł znów zaczął funkcjonować we właściwym tempie, słowo „szkarłatny” niedokładnie oddawało jego barwę. Był to głęboki kolor czystego aksamitu, wypolerowanego krwawnika, a

może kolor jeszcze głębszy i jeszcze bogatszy. W gruncie rzeczy był to kolor najlepszego bordeaux albo kolor drobnych kropelek chateau margaux, którym Lloyd z konieczności zadowalał się na „Rolvaagu”.

Ciszę, w której unosiły się szok i niedowierzanie ludzi zgromadzonych nad meteorytem, przerwał wreszcie jakiś głos. Po jego władczym tonie Lloyd rozpoznał, że należy do Glinna.

- Bardzo proszę, żeby wszyscy odsunęli się od wykopu. Lloyd odniósł wrażenie, że nikt się nie poruszył.

- Cofnąć się! - zażądał Glinn, tym razem jeszcze bardziej stanowczo. Teraz posłuchano go i ludzie niechętnie cofnęli się o kilka kroków od wykopu. Do środka wpadły jasne promienie słońca. Lloyd po raz kolejny tego dnia poczuł, że traci oddech. W blasku słońca meteoryt odsłonił jedwabistą, metaliczną powierzchnię, niezwykle przypominającą złoto. Niczym złoto ten szkarłatny metal zdawał się przyciągać i więzić w sobie całe światło, pozostawiając wszystko dookoła w cieniu, podczas gdy sam błyszczał wspaniałym blaskiem. I należał do niego.

Lloyda ogarnęła nieprzytomna radość. Radość, spowodowana tym olśniewającym przedmiotem leżącym u jego stóp i nadzwyczajnym uśmiechem losu, który dał mu szansę na jego odnalezienie. Umieszczenie największego meteorytu w historii ludzkości w jego własnym muzeum, Muzeum Lloyda, zawsze wydawało mu się wielkim celem. Teraz jednak stawka była jeszcze wyższa. To nie przypadek, że właśnie on - zapewne jedyna osoba na całej planecie dysponująca odpowiednią wizją i środkami - stał teraz tutaj, w tym właśnie miejscu, i wpatrywał się w ten zachwycający obiekt.

- Panie Lloyd - usłyszał głos Glinna. - Proszę tam nie wskakiwać.

Lloyd pochylił się. Glinn podniósł głos.

- Palmer, nie rób tego!

Ale Lloyd właśnie wskoczył do wykopu, lądując obiema nogami na powierzchni meteorytu. Natychmiast opadł na kolana i zaczął czubkami palców w rękawiczkach pieścić chropowatą metaliczną powierzchnię. Jakby pod wpływem jakiegoś impulsu, pochylił głowę i przyłożył do tej powierzchni policzek.

Ponad nim panowała absolutna cisza.

- No, i jakie to uczucie? - usłyszał pytanie McFarlane'a.

- Jest zimny - odpowiedział Lloyd i wyprostował się. Słyszał, jak drży jego własny głos, czuł, jak na zimnych policzkach zamarzają łzy. - Jest bardzo zimny.

WYSPA DES OLACIÓN

Godz. 13.55

McFarlane wpatrywał się w laptop leżący na jego kolanach. Cursor migotał niestrudzenie, jakby złośliwie puszczając do niego oko z niemal pustego ekranu. McFarlane głośno westchnął i poprawił się na składanym metalowym krzeselku, bardzo niewygodnym. Na szybie jedyne okna lśniła warstwa lodu, a przez ściany docierał do wnętrza intensywny szum wiatru. Ładna pogoda na zewnątrz szybko się skończyła i ustąpiła miejsca gwałtownej śnieżycy. Na szczęście piecyk węglowy w kontenerze mieszkalnym dawał wspaniałe ciepło.

McFarlane wyłączył program, po czym z głośnym przekleństwem zamknął laptop. Na bocznym stoliku cicho zaszumiała drukarka. Znowu zmienił pozycję na krześle. I znowu zaczął wracać myślami do wydarzeń poranka. Przypomniawszy sobie chwilę absolutnej ciszy, gwałtowny skok Lloyda do dziury w ziemi i ostrzegawczy okrzyk Glinna. Po raz pierwszy, odkąd McFarlane sięgał pamięcią, Glinn zwrócił się do Lloyda po imieniu. A potem był triumfalny chrzest meteorytu i potok pytań. I - ponad wszystko - ogarniające McFarlane'a wrażenie, że śni na jawie. Z trudem oddychał, niemal walczył o każdy haust powietrza, tak mu go brakowało.

On także odczuł gwałtowną ochotę, żeby wskoczyć do dziury. Żeby dotknąć tej rzeczy, upewnić się, że istnieje naprawdę. Lecz trochę się bał. Meteoryt miał tak bogaty kolor, wydawał się taki nie na miejscu w monochromatycznym otoczeniu... Przypominał mu stół operacyjny, powłokę ze śnieżnobiałych prześcieradeł, z krwawym nacięciem na środku. Jednocześnie odpychał go i fascynował.

Drzwi kontenera otworzyły się i do środka natychmiast wpadła chmura śniegu. McFarlane podniósł wzrok. W progu stała Amira.

- Kończysz raport? - zapytała, zdejmując kurtkę i otrząsając się ze śniegu.

W odpowiedzi McFarlane skinął głową w kierunku drukarki. Amira podeszła do niej, po czym wzięła do ręki niemal czysty papier. Po chwili wybuchła śmiechem.

- „Meteoryt jest czerwony” - przeczytała głośno. Rzuciła kartkę na kolana McFarlane'a. - Nic więcej? Oto, co lubię w mężczyznach. Prostotę i zwięzłość.

- A po co mam marnować papier na bezużyteczne spekulacje? Dopóki nie zbadamy chociaż małego kawałka tego meteorytu, w jaki sposób mogę stwierdzić jego skład?

Amira przyciągnęła krzesło i usiadła obok McFarlane'a. Ten odniósł wrażenie, że mimo wymuszonej swobody dziewczyna uważnie go obserwuje.

- Badasz meteoryty od wielu lat. Wątpię, by jakiegokolwiek twoje spekulacje na temat tego meteorytu były bezużyteczne.

- A co ty o nim myślisz?

- Zaprezentuję ci moje wnioski, jeśli ty wyjawisz mi swoje. McFarlane popatrzył na pęknięcia w blacie stołu wykonanym ze sklejki.

Zaczął przesuwać po jednym z nich palcem. Miało fraktalną perfekcję morskiego wybrzeża albo płatka śniegu. Przypomniało mu, jak bardzo wszystko na tym świecie jest skomplikowane: wszechświat, atom czy kawałek drewna. Kątem oka dostrzegł, że Amira wyciąga z kieszeni kurtki metalową tubkę z cygarem i pozwala spaść na swoją rękę małemu dopalonemu fragmentowi.

- Proszę, nie rób tego - powiedział. - Nie chcę znowu wychodzić na to zimno.

Amira schowała cygaro.

- Wiem, że po głowie chodzi ci coś bardzo istotnego. McFarlane wzruszył ramionami.

- Dobrze - powiedziała. - Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? Jesteś w wielkiej rozterce.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- No, właśnie - kontynuowała. - Kiedyś miałeś pewną drobną teoryjkę, w którą wierzyłeś, mimo że inni znawcy meteorytów się z niej wyśmiewali. Mam rację? A kiedy stwierdziłeś, że w końcu znalazłeś dowody na potwierdzenie twojej teorii, wpadłeś jedynie w kłopoty. Podekscytowany, zatraciłeś zdolność do trzeźwych osądów, i na dodatek wykołowałeś przyjaciela. A w końcu twoje dowody nie okazały się warte funta kłaków. McFarlane nie spuszczał z niej wzroku.

- Nie wiedziałem, że oprócz wszystkich innych tytułów masz jeszcze specjalizację z psychiatrii.

Amira przysunęła się do niego bliżej.

- Oczywiście, znam twoją biografię. Sęk w tym, że właśnie znalazłeś to, czego szukałeś przez bardzo wiele lat. I masz teraz coś więcej niż jakieś tam drobne, mało istotne dowody. Masz dowód koronny. Ale nie chcesz tego przyznać. Boisz się, że znowu wpadniesz w tarapaty.

McFarlane wytrzymał jej przenikliwe spojrzenie przez całą minutę. Przez chwilę czuł złość, ale to natychmiast minęło. Zdezorientowany, jakby skurczył się na krześle. Może ona ma rację?, zastanawiał się.

Amira roześmiała się.

- Weźmy, na przykład, ten kolor. Czy wiesz, dlaczego metale nigdy nie mają głębokiej czerwonej barwy?

- Nie.

- Różne obiekty przybierają różne kolory z powodu różnic w interakcjach z fotonami światła. - Amira wsunęła rękę do kieszeni i wyciągnęła z niej pomietą papierową torebkę. - Jolly Rancher?

- Do diabła, co to jest Jolly Rancher?

Rzuciła mu cukierek i wytrząsnęła sobie na dłoń jeszcze jeden. Uniosła zieloną kostkę, przytrzymując ją pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

- Każdy obiekt, poza doskonale czarnym, absorbuje pewne fale światła i odbija inne. Weźmy na przykład ten zielony cukierek. Jest zielony, ponieważ odbija ku twoim oczom zielone fale świetlne, absorbując inne. Przeprowadziłam kilka prostych obliczeń i jakoś nie natrafiłam na prostą kombinację teoretyczną, która by dowiodła, że jakikolwiek stop metalu jest w stanie odbijać czerwone światło. Wygląda na to, że jest niemożliwe, aby jakikolwiek stop miał czerwony kolor. Żółty, biały, pomarańczowy, purpurowy, szary - owszem. Ale nigdy czerwony.

Wsunęła cukierek do ust, rozgryzła z cichym trzaskiem i zaczęła go żuć.

McFarlane położył swój na stole.

- Co więc sugerujesz?

- Wiesz, o co mi chodzi. Nasz meteoryt zbudowany jest z jakiegoś dziwnego materiału, o którym nikt nigdy dotąd nie słyszał. Więc przestań się zachowywać jak zawstydzona dziewczica. Wiem doskonale, co ci chodzi po głowie. Otóż rozmyślasz mniej więcej w ten sposób: bingo, natrafiliśmy na meteoryt z innej galaktyki.

McFarlane podniósł rękę.

- Tak, to prawda. Coś takiego przychodziło mi do głowy.

- No i?

- Wszystkie meteoryty, jakie dotąd znaleziono, składały się ze znanych elementów: niklu, żelaza, węgla, krzemu. Wszystkie uformowały się tutaj, w naszym Systemie Słonecznym, z pierwotnej chmury pyłu, która kiedyś otaczała nasze słońce. - Urwał, chcąc jak najstaranniej dobrać następne słowa. - Oczywiście, wiadomo nie tylko tobie, że spekulowałem o możliwościach pojawienia się na Ziemi meteorytów spoza naszego Układu Słonecznego. Kawalków, brył czegoś, co przypadkowo zbliżyło się do naszego Układu i zostało do niego wciągnięte przez pole grawitacyjne słońca. Czyli meteorytów międzygalaktycznych.

Amira uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Jednak matematycy powiedzieli ci, że coś takiego jest niemożliwe. Że szansa wynosi kwintylion do jednego.

McFarlane pokiwał głową.

- A ja przeprowadziłam trochę obliczeń na statku. Matematycy mylili się, ponieważ przyjęli fałszywe założenia. To tylko miliard do jednego.

McFarlane roześmiał się.

- Wspaniale. Miliard, kwintylion, co to za różnica?

- Miliard do jednego każdego roku. McFarlane przestał się śmiać.

- No właśnie - powiedziała Amira. - Wciągu miliardów lat jest więc bardziej niż prawdopodobne, że chociaż jeden pozagalaktyczny meteoryt spadł na Ziemię. Jest to nie tylko możliwe, ale, co podkreślam, wysoce prawdopodobne. Jak widzisz, specjalnie dla ciebie wskrzesiłam twoją teoryjkę. Chyba masz u mnie wielki dług.

W kantynie zapadła długa cisza, podczas której słychać było tylko szum wiatru. Wreszcie odezwał się McFarlane:

- Czy to znaczy, że naprawdę wierzysz, iż ten meteoryt zbudowany jest ze stopu lub metalu, który nie istnieje nigdzie w naszym Systemie Słonecznym?

- Właśnie. I ty także w to wierzysz. Dlatego właśnie nie napisałeś raportu.

Następne słowa McFarlane wypowiedział powoli i cicho, jakby tylko do siebie:

- Gdyby ten metal gdziekolwiek występował, natrafilibyśmy przynajmniej na jego ślady. W końcu nasze słońce i wszystkie jego planety uformowały się z tego samego pyłu. Zatem ten meteoryt po prostu musi pochodzić spoza naszego Systemu. - Popatrzył na Amirę.
- To jest nieuniknione.

Wyszczrzyła zęby.

- Jakbyś czytał w moich myślach.

Oboje zamilkli i przez chwilę siedzieli cicho, pogrążeni we własnych myślach.

- Musimy postarać się o solidną próbkę tego meteorytu - rzekła w końcu Amira. - Mam do tego doskonale narzędzie, wysoce wydajną wiertarkę z diamentowym wiertłem. Myślę, że pięć kilogramów meteorytu będzie na początek wystarczającym materiałem do badań. Co o tym sądzisz?

McFarlane pokiwał głową.

- Pozostawmy jednak na razie nasze spekulacje wyłącznie dla siebie. Lloyd i reszta zaraz tu przyjdą. Nic im nie mów.

Jakby na zawołanie, na zewnątrz rozległy się odgłosy otrząsania butów ze śniegu i zaraz otwarły się drzwi. Na tle ciemniejącego nieba stanął w nich Lloyd. Opatulony w grubą, ciężką kurtkę z kapturem, jeszcze bardziej niż zazwyczaj przypominał niedźwiedzia. Za

Lloydem do kantyny wszedł Glinn, a potem Rochefort i Garza. Asystent Lloyda, Penfold, pojawił się ostatni. Drżał, a jego grube, wydęte wargi były niemal niebieskie.

- Zimno jak przy cycku czarownicy! - krzyknął Lloyd i przytupując, zaczął ogrzewać dłonie nad piecykiem. Tryskał dobrym humorem. Z kolei wszyscy mężczyźni z EES po prostu spokojnie usiedli przy stole, jakby trochę przygaszeni.

Penfold, z radionadajnikiem w ręce, zajął miejsce pod ścianą.

- Panie Lloyd, musimy zaraz ruszyć w kierunku lądowiska - powiedział. - Jeżeli helikopter nie odleci stąd w ciągu godziny, nie dostanie się pan do Nowego Jorku na spotkanie udziałowców.

- Tak, tak, poczekaj chwilę. Chcę wiedzieć, co ma do powiedzenia nasz Sam.

Penfold westchnął i wymruczał coś do mikrofonu. Tymczasem Glinn popatrzył na McFarlane'a szarymi, poważnymi oczyma.

- Czy raport jest gotowy?

- Oczywiście. - Ruchem głowy McFarlane wskazał na kartkę papieru. Glinn zerknął na nią.

- Nie jestem w nastroju do zabawy, panie McFarlane.

Był to pierwszy raz, gdy McFarlane widział Glinna okazującego irytację czy w ogóle jakąś silniejszą emocję. Przyszło mu do głowy, że Glinn także musi być skrajnie zaskoczony tym, co znaleźli w ziemi. A ten facet nienawidzi niespodzianek, pomyślał.

- Panie Glinn, nie mogę opierać poważnego raportu na spekulacjach - odparł. - Muszę zbadać ten meteoryt.

- Powiem ci, co wszyscy musimy - odezwał się Lloyd głośno. - Musimy wydobyć z ziemi meteoryt i przetransportować go na wody międzynarodowe, zanim Chilijczycy coś wywąchają. Później będziesz mógł go sobie badać.

McFarlane odniósł wrażenie, że słowa te są podsumowaniem długiej sprzeczki pomiędzy Glinnem a Lloydem.

- Doktorze McFarlane, być może uproszczę treść zadania, które przed panem stawiamy - powiedział Glinn. - Jest jedna rzecz, którą jestem szczególnie zainteresowany. Czy ten meteoryt jest niebezpieczny?

- Wiemy, że nie jest radioaktywny. Ale przypuszczam, że może być trujący. Większość metali jest trująca, w mniejszym lub większym stopniu.

- A ten jak bardzo jest trujący? McFarlane wzruszył ramionami.

- Palmer Lloyd go dotknął i wciąż żyje.

- Był ostatnią osobą, która to uczyniła - stwierdził Glinn stanowczo. - Wydałem polecenie, aby nikt, pod żadnym pozorem, nie wchodził w bezpośredni kontakt z meteorytem.

- Urwał. - Coś jeszcze? Czy mogą się w nim gnieździć jakieś wirusy?

- Leży w ziemi miliony lat, zatem wszelkie obce mikroby musiały się rozłożyć już dawno temu. Uważam, że byłoby warto wziąć próbki ziemi i wyodrębniając z niej mchy, porosty i inne rośliny, sprawdzić, czy nie wykazują czegoś niezwykłego.

- Czego należałoby szukać?

- Zapewne mutacji i oznak podatności na toksyny lub teratogeny. Glinn pokiwał głową.

- Porozmawiam o tym z doktorem Brambellem. Amira, jakieś uwagi z dziedziny metaloznawstwa? Bo to jest metal, prawda?

Amira rozgryzła kolejny cukierek.

- Tak, to bardzo prawdopodobne, ponieważ nasz obiekt ma właściwości ferromagnetyczne. Jak złoto nie ulega utlenianiu. Nie potrafię jednak sobie wyobrazić, jakim cudem metal może być czerwony. Doktor McFarlane i ja rozmawialiśmy przed chwilą na temat konieczności pobrania próbki do badań.

- Próbkę? - zdziwił się Lloyd. W jego głosie było coś takiego, że wszyscy obecni w pomieszczeniu zamilkli.

- Oczywiście - odparł po chwili McFarlane. - To standardowa procedura.

- Zamierzasz odciąć kawałek mojego meteorytu? McFarlane popatrzył najpierw na Lloyda, a potem na Glinna.

- A jest z tym jakiś problem?

- Masz cholerną rację, jest problem - warknął Lloyd. - To jest okaz muzealny. Będzie wystawiany i będą go oglądać ludzie. Nie chcę, żeby odcinano od niego jakieś kawałki ani żeby drażono w nim dziury.

- Przecież w taki sposób badano każdy znaleziony meteoryt. Potrzebujemy jedynie pięciokilogramowej bryłki. To wystarczy do wszelkich możliwych testów. Taką bryłę będzie można analizować jeszcze przez wiele lat.

Lloyd potrząsnął przecząco głową.

- W żadnym wypadku.

- Musimy to zrobić - powiedział McFarlane z zaciętością. - Nie ma żadnych możliwości zbadania tego meteorytu, jeżeli jego fragmentu nie skroplimy, nie stopimy, nie spulujemy, nie poddamy działaniu kwasów. Biorąc pod uwagę rozmiar znaleziska, przecież taka pięciokilogramowa bryła będzie zaledwie kropłą w morzu.

- To w końcu nie jest Mona Liza - mruknęła Amira.

- Co za ignorancka uwaga - odwrócił Lloyd, odwracając się w jej kierunku. Nagle usiadł na krześle z głośnym westchnieniem. - Nacinanie go... to będzie jak, cholera, profanacja. Czy nie możemy obejść się bez tych badań?

- Absolutnie nie - odparł Glinn. - Musimy wiedzieć o tym meteorycie znacznie więcej niż teraz, zanim wyrażę zgodę, żeby go ruszyć. Doktor McFarlane ma rację.

Lloyd patrzył na niego, a jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona.

- Zanim ty wyrażisz zgodę? Posłuchaj mnie tylko, Eli. Podporządkowałem się twoim drobnym regułkom. Grałem, jak chciałeś. Ale niech jedna rzecz raz na zawsze będzie jasna: to ja płacę wszystkie rachunki. To jest mój meteoryt. Podpisałeś kontrakt na przetransportowanie go dla mnie. Lubisz się chwalić, że jeszcze nigdy niczego nie spięrzyłeś. Jeżeli ten statek wróci do Nowego Jorku bez meteorytu, będzie to oznaczało, że tym razem spięrzyłeś sprawę. Czy to jest jasne?

Glinn popatrzył na Lloyda, a potem odezwał się do niego cicho, spokojnie, takim głosem, jakim się przemawia do dziecka.

- Panie Lloyd, dostanie pan swój meteoryt. Chcę jednak żeby nie wiązało się to z żadnymi wypadkami, chorobami ani innymi nieszczęściami. Pan też tego chce, prawda?

Lloyd przez chwilę się wahał.

- Oczywiście - odparł w końcu.

McFarlane'a zdziwił sposób i szybkość, z jaką Glinn zepchnął milionera do defensywy.

- Zatem postępujemy wszyscy bardzo ostrożnie. Lloyd obliznął wargi.

- Chodzi mi o to, że niespodziewanie wszystko bardzo spowolniłeś. Dlaczego? Czy dlatego, że ten meteoryt jest czerwony? Pytam cię więc: masz coś przeciwko czerwonemu kolorowi? Bo ja myślę, że to wspaniały kolor. Czy wszyscy już zapomnieliście o tym wariacie na chilijskim niszczycielu? Czas jest teraz jedyną rzeczą, jakiej nie mamy w nadmiarze.

- Panie Lloyd! - odezwał się z kąta Penfold, unosząc prosząco rękę z radionadajnikiem, tak jak żebrak unosiłby przed siebie pustą czapkę. - Helikopter. Proszę!

- Do ciężkiej cholery! - zawołał Lloyd i popatrzył na niego groźnie, po czym odwrócił się. - Dobrze, na miłość boską, bierzcie sobie próbkę. Tylko zamaskujcie otwór tak, żeby nikt go nie mógł zobaczyć. I zróbcie to szybko. Zanim wrócę do Nowego Jorku, chcę, żeby ten skurwysyn był już w drodze.

Ciężko stąpając, wyszedł z kontenera; Penfold niemal deptał mu po piętach. Drzwi zatrzęsły się za nimi z głośnym trzaskiem. Przez minutę czy dwie w kantine panowała zupełna cisza. Wreszcie Amira podniosła się z krzesła.

- Chodź, Sam - powiedziała. - Napocznijmy to draństwo.

WYSPA DESOLACIÓN

Godz. 14.15

Po przyjemnym ciepłe kantine podmuchy wiatru odebrali jak cięcia nożem. McFarlane drżał, podążając za Amirą w kierunku kontenera technicznego i myśląc z utęsknieniem o suchej i gorącej pustyni Kalahari.

Kontener był dłuższy i szerszy od pozostałych, obskurny na zewnątrz, czysty i doskonale wyposażony wewnątrz. W słabym świetle błyszcząły ekrany monitorów i tarcze różnych innych urządzeń diagnostycznych, przymocowanych do ścian. Wszystkie zasilane były z centralnego generatora znajdującego się w sąsiednim kontenerze. Amira podeszła do dużego metalowego stołu, na którym leżał trójnóg i jakby przenośna wiertarka górnicza, działająca na wysokich obrotach. Gdyby nie skórzana kabura na wiertła, McFarlane nigdy nie uznałby tego urządzenia za jakiś szczególnie „przenośny” instrument. Przypominał raczej ciężką bazookę najnowszej generacji. Amira niemal z uczuciem poklepała wiertarkę.

- Czyż nie można kochać tych wspaniałych zabawek? Popatrz tylko na to cacko. Widziałeś kiedyś coś takiego?

- Chyba nie. A przynajmniej tak dużego.

McFarlane patrzył, jak Amira z wprawą przenosi wiertarkę na podłogę i sprawdza jej poszczególne części. Usatysfakcjonowana oględzinami, z powrotem złożyła wiertarkę w jedną całość i wsunęła ciężką wtyczkę do kontaktu.

- Sprawdźmy ją na tym. - Wydobyła skądś poszarpany kawał metalu. Jeden jego koniec był gruby, chropowaty i jakby nabrzmiały. - Dziesięć karatów diamentu przemysłowego musi sobie z tym dać radę.

Nacisnęła włącznik i wiertarka ożyła. Amira ułożyła ją na ramieniu i przycisnęła wiertło do niekształtnego metalu.

- Czas wywiercić dziurę - powiedziała, szeroko się uśmiechając. Po wykonaniu próby wyszli z kontenera technicznego. Znowu ogarnął ich ponury półmrok i wichura. McFarlane rozwijał za Amirą przewód elektryczny. Wokół i nad meteorytem rozpostarto już szmacianą wiatę, chroniąc go przed ciekawskimi spojrzeniami. Pod wiatą wykop oświetlało kilka silnych lamp halogenowych. Nad wykopem stał Glinn z radionadajnikiem w ręce i intensywnie wpatrywał się w znalezisko.

Podeszli do Glinna i stanęli obok niego na skraju wykopu. W białym świetle meteoryt lśnił niemal purpurowo, niczym świeża rana. Ściągnawszy rękawiczki, Amira wzięła od McFarlane'a trójnog, rozstawiła go i umieściła wiertarkę w uchwycie.

- To urządzenie ma wsporniki system wciągający - wyjaśniła, wskazując na wąską rurę rozgałęzioną. - Wsysa wszystkie pyły. Nawet jeżeli metal jest trujący, podczas pobierania próbki nic nikomu nie grozi.

- Mimo to ewakuuję wszystkich dookoła - oznajmił Glinn. Podniósł radio do ust i szybko powiedział kilka słów do mikrofonu. - I pamiętajcie, trzymajcie się z daleka. Nie dotykajcie niczego. - Skinął na robotników znajdujących się pod wiatą, żeby odeszli.

McFarlane patrzył, jak Amira podłącza prąd, kontroluje wskaźniki umocowania wiertła i wreszcie celuje nim pod kątem prostym w meteoryt.

- Można odnieść wrażenie, że robiłaś to już setki razy - zauważył McFarlane.

- Cholera, masz rację. Eli sam tego doglądał. McFarlane popatrzył na Glinna.

- Przeprowadzałaś próby nacinania meteorytu?

- Krok po kroku - odparła Amira. - I nie tylko to. Dosłownie wszystko. Eli planuje nasze projekty jak jakąś inwazję. Jak operację Overlord. Próby są konieczne, ponieważ w decydującej chwili zwykle masz tylko jedno podejście. - Cofnęła się o krok i chuchnęła w dłonie. - Człowieku, musiałbyś nas widzieć, jak dziurawiliśmy niczym sito wielkie bryły żelaza. Jedną z nich nazwaliśmy Wielką Berthą. Zdążyłam zniechęcić to paskudztwo.

- Gdzie to robiliście?

- Na ranchu Bar Cross, niedaleko Bozeman, w Montanie. Chyba nie pomyślałaś na serio, że zabieram się do czegoś takiego po raz pierwszy w życiu, co?

Ustawiając wiertarkę w trójnogu na gołej powierzchni meteorytu, Amira podeszła do stojącej nieopodal skrzyni i otworzyła ją. Wyciągnęła małą metalową puszkę i oderwała jej wieczko, po czym, trzymając wyprostowaną rękę, opróżniła ją nad meteorytem. Z puszki gęstym strumieniem wylała się czarna kleista substancja. Używając niewielkiej szczoteczki, dziewczyna z kolei posmarowała czarną substancją wiertło. Znow sięgnęła do skrzyni i wydobyla z niej cienki arkusz gumy, który ostrożnie przycisnęła do szczeliwa.

- Wiesz, po co to zabezpieczenie? - zapytała. - Po to, żeby nawet najmniejszy pyłek z meteorytu nie przedostał się do atmosfery.

Wsunęła rękę do kieszeni kurtki, wyciągnęła tubkę z cygarem, popatrzyła po twarzach Glinna i McFarlane'a, ciężko westchnęła, po czym z drugiej kieszeni wyjęła paczkę orzeszków. Wsypawszy sobie kilka do ust, zaczęła je gryźć.

McFarlane potrząsnął głową.

- Orzeszki, cukierki, cygara. Robisz jeszcze jakieś rzeczy, za które skrzyczałaby cię mama?

Amira spojrzała na niego.

- Uprawiam wyuzdany seks, uwielbiam rock and roli, ekstremalne narciarstwo i gram w blackjacka na wysokie stawki.

McFarlane roześmiał się, po czym zapytał:

- Jesteś zdenerwowana?

- Nie tyle zdenerwowana, ile skrajnie podekscytowana. A ty?

McFarlane musiał przez moment zastanowić się nad odpowiedzią. Odnosił wrażenie, że stopniowo, zupełnie świadomie, sam sobie pozwala na ekscytację, z każdą chwilą rosnącą. Że przyzwyczajają się do myśli, iż oto właśnie znalazł obiekt, którego szukał przez wiele długich lat.

- Tak - odparł. - Jestem podekscytowany.

Glinn wyciągnął z kieszeni złoty zegarek, sprawdził czas i oznajmił:

- Już pora.

Amira po raz kolejny sprawdziła wiertarkę umocowaną w trójnogu na powierzchni meteorytu, po czym włączyła prąd. Pod wiatą rozległ się cichy szum, który wkrótce przeszedł w dziwaczne wycie. Wtedy Amira zaczęła posługiwać się pilotem. Wiertło opuściło się i przywarło do meteorytu.

- Pięć na pięć - powiedziała, spoglądając na Glinna.

Glinn sięgnął do otwartej skrzyni i wyciągnął z niej trzy maski przeciwgazowe. Po jednej rzucił McFarlaneowi i Amirze.

- Teraz wyjdziemy na zewnątrz i będziemy się posługiwać tylko pilotem. McFarlane nałożył maskę na twarz, umocował ją za pomocą zimnych gumowych pasków i wyszedł spod wiaty. Żeby włożyć maskę, musiał zsunąć z głowy kaptur, i odnosił teraz wrażenie, że szalejący wiatr chce natychmiast zamrozić mu uszy i górną część szyi. Wyraźnie słyszał jednak docierający spod wiaty pisk pracującego wiertła.

- Dalej - odezwał się Glinn. - Musimy odejść dalej. Minimalny dystans to sto stóp.

Wycofali się na żadaną przez Glinna odległość. Padał gęsty śnieg, pokrywając całe obozowisko białym całunem.

- Jeśli się okaże, że to jest statek kosmiczny - powiedziała Amira, ledwo słyszalna w śnieżnej zamieci - ktoś w środku będzie bardzo niezadowolony, kiedy nagle zobaczy diamentową główkę wiertła.

Wiata okrywająca dziurę z meteorytem była ledwie widoczna w gęstym śniegu. Otwór w jej boku zastępujący drzwi, czyli wysoko uniesiony brezent, wyglądał jak szarobiały, ponury prostokąt na tle nieskazitelnej bieli świeżego śniegu.

- Wszystko działa - zameldowała Amira.

- Doskonale - odparł Glinn. - Pamiętaj, prowadź wiertło przez szczeliwo. Zatrzymamy się po pierwszym milimetrze i przeanalizujemy wyniki.

Amira skinęła głową i przesunęła jakiś przełącznik na pilocie, pchając wiertło pod kątem prostym w meteoryt. Wycie obracającego się wiertła na chwilę zrobiło się głośniejsze, a potem nagle o wiele słabsze, jakby przytłumione. Minęło kilka sekund.

- To zabawne, ale wiertło nie posuwa się ani trochę do przodu - stwierdziła Amira.

- Podnieś.

Amira cofnęła przełącznik i wycie znów stało się głośniejsze. Szybko ponownie przyjęło jednostajny, stabilny dźwięk.

- Wszystko wydaje się w porządku.

- Obroty na minutę?

- Dwanaście tysięcy.

- Zwiększ do szesnastu i opuść.

Wycie przyjęło wyższy ton. McFarlane słyszał, jak po chwili znów staje się przytłumione. Wtem rozbrzmiał jakby ostry, krótki zgrzyt, po czym nastąpiła cisza.

Amira popatrzyła na mały ekran diodowy znajdujący się na pilocie. Czerwone cyferki lśniły jaskrawo na tle czarnej obudowy.

- Wiertło stanęło - powiedziała.

- Może wiesz, dlaczego?

- Albo się za bardzo rozgrzało, albo coś się stało z silnikiem. Wcześniej wszystko jednak dokładnie sprawdziłam.

- Wycofaj i pozwól, żeby wiertło się ochłodziło. Następnie podwój obroty i opuść ponownie.

McFarlane i Glinn czekali, a tymczasem Amira pracowała przy pilocie. McFarlane wpatrywał się w otwór wejściowy wiaty. Po kilku chwilach Amira odchrząknęła i przesunęła przełącznik. Znów rozległo się wycie, tym razem jakby trochę głębsze. Niespodziewanie dźwięk obniżył się; bez wątplenia wiertło zaczęło pracować.

- Znowu się rozgrzewa - stwierdziła Amira. - Cholera jasna. - Zaciśnięła usta i mocno walnęła dłonią w przełącznik.

Dźwięk wydawany przez wiertarkę gwałtownie się zmienił. I równie niespodziewanie rozległ się potężny trzask, po czym z otworu we wiacie buchnął potężny pomarańczowy płomień. Po chwili zabrzmiał jeszcze jeden głośny trzask, a po nim kolejny, znacznie cichszy. Następnie zapadła cisza.

- Co się stało? - zapytał Glinn ostro. Amira zmarszczyła czoło pod maską.

- Nie wiem.

Jakby odruchowo ruszyła w kierunku wiaty, jednak Glinn powstrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Nie, Rachel. Najpierw wyjaśnij, co się wydarzyło. Ciężko westchnąwszy, Amira znowu zajęła się pilotem.

- Jest tu wiele takich wskazań, jakich jeszcze nigdy w życiu nie widziałam - odrzekła, wpatrując się w ekranik. - Ale zaraz, coś tutaj mam. KOD BŁĘDU 47. - Podniosła wzrok i pociągnęła nosem. - Wspaniale. Instrukcja obsługi zapewne pozostała w Montanie.

Glinn, jakby na zawołanie, wydobyl spod mankietu niewielką broszurkę. Chwilę ją kartkował.

- Powiedziałaś „kod błędu 47”?

- Tak.

- Niemożliwe.

Nastąpiła niespodziewana cisza.

- Eli, chyba jeszcze nigdy nie słyszałam, jak używasz tego słowa! Glinn podniósł wzrok znad instrukcji. W grubej kurtce i masce przeciwgazowej wyglądał bardzo dziwnie.

- Kod 47 oznacza, że spaliło się wiertło.

- Spaliło się? Takie wiertło? Nie wierzę.

Glinn wsunął instrukcję z powrotem za mankiet kurtki.

- A jednak musisz uwierzyć.

Oboje popatrzyli po sobie. Dookoła nich opadały na ziemię ciężkie płaty mokrego śniegu.

- W takim razie ten meteoryt musi być twardszy od diamentu - powiedziała Amira.

Glinn powoli ruszył w kierunku wiaty.

Wewnątrz powietrze było wręcz gęste i unosił się w nim odór spalonej gumy. Stopione wiertło ciągle jeszcze dymiło, nadpalona była nawet obudowa wiertarki. Amira zaczęła manipulować przy pilocie.

- Brak reakcji - powiedziała.

- Prawdopodobnie przepaliły się bezpieczniki - stwierdził Glinn. - Cofnij to wiertło ręką.

McFarlane obserwował, jak Amira cał po calu wciąga wiertło do góry. Kiedy wreszcie zza chmury dymu ukazał się czubek narzędzia, ujrzał, że jego ząbkowane ostrze jest teraz jedynie brzydkim, półokrągłym kawałkiem metalu, czarnym i spalonym.

- Jezu - jęknęła Amira. - Przecież to było diamentowe wiertło warte ponad pięć tysięcy dolarów!

McFarlane zerknął na Glinna ledwie widocznego wśród gęstego dymu. Eli nie patrzył na wiertło; jego wzrok zdawał się utkwiony w bardzo odległej przestrzeni. W pewnej chwili Glinn rozpiął paski mocujące maskę przeciwgazową i ściągnął ją z twarzy.

- Co teraz? - zapytała go Amira.

- Zabieramy to wiertło na „Rolvaaga” i tam przeprowadzimy dokładne oględziny - odparł.

Amira zaczęła zajmować się wiertłem, a tymczasem Glinn nadal zdawał się wpatrywać w siną dal.

- I czas najwyższy, żebyśmy zabrali na ten statek coś jeszcze - powiedział bardzo cicho.

WYSPA DESOLACIÓN

Godz. 15.05

Wyszedszy spod wiaty, McFarlane zdjął maskę przeciwgazową i szybko nałożył na głowę kaptur swojej kurtki. Silny wiatr wiał niestrudzenie, unosząc w powietrzu gęste i mokre płatki śniegu. Lloyd zapewne był już daleko w drodze do Nowego Jorku. Gęste chmury przepuszczały na ziemię tylko słabe światło. Za pół godziny nad wyspą zapadną kompletne ciemności.

Zaskrzypiał śnieg i na dworze pojawili się Glinn i Amira, wyszedłszy z jednego z magazynów. Amira miała w obu rękach latarnie fluorescencyjne, a Glinn ciągnął za sobą długie i niskie aluminiowe sanie.

- Co to jest? - zapytał McFarlane, wskazując na duże niebieskie pudło z plastiku, leżące na saniach.

- Pojemnik na dowody - odparł Glinn. - Zabierzemy do niego szczątki.

McFarlane momentalnie poczuł, że zbiera mu się na mdłości.

- Czy to jest absolutnie konieczne? - zapytał.

- Wiem, że to nie będzie dla pana łatwe - odparł Glinn. - Ale, jak pan widzi, mamy do czynienia z czymś nieznanym. A my w EES nie lubimy nieznanego.

Kiedy dotarli do sterty kamieni wyznaczającej grób Masangkaya, śnieg i zawieja jakby osłabły. Ujrzeni Szczęki Hanuxy, ciemne na tle niewiele jaśniejszego nieba. Poniżej o wysoki brzeg wyspy rozbijały się fale sztormowego oceanu. Na odległym horyzoncie można było dostrzec ostre szczyty pobliskiej wyspy Wollaston, strzelające wysoko ku niebu. Pogoda na wyspie Desolación zmieniała się dosłownie z minuty na minutę.

Wiatr nawiał już mnóstwo śniegu pomiędzy wszystkie szczeliny prowizorycznego kopca, pokrywając grób nieskazitelną bielą. Bez większych ceregieli Glinn wyciągnął z mogiły krzyż, położył go na ziemi, po czym zaczął ściągać z grobu i toczyć w bok zamarznięte kamienie.

- Nie będę miał panu za złe, jeżeli mi pan nie pomoże - zwrócił się do McFarlane'a.

McFarlane z trudem przełknął ślinę. W tej chwili nie był w stanie wyobrazić sobie gorszego zajęcia niż rozwalanie grobu przyjaciela. Ale skoro należało to zrobić, to i on musiał wziąć w tym udział.

- Pomogę panu, oczywiście - odparł.

W sumie o wiele łatwiej było grób rozwalać, niż go budować. Wkrótce szczątki Masangkaya ponownie ujrzały światło dzienne. Wtedy Glinn zwolnił tempo i zaczął pracować z większą ostrożnością. McFarlane szeroko otwartymi oczyma patrzył na połamane kości swego partnera i szwagra, na pękniętą czaszkę i popękane zęby oraz na marne, częściowo zmumifikowane pozostałości po mięśniach. Wprost nie potrafił uwierzyć, że wszystko to było kiedyś żywym człowiekiem, jego przyjacielem. Czuł dławienie w gardle, oddychał bardzo szybko.

Ciemność zapadała błyskawicznie. Odłożywszy ostatnie kamienie, Glinn zapalił latarnie fluorescencyjne i umieścił je po obu stronach grobu. Używając pary kleszczy, zaczął układać kości w poszczególnych przedziałkach plastikowego pojemnika. Niektóre wciąż były połączone z innymi - dzięki ścięgom, fragmentom skóry bądź suchym chrząstkom, jednak większość wyglądała, jakby ich oderwanie od innych nastąpiło w jednej gwałtownej chwili.

- Nie jestem lekarzem sądowym - powiedziała Amira - ale ten facet wygląda, jakby miał bliskie spotkanie z Godzillą.

Glinn milczał, systematycznymi ruchami przenosząc szczątki z ziemi do pojemnika. Jego twarz skrywały fałdy kaptura. W pewnym momencie znieruchomiał.

- Co się stało? - zapytała Amira.

Sięgnąwszy w dół nożycami kleszczowymi, Glinn ostrożnie wyciągnął coś ze zmrożonej ziemi.

- To raczej nie jest po prostu zardzewiałe - stwierdził. - To na pewno się spaliło. Niektóre z tych kości także sprawiają wrażenie, jakby się paliły.

- Myślisz, że ktoś go zamordował, mając chrapkę na jego ekwipunek? - spytała znowu Amira. - A następnie podpalił ciało, żeby zatuszować swój postępek? To by było przecież sto razy łatwiejsze niż kopanie grobu w tej zamrożonej ziemi.

- Ale to by znaczyło, że mordercą jest Puppup - zauważył McFarlane. Jego głos nagle stwardniał.

Glinn uniósł przed oczy kość piszczelową Masangkaya i zaczął ją oglądać, patrząc pod światło.

- To raczej mało prawdopodobne - rzekł w końcu. - W każdym razie na to pytanie z pewnością odpowie nam dobry lekarz.

- Wreszcie się do czegoś przyda - mruknęła Amira. - Bo jak do tej pory jedynie czyta swoje książki i snuje się po całym statku jak upiór.

Glinn umieścił kość w pudle. Następnie ponownie zajął się grobem i wkrótce wyciągnął z niego coś jeszcze.

- To miał pod butem - oznajmił.

Przysunął obiekt do światła, oczyścił z przylegającej ziemi i lodu i zaczął uważnie oglądać.

- Sprzączka do paska - powiedziała Amira.

- Co? - zdziwił się McFarlane.

Zrobił krok ku Glinnowi, żeby uważniej przyjrzeć się przedmiotowi.

- To jest jakiś kamień jubilerski osadzony w srebrze - mówiła dalej Amira. - Ale popatrz, to wszystko się stopiło.

McFarlane cofnął się.

- Dobrze się czujesz? - Amira popatrzyła na niego. McFarlane jedynie osłonił rękawiczką oczy i potrząsnął głową. Że też zobaczył to właśnie teraz i właśnie tutaj... Wiele lat temu, po tym, jak obaj z Masangkayem zyskali sławę jako odkrywcy tektytów z Atacamy, McFarlane zlecił wykonanie pary sprzączek ozdobionych tektytami, żeby uczcić ich wspólny sukces. Swoją już dawno zgubił. A Nestor mimo wszystko tę, którą mu dał McFarlane, nosił aż do śmierci.

Nic już nie mówiąc, we troje pozbierali do końca doczesne szczątki podróżnika. Wreszcie Glinn zatrzasnął pudło, Amira zebrała latarnie i ruszyła z Glinnem w drogę powrotną. McFarlane jeszcze przez kilka minut stał nad stertą zimnych kamieni, wpatrując się w nie niewidzącym wzrokiem. Wreszcie odwrócił się i odszedł.

PUNTA ARENAS

17 lipca, godz. 8.00

Kapitan Vallenar stał w swojej kabinie nad cynkowym zlewem, dopalając *puro* i rozcierając na twarzy krem do golenia o zapachu drzewa sandałowego. Nie cierpiał pachnącego kremu do golenia, tak jak nie cierpiał jednorazowej golarki, za to o dwóch ostrzach, która leżała teraz na zlewie. Typowy amerykański bezsensowny śmieć. Tylko Amerykanie potrafili być tak rozrzutni. Po co dwa ostrza, skoro jedno w zupełności by mu wystarczyło? Jednak sklepy dla marynarzy były kiepsko zaopatrzone, szczególnie tutaj, na dalekim południu. Kapitan patrzył na jednorazowy przyrząd z niesmakiem, pocieszając się myślą, że nie musiał od razu kupić wszystkich dziesięciu, które znajdowały się w paczce. Miał do wyboru: albo prostą brzytwę, albo coś takiego. Wybrał to, ponieważ brzytwy czasami bywały na okrętach bardzo niebezpiecznymi narzędziami.

Przepłukał ostrza, po czym uniósł golarkę do swego lewego policzka. Golenie zawsze zaczynał od lewej strony twarzy. Posługiwał się bowiem wyłącznie prawą ręką i ta ręka zdecydowanie łatwiej operowała po lewej stronie niż po prawej.

Krem do golenia przynajmniej na jakiś czas zabijał odór panujący na okręcie. „Almirante Ramírez” był najstarszym niszczycielem we flocie. Kupiono go w latach pięćdziesiątych od Stanów Zjednoczonych. Dekady byle jakiego mycia, czyszczenia warzyw w wodzie zęzowej, używania niezliczonych środków chemicznych, błędnego gospodarowania ściekami i wreszcie dekady pracy silnika dieslowskiego sprawiły, że statek śmierdział tak trwale i intensywnie, iż absolutnie nic - prócz zatonięcia - nie było już w stanie go od tego smrodu uwolnić.

Ponad pisk ptaków i odgłosy ludzkiej krzątaniny na wybrzeżu przedarło się nagle dudnienie portowej sygnalizacji dźwiękowej. Kapitan wyjrzał przez brudny iluminator w kierunku mola i miasta. Był jasny, słoneczny dzień. Niebo było wprost kryształowo czyste, a od zachodu wiał mocny zimny wiatr.

Kapitan powrócił do golenia. Nigdy nie lubił kotwiczyć w Punta Arenas. Było to niezbyt dobre miejsce dla jego niszczyciela, szczególnie kiedy wiał zachodni wiatr. Okręt od razu otaczały łodzie rybackie, za jego burtą szukając schronienia przed wiatrem i falami. Panowała tutaj typowa południowoamerykańska anarchia. Nie było żadnej dyscypliny, a okręt wojenny traktowano jak pierwszą lepszą łajbę.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Kapitanie! - usłyszał głos Timmera, oficera sygnałowego.

- Wejść! - odkrzyknął kapitan, nie odwracając się.

Zobaczył w lustrze, jak drzwi się otwierają i do kajuty wchodzi Timmer z jakimś człowiekiem - cywilem o słusznej posturze, dobrze ubranym i wyglądającym na bardzo zadowolonego z siebie.

Vallenar jeszcze kilkakrotnie przesunął ostrzem po policzku. Po chwili wypluł je w zlew i odwrócił się.

- Dziękuję, panie Timmer - powiedział z uśmiechem. - Może pan odejść.

Po odejściu Timmera Vallenar przez kilka sekund przyglądał się gościowi. Ten stał przy biurku, z lekkim uśmiechem na ustach, nie objawiając ani śladu szacunku czy lęku. Właściwie czego miałby się bać?, pomyślał Vallenar bez emocji. Vallenar był przecież kapitanem jedynie z nazwy. Dowodził najstarszym okrętem we flocie, realizował najbardziej bezsensowne zadania. Nie mógł więc się dziwić, że facet, który przed nim stoi, czuje się wielkim ważniakiem i nie okazuje żadnego szacunku bezsilnemu kapitanowi rdzewiejącego okrętu.

Vallenar po raz ostatni głęboko zaciągnął się *puro* i wyrzucił niedopałek przez otwarty iluminator. Odłożył golarkę i sprawną ręką wyjął z szuflady biurka pudełko z cygarami, po czym poczęstował nimi przybysza. Ten popatrzył na cygara z pogardliwą miną i potrząsnął głową. Vallenar wziął jedno dla siebie.

- Przepraszam za te cygara - powiedział, odkładając pudełko na miejsce. - Są bardzo podłej jakości. Niestety, w marynarce musimy zadowalać się tym, co dostajemy z przydziału.

Mężczyzna uśmiechnął się protekcyjnie i popatrzył na jego zniekształcone ramię. Vallenar z kolei zaobserwował, że jego gość ma pofarbowane włosy i starannie utrzymane paznokcie.

- Bardzo proszę, niech pan usiądzie, przyjacielu - rzekł, wsuwając cygaro do ust. - Proszę mi wybaczyć, ale podczas naszej rozmowy dokończę golenie.

Mężczyzna usiadł na krześle przed biurkiem i starannie założył nogę na nogę.

- Rozumiem, że handluje pan używanym sprzętem elektronicznym: zegarkami, komputerami, kserokopiarkami i tym podobnymi akcesoriami - zaczął Vallenar. Na chwilę umilkł, kiedy przesunął ostrzem golarki nad górną wargą. - Mam rację?

- Nowym i używanym sprzętem elektronicznym - poprawił mężczyzna, kładąc nacisk na to pierwsze słowo.

- Jasne. - Vallenar pokiwał głową. - Mniej więcej cztery lub pięć miesięcy temu, to było chyba w marcu, kupił pan pewien specyficzny sprzęt, o ile wiem, tomograf dźwiękowy. Jest to narzędzie używane przez różnych poszukiwaczy grzebiących w ziemi, zestaw długich metalowych prętów ze specyficzną klawiaturą na środku. Prawda to czy nie?

- Drogi kapitanie, prowadzę mnóstwo interesów. Nie jestem w stanie pamiętać każdego rupiecia, który przyniosą mi ludzie.

Vallenar odwrócił się.

- Nie twierdziłem, że to był śmieć. Powiedział pan, że sprzedaje sprzęt nowy i używany, prawda?

Handlarz wzruszył ramionami, uniósł do góry ręce i uśmiechnął się. Był to uśmiech, jakich kapitan widział już w życiu niezliczoną ilość. W taki sposób uśmiechali się do niego drobni urzędnicy, przedstawiciele władz i biznesmeni. Był to uśmiech, który mówił: nie będę wiedział niczego i w niczym ci nie pomogę, dopóki nie otrzymam *la mordidy*, łapówki. Był to taki sam uśmiech, jaki widział na twarzach celników w Puerto Williams, tydzień temu. Dzisiaj, zamiast wściekłości, czuł jedynie wielkie współczucie dla handlarza. Przecież ten człowiek nie urodził się od razu skorumpowany. Korupcja postępowała stopniowo. Była symptomem o wiele poważniejszej choroby, choroby, która drążyła wszystko i wszystkich dookoła.

Ciężko westchnąwszy, Vallenar obszedł biurko i przysiadł na jego skraju przed handlarzem. Uśmiechnął się do niego. Czuł, że krem do golenia już schnie mu na skórze. Handlarz pokiwał głową i konspiracyjnie mrugnął okiem. Jednocześnie potarł kciuk i palec wskazujący prawej dłoni w uniwersalnym geście, znanym na wszystkich szerokościach geograficznych. Drugą wypielęgowaną dłoń trzymał nieruchomo na biurku.

Błyskawicznie jak atakujący wąż zdrowa ręka kapitana, trzymająca golarkę, wystrzeliła do przodu. Jednym ruchem Vallenar głęboko przeciął skórę pod paznokciem środkowego palca handlarza. Ten spojrzał na rękę i, wstrzymawszy oddech, zaczął się w nią wpatrywać z niedowierzaniem. Po chwili podniósł przerażony wzrok na kapitana, który popatrzył mu w oczy z niezmaconym spokojem. Nagle kapitan wykonał kolejne brutalne cięcie i mężczyzna straszliwie krzyknął. Jego starannie wypielęgowany paznokieć pozostał pomiędzy ostrzami golarki.

Vallenar otrząsnął ją, wyrzucając zakrwawiony paznokieć z kawałkami skóry przez iluminator. Następnie wypłukał golarkę, stanął przed lustrem i podjął przerwane golenie. Przez chwilę jedynymi dźwiękami słyszalnymi w małej kabinie było drapanie ostrzy o chropowatą skórę twarzy kapitana i głośnie jęki handlarza. Vallenar odnotował bez większego zainteresowania, że golarka pozostawia na jego twarzy wąskie paseczki zarostu. Zapewne pomiędzy ostrzami musiał jeszcze tkwić kawałek paznokcia.

Kapitan starannie dokończył golenie i ponownie wypłukał golarkę. Wytarł twarz ręcznikiem i odwrócił się do handlarza. Mężczyzna zdążył już podnieść się z krzesła i stał teraz przed biurkiem, kołysząc się, jęcząc i zaciskając w dłoni krwawiący palec.

Vallenar oparł się o biurko, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i delikatnie obwiązał nią zraniony palec handlarza.

- Proszę, niech pan usiądzie - powiedział.

Mężczyzna usiadł, cicho pojękując. Jego szczęki drżały. Dopiero teraz się bał.

- Odda pan przysługę nam obu, jeżeli odpowie pan na moje pytania szybko i dokładnie. Zatem, czy nabył pan opisane przeze mnie urządzenie?

- Tak, kupiłem coś takiego - odparł mężczyzna natychmiast. - Miałem taki instrument, panie kapitanie.

- Kto go od pana odkupił?

- Amerykański artysta. - Handlarz zacisnął zdrową dłoń na rannym palcu.

- Artysta?

- Rzeźbiarz. Chciał na bazie tego urządzenia wykonać nowoczesną rzeźbę i pokazać ją na wystawie w Nowym Jorku. A ten przyrząd był już porzeczony i właściwie nie nadawał się do niczego innego.

Vallenar uśmiechnął się.

- Amerykański rzeźbiarz. Jak się nazywał?

- Nie podał mi nazwiska. Vallenar pokiwał głową, wciąż się uśmiechając. Jego rozmówca bardzo chętnie wyjawiał już teraz całą prawdę.

- Oczywiście, że nie. Zechce mi pan powiedzieć... Aha, ja przecież nie zapytałem pana o nazwisko. Cóż za niegrzeczność z mojej strony.

- Tornero, drogi panie kapitanie. Rafael Tornero Perea.

- Señor Tornero, niech mi pan powie, od kogo nabył pan ten instrument?

- Od Metysa.

Vallenar popatrzył na niego pytająco.

- Od Metysa? Jak się nazywał.

- Przykro mi... Nie wiem. Vallenar zmarszczył czoło.

- Nie zna pan jego nazwiska? Przecież na tych terenach żyje już bardzo niewielu Metysów, a jeszcze mniej spośród nich wciąż zagląda do Punta Arenas.

- Nie pamiętam, panie kapitanie, naprawdę nie mogę sobie przypomnieć. - W oczach handlarza można było dostrzec szaleńczy strach. Z wielką desperacją próbował sobie

przypomnieć nazwisko sprzedawcy. Z jego pofarbowanej brwi potoczyła się struga potu. - On nie pochodził z Punta Arenas, ale z południa. Miał dziwne nazwisko.

Vallenar doznał ośnienia.

- Czy to był Puppup? Juan Puppup?

- Tak! Dziękuję panu, dziękuję, kapitanie, że odświeżył mi pan pamięć. Puppup. On właśnie tak się nazywał.

- Czy powiedział, gdzie to znalazł?

- Tak. Na jednej z wysp przyładka Horn. Nie uwierzyłem mu, bo skąd niby mógł znaleźć tam cokolwiek, co przedstawiało jakąś wartość? - Mężczyzna gadał w takim pośpiechu, że momentami jego słowa były niezrozumiałe. - Pomyślałem, że opowiada takie bzdury dlatego, iż chce uzyskać lepszą cenę. - Twarz handlarza pojaśniała. - Teraz sobie przypominam, że miał także kilof i dziwnie wyglądający młotek.

- Dziwnie wyglądający młotek?

- Tak. Jeden jego koniec był długi i zakręcony. Do tego miał jeszcze skórzany worek pełen odłamków skał. Amerykanin kupił wszystko razem.

Vallenar pochylił się nisko nad biurkiem.

- Skały? Oglądał je pan?

- Tak, oczywiście. Przyjrzałem się.

- Czy to było złoto?

- Och, nie. Nie miały żadnej wartości.

- Aha. Zapewne ma pan wykształcenie geologiczne, skoro pan tak twierdzi?

Mimo że Vallenar nie zmienił tonu głosu, mężczyzna aż skulił się na krześle.

- Kapitanie, pokazałem je panu Alonsowi Torresowi, który ma sklep geologiczny na Calle Colinas. W pierwszej chwili miałem nadzieję, że to są jakieś cenne rudy. Pan Torres powiedział mi jednak, że nie mają żadnej wartości, że mogę je wyrzucić.

- A on skąd to wiedział?

- On wszystko wie, doskonale. Pan Torres jest ekspertem, jeśli chodzi o skały, kamienie i minerały.

Vallenar podszedł do iluminatora. Długie lata oddziaływania morskiej wody sprawiły, że jego krawędzie były białe i pordzewiałe.

- Powiedział, co to takiego było?

- Powiedział, że po prostu nic.

Vallenar odwrócił się z powrotem do handlarza.

- Jak one wyglądały?

- To były po prostu odłamki skał. Zwyczajne i brzydkie.

Vallenar zamknął oczy, za wszelką cenę starając się powstrzymać rosnącą w nim złość. Uważał, że byłoby bardzo nie na miejscu stracić panowanie nad sobą na własnym statku, i to w obecności gościa.

- Być może został mi jeszcze kawałek w sklepie, kapitanie. Vallenar otworzył oczy.

- Być może?

- Señor Torres zatrzymał jeden kawałek do dalszych badań. Ten fragment wrócił do mnie już po tym, jak Amerykanin kupił instrument. Przez jakiś czas używałem go jako przycisk do papieru. Ja też myślałem, że może mieć jakąś wartość, mimo tego, co powiedział señor Torres. Zapewne jeszcze gdzieś go znajdę.

Kapitan Vallenar niespodziewanie się uśmiechnął. Wyciągnął z ust niezapalone cygaro, uważnie obejrzał jego czubek i w końcu przypalił je zapalką z pudełka leżącego na biurku.

- Chciałbym kupić od pana ten kamień.

- Interesuje pana ta skała? Będę zaszczycony, mogąc zaoferować ją panu w prezencie. Nie rozmawiajmy o żadnym kupowaniu.

Vallenar lekko skinął głową.

- W takim razie, panie Tornero, będzie mi bardzo miło towarzyszyć panu do miejsca, gdzie finalizuje pan swoje interesy, żeby właśnie tam, z ogromną wdzięcznością, przyjąć pański podarunek - powiedział.

Następnie głęboko zaciągnął się cygarem i, okazując nienaganne maniery, wyprowadził handlarza na śmierdzący centralny korytarz „Almirante Ramireza”.

„ROLVAAG”

Godz.9.35

Wiertło położone zostało na stole laboratoryjnym. Jego żałośnie nadpalili łona końcówka znalazła się na kwadracie białego plastiku. Rząd lamp podwieszonych pod sufitem zalewał pomieszczenie niebieskim światłem. Instrumenty laboratoryjne leżały przy wiertle, każde w osobnym plastikowym opakowaniu. McFarlane, ubrany w biały kitel, naciągnął na twarz maskę chirurgiczną. Wody kanału, w którym kotwiczył „Rolvaag”, były akurat niezwykle spokojne. W pozbawionym okien laboratorium aż trudno było uwierzyć, że wszystko dzieje się na pokładzie statku.

- Skalpel, doktorze - poprosiła Amira. Jej głos tłumiała maseczka. McFarlane potrząsnął głową.

- Siostró, chyba straciliśmy pacjenta.

Amira żałośnie zatkała. Za nią stał Eli Glinn, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach przysłuchiwał się temu kabaretowi ze zniecierpliwieniem.

McFarlane podszedł do elektronicznego mikroskopu i przesunął go na właściwe miejsce na stole. Na podłączonym do niego ekranie od razu ukazał się powiększony obraz wiertła: krajobraz Armagedonu, wypalone kaniony i stopione przełęcze.

- Spalmy jeden - powiedział.

- Jasne, doktorze - odparła Amira i wsunęła do kieszeni komputera płytę CD, na której zamierzała zapisywać wyniki badań.

McFarlane przysunął do stołu krzesło na kółkach, usiadł przy mikroskopie i przytknął bliźniacze wzierniki do oczu. Powoli zaczął poruszać wziernikami, oglądając wszystkie zagłębienia i szczeliny w nadziei, że wiertło wydobyło z meteorytu jakikolwiek jego fragment, chociażby najmniejszy. Ale pod mikroskopem nie można było dostrzec najdrobniejszej czerwonej cząsteczki, nawet w promieniach światła ultrafioletowego. Kontynuując oględziny, McFarlane zdał sobie sprawę, że Glinn zbliżył się do stołu i uważnie wpatruje się w ekran komputera.

Po kilku bezowocnych minutach McFarlane westchnął.

- Przejdźmy do powiększenia studwudziestokrotnego. Amira przygotowała instrument. Obraz wiertła jakby przysunął się, jeszcze bardziej groteskowy i dziwaczny. McFarlane ponownie je zbadał, sektor po sektorze.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Amira, wpatrując się w ekran. - Przecież to po prostu musiało wyrwać choć drobinę z tego meteorytu.

McFarlane z westchnieniem opadł na krzesło.

- Jeśli nawet tak się stało, mikroskop ma zbyt małą moc, żeby to zarejestrować.

- Co sugeruje nam, że meteoryt musi mieć niezwykle zwartą budowę krystaliczną.

- To oczywiste, że nie mamy do czynienia z normalnym metalem. - McFarlane złożył wzierniki i wsunął je do mikroskopu.

- Co teraz? - zapytał Glinn cichym głosem.

McFarlane odwrócił się razem z krzesłem. Ściągnął z twarzy maskę i przez chwilę się zastanawiał.

- Zawsze możemy użyć mikrosondy elektronowej.

- Czyli...?

- Czyli ulubionego narzędzia geologów planetarnych. Mamy jedną taką sondę elektronową na statku. Jej działanie polega na tym, że umieszcza się próbkę materiału w pomieszczeniu pozbawionym atmosfery i strzela się w tę próbkę strumieniem elektronów,

poruszających się z wielką prędkością. Zazwyczaj analizuje się promienie Roentgena, które powstają w wyniku ich działania, ale można też podgrzewać strumień elektronów do temperatury, w której spowodują one parowanie drobinek badanego materiału. Te drobinki po chwili powrócą do stanu stałego w postaci cienkiej powłoki na złotej płytce. I tak powstanie nasza próbka. Niewielka, lecz bardzo cenna.

- Skąd pan wie, że strumień elektronów spowoduje parowanie meteorytu? - zapytał Glinn.

- Elektrony wystrzeliwane są z żarnika z ogromną prędkością. Można sprawić, że osiągną nawet prędkość światła, i skoncentrować ich uderzenia na powierzchni jednego mikrometra kwadratowego. Dzięki temu uzyskamy przynajmniej kilka atomów.

Glinn milczał, najwyraźniej rozważając, czy propozycja McFarlane'a jest dość bezpieczna, by ją zastosować w poszukiwaniu bezwzględnie potrzebnych informacji o meteorycie.

- Cóż - mruknął. - Niech pan robi swoje. Proszę jednak pamiętać, że nikomu nie wolno bezpośrednio dotykać meteorytu.

McFarlane zmarszczył czoło.

- Największy problem polega na tym, że nie wiadomo, jak to zrobić. Zazwyczaj przenosi się próbkę do mikrosondy. Tym razem musielibyśmy raczej udać się z mikrosondą do próbki. Rzecz jednak w tym, że nie jest to urządzenie przenośne. Waży około sześciuset funtów. Poza tym, żeby przeprowadzić badanie, musielibyśmy nad powierzchnią meteorytu utworzyć komorę próżniową.

Glinn odpiął od paska krótkofalówkę.

- Garza? Potrzebuję ośmiu mężczyzn na głównym pokładzie, i to natychmiast. Mają dysponować pojazdem i dźwigiem na tyle dużym, żeby podnieść i przetransportować na ląd narzędzie do prac badawczych, które waży ponad sześćset funtów. Już teraz, z pierwszym porannym transportem.

- Niech mu też powie, że będzie nam potrzebne źródło prądu elektrycznego o dużej mocy - dodał McFarlane.

- I przygotuj kable, które zdolne będą do przewodzenia prądu o mocy dwudziestu tysięcy watów - powiedział Glinn do mikrofonu.

McFarlane gwizdnął z podziwem.

- To powinno wystarczyć - stwierdził.

- Ma pan godzinę na zebranie swoich próbek. Większą ilością czasu nie dysponujemy
- rzekł Glinn powoli, głośno i bardzo wyraźnie. - Zaraz zjawi się tutaj Garza. Niech pan będzie w pogotowiu.

Glinn nagle wstał, nieomal przewracając krzesło, i bez jednego słowa wyszedł z laboratorium. Mimo że chciał trzasnąć drzwiami, automat hydrauliczny cicho je za nim zamknął.

McFarlane popatrzył na Amirę.

- Facet robi się drażliwy - zauważył.

- Nienawidzi sytuacji, kiedy czegoś nie wie albo nie rozumie - odparła Amira ponuro.

- Niepewność odbiera mu rozum.

- Takim ludziom niewątpliwie żyje się bardzo trudno. Twarz Amiry przeciął grymas bólu.

- Nawet nie masz pojęcia, jak trudno.

McFarlane popatrzył na nią z zainteresowaniem, ale Amira zupełnie spokojnie ściągnęła maskę i rękawiczki.

- Chodźmy - powiedziała. - Przygotujmy tę sondę do transportu.

WYSPA DES OLACIÓN

Godz. 13.45

Wczesnym popołudniem cały teren przygotowany był do próby. Pod małą wiatą świeciły jaskrawe światła, a powietrze było tu tak gorące, że aż dławilo nozdrza. McFarlane stał nad dziurą, wpatrując się w czerwoną powierzchnię. Miała piękny, łagodny połysk mimo intensywnego światła. Mikrosonda, długi cylinder ze stali nierdzewnej, leżała na wyścielonym rusztowaniu. Amira zajmowała się jeszcze pozostałym sprzętem, którego dostarczenie zarządził McFarlane: kloszem ze szkła o grubości jednego cala, zawierającym żarnik i kontakt do wtyczki elektrycznej, zestawem złotych dysków, umocowanych w plastiku, oraz elektromagnesem służącym do koncentrowania wiązki elektronów.

- Muszę mieć do dyspozycji jedną stopę kwadratową powierzchni meteorytu, wyczyszczoną najdokładniej, jak się da - powiedział McFarlane do Glinna, który stał nieopodal i przyglądał się przygotowaniom do próby. - W przeciwnym wypadku nałapiemy zanieczyszczenia.

- Da się zrobić - odparł Glinn. - Jaki jest pana plan, kiedy już będzie pan miał próbki?

- Przeprowadzimy na nich serię doświadczeń. Przy odrobinie szczęścia będziemy w stanie określić ich podstawowe właściwości elektryczne, chemiczne i fizyczne.

- Ile czasu zabiorą te doświadczenia?

- Około czterdziestu ośmiu godzin. Trochę więcej, jeżeli w tym czasie będziemy także jedli i spali.

Glinn zacisnął usta.

- Będzie pan miał nie więcej niż dwanaście godzin. Ograniczy się pan tylko do najbardziej zasadniczych badań - odrzekł, po czym sprawdził godzinę na swoim ciężkim złotym kieszonkowym zegarku.

*

Po godzinie wszystko było gotowe do eksperymentu. Szklany klosz umocowano już na powierzchni meteorytu, co samo w sobie było trudną operacją. W kloszu leżały półkolem cienkie złote dyski, które miały wychwycić próbki meteorytu. Otoczony był elektromagnesami. Mikrosonda elektronowa znajdowała się obok, częściowo otwarta, ukazująca fragmenty skomplikowanego mechanizmu. Wystawały z niej różnokolorowe przewody i tubki z wiązkami drutów.

- Rachel, bardzo proszę, włącz pompę próżniową - powiedział McFarlane.

W chwili, kiedy pompa rozpoczęła pracę, rozległ się przytłumiony warkot. McFarlane wpatrywał się w ekran mikrosondy.

- Na razie wszystko w porządku. Zabezpieczenia trzymają. Ciśnienie w kloszu spadło do pięciu mikrobarów.

Glinn podszedł bliżej i popatrzył uważnie na ekran.

- Włączyć elektromagnesy - zarządził.

- Wykonane - odparła Amira.

- Wyłączyć światło.

Wiata pogrzyżyła się w ciemności. Jedyne światło wpadało teraz do środka przez drobne szczeliny w płóciennych ścianach. Jego dodatkowym źródłem był także panel kontrolny mikrosondy.

- Nastawiam strumień na niską moc - wyszeptał McFarlane.

W kloszu ukazał się błękitnawy strumień elektronów. Migotał i obracał się, rzucając na powierzchnię meteorytu widmowe światło i zmieniając jego czerwoną powierzchnię niemal w czarną. To same światło, które odbijało się na ściany, sprawiało, że zdawały się one falować i tańczyć.

McFarlane ostrożnie przekręcił dwa przełączniki, zmieniając moc pól magnetycznych dookoła klosza. Strumień natychmiast przestał się obracać, za to stał się węższy i jaśniejszy. Wkrótce wyglądał jak niebieski ołówek, a jego czubek wycelowany był w powierzchnię meteorytu.

- Dobra nasza - powiedział McFarlane. - Za chwilę dam na pięć sekund pełną moc i zakończę badanie.

Wstrzymał oddech. Jeżeli obawy Glinna były słuszne i meteoryt stwarzał zagrożenie, teraz to się miało okazać.

Nacisnął włącznik czasowy. Strumień wewnątrz klosza natychmiast stał się jaśniejszy. Tam, gdzie padał na powierzchnię meteorytu, pojawił się intensywny fioletowy punkt świetlny. Minęło pięć sekund, po czym zapanała ciemność.

McFarlane jakby się odprężył.

- Światła.

Kiedy włączono światła, McFarlane przyklęknął nad meteoritem i zaczął zachłannie wpatrywać się w złote dyski. Wstrzymał oddech. Na każdym z nich dostrzegł wyraźny czerwony ślad. A tam, gdzie strumień elektronów dotknął meteorytu, zobaczył - albo mu się wydawało, że zobaczył - malutki punkcik, lśniąca kropeczkę na jednostajnie czerwonej powierzchni.

Wyprostował się.

- No i co? - zapytał Glinn. McFarlane szeroko się uśmiechnął.

- Cóż, ta dziecina nie mogła się przecież bronić przed nami bez końca - powiedział radośnie.

WYSPA DESOLACIÓN

18 lipca, godz.9.00

McFarlane szedł z Amirą u boku po skrzypiącym śniegu. Miejsce dookoła meteorytu, gdzie rozbiła obóz ekspedycja, wciąż wyglądało tak samo. Stały te same co wczoraj rzędy kontenerów, ziemia była tak samo jak wczoraj zimna i nieprzyjazna. Tylko McFarlane był inny niż wczoraj. Odczuwał skrajne zmęczenie.

Mroźne powietrze wszystko zwielokrotniało: odgłos skrzypienia butów w świeżym śniegu, stukot urządzeń pracujących w pobliżu, szum jego własnego oddechu. Ale pomagało też chociaż na chwilę uwolnić głowę od dziwacznych spekulacji, które powstały po nocnych badaniach.

Dotarłszy do rzędu kontenerów, McFarlane od razu skierował się do głównego laboratorium i przytrzymał otwarte drzwi, pozwalając Amirze pierwszej wejść do środka. W półmroku dostrzegł Stoneciphera, drugiego inżyniera projektu, jak pochylony naprawia jakiś komputer. Ujrzawszy przybyszów, Stonecipher wyprostował się. Był niski i bardzo chudy, wąski w biodrach.

- Pan Glinn chce was jak najszybciej zobaczyć, oboje - powiedział.

- Gdzie on jest? - zapytał McFarlane.

- Pod ziemią. Zaprowadzę was.

Niedaleko od wiaty, która okrywała meteoryt, w pośpiechu wzniesiono kolejną, jeszcze bardziej niechlujną. W pewnej chwili uniosło się płótno w wejściu do niej i ukazał się w nim Garza, ubrany pod kapturem w ciężki kapelusz i trzymający w ręce jeszcze trzy inne, podobne. Ujrzawszy zbliżających się Stoneciphera, McFarlane'a i Amirę, rzucił im po kapeluszu.

- Chodźcie do środka - odezwał się, gestem nakazując im, aby weszli za nim.

Wszedłszy do pomieszczenia za Garzą, McFarlane rozejrzał się po mrocznym wnętrzu, zastanawiając się, o co właściwie chodzi. Wewnątrz nie było niczego poza jakimiś starymi narzędziami i kilkoma pojemnikami.

- O co chodzi? - zapytał.

- Zaraz zobaczysz - odparł Garza z uśmiechem. Odsunął ze środka pojemniki, odsłaniając stalową przykrywą, którą natychmiast odciągnął do góry.

Zaskoczony McFarlane wstrzymał oddech. Podniesienie pokrywy ukazało schody prowadzące do tunelu wykopanego w ziemi i staranie wzmocnionego żelaznymi rusztowaniami. W tunelu paliły się jasne światła.

- Jak w powieści z gatunku płaszcza i szpady - zauważył McFarlane głośno.

Garza roześmiał się.

- A ja to nazywam metodą króla Tutenchamona. Tunel prowadzący do podziemnej komory z jego skarbami zamaskowano, umieszczając wejście do niego pod grobem jakiegoś nie znaczącego robotnika.

Ruszyli w dół wąskimi schodami wiodącymi do tunelu oświetlonego dwoma rzędami lamp fluorescencyjnych. Tunel był tak gęsto obudowany żelaznymi rusztowaniami i podporami, że zdawał się niemal w całości wykonany ze stali. Cała grupa ruszyła powoli w głąb tunelu. Z ust i nozdrzy ludzi wydobywały się kłęby białej pary wodnej. Co chwilę potracali głowami sople lodu, zwieszające się nie tylko z prowizorycznego sufitu, ale widoczne również na ścianach. McFarlane znowu wstrzymał oddech, kiedy wśród lśniącego lodu i stali ujrzał przed sobą znajomy czerwony kolor.

- Patrzysz na niewielki fragment meteorytu od spodu - powiedział Garza, stając obok.

Pod lśniącą czerwoną powierzchnią tkwił rząd podnośników hydraulicznych. Każdy miał mniej więcej stopę średnicy, wszystkie wyglądały jak kwadratowe filary, przymocowane do metalowej konstrukcji na podłodze i na ścianach.

- Proszę bardzo - rzekł Garza niemal w natchnieniu. - Oto źli chłopcy, którzy zajmą się podniesieniem tego kamlota. - Klepnął najbliższy podnośnik dłonią w rękawicze. - Na pierwszy sygnał podniesiemy ten meteoryt dokładnie sześć centymetrów do góry. Następnie zaklinujemy go, przemieścimy podnośniki i znowu popchniemy w górę. Kiedy tylko uzyskamy dość miejsca, zaczniemy budować pod nim rusztowanie. Będziemy pracować w chłodzie i ciasnocie, ale to jedyny sposób.

- Mamy o pięćdziesiąt procent więcej podnośników niż potrzeba - dodał Rochefort. Z powodu zimna na jego twarzy pojawiły się brzydkie plamy, a cały nos miał niebieski. - Tunel zaprojektowaliśmy tak, że jest mocniejszy niż sama macierz ziemi. Jest całkowicie bezpieczny. - Mówił bardzo gwałtownie, a jego usta układały się w zły grymas, jakby chciał przez to obwieścić, że jakiegokolwiek powątpiewanie w sens działań, które podjął, będzie nie tylko stratą czasu, ale też afrontem wobec niego.

Garza odwrócił się od meteorytu i poprowadził grupę tunelem w prawo. Wkrótce od głównego tunelu oddzieliło się kilka mniejszych, prowadzących do kolejnych odsłoniętych płaszczyzn meteorytu podpartych podnośnikami. Po mniej więcej stu stopach tunel przechodził w wielką podziemną komorę magazynową. Miała kesonowy sufit, lecz jej podłogę stanowiła jedynie zamrożona ziemia. Wewnątrz, starannie poukładane, leżały laminowane deski i elementy stalowego rusztowania. Było tam też mnóstwo różnych narzędzi i przyrządów, niezbędnych w pracach podziemnych. Pod jedną ze ścian stał Glinn i półgłosem rozmawiał z jakimś technikiem.

- Jezu - niemal jęknął McFarlane. - Ależ to jest wielkie. Nie mogę uwierzyć, że wydrążyliście to wszystko w ciągu paru dni.

- Nie chcemy, żeby ktokolwiek kręcił się po naszych magazynach - powiedział Garza. - Gdyby to wszystko zobaczył jakiegokolwiek niewtajemniczony inżynier, natychmiast by się zorientował, że nie szukamy rud żelaza. Ani złota. To, co tu widzisz, zostanie wykorzystane do zbudowania rusztowania dla meteorytu, kawałek po kawałku, i lepszego poznania jego konturów. Mamy tutaj elementy do składania rusztowań, precyzyjne spawarki łukowe, palniki acetylenowe, sprzęt do nitowania na gorąco i trochę dobrych, porządných narzędzi mechanicznych.

Glinn podszedł bliżej. Skinął na powitanie najpierw McFarlane'owi, a potem Amirze.

- Rachel, usiądź proszę. Wyglądasz na zmęczoną. - Wskazał jej miejsce na którymś z dwuteowników.

- Tak, jestem zmęczona - posłała mu słaby uśmiech. - Ale też szczerze zdumiona.

- Niecierpliwie czekam na sprawozdanie - odparł. McFarlane na chwilę zamknął oczy, ale zaraz je otworzył.

- Niczego jeszcze nie napisaliśmy - powiedział. - Jeżeli chce się pan czegokolwiek dowiedzieć, służymy jedynie raportem ustnym.

Glinn zacisnął dłonie w pięści, jednak tylko skinął głową. McFarlane wyciągnął zatem spod kurtki niewielki notes z kartkami wystrzępionymi na rogach. Każdy jego oddech posyłał w górę obłok marznącej pary wodnej. Otworzył notes i zaczął przeglądać dziesiątki kartek zawierających pośpiesznie pospisywane notatki.

- Chciałbym jasno i wyraźnie powiedzieć, że to dopiero początek. Dwanaście godzin to czas, który wystarczył zaledwie na powierzchowne i pobieżne eksperymenty.

Glinn znowu pokiwał głową. Nadal milczał.

- Opiszę rezultaty naszych badań, ale chciałbym też ostrzec: w wynikach, które uzyskaliśmy, nie widzę na razie głębszego sensu. Zaczęliśmy od określenia podstawowych właściwości metalu: temperatury topnienia, gęstości, oporowości elektrycznej, ustalenia wagi atomowej, walencyjności, tego typu rzeczy. Na początek podgrzaliśmy próbkę, żeby określić temperaturę topnienia. Uzyskaliśmy temperaturę pięćdziesięciu tysięcy stopni Kelvina. Przy tej temperaturze wyparowało złote podłoże, na którym osadzał się badany materiał. Materiał jednak nie zmienił stanu skupienia.

Glinn zmrużył oczy.

- A więc dlatego przetrwał uderzenie? - zapytał.

- Właśnie - odparła Amira.

- Następnie próbowaliśmy użyć spektrometru masy, żeby określić wagę atomową. Ze względu na wysoką temperaturę topnienia ten eksperyment się nie udał. Nawet używając mikrosondy, nie byliśmy w stanie utrzymać próbki w stanie gazowym wystarczająco długo, żeby to określić. - McFarlane przerzucił kilka kartek. - Podobnie było przy próbie wyznaczenia ciężaru właściwego. Mikrosonda nie dostarczyła nam wystarczająco dużej próbki, żeby go ustalić. Meteoryt wydaje się chemicznie nieaktywny. Nacieraliśmy na niego każdym rozpuszczalnikiem, kwasem i substancją reaktywną, jakimi dysponowaliśmy w laboratorium. Zarówno w temperaturze pokojowej i w normalnym ciśnieniu, jak i w wysokich temperaturach i przy podwyższonym ciśnieniu. Żadnych reakcji. Meteoryt zachowuje się jak gaz szlachetny, a przecież jest bryłą. Nie ma elektronów walencyjnych.

- Proszę mówić dalej.

- Potem próbowaliśmy określić jego właściwości elektromagnetyczne. I tu zaskoczenie. Mówiąc najprościej, meteoryt w temperaturze pokojowej wydaje się superprzewodnikiem. Przewodzi prąd elektryczny właściwie bez żadnego oporu.

Jeżeli Glinn także był zaskoczony, w ogóle tego po sobie nie okazał.

- Wreszcie zbombardowaliśmy meteoryt strumieniem neutronów. To standardowy test na nieznanym materiale. Neutrony sprawiają, że materiał emituje promienie Roentgena, które pozwalają określić, co się znajduje w jego wnętrzu. Jednak w tym wypadku nasze neutrony po prostu znikają w środku. Jakby meteoryt je połykał. To samo robił ze strumieniami protonów.

Glinn uniósł brwi.

- To było tak, jakbyśmy strzelali z magnum kalibru czterdzieści cztery do kartki papieru, a kule znikająby w tym papierze - powiedziała Amira.

Glinn popatrzył na nią.

- Możesz to w jakikolwiek sposób wyjaśnić? Potrząsnęła przecząco głową.

- Próbowałam wykonać kwantową analizę mechaniczną tego, co mogło się dziać. Bez powodzenia. Wygląda, że to jest niemożliwe.

McFarlane kontynuował odczytywanie notatek.

- Ostatni test, jaki wykonaliśmy, polegał na dyfrakcji próbki promieniami Roentgena.

- Niech pan to wyjaśni - mruknął Glinn.

- Prześwietla się materiał promieniami Roentgena, a potem składa się obraz wzoru dyfrakcji, który powstaje. Komputer odwraca ten obraz i informuje, jaki rodzaj siatki krystalicznej go wygenerował. No i cóż, uzyskaliśmy bardzo dziwny wzór dyfrakcji, w zasadzie fraktal. Rachel napisała program, który próbował obliczyć, jaki rodzaj struktury kryształu mógłby wyprodukować taki wzór.

- I nadal próbuje - dodała Amira. - Do tej pory najprawdopodobniej zdążył się zawiesić. To cholernie skomplikowane obliczenie, nie wiem, czy w ogóle możliwe.

- Jeszcze jedno - kontynuował McFarlane. - Wykonaliśmy badanie jąder atomowych koezytów z miejsca uderzenia meteorytu w ziemię. Wiemy już, kiedy tutaj spadł: trzydzieści dwa miliony lat temu.

Glinn powoli opuścił głowę i w tej chwili wpatrywał się w ziemię.

- Wnioski? - zapytał w końcu, bardzo cicho.

- Tylko wstępne - odpowiedział McFarlane.

- Rozumiem.

McFarlane wziął głęboki oddech.

- Słyszał pan o hipotetycznej „wyspie stabilności” w tabeli okresowej Mendelejewa?

- Nie.

- Przez lata naukowcy poszukiwali coraz cięższych pierwiastków coraz wyżej w układzie okresowym. Większość tych, które znajdowali, miała bardzo krótkie życie: trwały zaledwie przez miliardową część sekundy, po czym rozpadały się w innych pierwiastkach. Istnieje jednak teoria, że wysoko, bardzo wysoko w układzie okresowym może znajdować się grupa pierwiastków, które się nie rozpadają. Taka wyspa stabilności. Nikt nie wie, jakie by miały właściwości, z pewnością byłyby jednak bardzo dziwne i bardzo, bardzo ciężkie. Na razie nie można ich wyodrębnić nawet przy użyciu największych akceleratorów cząsteczek, jakimi obecnie dysponujemy.

- I myśli pan, że mamy do czynienia z jednym z takich pierwiastków?

- Prawdę mówiąc, jestem o tym niemal przekonany.

- W jaki sposób taki pierwiastek mógł powstać?

- Jedynie w najbardziej gwałtownym zdarzeniu w znanym wszechświecie: w hipernowej.

- W hipernowej?

- Tak. Hipernowa jest o wiele większa niż supernowa. Mamy z nią do czynienia, kiedy wielka gwiazda wpada do czarnej dziury albo kiedy dwie gwiazdy neutronowe zderzają się, formując czarną dziurę. Przez mniej więcej dziesięć sekund hipernowa wytwarza tyle energii, ile wytwarza jej reszta znanego wszechświata razem wzięta. W efekcie takiej monstrualnej katastrofy mogłyby powstać te dziwne pierwiastki. A wytworzona ilość energii byłaby wystarczająca, żeby wypchnąć meteoryt w przestrzeń z prędkością, która pozwoliłaby mu na przemierzenie bezkresnych odległości pomiędzy gwiazdami i wylądowanie na Ziemi.

- Meteoryt międzygalaktyczny - powiedział Glinn głucho. McFarlane z zaskoczeniem odnotował krótką, lecz znaczącą wymianę spojrzeń pomiędzy Glinnem a Amirą. Spiął się w sobie, ale Glinn tylko lekko pokiwał głową.

- Przynieśliście mi więcej pytań niż odpowiedzi.

- Dal pan nam tylko dwanaście godzin. Nastąpiła krótka chwila ciszy.

- Powróćmy do podstawowego pytania - odezwał się wreszcie Glinn. - Czy to jest niebezpieczne?

- Nie musimy się obawiać, że kogoś otruje - odparła Amira. - Meteoryt nie jest ani radioaktywny, ani nie wchodzi w żadne reakcje. Jest całkowicie bierny. Wierzę, że jest bezpieczny. Tym niemniej uważałabym przy nim z elektrycznością. Skoro jest

superprzewodnikiem w temperaturze pokojowej, ma też potężne i dziwne właściwości elektromagnetyczne.

- Doktorze McFarlane? - spytał Glinn.

- To bryła, w której tkwi mnóstwo sprzeczności - odparł McFarlane, starając się, żeby jego głos brzmiał jak najspokojniej. - Nie odkryliśmy w niej żadnego konkretnego niebezpieczeństwa. Ale muszę też podkreślić, że nie możemy zapewnić, iż jest zupełnie bezpieczna. Wkrótce wykonamy drugi zestaw testów i jeśli dzięki niemu uzyskamy jakiś nowy obraz meteorytu, natychmiast wszystkich o tym poinformujemy. Jednak miną zapewne całe lata, nim wydobędziemy z tego meteorytu wszystkie informacje. Na razie pracowaliśmy nad nim tylko dwanaście godzin, a to nie mogło przynieść żadnych poważnych wyników.

- Rozumiem. - Glinn westchnął z cichym świstem powietrza, co u każdego innego człowieka byłoby objawem irytacji. - Tym niemniej tutaj, pod ziemią, my z kolei odkryliśmy coś interesującego.

- Co takiego?

- Początkowo oceniliśmy, że meteoryt ma objętość mniej więcej tysiąca dwustu metrów sześciennych i średnicę około czterdziestu dwóch stóp. Przygotowując te tunele, Garza i jego ludzie robili mapę zewnętrznych konturów meteorytu. Wszystko wskazuje na to, że jest on o wiele mniejszy, niż początkowo sądziliśmy. Jego średnica ma zaledwie dwadzieścia stóp.

Umysł McFarlane'a z trudem akceptował te informacje. W pewnym sensie poczuł rozczarowanie. Dziwny meteoryt okazał się bowiem tylko niewiele większy od meteorytu Ahnighito znajdującego się w muzeum w Nowym Jorku.

- W tym momencie bardzo trudno jest określić jego masę - mówił Glinn. - Ale wszystko wskazuje na to, że meteoryt waży jednak przynajmniej dziesięć tysięcy ton.

McFarlane w jednej chwili zapomniał o swoim rozczarowaniu.

- To znaczy, że jego liczba atomowa wynosi...

- Jezu, przynajmniej siedemdziesiąt pięć - uzupełniła Amira. Glinn zmarszczył czoło.

- A co to znaczy?

- Dwa najcięższe znane pierwiastki to osm i iryd - wyjaśniła Amira. - Oba mają liczbę atomową oscylującą wokół siedemdziesięciu dwóch. Przy liczbie atomowej siedemdziesiąt pięć ten meteoryt ma ponad trzykrotnie większą gęstość niż jakikolwiek pierwiastek znany na Ziemi.

- Oto nasz dowód - mruknął McFarlane. Poczł przyspieszone bicie serca.

- Słucham? - zapytał Glinn.

McFarlane odczuł ogromną ulgę. Popatrzył Glinnowi prosto w oczy.

- Teraz nie może być już żadnych wątpliwości. Ten meteoryt przyleciał spoza naszej galaktyki.

Glinn zachował kamienną twarz.

- W naszym Systemie Słonecznym nie istnieje nic równie gęstego. Meteoryt po prostu musi pochodzić z innego systemu, miejsca we wszechświecie całkowicie odmiennego niż wszystko, co istnieje w naszym Systemie. Z regionu hipernowej.

Zapadła bardzo długa cisza. McFarlane słyszał robotników pokrzykujących w odległych tunelach oraz przytłumione odgłosy pracujących młotów pneumatycznych i spawania. Wreszcie Glinn odchrząknął.

- Doktorze McFarlane - zaczął cicho. - Sam. - Przeszedł po raz pierwszy na mniej oficjalną formę. - Przepraszam, jeśli odnosiłeś wrażenie, że w ciebie wątpię. Zrozum jednak, że w naszej wyprawie operujemy niejako obok wszelkich znanych nam parametrów. Nie istnieją żadne precedensy, które by były dla nas wskazówkami. Zdaję sobie sprawę, że nie miałeś dość czasu, żeby przeprowadzić właściwe badania. Ale nasze okno niepewności powoli się zamyka. Chciałbym, żebyś najlepiej, jak potrafisz, jako naukowiec i jako człowiek, ocenił i powiedział nam, czy będziemy bezpieczni, pracując dalej, czy też powinniśmy natychmiast zakończyć naszą operację i wrócić do domów.

McFarlane wziął głęboki oddech. Doskonale rozumiał problem, jaki postawił Glinn. Rozumiał również zupełnie jasno to, co Glinn pozostawił niedopowiedziane. Jako naukowiec i jako człowiek... Glinn prosił go, żeby rozważył problem uczciwie i obiektywnie, żeby zapomniał, iż pięć lat wcześniej zdradził przyjaciela, roztrząsając dokładnie tę samą kwestię.

Oczyrna wyobraźnia ujrziała kilka obrazów: Lloyda chodzącego wokół swojej piramidy, lśniącej, czarne oczy kapitana niszczyciela, połamane, żalodne kości swojego martwego partnera. Zaczął mówić bardzo powoli:

- Ten meteoryt leży tutaj od trzydziestu dwóch milionów lat i najwyraźniej nie sprawia żadnych problemów. Prawda jest jednak taka, że wiemy o nim bardzo mało. Muszę zaznaczyć, że dokonaliśmy odkrycia naukowego najwyższej wagi. Czy dalsze badania warte są ryzyka? Moim zdaniem tak. Przecież nic, co wielkie i wspaniałe, nigdy nie obywa się bez ryzyka.

Glinn wbił spojrzenie w ścianę, ale można było odnieść wrażenie, że w tej chwili zupełnie nic nie widzi. Jak zwykle, trudno było coś odczytać z wyrazu jego twarzy. McFarlane jednak wyczuwał, że Glinn bardzo intensywnie myśli.

Wreszcie mężczyzna wyciągnął z kieszeni zegarek i sprawnym ruchem otworzył jego kopertę. Podjął decyzję.

- Podniesiemy tę bryłę za trzydzieści minut. Rachel, kiedy razem z Gene'em sprawdzisz połączenia serwomechanizmów, będziemy gotowi.

McFarlane poczuł nagły przypływ wzruszenia. Wzruszenia albo radosnego oczekiwania, właściwie sam nie wiedział.

- Podczas pracy podnośników wszyscy muszą wyjść na zewnątrz - zarządził Garza, spoglądając na własny zegarek. - Nikomu nie wolno pozostać pod ziemią.

McFarlane szybko powrócił do rzeczywistości.

- Myślałem, że powiedział pan, iż wszystko pod ziemią jest całkowicie bezpieczne.

- Zabezpieczamy się podwójnie - mruknął Glinn. Następnie wyszedł z komory i ruszył pierwszy wąskim korytarzem.

„ROLVAAG”

Godz. 9.30

Doktor Patrick Brambell leżał wygodnie na swojej koi, czytając *The Faerie Queene* Spensera. Tankowiec kotwiczył na spokojnej wodzie cieśniny, a materac był delikatny i przyjemnie miękki. Temperatura w apartamencie medycznym doktora wzrosła do osiemdziesięciu sześciu stopni Fahrenheita i była teraz dokładnie taka, jaką lubił. Wszyscy, poza niewieloma marynarzami niezbędnymi na statku, znajdowali się na lądzie i próbowali podnosić meteoryt, na statku było więc bardzo cicho. Doktor czuł się zatem bardzo dobrze i w tej chwili nie chciał od świata niczego więcej. Jedyne problem sprawiała mu ręka, w której trzymał książkę; powoli zaczynała cierpnąć. Ale ten problem można było szybko rozwiązać. Z westchnieniem zadowolenia przełożył książkę do drugiej ręki, przekartkował stronicę i ponownie zagłębił się w eleganckich dykteryjkach Spensera.

Nagle przerwał lekturę. Właściwie dopiero teraz uświadomił sobie, że istnieje jeszcze coś, co mógłby określić jako źródło zaniepokojenia. Niechętnie popatrzył na otwarte drzwi wiodące do poczekalni i znajdujące się za nią, za kolejnymi otwartymi drzwiami, laboratorium medycznego. Na lśniącym stole ze stali nierdzewnej leżało niebieskie plastikowe pudło, przeznaczone do przechowywania ważnych dowodów rzeczowych. Wieko pudła było zatrzaśnięte, jednak z pewnością nie byłoby problemu z jego uniesieniem. Pudło zdawało się z wyrzutem spoglądać na lekarza. Glinn domagał się przecież, żeby Brambell zbadał spoczywające w nim szczątki do końca dnia.

Doktor wpatrywał się przez chwilę w kasetę. Wreszcie odłożył książkę na bok, niechętnie wstał z koi i wygładził na sobie fartuch chirurgiczny. Chociaż rzadko

przeprowadzał jakiegokolwiek zabiegi, a jeszcze rzadziej operacje chirurgiczne, uwielbiał nosić fartuch chirurgiczny i właściwie zdejmował go jedynie do spania. Jako strój służbowy wzbudzał on bowiem znacznie większy szacunek niż mundur policjanta. Fartuch chirurgiczny, szczególnie upstrzony plamami krwi, sprawiał, że w jego gabinecie pacjenci i goście starali się skracać wizyty do minimum i nie nawiązywali zbędnych konwersacji.

Wyszedł z prywatnej kabiny i na moment zatrzymał się w poczekalni. Nie było tu nikogo. Zajrzał do sali szpitalnej. Dziesięć łóżek, wszystkie puste. Doktor Brambell był niemal usatysfakcjonowany.

Wszedłszy do laboratorium medycznego, umył dłonie nad wielkim zlewem i poruszając się w małym kole, zaczął otrząsać wodę z palców. Prześmiewczo naśladował księdza. Wreszcie włączył łokciem suszarkę do rąk i pod strumieniem ciepłego powietrza, pocierając jedną starą dłoń o drugą, starannie obie osuszył. Kiedy skończył, rozejrzał się po wyświechtanych grzbietach książek; to były te, które nie zmieściły się w jego prywatnej kajucie. Nad książkami wisiały dwa obrazki. Na pierwszym - reprodukcji jakiegoś olejnego obrazu - przedstawiono Jezusa Chrystusa w jaskrawych płomieniach, z wielkimi cierniowymi kolcami wbitymi w serce. Postać Chrystusa przypominała mu o wielu sprawach, niekiedy całkowicie sprzecznych, ale zawsze interesujących. Na drugim obrazku - a ściślej mówiąc fotografii - uwieczniono samego doktora Brambella i jego brata-bliźniaka, Simona, którego w Nowym Jorku zamordował jakiś bandyta. To zdjęcie bezustannie przypominało mu, dlaczego nigdy się nie ożenił i nigdy nie chciał mieć własnych dzieci.

Włożył parę lateksowych rękawiczek, włączył lampę łukową i we właściwe miejsce nad pudłem wkręcił szkło powiększające. Następnie otworzył pudło i z niesmakiem popatrzył na leżące w nim kości. Już na pierwszy rzut oka zorientował się, że wielu brakuje, a reszta poukładana jest byle jak, bez żadnego poszanowania dla anatomii. Potrząsnął głową i ciężko westchnął nad ogólną niekompetencją całego świata.

Powoli zaczął wybierać kości z pudła, identyfikując je i układając w poprawnym porządku na stole. Ogólnie rzecz biorąc, nie zauważył, aby do tych kości zdążyły się dobrać jakieś zwierzęta, poza małymi gryzoniami. Nagle zmarszczył czoło, bo zorientował się, że niezwykle i zaskakujące są pośmiertne pęknięcia kości. Wyprostował się, a jedna z kości zawisa nieruchomo w jego dłoni, w połowie drogi pomiędzy pudłem a stołem. Bardzo powoli położył ją na metalowej powierzchni, a potem cofnął się, skrzyżował ramiona na piersiach i w absolutnej ciszy długo wpatrywał się w szczątki.

Pamiętał z dzieciństwa marzenia swojej matki o tym, że jej bliźniacy wyrosną na lekarzy. Ma Brambell, kiedy coś postanowiła, doprowadzała sprawę do końca, zatem, tak jak

jego brat - Simon, Patrick również podjął studia medyczne. Jednak podczas gdy Simonowi spodobał się ten zawód i podjął dochodową praktykę w Nowym Jorku, Patrick był w tym względzie minimalistą. Więcej czasu niż swojemu zawodowi poświęcał literaturze. Chętnie przyjmował pracę na statkach, ostatnio na wielkich tankowcach, gdzie załogi były nieliczne, a warunki bytowania komfortowe. Do tej pory ekspedycja na „Rolvaagu” spełniała wszystkie jego oczekiwania. Nikt nie łamał sobie kości, nie było gwałtownych ataków gorączki ani żadnych przypadków trypra. Poza kilkoma poważniejszymi przypadkami choroby morskiej, drobnymi infekcjami i kilkoma wymysłami Glinna nic nie odrywało doktora Brambella od jego ukochanych książek. Do teraz.

Teraz bowiem, wpatrując się w połamane kości, Brambell poczuł, że ogarnia go zainteresowanie, zupełnie do niego nie pasujące. Niespodziewanie ciszę laboratorium przerwało jego gwizdanie. Bardzo fałszując, próbował gwizdać melodię *The Spínig of Shillelagh*.

Wesoło pogwizdując, Brambell zabrał się szybko do dalszej pracy i wkrótce złożył na stole cały szkielet. Osobno ułożył guziki, fragmenty ubrania i buty. Oczywiście, but był tylko jeden; najwyraźniej ludzie Glinna, którzy wybierali szczątki z ziemi, zapomnieli o drugim. Niechluje, westchnął. Brakowało także prawego obojczyka, fragmentu kości biodrowej, lewej kości promieniowej i nadgarstków... Ułożył w myślach listę brakujących kości. Przynajmniej miał czaszkę, chociaż w kilku kawałkach.

Nachylił się niżej nad czaszką. Także ona była porysowana siatką drobnych pęknięć. Brzegi oczodołów były bardzo duże, szczęka również duża i mocna; niewątpliwie miał do czynienia z mężczyzną. Ze stanu uzębienia wywnioskował, że w chwili śmierci mężczyzna był w wieku trzydziestu pięciu, może czterdziestu lat. Był niski, nie wyższy niż pięć stóp i siedem cali, lecz masywnie zbudowany, o rozwiniętych mięśniach. Bez wątplenia nie pracował za biurkiem. Wnioski te pasowały do profilu geologa planetarnego, Nestora Masangkaya, który doktor wcześniej otrzymał od Glinna.

Wiele zębów zostało ułamanych przy korzeniach. Wyglądało na to, że biedny człowiek konał w takich konwulsjach, iż połamał sobie niemal wszystkie zęby, a nawet uszkodził szczękę.

Wciąż pogwizdując, Brambell zaczął oglądać pozostałe fragmenty szkieletu. Dosłownie każda kość, którą można było złamać, nosiła ślady złamania. Nie potrafił sobie wyobrazić, co mogło spowodować aż tak wielkie uszkodzenia szkieletu. Bez wątplenia coś uderzyło człowieka od przodu, i to równocześnie w całe ciało, od stóp po głowę. Doktor przypomniał sobie nieszczęsnego skoczka spadochronowego, którego autopsję przeprowadzał

na uczelni. Chłopak źle złożył spadochron i z wysokości trzech tysięcy stóp jak kamień spadł na betonowy parking.

Nagle Brambell wstrzymał oddech, a skoczna melodyjka zamarła mu na ustach. Pęknięcia kości zajmowały go dotąd tak mocno, że zapomniał o innych cechach szkieletu, które powinien zbadać. Jednak gdy przystąpił do dalszej pracy, zauważył, że paliczki dosiebne łuszczą się i kurczą. Był to dowód na to, że człowiek został przed śmiercią poddany działaniu wysokiej temperatury, być może się palił. W szkielecie brakowało niemal wszystkich kości palców rąk i nóg. Zapewne całkowicie spłonęły. Doktor pochylił się ponownie nad czaszką. Miejsca, w których wyłamane były zęby, także nosiły ślady ognia.

Wyprostował się i ogarnął spojrzeniem cały szkielet. Cóż, nieboszczyk nosił ślady ciężkich poparzeń, jego kości były słabe i w wielu miejscach ukruszone. Doktor znowu pochylił się i wciągnął nosem powietrze. Aha! Teraz nawet poczuł jakby lekki swąd. Wziął do ręki sprzączkę do paska, znaną przy zmarłym. Przecież ona się stopiła! A jedyny znaleziony but wcale nie był zgnity, ale również spalony. Podobnie jak fragmenty ubrania. Cholera, Glinn ani słowem nie wspomniał nic o żadnym ogniu, a przecież musiał o nim wiedzieć.

Brambell wyprostował się i zakołysał na piętach. Niemal z żalem przyjął oczywisty wniosek: w śmierci tego Masangkaya nie ma żadnej tajemnicy. Już wiedział, w jaki sposób zginął poszukiwacz meteorytów.

W słabo oświetlonym laboratorium znów rozbrzmiała melodia *The Spínógof Shillelagh*. Doktor szybko poskładał szczątki do pudła, po czym starannie je zamknął. Wreszcie mógł powrócić do kabiny, na swoją wygodną koję.

WYSPA DESOLACIÓN

Godz. 10.00

McFarlane stał przy zamrożonym oknie w centrum łączności i starał się ciepłą dłonią stopić trochę lodu na szybie. Nad Szczęką Hanuxy unosiły się ciężkie chmury, okrywając wyspy przylądka Horn ponurą szarą szarą. Za McFarlane'em Rochefort, bardziej spięty niż zazwyczaj, pracował na komputerze, zmagając się z jakimś skomplikowanym programem graficznym.

Ostatnie pół godziny upłynęło na gorączkowej aktywności. Naprędce sklecona wiata, która osłaniała meteoryt, została przesunięta na bok, a cały obszar wokół bryły został uprzątnięty, nawet ze śniegu, i teraz na białej powierzchni wyspy widniała kwadratowa ciemna szrama. Dookoła kręciły się całe zastępy robotników; każdy człowiek miał

wyznaczone konkretne zadanie do wykonania. Głośno skrzeczały krótkofalówki, gdyż większość ludzi porozumiewała się właśnie za ich pomocą.

Rozległ się głęboki, głośny gwizd. McFarlane poczuł, jak jego puls przyśpiesza.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi i do środka weszła Amira z szerokim uśmiechem. Zaraz za nią wkroczył Glinn. Zamknął drzwi i stanął za Rochefortem.

- Kolejność podnoszenia ustalona? - zapytał.

- Jeszcze sprawdzam.

Glinn przytknął do ust krótkofalówkę i odezwał się:

- Garza? Pięć minut do podniesienia. Niech pan monitoruje częstotliwość. - Opuścił urządzenie i popatrzył na Amirę, która siedziała przy konsoli i właśnie zakładała słuchawki. - Serwomechanizmy?

- Na linii - odparła.

- Co więc zobaczymy? - zapytał McFarlane.

Wyobrażał już sobie grad pytań, którymi zarzuci go Lloyd podczas następnej wideokonferencji.

- Nic - odparł Glinn. - Unosimy go tylko sześć centymetrów w górę. Trochę może popękać ziemia nad meteorytem. - Skinął na Rocheforta. - Ustaw moc podnośników na sześćdziesiąt ton.

Rochefort nacisnął kilka klawiszy na klawiaturze komputera.

- Podnośniki skoordynowane. Wykluczam możliwość poślizgów.

Nastąpiła słaba, niemal niewyczuwalna wibracja gruntu. Glinn i Rochefort pochylili się przy ekranie, wpatrując się w przesuwane się po nim dane. Obaj wydawali się zupełnie spokojni i skoncentrowani. Rochefort co chwilę pisał coś na komputerze, następnie czytał informacje z monitora i znowu pisał. Można było odnieść wrażenie, że wszystko przebiega rutynowo. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy meteorytów szukał McFarlane, kopiąc przy świetle księżycy w ziemi należącej do jakiegoś szejka, z duszą na ramieniu, i starając się jak najciszej posługiwać łopatą.

- Proszę zwiększyć moc podnośników do siedemdziesięciu ton - polecił Glinn.

- Wykonałem.

Zapadła cisza i długie, nużące oczekiwanie.

- Cholera - mruknął Rochefort. - Nie odbieram żadnego ruchu. Nic.

- Zwiększ do osiemdziesięciu.

Rochefort przebiegł palcami po klawiaturze. Znowu nastąpiła chwila ciszy, po czym główny inżynier potrząsnął głową.

- Rachel? - rzucił Glinn.

- Z serwomechanizmami nic złego się nie dzieje. Znowu zapadła cisza, tym razem znacznie dłuższa.

- Powinniśmy zaobserwować ruch przy siedemdziesięciu sześciu tonach na podnośnik.

- Glinn moment odczekał, po czym odezwał się ponownie: - Zwiększ do stu.

Rocheftort znowu popracował na klawiaturze. McFarlane popatrzył na dwie twarze, odbite w blasku monitora Rocheftorta. Niespodziewanie napięcie w pomieszczeniu ogromnie wzrosło.

- Nic? - zapytał Glinn. W jego głosie było już wyraźnie słyszalne zatroskanie.

- Wciąż w miejscu. - Twarz Rocheftorta była teraz jeszcze bardziej spięta niż zwykle.

Glinn wyprostował się. Powoli podszedł do okna. Jego palce zaskrzypiały na szybie, kiedy próbował zetrzeć lód z jej fragmentu.

Minuty wlokły się bardzo powoli. Tymczasem Rocheftort tkwił przy komputerze, a Amira monitorowała serwomechanizmy. Nagle Glinn odwrócił się.

- No, dobrze. Opuścimy podnośniki, sprawdzimy ich rozstawienie i spróbujemy jeszcze raz.

Nagle centrum łączności ogarnął jakiś dziwny, ledwo wyczuwalny dźwięk. Określenie jego źródła było niemożliwe, pojawił się znikąd. McFarlane poczuł, że cierpie mu skóra.

Rocheftort natychmiast skupił się na monitorze.

- Tąpnięcie w sektorze szóstym - stwierdził, szybko stukając palcami w klawiaturę.

Dźwięk ustał.

- Do diabła, co to było? - zapytał McFarlane. Glinn potrząsnął głową.

- Wygląda na to, że podnieśliśmy meteoryt o jakiś milimetr w sektorze szóstym, ale potem zaraz opadł, ustawiając podnośnik w punkcie wyjścia.

- Kolejny ruch - powiedział niespodziewanie Rocheftort, z lekką nutą zaniepokojenia w głosie.

Glinn podszedł do niego i popatrzył na ekran.

- To działa asymetrycznie. Zmniejsz moc podnośników do dziewięćdziesięciu, szybko.

Rocheftort wykonał kilka ruchów na klawiaturze i Glinn cofnął się ze zmarszczonym czołem.

- Co jest z sektorem szóstym?

- Odnoszę wrażenie, że podnośniki zablokowały się na stu tonach - odparł Rocheftort. - Nie chcę zmniejszyć mocy.

- Twoja ocena przyczyn?

- Myślę, że meteoryt przesunął się w kierunku tego sektora. Jeśli tak, to na te podnośniki spadł ogromny ciężar.

- Cała moc na zero.

Na McFarlanie cała ta scena sprawiała wrażenie surrealistycznej. Właściwie nic się nie działo, nie słyszał już żadnych dźwięków, ziemia drama tycznie nie drżała... Widział jedynie grupę spiętych, nerwowych ludzi i błyskające monitory.

RocheFORT przestał uderzać w klawisze.

- Cały sektor szósty jest zablokowany. Podnośniki musiały zamrznąć pod ciężarem meteorytu.

- Możemy wyzerować resztę?

- Jeśli to zrobię, położenie meteorytu może ulec destabilizacji.

- Destabilizacji - powtórzył McFarlane. - Chodzi ci o przechylenie?

Wzrok Glinna na chwilę powędrował ku niemu, po czym powrócił na ekran monitora.

- Su gestie, RocheFORT? - zapytał chłodno.

Inżynier wyprostował się, polizał koniec swojego palca wskazującego i przytknął go do prawego kciuka.

- Myślę, że trzeba postąpić następująco: pozostawimy podnośniki w takim stanie, w jakim się teraz znajdują. Niech pozostaną w aktualnej pozycji. Z kolei wypuścimy płyny hydraulicznymi zaworami bezpieczeństwa w całym sektorze szóstym. Odmrozimy system.

- Jak?

RocheFORT odpowiedział dopiero po chwili:

- Ręcznie.

Glinn podniósł do ust radiotelefon.

- Garza?

- Zgłaszam się.

- Słyszysz to wszystko?

- Tak, potwierdzam.

- Twoja opinia?

- Całkowicie zgadzam się z Gene'em. Zapewne mocno nie doszacowaliśmy wagi tego kamyczka.

Glinn przeniósł spojrzenie szarych oczu na RocheFORTa.

- A kto, twoim zdaniem, powinien to zrobić?

- Nie poproszę o to nikogo. Muszę to zrobić sam. Gdy wykonam tę robotę, meteoryt powróci na swoją ustabilizowaną pozycję, w której spoczywał przez lata, a my założymy dodatkowe podnośniki i zaczniemy próbę od nowa.

- Będziesz potrzebował kogoś do pomocy - dobiegł głos Garzy z radia. - I tym kimś będę ja.

- Nie pozwolę sobie na wysłanie mojego głównego inżyniera i głównego konstruktora pod tę skałę - zaproponował Glinn. - Rochefort, proszę przeanalizować ryzyko.

Rochefort szybko wykonał jakieś obliczenia na kalkulatorze kieszonkowym.

- Podnośniki powinny wytrzymać maksymalny nacisk przez szesnaście godzin.

- A jakie są marginesy ryzyka? Rochefort wykonał kolejną serię obliczeń.

- Oczywiście, mogą wytrzymać krócej. Jednak szansa, że jakaś awaria nastąpi w ciągu najbliższych trzydziestu minut, wynosi mniej niż jeden procent.

- To można zaakceptować - stwierdził Glinn. - Rochefort, wybierz kogoś z załogi, żeby odbył tę misję z tobą. - Popatrzył na kieszonkowy zegarek. - Od tej chwili masz trzydzieści minut, ani sekundy dłużej. Życzę szczęścia.

Rochefort wstał i popatrzył na blade twarze wszystkich zgromadzonych w centrum.

- O ile pamiętam, my nie wierzymy w szczęście - odpowiedział. - Ale mimo to bardzo dziękuję.

WYSPA DESOLACIÓN

Godz. 10.24

Rochefort otworzył drzwi do byle jak skleconej wiaty i odrzucił na bok obciążniki przytrzymujące płachtę, która zagradzała wejście do tunelu. Tunel oświetlony był jasnym światłem fluorescencyjnym. Rochefort złapał za ramy drabiny i zaczął schodzić po niej w dół. Do paska miał przypięty palmtop i krótkofalówkę. Za nim szedł Evans, nucąc fałszywie pod nosem *Muskrat Ramble*.

Głównym uczuciem, jakie opanowało Rocheforta, było zakłopotanie. Odnosił wrażenie, że na krótki marsz do wiaty z centrum łączności stracił całą wieczność. Mimo że w pobliżu nie było teraz nikogo, niemal czuł na plecach tysiące oczu wpatrujących się w niego niewątpliwie z wyrzutem.

Jak wynikało z obliczeń Rocheforta, założono pięćdziesiąt procent więcej podnośników, niż było to konieczne. Tak zakładały reguły działań EES i taki też w tym wypadku główny inżynier przyjął margines bezpieczeństwa. A jednak okazało się, że to za mało, że popełnił błąd. Powinien był zastosować stuprocentowy margines. Wszystko przez to zniecierpliwienie na twarzach Lloyda i Glinna. Dlatego Rochefort zaproponował sto i

pięćdziesiąt procent, a Glinn tego nie zakwestionował. To prawda, że nikt mu nie wypominał błędu, nie usłyszał nawet żadnej aluzji. Ale nie zmieniało to jednak faktu, że się pomylił. Rochefort zaś nie znosił się mylić.

Dotarłszy na dno, szybko ruszył tunelem, instynktownie opuszczając głowę pod rządami świateł fluorescencyjnych. Po oddechach robotników, którzy jeszcze niedawno tutaj pracowali, pozostały lodowe kryształki skrzące się teraz na kratownicach i podporach. Evans, podążający za Rochefortem jak cień, strącał je na ziemię palcami, cicho przy tym pogwizdując.

Rochefort był upokorzony, a nie zmartwiony. Wiedział, że nawet jeśli podnośniki w sektorze szóstym popsuły się - minimalna możliwość - nie powinno być nastąpić nic innego, jak tylko powrót meteorytu na poprzednie miejsce. Osiadł na nim nie wiadomo ile milionów lat temu, a ponadto siła masy i inercji wskazywały, że zachowa się właśnie w taki sposób. Zatem najgorszy scenariusz rozpoczętej operacji wskazywał, że zakończy się ona w punkcie wyjścia.

W punkcie wyjścia... Jego usta ułożyły się w twardej linii. Taka sytuacja oznaczałaby konieczność założenia większej liczby podnośników, a być może nawet wydrążenia dodatkowych tuneli. Rochefort stanowczo zalecał Glinnowi pozostawienie ludzi z Muzeum Lloyda w Stanach. Mówił, że cała ekspedycja powinna być wyłącznym działaniem EES. Że osobisty udział samego Lloyda w przedsięwzięciu powinien ograniczyć się jedynie do przejścia meteorytu i zapłacenia rachunku. Z jakiegoś niezrozumiałego dla innych powodu Glinn zgodził się codziennie informować Lloyda o wynikach prac. Takie postępowanie musiało przynieść opłakane skutki i przyniosło.

Tunel prowadził do sektora numer jeden, następnie skręcał w lewo pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Rochefort przeszedł głównym tunelem jeszcze jakieś czterdzieści stóp, po czym wszedł w jedno z bocznych rozgałęzień, które prowadziło łukiem w kierunku przeciwnej strony meteorytu. Zaszumiała krótkofalówka i wyciągnął ją z za paska.

- Zbliżam się do sektora szóstego - powiedział.

- Diagnozy określają, że należy odblokować wszystkie podnośniki w tym sektorze, z wyjątkiem czwartego i szóstego - usłyszał Glinna. - Oceniamy, że możesz wykonać zadanie w ciągu szesnastu minut.

Dwunastu, pomyślał Rochefort, jednak odpowiedział:

- Potwierdzam.

Boczny tunel skręcał dookoła meteorytu i rozdzielał się na trzy krótkie tunele dostępu. Rochefort wybrał środkowy z tych tuneli. Dojrzał przed sobą podnośniki sektora szóstego,

żółte na tle krwawo różowego meteorytu. Ustawione były w równej linii u kresu tunelu. Doszedłszy do nich, obejrzał całą piętnastkę. Zdawały się doskonale zabezpieczone, ich podstawy były mocno osadzone, a kable serwomechanizmów nienaruszone. Nic nie wskazywało na to, żeby ostatnio chociaż drgnęły. Aż trudno było uwierzyć, że pod setkami ton po prostu zamarzły.

Z westchnieniem irytacji ukucnął przy pierwszym podnośniku. Nad sobą miał półkulę meteorytu, tak gładką i regularną, jakby wykonała ją maszyna. Za nim stanął Evans, trzymając w ręce mały klucz do otwierania zaworów hydraulicznych.

- Wygląda, jakbyśmy stali pod wielką kulą do kręgli, co? - powiedział wesoło.

Rochefort odchrząknął i wskazał na zawór pierwszego podnośnika. Evans przyklęknął i zaczął bardzo ostrożnie go odkręcać.

- Nie bój się, nie pęknie - warknął Rochefort. - Ruszaj się, czeka ich na nas jeszcze dwanaście.

Evans wziął sobie do serca jego słowa i jednym ruchem wykonał dziewięćdziesięciostopniowy obrót. Posługując się małym młotkiem, Rochefort zręcznie odpukał instrukcję obsługi z tyłu podnośnika, odsłaniając panel bezpieczeństwa. Paliło się na nim czerwone światło, wskazując, że zawór hydrauliczny jest odblokowany i gotowy do otwarcia.

Po wykonaniu odpowiednich czynności przy pierwszym podnośniku Evans przy następnych wahał się już mniej i praca w tandemie szła im sprawnie. Opuścili podnośniki numer cztery i sześć. Przy ostatnim, o numerze piętnaście, zatrzymali się. Rochefort popatrzył na zegarek. Do tej pory stracili tylko osiem minut. Pozostało im teraz jedynie powrócić do każdego z podnośników i powypuszczać płyn hydrauliczny. Choć był on pod wielkim ciśnieniem, wewnętrzny regulator gwarantował, że jego wypływ będzie całkowicie spokojny, wręcz leniwy. Komputer w centrum łączności będzie zresztą czuwał nad tym procesem i jednocześnie kontrolował stan pozostałych podnośników. Sytuacja wróci do normy, a potem będzie trzeba jedynie zainstalować jeszcze więcej podnośników i ponowić próbę ruszenia meteorytu. Już Rochefort tym razem postara się, żeby nie było wpadki, i zabezpieczy operację nie w dwustu, a w trzystu procentach. Ale będzie potrzebny przynajmniej jeden dzień, żeby przewieźć podnośniki ze statku, ustawić na miejscach, podłączyć serwomechanizmy i wszystko posprawdzać. Niezbędne będą także nowe tunele... Potrząsnął głową. Powinien był od razu zaczynać z trzystu procentowym zabezpieczeniem.

- Dosyć tutaj gorąco - odezwał się Evans, ściągnawszy trochę do tyłu ciężki kaptur.

Rochefort nie odpowiedział. Gorąco i zimno miały dla niego równie małe znaczenie. Mężczyźni odwrócili się i ruszyli wzdłuż linii podnośników. Zatrzymywali się przed każdym z nich, unosząc klapy bezpieczeństwa i naciskając przyciski awaryjnego wypływu płynu hydraulicznego.

Kiedy byli w połowie pracy, Rochefort nagle przystanął, a zmusił go do tego dziwny dźwięk, jakby gdzieś w pobliżu przebiegała mysz.

Mimo że bardzo ważne było, aby wypuścić płyn ze wszystkich podnośników niemal równocześnie, odgłos był tak niezwykły, że Rochefort popatrzył wzdłuż rzędu podnośników, starając się zlokalizować jego źródło. Dźwięk zdawał się docierać gdzieś z przodu. Kiedy spojrział w tym kierunku, rozległ się znowu: jakby jakieś skrzypienie, jakby pełen wysiłku szept. Zmrużył oczy. Podnośnik numer jeden nie wyglądał dobrze. Robił wrażenie dziwnie skrzywionego.

Nie potrzebował czasu na myślenie.

- Zwiewamy! - krzyknął. - Natychmiast!

Poderwał się i biegiem ruszył przez tunel dostępu, Evans zaraz za nim. Wiedział już, że nacisk na podnośniki musi być dużo, ale to bardzo dużo większy, niż zakładali dotąd nawet w najbardziej pesymistycznych założeniach. Nie wiedział natomiast, czy wraz z Evansem zdoła stąd uciec.

Słyszał go za sobą, pochrząkującego podczas biegu. Zanim wybiegli z tunelu, pierwszy podnośnik poddał się z ogłuszającym trzaskiem, zaraz po nim pękł drugi, potem trzeci, i tak po kolei. Po piątym nastąpiła chwila ciszy, a później rozbrzmiała cała seria dźwięków, jakby ktoś strzelał z karabinu maszynowego; to pękała reszta. Rocheftora natychmiast otoczyły oślepiające strumienie płynu hydraulicznego. Rozpętał się hałas, przypominający odgłosy wielkiej maszyny do szycia; w tym momencie zaczęły się uginać wszystkie umocnienia tunelu. Rochefort biegł mimo to, popychany przez pędzący w tym samym kierunku płyn hydrauliczny, który wypływał pod tak wielkim ciśnieniem, że rozrywał mu ubranie i straszliwie parzył ciało. Kalkulował, że prawdopodobieństwo, iż przetrwa tę katastrofę, gwałtownie spada.

Wiedział, że prawdopodobieństwo wynosi dokładnie zero, kiedy z ogromnym łoskotem pochylił się ku niemu meteoryt: wielka masa czerwonego metalu, przesłaniająca wszystko inne, co jeszcze przed chwilą widział. W ostatnich chwilach życia miał przed oczyma jedynie lśniącą, niepowstrzymaną i bezlitosną czerwień.

„ROLVAAG”

Godz. 12.00

Kiedy McFarlane zjawił się w bibliotece „Rolvaaga”, zastał tam już grupę wyciszonych ludzi, którzy porozsiadali się na krzesłach i kanapach. W powietrzu wisiało niedowierzanie i szok. Garza, nieporuszony, wpatrywał się w ścianę okien, za którymi rozpościerał się widok na Kanał Franklina i wyspę Desolación. Amira siedziała w kącie z kolanami podciągniętymi pod brodę. Kapitan Britton i pierwszy oficer Howell rozmawiali przyciszonymi głosami. Na miejscu był nawet samotnik doktor Brambell. Uderzał palcami o oparcie fotela i co chwilę patrzył ze zniecierpliwieniem na zegarek. Z głównych graczy brakowało jedynie Glinna. Jednak zaledwie McFarlane usiadł, drzwi do biblioteki otworzyły się i szef EES wszedł do środka. Pod ramieniem trzymał cienką teczkę. John Puppup deptał mu po piętach. Jego uśmiech i sprężysty krok zdawały się zupełnie nie na miejscu w ponurej grupie. McFarlane’a nie zdziwił widok Indianina. Puppup przyzwyczał do tego, iż nie odstępował Glinna na krok, niczym wierny pies.

Kiedy Glinn stanął na środku biblioteki, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. McFarlane zastanawiał się, jak prezes EES przyjął ostatnie wydarzenia: zginęło przecież dwóch jego ludzi, w tym główny inżynier. Ale Glinn zdawał się taki jak zwykle: opanowany, chłodny, niewzruszony.

Powędrował wzrokiem po całej grupie.

- Gene Rochefort pracował w Effective Engineering Solutions od początku. Frank Evans był stosunkowo nowym pracownikiem, jednak jego śmierć jest dla nas nie mniejszą stratą. Ostatnie wydarzenia są tragedią dla wszystkich zgromadzonych w tym pomieszczeniu. Ale nie jest moim celem wychwalanie zmarłych pod niebiosa. Ani Gene, ani Frank by tego nie chcieli. Dokonałiśmy ważnego odkrycia, lecz okupiliśmy je wielkim kosztem. Meteoryt Desolación jest o wiele cięższy, niż ktokolwiek z nas przypuszczał. Staranne analizy zniszczonych podnośników oraz bardzo dokładne pomiary grawimetryczne pozwoliły nam na nowo i dokładniej określić masę meteorytu. Wynosi ona dwadzieścia pięć tysięcy ton.

Zaskoczony McFarlane znieruchomiał, usłyszawszy te słowa. W myślach dokonał szybkich obliczeń: wychodziło mu, że gęstość meteorytu wynosi około 190. Sto dziewięćdziesiąt razy więcej niż gęstość wody. Stopa sześcienna tego meteorytu ważyłaby... Boże, prawie sześć ton.

Ale dwóch ludzi nie żyło. Kolejnych dwóch ludzi, poprawił się McFarlane, myśląc o żalonych szczątkach swojego byłego partnera.

- Nasza polityka polega na podwójnym zabezpieczaniu sił i środków - kontynuował Glinn. - Zaplanowaliśmy wszystko tak, aby w dwójnasób odpowiadało wymogom, którym, według naszych oczekiwań, powinniśmy tutaj sprostać. Wydaliliśmy dwukrotnie więcej

pieniędzy, podwojone są nasze zasoby ludzkie, przygotowani też jesteśmy na poradzenie sobie z dwukrotnie większą wagą meteorytu niż ta, którą dotąd zakładaliśmy. To znaczy, że w praktyce jesteśmy w stanie wydobyć ten meteoryt. Chcę państwu jasno oznajmić, że dalej postępujemy zgodnie z planem. Nadal dysponujemy środkami, które pozwolą nam wydobyć meteoryt, przetransportować go na statek i umieścić w ładowni.

McFarlane odniósł wrażenie, że w chłodnym tonie Glinna słyszy coś niemal dziwnego w tej sytuacji: triumf.

- Chwileczkę - odezwał się głośno. - Dopiero co zginęło tragicznie dwóch mężczyzn.

Odpowiadamy...

- Ty za nic nie odpowiadasz, Sam - przerwał mu Glinn łagodnie.

- To my odpowiadamy za wszystko. I jesteśmy w pełni ubezpieczeni.

- Nie mam na myśli ubezpieczenia. Mówię o życiu dwóch ludzi. Dwóch ludzi, którzy zginęli, próbując poruszyć ten meteoryt.

- Podjęliśmy wszelkie dostępne środki ostrożności, jakie narzucał rozwój sytuacji. Prawdopodobieństwo niepowodzenia wynosiło mniej niż jeden procent. Nic nie jest wolne od ryzyka, jak sam niedawno stwierdziłeś. A jeśli chodzi o ofiary, prawdę mówiąc, nie przekraczają planu.

- Nie przekraczają planu? - McFarlane nie potrafił uwierzyć w to, co słyszy. Popatrzył na Amirę, następnie na Garze. Nie dostrzegł jednak w ich twarzach ani odrobiny tej wściekłości, którą sam odczuwał. - Do diabła, co to znaczy?

- W każdej skomplikowanej i dynamicznej sytuacji technicznej, niezależnie od tego, jak starannie zachowane zostaną wszelkie środki ostrożności, zdarzają się ofiary. Do tego etapu prac spodziewaliśmy się właśnie dwóch ofiar.

- Chryste, co za bezduszna kalkulacja!

- Wręcz przeciwnie. Kiedy projektowano most Złote Wrota w San Francisco, oceniono, że podczas prac montażowych stracą życie jakieś trzy dziesiątki ludzi. Ta ocena nie wynikała ani z zimnej krwi, ani z bezduszności. Była po prostu częścią procesu planowania. Bezdusznością jest natomiast narażanie ludzi na ryzyko bez jego skalkulowania. Rochefort i Evans znali zagrożenie i je zaakceptowali. - Mówiąc niemal całkowicie monotonnym głosem, Glinn patrzył McFarlane'owi prosto w oczy. - Zapewniam cię, Sam, że żałuję ich obu, bardziej niż ktokolwiek spośród tutaj zgromadzonych jest sobie w stanie wyobrazić. Jednak wynajęto mnie, żebym wydobył meteoryt, i mam zamiar to zrobić. Nie mogę sobie pozwolić na przedkładanie nad wszystko uczuć osobistych albo na pochopne osłabianie własnej determinacji.

Niespodziewanie odezwała się kapitan Britton. McFarlane zauważył w jej oczach błysk wściekłości.

- Proszę mi powiedzieć, panie Glinn, ile jeszcze ofiar pan zaplanował, zanim meteoryt z wyspy Desolación znajdzie się w miejscu przeznaczenia?

Na ułamek sekundy neutralny spokój jakby opuścił Glinna; najwyraźniej prezes EES nie spodziewał się ataku z tej akurat strony.

- Ani jednej, jeżeli tylko będę w stanie to osiągnąć - odrzekł jeszcze bardziej chłodnym tonem niż przed chwilą. - Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby zapobiec jakimkolwiek ranom, kontuzjom czy wypadkom śmiertelnym. A pani założenie, że w toku prac akceptuję pewną liczbę ofiar śmiertelnych, świadczy jedynie o pani ignorancji w dziedzinie dokonywania ocen ryzyka. Sedno sprawy wygląda następująco: niezależnie od tego, jak ostrożnie będziemy postępować, mogą zdarzyć się ofiary. To tak jak z lataniem. Mimo największych wysiłków wszystkich zainteresowanych samoloty się rozbijają. Można obliczyć prawdopodobieństwo zgonu każdego człowieka na pokładzie dla każdego konkretnego lotu. A mimo to ludzie latają. Decyzja o tym, żeby wsiąść na pokład samolotu, wcale nie oznacza akceptacji tragicznego zakończenia lotu. Czy wyraziłem się dość jasno?

Britton jeszcze przez chwilę patrzyła Glinnowi w oczy, jednak nie powiedziała już ani słowa.

Niespodziewanie ton głosu Glinna stał się bardzo łagodny.

- Obawy państwa są szczerze i zrozumiałe. Bardzo wam za nie dziękuję. - Odwrócił się i jego głos znowu był twardy, władczy. - Tym niemniej, Sam, nie wydobędziemy tego meteorytu, stosując półśrodki - dodał, zwracając się do McFarlane'a.

Geolog zaczerwienił się.

- Po prostu nie chcę, żeby komukolwiek więcej stała się krzywda. Ja nie pracuję w taki sposób - odparował.

- Nie mogę ci tego obiecać - powiedział Glinn. - Spośród nas wszystkich, i nie tylko, ty wiesz najlepiej, z jak niezwykłym okazem mamy do czynienia. Nie jesteśmy w stanie przypisać mu wartości w dolarach i nie jesteśmy w stanie przypisać mu wartości w liczbie istnień ludzkich. Tym niemniej, jako przedstawicielowi Muzeum Lloyda, mogę zadać ci konkretne pytanie: czy muzeum nadal zależy na jego wydobyciu?

McFarlane rozejrzał się po bibliotece. Oczy zgromadzonych utkwione były w jego skromnej osobie. W ciszy, która nastąpiła, zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie zebrać w sobie koniecznej odwagi, aby odpowiedzieć na pytanie Glinna.

Po chwili Glinn krótko skinął głową.

- Wydobędziemy zwłoki. Zmarłych pochowamy jak bohaterów po powrocie do Nowego Jorku.

Z kolei odezwał się doktor Brambell. Odchrząknął i z płaczącym irlandzkim akcentem oznajmił:

- Obawiam się, panie Glinn, że do pochowania pozostaną tylko... cóż... dwa pudełka mokrego piasku.

Glinn posłał Brambellowi lodowate spojrzenie.

- Doktorze, czy chciałby pan dodać jeszcze coś istotnego? Brambell - ubrany w zielony kitel lekarski - założył nogę na nogę i splótł dłonie.

- Mogę powiedzieć, w jaki sposób umarł doktor Masangkay. Zapadła cisza jak makiem zasiał.

- Proszę, niech pan mówi - odezwał się wreszcie Glinn.

- Został zabity przez piorun.

McFarlane nie bardzo chciał w to uwierzyć. Jego dawny partner rażony piorunem w chwili, w której dokonywał najważniejszego odkrycia swojego życia? Brzmiało to jak zdarzenie ze złej powieści. Ale z perspektywy czasu miało sens. Fulguryty na miejscu śmierci Masangkaya wiele mówiły. A poza tym, w gruncie rzeczy, cały meteoryt był jednym wielkim magnezem dla wszelkich wyładowań.

- Dowody? - zapytał Glinn.

- Kości zmarłego ułożone były w sposób, który zasugerował mi zaistnienie wyładowania elektrycznego. Przez ciało zmarłego przeszedł potężny ładunek. Jego źródłem mógł być wyłącznie piorun. Poza tym, widzicie państwo, wyładowanie elektryczne nie tylko pali kości i błyskawicznie gotuje krew, powodując wybuchowe uwolnienie pary wodnej, ale wywołuje także nagłe wzajemne oddziaływania mięśni, które kruszą kości. W pewnych przypadkach atakuje ciało z taką siłą, jak - powiedzmy - uderzenie przez ciężarówkę. Ciało doktora Masangkaya dosłownie eksplodowało.

To ostatnie słowo doktor wypowiedział przeciągle, z naciskiem, akcentując każdą sylabę. McFarlane aż zadrżał.

- Dziękujemy, doktorze - odezwał się Glinn sucho. - Będę wdzięczny za dalsze pana analizy fauny i flory w osiemdziesięciu torebkach z próbkami ziemi, pobranej bezpośrednio przy meteorycie. Bezzwłocznie zostaną przekazane do laboratorium medycznego. - Otworzył papierową teczkę. - Skoro meteoryt skupia wyładowania elektryczne, jest to kolejny powód, aby działać jak najszybciej. Przed chwilą powiedziałem, że możemy nadal postępować zgodnie z planem. Do planu trzeba jednak wprowadzić kilka poprawek. Na przykład, jak

wiemy od niedawna, ciężar meteorytu jest tak wielki, że musimy przetransportować go z miejsca upadku do ładowni statku absolutnie najkrótszą drogą. A to znaczy, że wytyczymy trasę wprost przez pole śniegowe, nie zaś dookoła niego. Meteoryt można przesuwając wyłącznie w linii prostej, po zboczu o stałym nachyleniu. Nie będzie to łatwe, będzie oznaczało mnóstwo prac ziemnych, ale możemy taki efekt uzyskać. Ponadto pani kapitan Britton poinformowała mnie, że zmierza w naszym kierunku zimowy sztorm. Jeżeli pozostanie na dotychczasowym kursie, będziemy musieli atak tego sztormu wliczyć w nasze plany i kalkulacje. W pewnym sensie jest nam on na rękę, ponieważ będzie z dala od nas trzymał ewentualnych ciekawskich. - Glinn powstał. - Przygotuję listy do rodziny Gene'e Rocheforta i do wdowy po Franku Evansie. Gdyby ktokolwiek z państwa pragnął dołączyć do nich osobiste zapiski, proszę mi je wręczyć, zanim przycumujemy w porcie w Nowym Jorku. Teraz jeszcze jedna sprawa. - Popatrzył na McFarlane'a. - Powiedziałeś mi, że koezyty i impaktyty wokół meteorytu sformowały się trzydzieści dwa miliony lat temu.

- Tak - odparł McFarlane.

- Chciałbym, żebyś zebrał próbki odłamków bazaltowych i skał wulkanicznych, położonych za obozem, i także oznaczył ich wiek. Musimy wiedzieć znacznie więcej, niż w tej chwili na temat geologii tej wyspy. Czy druga seria testów meteorytu przyniosła jakieś świeże wnioski?

- Tylko świeże zagadki.

- W takim razie określenie geologii wyspy będzie twoim następnym zadaniem. - Glinn rozejrzał się po zgromadzonych. - Coś jeszcze, zanim wrócimy do pracy?

- Tak, szefie. - Z kąta biblioteki rozległ się piskliwy głos. Należał on do Puppupa zapomnianego do tej pory przez wszystkich.

Stary człowiek siedział na prostym krześle, z włosami w nieładzie. Unosił właśnie rękę do góry i wymachiwał nią jak uczeń.

- Słucham.

- Mówiliście, że zginęło dwóch ludzi.

Glinn nie zareagował. Uważna obserwacja doprowadziła McFarlane'a do spostrzeżenia, że Glinn - chociaż potrafił każdemu spojrzeć prosto w oczy - przez cały czas unikał spojrzenia starca.

- Mówiliście, że być może umrze więcej ludzi.

- Niczego takiego nie powiedziałem - odparł Glinn cierpko. - Skoro nikt nie ma nic więcej do dodania...

- Co się stanie, jeżeli umrą wszyscy? - zapytał Puppup zaskakująco głośno.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

- Cholerny obłąkaniec - mruknął Garza.

Puppup jedynie wskazał ręką za okno. Spojrzenia wszystkich zgromadzonych podążyły w tamtym kierunku.

Zaraz za skalistym zarysem wyspy Deceit, ciemna i ponura nawet na tle zachmurzonego nieba, rysowała się rosnąca w oczach sylwetka niszczyciela. Wszystkie jego działa wymierzone były w tankowiec.

„ROLVAAG”

Godz. 12.25

Glinn wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął z niej miniaturową lornetkę i popatrzył na okręt. W gruncie rzeczy spodziewał się po Vallenarze kolejnego ruchu; najwidoczniej właśnie miał z nim do czynienia. Britton zerwała się z kanapy i podbiegła do okna.

- Sprawia wrażenie, jakby chciał nas zetrzeć ogniem z powierzchni wody - powiedziała.

Glinn obejrzał najpierw maszty okrętu, a później jego czterocalowe działa. Opuścił lornetkę.

- To bluff - stwierdził.

- Skąd pan wie?

- Niech pani sprawdzi Slick 32. Britton popatrzyła na Howella.

- Slick 32 nie wykazuje na tamtym kierunku aktywnego radaru sterowania ogniem.

Z dziwnym wyrazem twarzy Britton spojrzała ponownie na Glinna. Ten wręczył jej lornetkę.

- Celuje w nas, ale nie ma zamiaru strzelać. Poza tym, niech pani spojrzy, radary do kontroli ognia nie obracają się.

- Też to zauważyłam. - Britton oddała mu lornetkę. - Proszę ustawić statek na skos, panie Howell.

- Manuelu - Glinn zwrócił się do Garzy - zechcesz na wszelki wypadek sprawdzić, czy nasz salon recepcyjny jest gotowy?

Schował lornetkę do kieszeni i popatrzył na Puppupa.

Metys znowu siedział na krześle i gładził się po długich, opadających włosach.

- Panie Puppup, będzie pan potrzebny na pokładzie. Zechce pan pójść ze mną, jeśli łaska.

Wyraz twarzy Puppupa nie zmienił się. Metys wstał i wyszedł za Glinnem na szeroki korytarz.

Nad zatoką wiał porywisty wiatr, budujący na wodzie tańczące bałwany. W powietrzu unosiły się drobiny lodu. Glinn ruszył przed siebie, a drobny stary człowiek, deptał w ślad za nim, dopóki nie dotarli do wielkiego zaokrąglenia burty na dziobie. Tutaj Glinn zatrzymał się i oparł o kołowrót windy kotwicznej, po czym zaczął wypatrywać odległego niszczyciela. Teraz, skoro Vallenar wykonał kolejny ruch, musiał przewidzieć jego następne posunięcia, co wcale nie było łatwe. Popatrzył ukradkiem na Puppupa. Jediną osobą na pokładzie, która mogła rzucić jakieś światło na Vallenara, był ten starzec, którego jednak rozumiał najmniej spośród wszystkich ludzi na statku. Nie był w stanie ani przewidywać, ani kontrolować zachowania Puppupa. A stary człowiek czasami chodził za nim jak cień. Okazywało się to nieco krępujące.

- Ma pan papierosa? - zapytał Puppup.

Glinn wyciągnął z kieszeni nową paczkę - marlboro, tutaj już niemal na wagę złota - i podał ją Puppupowi. Starzec rozerwał ją i sprawnie wystukał palcem jednego papierosa.

- Zapałki?

Glinn przypalił mu papierosa zapalniczką.

- Dziękuję, szefie. - Puppup głęboko się zaciągnął. - Trochę dzisiaj zimno, co?

- Tak, rzeczywiście. - Nastąpiła chwila ciszy. - Gdzie się pan nauczył angielskiego, panie Puppup?

- Chyba od misjonarzy. Jedyne nauki szkolne, jakie pobierałem w życiu, to właśnie od nich.

- Czy któryś z nich przypadkiem pochodził z Londynu?

- Obaj, proszę pana.

Glinn znowu zamilkł, a Puppup tymczasem palił. Nawet biorąc pod uwagę różnice kulturowe, trudno było przeniknąć jego umysł. W gruncie rzeczy Glinn jeszcze nigdy w życiu nie spotkał równie nieprzeniknionego osobnika.

- Ładny pierścionek - zaczął powoli, wskazując niby mimochodem na niewielki złoty pierścionek na małym palcu Metysa.

Puppup uniósł rękę z szerokim uśmiechem.

- Zgadza się. Czyste złoto, perła, dwa rubiny i w ogóle.

- Rozumiem, że to prezent od królowej Adelajdy?

Puppup zamarł, a papieros luźno zawisł w jego wargach. Metys szybko się jednak opanował.

- Ma pan rację.

- A co się stało z bonnetem królowej? Puppup popatrzył na niego z zaciekawieniem.

- Pochowany razem z nią.
- Czy Fuegia Basket była zatem pana prapraprababcią?
- W pewnym sensie. - Oczy Puppupa pozostały jakby zamglone.
- Pochodzi pan ze znamienitego rodu.

Wypowiadając te słowa, Glinn patrzył Puppupowi prosto w oczy. Kiedy tamten odwrócił wzrok, Glinn wiedział już, że jego słowa wywarły spodziewany efekt. Musiał jednak dalej postępować z wielką ostrożnością. Była to jedyna szansa, żeby John Puppup się przed nim otworzył.

- Pana żona umarła zapewne dawno temu. Puppup nadal milczał.
- Wietrzna ospa?

Puppup potrząsnął przecząco głową.

- Odra.
- Aha - mruknął Glinn. - Mój ojciec także umarł na odrę. - Akurat było to prawdą.

Puppup pokiwał głową.

- Mamę ze sobą jeszcze coś wspólnego - powiedział Glinn. Puppup popatrzył na niego z ukosa.

- Moim praprapradziakiem był kapitan Fitzroy. - Glinn rzucił to kłamstwo bardzo ostrożnie, nie poruszając oczyma.

Wzrok Puppupa uciekł do morza, Glinn dostrzegł jednak w jego spojrzeniu cień niepewności. Oczy zdradzały ludzi, zawsze, bez wyjątku. Chyba że, oczywiście, ktoś specjalnie uczył się kłamać.

- To dziwne, jak historia się powtarza - kontynuował. - Mam rycinę przedstawiającą pana prapraprababkę, kiedy jako mała dziewczynka spotkała królową. Wisi w moim salonie. - Dla Indianina Yaghan ustalanie powiązań rodzinnych było świętością, o ile Glinn przeczytał przed wyprawą właściwą literaturę etnograficzną.

Słuchając go, Puppup był coraz bardziej spięty.

- John, mogę jeszcze raz zobaczyć twój pierścionek?

Nie patrząc na niego, Puppup uniósł w górę brązową rękę. Glinn ujął ją łagodnie w swoją dłoń, lekko ją ściskając. Zauważył ten pierścień już za pierwszym razem, kiedy wynosił pijanego Puppupa z baru w Puerto Williams. Jego ludzie w Nowym Jorku poświęcili kilka dni, żeby sprawdzić, co to takiego i jakie jest pochodzenie tego przedmiotu.

- Przeznaczenie to dziwna rzecz, John. Mój praprapradziad, kapitan Fitzroy, z HMS „Beagle”, porwał twoją prapraprababkę, Fuegię Basket, i zabrał ją do Anglii na spotkanie z

królową. A teraz ja porwałem cię - dodał z uśmiechem. - Ironia, prawda? Tyle że ja nie zabiorę cię do Anglii. Wkrótce wrócisz do domu.

W tamtych czasach bardzo popularne było przewożenie tubylców z najodleglejszych zakątków Ziemi i pokazywanie ich na dworze królewskim. Fuegia Basket wróciła na Tierra del Fuego na pokładzie „Beagle’a” kilka lat później, z bonnetem i pierścieniem, który podarowała jej królowa. Jednym z pasażerów statku podczas tej podróży był pan Charles Darwin.

Mimo że Puppup na niego nie patrzył, Glinnowi nie było trudno się zorientować, iż mgła, przesłaniająca dotąd oczy Puppupa, stopniowo zanika.

- Co się stanie z pierścieniem? - zapytał starca.

- Pójdzie ze mną do grobu.

- A dzieci?

Glinn wiedział, że Puppup jest ostatnim przedstawicielem plemienia Yaghan, jednak chciał usłyszeć odpowiedź.

Puppup potrząsnął przecząco głową. Glinn z kolei skinął na niego, wciąż trzymając jego dłoń.

- Nikt po tobie nie zostanie?

- Kilkoro Metysów, ale ja jestem ostatnim, który mówi w naszym języku.

- Musisz być bardzo smutny.

- Istnieje pewna pradawna legenda Yaghan. Im jestem starszy, tym bardziej mi się wydaje, że opowiada o mnie.

- Co to za legenda?

- Kiedy na ostatniego Indianina Yaghan przyjdzie czas, żeby umrzeć, Hanuxa osobiście zakopie go w ziemi. A z jego kości powstanie nowa rasa.

Glinn puścił rękę Puppupa.

- A w jaki sposób Hanuxa zabierze ostatniego z Yaghan? Puppup potrząsnął głową.

- To tylko bezsensowny zabobon, prawda? Nie pamiętam szczegółów. Glinn go nie naciskał, w starcu bowiem znowu odzywał się dawny Puppup. Glinn nie wiedział, czy zdołał już na dobre dotrzeć do jego duszy.

- John, potrzebuję twojej pomocy, kiedy będę się zajmował kapitanem Emiliano Vallenarem. Jego obecność tutaj jest zagrożeniem dla naszej misji. Co mógłbyś mi o nim powiedzieć?

Puppup wytrząsnął z paczki kolejnego papierosa.

- Kapitan Emiliano przybył w te strony dwadzieścia pięć lat temu. Po puczu Pinocheta.

- Dlaczego?

- Jego ojciec podczas przesłuchania wyleciał z helikoptera. Człowiek prezydenta Allende. Tak jak i syn. Kapitan Emiliano został tutaj wysłany, żeby w razie czego był na wyciągnięcie ręki, ale nie za blisko.

Glinn pokiwał głową. To bardzo wiele wyjaśniało. Nie tylko jego podrzędną pozycję w marynarce chilijskiej, ale także nienawiść do Amerykanów.

- Dlaczego wciąż dowodzi niszczycielem?

- Chyba wie pewne rzeczy o pewnych ludziach, co? To dobry oficer. I jest bardzo uparty. I bardzo ostrożny.

- Rozumiem - powiedział Glinn, odnotowując kompletną kotłowanie w myślach Puppupa. - Czy powinienem wiedzieć o nim coś jeszcze? Jest żonaty?

Puppup oblizał ustnik nowego papierosa i wsunął go między wargi.

- Kapitan jest podwójnym mordercą. Glinn ukrył zaskoczenie, zapalając papierosa.

- Przywiózł swoją żonę do Puerto Williams. To jest złe miejsce dla kobiet. Nie ma tam co robić, nie ma żadnych tańców, zabaw. Podczas wojny o Falklandy kapitan został wysłany w długi rejs do Cieśniny Magellana, wiążąc argentyńskie okręty, które mogłyby walczyć przeciwko Brytyjczykom. Kiedy wrócił, dowiedział się, że jego żona ma kochankę. - Puppup zaciągnął się głęboko. - Kapitan był sprytny. Odczekał, aż zdołał nakryć ich razem. Poderżnął jej gardło. Jak słyszałem, mężczyźni zrobili coś znacznie gorszego. Ten człowiek wykrwawił się w drodze do szpitala w Punta Arenas.

- Dlaczego kapitan nie trafił do więzienia?

- Tutaj nie mówi się do rywala po prostu, żeby się odchrzanił. Chilijczycy mają bardzo głębokie poczucie honoru, prawda? - Puppup opowiadał powoli, wyraźnie, jakby o sprawach, które jego nie dotyczą. - Gdyby zabił ich oboje poza sypialnią, sprawy wyglądałyby inaczej. Ale... - Wzruszył ramionami. - Każdy rozumiał, dlaczego mężczyzna, który nakrył swoją żonę w takiej sytuacji, zrobił to, co zrobił. I jest jeszcze jeden powód, dla którego kapitan tak długo jest dowódcą.

- Jaki powód?

- Jest mężczyzną zdolnym do wszystkiego.

Glinn przerwał na chwilę rozmowę, patrząc poprzez kanał na niszczyciela. Stał tam bez ruchu, ciemny, groźny.

- Muszę cię zapytać jeszcze o jedno - powiedział do Puppupa, nie spuszczać wzroku z okrętu. - Ten handlarz w Punta Arenas, ten, któremu sprzedałeś sprzęt wędrowcy. Czy on cię zapamiętał? Czy będzie w stanie cię zidentyfikować, jeżeli ktoś go o to poprosi?

Puppup zdawał się przez chwilę zastanawiać.

- Trudno mi powiedzieć - odparł w końcu. - To był wielki sklep. No, ale w Punta Arenas nie ma innych Yaghan. Poza tym dość mocno się targowaliśmy.

- Rozumiem. Dziękuję ci, John. Bardzo mi pomogłeś.

- Nie ma o czym mówić, szefie. - Puppup zmierzył Glinna długim spojrzeniem. W jego oczach lśnił spryt i rozbawienie.

Glinn szybko myślał. Czasami dobrze jest natychmiast przyznać się okłamanemu do kłamstwa. Jeśli uczyni się to we właściwy sposób, takie wyznanie może zaowocować specyficzną nicią zaufania.

- Obawiam się, że nie byłem z tobą zupełnie szczery - rzekł do Puppupa. - Wiem bardzo wiele o kapitanie Fitzroyu. Ale, prawdę mówiąc, nie był moim przodkiem.

Puppup zarechotał nieprzyjemnie.

- Oczywiście, że nie. Fuegia Basket nie była też moją prapraprababcią.

Silniejszy podmuch wiatru targnął kołnierzem Glinna. Mężczyzna popatrzył z zaskoczeniem na Puppupa.

- Skąd więc masz ten pierścionek?

- Wielu nas, Yaghan, już umarło, a ostatni mnóstwo dziedziczy. Stąd dostałem bonnet i pierścionek, i właściwie wszystko inne - odparł Puppup. Jego wzrok peszył Glinna.

- I co się z tym stało?

- Większość sprzedałem. Miałem mnóstwo pieniędzy na picie.

Glinn, zaskoczony prostotą tej odpowiedzi, zdał sobie nagle sprawę, że nawet nie zaczął rozumieć ostatniego przedstawiciela plemienia Yaghan.

- Kiedy to wszystko się skończy - dodał stary człowiek - będzie pan musiał mnie zabrać ze sobą, dokądkolwiek się pan udaje. Ja nie mogę wrócić do domu.

- Dlaczego nie? - zdziwił się Glinn.

Ale w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że zna już odpowiedź.

„ROLVAAG”

Godz. 23.20

McFarlane szedł po niebieskim dywanie korytarzem, który prowadził z niższego pokładu mostka. Był krańcowo zmęczony, a jednak nie mógł spać. Jak na jeden dzień, wydarzyło się zbyt wiele: długa seria dziwnych odkryć, śmierć Rocheforta i Evansa, ponowne

pojawienie się niszczyciela. Zrezygnowawszy ze snu, zaczął niespokojnie i bez celu przemierzać pokłady „Rolvaaga” niczym zjawą.

Teraz zatrzymał się przy drzwiach sali recepcyjnej. Jego nogi, nieproszone, same zniosły go do kabiny Amiry. Z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że szuka jej towarzystwa. Jej cyniczny śmiech mógł być teraz takim ukojeniem, którego właśnie szukał. Czas, który spędzał z nią, był wspaniale wolny od głupich pogaduszek czy męczących wyjaśnień. Zaczął się zastanawiać, czy Amira zechce wypić z nim kawę w mesie oficerskiej albo czy zagra z nim partyjkę bilarda. Zapukał do drzwi.

- Rachel?

Nikt nie odpowiadał. Nie mogła jeszcze spać; twierdziła, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat nigdy nie poszła spać przed trzecią nad ranem.

Zapukał ponownie. Po chwili lekko nacisnął palcami na drzwi. Otworzyły się, ponieważ były tylko przymknięte.

- Rachel? To ja, Sam.

Wszedł do środka, kierując się zwyczajną ciekawością. Jak dotąd nie był w kabine Amiry. Zamiast bałaganu, porozrzucanych papierów, niedopalków i stert ubrań na krzesłach - czego się spodziewał - natrafił na dokładnie posprzątane wnętrze. Kanapa i krzesła były puste, a podręczniki naukowe starannie poustawiane na półkach. Przez moment nawet się zastanawiał, czy ona w ogóle tu mieszka, ale tę wątpliwość porzucił, kiedy dostrzegł na stoliku komputerowym łupiny od orzechów.

Uśmiechnął się ciepło, podchodząc do blatu. Spojrzał na monitor i już nie oderwał wzroku od ekranu. Zobaczył bowiem na nim własne nazwisko.

Dwustronicowy wydruk dokumentu leżał obok, na drukarce. McFarlane wziął do ręki pierwszą kartkę i zaczął czytać.

EES POUFNE

Od: R. Amira

Dla: E. Glinn

Obiekt: S. McFarlane

Od ostatniego raportu obiekt wykazuje wzrastające zainteresowanie meteorytem i jego tajemnicami. Projekt i sam Lloyd wciąż wywołują w nim zmieszane uczucia, ale - niemal wbrew własnej woli - bardzo mocno zaangażował się w rozwiązywanie zagadek meteorytu. Bardzo mało rozmawiam z nim o innych sprawach, nawet o tragedii, jaka zdarzyła się dziś

nad ranem. Mam pewność, że obiekt jest wobec mnie całkowicie szczery, jednak nie czuję się najlepiej, próbując uzyskać od niego jakiegokolwiek wyznania.

Po znalezieniu meteorytu podjęłam rozmowę o wcześniejszej teorii McFarlane'a na temat istnienia meteorytów międzygalaktycznych. Początkowo rozmawiał o tym niechętnie, ale wkrótce z entuzjazmem wyjaśniał mi, że jego teoria doskonale pasuje do meteorytu z Desolación. Jednak czuł, że konieczne jest zachowanie w tej sprawie pewnej tajemnicy, i prosił mnie, żebym nikomu nic nie mówiła o jego teorii ani podejrzeniach. Jak Ci zapewne wiadomo z porannej dyskusji, jego wiara w pozagalaktyczne pochodzenie meteorytu Desolación co najmniej wzrasta.

McFarlane usłyszał, jak za jego plecami zatrząskują się drzwi i jak ktoś głośno wciąga powietrze w płuca. Odwrócił się. Ujrzał Amirę stojącą na środku kabiny i odwróconą tyłem do drzwi. Wciąż była ubrana tak, jak podczas kolacji, w czarną suknię do kolan, lecz z jej ramion zwisała kurtka, którą miała na sobie, kiedy wypływała na wyspę. Teraz po prostu potrzebna była jej na drogę do kantyny i z powrotem. Właśnie wyciągała z kieszeni dopiero co kupioną paczkę orzeszków. Popatrzyła na McFarlane'a, potem na kartkę, którą trzymał w rękach, i zamarła.

Przez chwilę po prostu przyglądali się sobie. Paczka orzeszków powoli, jakby z własnej inicjatywy, wpadła z powrotem do kieszeni kurtki.

McFarlane czuł, jak błyskawicznie ogarnia go poczucie beznadziejności. Po ostatnich trudnych przeżyciach nie był już w stanie wykrzesać z siebie żadnej nowej emocji.

- Cóż - odezwał się wreszcie. - Wygląda na to, że na tym statku nie jestem jedynym Judaszem.

Amira popatrzyła mu w oczy. Była bardzo blada.

- Czy włamywanie się do cudzych pokoi i czytanie prywatnych dokumentów to twój stały zwyczaj?

McFarlane posłał jej zimny uśmiech. Z nonszalancją rzucił kartkę na biurko.

- Przykro mi, ale twoja praca zawiera błędy. Nie pisze się „zmieszane uczucia”, lecz „mieszane uczucia”. Eli raczej nie postawi ci za to szóstki. - Zrobił krok w kierunku drzwi, mimo że Amira wciąż zagradzała mu drogę. - Odsuń się.

Amira zawahała się, wbiła wzrok w ziemię, ale go nie posłuchała.

- Poczekaj - rzekła.

- Powiedziałem, odsuń się. Ruchem głowy wskazała drukarkę.

- Odsunę się dopiero wtedy, kiedy przeczytasz resztę. McFarlane'a ogarnęła nagła złość i uniósł rękę, żeby odsunąć Amirę.

Zaraz jednak nad sobą zapanował.

- To, co przeczytałem, już mi wystarczy, dzięki. A teraz zejź mi z drogi, do diabła.

- Przeczytaj do końca. Potem będziesz mógł pójść.

Amira zamrużyła oczami, oblizwała usta, ale się nie poruszyła. Znowu popatrzyła mu prosto w oczy.

McFarlane wytrzymał jej spojrzenie przez minutę, może dwie. Wreszcie odwrócił się, sięgnął po resztę raportu i znów zaczął czytać.

W sumie się z nim zgadzam. Dowód na to, że meteoryt pochodzi spoza naszego Systemu Słonecznego, jest mocny, a wręcz niezbity. Teoria Sama została właściwie potwierdzona. Co więcej, nie znajduję w nim objawów obsesji ani w ogóle niczego, co mogłoby stanowić zagrożenie dla ekspedycji. Wręcz przeciwnie: meteoryt jakby znowu obudził w nim naukowca. Widzę w nim coraz mniej sarkazmu, rezerwy i wyrachowania, tak bardzo wyraźnych na początku. Cechy te stopniowo zastępuje nienasycona ciekawość i przemożne dążenie do zrozumienia tajemnicy tej dziwacznej skaty.

Niniejszy raport jest moim trzecim i ostatnim na jego temat. Sumienie nie pozwala mi na ich systematyczne kontynuowanie. Jeśli wyczuję jakieś konkretne problemy, jako lojalny pracownik EES poinformuję o nich bezzwłocznie. Jest bezspornym faktem, że meteoryt okazał się obiektem znacznie bardziej skomplikowanym, niż ktokolwiek spośród nas przewidywał. Być może niesie w sobie niebezpieczeństwo dla nas wszystkich. W tej sytuacji nie mogę obserwować McFarlane'a i jednocześnie efektywnie z nim współpracować. Prosiłem mnie, abym pełniła funkcję asystentki Sama. Od tej pory planuję tak właśnie zrobić - dla jego dobra, dla mojego dobra i dla dobra naszej misji.

McFarlane wysunął krzesło spod biurka komputerowego i usiadł na nim niemal bezwiednie. Papier zaszeleścił w jego dłoni. Mężczyzna poczuł, że złość całkowicie go opuszcza i pozostaje w nim jedynie mieszanina zaskoczenia oraz zaciekawienia.

Przez długi czas i on, i Amira milczeli. McFarlane słyszał odległy szum wody i ciche pomrukiwanie silników. Wreszcie popatrzył na Amirę.

- To Eli kazał mi pisać raporty na twój temat - wyjaśniła. - Przecież dostałeś się tutaj jako protegowany Lloyda, a nie jego. Jesteś człowiekiem z niezbyt jasną przeszłością. A dodatkowo podczas pierwszego z nim spotkania przez całą tę historię z kanapką zyskałeś opinię człowieka trochę nieprzewidywalnego. A ludzie nieprzewidywalni wprawiają go w

zdenerwowanie. Wydał mi więc polecenie, żebym miała na ciebie oko. I żebym pisała regularne raporty.

McFarlane obserwował ją w milczeniu.

- Od początku mi się to nie spodobało. Chociaż ucieszyłam się, że będę twoją asystentką. Wiedziałam, że trudno mi będzie pisać te raporty dla Glinna, nie miałam jednak pojęcia, że aż tak trudno. Za każdym razem, kiedy siadałam do pisania, czułam się jak szmata.
- Ciężko westchnęła. - Te kilka ostatnich dni... Sama nie wiem. - Potrząsnęła głową. - A potem musiałam usiąść do tego... Wtedy zdałam sobie sprawę, że nie mogę już więcej tego pisać. Nawet dla niego.

Nagle umilkła. Wbiła spojrzenie w dywan. Mimo wysiłków nie była w stanie powstrzymać lekkiego drżenia ust. Po jej policzku pociekła samotna łza. McFarlane szybko podniósł się z krzesła i podszedł do niej. Otarł jej łzę. Ujął jej dłonie i położył je na swojej szyi, a potem na moment przycisnął do niej także jej twarz.

- Och, Sam - wyszeptwała. - Tak mi przykro.

- Już dobrze, nie przejmuj się.

Na jej policzku pojawiła się druga łza. McFarlane chciał zetrzeć i ją, ale Amira mu nie pozwoliła. Przybliżyła twarz do jego twarzy i po chwili spotkały się ich usta.

Cicho łkając, mocno przyciągnęła go do siebie. McFarlane pociągnął ją na sofę. Poczuł na sobie jej piersi, poczuł jej łydki ocierające się o jego uda. Przez moment się wahał, ale kiedy poczuł, jak pieszczą go jej delikatne dłonie, jak dziewczyna z całej siły obejmuje go udami, poddał się pożądaniu. Wsunął dłonie pod jej sukienkę i podciągnął do góry, odsłaniając jej nogi. Błądził rękami po plecach Amiry, jednocześnie namiętnie ją całując.

- Och, Sam - powiedziała po raz drugi.

WYSPA DESOLACIÓN

19 lipca, godz. 11.30

McFarlane zmierzył wzrokiem rozpościerające się przed nim pionowe wieże czarnej lawy. Ogromne kły wywierały z bliska jeszcze większe wrażenie. Pod względem geologicznym były klasycznymi czapami wulkanicznymi - pozostałościami po bliźniaczych wulkanach, których zbocza uległy erozji i które przeobraziły się w dwa głębokie gardła, wypełnione bazaltem.

Odwrócił głowę i popatrzył za siebie ponad ramieniem. Kilka mil za nim i znacznie poniżej miejsca, gdzie ekspedycja rozbiła obóz, teren urozmaicony był małymi czarnymi punkcikami na białym tle i wąskimi tasiemkami dróg przecinających wyspę. Wkrótce po śmierci Rocheforta i Evansa prace przy meteorycie wznowiono ze zwiększoną energią.

Kierownictwo objęli Garza i drugi inżynier, Stonecipher, pozbawiony poczucia humoru mężczyzna, który wraz z obowiązkami Rocheforta odziedziczył jakby także jego osobowość.

Rachel Amira podeszła do McFarlane'a. W jej oddechu unosiły się obłoki pary wodnej. Popatrzyła na szczyty i zmarszczyła czoło.

- Jak daleko musimy jeszcze iść? - zapytała.

- Chcę dotrzeć do tego ciemniejszego pasa, mniej więcej w połowie drogi. Są to prawdopodobnie pozostałości ostatniej erupcji. Dzięki nim będziemy mogli określić wiek wulkanu.

- Jasne - powiedziała Amira, energicznie potrząsając sprzętem wspinaczkowym. Bez wątplenia chciała pokazać McFarlane'owi, że kontynuowanie ciężkiej wyprawy nie stanowi dla niej problemu.

Od samego początku wspinaczki była w doskonałym nastroju. Mówiła niewiele, jednak przez cały czas głośno pogwizdywała lub nuciła pod nosem jakieś wesołe melodyjki. Z drugiej strony McFarlane był niespokojny i niecierpliwy.

Zbadał wzrokiem wszystkie możliwe trasy, usilnie szukając przeszkód, nawisów, luźnych skał. Wreszcie znowu ruszył do przodu. Jego buty śniegowe mocno zagłębiały się w świeżym białym puchu. Oboje z Amirą poruszali się bardzo powoli, ostrożnie wbijając czekany w nierówno wznoszące się zbocze. W pewnym momencie McFarlane zatrzymał się przed wielką skałą wynurzającą się ze śniegu. Dwukrotnie uderzył w nią młotkiem i dwa odlupane fragmenty wsunął do woreczka z próbkami, po czym szybko zapisał krótką notatkę.

- Bawisz się skałkami - zauważyła Rachel. - Jak chłopiec.

- Właśnie dlatego zostałem geologiem planetarnym.

- Założę się, że jako dziecko miałeś wielki zbiór kamyków.

- Właściwie nie. A ty co kolekcjonowałaś? Lalki Barbie? Rachel parsknęła śmiechem.

- Miałam raczej eklektyczną kolekcję. Ptasię gniazda, skóry węży, zasuszone tarantule, kości, motyle, skorpiony, martwą sowę, a także wszelkie dziwaczne ofiary samochodów, rozjechane na drogach. I inne tego typu rzeczy.

- Zasuszone tarantule?

- Tak. Dorastałam w Portal, w Arizonie, u stóp gór Chiricahua. Jesienią na drogi wylegały wielkie tarantule płci męskiej, szukając partnerek. Zebrałam ich chyba ze trzydzieści i przypinałam na desce. Któregoś dnia całą kolekcję pożarł mój cholerny pies. Wstrętna suka.

- I co, zdechła?

- Niestety, nie. Wszystko wyrzygała na łóżko mojej mamy. W środku nocy. Było bardzo zabawnie. - Rachel zachichotała na to wspomnienie.

Zatrzymali się. Zbocze było coraz bardziej strome. Bezustannie wiejący wiatr sprawiał, że na warstwie twardego śniegu znajdowała się cienka, bezustannie przemieszczająca się sypka powłoka.

- Dajmy sobie spokój z butami śniegowymi - powiedział McFarlane.

Mimo że temperatura utrzymywała się znacznie poniżej zera, czuł się tak zgrzany, że rozpiął zamek błyskawiczny swojej kurtki.

- Musimy kierować się na przełęcz pomiędzy dwoma szczytami - wyjaśnił. Przymocował do butów raki i znowu ruszył. - Właściwie jakie ofiary samochodów?

- Głównie gady.

- Gady?

- Gady i płazy.

- Dlaczego?

Rachel uśmiechnęła się.

- Ponieważ były interesujące. Suche, płaskie, łatwe do opisania i przechowywania. Miałam kilka naprawdę rzadkich okazów.

- Założę się, że twoja mama była nimi zachwycona.

- Nic o nich nie wiedziała.

Oboje zamilkli. Ich oddechy pozostawiały za nimi obłoki pary. W ciągu kilku minut dotarli do przełęczy i wtedy McFarlane zatrzymał się na kolejny odpoczynek.

- Trzy tygodnie na tym cholernym statku zupełnie pozbawiły mnie kondycji - wystękał.

- Ale w nocy byłeś w doskonałej formie. - Na twarzy Rachel wykwitł szeroki uśmiech. Nagle jednak zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

McFarlane nie zareagował. Rachel była świetną partnerką i czuł, że obecnie może jej w pełni ufać, mimo podwójnej roli, jaką do niedawna spełniała. Wydarzenia poprzedniej nocy niespodziewanie skomplikowały ich wzajemne relacje. A tego typu komplikacje były ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął.

Odpoczywali przez kilka minut, popijając wodę z jednej manierki. Daleko na zachodzie McFarlane dostrzegł na horyzoncie fragment ciemniejszego nieba - zwiastun nieuchronnie zbliżającej się burzy.

- Wydajesz mi się zupełnie inna niż reszta ludzi Glinna - odezwał się. - Właściwie dlaczego?

- Bo jestem inna. I to nie przypadek. Wszyscy w EES, wtaczając w to Glinna, są superostrożni. Potrzebował więc dodatkowo kogoś, kto byłby skłonny czasami podejmować ryzyko. A poza tym, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, jestem osobą niezwykle błyskotliwą.

- Zauważyłem - odparł McFarlane.

Wyciągnął z kieszeni dwa batony czekoladowe i jeden podał Rachel.

Przez chwilę w milczeniu jedli czekoladę. Wreszcie McFarlane zrolował zbędne opakowania w kulkę i rzucił ją za siebie. Następnie uważnym wzrokiem zmierzył rozciągające się przed nimi wzniesienie.

- Nie wygląda na zbyt bezpieczne - stwierdził. - Najpierw ja... Ale Rachel już ruszyła po twardym śniegu, nie czekając na niego. Im bliżej byli skały, tym nawierzchnia stoku stawała się coraz bardziej błękitna i coraz bardziej zmrózona. Było też coraz bardziej stromo.

- Spokojnie! - zawołał McFarlane i jednocześnie znowu obejrzał się za siebie.

Widok z góry na poszarpane wyspy przylądka Horn był imponujący. Daleko na horyzoncie można było dostrzec góry Fuegian. „Roolvag”, mimo swoich wielkich rozmiarów, wyglądał stąd na czarnych wodach jak dziecięca wanna do kąpiel. Widoczny był nawet niszczytel, w znacznej części zakryty jednak przez którąś z postrzępionych wysp. Na granicy widoczności McFarlane dostrzegał linię burzy, coraz mocniej pożerającej kryształicznie czyste niebo.

Spojrząwszy znów w przód, z zaskoczeniem odnotował, jak szybko Rachel pnie się do góry.

- Poczekaj! - zawołał, tym razem dość ostro.

- Maruder! - Dziewczyna najwyraźniej chciała się z nim drażnić. W tym samym momencie z góry potoczył się fragment skały, a po nim następny, który przeleciał tuż obok jego ucha. Z cichym chrzęstem spod buta Rachel usunął się fragment gruntu. Dziewczyna upadła na brzuch. Chwilowo była całkowicie bezradna, ponieważ nie miała żadnego punktu zaczepienia, dookoła nie widziała nic, czego mogłaby się złapać. Przerażona, machała w powietrzu rękami i nogami, aż wreszcie natrafiła dłonią na jakiś skalny odłamek i mocno ją na nim zacisnęła.

- Trzymaj się! - krzyknął McFarlane i ruszył w jej kierunku.

Po kilku sekundach znalazł się na szerokiej półce niemal u stóp dziewczyny. Teraz zaczął się posuwać powoli, bardzo ostrożnie, uważnie stawiając kroki na twardej powierzchni. Wreszcie dotarł do Rachel i złapał ją za przedramię.

- Mam cię - wysapał. - Chodź do mnie.

- Nie mogę - odparła przez zacisnięte zęby.

- Już jest wszystko dobrze, Rachel. Trzymam cię.

Dziewczyna cicho jęknęła i wreszcie poddała się McFarlane'owi. Poczul na sobie wagę jej ciała i pokierował nią tak, aby jej stopy trafiły na skalną półkę tuż pod nim. Wylądowała na niej i drżąc, opadła na kolana.

- Mój Boże - wyszeptała rozedrganym głosem. - O mały włos bym spadła. - Otoczyła McFarlane'a ramieniem.

- Na szczęście nic się nie stało. I właściwie nic strasznego ci nie groziło. Spadłabyś jedynie pięć stóp, w gęsty śnieg.

- Naprawdę? - Rachel popatrzyła w dół i zrobiła krzywą minę. - A ja odnosiłam wrażenie, że cała ta góra sprzysięgła się przeciwko mnie. Chciałam ci podziękować za ocalenie mi życia, ale chyba nic takiego się nie stało. I tak dziękuję.

Popatrzyła mu w oczy i szybko, krótko pocałowała go w policzek. Znów na niego spojrzała, po czym pocałowała go jeszcze raz. Ten pocałunek był długi i czuły. McFarlane wzbraniał się przed nim, cofnęła więc głowę i zmierzyła go uważnym spojrzeniem ciemnych oczu. McFarlane odwzajemnił spojrzenie i przez chwilę po prostu oboje się sobie przypatrywali. Byli teraz tylko we dwoje, a reszta świata rozpościerała się tysiąc stóp pod nimi.

- Wciąż mi nie ufasz, Sam, prawda? - spytała w końcu Rachel.

- Ufam ci.

Znów niemal przyłgnęła do niego, jednak w jej oczach widoczny był wyraz konsternacji.

- Więc o co chodzi? Masz kogoś innego? Może wodzisz oczyma za naszą elegancką panią kapitan? Nawet Eli, zdaje się... - Urwała gwałtownie i wbiła wzrok w ziemię.

McFarlane'owi cisnęło się do głowy przynajmniej pół tuzina odpowiedzi, lecz każda zdawała mu się zbyt błaha lub zbyt protekcyjna. Chcąc zyskać czas na zastanowienie, po prostu potrząsnął głową i z głupawym uśmiechem na ustach zaczął poprawiać ułożenie swojego plecaka.

- Jakies dwadzieścia stóp wyżej możemy znaleźć kolejne doskonałe próbki - powiedział.

Oczy Rachel wciąż były utkwione w ziemi.

- Idź po te swoje próbki. Ja tutaj poczekam.

Dotarcie na właściwe miejsce zajęło mu kilka minut. Wydłubał z powierzchni skały pięć fragmentów ciemniejszego bazaltu i po chwili wrócił do Rachel. Kiedy znalazł się obok niej, wyprostowała się i oboje w ciszy ruszyli z powrotem w kierunku przełęczy.

- Odpocznijmy - odezwał się w pewnej chwili McFarlane. Chciał, aby jego propozycja zabrzmiała jak najbardziej zdawkowo.

Nie odrywał wzroku od Rachel. Do końca ekspedycji oboje musieli ściśle współpracować i wszelkie nieporozumienia pomiędzy nimi były całkowicie niewskazane. Zaciśnął dłoń na jej łokciu i dziewczyna odwróciła się do niego. Popatrzyła wyczekująco.

- Rachel - powiedział. - Posłuchaj mnie. Ostatnia noc była wspaniała. I niech tak pozostanie. Przy najmniej na razie.

Na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie i złość.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że mamy trudną robotę do wykonania. Wspólnie. Wszystko to i tak jest bardzo skomplikowane, a sytuacja między nami... Nie kuśmy więc losu, dobrze?

Rachel zamrugała oczami, po czym pokiwała głową. Słabym, wymuszonym uśmiechem starała się zamaskować rozczarowanie, a nawet ból.

- Dobrze - zgodziła się i odwróciła głowę.

McFarlane otoczył ją ramieniem. Odniósł wrażenie, że obejmuje szeroką oponę, tak gruba była jej kurtka. Dłoń w rękawiczce wsunął pod brodę Rachel i uniósł jej głowę, żeby patrzyła mu w oczy.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Znowu skinęła głową.

- Nie pierwszy raz słyszę coś takiego - odrzekła. - Z każdym kolejnym razem jest łatwiej.

- Co to znaczy? Wzruszyła ramionami.

- Nic. Chyba zwyczajnie się do tego nie nadaję.

Stali naprzeciwko siebie, bardzo blisko, a wokół nich hulał wiatr. McFarlane popatrzył na kosmyk włosów, który wysunął się spod kaptura Rachel. I nagle, jakby pod wpływem impulsu, zadał jej pytanie, które cisnęło mu się na usta od pierwszej nocy na statku.

- Czy pomiędzy tobą a Glinem kiedykolwiek coś było?

Zerknęła na niego, po czym odsunęła się. Przez moment była jakby czujna, napięta, wręcz wroga. Ale zaraz westchnęła ciężko i zniknęło całe jej napięcie.

- Do diabła, właściwie dlaczego nie miałabym ci powiedzieć? Tak, to prawda. Kiedyś Eli i ja mieliśmy romans. Właściwie taki mały, sympatyczny romansik. To było... To było bardzo miłe.

Na jej ustach pojawił się uśmiech, który jednak szybko znikł. Odwróciła się i usiadła na śniegu, z nogami wyciągniętymi do przodu, wpatrując się w śnieżną dal.

McFarlane usiadł obok niej.

- Co się stało?

Zerknęła na niego przez ramię.

- Naprawdę muszę o tym opowiadać? Eli to rozpieprzył. - Uśmiechnęła się zimno. - I wiesz, co ci powiem? Do tego momentu wszystko toczyło się wspaniale. Nie działo się nic złego. Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa. - Urwała na chwilę. - Przypuszczam, że to właśnie nie dawało mu spokoju. Nie mógł znieść myśli, że to nie będzie trwało w nieskończoność, że nie zawsze będzie tak wspaniale, bo przecież nic nie trwa wiecznie. No i pewnego dnia zakończył nasz związek. Tak po prostu. Nie mógł dopuścić do jego naturalnego końca, porażki, bo przecież Eli Glinn nie jest mężczyzną akceptującym porażki. - Roześmiała się bez cienia wesołości.

- Jednak pod pewnymi względami wciąż jesteście do siebie podobni - zauważył McFarlane. - Podobnie myślicie. Na przykład wczoraj w bibliotece. Wyobrażałem sobie, miałem nadzieję, że się chociaż odezwiesz... Chodzi mi o śmierć Rocheforta i Evansa. Ale cóż, milczałaś. Czy to znaczy, że ty również ich śmierć traktujesz... że uważasz ją za usprawiedliwioną?

- Proszę cię, Sam. Żadna śmierć nigdy nie jest usprawiedliwiona. Ale straty w ludziach zdarzały się niemal podczas realizacji każdego projektu, nad którym pracowałam w EES. Taka jest natura tej działalności.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu, nie patrząc na siebie. Wreszcie Rachel zerwała się na nogi.

- Chodź - powiedziała cicho, otrzepując się ze śniegu. - Kto wróci ostatni do laboratorium, myje wszystkie próbówki, zgoda?

„ALMIRANTE RAMIREZ”

Godz. 14-45

Kapitan Emiliano Vallenar stał na otwartym mostku niszczyciela i wpatrywał się w tankowiec przez wojskową lornetkę. Powoli, uważnie jego wzrok wędrował od rufy, przez główny pokład, po całej sylwetce wielkiej jednostki, aż skoncentrował się na dziobie. Jak zawsze, kapitan był w stanie wyciągnąć z tego badania trafne wnioski. Oglądał tankowiec już tyle razy i tak dokładnie, że znał niemal każdą plamę rdzy na jego kadłubie, pamiętał każdy żurawik, każdą plamę po oleju. Pewne rzeczy wydawały mu się mocno podejrzanym. Na przykład anteny, schowane bardzo nisko i sprawiające wrażenie, jakby były częścią jakiegoś elektronicznego systemu obserwacyjnego i pomiarowego. Poza tym każda z wysokich anten, mimo lichego wyglądu, sprawiała wrażenie, jakby przeznaczona była do penetracji przestrzeni powietrznej.

Opuścił lornetkę, po czym dłonią w rękawiczce sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął list, który otrzymał od geologa z Valparaiso.

Szanowny Panie!

Fragment skaty, który zechciał mi pan uprzejmie dostarczyć, jest okazem cokolwiek nietypowo porysowanego kwarcu - dokładnie dwutlenku krzemu - z mikroskopijnymi naleciałościami skalenia, rogowca i miki. Z przykrością jednak muszę pana poinformować, że nie ma on właściwie żadnej wartości, zarówno handlowej, jak i znaczenia dla osób kolekcjonujących minerały. Odpowiadając na pańskie szczegółowe pytania, informuję, że nie nosi on śladów złota, srebra ani żadnych innych wartościowych rud, minerałów czy związków chemicznych. Pragnę także zapewnić, że tego typu skał nie znajduje się w związku z występowaniem pokładów ropy naftowej, gazu ani innych węglowodorów o jakimkolwiek znaczeniu dla przemysłu i handlu.

Raz jeszcze pragnę podkreślić, że niniejszą informację przekazuję panu z prawdziwą przykrością, gdyż zdaję sobie sprawę, iż nie będzie ona stanowiła dla pana zachęty do podążania śladami górniczych zainteresowań pańskich przodków.

Valienar przesunął kciukiem po pieczęci wodnej, wytłoczonej w papierze w górnej części listu. Po chwili z wielkim niesmakiem zrolował list w kulkę i wsunął ją do kieszeni. Cała ta analiza nie była warta nawet papieru, na którym została zapisana.

Jeszcze raz uniósł lornetkę do oczu i skierował ją na zagraniczny statek. Właściwie nie powinna tutaj kotwiczyć żadna jednostka, a co dopiero kolos o takich rozmiarach jak „Rolvaag”. Pomiedzy wyspami Horn znajdowało się tylko jedno kotwiczowisko, Surgidero Otter, po drugiej stronie wyspy Wollaston. W Kanale Franklina dno zupełnie nie nadawało się do zarzucania kotwic, z wyjątkiem pewnego miejsca, nie oznaczonego na mapach, które odkrył on sam, Valienar. Prądy były tutaj bardzo silne i tylko kompletny ignorant mógł się powążyć na rzucanie tu kotwicy.

A jednak ten statek, chociaż zakotwiczony w zupełnie nieodpowiednim miejscu, stał tu już od wielu dni, kołyszący się na falach i smagany przez wiatr. Początkowo Valienar był tym autentycznie zaskoczony. Odnosił wrażenie, że tankowcowi pomagają jakieś siły nadprzyrodzone. Lecz w końcu wypatrzył na wodzie nieregularne wiry za rufą statku i zdał sobie sprawę, że pracują jego silniki pomocnicze. I to pracują bez chwili przerwy. Ich moc ulegała samoczynnym zmianom w taki sposób, że przez cały czas utrzymywały statek w

jednej pozycji, niezależnie od kapryśnych prądów w kanale. Czasami tylko obracały statek, dostosowując jego położenie do zmieniających się kierunków fal.

A to mogło oznaczać wyłącznie jedno: kotwicę wyrzucono do wody jedynie na pokaz. Statek był wyposażony w dynamiczny system nawigacyjny, wymagający łączności z satelitą i potężnego komputera, współpracującego z silnikami. Odpowiednio zaprogramowany, system utrzymywał niezmiennie położenie statku na powierzchni globu ziemskiego. Jednostka wyposażona była więc w najnowocześniejsze i najnowsze rozwiązania techniczne. Valienar czytał już o nich, ale nigdy czegoś takiego nie widział.

Żaden okręt w marynarce chilijskiej nie posiadał systemu DPS. Zainstalowany nawet na małej jednostce, byłby niezwykle kosztowny i pożerałby niewyobrażalne ilości paliwa. A oto, proszę bardzo, coś takiego znajdowało się na rzekomo lichym, porzewanym tankowcu, przerobionym na masowiec.

Kapitan ciężko westchnął i powoli przesunął soczewkami lornetki od statku w kierunku znajdującej się za nim górzystej wyspy. Popatrzył na magazyn sprzętu na brzegu oraz na drogę prowadzącą w kierunku kopalni odkrywkowej. Tam, gdzie zdążył już popracować ciężki sprzęt, na zboczu wzgórze widniała wielka ciemna szrama. Lecz i ona była jedynie zręcznym oszustwem. Nigdzie nie można było dostrzec dysz hydraulicznych ani śluz, które by wskazywały, że robotnicy próbują wypłukiwać z ziemi jakiegokolwiek minerały. Poza tym wokół miejsca, gdzie toczyły się rzekome prace, panował wzorowy porządek. W gruncie rzeczy był to porządek nienaturalny. Vallenar dorastał wśród górników szukających złota na północy kraju i doskonale wiedział, że są oni największymi bałaganiarzami na świecie.

Kapitan był już absolutnie przekonany, że Amerykanie wcale nie szukają złota. A każdy głupiec sam mógł zobaczyć, że nie szukają także rud żelaza. Być może próbowali dokopać się do diamentów - wiele na to wskazywało - ale w takim razie po co przywlekli tu ze sobą aż tak wielki statek? Cała ich operacja, od początku do końca, z daleka cuchnęła wielkim fałszem.

Zaczął rozmyślać, czy ich prace mają jakiś związek z legendami krążącymi na temat wyspy, starymi opowieściami Indian Yaghan. Jak przez mgłę przypominał sobie *borracho*, Juana Puppupa, opowiadającego jedną z legend któregoś wieczoru w barze: to było coś o rozłuszczonym bogu i jego synu, bratobójcy. Postanowił, że kiedy tylko dorwie tego Metysa, dopilnuje, żeby mu wszystko wyśpiewał, nawet jeśli będzie to ostatnia czynność, jaką stary wykona w swoim ziemskim życiu.

Usłyszał zbliżające się kroki i po chwili przy jego boku stanął oficer wachtowy.

- Kapitanie - powiedział oficer, zsalutowawszy. - Maszynownia melduje, że silniki są gotowe.

- Doskonale. Kurs zero dziewięć zero. I bardzo proszę, niech pan przyśle do mnie pana Timmera.

Oficer zsalutował jeszcze raz, po czym odwrócił się i zszedł z mostka. Vallenar skrzywił się, patrząc, jak marynarz schodzi w dół po metalowych schodkach. Pomyślał o nowych rozkazach, które otrzymał tego ranka. Jak zwykle nakazywano mu kontynuować bezsensowne patrole na zupełnie nie uczęszczanych wodach.

Sprawną ręką sięgnął do kieszeni płaszcza i dotknął kawałka skały, który powrócił do niego razem z listem. Kamień był niewiele większy od śliwki. Mimo wszystko Vallenar był przekonany, że właśnie w nim tkwi sekret Amerykanów. Ich sprzęt do badań i worki skał, które zebrali, z pewnością przyniosły im odpowiedzi na pytania, które sobie postawili. A musiało im chodzić o coś bardzo ważnego, skoro wydali niewyobrażalne pieniądze i przywieźli na te zapomniane i opuszczone ziemie mnóstwo nowoczesnych urządzeń.

Vallenar mocno zacisnął dłoń na kamieniu. Był zdecydowany dowiedzieć się tego samego, co wiedzą Amerykanie. Skoro nie mógł mu pomóc durny geolog z uniwersytetu, musiał znaleźć kogoś mądrzejszego. Wiedział, że najlepsi geolodzy na świecie mieszkają w Australii. Dlatego postanowił swoją skałę wysłać jak najszybciej właśnie do Australii. Tam z pewnością rozwiążą jej zagadkę. A wtedy Vallenar będzie już wiedział, o co chodzi Amerykanom. I będzie wiedział, jak zareagować.

- Panie kapitanie! - Jego myśli zakłócił głos Timmera.

Vallenar popatrzył ponad ramieniem na kręłą postać nowo przybyłego, jego niebieskie oczy, wypłowiałe włosy i nienagannie wyprasowany mundur. Marynarz stał czujny, w pozycji na baczność, gotowy wypełnić każde życzenie dowódcy. Oficer łącznościowy Timmer wyróżniał się dyscypliną nawet wśród bardzo zdyscyplinowanej załogi Vallenara. Jego matka przybyła do Chile z Niemiec w 1945 roku. Była piękną, zmysłową kobietą o nienaganych manierach. Wychowała Timmera starannie, w wielkiej dyscyplinie, czasami uciekając się nawet do bicia ukochanego syna.

- Spocznij - powiedział Vallenar łagodnie. Zdyscyplinowany Timmer tylko nieznacznie zmienił postawę.

Vallenar splótł dłonie za plecami i popatrzył w dal, na nieskazitelnie błękitne niebo.

- Popłyniemy na wschód - odezwał się. - Ale wrócimy tutaj już jutro. Zapowiada się fatalna pogoda.

- Tak jest, panie kapitanie. - Timmer patrzył prosto przed siebie.

- Także jutro otrzyma pan ode mnie ważne zdanie. Będzie się ono wiązało z pewnym ryzykiem.

- Wykonam każdy pana rozkaz, kapitanie. Vallenar uśmiechnął się.

- Nie wątpię w to ani przez moment. - W jego głosie można było usłyszeć wyraźny odcień dumy.

„ROLVAAG”

Godz. 14.50

McFarlane zatrzymał się na progu zewnętrznych drzwi, prowadzących do części szpitalnej „Rolvaaga”. Zawsze strasznie się bał gabinetów lekarskich, szpitali i w ogóle wszelkich miejsc, które mu przypominały o ludzkiej śmiertelności. Poczekalnia lekarska na „Rolvaagu” pozbawiona była nawet tego fałszywego poczucia spokoju, jakim zazwyczaj emanują podobne miejsca. Nie było tu ani kolorowych magazynów z kartkami o pozadzieranych rogach, ani kiepskich reprodukcji Normana Rockwella na ścianach. Jediną dekorację stanowił wielki medyczny plakat, ukazujący - w pełnej gamie kolorów - różne choroby skóry. Pomieszczenie tak mocno śmierdziało alkoholem do nacierania skóry, że McFarlane zaczynał odnosić wrażenie, iż stary dziwaczny doktor używa go do czyszczenia dywanu.

Jeszcze przez chwilę się wahał; mimo wszystko czuł się trochę głupio. Zaraz pomyślał, że ta sprawa przecież może poczekać. A jednak wziął głęboki oddech, szybkim krokiem przeszedł przez poczekalnię i wstąpił do długiego holu. Zatrzymał się przy ostatnich drzwiach, po czym zapukał.

W gabinecie znajdowali się lekarz i kapitan Britton. Cicho rozmawiali, pochyleni nad jakimś wykresem czy tablicą, która leżała na biurku pomiędzy nimi. Ujrzawszy McFarlane’a, Brambell wyprostował się i, jakby od niechcienia, złożył papier na pół.

- O, doktor McFarlane! - zawołał.

Jego głos zdradził, że wizyta McFarlane’a wcale nie jest dla niego niespodzianką. Patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

To może poczekać, znowu pomyślał McFarlane. Było już jednak za późno. I lekarz, i kapitan Britton patrzyli na niego wyczekująco.

- Obrażenia Masangkaya - powiedział głośno. - To, co stało się z jego ciałem. Był moim partnerem i przyjacielem. Skoro skończył pan badania, może pan zdradzić ich wyniki, prawda? Poza tym same zwłoki nie są już panu potrzebne.

Brambell nadal się w niego wpatrywał. W jego wzroku nie było ludzkiego współczucia, lecz tylko kliniczne zainteresowanie.

- Nie natrafiłem na nic wartościowego - odparł.

McFarlane oparł się o futrynę i czekał, nie chcąc zdradzać swych uczuć uważnemu lekarzowi. Po chwili Brambell westchnął.

- Rzeczywiście, sfotografowałem zwłoki ze wszystkich stron. Nie muszę ich już przetrzymywać. A teraz konkretnie, czy pan jest zainteresowany?

- Niech mi pan tylko powie, kiedy będę mógł zabrać szczątki. - McFarlane oderwał się od futryny, skinął głową kapitan Britton i odwrócił się, aby wyjść z gabinetu.

Kiedy znalazł się za progiem, usłyszał za sobą szybkie kroki.

- Doktorze McFarlane. - To była kapitan Britton. - Pójdę z panem na górę.

- Nie miałem zamiaru przerywać pani spotkania z lekarzem - powiedział McFarlane, wychodząc na korytarz.

- I tak muszę już iść na mostek. Spodziewam się aktualnych informacji na temat nadchodzącej burzy.

Ruszyli szerokim korytarzem. Półmrok oświetlało tu jedynie słabe światło, docierające z zewnątrz przez okrągłe iluminatory.

- Przykro mi z powodu pana przyjaciela, Masangkaya, doktorze McFarlane - odezwała się Britton niespodziewanie miłym, przyjaznym głosem.

McFarlane popatrzył na nią uważnie.

- Dzięki. - Oczy kobiety błyszczały nawet w półmroku korytarza. Pomyślał, że kapitan zechce porozmawiać na temat Masangkaya, jednak ona milczała. Zupełnie niespodziewanie wyczuł w niej przyjazną duszę. - Proszę mi mówić po imieniu, Sam - powiedział.

- Dobrze, Sam.

Wstąpili na schody prowadzące na główny pokład.

- Pospacerujmy przez chwilę razem po pokładzie - zaproponowała Britton.

Zaskoczony McFarlane ruszył posłusznie za nią. Coś w jej sposobie bycia, sposobie poruszania się, przypominało mu byłą żonę, Malou. Na rufę statku padły blade promienie światła słonecznego. Wody kanału lśniły bogatym, głębokim błękitem.

Britton minęła lądowisko dla helikopterów i oparła się o barierkę, wystawiając twarz w kierunku słońca.

- Sam, mam pewien dylemat. Szczerze mówiąc, to wszystko, co słyszę o meteorycie, bardzo mi się nie podoba. Obawiam się, że będzie on dla statku poważnym zagrożeniem. Ludzie morza zawsze ufają przeczuciom. A poza tym również to - skinęła głową w kierunku niskiej, drobnej sylwetki chilijskiego niszczyciela, kotwiczącego poza wodami kanału - bardzo mi się nie podoba. Z drugiej strony, z tego, co mówi Glinn, nie powinnam mieć cienia

wątpliwości, że odniesiemy sukces. - Popatrzyła na McFarlane'a. - Rozumiesz ten paradoks? Nie mogę jednocześnie ufać Eli Glinnowi i swoim własnym przecuciom. Jeśli więc mam w związku z tym podjąć jakieś działania, powinnam zabrać się do tego natychmiast. Nie zamierzam przyjmować do ładowni mojego statku niczego, co może okazać się dla niego niebezpieczne.

W bładych promieniach słońca Britton wyglądała na znacznie starszą, niż była w rzeczywistości. McFarlane z zaskoczeniem pomyślał, że kobieta poważnie myśli o zrezygnowaniu z misji.

- Lloyd raczej nie będzie zadowolony, jeśli się teraz poddamy - powiedział.

- Lloyd nie jest dowódcą „Rolvaaga”. Rozmawiam z tobą, ponieważ jesteś na tym statku jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać o moich wątpliwościach, o zagrożeniach...

McFarlane znowu uważnie się jej przyjrzał.

- Jako kapitan - kontynuowała - nie mogę dzielić się wątpliwościami z moimi oficerami czy marynarzami. Oczywiście, nie mogę także rozmawiać o tym z personelem EES. Pozostajesz ty, ekspert, jeśli chodzi o meteoryty. Chcę wiedzieć, czy twoim zdaniem ten konkretny meteoryt nie zagrazi statkowi. Chcę znać twój punkt widzenia, a nie punkt widzenia Lloyda.

McFarlane przez krótką chwilę patrzył jej w oczy. Wreszcie skierował wzrok na wodę.

- Nie potrafię odpowiedzieć na takie pytanie. Oczywiście, meteoryt jest niebezpieczny, o czym przekonaliśmy się aż nadto. Ale czy rzeczywiście zagrazi statkowi? Nie wiem. Sądzę jednak, że na przerwanie ekspedycji jest już chyba zbyt późno, nawet gdybyśmy bardzo tego chcieli.

- Ale w bibliotece wypowiadałeś się na ten temat. Ujawniłeś swoje wątpliwości. Masz je, podobnie jak ja.

- Tak, mam ogromne wątpliwości. Ale to nie takie proste. Ten meteoryt jest wielką zagadką w skali całego wszechświata. Myślę, że jego znaczenia w pełni jeszcze nie ogarniamy, jednak jest ono tak wielkie, że nie mamy już żadnego wyboru. Po prostu musimy kontynuować to, co zaczęliśmy. Gdyby Magellan trzeźwo przemyślał całe ryzyko, jakie podejmuje, nigdy by nie rozpoczął wyprawy dookoła świata. A Kolumb nigdy by nie odkrył Ameryki.

Britton przez chwilę w milczeniu zastanawiała się nad jego słowami.

- Uważasz, że odkrycie tego meteorytu można porównywać z wyczynami Magellana i Kolumba?

- Tak - odparł McFarlane zdecydowanym głosem. - Tak uważam.
- W bibliotece Glinn zadał ci pytanie. Nie odpowiedziałeś na nie.
- Nie mogłem.
- Dlaczego?

McFarlane odwrócił się i popatrzył w jej ciemnozielone oczy.

- Ponieważ zdałem sobie sprawę, mimo śmierci Rocheforta, mimo wszystkich innych przeciwności i zagrożeń, że zależy mi na wydobyciu tego meteorytu. Że nigdy w życiu na niczym tak mi nie zależało.

Britton ciężko westchnęła.

- Dziękuję, Sam - powiedziała.

Wyprostowała się, obróciła na pięcie i odeszła na mostek.

WYSPA DESOLACIÓN

20 lipca, godz. 14.05

McFarlane i Rachel stali na skraju obszaru robót, w blasku ostatnich zimnych promieni popołudniowego słońca. Na wschodzie widzieli czyste i jasne niebo, a kontury krajobrazu w mroźnym powietrzu były wręcz boleśnie ostre. Po stronie zachodniej było jednak zupełnie inaczej: nad linią horyzontu rozpościerała się szeroka, gruba warstwa skłębionych chmur, zmierzająca dokładnie w ich kierunku; sunęła tak nisko, że ginęły w niej szczyty gór. Z ziemi u ich stóp wiatr unosił tumany starego śniegu. Burza nie była już jedynie sygnałem akustycznym i ostrzeżeniem na ekranie radaru. Jej zapowiedź mieli niemal nad głowami. Podszedł do nich Garza.

- Nigdy nie sądziłem, że widok nadchodzącej burzy tak mnie ucieszy - odezwał się z uśmiechem, wskazując na zachód.

- Jakie są najbliższe plany? - zapytał McFarlane.

- Kopać i zakrywać, stąd do brzegu - odrzekł Garza i mrugnął okiem.

- Kopać i zakrywać?

- Chodzi o błyskawiczne wykonanie tunelu. Tę technikę stosowano już w Babilonie. Drażymy kanał, posługując się koparką hydrauliczną, przykrywamy go stalowymi płytami i sypimy na nie ziemię oraz śnieg. W miarę, jak będziemy przesuwać meteoryt w kierunku brzegu, niepotrzebne części tunelu będziemy zasypywali, jednocześnie drażąc go dalej na drodze meteorytu.

Rachel wskazała ruchem głowy na koparkę hydrauliczną.

- Przy tej zabawce koparki parowe wyglądają jak niepotrzebny szmelc z minionej epoki.

McFarlane powrócił myślami do wydarzeń ostatnich dwóch dni, od chwili gdy meteoryt zmiądzzył Rocheforta i Evansa. Tunele wokół niego oczyszczono i wzmocniono, a także podwojono liczbę podnośników. Wtedy meteoryt został podniesiony bez większych problemów, umieszczono pod nim łożysko i usunięto zbędną ziemię. Ze statku przetransportowano gigantyczny płaski stalowy wózek i umieszczono tuż obok. Teraz nadchodził czas, aby przeciągnąć meteoryt z łożyska na wózek. Z zachowania Garzy można było wywnioskować, że jego ludziom nie sprawi to żadnej trudności.

Inżynier znowu się uśmiechnął. Kiedy miał dobić nastrój, był bardzo gadatliwy.

- Jesteście gotowi, by podziwiać, jak przenosimy najcięższy przedmiot, kiedykolwiek poruszany przez człowieka?

- Jasne - odparł McFarlane.

- Pierwszym krokiem będzie umieszczenie go na wózku. W tym celu musimy meteoryt najpierw odkryć. Dlatego tak mnie cieszy zbliżająca się burza. Dzięki niej ci cholerni Chilijczycy z okrętu gówno zobaczą.

Garza cofnął się i powiedział coś do krótkofalówki. Stonecipher, zajmujący stanowisko kilkanaście kroków dalej, wykonał jakiś gest w kierunku operatora żurawia. Po chwili McFarlane mógł obserwować, jak operator zdejmuje znad dołu, w którym znajdował się meteoryt, stalowe zadaszanie i układa ciężkie płyty na jedną stertę obok wykopu. Wiatr wzmagął się stopniowo, ze świstem uderzając w kontenery i wzbijając w powietrze sypki śnieg. Ostatnia metalowa płyta zawisała w powietrzu, jednak pod wpływem wiatru zaczęła tak mocno się kołysać, że operator przez długą chwilę nie był w stanie ułożyć jej na właściwym miejscu.

- W lewo, w lewo! - krzyczał Stonecipher do krótkofalówki. - Teraz w dół, w dół...
Dobra, gotowe.

Po kilkunastu sekundach, pełnych napięcia, także ta ostatnia płyta spoczęła bezpiecznie na stercie innych. McFarlane spojrzał w odsłonięty otwór.

Po raz pierwszy zobaczył meteoryt w całej okazałości. Leżał w łożysku niczym krwawoczerwone asymetryczne jajko, wśród drewnianych rusztowań, kabli i metalowych wsporników. Widok ten zapierał dech w piersiach. Wpatrując się w meteoryt, McFarlane dopiero po dłuższym czasie zorientował się, że Rachel coś mówi.

- No i proszę! - wołała do Garzy. - Coś wspaniałego!

Słowo „wspaniały” wypowiedała właściwie przy każdej okazji, określając nim niemal wszystko i wszystkich - techników, naukowców czy robotników. Teraz członkowie ekipy przerwali pracę, stanęli nad wykopem i jak zaczarowani wpatrywali się w meteoryt.

McFarlane z pewnym wysiłkiem oderwał wzrok od fascynującego obiektu i popatrzył na Rachel. W jej oczach znowu pojawiły się iskierki zadowolenia, wręcz radości, czyli coś, czego w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin bardzo w nich brakowało.

- Jest przepiękny - powiedział.

Skierował spojrzenie na odkryty tunel, długi już na sto stóp, i na wózek, na którym miano przetransportować wielki kamień. I tunel, i wózek sprawiały imponujące wrażenie. Mimo że nie mógł ich dostrzec, wiedział, że pod wózkiem znajdują się ciężkie i mocne koła z wielkiego samolotu pasażerskiego. Aby bezpiecznie przetransportować meteoryt, na trzydziestu sześciu osiach umieszczono po czterdzieści kół.

W tunelu przebywał Glinn, wykrzykując do robotników polecenia, które były ledwie słyszalne wśród świstu i wycia wiatru. Front burzowy przechodził bezpośrednio nad terenem prac. Ciemne chmury zgasiły ostatnie promienie słońca. Zobaczywszy McFarlane'a, Glinn wyszedł z tunelu i podszedł do niego.

- Czy druga seria testów przyniosła jakieś rezultaty, Sam? - zapytał.

Przez cały czas obserwował robotników pracujących w tunelu. McFarlane pokiwał głową.

- Tak, i to na kilku frontach - odrzekł i umilkł.

Czekał, aż Glinn zada mu kolejne pytanie. Nie zamierzał się odzywać, dopóki ono nie padnie, co przynosiło mu drobną satysfakcję. Źle się czuł bezustannie przez Glinna obserwowany i sprawdzany. Postanowił jednak, że nie będzie na tę nieufność reagować, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Glinn skłonił głowę, jakby chciał wyraźniej słyszeć słowa McFarlane'a.

- Rozumiem. Czy mógłbyś nam to szerzej przedstawić?

- Oczywiście. Znamy już temperaturę topnienia meteorytu. A raczej temperaturę parowania, ponieważ zmienia on stan skupienia ze stałego od razu w gazowy.

Glinn z zainteresowaniem uniósł brwi.

- Ta temperatura to jeden milion dwieście tysięcy kelwinów.

Zdawało się, że Glinn na chwilę zaniemówił.

- Dobry Boże - wyszeptał.

- Poczyniliśmy także postępy w badaniach jego struktury krystalicznej. Jest niezwykle skomplikowana i układa się w asymetryczny fraktalny wzór, zbudowany z trójkątów izokomórek, zachodzących jeden w drugi. Te wzory powtarzają się w różnych skalach, od makroskopijnych aż po pojedyncze atomy. Mamy tu do czynienia z podręcznikowym

fraktalem, co wyjaśnia niezwykłą twardość meteorytu. Jest to też jeden pierwiastek, z pewnością nie żaden stop.

- Możesz coś powiedzieć o jego miejscu w tabeli okresowej?

- Jest bardzo wysoko, powyżej stu siedemdziesięciu siedmiu. To bez wątpienia pierwiastek superaktywny. Pojedyncze atomy wydają się wręcz gigantyczne, każdy zawiera setki protonów i neutronów. Z pewnością jest to pierwiastek z „wyspy stabilności”, o której rozmawialiśmy wcześniej.

- Coś jeszcze?

McFarlane wciągnął w płuca haust mroźnego powietrza.

- Tak. Coś bardzo interesującego. Rachel i ja określiliśmy wiek Szczęk Hanuxy. Erupcje wulkanu i wypływ lawy pochodzą niemal dokładnie z okresu, kiedy ten meteoryt spadł na wyspę.

Glinn popatrzył na niego uważnie.

- Twoje wnioski?

- Przez cały czas zakładaliśmy, że meteoryt spadł niedaleko wulkanu. Teraz jednak wygląda na to, że meteoryt po prostu utworzył wulkan.

Glinn czekał na dalszy ciąg.

- Był tak ciężki i gęsty i przemieszczał się tak szybko, że wbił się głęboko w skorupę ziemi niczym kula z pistoletu, natychmiast wywołując erupcję wulkanu. To z jego powodu wyspa Desolación, jedyna wśród wysp przylądka Horn, jest wyspą wulkaniczną. W swoim dzienniku Nestor napisał o „dziwnej koercji” całego regionu. Sprawdziłem ją więc za pomocą dyfraktora rentgenowskiego i stwierdziłem, że miał rację. Ona jest inna niż gdziekolwiek indziej, jest bardzo dziwna. Uderzenie meteorytu było tak potężne, że okoliczne skały, które w tym momencie nie wyparowały, uległy przemianie fazowej. Uderzenie przemieniło dosłownie wszystko pod względem składu chemicznego. Powstały formy koezytów nigdzie indziej nie spotykane. - Ruchem ręki wskazał na Szczęki Hanuxy. - Siła erupcji, wzburzenie magmy i uwolnienie gazów, które przyjęło formę eksplozji, zatrzymało meteoryt głęboko pod ziemią, gdzie po prostu zamarzło. Przyjmuję, że początkowo znajdował się kilka tysięcy stóp pod powierzchnią. Jednak w ciągu milionów lat w wyniku ruchów tektonicznych, w tym kształtowania się i erozji południowych Kordylierów, stopniowo zaczął wędrować coraz wyżej, aż wreszcie ukazał się w dolinie, niemal widoczny gołym okiem. Tyle mogę powiedzieć, tyle przynajmniej mówią fakty.

Zapadła długa cisza; wszyscy pogrążeni byli we własnych myślach. Wreszcie Glinn popatrzył na Garze i Stoneciphera, po czym zarządził:

- Do roboty.

Garza zaczął wykrzykiwać polecenia do swoich ludzi. McFarlane obserwował, jak kilku z nich mocuje siatkę z grubych kevlarowych pasów do łożyska meteorytu. Inni przywiązywali pasy do kabestanu przy wózku. Po chwili wszyscy się cofnęli. Nagle w powietrzu rozległ się jakiś metaliczny trzask, do którego zaraz dołączył gardłowy łoskot i ziemia u stóp McFarlane zawibrowała. Stalowy kabestan zaczął się obracać, napędzany dwoma generatorami dieslowskimi. Kevlarowe pasy napinały się, powoli zaciskając się dookoła meteorytu. Wreszcie generatory stanęły. Wszystko było gotowe do poruszenia wielkiej skały.

McFarlane znowu popatrzył na meteoryt. Nad obszarem prac kłębiły się gęste ciemne chmury, a sam meteoryt wyglądał smutniej, bardziej ponuro, jakby zgasł płonący w nim dotąd wewnętrzny ogień.

- Chryste - jęknęła Rachel, patrząc w kierunku kotłującej się ściany wiatru i śniegu zmierzającej prosto ku nim. - Nadchodzi.

- Wszystko na miejscu - powiedział Garza. Glinn odwrócił się. Wiatr podwiewał poły jego kurtki.

- Kiedy na niebie pojawi się pierwszy błysk, przerywamy - oznajmił. - A teraz - naprzód.

Nagle zaczął zapadać mrok, wiatr zawył ponuro, a płatki śniegu poszybowały w poziomie. W tym momencie McFarlane dostrzegł przed sobą tylko monochromatyczne cienie. Ponad zawodzenie wiatru wzniosły się odgłosy pracy ciężkich maszyn. Generatory znowu zadziałały pełną mocą. Znow zatrząsł się grunt, tym razem znacznie mocniej niż przed chwilą, a spod ziemi wydobył się głuchy łoskot, dudniący tępo niemal na granicy ludzkiej słyszalności. Zdawał się uciskać uszy i wnętrzości, powodował ledwie odczuwalne drżenie. Generatory pracowały niemal ponad siły. Z każdą chwilą wyły coraz głośniej, na razie bez efektu próbując ruszyć meteoryt.

- To jest wielka, historyczna chwila! - zawołała Rachel. - A ja, do cholery, nic z tego nie widzę!

McFarlane szczelniej zacisnął kaptur kurtki wokół głowy i przykucnął, próbując zajrzeć w głąb wykopu. Dostrzegł pasy z kevlaru, zacisnięte wokół meteorytu i napięte niczym struny. Z dołu zaczęły dobiegać do jego uszu dziwne trzaski i brzęki, wyraźnie słyszalne ponad zawodzeniem wiatru. Meteoryt jednak nie zamierzał nawet drgnąć, mimo że pasy napięte były już do granic możliwości. Odgłosy docierające z wykopu przybierały coraz wyższe tony. Generatory wyły i pokasywały, a skała, którą miały wciągnąć na wózek, wciąż

tkwiła w tym samym miejscu. Lecz nagle, w ponurym półmroku, wśród kakofonii najdziwniejszych dźwięków, McFarlane odniósł wrażenie, że meteoryt się ruszył. Nie mógł być tego jednak pewien, gdyż śnieg wirujący w powietrzu znacznie ograniczał pole widzenia, a zawrodozenie wiatru i inne odgłosy skutecznie dekoncentrowały.

Garza popatrzył w górę, uśmiechnął się krzywo i uniósł wyciągnięty kciuk.

- Rusza się! - krzyknęła Rachel.

Garza i Stonecipher zaczęli wykrzykiwać rozkazy dla robotników. Stalowe płozy pod łożyskiem zaczęły skrzypieć i dymić. Robotnicy bezzwłocznie sypnęli zarówno na płozy, jak i na powierzchnię wózka garściami grafitu. Do nozdrzy McFarlane'a dotarł kwaśny zapach rozgrzanej stali.

Nagle było po wszystkim. Przy akompaniamencie potężnego, okrutnego jęku meteoryt wraz ze swoim łożyskiem osiadł na czekającym wózku. Kevlarowe pasy poluzniły się, a generatory umilkły.

- Udało się! - Rachel przycisnęła do ust palce wskazujące obu rąk i przenikliwie gwizdnęła.

McFarlane popatrzył na meteoryt bezpiecznie spoczywający na wózku.

- Rzeczywiście - mruknął. - Przebył już dziesięć stóp. Pozostało mu jeszcze tylko dziesięć tysięcy mil.

Za Szczękami Hanuxy błysnęło jaskrawe światło wyładowania elektrycznego. Po chwili pojawiło się następne. Powietrze rozdarł potężny grzmot pioruna, który uderzył w ziemię gdzieś bardzo niedaleko. Wiatr z każdą chwilą stawał się mocniejszy. Przemieszczał płaty śniegu nie tylko w powietrzu, ale również po ziemi, stopniowo zasypując białym puchem wykopany rów.

- Doskonale! - zawołał Glinn. - Manuelu, proszę zakryć tunel.

Garza odwrócił się w kierunku operatora żurawia. Jedną ręką, opatuloną w grubą rękawiczkę, mocno przytrzymał kaptur, starając się, żeby potężny wiatr nie zerwał mu go z głowy.

- Nie da się! - odkrzyknął. - Wiatr jest zbyt silny. Operator nie zapanuje nad wysięgnikiem.

Glinn pokiwał głową.

- A więc dopóki ten wichur nie osłabnie, każ zaciągnąć i starannie zawiązać plandeki.

McFarlane patrzył, jak grupa robotników biegnie wzdłuż tunelu, rozwijając grubą plandekę i próbując umieścić ją nad meteoritem, mimo szalejącego wiatru. Brezent miał biały i szary kolor, odpowiadający ponurym barwom wyspy. McFarlane znów odczuł podziw dla

Glinna, który zdawał się przewidywać wszelkie sytuacje. W każdej chwili gotów był realizować plan awaryjny.

Na niebie pojawił się kolejny błysk, jeszcze bliższy, ponuro iluminując teren, nad którym unosiły się tumany śniegu.

Kiedy brezent został odpowiednio umocowany, zadowolony Glinn skinął głową na McFarlane'a.

- Schowajmy się w kontenerze. - Popatrzył na Garze. - Chcę, żeby cały personel schronił się w bezpiecznym miejscu, dopóki nie minie burza śnieżna. Dla bezpieczeństwa proszę jednak wystawić posterunki przy meteorycie. Niech ludzie zmieniają się na nich co cztery godziny.

Następnie gestem nakazał McFarlane'owi i Rachel, żeby poszli za nim. Pochyleni bardzo nisko, zmagając się z potężnym wiatrem, wszyscy troje pośpiesznie skierowali swe kroki do ciepłej kantyny.

WYSPA DESOLACIÓN

Godz. 22.40

Adolfo Timmer czekał za potężną zaspą, nieruchomy w ciemności. Leżał i obserwował, aż w końcu śnieg niemal całkowicie go zasypał. Poniżej widział słabe światła, co chwilę znikające wśród gęsto padającego śniegu. Było po północy i obserwowani przez niego ludzie nie przejawiali już żadnych oznak aktywności. Teren, na którym prowadzili prace, był opustoszały i wszyscy z pewnością kryli się teraz w ciepłych kontenerowych barakach. Nadszedł czas, żeby podjąć działanie.

Timmer uniósł głowę, mrużąc oczy przed śniegiem sypiącym mu prosto w twarz. Wstał, a silny wiatr natychmiast zdmuchnął z jego odzieży śnieg, który dotąd do niej przylegał. Burza śnieżna potworzyła dookoła liczne zasy. Niektóre osiągały wysokość nawet dziesięciu stóp i stanowiły dla niego doskonałe zabezpieczenie przed wzrokiem niepożądanych obserwatorów.

Ruszył przed siebie, pewnie stawiając każdy krok. Na nogach miał buty śniegowe. Zatrzymał się dopiero na skraju terenu wyrównanego i oczyszczonego przez robotników. Miał przed sobą krąg słabego, jakby brudnego światła. Ukucnął za kolejną zaspą, chwilę odczekał, po czym wysunął głowę i uważnie rozejrzał się dookoła. Jakies pięćdziesiąt jardów od niego stała samotna szopa. Potężny wiatr wył i jęczał, wdzierając się do środka przez szpary w jej zardzewiałym dachu. Po drugiej stronie kręgu światła dostrzegł długi rząd solidnych kontenerów mieszkalnych. Ich okienka odcinały się na tle ścian małymi kwadracikami żółtych świateł. Za kontenerami stały jeszcze inne konstrukcje, zapewne

magazyny i garaże. Wpatrując się w nie, Timmer starał się dociec, jakie jest ich właściwe przeznaczenie. Do tej pory wszystkie bajora do wypłukiwania złota czy też kafary poustawiane przez Amerykanów okazywały się mistyfikacjami, bez wątpienia mającymi zwieść ewentualnych obserwatorów, podpatrujących ich poczynania.

O co im chodziło?

Nagle Timmer zastygł. Zza szopy niespodziewanie wyszedł mężczyzna w grubej kurtce. Otworzył drzwi, zajrzał do środka, po czym znowu je zamknął. Następnie zaczął chodzić po obrzeżach oświetlonego terenu, co chwilę zacierając dłonie w grubych rękawiczkach i chyląc głowę w taki sposób, aby jak najmniej narażać twarz na poddmuchy wiatru i nie dopuszczać, żeby osiadały na niej płatki śniegu.

Timmer uważnie go obserwował. Mężczyzna z pewnością nie wyszedł na powietrze, żeby wypalić ostatniego papierosa przed snem. Bez wątpienia był wartownikiem.

Ale dlaczego Amerykanie wystawili wartę przy rozpadającej się szopie, na gołej, nie wartej ziemi?

Powoli zaczął pełznąć do przodu. Zatrzymał się dopiero przy następnej zaspie, znacznie bliżej szopy. Zastygł nieruchomo, a tymczasem wartownik powrócił do drzwi, kilkakrotnie przytupnął nogami i kontynuował obchód. O ile w szopie nie było jeszcze kogoś, wypełniał zadanie w pojedynkę.

Timmer wyszedł z za zaspy i zbliżył się do szopy, pilnując, żeby przez cały czas znajdowała się pomiędzy nim a wartownikiem. Starał się poruszać jak najniżej przy ziemi. Nie mógł pozwolić, żeby strażnik go dostrzegł. Sprzyjała mu ciemność i śnieżycyca, a poza tym ubrany był w biały nylonowy uniform maskujący.

Zanim opuścił „Almirante Ramireza”, kapitan powiedział mu, żeby nie podejmował żadnego zbędnego ryzyka. Powtórzył mu to kilkakrotnie: „Niech pan będzie bardzo ostrożny, panie Timmer. Chcę, żeby pan wrócił na okręt żywy i w jednym kawałku”.

Teraz nie mógł się zorientować, czy wartownik jest uzbrojony, musiał jednak zakładać, że tak. Przykucnąwszy w cieniu szopy, sięgnął do kieszeni. Jego dłoń zacisnęła się na rękojeści noża. Przesunął nim kilkakrotnie w pochwie, upewniając się, że do niej nie przymarzył. Szybko ściągnął rękawiczkę i z kolei przesunął palcem po ostrzu. Było lodowato zimne i ostre jak brzytwa. Doskonale. Tak, mój kapitanie, pomyślał. Będę bardzo, bardzo ostrożny. Mocno zacisnął dłoń na ostrzu, ignorując jego lodowaty chłód. Chciał je rozgrzać na tyle, aby bez problemu przebiło skórę ofiary.

Timmer przyczaił się, a tymczasem burza śnieżna jeszcze bardziej się wzmaciała. Wiatr szalał dookoła szopy, wyjąc i pojękując. Timmer ściągnął z głowy kaptur, chcąc

odsloniętymi uszami wyłowić wszystkie możliwe odgłosy. Wkrótce usłyszał to, na co czekał: skrzypienie butów na śniegu, z każdą chwilą coraz wyraźniejsze.

Dostrzegł zbliżającą się sylwetkę wartownika, ledwie widoczną w słabym świetle. Czekał na niego, całym ciałem przylgnął do szopy. Wreszcie usłyszał jego oddech i odgłos zacierania dłoni o dłoń. Mężczyzna intensywnie walczył z zimnem.

We właściwym momencie Timmer wyprysł zza szopy i zaatakował. Zaskoczony wartownik padł twarzą w śnieg, nie wydawszy żadnego jęku. Timmer natychmiast wskoczył mu na plecy, wbił kolano w jego nerki i dopiero będąc pewnym, że ofiara nie stawi oporu, szarpnął ją za włosy i pociągnął w cień, za szopę. Wysunął rękę z nożem i jednym szybkim ruchem poderżnął wartownikowi gardło. Poczł, jak ostrze ociera się o kręgi szyjne. Mężczyzna zadrział, w jego gardle zabulgotało i na śnieg natychmiast popłynęła ciepła krew. Timmer wciąż trzymał jego głowę odchyloną do tyłu, czekając, aż wypłynie z niego na śnieg i krew, i całe życie. Wreszcie puścił głowę i pozwolił, żeby nieruchome ciało zaległo w śniegu.

Odwrócił zwłoki na plecy i popatrzył na twarz ofiary. Miał do czynienia z białym, a nie z Metysem, którego szczególnie kazał mu się strzec kapitan. Szybko przetrząsnął jego kieszenie. Znalazł radionadajnik i mały półautomatyczny pistolet. Wsunął zdobycz do swoich kieszeni, następnie ukrył zwłoki w najbliższej zaspie. Nóż wyczyścił śniegiem, zasypał też krwawą plamę w miejscu, w którym zamordował wartownika. Fakt, że natrafił dopiero na jednego, wcale nie oznaczał, że nie było ich tu więcej.

Unikając oświetlonego terenu, zaczął wolno iść wzdłuż ścieżki, którą wydeptał wartownik. Dziwne, ale na jego trasie nie było niczego oprócz śniegu. Jednak w pewnej chwili śnieg niespodziewanie zapadł się pod jego butem i zaskoczony Timmer upadł twarzą do przodu. Nie wstał, lecz pozostał na czworakach. Pod cieką warstwą białego puchu wyczuł coś dziwnego. Nie była to ziemia, nie była to także szczelina lodowa. Pod śniegiem znajdowało się wgłębienie przykryte jakimś mocnym materiałem.

Timmer powoli wrócił w cień za szopę. Uznał, że zanim rozpocznie dalsze poszukiwania, musi sprawdzić, czy szopa nie kryje żadnych nieprzyjemnych niespodzianek. Trzymając nóż przed sobą, stanął przed jej frontową ścianą, uchylił trochę drzwi i zajrzał do wnętrza. W szopie było zupełnie pusto. Wsunął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Wydobył z kieszeni małą latarkę i szybko omiół światłem ciemne pomieszczenie. Dojrzał jedynie niewielkie skrzynki z gwoździami.

Dlaczego Amerykanie wystawili wartownika przy bezużytecznej, pustej, byle jak skleconej szopie?

A jednak zobaczył coś ważnego. Natychmiast zgasił latarkę. Spod skraju stalowej płyty, na której stała jedna ze skrzynek, przeświecało słabe światło.

Odsunąwszy skrzynkę, dostrzegł pod nią ciężką stalową klapę. Ukląkł obok niej i zaczął nasłuchiwać. Wreszcie złapał za uchwyt i ostrożnie podniósł płytę.

Po całych godzinach oczekiwania i obserwacji, którą prowadził podczas zimowej nocy, blask wydobywający się spod ziemi niemal go oślepił. Timmer szybko opuścił klapę i ukucnął przy niej. Intensywnie myślał. Wreszcie zdjął z nóg buty śniegowe, ukrył je w kącie szopy i znów uniósł klapę. Przez długą chwilę czekał, aż jego oczy przyzwyczają się do blasku. Kiedy uznał, że jest gotowy, zaczął schodzić w dół po drabinie.

Trzydzieści stóp niżej zszedł z drabiny i ruszył w głąb tunelu. Po kilku krokach zatrzymał się. Było tutaj cieplej niż na powierzchni, jednak Timmer ledwie to zauważył. W jasnym świetle czuł się jakby obnażony i bezradny. Lekko pochylony ruszył dalej. Jeżeli znajdował się teraz w kopalni złota, to musiał sam przed sobą przyznać, że takiej jeszcze nigdy w życiu nie widział. Właściwie był już pewien, że to wcale nie jest kopalnia złota.

Dotarł do skrzyżowania tuneli i przystanął, żeby się rozejrzeć. Był pewien, że jest tutaj sam. Nie słyszał żadnego dźwięku, nic się nie poruszało. Obliznął wargi, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić.

Nagle zamarł. Dość daleko przed nim tunel się rozszerzał. Była tam szeroka, otwarta przestrzeń i leżało na niej coś bardzo dużego. Doszedł do końca tunelu i oświetlił komorę latarką. Na ziemi stał tutaj wielki szeroki wózek na niezliczonych kołach.

Poruszając się ostrożnie wzdłuż ściany, Timmer podszedł do wózka. Była to potężna płaska stalowa naczepa o długości mniej więcej stu stóp. Jej podstawę tworzyło mnóstwo wielkich kół. Były ich setki, umocowanych na lśniących tytanowych osiach. Wzrok Timmera powędrował powoli do góry. Ładunek wózka oplatała skomplikowana piramida, złożona z drewnianych podpór i bolców. A wewnątrz piramidy tkwiło coś nie przypominającego niczego, co Timmer do tej pory widział. W gruncie rzeczy nie mógłby sobie czegoś takiego nawet wyobrazić. Było wielkie i w sztucznym świetle tunelu błyszczało nieskończenie bogatą czerwienią.

Timmer znowu rozejrzał się dookoła, po czym dotknął wózka. Jedną nogę postawił na najbliższym kole i, ciężko oddychając, podciągnął się na platformę. W grubym ubraniu ochronnym szybko się spocił, ale zupełnie zignorował ten dyskomfort. Nad jego głową ponad odkrytym tunelem rozłożona była wielka plandeka, ta sama, na którą jeszcze kilka chwil temu nieostrożnie nastąpił. Timmer jednak już się nią nie interesował. Jego oczy skupione były na wielkiej rzeczy, która leżała na wózku w ogromnym łożysku.

Bardzo ostrożnie zaczął się wspinać po drewnianym rusztowaniu. Nie wątpił ani przez moment, że właśnie natrafił na to, po co naprawdę przywędrowali tutaj Amerykanie. Ale nie wiedział, co to takiego.

I nie miał czasu do stracenia. Brakowało mu nawet czasu, żeby odszukać małego Metysa. Kapitan Vallenar z całą pewnością chciałby bezzwłocznie usłyszeć, co takiego odkrył. Ale Timmer się wahał, balansował na wózku, gdyż nie miał zielonego pojęcia, co właściwie odkrył.

To coś było w swym pięknie niemal eteryczne. Sprawiało wrażenie, jakby pozbawione było powierzchni, jakby można było położyć na tym rękę i wepchnąć ją aż do rubinowego wnętrza. Wpatrując się w to, odnosił wrażenie, że widzi misterne wzory, mieniące się w blasku lamp. Zimno emanujące z tej rzeczy zdawało się delikatnie chłodzić jego spoconą twarz. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widział. Odnosił wrażenie, że nie pochodziła z tego świata.

Nie odrywając od niej wzroku, wsunął nóż do kieszeni, zdjął rękawiczkę i wyciągnął dłoń w kierunku nieziemsko czerwonej, lśniącej powierzchni - powoli, niemal z uwielbieniem.

WYSPA DES OLACIÓN

Godz. 23.15

Sam McFarlane zbudził się gwałtownie. Jego serce biło jak oszalałe. Gotów był pomyśleć, że ze snu wyrwał go koszmar, gdyby w powietrzu nadal nie unosiło się echo potężnego wybuchu. Wstał tak niezgrabnie, że krzesło upadło za jego plecami na podłogę. Kątem oka zobaczył, że Glinn także już stoi i uważnie nasłuchuje. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, światło w kontenerze zaczęło migotać. Na chwilę ogarnęły ich totalne ciemności, ale zaraz nad drzwiami zapłonęła lampa awaryjna i pomieszczenie zalał blady pomarańczowy blask.

- Do diabła, co to było? - zapytał McFarlane.

Zawodzący wiatr zagłuszył jego słowa, gdyż podmuch powietrza wywołany eksplozją wepchnął szybę z okna do środka kontenera.

Glinn podszedł do otworu okiennego i wyjrzał w ciemność, w której wciąż szalała burza śnieżna. Po chwili popatrzył na Garze. On także nie spał. Stał wyczekująco, gotów natychmiast podjąć wszelkie konieczne działania.

- Kto stoi na warcie?

- Hill.

Glinn przyłożył do ust krótkofalówkę.

- Hill, tu Glinn. Niech pan się zamelduje. - Nacisnął klawisz odbioru i przez moment wsłuchiwał się w głośnik. - Hill - powtórzył, po czym zmienił częstotliwość. - Tu centrum dowodzenia, Thompson, jest pan tam? - Z głośnika dotarły do niego jednak tylko głośnie trzaski.

Rzucił krótkofalówkę na stół.

- Radio nie działa, nikt nie reaguje na wezwania. - Popatrzył na Garze, który już nakładał grubą polarną kurtkę. - Dokąd chcesz iść?

- Do kontenera elektryków.

- Nic z tego. Pójdziemy razem - rzekł Glinn bardzo stanowczo, jakby był dowódcą wojskowym wydającym rozkazy podwładnemu.

- Tak jest - odparł Garza posłusznie.

Usłyszeli z zewnątrz skrzypienie butów na śniegu i do kontenera wpadła zdyszana Amira, która przybiegła z centrum łączności. Jej ramiona pokrywała gruba warstwa śniegu.

- Nie mamy prądu - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Funkcjonują jedynie agregaty zapasowe.

- Zrozumiałem - odrzekł Glinn.

W jego dłoni nagle pojawił się mały pistolet, Glock 17. Glinn sprawdził magazynek, po czym wsunął pistolet za pasek.

McFarlane odwrócił się po swoją kurtkę. Kiedy wsuwał ręce do rękawów, poczuł na sobie badawcze spojrzenie Glinna.

- Tylko nic nie mów - powiedział. - Idę z wami.

Widząc zdeterminowanie McFarlane'a, Glinn zawahał się, po czym zwrócił się do Amiry:

- Zostaniesz tutaj.

- Ale...

- Rachel, potrzebujemy cię właśnie tutaj. Kiedy wyjdziemy, zamknij za nami drzwi na klucz. Wkrótce ktoś stanie przed nimi na straży.

Po kilku sekundach w drzwiach pojawili się trzej ludzie Glinna, Thompson, Rocco i Sanders. W rękach mieli silne latarki, a przez ramiona przewieszane automaty, Ingramy M10.

- Doliczyliśmy się wszystkich, z wyjątkiem Hiila - zameldował Thompson.

- Sanders, proszę rozstawić strażę przed każdym kontenerem. Thompson, Rocco, wyjdziecie ze mną.

Glinn włożył buty śniegowe, wziął z półki latarkę i poprowadził swoją grupę w ciemność.

McFarlane z trudem posuwał się naprzód w butach śniegowych, z którymi dotąd właściwie w ogóle nie miał do czynienia. Długa drzemka przy piecyku sprawiła, że zapomniał, jak zimno jest na dworze i jak ostre potrafią być płatki śniegu, kiedy wiatr nawiewa je prosto w twarz.

Kontener z agregatami prądotwórczymi znajdował się w odległości zaledwie pięćdziesięciu jardów. Garza otworzył kluczem drzwi i cała grupka weszła do ciasnego wnętrza. Thompson i Rocco oświetlili je latarkami. W powietrzu unosił się odór spalonych przewodów. Garza uklęknął, żeby podnieść szarą stalową pokrywę głównej tablicy rozdzielczej. Kiedy to zrobił, znad tablicy uniosła się chmura kwaśnego dymu. Garza przesunął dłońmi po panelu.

- Wszystko spalone na kamień - powiedział.

- Przewidywany czas naprawy? - zapytał Glinn.

- Główny przełącznik naprawię maksymalnie w ciągu dziesięciu minut. Potem będziemy musieli zdiagnozować wszystkie szkody.

- Zatem, do roboty. Panowie Thompson i Rocco niech staną na zewnątrz i strzegą wejścia.

Główny konstruktor w ciszy zabrał się do pracy. McFarlane obserwował go w milczeniu. Glinn znowu próbował nawiązać łączność radiową. Kiedy jednak usłyszał z głośnika wyłącznie trzaski, wsunął krótkofalówkę do kieszeni. Po długiej chwili Garza cofnął się o krok i kilkakrotnie pokręcił przełącznikiem. Rozległ się cichy trzask i szmer, ale nie zapaliły się żadne światła. Odchrząknąwszy z niezadowoleniem, Garza otworzył stojącą obok metalową szafkę i wyciągnął z niej palmtop z programami diagnostycznymi. Podłączył go do gniazdka na tablicy rozdzielczej i uruchomił. Mały niebieski ekran palmtopa natychmiast ożył.

- W wielu miejscach poprzepalane są przewody - odezwał się Garza.

- Co ze stabilizatorami napięcia?

- Cokolwiek się zdarzyło, spowodowało mnóstwo cholernych szkód. Stabilizatory nie wytrzymały. Sądzę, że w ciągu jednej milisekundy napięcie osiągnęło ponad miliard woltów, a natężenie z pewnością przekroczyło pięćdziesiąt tysięcy amperów. Żadne chłodzenie układu ani żadne stabilizatory napięcia nie mogły tu zadziałać.

- Miliard woltów? - zapytał McFarlane z niedowierzaniem. - Przecież nawet pioruny nie wytwarzają takiego napięcia.

- Rzeczywiście - odparł Garza, wyciągając wtyczkę z panelu i wsuwając palmtop do kieszeni. - Przy wyładowaniu, z jakim mamy do czynienia, uderzenie pioruna to drobnostka.

- W takim razie co to było? Garza potrząsnął głową.

- Jeden Bóg to wie.

Glinn stał jeszcze przez chwilę w milczeniu, ogarniając wzrokiem widoczne zniszczenia.

- Sprawdźmy meteoryt - powiedział wreszcie.

Wyszli z kontenera na burzę śnieżną. Najpierw poruszali się wzdłuż ścian, jednak wkrótce wyszli na otwartą przestrzeń. Już z pewnej odległości McFarlane dostrzegł, że brezent nad wykopem pozrywał się z mocowań. Kiedy podeszli bliżej, Glinn uniesieniem ręki zatrzymał grupę, po czym polecił Rocco i Thompsonowi, żeby weszli do szopy i zeszli po drabinie do tunelu. Następnie wyciągnął zza paska pistolet i poruszając się powoli, ostrożnie podszedł wraz z Garzą na skraj wykopu. Po chwili przy naderwanym fragmencie brezentu przystanął także McFarlane. Poszarpane brzegi materii unosiły się w górę niczym płaszcze okrywające niewidzialne duchy. Glinn skierował światło latarki w dół, wprost do tunelu.

Na dnie można było dostrzec mnóstwo wciąż unoszącego się kurzu, kamieni i zwęglonego drewna. Duże fragmenty metalowego wózka były powykręcane i stopione. Słychać było głośnie syczenie, a w powietrze unosiły się kłęby pary. Na ziemi walały się kulki metalu, który na kilka chwil zmienił stan skupienia. Pod wózkiem stopiło się kilkanaście rzędów kół. Ich opony płonęły, wytwarzając kłęby czarnego dymu.

Glinn przez kilkanaście sekund rozglądał się po scenie zniszczenia, podążając wzrokiem za światłem latarki.

- Czy to była bomba? - zapytał.

- Wygląda raczej na gigantyczne spięcie.

Na końcu tunelu błysnęły światła i po chwili w polu widzenia ukazali się Thompson i Rocco. Wymachiwali dłońmi przed twarzami, odganiając od siebie chmury dymu. Włączyli gaśnice i zaczęli spryskiwać proszkiem gaśniczym płonące opony.

- Czy widzicie jakieś uszkodzenia na meteorycie? - zawołał do nich Glinn.

Mężczyźni w milczeniu obejrzelili meteoryt.

- Nie ma nawet zadrapania! - odkrzyknął w końcu któryś z nich.

- Thompson - powiedział Glinn i wskazał ręką na jakiś punkt na powiewającym brezencie. - Niech pan popatrzy.

McFarlane podążył wzrokiem we wskazane miejsce, na niewielką przestrzeń za wózkiem. Szalały tam niespokojne płomienie. Tuż obok na ziemi lśniły w migoczącym świetle fragmenty jakiejś substancji i wystające z niej białe kości. Jedną z nich Thompson

oświetlił latarką. Niewątpliwie była to ludzka ręka, jakby oderwane ramię, niemiłosiernie poskręcane, nadpalone.

- Chryste - mruknął McFarlane.

- Chyba znaleźliśmy Hilla - powiedział Garza.

- Tutaj jest jego pistolet - dodał Thompson. Glinn krzyknął do mężczyzn znajdujących się w tunelu:

- Thompson, niech pan natychmiast sprawdzi cały system, cały tunel. I proszę meldować, jeśli natrafi pan na coś istotnego. Rocco, proszę sprowadzić zespół medyczny. Musimy pozbierać te szczątki.

- Tak jest, proszę pana. Glinn popatrzył teraz na Garze.

- Zabezpiecz granice naszego terenu. Zgromadź wszystkie dane z systemu obserwacyjnego. Musimy je natychmiast przeanalizować. Skontaktuj się ze statkiem i ogłoś alarm. Rozkaż, żeby przystąpiono do odbudowy systemu zasilania. Ma być sprawny i efektywny najpóźniej za sześć godzin.

- Nie mamy łączności ze statkiem - odparł Garza. - W eterze jest tylko szum.

Glinn znowu spojrzął w głąb tunelu.

- Thompson! Kiedy pan skończy, proszę wziąć ratrak i pędzić na plażę. Niech pan nawiąże kontakt ze statkiem z brzegu. Jeżeli będzie pan musiał, proszę nadawać do nich chociażby alfabetem Morse'a.

Thompson posłusznie zasalutował, odwrócił się i ruszył, żeby kontynuować pracę w tunelu. Po chwili zniknął w ciemności, wśród kłębow dymu. Z kolei Glinn skoncentrował swoją uwagę na McFarlanie.

- Idź do Amiry i ją tutaj przeprowadź. Zabierzcie wszelkie urządzenia diagnostyczne, jakie wam się przydadzą. Tunel trzeba będzie jak najszybciej oczyścić. Kiedy tylko zabezpieczymy teren i usuniemy zwłoki Hilla, obejrzyście meteoryt. Na razie nie róbcie żadnych skomplikowanych badań. Chcę, żebyście jedynie określili, co się tutaj stało. I, broń Boże, nie dotykajcie tego kamienia.

McFarlane popatrzył pod nogi. U podstawy wózka Rocco wyłożył na brezent coś, co wyglądało jak ludzkie płuco. Meteoryt, ułożony w drewnianej kołysce, syczał i parował. McFarlane i tak nie dotknąłby go teraz za żadne skarby, jednak nie zamierzał mówić o tym Glinnowi.

- Rocco! - zawołał Glinn i pokazał palcem na drugi koniec zniszczonego wózka, gdzie migotało kolejne słabe światło. - Tam z tyłu masz następne źródło ognia. Na szczęście jest dosyć słabe.

Rocco podszedł we wskazane miejsce z gaśnicą. Nagle jakby zamarł. Dopiero po długiej chwili popatrzył w górę i krzyknął:

- Proszę pana, to chyba jest ludzkie serce! Glinn wydał wargi.

- Rozumiem. Niech pan zagasi ogień i kontynuuj zadanie.

WYSPA DESOLACIÓN

21 lipca, godz. 00.05

McFarlane mozolnie człapał w wysokim śniegu w kierunku rzędu kontenerów, a potężny wiatr niemiłosiernie dął mu w plecy, jak gdyby chciał rzucić go na kolana. Idąca obok geologa Rachel w pewnej chwili potknęła się, ale zaraz stanęła równo na nogach.

- Czy ta śnieżycy kiedyś się skończy? - zawołała.

McFarlane nie odpowiedział, ponieważ intensywnie rozmyślał o ostatnich wydarzeniach.

Kiedy po minucie dotarli do kontenera medycznego, natychmiast zrzucił z siebie grubą kurtkę. W pomieszczeniu unosił się zapach przypalonego mięsa, a Garza mówił coś przez krótkofalówkę.

- Kiedy odzyskaliśmy łączność? - McFarlane zapytał Glinna.

- Jakieś pół godziny temu. Wciąż się urywa, ale z każdą chwilą jest lepiej.

- Dziwne. Próbowaliśmy nawiązać łączność z tunelu, ale słyszeliśmy jedynie szum i trzaski - zaczął McFarlane, jednak zaraz zamilkł. Mimo znużenia próbował intensywnie myśleć.

Garza odsunął krótkofalówkę od ust.

- Łączyłem się z Thompsonem. Jest na plaży. Mówi, że kapitan Britton odmawia wystania ze statku kogokolwiek ze sprzętem, dopóki nie skończy się burza. Twierdzi, że taka próba byłaby zbyt niebezpieczna.

- To nie do przyjęcia. Podaj mi radio. - Glinn niemal wyszarpnął mu krótkofalówkę:

- Thompson? Niech pan wyjaśni pani kapitan, że utraciliśmy łączność, sieć komputerową i zasilanie. Potrzebujemy generatora z wyposażeniem, i to natychmiast. Jeżeli go nie otrzymamy, ktoś tutaj może zginąć! Jeśli nadal będzie pan natrafiał na trudności, proszę dać mi znać. Aha, oczekujemy tu Brambella. Pilnie. Chcę, żeby zbadał szczątki Hilla.

Przez pusty otwór po wybitym oknie McFarlane przez chwilę obserwował Rocco. Opatulony w kurtkę, w grubych rękawiczkach, mężczyzna usuwał z brezentu ludzkie szczątki i układał je w przenośnym zamrażalniku.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedział po chwili Garza, który zdążył odebrać radiotelefon od Glinna. - Z „Rolvaagiem” właśnie połączył się Palmer Lloyd. Chce rozmawiać z Samem McFarlane’em.

McFarlane, którym ostatnie wydarzenia mocno zachwiały, poczuł się jeszcze bardziej zdezorientowany.

- To chyba nie najlepszy moment, co? - spytał, patrząc na Glinna, i zaśmiał się nerwowo. Lecz wyraz twarzy Glinna całkowicie go zaskoczył.

- Możesz podłączyć duży głośnik? - zapytał Glinn.

- Wezmę któryś z kontenera łączności - odparł Garza.

- Chyba nie zamierzasz uciąć sobie teraz pogawędki z Lloydem? - zdziwił się McFarlane, patrząc na Glinna.

- A jednak w tej chwili to jest najlepsze wyjście.

Dopiero znacznie później McFarlane zrozumiał, co wtedy Glinn miał na myśli.

*

W ciągu kilku minut Garza podłączył do transmitera w kontenerze dodatkowy zewnętrzny głośnik. Początkowo dobiegały z niego tylko trzaski, zmieniające barwę i natężenie. Oczekując na połączenie, McFarlane rozejrzał się po pomieszczeniu. Rachel kulila się przy piecyku, szukając ciepła. Glinn przestępował nerwowo z nogi na nogę, co chwilę zerkając na radio. Rocco, który zdążył już wrócić, pracowicie układał na stole ludzkie szczątki. McFarlane miał pewną teorię na temat ostatnich wydarzeń. Była zbyt świeża, zbyt niepełna, żeby z kimkolwiek się nią dzielić, ale przecież nie pozostawiono mu wielkiego wyboru.

Głośnik jeszcze przez kilka sekund emitował jedynie trzaski, lecz nagle w kontenerze rozległ się w miarę wyraźny głos Lloyda.

- Halo! Halo!

Glinn pochylił się nad mikrofonem.

- Po drugiej stronie Eli Glinn, panie Lloyd. Czy pan mnie słyszy?

- Tak, tak! Słyszę! Ale cholernie słabo, Eli.

- Przez cały czas mamy jakieś zakłócenia w łączności radiowej. Niewiadomego pochodzenia. Dlatego musimy się śpieszyć. Mamy tu teraz mnóstwo pracy, a poza tym w każdej chwili mogą się wyczerpać baterie.

- Co? Dlaczego? Do diabła, co się dzieje? Dlaczego Sam nie połączył się ze mną jak co dzień? Ta wasza kapitan nie była w stanie udzielić mi żadnej jasnej odpowiedzi.

- Mieliśmy wypadek. Jeden z naszych ludzi nie żyje.

- Chciałeś chyba powiedzieć, że nie żyje dwóch ludzi? McFarlane opowiedział mi o wypadku przy meteorycie. Cholernie szkoda tego Rocheforta.

- Mamy kolejną ofiarę śmiertelną. Zginął mężczyzna o nazwisku Hill. Przez moment z głośnika docierał jedynie szum i pisk. Wreszcie głos Lloyda powrócił, jednak znacznie słabszy niż poprzednio.

- ...się z nim stało?

- Jeszcze nie wiemy - odparł Glinn. - McFarlane i Rachel Amira właśnie wrócili po oględzinach meteorytu. - Pociągnął McFarlane'a do mikrofonu.

Ten ruszył do przodu bardzo niechętnie. Przelknął ślinę.

- Panie Lloyd - zaczął. - To, co panu powiem, to jedynie teoria, konkluzja, do której doszedłem na podstawie tego, co dotąd zaobserwowałem. Sądzę jednak, że myliliśmy się w kwestii przyczyn śmierci Nestora Masangkaya.

- Myliliśmy się? - powtórzył Lloyd. - Co chcesz przez to powiedzieć? No i co to ma wspólnego ze śmiercią tego Hilla?

- Wszystko, o ile się nie mylę. Uważam, iż obaj zginęli dlatego, że dotknęli meteorytu. W kontenerze zapanowała cisza, którą zakłócały jedynie trzaski z głośnika.

- Sam, to absurd - odezwał się w końcu Lloyd. - Przecież ja także dotykałem tego meteorytu.

- Proszę posłuchać. Sądziliśmy, że Nestora zabił piorun. I to prawda, meteoryt ma potężną siłę przyciągania. Jednak Garza powie panu, że napięcie prądu w tunelu, gdzie meteoryt teraz leży, osiągnęło w pewnym momencie rząd miliarda woltów. Żaden piorun nie jest w stanie wygenerować takiego napięcia. Dokładnie obejrzałem wózek i meteoryt. Dzisiejsze zniszczenia, które zaobserwowałem, nie pozostawiają wątpliwości, że źródłem ogromnego napięcia był właśnie sam meteoryt.

- Ale ja też przyłożyłem do niego policzek. I, cholera, nadal żyję!

- Wiem. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego meteoryt pana oszczędził. Ale żadne inne wyjaśnienie dzisiejszej katastrofy do niczego nie pasuje. Tunel był pusty, meteoryt był doskonale zabezpieczony. Nie działała na niego żadna obca siła. Wygląda na to, że wyładowanie elektryczne wystrzeliło właśnie z meteorytu, przebiegło przez część wózka i łożysko, topiąc elementy z metali. Pod wózkiem znalazłem rękawiczkę, jedyny fragment ubrania Hilla, który nie spłonął. Myślę, że odrzucił rękawiczkę na ziemię właśnie po to, żeby dotknąć meteorytu.

- Dlaczego miałyby tak właśnie postąpić? - zapytał Lloyd ze zniecierpliwieniem.

Teraz dopiero odezwała się Rachel.

- A pan? Dlaczego pan go dotknął? Przecież to jest wielka, dziwna, tajemnicza rzecz. W takiej sytuacji zawsze można odpowiedzieć sobie, dlaczego ktoś chce być pierwszą albo jedną z pierwszych osób, które dotykały obiektu.

- Jezu, nie mogę w to uwierzyć - powiedział Lloyd. - Ale rozumiem, że możecie kontynuować prace? Mam rację?

McFarlane ośmielił się popatrzeć na Glinna.

- Wózek i łożysko uległy zniszczeniu - wyjaśnił Glinn. - Garza oznajmił jednak, że można je naprawić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Lecz problemem pozostaje meteoryt.

- Dlaczego? - zapytał Lloyd. - Coś się z nim stało?

- Nie - kontynuował Glinn. - Wygląda na to, że nie ma na nim nawet rysy. Od samego początku wydałem polecenie, żeby go traktować jak przedmiot skrajnie niebezpieczny. Teraz, jeśli Sam McFarlane ma rację, wiemy, że naprawdę jest niebezpieczny. Żeby umieścić meteoryt na statku, musimy przedsięwziąć dodatkowe środki bezpieczeństwa. Zarazem musimy działać szybko. Pozostawanie tutaj dłużej niż to absolutnie konieczne, także jest niebezpieczne.

- Zupełnie mi się to nie podoba, Eli. Powinieneś określić te dodatkowe środki, zanim wyruszyliśmy z Nowego Jorku.

McFarlane odniósł wrażenie, że Glinn lekko zmrużył oczy.

- Panie Lloyd, ten meteoryt w żaden sposób nie przystaje do jakichkolwiek naszych dotychczasowych zabezpieczeń. Parametry, z którymi mamy do czynienia, są zupełnie inne niż te, które EES stosowało w początkowych analizach. Jeszcze nigdy coś takiego się nam nie przytrafiło. Wie pan, co to powinno oznaczać? Lloyd nie odpowiadał.

- Że odstępujemy od realizacji projektu - dokończył Glinn.

- Do cholery, takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. - Lloyd zaczął krzyczeć, ale jego głos docierał z takim osłabieniem, że McFarlane mocno wytyczał uszy, aby cokolwiek usłyszeć. - W ogóle nie życzę sobie na ten temat rozmawiać. Słyszysz mnie, Eli? Masz załadować ten cholerny kamień na statek i przywieźć go do mnie!

Nagle połączenie zostało przerwane.

- Skończył transmisję - powiedział Garza.

W kontenerze zapanowała cisza. Spojrzenia wszystkich obecnych spoczywały na Glinnie.

McFarlane zerknął ponad jego ramieniem na Rocco, ciągle zajętego makabrycznym zadaniem. Trzymał w tej chwili w ręce coś, co wyglądało jak kawałek czaszki. Z oczodołów wysuwały się gałki oczne, wiszące jedynie na strzępach nerwów.

Rachel westchnęła, potrząsnęła głową i powoli wstała z drewnianego krzesła.

- A więc co robimy?

- Na razie przywrócimy elektryczność. Kiedy już popłynie prąd, oboje zajmiecie się najważniejszym problemem. - Glinn popatrzył na McFarlane. - Gdzie jest rękawiczka Hilla?

- Tutaj. - McFarlane sięgnął do torby, którą miał przewieszoną przez ramię. Wyjął z niej rękawiczkę umieszczoną w plastikowym, szczelnie zamkniętym worku i podał ją Glinnowi.

- To jest rękawiczka ze skóry - stwierdził Garza. - Nasi ludzie wyposażeni byli w rękawiczki z brytu.

Zapadła cisza.

- Panie Glinn?

Głos Rocco zabrzmiał dziwnie ostro. Było w nim tak wielkie zaskoczenie, że na mężczyznę skierowały się wszystkie spojrzenia. A Rocco trzymał w ręce przed sobą fragment czaszki w taki sposób, jakby za chwilę zamierzał go sfotografować.

- Tak, panie Rocco?

- Fran Hill miał brązowe oczy.

Glinn przeniósł wzrok z Rocco na czaszkę, a potem z powrotem na Rocco. Na jego twarzy artykułowało się pytanie, którego nie był w stanie głośno wypowiedzieć.

Powoli, delikatnie Rocco oczyścił chusteczką gałkę oczną zwisającą z czaszki.

- To nie jest Hill - powiedział stanowczo. - Oczy tego osobnika są niebieskie.

WYSPA DESOLACIÓN

Godz. 00.40

Glinn zamarł, jakby zahipnotyzowany przez gałkę oczną wiszącą na fragmencie nerwu.

- Garza. - Jego głos był niezwykle spokojny.

- Słucham.

- Proszę natychmiast zebrać wszystkich ludzi. Znajdźcie Hilla. Jeśli będzie trzeba, użyjcie sond i czujników ciepła.

- Tak jest.

- I bądźcie bardzo czujni. Uważajcie na możliwe pułapki, snajperów i tak dalej. Nie przegapcie niczego.

Garza wyszedł z kontenera i po chwili zniknął w mroku. Glinn wziął do ręki gałkę oczną i zaczął ją uważnie oglądać. McFarlane odniósł wrażenie, że patrzy na nią, jakby oglądał kawałek pięknej porcelany. Następnie podszedł do stołu ze szczątkami człowieka.

Część z nich leżała na wierzchu, na brezencie, a pozostałe nadal spoczywały w przenośnej lodówce.

- Zobaczmy, co tutaj mamy - mruknął.

McFarlane patrzył, jak Glinn bada szczątki, biorąc po kolei każdy fragment do ręki. Każdemu poświęcał od kilku do kilkunastu sekund, po czym odkładał go i brał następny, niczym klient na stoisku mięsnym.

- Blondyn - powiedział, oświetlając kilka włosów. Powoli zaczął składać fragmenty czaszki. - Wysokie kości policzkowe, krótka fryzura... Typ nordycki... - Przez moment przebierał wśród szczątków w milczeniu. - Trupia czaszka wytatuowana na prawym ramieniu... Młody człowiek, miał około dwudziestu pięciu lat.

Trwało to mniej więcej piętnaście minut. W tym czasie przemawiał tylko Glinn, sam do siebie, pozostali trwali w milczeniu. W końcu Glinn wyprostował się i podszedł do zlewu, żeby umyć ręce. Woda jednak nie popłynęła, dlatego jedynie oczyścił dłonie z tkanek, które przyłgnęły mu do skóry i wytarł ręcznikiem. Następnie zaczął krążyć nerwowo po całym pomieszczeniu.

W pewnej chwili, zupełnie niespodziewanie, zatrzymał się w pół kroku. Można było odnieść wrażenie, że podjął decyzję. Podniósł ze stołu radionadajnik.

- Thompson?

- Tak, proszę pana.

- Co z tym generatorem?

- Kapitan Britton sama tu z nim przybędzie. Nie chce ryzykować życia nikogo z załogi. Powiedziała też, że Brambell zjawi się na miejscu, kiedy tylko to będzie bezpieczne. Burza śnieżna ma się skończyć mniej więcej nad ranem.

Radiotelefon wyemitował krótki sygnał i Glinn natychmiast ustawił właściwą częstotliwość.

- Znaleźliśmy Hilla - rozbrzmiał z głośnika lakoniczny głos Garzy.

- No i?

- Ktoś go chciał ukryć w zaspie śnieżnej. Ma podejrzięte gardło. Moim zdaniem, profesjonalna robota.

- Dziękuję, Garza.

Słabe oświetlenie awaryjne, jedyne, które funkcjonowało w kontenerze łączności, ponuro oświetlało w półmroku profil twarzy Garzy. Nad jego lewą brwią widniała mała pojedyncza kropla potu.

- Przed wejściem do szopy ukryta jest para butów śniegowych. Tak jak rękawiczka z pewnością nie należały do niko go z naszych ludzi.

- Rozumiem. Bardzo proszę, przetransportujcie zwłoki Hilla do kontenera medycznego. Gdyby zamrzły na kamień przed przybyciem doktora Brambella, mielibyśmy dodatkowe problemy.

- Kim więc był ten drugi człowiek? - zapytał McFarlane.

Glinn nie odpowiedział. Odwrócił się i mruknął coś po hiszpańsku, ale na tyle głośno, że McFarlane mógł usłyszeć jego słowa:

- Kapitanie Vallenar, niestety, nie jest pan mądrym człowiekiem. Właściwie to jest pan bardzo niemądry.

WYSPA DESOLACIÓN

23 lipca, godz. 12.05

Burza osłabia, a kolejne czterdzieści osiem godzin minęło bez żadnych dalszych wypadków i incydentów. Wzmocniono zabezpieczenia i straże, zainstalowano nowe kamery, a wokół terenu, na którym rozłożony był obóz ekipy badawczej, rozstawiono czujniki ruchu.

Prace przy drążeniu tunelu, którym miał być transportowany meteoryt, postępowały w szybkim tempie. Kiedy gotowy był następny odcinek, meteoryt natychmiast przesuвано na wózku, cal po calu, aż do końca. Potem wózek zatrzymywano, aby przygotować kolejną część drogi, z tyłu zaś pośpiesznie zasypywano poprzednią. Środki ostrożności podwojono.

Wreszcie koparki dotarły do wnętrza pola śniegowego. Tutaj, ukryty pod niemal dwustoma stopami twardego lodu, meteoryt czekał, aż zespoły robotników wydrążą głęboki tunel. Prace podjęto z obu stron.

Eli Glinn stał u wlotu do tunelu lodowego i obserwował, jak pracują wielkie maszyny. Wszystko przebiegało zgodnie z planem mimo dwóch ostatnich zgonów. Pół tuzina grubych taśmociągów, ustawionych jeden za drugim, wypłukało lód z głębi tunelu, a w powietrzu unosiły się gęste kłęby dymu, pochodzące z układów wydechowych dieslowskich silników. Glinn pomyślał, że wygląda to nawet pięknie - jeszcze jedno perfekcyjne rozwiązanie techniczne, niezbędne do zrealizowania projektu. Ściany i sufit tunelu były chropowate i nieregularne, upstrzone niezliczonymi guzami i występami. Widniały na nich miliony pęknięć i drobnych szczelin. Na tle szokującego błękitu lodu miały jaskrawy biały kolor. Równe było tylko podłoże. Pokrywano je wszechobecnym na wyspie żwirem i po nim właśnie toczył się wózek z meteorytem.

Tunel oświetlał jeden rząd lamp fluorescencyjnych. Spoglądając do przodu, Glinn dostrzegał meteoryt na wózku, czerwony kamień pomiędzy błękitnymi ścianami. Odgłosy

pracy maszyn zwielokrotniały się w tunelu potężnym echem. Na samym końcu miejsce prac oświetlały potężne reflektory.

Odkrycie, że meteoryt może zabić każdego, kto go dotyka, przstraszyło Glinna bardziej, niż byłby skłonny przyznać. Mimo że natychmiast wydał odpowiednie zarządzenia, doskonale zdawał sobie sprawę, że zakaz, chociaż rozsądny, był tylko pozornym środkiem ostrożności. Czuł, że McFarlane miał rację, iż to właśnie dotknięcie spowodowało eksplozję. Żadna inna przyczyna nie pasowała do zaistniałych okoliczności. Należało jednak dokonać strategicznej rekalkulacji wszystkiego, co było związane z meteoritem. A to z kolei wymagało zaangażowania całej mocy głównego komputera EES, który znajdował się w Nowym Jorku.

Glinn jeszcze raz popatrzył na czerwoną bryłę, spoczywającą jak wielki kamień jubilerski w kołysce z drewna dębowego. Ta właśnie bryła zabiła człowieka Vallenara, zabiła Rocheforta i Evansa, a także zabiła Masangkaya. Dziwne, że nie zabiła Lloyda. W każdym razie bez wątplenia niosła śmierć. Mimo to Glinn nie mógł zaprzeczyć, że śmiertelnych wypadków było mniej, niż się na tym etapie spodziewał. Projekt z wulkanem kosztował życie czternastu istot ludzkich, w tym ciekawską panią minister, która nalegała, by w decydujących momentach znajdować się tam, gdzie za żadne skarby świata akurat nie powinna była przebywać. Glinn bezustannie przypominał sobie, że mimo osobliwości, jaką stanowił meteoryt, mimo problemów z chilijskim niszczycielem, realizacja projektu nie napotykała nadzwyczajnych trudności.

Spojrzał na zegarek. McFarlane i Amira na pewno rozpoczną pracę na czas; oni nigdy się nie spóźniali. Po chwili zobaczył ich sylwetki w wejściu do tunelu. Właśnie wysiadali z ratraka. McFarlane miał na ramieniu wielką wełnianą torbę z przyrządami i instrumentami. Po kilku minutach oboje stali przy Glinnie.

- Macie jeszcze czterdzieści minut, zanim tunel zostanie ukończony i znowu zaczniemy przesuwąć meteoryt - powiedział do nich. - Dobrze ten czas wykorzystajcie.

- Taki mamy zamiar - odparła Amira.

Glinn patrzył na nią, jak wyciąga z torby sprzęt i ustawia instrumenty. McFarlane tymczasem fotografował meteoryt aparatem cyfrowym. Tak, Amira z pewnością była zdolną dziewczyną. Tak jak się Glinn spodziewał, McFarlane dowiedział się o jej raportach, a to wywołało pożądany efekt: zrozumiał, że jego zachowanie jest dokładnie obserwowane. Przy okazji Amira stanęła przed dylematem etycznym, który zajmował jej myśli. Dzięki temu nie rozważała poważniejszych kwestii moralnych, do których stawiania miała wielkie skłonności. A przecież wobec projektu technicznego, który trzeba było zrealizować dokładnie i z zimną

krwią, moralne wątpliwości należało zdecydowanie odkładać na bok. McFarlane przyjął zachowanie Amiry znacznie lepiej, niż wynikałoby to z jego profilu psychologicznego. Bez wątpienia był człowiekiem o skomplikowanej osobowości, ale też kimś, kto już udowodnił, że jest niezwykle przydatny.

Glinn zauważył, że do tunelu podjechał kolejny ratrak z pasażerem. Wsiadła z niego Sally Britton, ubrana w długi granatowy płaszcz. Rzecz u niej niespotykana: nie miała na głowie czapki oficerskiej i jej włosy o kolorze dojrzałej pszenicy zabłyszczały jaskrawo w świetle lamp tunelu. Glinn uśmiechnął się. Tego także się spodziewał, i to mniej więcej od momentu, kiedy wybuch zabił chilijskiego szpiega. Spodziewał się, a nawet na to czekał.

Kiedy Britton podeszła bliżej, Glinn powitał ją promiennym uśmiechem. Wyciągnął rękę i potrząsnął jej dłonią.

- Miło panią widzieć, pani kapitan.

Britton rozejrzała się. Jej inteligentne oczy zauważały wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie. Zatrzymała wzrok dopiero na meteorycie.

- Dobry Boże - wykrztusiła. Glinn uśmiechnął się.

- W pierwszej chwili to zawsze jest szok - powiedział. Britton bez słowa pokiwała głową.

- Nic wielkiego nie może się wydarzyć na tym świecie, pani kapitan, bez pewnych trudności - rzekł Glinn cicho, lecz z ogromnym przekonaniem w głosie. - To jest największe odkrycie naukowe obecnego wieku.

W sumie Glinna niewiele obchodziła wartość naukowa meteorytu. Zainteresowany był jedynie technicznymi i inżynieryjnymi aspektami akcji, którą koordynował. Jeśli jednak sprzyjało to jego celom, gotów był odgrywać nawet małą komedię.

Britton wciąż wpatrywała się w meteoryt.

- Mówili, że jest czerwony, ale nie miałam pojęcia...

W tej samej chwili w tunelu zadudniły silniki ciężkich maszyn. Wiedząc, że nie jest słyszana, Britton po prostu wpatrywała się w meteoryt. Trwało to minutę, może dwie. Wreszcie, z widocznym wysiłkiem, oderwała spojrzenie od czerwonego kamienia, głęboko odetchnęła i popatrzyła na Glinna. Wkrótce oboje ruszyli w kierunku wyjścia z tunelu.

- Znowu zginęło dwóch ludzi. Wiadomości od pana docierają bardzo powoli, a tymczasem plotki krążą po całym statku. Zdenerwowani są marynarze, nawet moi oficerowie. Muszę dokładnie wiedzieć, co się wydarzyło i dlaczego.

Glinn pokiwał głową. Czekał. Wiedział, że Britton jeszcze nie skończyła.

- Meteoryt nie znajdzie się na pokładzie mojego statku, dopóki się nie przekonam, że nie stanowi zagrożenia - powiedziała jednym tchem i teraz ona czekała na słowa Glinna, drobna i czujna, jakby wrosnięta w żwir rozsypany na ziemi.

Glinn uśmiechnął się. Cóż, Sally Britton była sobą w stu procentach. Z każdym dniem coraz bardziej ją podziwiał.

- Jestem dokładnie tego samego zdania - odrzekł.

Britton popatrzyła na niego, zbita z tropu. Bez wątpienia spodziewała się oporu.

- Panie Glinn, zginął oficer marynarki chilijskiej i jakoś będziemy to musieli wytłumaczyć władzom. W pobliżu stoi okręt wojenny, niszczyciel, którego dowódca uwielbia celować w nas ze swoich dział. Nie żyje trzech pańskich ludzi. Mamy do czynienia ze skałą, która waży dwadzieścia pięć tysięcy ton i która, jeśli nie miazdży ludzi, rozrywa ich na strzępy, a pan chce załadować tę skałę na mój statek. - Na chwilę urwała, ale zaraz kontynuowała niższym głosem: - Nawet najlepsi marynarze ulegają zabobonom. Ludzie opowiadają sobie niestworzone historie.

- Ma pani rację, istnieje mnóstwo powodów do obaw. Pozwoli pani jednak, że pokrótce opowiem, co się wydarzyło. Przepraszam, że sam nie pofatygowałem się na statek, ale, jak pani wie, nasz harmonogram jest bardzo napięty.

Britton czekała.

- Dwie noce temu, w czasie potężnej śnieżycy, na wyspie zjawił się nieproszony gość, przysłany tutaj z chilijskiego statku. Zabiło go wyładowanie elektryczne, którego źródłem był meteoryt. Niestety, na krótko przed śmiercią Chilijczyk zamordował jednego z naszych ludzi. Britton ostro popatrzyła na Glinna.

- A więc to prawda o tym piorunie z meteorytu? Dotąd w to nie wierzyłam i wciąż nie mogę uwierzyć. I, do cholery, nic z tego nie rozumiem.

- A tymczasem wszystko jest bardzo proste. Nasz meteoryt to bryła metalu, będąca superprzewodnikiem elektryczności. Ciało ludzkie czy skóra ludzka mają pewien potencjał elektryczny. Jeśli człowiek dotknie meteorytu, błyskawicznie uwalnia on część elektryczności, która w nim krąży. To jest coś takiego jak uderzenie pioruna, tyle że o wiele potężniejsze. McFarlane dokładnie mi wyjaśnił tę teorię. Jesteśmy przekonani, że wiemy już, jak zginął Chilijczyk oraz odkrywca meteorytu, Nestor Masangkay.

- Ale dlaczego meteoryt zabija?

- McFarlane i Amira pracują nad odpowiedzią na to pytanie. Jednak priorytetem jest teraz przeniesienie meteorytu, dlatego na jego pogłębione badania nie ma zbyt dużo czasu.

- Co więc pan robi, żeby meteoryt nie spowodował niczyjej śmierci na moim statku?

- Kolejne dobre pytanie. - Glinn uśmiechnął się. - Pracujemy także nad tym. Zastosowaliśmy ogromne środki ostrożności, a w szczególności pilnujemy, żeby nikt meteorytu nie dotknął, pod żadnym pozorem, nawet przez sekundę. W rzeczy samej przyjęliśmy takie zasady postępowania, jeszcze zanim zdaliśmy sobie sprawę, że meteoryt może wywoływać eksplozję.

- Rozumiem. Co jest źródłem elektryczności? Glinn wahał się, ale tylko przez sekundę.

- To jeden z problemów, nad którymi właśnie pracuje McFarlane.

Britton nie zareagowała na to stwierdzenie. Za to Glinn zupełnie niespodziewanie wziął do ręki jej dłoń. Poczul krótki, instynktowny opór, ale zaraz się rozluźniła.

- Doskonale rozumiem pani obawy, pani kapitan - powiedział delikatnie. - Jednak stosujemy wszelkie możliwe środki ostrożności. Musi pani po prostu uwierzyć, że odniesiemy sukces. Musi pani uwierzyć we mnie. Tak jak ja wierzę, że potrafi pani utrzymać na pokładzie statku pełną dyscyplinę, mimo nerwowości załogi i krążących pogłosek.

Britton zerknęła na niego, ale Glinn czuł, że kobieta ma ochotę znowu spojrzeć na wielką czerwoną skałę.

- Proszę zostać z nami - powiedział, uśmiechając się. - Niech pani zostanie i przygląda się, jak przenosimy na statek najcięższy obiekt, jaki kiedykolwiek poruszył człowiek.

Kapitan Britton popatrzyła wreszcie na meteoryt, potem na Glinna i jeszcze raz na meteoryt. Wahała się.

Niespodziewanie ożyła krótkofalówka, przypięta do paska przy jej płaszczu. Britton natychmiast wysunęła dłoń z dłoni Glinna i cofnęła się o kilka kroków.

- Kapitan Britton - powiedziała do mikrofonu.

Obserwując, jak zmieniał się wyraz jej twarzy, Glinn nie miał wątpliwości, jakiego komunikatu słuchała. Po chwili na powrót przypięła krótkofalówkę do paska.

- Niszczyciel. Wrócił.

Glinn pokiwał głową. Uśmiech nie opuszczał jego twarzy.

- Nic dziwnego - odparł. - „Almirante Ramírez” stracił człowieka. Teraz zapewne chce go odbić.

„ROLVAAG”

24 lipca, godz. 15.45

Nad wyspą Desolación powoli zapadała noc. Samotny na głównym pokładzie, z filiżanką kawy w dłoni, McFarlane obserwował, jak powietrze staje się coraz ciemniejsze, coraz mniej przejrzyste. Był bardzo ładny wieczór: bezchmurny, zimny i bezwietrzny.

Jedynie w oddali na niebie widoczne były postrzępione resztki chmur, ułożone na niebie niczym końskie ogony, w kolorze różowym i brzoskwiniowym. Wyspa skąpana była jeszcze w nienaturalnie jaskrawym i czystym świetle. U jej brzegów lśniąca woda Kanału Franklina odbijała ostatnie promienie zachodzącego słońca. Nieco dalej widniała na wodzie sylwetka niszczyciela, szara, groźna, a napis „Almirante Ramirez” był ledwie widoczny na porzewiałej burcie okrętu. Tego popołudnia Chilijczyk podpłynął znacznie bliżej „Rolvaaga” niż dotąd i ustawił się dokładnie u ujścia Kanału Franklina, blokując ekspedycji jedyną drogę odwrotu. I wszystko wskazywało na to, że zatrzymał się tam na dłużej.

McFarlane upił łyk kawy, po czym gwałtownie wylał resztę czarnego płynu za burtę. Kofeina była teraz ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Nawet bez niej odczuwał ogromne napięcie i niepokój. Cały czas nurtowało go pytanie, w jaki sposób Glinn zamierza dać sobie radę z niszczycielem. Glinn był jednak dziwnie spokojny, właściwie nadzwyczajnie spokojny, i niczego nie zdradzał. A może przechodził załamanie nerwowe?

Meteoryt przetransportowano - z trudem, centymetr po centymetrze, najpierw pod pokrywą lodu, a później pochyłym, stromym wykopem na brzeg wyspy Desolación. W końcu znalazł się na skarpie górującej ponad Kanałem Franklina. Aby go ukryć przed niepożądanymi spojrzeniami, Glinn kazał wznieść kolejną szopę ze skorodowanej blachy. McFarlane patrzył na nią teraz z pokładu. Jak zwykle, była mistrzowskim oszustwem i na dobrą sprawę wyglądała, jakby za chwilę miała się przewrócić. Zastanawiał się, jak Glinn zamierza przenieść meteoryt do ładowni statku, bo na razie szef EES był ostrożny, nieufny i niczego nie zdradzał. Wiadomo było tylko, że cała operacja zostanie przeprowadzona w ciągu jednej nocy. Właśnie tej nocy.

McFarlane usłyszał, jak otwierają się drzwi za jego plecami, i odwrócił się. Ze zdziwieniem zobaczył Glinna, którego, o ile wiedział, nie było na statku przez cały dzień.

Mężczyzna oparł się o barierkę. Mimo że w półmroku nie sposób było dostrzec jego twarzy, McFarlane zorientował się po jego ruchach, sprężystych i zdecydowanych, że jest w dobrym nastroju.

- Dobry wieczór - powiedział Glinn.

- Jesteś strasznie spokojny.

Zamiast odpowiedzieć, Glinn wyjął z kieszeni paczkę papierosów i ku zaskoczeniu McFarlane'a wsunął jednego do ust. Zapalił go - zapalniczka przez moment oświetlała jego bladą twarz - po czym głęboko się zaciągnął.

- Nie wiedziałem, że palisz - zdziwił się McFarlane. - Jakoś to do ciebie nie pasuje.

Glinn uśmiechnął się.

- Pozwalam sobie na dwadzieścia papierosów w ciągu roku. To moje jedyna słabostka.

- Kiedy ostatnio spałeś?

Glinn popatrzył na spokojną morską wodę.

- Nie jestem pewien. Ze spaniem jest jak zjedzeniem: gdy go brakuje, po pierwszych paru dniach nie ma się już na nie ochoty. - Przez kilka minut w milczeniu palił papierosa. - Czy twoje badania w tunelu lodowym przyniosły jakieś nowe informacje? - zapytał w końcu.

- Tylko uludne, zwodnicze dane. Na przykład liczba atomowa meteorytu przekracza czterysta.

Glinn pokiwał głową.

- Dźwięk przemieszcza się przez nasz meteoryt z prędkością równą dziesięciu procentom prędkości światła. Meteoryt ma bardzo słabą strukturę wewnętrzną. Składa się po prostu z warstwy zewnętrznej i warstwy wewnętrznej, z małą inkluzją w środku. Zasadniczo meteoryty powstają w wyniku rozpadu większych ciał. W tym wypadku jest dokładnie odwrotnie. Ten jakby rósł w wyniku odkładania się na nim substancji, prawdopodobnie strumieni plazmy z hipernowej. W taki sposób powstaje na przykład perta wokół ziarenka piasku. To dlatego nasz meteoryt jest taki symetryczny.

- Nadzwyczajne. A wyładowanie elektryczne?

- To wciąż zagadka. Nie wiemy, dlaczego powoduje je dotknięcie meteorytu akurat przez człowieka, skoro nic innego nie jest w stanie wywołać takiego skutku. Niewierny także, dlaczego jeden jedyny Lloyd uniknął rozerwania na strzępy. Mamy mnóstwo danych do analizy tego zjawiska, jednak wszystkie wydają się sprzeczne.

- A dlaczego po wyładowaniu padły nasze środki łączności? Czy istnieje związek pomiędzy tym a meteorytem?

- Tak. Wygląda na to, że po wyładowaniu meteoryt pozostawał przez jakiś czas w stanie wzburzenia i emitował fale radiowe. Możemy to określić jako promieniowanie elektromagnetyczne w zakresie fal długich. Bez wątplenia zjawisko to musiało zakłócić łączność radiową. Po jakimś czasie promieniowanie ustało, ale w swym najbliższym otoczeniu, powiedzmy, że w tunelu, meteoryt powodował zakłócenia jeszcze przez dobrych kilka godzin.

- A teraz?

- Teraz się uspokoił. Przynajmniej do następnego wyładowania.

Glinn w ciszy wydmuchnął dym. McFarlane odnosił wrażenie, że delektuje się smakiem i zapachem papierosa. Po chwili Glinn wskazał na brzeg i na obskurną szopę, która skrywała meteoryt.

- Za kilka godzin ten obiekt będzie już na tankowcu. Jeśli masz do przekazania jakieś ostatnie zastrzeżenia, ostrzeżenia i uwagi, muszę poznać je teraz. Na morzu będzie zapewne od nich zależało nasze życie.

McFarlane milczał. Niemal fizycznie czuł na ramionach ciężar tego pytania.

- Nie jestem w stanie tak po prostu przewidzieć, co się wydarzy - odrzekł.

Glinn zaciągnął się papierosem.

- Nie chodzi mi o przepowiednie, lecz o przypuszczenia oparte na naukowych podstawach.

- Mieliśmy możliwość obserwowania meteorytu w różnych warunkach prawie przez dwa tygodnie. Poza wyładowaniami elektrycznymi, które wzbudza w nim dotknięcie przez człowieka, wydaje się całkowicie bierny i obojętny. Nie reaguje na dotyk metalu, a nawet na potężne mikrosondy elektronowe. Tak długo jak długo wszelkie środki bezpieczeństwa będą należycie stosowane, nie przewiduję sytuacji, w której meteoryt, umieszczony w ładowni „Rolvaaaga”, mógłby zachowywać się inaczej niż dotąd.

McFarlane zawahał się i umilkł. Przez chwilę zastanawiał się, czy jego fascynacja meteorytem nie sprawia, że traci poczucie obiektywizmu. Pomysł, żeby pozostawić meteoryt na wyspie, wydawał mu się... właściwie nie do przyjęcia. Postanowił zmienić temat rozmowy.

- Lloyd dzwoni przez telefon satelitarny niemal co godzinę. Ciągłe naciska, żeby przekazywać mu nowe informacje, nowe szczegóły.

Glinn głęboko wciągnął powietrze. Oczy miał przy tym zamknięte, jak Budda.

- Za trzydzieści minut, kiedy tylko do końca się ściemni, podpłyniemy statkiem pod urwisko i zaczniemy umieszczać meteoryt w wieży załadunkowej na pokładzie. Akcję zakończymy około trzeciej nad ranem, a o świcie będziemy daleko na wodach międzynarodowych. Możesz to przekazać Lloydowi. Nad wszystkim panujemy, wszystko znajduje się pod pełną kontrolą. Operacją kierować będą Garza i Stonecipher. Mój udział w niej będzie konieczny dopiero na ostatnim etapie.

- A co z tym? - McFarlane skinął w kierunku niszczyciela. - Kiedy zaczniemy ładować meteoryt, będzie go mógł zobaczyć każdy, kto tylko zechce.

- Bynajmniej. Po pierwsze, praca będzie się odbywała w ciemności, a po drugie, prognozy meteorologiczne zapowiadają mgłę. Poza tym w krytycznym okresie osobiście skontaktuję się z kapitanem Vallenarem.

McFarlane nie był pewien, czy dokładnie usłyszał słowa Glinna.

- Co zrobisz?

- Trochę go zdekcentruję - odparł Glinn. Po chwili dodał znacznie ciszej: - A posłuży to także innym celom.

- To szaleństwo. Przecież może cię zaaresztować, a nawet zabić.

- Chyba jednak nie. Owszem, wszelkie przesłanki wskazują, że kapitan Vallenar jest człowiekiem brutalnym, ale nie szaleńcem.

- O ile jeszcze tego nie zauważyłeś, pragnę powiedzieć, że zablokował nam jedyną drogę prowadzącą z kanału.

Noc zapadła już na dobre i nad wyspą rozpostarła się pokrywa ciemności. Glinn sprawdził czas na swoim złotym zegarku, po czym wyciągnął z kieszeni radiotelefon.

- Manuel? Możesz rozpoczynać.

Niemal natychmiast urwisko oświetliły rzędy jaskrawych lamp i wybrzeże zalał zimny blask. Na oświetlonym terenie pojawiły się znikąd zastępy robotników i glucho zadudniły silniki ciężkich maszyn.

- Chryste, dlaczego po prostu nie wywiesiłeś billboardu z napisem: „Oto nasza zdobycz”?

- Z okrętu Vallenara urwisko jest niewidoczne - odparł Glinn. - Widok zasłania ten przylądek. - Wskazał ręką. - Jeżeli nasz kapitan będzie chciał zobaczyć, co się dzieje, a z pewnością będzie chciał, musi przemieścić niszczyciela w kierunku północnego skraju kanału. Czasami najlepszym kamuflażem jest brak kamuflażu. Vallenar, sam widzisz, zupełnie nie będzie przygotowany na to, że odpłyniemy.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ równocześnie będziemy kontynuować fałszywe prace górnicze na wyspie. Pozostawimy na niej mnóstwo ciężkiego sprzętu i ze dwudziestu ludzi pracujących w pocie czoła. Oczywiście, od czasu do czasu nastąpi jakaś eksplozja, przez radio bezustannie będzie płynęło mnóstwo dialogów i meldunków. Tuż przed świtem nasi ludzie na wyspie coś znajdą, a przynajmniej tak to będzie wyglądało z perspektywy „Almirante Ramireza”. Nastąpi wielkie podniecenie. Robotnicy przerwą prace i będą komentować i oceniać nadzwyczajne znalezisko. - Glinn wyrzucił za burtę niedopałek i przez chwilę patrzył, jak powoli opada na wodę. - Łódź motorowa „Rolvaaga” jest już ukryta po drugiej stronie wyspy. Kiedy wypłyniemy, ludzie wskoczą do niej i ruszą na spotkanie z nami tuż za wyspą Horn. Wszystko inne pozostanie na wyspie.

- Wszystko? - McFarlane pomyślał o kontenerach pełnych sprzętu, o spychaczach i buldożerach, o laboratoriach i o wielkich żółtych transporterach.

- Tak. Generatory będą pracować, wszystkie światła będą się palić. Na użytek kapitana Vallenara na wyspie pozostanie na widoku ciężki sprzęt warty miliony dolarów. Kiedy Vallenar zobaczy, że odpływamy, uzna, że i tak bardzo szybko wrócimy.

- Czy nie będzie nas ściagał? Glinn przez moment milczał.

- Cóż, nie wykluczam takiej możliwości.

- I co wtedy? Glinn uśmiechnął się.

- Każdy możliwy rozwój wydarzeń został przeanalizowany, każdy plan ratunkowy wzięty pod uwagę. - Uniósł radiotelefon do ust. - Proszę podprowadzić statek w kierunku urwiska.

Po krótkiej chwili McFarlane poczuł wibrację wielkich silników. Powoli, bardzo powoli ogromny statek zaczął się obracać. Glinn popatrzył na McFarlane'a.

- Odgrywasz w naszym planie jedną z głównych ról. McFarlane spojrział na niego z zaskoczeniem. - Ja?

Glinn pokiwał głową.

- Chcę, żebyś przez cały czas pozostawał w kontakcie z Lloydem. Informuj go, uspokajaj i przede wszystkim pilnuj, żeby nie chciał się ruszyć stamtąd, gdzie obecnie jest. Gdyby tu przyleciał, mógłby wywołać katastrofę. Teraz mówię ci do zobaczenia. Muszę się przygotować na spotkanie z naszym chilijskim przyjacielem. - Urwał na moment i popatrzył McFarlane'owi prosto w oczy. - Winien ci jestem przeprosiny.

- Za co?

- Doskonale wiesz, za co. Nie mogłem sobie nawet wymarzyć podczas tej ekspedycji bardziej dociekliwego i kompetentnego naukowca. Kiedy ją zakończymy, całateczka, jaką zgromadziłem na twój temat, zostanie zniszczona.

McFarlane nie bardzo wiedział, jak zareagować na to niespodziewane wyznanie. Wydawało się szczere, lecz przecież wszystko, co robił Glinn, było wykalkulowane do ostatnich granic i te słowa też służyły jakiemuś, tylko jemu znanemu celowi.

Glinn wyciągnął rękę. McFarlane uściśnął ją i jednocześnie drugą położył na chwilę na ramieniu Glinna.

Po chwili szef EES odszedł.

Dopiero po jakimś czasie McFarlane zdał sobie sprawę, że gruba warstwa materiału pod kurtką Glinna to wcale nie był dodatkowy skafander, lecz nie nadmuchana kamizelka ratunkowa.

KANAL FRANKLINA

Godz. 20.40

Glinn stał na dziobie małej łodzi motorowej, ciesząc się rześkim powietrzem, które smagało mu twarz. Czterej mężczyźni, którzy stanowili załogę łodzi, siedzieli na głównym pokładzie, tuż za budką pilota, wyprostowani, cisi i prawie niewidoczni. Dokładnie przed dziobem ponad spokojnymi wodami cieśniny migotały światła niszczyciela. Tak jak Glinn przewidział, okręt ruszył w górę kanału.

Glinn obejrzał się i popatrzył na wyspę. Miejsce rzekomych prac górniczych było rześkie oświetlone. Pracował ciężki sprzęt. W pewnej chwili rozległ się nawet odgłos słabego wybuchu. Tymczasem najważniejsza operacja, przy urwisku, przebiegała w zupełnej ciszy, spokojnie, jakby nie działo się tam absolutnie nic ważnego. Zmiana pozycji „Rolvaaga” została przedstawiona w rozmowach przez radio jako środek ostrożności w obliczu kolejnej burzy. Wielki statek jakoby przemieścił się na miejsce osłonięte od wiatru i dodatkowo wyrzucił na brzeg cumy.

Glinn wciągnął w płuca przepelnione wilgocią powietrze, przez cały czas złudnie spokojne. Z pewnością nadciągała wielka burza. Jej dokładne rozmiary stanowiły tajemnicę znaną tylko Glinnowi, kapitan Britton i oficerom wachtowym „Rolvaaga”. W krytycznym momencie ekspedycji zbędne wydawało się niepotrzebne denerwowanie członków załogi czy inżynierów z EES. Jednak satelitarne analizy pogody wskazywały, że burza może się przerodzić w *panteonero*, cmentarny wiatr, i to już o świcie. Taki wiatr zawsze zaczynał dąć z południowego zachodu, a potem, nabierając mocy, zmieniał kierunek na północno-zachodni. Wiał z potworną siłą.

Jednak gdyby „Rolvaag” do południa zdołał się przedostać przez cieśninę Le Maire, mógłby się znaleźć pod osłoną Tierra del Fuego, zanim rozpoczęłoby się najgorsze. I wiatr wiałby mu w rufę; idealna sytuacja dla wielkiego tankowca, śmiertelne zagrożenie dla ścigającej go o wiele mniejszej jednostki.

Glinn wiedział, że Vallenarowi już doniesiono o zbliżaniu się motorówki. Sunęła powoli, mając włączone wszelkie możliwe oświetlenie. Na czarnej wodzie, w mroku bezksiężycowej nocy, byłaby widoczna nawet, gdyby niszczyciel nie miał radaru.

Motorówkę dzieliło od okrętu jeszcze około dwudziestu stóp. Glinn usłyszał za sobą jakiś słaby plusk, ale nie odwrócił się. Tak jak przewidywał, za chwilę usłyszał trzy kolejne pluski. Świadom był swego nienaturalnego spokoju, wyostrającego zmysły i pojawiającego się zawsze przed strategiczną akcją. Już dawno czegoś takiego nie odczuwał, a uczucie to było bardzo przyjemne.

Zapłonął reflektor ustawiony na rufie niszczyciela i po chwili jaskrawe światło zaalało motorówkę, oslepiając Glinna. Nawet nie drgnął na dziobie łodzi, a tymczasem motorówka

zaczęła zwalniać. Jeśli ktoś chciałby z pokładu niszczyciela strzelać, teraz był najlepszy moment. Glinn był jednak przekonany, że żaden strzał nie padnie. Głęboko wciągnął powietrze, a potem powoli wypuścił je z płuc. Powtórzył to jeszcze dwa, trzy razy. Krytyczny moment minął.

Chilijscy marynarze wyciągnęli motorówkę na pokład, po czym poprowadzili Glinna labiryntem śmierdzących korytarzy, kilkakrotnie każąc mu się wspinać po śliskich metalowych schodach. Przed wejściem na *puentę*, mostek, Glinn zatrzymał się w progu. Jeśli nie liczyć oficera wachtowego, Vallenaar był tu sam. Stał przed szybą i patrzył na wyspę, z cygarem w ustach i rękami złączonymi na plecach. Było tutaj zimno; ogrzewanie albo nie działało, albo zostało wyłączone celowo. Jak i w pozostałych miejscach na okręcie, na mostku unosił się smród oleju silnikowego, wody zęzowej i starych ryb.

Vallenaar nie odwrócił się. Glinn pozwolił, aby cisza trwała długo, zanim wreszcie przemówił.

- Kapitanie - powiedział grzecznie w poprawnej, szkolnej hiszpańszczyźnie. - Przybyłem, żeby złożyć panu wyrazy szacunku.

Vallenaar głośniejszym odetchnął, co Glinn uznał za wyraz zaskoczenia. Ale kapitan wciąż się nie odwracał. Atmosfera wokół Glinna zdawała się emanować nadludzką przejrzystością, a on sam odnosił wrażenie, że jego ciało jest lekkie jak powietrze.

Vallenaar wyjął z kieszeni list, rozłożył go i znieruchomiał. Glinn zobaczył w nagłówku nazwę dobrze znanego australijskiego uniwersytetu. W końcu Vallenaar się odezwał.

- To meteoryt - powiedział głosem pozbawionym emocji.

A więc wiedział. Wśród wszystkich rozpatrywanych wariantów zdarzeń ten wydawał się najmniej prawdopodobny. Teraz jednak narzucił kierunek dalszej rozmowie.

- Tak.

Vallenaar odwrócił się. Poły jego ciężkiego wełnianego płaszcza mundurowego odchyliły się i ukazały stary luger wetknięty za pasek.

- Kradniecie mojemu krajowi meteoryt.

- Niczego nie kradniemy. Działamy zgodnie z prawem międzynarodowym.

Vallenaar zarżał lekceważącym śmiechem, który na pustym mostku zabrzmiał bardzo złowieszczo.

- Wiem. Prowadzicie prace górnicze i wydobywcze, a to jest przecież metal. Od początku się myliłem, bo wy rzeczywiście przypłynęliście po żelazo.

Glinn milczał. Z każdym słowem, jakie padało z ust Vallenara, zyskiwał bezcenne informacje na temat tego człowieka. Informacje, które w najbliższej przyszłości pozwolą mu przewidzieć jego zachowanie.

- Ale pan, señor, podlega mojemu prawu. Prawu kapitana Vallenara.

- Nie rozumiem - odrzekł Glinn, chociaż rozumiał doskonale.

- Nie wyjedzie pan z Chile z tym meteorytem.

- O ile w ogóle go znajdę.

Vallenar przez chwilę milczał, ale to wystarczyło, aby Glinn utwierdził się w przekonaniu, że kapitan nic nie wiedział o znalezieniu meteorytu przez ekspedycję.

- Cóż miałyby mnie odwieść od złożenia meldunku władzom w Santiago? A one, zapewniam, są przynajmniej nieprzekupne.

- Może pan składać meldunki, komu tylko pan chce - odparł Glinn. - Nie robimy niczego, co byłoby nielegalne.

Wiedział, że Vallenar i tak złoży raport. Chilijski marynarz był człowiekiem, który postępował według własnych reguł.

Vallenar głęboko zaciągnął się cygarem i wydmuchnął dym w kierunku Glinna.

- Proszę mi powiedzieć, panie... panie Ishmael, o ile pamiętam?

- Prawdę mówiąc, nazywam się Glinn.

- Rozumiem. A więc niech mi pan powie, panie Glinn, dlaczego przyłynął pan na mój okręt?

Glinn wiedział, że musi ważyć odpowiedź bardzo starannie.

- Miałem nadzieję, kapitanie, że obaj osiągniemy jakieś porozumienie. - Zobaczył na twarzy Vallenara złość, której się zresztą spodziewał, ciągnął więc: - Jestem upoważniony, aby zaoferować panu za współpracę milion dolarów. W złocie.

Vallenar niespodziewanie uśmiechnął się, a jego oczy jakby zaszyły mgiełką.

- Ma pan ten milion przy sobie?

- Oczywiście, że nie mam. Komendant powoli wydmuchnął kłęb dymu.

- Zapewne, señor, sądzi pan, że tak jak inni mam swoją cenę. I uważa pan, że ponieważ jestem facetem z Ameryk Południowej i brudnym Latynosem, zawsze chętnie i ze wszystkimi będę współpracował w zamian za *la mordida*.

- Doświadczenie podpowiada mi, że na świecie nie ma ludzi nieprzekupnych - powiedział Glinn. - Nie wyłączając Amerykanów.

Uważnie obserwował kapitana. Wiedział, że nie przyjmie łapówki, ale nawet sposób odmowy mógł być ceną informacją.

- Skoro ma pan tylko takie doświadczenie, to znaczy, że wiódł pan zgnile życie wśród kurew, degeneratów i homoseksualistów. Nie wypłynie pan z Chile z meteorytem. Niech pan jednak zabierze stąd swoje złoto i wypcha nim kurewskie *cono* swojej matki.

Glinn nie zareagował na tę najmocniejszą hiszpańską zniewagę. Vallenar opuścił rękę z cygarem.

- Jest jeszcze jedna rzecz. Wysłałem na rekonesans na wyspę swojego człowieka. Do tej pory nie wrócił. Nazywa się Timmer. Jest moim oficerem sygnałowym.

Słowa te cokolwiek zaskoczyły Glinna. Nie spodziewał się, że kapitan podniesie ten temat, a tym bardziej, że przyzna, iż posłał kogoś na wyspę z misją szpiegowską. W końcu cały ten Timmer zawiódł, a Vallenar nie sprawiał wrażenia człowieka, który lekko akceptuje niepowodzenia.

- Poderżnął gardło jednemu z naszych ludzi. Jest naszym więźniem.

Oczy kapitana zwięzły się i przez moment można było odnieść wrażenie, że Chilijczyk traci nad sobą kontrolę. Szybko jednak doszedł do siebie i natychmiast się uśmiechnął.

- Bardzo proszę, aby mi pan go zwrócił.

- Przykro mi, ale ten człowiek popełnił zbrodnię.

- Albo mi go pan natychmiast zwróci, albo zmiotę pański statek z powierzchni wody! - zawołał Vallenar. Każde kolejne jego słowo było głośniejsze od poprzedniego.

Glinn znów był zaskoczony, a jednocześnie zaintrygowany. Prostacka groźba była całkowicie nieproporcjonalna do rozmiaru sporu. Oficer sygnałowy na żadnym okręcie nie miał wysokiego stopnia i łatwo było kogoś takiego zastąpić. W żądaniu Vallenara kryło się coś, czego Glinn jeszcze nie rozumiał. Zastanawiał się nad ewentualnymi rozwiązaniami zagadki nawet w chwili, kiedy odpowiadał Vallenarowi:

- Byłoby to z pana strony bardzo niemądre, ponieważ więzimy tego człowieka w areszcie na statku.

Kapitan wbił w Glinna złowrogie spojrzenie. Ale kiedy znów się odezwał, jego głos był spokojny, wyważony.

- Jeśli odda mi pan Timmera, ja być może pozwolę panu zabrać meteoryt.

Glinn wiedział, że to kłamstwo. Zresztą ani Vallenar nie wypuściłby ekspedycji z meteorytem, gdyby otrzymał z powrotem Timmera, ani ekspedycja zwrócić Timmera nie mogła, bo go nie miała. Glinn zrozumiał z opowieści Puppupa, że kapitan dysponuje fanatycznie mu oddaną załogą. Teraz pojął przyczynę tego fanatyzmu i oddania: było ono wzajemne. Do tej pory był przekonany, że kapitan jest człowiekiem, który traktuje ludzi

instrumentalnie. Tej jego nowej cechy dotąd nie znalazł i jej po nim nie oczekiwał. Zupełnie nie pasowała do profilu, który nakreślili analitycy EES w Nowym Jorku, ani do dossier Vallenara, którym Glinn dysponował. Była jednak bardzo użyteczna. Należało ponownie zastanowić się nad wszystkimi motywami jego postępowania i dokładnie je przeanalizować.

Wyprawa na okręt przyniosła Glinnowi jeszcze jedną ważną informację. Wiedział teraz, co wie Vallenar. A cały jego zespół miał wystarczająco dużo czasu, żeby na tę sytuację zareagować.

- Przekażę pańską ofertę naszemu kapitanowi - powiedział. - Sądzę, że nie będzie przeszkód, żeby ją zaakceptować. Do południa otrzyma pan odpowiedź. - Lekko skinął głową. - A teraz, za pańskim pozwoleniem, chciałbym powrócić na mój statek.

Vallenar uśmiechnął się. Niemal udało mu się ukryć wściekłość.

- Bardzo proszę, señor. Jeśli do południa nie zobaczę Timmera na własne oczy, uznam, że nie żyje. A wtedy życie pańskie i pańskich ludzi nie będzie warte nawet psiego łajna.

„ROLVAAG”

Godz. 23.50

McFarlane postanowił odebrać telefon w opuszczonym gabinecie Lloyda w tej części statku, gdzie znajdowały się jego biura. Przez szerokie okna widział, że wzmaga się wiatr, a fale morskie, kłębiące się od zachodu, są coraz wyższe. Wielki statek stał u podnóża bazaltowego klifu, osłonięty od wiatru, zabezpieczony potężnymi linami, które przywiązano do masywnych słupków wbitych w skaliste podłoże wyspy. Wszystko było gotowe i czekano tylko na mgłę, która miała zamaskować najważniejsze prace, a którą Glinn zapowiadał dokładnie na północ lub na niespełna kilka minut później.

Telefon na biurku Lloyda głośno zadzwonił i McFarlane z ciężkim westchnieniem sięgnął po słuchawkę. Tego wieczoru miała to być już ich trzecia rozmowa. Nienawidził tej swojej nowej roli - pośrednika i sekretarza.

- Pan Lloyd?

- Tak, tak, to ja. Czy Glinn już wrócił?

W tle McFarlane słyszał taki sam wyraźny, głośny szum, jaki docierał do niego podczas poprzedniej rozmowy. Na chwilę przyszło mu do głowy pytanie, gdzie teraz właściwie znajduje się Lloyd, jednak zaraz o nim zapomniał.

- Tak. Dwie godziny temu.

- I co powiedział? Czy Vallenar przyjął łapówkę?

- Nie.

- Może zaproponował mu za mało pieniędzy?

- Glinn skłania się ku opinii, że nie wchodzi w grę żadna suma pieniędzy.

- Jezu Chryste! Przecież każdy ma swoją cenę! Przypuszczam, że jest już za późno, ale jestem gotów zapłacić dwadzieścia milionów! Powtórz mu to. Dwadzieścia milionów w złocie. Mogę to wysłać w dowolne miejsce na świecie. Oferuję także amerykańskie paszporty dla Vallenara i całej jego rodziny.

McFarlane milczał. Raczej trudno mu było wyobrazić sobie, że Vallenar będzie zainteresowany amerykańskim paszportem.

- Jaki jest więc plan Glinna?

McFarlane przełknął ślinę. Coraz bardziej nienawidził tego, co robi.

- Twierdzi, że plan jest doskonały, ale na razie nie chce się nim z nami podzielić. Mówi, że podstawą jego sukcesu jest absolutna poufność...

- Co za brednie! Daj go do telefonu. Natychmiast.

- Próbowałem go znaleźć, kiedy usłyszałem dzwonek telefonu. Ale w tej chwili nie odpowiada ani jego pager, ani krótkofalówka. Właściwie nikt nie wie, gdzie on jest.

- Przekląty Glinn. Wiedziałem, że nie powinienem składać wszystkich moich...

Słowa Lloyda zakłóciły trzaski. Po chwili jego głos powrócił, jednak trochę słabszy.

- Sam! Sam?

- Jestem przy telefonie.

- Posłuchaj. Na statku jesteś moim przedstawicielem, przedstawicielem Lloyda. Powiedz Glinnowi, żeby do mnie natychmiast zadzwonił, i powiedz mu, że to jest rozkaz. Jeśli nie zadzwoni, kopnę go w dupę i osobiście go wyrzucę za burtę tego statku.

- Rozumiem - przytaknął niechętnie McFarlane.

- Jesteś w moim biurze? Widzisz teraz meteoryt?

- Wciąż jest zamaskowany na urwisku.

- Kiedy zaczną go przemieszczać na statek?

- Kiedy tylko pojawi się mgła. Zostałem poinformowany, że operacja ładowania meteorytu na statek potrwa kilka godzin, następnie pół godziny zajmie jego zabezpieczenie i zaraz wypłyniemy. Nie później niż o piątej nad ranem w Kanale Franklina nie będzie po nas śladu.

- To już niedługo. A słyszę, że nadchodzi sztorm, o wiele większy od poprzedniego.

- Sztorm? - powtórzył McFarlane.

Odpowiedziały mu jedynie trzaski w słuchawce. McFarlane czekał, lecz połączenie było zerwane. Po minucie odłożył słuchawkę i wyjrzał za okno. W tym momencie zegar elektroniczny na biurku Lloyda obwieścił, że wybiła północ.

„Osobiście go wyrzucę za burtę”, przypomniał sobie słowa Lloyda. I nagle zrozumiał naturę szumu, który słyszał w tle podczas rozmowy. To był odgłos pracy silników odrzutowych. Lloyd znajdował się teraz w samolocie.

„ALMIRANTE RAMIREZ”

25 lipca, północ

Kapitan Vallenar stał na mostku, patrząc przez lornetkę. Jego okręt kotwiczył u północnego ujścia kanału, w miejscu, z którego była doskonała widoczność na to, co się dzieje na brzegu. A widok był zaiste imponujący.

Amerykanie podprowadzili tankowiec pod urwisko i rzucili na brzeg cumy. Wyglądało na to, że kapitan „Rolvaaga” ma jednak pewne pojęcie o tym, jak zdradliwa bywa pogoda w pobliżu przylądka Horn. Oczywiście, nie mógł nic wiedzieć o nie zaznaczonym na mapach podwodnym występie, na którym spoczywała teraz kotwica „Almirante Ramireza”. Dlatego wybrał spokojną wodę tuż przy brzegu, by właśnie tam przeczekać najgorsze chwile podczas sztormu. Przy odrobinie szczęścia bryza wiejąca od lądu mogła utrzymać statek w bezpiecznej odległości od groźnych skał. Chociaż mimo wszystko manewr, który zastosował kapitan „Rolvaaga”, był bardzo niebezpieczny dla tak wielkiego statku, a szczególnie statku, który stosował dynamiczne pozycjonowanie. Każda gwałtowna zmiana kierunku wiatru mogła spowodować tragedię. Statek byłby z pewnością znacznie bezpieczniejszy, gdyby znajdował się daleko od lądu. O jego podpłynięciu do samej wyspy z pewnością zadecydowało coś zupełnie innego niż tylko kwestie bezpieczeństwa.

Vallenar nie musiał długo patrzeć, żeby przekonać się, co to takiego. Skierował lornetkę ku centrum wyspy i przez kilka minut obserwował prace górnicze, prowadzone pełną parą w odległości jakichś dwóch mil od „Rolvaaga”. Obserwował je już wcześniej, zanim przyплыł do niego ten Amerykanin, Glinn. Przed kilkoma godzinami aktywność robotników wzrosła, zaczęli pracować szybciej, energiczniej, jakby w wielkim pośpiechu. Na całym terenie robót rozlegały się eksplozje, głośno warczały silniki maszyn, ludzie biegali, świeciły potężne reflektory. Z rozmów, jakie toczyły się w eterze, wynikało, że ekipa na coś natrafiła. Na coś dużego.

I najprawdopodobniej to coś sprawiło ludziom Glinna ogromne trudności. Na samym początku, próbując to podnieść, złamali największy żuraw. Teraz próbowali podkopać się pod znaleziony obiekt, używając ciężkich maszyn. Z ich rozmów wynikało jednak, że osiągną

bardzo mizerne efekty. „Rolvaag” bez wątplenia czekał w pobliżu na wypadek, gdyby na wyspie trzeba było wykorzystać do pracy dodatkowych ludzi albo dodatkowy sprzęt. Vallenar uśmiechnął się. Ci Amerykanie wcale nie byli tacy doskonali. Pracując w takim tempie i z taką skutecznością jak obecnie, mieli szansę, że przetransportują meteoryt na swój statek najszybciej po kilku tygodniach.

Oczywiście, Vallenar nie zamierzał im na to pozwolić. Postanowił, że kiedy tylko Timmer bezpiecznie wróci, uszkodzi amerykański tankowiec i wyśle do odpowiednich władz informację o próbie kradzieży. Dzięki temu uratuje honor swojego kraju. Kiedy politycy zobaczą meteoryt, kiedy dowiedzą się, w jaki sposób Amerykanie chcieli go ukraść, zrozumieją go. Odzyskawszy meteoryt, Vallenar być może zostanie w końcu przeniesiony z Puerto Williams. A skorumpowane dranie z Punta Arenas odpowiedzą wreszcie za swoje. Teraz jednak należało cierpliwie czekać.

Uśmiech znikł z jego twarzy, kiedy po raz kolejny pomyślał o Timmerze zamkniętym w areszcie na „Rolvaagu”. To, że kogoś zabił, nie było dla Vallenara zaskoczeniem; młody człowiek szybko działał, ale trochę wolniej myślał. Zdumiało go natomiast to, że dał się złapać. Nie mógł doczekać się chwili, kiedy go w tej sprawie wypyta.

Nawet nie dopuszczał do siebie myśli o innej możliwości. Że Amerykanin kłamał i Timmer nie żyje.

Usłyszał szuranie czyichś butów. Za Vallenarem stanął *oficial de guardia*.

- Kapitanie?

Vallenar skinął głową, nie odwracając się.

- Panie kapitanie, otrzymaliśmy po raz drugi rozkaz, żeby wrócić do bazy.

Vallenar nie odpowiadał. Czekał i myślał.

- Panie kapitanie...

Vallenar popatrzył przed siebie, w ciemność. Nad spokojną wodą powoli osiadła zapowiadana mgła.

- Zarządzam ciszę radiową. Nie odpowiadać na żadne rozkazy ani komunikaty.

Kiedy oficer usłyszał ten rozkaz, w jego oczach na moment pojawił się błysk zdziwienia. Był jednak zbyt dobrze wyszkolonym marynarzem, żeby zakwestionować osobisty rozkaz przełożonego.

- Tak jest.

Vallenar obserwował mgłę. Nadpływała jak chmura dymu, jakby znikąd, powoli zamazując cały krajobraz. Oświetlenie tankowca zaczęło znikać z pola widzenia, aż w końcu całkowicie schowało się we mgle. Jaskrawe światła na wyspie zamieniły się w ledwo

widoczne punkciki reflektorów, ale i one wkrótce zniknęły, pogrążając mostek okrętu Vallenara w nieprzeniknionym mroku.

Kapitan wyprostował się i cofnął od szyby. Pomyślał o Glinnie. Było w nim coś dziwnego, a właściwie coś nieprzeniknionego. Jego wizyta na „Almirante Ramirezie” była oczywistą bezczelnością. Niewątpliwie miał facet *cojones*, jaja. I to martwiło Vallenara przede wszystkim.

Podniósł głowę i jeszcze przez chwilę wpatrywał się w mgłę. Następnie odwrócił się do oficera pokładowego.

- Poproszę na mostek oficjalny raport z central de informaciones de combate - powiedział łagodnym głosem, starannie dobierając każde słowo.

„ROLVAAG”

Północ

Kiedy McFarlane przybył na mostek, natrafił na grupę oficerów skupionych wokół stanowiska dowodzenia. Wszyscy mieli niewyraźne, zmartwione miny. Sygnał dźwiękowy kilka minut temu wezwał członków załogi na stanowiska. Britton, która przed chwilą posłała po McFarlane’a, jakby w ogóle nie odnotowała jego pojawienia się. Za rzędem okien widać było prawie wyłącznie gęstą mgłę. Potężne światła na dziobie statku były widoczne tylko jako słabe żółte punkciki.

- Czy on obserwuje nasze położenie? - zapytała Britton.

- Tak, bez wątpienia. Za pomocą radaru namierzającego - odparł spokojnie oficer stojący obok niej.

Kapitan przesunęła wierzchem dłoni po czole, następnie podniosła głowę i uchwyciła spojrzenie McFarlane’a.

- Gdzie jest pan Glinn? - zapytała. - Dlaczego nie odpowiada na wezwania?

- Nie wiem. Zniknął gdzieś zaraz po powrocie z chilijskiego statku. Sam kilkakrotnie próbowałem się z nim skontaktować.

Britton popatrzyła na Howella.

- Być może nie ma go nawet na statku - powiedział pierwszy oficer.

- Na pewno jest. Proszę utworzyć dwie grupy poszukiwawcze. Jedna niech przeszukuje statek od przodu, a druga od tyłu. Niech posuwają się ku środkowi. Mają go znaleźć i natychmiast przyprowadzić na mostek.

- To nie będzie konieczne.

Glinn niespodziewanie zmaterializował się u boku McFarlane'a. Za nim stało dwóch mężczyzn, których McFarlane - był tego pewien - jeszcze nigdy nie widział. Na ich koszulach widniały okrągłe symbole EES.

- Eli - zaczął McFarlane. - Znowu telefonował Palmer Lloyd...

- Cisza na mostku! Doktorze McFarlane, proszę zamilknąć! - warknęła Britton. Jej głos zabrzmiał tak władczo, że McFarlane ani myślał się sprzeciwić.

Britton popatrzyła na Glinna.

- Kim są ci mężczyźni i dlaczego przebywają na moim mostku? - zapytała, wskazując ruchem głowy na jego towarzyszy.

- Są pracownikami EES.

Britton przez chwilę milczała, jakby trawiła tę informację.

- Panie Glinn, chcę panu przypomnieć - oraz panu, doktorze McFarlane, jako osobie będącej na tym statku przedstawicielem Lloyd Industries - że jako kapitan „Roivaaga” mam na pokładzie tej jednostki najwyższą i jednoosobową władzę.

Glinn pokiwał głową, a przynajmniej McFarlane odniósł takie wrażenie, gdyż gest był tak słaby, że prawie niezauważalny.

- Zamierzam w tej chwili z niej skorzystać - dodała Britton. McFarlane zauważył, że twarze Howella oraz pozostałych oficerów są spięte i nieprzeniknione. Bez wątpienia coś poważnego miało się wkrótce wydarzyć. A mimo to Glinn zdawał się nie przejmować napiętą atmosferą.

- Na czym miałyby to polegać? - zapytał.

- Na tym, że nie zgadzam się, aby meteoryt został załadowany na mój statek.

Zapadła cisza. Glinn obdarzył Britton łagodnym spojrzeniem.

- Pani kapitan, myślę, że będzie lepiej, jeżeli omówimy to zagadnienie na osobności - powiedział.

- Nie, proszę pana. - Britton odwróciła się do Howella. - Rozpoczynamy przygotowania do opuszczenia tego miejsca. Odpływamy za dziewięćdziesiąt minut.

- Jedną chwileczkę, panie Howell, jeśli pan łaskaw. - Wzrok Glinna przez cały czas był utkwiony w kapitan Britton. - Czy mogę zapytać, coż takiego spowodowało tę decyzję?

- Zna pan moje zastrzeżenia wobec tej skały. Nie dał mi pan żadnych dowodów, poza mglistymi zapewnieniami, że załadowanie meteorytu na pokład nie zagrazi statkowi. A przed pięćmioma minutami ten niszczyciel - skinęła głową w kierunku okrętu wojennego - namierzył nas radarem, przygotowując się do ostrzału. Jesteśmy teraz zdani na jego łaskę i niełaskę. Nawet jeżeli meteoryt nie jest niebezpieczny, zagrażają nam inne czynniki. Zbliży się potężny

sztorm. Poza tym nie możemy ładować na statek najcięższego obiektu, jaki kiedykolwiek przeniósł człowiek, mając świadomość, że wycelowane są w nas działa kalibru cztery cale.

- On nie będzie strzelał. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Kapitan Vallenar jest przekonany, że mamy na pokładzie, w naszym areszcie, jego człowieka o nazwisku Timmer. I wygląda na to, że bardzo mu zależy, aby wrócił do niego cały i zdrowy.

- Rozumiem. A co zrobimy, kiedy kapitan dowie się, że Timmer nie żyje?

Glinn nie odpowiedział na to pytanie.

- Chaotyczna ucieczka, bez żadnego planu, to najlepsza gwarancja katastrofy. Poza tym Vallenar nie wypuści nas stąd, dopóki Timmer do niego nie wróci.

- Mogę jedynie powiedzieć, że wolę podjąć ucieczkę natychmiast, a nie za jakiś czas, z ciężkim meteorytem na pokładzie znacznie obniżającym prędkość statku.

Glinn nadal patrzył na Britton łagodnym, niemal smutnym spojrzeniem. Niespodziewanie odchrząknął jeden z oficerów.

- Mam kontakt z obiektem powietrznym na kierunku zero-zero-dziewięć. Jest w odległości trzydziestu pięciu mil i kieruje się w naszą stronę.

- Proszę go śledzić i podać mi jego sygnał wywoławczy, kiedy tylko go pan uzyska - odparła Britton, nawet się nie poruszywszy. Ona z kolei nie odrywała spojrzenia od Glinna.

Nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza.

- Czy już pani zapomniała, jaki kontrakt podpisała pani z EES? - zapytał Glinn.

- Niczego nie zapomniałam, panie Glinn. Istnieje jednak ważniejsze prawo, które anuluje wszelkie umowy i kontrakty: jest to prawo i zwyczaj morza. We wszelkich sprawach dotyczących statku ostatnie słowo należy do kapitana. A ja, w zaistniałych okolicznościach, nie chcę na pokładzie tego meteorytu.

- Pani kapitan, jeśli nie zechce pani porozmawiać ze mną na osobności, mogę jedynie panią zapewnić, że nie mamy obecnie żadnych powodów do obaw - powiedział Glinn.

Skinął na swoich ludzi. Jeden z nich postąpił krok do przodu i zasiadł przy pustym stanowisku komputerowym ustawionym na czarnym metalowym stole. Do stolika przykręcona była tabliczka z napisem: STANOWISKO ZABEZPIECZONE. Drugi mężczyzna stanął za jego plecami, tyłem do komputera, a twarzą zwrócony do oficerów znajdujących się na mostku. McFarlane zdał sobie sprawę, że to stanowisko jest jakby mniejszym kuzynem tajemniczego urządzenia, które Britton pokazała mu w pomieszczeniu kontroli ładunku.

Britton ponuro popatrzyła na dwóch obcych.

- Panie Howell, proszę usunąć z mostka cały personel EES - powiedziała.

- To raczej nie będzie możliwe - odparł Glinn niemal z żalem. W jego głosie zabrzmiało coś, co sprawiło, że Britton zawahała się.

- Nie rozumiem...

- „RoIvaag” to cudowny statek, najdoskonalsze osiągnięcie w dziedzinie komputeryzacji jednostek pływających. Jako swego rodzaju zabezpieczenie EES wykorzystano możliwości komputerów, żeby zaplanować nad statkiem w sytuacji, jaka właśnie zaistniała. Widzi pani, nasze systemy kontrolują główny komputer statku. Normalnie nie wykorzystujemy tych możliwości, jednak gdy „Rolvaag” znalazł się przy brzegu, dezaktywowałem główny komputer za pomocą dość skomplikowanego obejścia. Teraz tylko EES dysponuje kodami dostępu pozwalającymi kontrolować silniki. Nie wprowadzając ich, nie jest pani w stanie ani poruszyć tym statkiem, ani w ogóle przeprowadzić jakichkolwiek działań.

Britton patrzyła na Glinna w milczeniu. Na jej twarzy widać było rosnącą wściekłość.

Tymczasem Howell podniósł z konsoli dowodzenia słuchawkę telefonu.

- Ochrona na mostek, natychmiast - rozkazał. Z kolei Britton zwróciła się do oficera wachtowego:

- Proszę wprowadzić kod uruchomienia silników.

W absolutnej ciszy oficer wydał komputerowi serię poleceń.

- Silniki nie reagują, proszę pani. Jestem odłączony od systemu.

- Niech pan spróbuje znaleźć przyczynę.

- Pani kapitan - kontynuował Glinn. - Obawiam się, że będzie pani musiała wykonać kontrakt co do literki, czy pani się to podoba czy nie.

Britton niespodziewanie odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Coś do niego powiedziała, ale zbyt cicho, żeby McFarlane mógł dosłyszeć. Glinn zrobił krok do przodu.

- Nie. - Prawie szeptał. - Zapewniła pani, że będzie pełnić swoją funkcję, dopóki statek nie wróci do Nowego Jorku. Ja jedynie wprowadziłem w życie środek, który uniemożliwi naruszenie tej obietnicy - przez panią czy też przez kogokolwiek innego.

Britton zupełnie zamilkła. Widać było, że z wściekłości lekko drżą jej ręce.

- Jeśli wypłyniemy teraz, w pośpiechu i bez planu, zatopią nas. - Glinn mówił spokojnie, jednak z pewnym naciskiem, dając do zrozumienia, że nie będzie się liczył z żadnym sprzeciwem. - W tej chwili to, czy przetrwamy, zależy od pani gotowości do poddania się mojemu przywództwu. Ja doskonale wiem, co robię.

Britton wciąż na niego patrzyła.

- Nie zaakceptuję tego.

- Pani kapitan, musi mi pani uwierzyć, że aby wyjść z tego wszystkiego cało, mamy tylko jedną możliwość działania. Musi pani ze mną współpracować albo wszyscy zginiemy. Proste, prawda?

- Pani kapitan - zaczął mówić oficer wachtowy - sprawdziłem...

Umilkł, kiedy się zorientował, że Britton go nie słyszy. Na mostku pojawiła się grupa ochroniarzy.

- Słyszeliście rozkaz pani kapitan - odezwał się do nich Howell ostrym głosem. - Macie natychmiast usunąć z mostka cały personel EES. - Człowiek Glinna, siedzący przy komputerze, zastygł w oczekiwaniu.

Po chwili, która zdawała się trwać wieczność, Britton podniosła do góry rękę.

- Pani kapitan... - zaczął Howell.

- Niech zostaną.

Howell popatrzył na nią z niedowierzaniem, ale Britton wytrzymała jego wzrok. Nastąpiła długa cisza, pełna napięcia. Wreszcie Glinn skinął na swoich ludzi.

Mężczyzna przy komputerze zdjął z szyi krótki metalowy klucz i wsunął go do otworu w konsolce. Glinn podszedł do niego, po czym wystukał na klawiaturze komputera serię poleceń, najpierw na jej części literowej, a potem numerycznej.

Oficer wachtowy podniósł głowę.

- Ekran jest zielony, proszę pana - poinformował Glinna. Britton pokiwała głową.

- Mam nadzieję, że pan wie, co robi. Będę się o to modlić - powiedziała. Nie patrzyła w tej chwili na Glinna.

- Jeżeli jest pani w stanie w cokolwiek uwierzyć, pani kapitan, mam nadzieję, że uwierzy pani także w sens tego, co teraz robię. Zawarłem zawodowy i osobisty kontrakt. Zobowiązałem się dostarczyć meteoryt do Nowego Jorku. Poświęciłem ogromne środki, żeby z góry rozwiązać wszelkie problemy, na jakie mogliśmy tu natrafić, nie wyłączając tego ostatniego. Ja... my... nie poddamy się, doprowadzimy dzieło do końca.

Jeśli słowa te nawet wywarły na Britton jakieś wrażenie, McFarlane tego nie zauważył. Jej oczy niczego nie zdradzały. Glinn cofnął się.

- Pani kapitan, najbliższych dwanaście godzin będzie kluczowych dla realizacji naszej misji. Nasz sukces zależy teraz od pewnej pani subordynacji, mimo że jest pani kapitanem „Rolvaaga”. Z góry panią przepraszam za zaistniałą sytuację. Ale kiedy meteoryt znajdzie się bezpiecznie w ładowni, statek znowu będzie należał do pani. Jutro w południe będziemy już w drodze do Nowego Jorku. Ze zdobyczą, jakiej jeszcze nie widział świat.

McFarlane dostrzegł, że na jego ustach pojawia się uśmiech; słaby, niewyraźny, lecz jednak uśmiech.

Tymczasem z pokoju radiowego wyszedł Banks.

- Mam kod identyfikacyjny tego ptaszka, proszę pani. To helikopter należący do Lloyd Holdings. Przesłał zaszyfrowany sygnał prosto do nas.

Uśmiech momentalnie znikł z twarzy Glinna. Szef EES błyskawicznie skierował spojrzenie na McFarlane'a.

Nie patrz tak na mnie, chciał głośno powiedzieć McFarlane. To ty osobiście powinienes być trzymać go na dystans.

- Spodziewany czas przylotu?

- Za jakieś trzydzieści minut. Glinn odwrócił się.

- Pani kapitan, proszę wybaczyć, lecz muszę w tej chwili dopilnować kilku ważnych spraw. Proszę podjąć te przygotowania do odpłynięcia, które w obecnej sytuacji uzna pani za nieodzowne. Wkrótce wrócę na mostek.

Szybko wyszedł, pozostawiając na stanowisku dwóch ludzi z EES. W drzwiach rzucił jeszcze, nie odwracając się:

- Sam... Pan Lloyd zapewne spodziewa się odpowiedniego powitania. Proszę się łaskawie tym zająć.

„ROLVAAG”

Godz. 00.30

McFarlane z przytłaczającym poczuciem déjà vu dreptał po głównym pokładzie, czekając, aż helikopter dotknie jego desek. Przez nieskończenie długie minuty mógł się jedynie wsłuchiwać w dudnienie rotorów dobiegające z mrocznej przestrzeni. Jednocześnie obserwował gwałtowną aktywność ludzi EES, która rozpoczęła się, kiedy mgła całkowicie uniemożliwiła obserwację tankowca z pokładu „Almirante Ramireza”. Mroczna skarpa wisiała nad „Rolvaagiem” jak miecz, ale mgła jakby wygładziła ostre krawędzie skał. Na samej górze ustawiona była blaszana szopa zakrywająca meteoryt. Główna ładownia tankowca była odkryta i strzelało z niej w górę słabe światło. McFarlane obserwował, jak w zadziwiającym tempie i harmonii cały zastęp robotników ustawiał na statku rusztowanie, które dosłownie rosło w oczach. W jasnym blasku lamp sodowych lśniły jego metalowe pręty. Dwa żurawie pracowały bez chwili przerwy. Na rusztowaniu przez cały czas znajdowało się przynajmniej dziesięciu spawaczy. Inżynierowie przebywający na pokładzie bezustannie przekazywali im przez radionadajniki nowe polecenia. Mimo ogromnego rozmiaru cała konstrukcja sprawiała wrażenie lekkiej i delikatnej. Przywodziła na myśl wielką pajęczynę

rozsnutą w trzech wymiarach. McFarlane nie był sobie jednak w stanie wyobrazić, w jaki sposób meteoryt wylądował na statku, kiedy już zostanie umieszczony na szczycie tej wieży.

Łoskot rotorów helikoptera stał się niespodziewanie głośniejszy i McFarlane potruchał w kierunku lądowiska. Z mgły zaczął się wyłaniać wielki chinook, wzbijając z pokładu drobne krople wody. Mężczyzna z lampami sygnalizacyjnymi w obu rękach wskazywał już pilotowi, jaką ma zająć pozycję. Było to spokojne, rutynowe lądowanie, pozbawione zupełnie niepewności, która towarzyszyła przybyciu Lloyda na „Rolvaag”, kiedy statek okrążył przylądek Horn.

McFarlane markotnie patrzył, jak wielkie koła helikoptera dotykają pokładu. Rola bufora i łącznika pomiędzy Lloydem a Glinem wcale go nie bawiła. W końcu nie był mediatorem, lecz naukowcem, i najął się do tego rejsu jako naukowiec. Świadomość sytuacji, w jakiej się znalazł, mocno go złościła.

Otworzył się luk w podbrzuszu helikoptera. Na pokład wyskoczył Lloyd w długim, czarnym, kaszmirowym futrze, którego poły zaraz zaczęły powiewać na wietrze wywołanym obrotami wielkich śmigieł. W ręce trzymał szary kapelusz. Światła lądowiska odbijały się od jego tyłeczka. Skok, który wykonał, jak na człowieka o jego tuszy był całkiem zgrabny. Szybko ruszył spod helikoptera, nie pochylając się, potężny i doskonale świadomy swojej pozycji. Za jego plecami od maszyny powoli oderwała się wielka hydrauliczna rampa i natychmiast na pokład „Rolvaaga” wylało się przez nią mnóstwo ludzi, zaczęto wynosić sprzęt. Lloyd podszedł do McFarlanea i mocno uściśnął jego dłoń, po czym uśmiechnął się i kontynuował marsz przez pokład, ani na chwilę się nie zatrzymawszy. Kiedy w końcu znaleźli się w wystarczającej odległości od wciąż grzmiącego helikoptera, Lloyd wreszcie przystanął i ogarnął wzrokiem fantastyczną wieżę, wznoszącą się ku górze z ładowni.

- Gdzie jest Glinn? - krzyknął.

- W tej chwili powinien być na mostku.

- Chodźmy tam więc.

*

Na mostku panowało napięcie. W słabym oświetleniu twarze ludzi miały trupiobiałą barwę. Lloyd stanął na chwilę w progu, chcąc ogarnąć wzrokiem całe pomieszczenie. Wreszcie ciężko postąpił do przodu.

Glinn stał przy konsoli EES i przyciszonym głosem mówił coś do mężczyzny operującego na klawiaturze komputera. Lloyd podszedł do Glinna i uściśnął jego wąską dłoń.

- Najważniejszy człowiek na statku! - wykrzyknął. Jeśli jeszcze w samolocie był pełen wściekłości, to teraz nie było już po niej ani śladu. Szerokim gestem wskazał na strukturę

wyrastającą z pokładu statku. - Chryste, Eli, to jest niewiarygodne. Jesteś pewien, że to utrzyma skalę ważącą dwadzieścia pięć tysięcy ton?

- Wytrzyma dwa razy tyle - odparł Glinn.

- Powinienem był się domyślić. Jak to, do diabła, ma zadziałać?

- Na zasadzie kontrolowanego upadku.

- Co? Upadku? Że też z twoich ust słyszę takie słowo. Boże, zmiłuj się.

- Przetransportujemy meteoryt na szczyt wieży. Następnie odpalimy serię ładunków wybuchowych. To sprawi, że poszczególne poziomy wieży po kolei będą się rozpadać, a meteoryt powolutku przemieści się aż na dno ładowni.

Lloyd wyteżył wzrok, spoglądając w kierunku metalowej wieży.

- Zachwycające - powiedział. - Czy kiedykolwiek w historii coś takiego już stosowano?

- Niezupełnie coś takiego.

- Jesteś pewien, że to zadziała?

Na wąskich ustach Glinna pojawił się krzywy uśmiech.

- Przepraszam, że zapytałem. To twoja działka, Eli, i nie zamierzam cię sprawdzać. Przyleciałem tutaj z zupełnie innego powodu. - Lloyd wyprostował się i popatrzył dookoła. - Nie lubię zbędnego gadania. Mamy tutaj pewien nierozwiązany problem. Zabrnęliśmy już zbyt daleko, żeby się z jego powodu zatrzymać. Przyleciałem więc, żeby znaleźć winnych i skopać komuś dupę. - Wskazał ręką na mgłę. - Tuż za naszą rufą czai się okręt wojenny wysłany tu na przeszept. Śledzi każdy nasz ruch i czeka. Cholera jasna, Eli, nic nie zrobiłeś, żeby go tutaj nie było. Jednak dosyć dręptania w miejscu. Należy ostro się do tego zabrać i od tej chwili zajmę się tym osobiście. Chilijska marynarka musi natychmiast odwołać tego cholernego kowboja. - Lloyd skierował się do drzwi. - Moi ludzie zaraz przystąpią do roboty. Eli, za pół godziny czekam na ciebie w moim gabinecie. Na razie muszę jednak wykonać kilka telefonów. W przeszłości radziłem już sobie w podobnych sprawach.

Podczas całej tej przemowy Glinn nie spuszczał z Lloyda spojrzenia swych szarych nieprzeniknionych oczu. Teraz przyłożył na moment chusteczkę do prawej brwi i popatrzył na McFarlane'a. Jak zwykle z jego wzroku nie można było niczego wyczytać. Czy było w nim zmęczenie? Niesmak? A może jedynie pustka?

W końcu odezwał się:

- Przepraszam, panie Lloyd, czyżby powiedział pan, że kontaktował się z władzami chilijskimi?

- Nie, jeszcze nie. Chciałem najpierw się dowiedzieć, co się dokładnie tutaj dzieje. Mam jednak w Chile potężnych przyjaciół. Wśród nich wiceprezydenta i amerykańskiego ambasadora.

Jakby od niechcenia, Glinn podszedł krok bliżej do konsoli EES.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe - powiedział.

- Co nie będzie możliwe? - W głosie Lloyda zaskoczenie mieszało się ze zniecierpliwieniem.

- Pańskie zaangażowanie w jakikolwiek aspekt tej operacji. Postąpiłby pan lepiej, gdyby pan pozostał w Nowym Jorku.

W głosie Lloyda zabrzmiała złość.

- Eli, tylko mi nie mów, co mi wolno, a czego nie wolno! Wszystkie kwestie techniczne pozostawiam w twoich rękach, jednak w tym wypadku chodzi o sprawę polityczną.

- Zapewniam pana, że doskonale daję sobie radę także z politycznym aspektem sytuacji.

Głos Lloyda zaczął drżeć.

- Naprawdę? Co więc robi tutaj ten niszczyciel? Jest uzbrojony po zęby i zwracam ci uwagę, że jego działa celują prosto w nas, gdybyś dotąd tego nie zauważył. Nic nie zrobiłeś wobec takiego zagrożenia. Nic!

Usłyszawszy te słowa, kapitan Britton popatrzyła na Howella, a później, bardziej znacząco, na Glinna.

- Panie Lloyd, powiem to tylko jeden raz. Postawił pan przede mną konkretne zadanie i ja je wykonuję. Pańska rola w tej chwili jest bardzo prosta: musi pan mi pozwolić na spokojne realizowanie mojego planu. Obecnie nie ma czasu na długie i do głębie wyjaśnienia.

Zamiast mu odpowiedzieć, Lloyd popatrzył na Penfolda, który ze zmieszana miną stał przy drzwiach.

- Połącz mnie z ambasadorem Throckmortonem, a zaraz potem rozszerz połączenie na biuro wiceprezydenta w Santiago. Za kilka chwil będę na dole.

Penfold zniknął.

- Panie Lloyd - odezwał się Glinn cichym głosem. - Może pan pozostać na mostku i obserwować całą akcję. To wszystko.

- Już na to za późno, Eli.

Glinn spokojnie odwrócił się i beznamytnym głosem powiedział do mężczyzny przy czarnym komputerze:

- Proszę wyłączyć zasilanie w pomieszczeniach Lloyd Industries. Następnie niech pan zawiesi wszelką łączność telefoniczną statku ze światem zewnętrznym.

Na moment zapadła przerażająca cisza.

- Ty skurwysynu! - wrzasnął Lloyd. Szybko się jednak opanował i zwrócił do kapitan Britton: - Uchylam ten rozkaz. Od tej chwili pan Glinn pozbawiony jest wszelkiej władzy.

Można było odnieść wrażenie, że Glinn tego nie usłyszał. Spokojnie nastawił częstotliwość w krótkofalówce.

- Garza? Teraz przyjmę ten raport. Przez chwilę słuchał, po czym odezwał się:

- Doskonale. Korzystając z mgły, przyśpieszymy ewakuację wyspy. Wydadź polecenie, żeby personel, który nie jest niezbędny, powrócił na statek. Przez cały czas proszę się jednak trzymać planu. Wszystkie światła mają pozostać zapalone, a sprzęt na chodzie. Rachel włączy automatyczne transmisje radiowe. Niech łódź motorowa opłynie cypel, ale musi pozostawać w zasięgu radarów „Rolvaaga” albo tych, które mamy jeszcze na wyspie.

Dopiero w tym momencie Glinnowi przerwał rozwścieczony Lloyd.

- Nie zapominasz przypadkiem, Eli, kto sprawuje najwyższą kontrolę nad tą operacją? Oprócz tego, że w tej chwili cię zwalniam, wstrzymuję wszelkie płatności na rzecz EES. - Popatrzył na kapitan Britton. - Proszę natychmiast przywrócić zasilanie w moich biurach.

Przez kilka chwil znów wszystko wskazywało na to, że Glinn wciąż nie słyszy Lloyda. Britton także ani się nie poruszyła, ani w żaden inny sposób nie zareagowała na jego słowa. Glinn nadal spokojnie konferował przez krótkofalówkę, wydając polecenia i kontrolując postęp prac. Nagły podmuch wiatru bryzgał na pleksiłasowe okna mostka ciężkimi kroplami wody. Twarz Lloyda, kiedy patrzył to na panią kapitan, to na członków jej załogi, szybko przybierała odcień bardzo głębokiej purpury. Nikt nie chciał spojrzeć mu w oczy. Cała praca na mostku zdawała się przebiegać pod dyktando Glinna.

- Czy ktokolwiek z was mnie słyszał? - zawołał Lloyd. W tym momencie Glinn wreszcie się do niego odwrócił.

- Wbrew temu, co pan sądzi, nie zapominam, że sprawuje pan najwyższą kontrolę i władzę, panie Lloyd - odezwał się niespodziewanie spokojnym, ugodowym i wręcz przyjaznym głosem.

Lloyd wziął głęboki oddech, momentalnie zbity z tropu. Tymczasem Glinn kontynuował, perswazyjnym, a nawet przyjemnym tonem:

- Panie Lloyd, każda operacja może mieć tylko jednego dowódcę. Sam pan wie o tym najlepiej. Podpisując kontrakt, do czegoś się wobec pana zobowiązałem. I nie zamierzam łamać tej obietnicy. Jeśli wydaje się panu, że jestem niesubordynowany, może i tak jest, ale,

proszę mi uwierzyć, postępuję w taki sposób wyłącznie dla pana dobra. Gdyby skontaktował się pan z wiceprezydentem Chile, wszystko byłoby stracone. Znam tego człowieka osobiście; grywaliśmy w polo na jego rancho w Patagonii. On tylko marzy o tym, żeby walnąć pięścią między oczy każdego Amerykanina, jakiego spotka na swojej drodze.

Z Lloyda jakby uszło powietrze.

- Grałeś w polo z...

Glinn kontynuował, jednak teraz mówił już trochę gwałtowniej.

- Tylko ja znam wszystkie dane i fakty potrzebne do zakończenia misji. I jeśli utrzymuję moją wiedzę w tajemnicy, to nie dla osobistej satysfakcji, panie Lloyd. Istnieje ku temu zasadniczy powód: dzięki temu nikt nie podejmuje pochopnych ani samodzielnych decyzji. Szczerze powiem, że pański meteoryt sam w sobie w ogóle mnie nie interesuje. Ale obiecałem, że przetransportuję ten obiekt z punktu A do punktu B i nikt, powtarzam, nikt mnie przed tym nie powstrzyma. Mam więc nadzieję, że zrozumie pan, dlaczego zamierzam sprawować pełną kontrolę nad całą operacją i nie wdawać się z nikim w zbędne wyjaśnienia i prognozowanie. A co do pańskiej groźby wstrzymania wypłat, tę sprawę możemy omówić jak dżentelmeni, kiedy ponownie znajdziemy się na ziemi amerykańskiej.

- Posłuchaj, Eli, wszystko to brzmi bardzo pięknie...

- Dyskusja jest skończona i od tej chwili to pan będzie słuchał moich poleceń. - Głos Glinna nagle stał się twardy i stanowczy. - Czy będzie pan spokojnie spędzał czas tutaj, czy w swoim gabinecie, czy nawet w naszym małym okrętowym areszcie, zaprowadzony tam siłą, nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

Lloyd popatrzył na niego z osłupieniem.

- Chcesz mnie zamknąć za kratkami, ty arogancki draniu? Wyraz twarzy Glinna wystarczył za odpowiedź.

Lloyd przez chwilę milczał. Jego twarz była niemal purpurowa. Po kilku sekundach zwrócił się do kapitan Britton:

- A pani dla kogo pracuje?

Jednak oczy Britton, głębokie i zielone jak ocean, spoczywały na Glinnie.

- Pracuję dla człowieka, który dysponuje kluczami do samochodu - odrzekła w końcu.

Lloyd przez moment stał w miejscu, nadęty i skrajnie zdenerwowany. Nie był w stanie natychmiast zareagować na słowa Britton. Wreszcie zaczął powoli krążyć po mostku, pozostawiając na podłodze mokre ślady, i dopiero po dłuższej chwili zatrzymał się przed

oknem. Ciężko oddychając, patrzył w przestrzeń, ale bez wątpienia nie interesowało go nic na zewnątrz.

- Ponownie rozkazuję, żeby przywrócono w moich pomieszczeniach energię elektryczną oraz łączność.

Nikt na te słowa w żaden sposób nie zareagował, Lloyd nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Stało się jasne, że nie zamierza go teraz słuchać nawet najniższy rangą oficer.

Lloyd odwrócił się i jego wzrok utkwiał w twarzy McFarlane'a. Cichym głosem miliarder zapytał:

- A ty, Sam?

W szyby uderzył kolejny mocny podmuch wiatru. McFarlane mimowolnie zadrżał. Na mostku zapanowała śmiertelna cisza, a on musiał podjąć decyzję. Nie miał jednak wątpliwości, że jest to jedna z łatwiejszych decyzji w życiu.

- Pracuję dla meteorytu - odpowiedział.

Lloyd jeszcze przez chwilę nie spuszczał z niego spojrzenia czarnych, stanowczych oczu. Ale nagle, w jednej sekundzie, jakby się skurczył. Energia i moc, jakie zdawały się otaczać jego postać, zniknęły. Przygarbił się, purpura i wściekłość z wolna opuszczały jego twarz. Odwrócił się i ruszył do drzwi. W progu zawahał się, ostatni raz przystanął i wreszcie zniknął w ciemnym korytarzu.

Tymczasem Glinn znowu zainteresował się czarnym komputerem i mężczyzną, który siedział przy klawiaturze. Spokojnym głosem zaczął wydawać mu polecenia.

„ROLVAAG”

Godz. 01.45

Kapitan Britton patrzyła przed siebie, nie zdradzając miotających nią uczuć. Panowała już nad oddechem i nad tempem, w jakim biło jej serce. W ciągu ostatniej godziny wzmógł się wiatr, który obecnie świszcział i jęczał złowieszczo, często zmieniając kierunek. Padało bardzo mocno i ciężkie krople deszczu wypadały z mgły niczym groźne kule. *Panteonero* był niedaleko.

Skierowała wreszcie spojrzenie na wieżę, wyrastającą z ładowni statku niczym ogromna pajęczna sieć. Jej szczyt wciąż znajdował się poniżej szczytu urwiska, ale zdawał się już jakby ukończony. Britton nie miała pojęcia, jaki będzie następny krok ludzi Glinna. Nieświadomość tego była bardzo nieprzyjemnym, wręcz upokarzającym uczuciem. Zerknęła na komputer EES i siedzącego przy nim mężczyznę. Do tej pory była przekonana, że zna każdą osobę obecną na pokładzie. Tymczasem ten mężczyzna był zupełnie obcym

osobnikiem, a przy tym doskonale obeznanym z funkcjonowaniem tankowca. Britton jeszcze mocniej zacisnęła usta.

Bywały, rzecz jasna, chwile, kiedy musiała przekazywać swą władzę nad statkiem - jak na przykład podczas tankowania czy wchodzenia do portu, kiedy na pokładzie zjawiał się pilot. Były to jednak oczywiste elementy, należące do rutyny dowodzenia jednostką i ukształtowane przez całe dekady. Tymczasem obecna sytuacja do takiej rutyny nie należała i była upokarzająca. Nadzór nad procesem załadunku sprawowali obcy ludzie, którzy nie dość że podpłynęli tankowcem pod sam brzeg dzikiej wyspy, to jeszcze ustawili go w odległości trzech tysięcy jardów od okrętu wojennego, który wycelował w niego lufy wszystkich dział i karabinów... Britton po raz kolejny próbowała otrząsnąć się z uczucia złości i bólu. W końcu jednak jej własne emocje nie miały tu żadnego znaczenia.

Złość i ból... Zerknęła na Glinna, który stał obok czarnej konsoli i co chwilę szeptał coś do swojego podwładnego. Przed momentem poniżył, a właściwie zdruzgotał, najpotężniejszego przemysłowca na świecie, mimo to sprawiał wrażenie zupełnie zwyczajnego, wręcz niepozornego człowieka. Od dłuższego czasu Britton obserwowała go ukradkiem. Jej złość była rzeczą zrozumiałą, ale ból po ostatnich wydarzeniach stanowił zupełnie inną kwestię. Już nieraz leżała w nocy, nie mogąc zasnąć, i rozmyślała nad tym, co też dzieje się w jego mózgu, co go nakręca, co motywuje do działania. Zadawała sobie pytanie, jakim cudem mężczyzna o tak niepozornym wyglądzie - przecież mogłaby minąć się z nim na ulicy i nie poświęciłaby mu ani jednego świadomego spojrzenia - zdołał tak szybko i gwałtownie wkraść się w jej myśli. Zastanawiała się, co sprawia, że jest taki bezwzględny, uparty i zdyscyplinowany. Czy naprawdę ma jakiś plan, czy po prostu nazywa planem serię na bieżąco podejmowanych decyzji i reakcji na nieprzewidziane wydarzenia? Najbardziej niebezpieczni ludzie to przecież ci, którzy są przekonani, że zawsze mają rację. Glinn zdawał się wszystko wiedzieć znacznie wcześniej niż inni, zdawał się też doskonale rozumieć wszystko i wszystkich. Z pewnością rozumiał i ją, Britton, może nie jako kobietę, lecz przynajmniej jako profesjonalistkę w swoim zawodzie, kapitan Britton. „Nasz sukces zależy teraz od pewnej pani subordynacji”, powiedział. Czy naprawdę uświadamiał sobie, jak się czuła w chwili, kiedy musiała oddać władzę na statku komuś innemu? Nieważne, że tylko czasowo. Zresztą, czyjej uczucia w ogóle go obchodziły?

Po drganiach statku wyczuła, że uruchomiono obie jego wielkie pompy. Do morza popłynęły rurami odprowadzającymi potoki spienionej słonej wody. W miarę, jak opróżniano komory balastowe, statek zaczął niemal niezauważalnie wynurzać się wyżej nad powierzchnię morza. Oczywiście, pomyślała Britton. To dzięki temu wieża, którą zbudowano na pokładzie,

osiągnięciu poziom meteorytu spoczywającego na skarpie. Statek i wieża po prostu uniosą się na jego spotkanie. Britton znowu poczuła falę upokorzenia. Lecz świadomość, że pozbawiono ją dowodzenia statkiem, nie osłabiała podziwu dla śmiałości planu Glinna.

Wciąż stała w miejscu, sztywna i czujna. Z nikim nie rozmawiała. Tymczasem statek unosił się na wodzie coraz wyżej, wykonywał normalne ruchy towarzyszące pozbywaniu się balastu, a ona dziwnie się czuła, będąc jedynie obserwatorem, nie zaś uczestnikiem tego procesu. W obecnych okolicznościach - przy samym brzegu wyspy i ze świadomością, że nieuchronnie zbliża się sztorm - było to doświadczenie i doznanie, które przeczyło wszystkiemu, czego dotąd nauczyła się jako marynarz.

Wreszcie koniec wieży znalazł się na wysokości szopy ustawionej na skarpie. Britton zauważyła, że Glinn szepcze coś do operatora konsoli. Po chwili przestały pracować pompy.

Z urwiska dobiegł odgłos głośnego trzasku. W powietrze uniosła się chmura dymu i w mgnieniu oka rozpadła się metalowa szopa. Dym szybko zmieszał się z mgłą i oczom Britton ukazał się meteoryt, krwawoczerwony w oświetleniu silnych lamp sodowych. Britton wstrzymała oddech. Była świadoma tego, że w tej chwili w meteorycie utkwione są oczy wszystkich osób obecnych na mostku. Wszyscy, jakby na zawołanie, zastygli w bezruchu.

Tymczasem na urwisku ożyły dieslowskie silniki i nagle zaczęły obracać się i przesuwac w skomplikowanych sekwencjach różne bloki i taśmy. Coś zapiszczało wysokim tonem i w górę uniósł się kolejny obłok dymu. A meteoryt cał po calu przesuwac się w kierunku umocnionego skraju urwiska. Britton patrzyła na to zafascynowana. Na pewien czas zupełnie zapomniała o doznany upokorzeniu. W ruchu meteorytu było coś wręcz królewskiego; przemieszczał się statecznie, powoli, jednostajnie. Minął brzeg urwiska i po chwili znalazł się na platformie. Wtedy się zatrzymał. Britton znowu odniosła wrażenie, że cały statek wibruje, ale pompy, sterowane przez komputer, utrzymywały jednostkę w miejscu doskonale stateczną. Ze zbiorników balastowych wypompowano akurat tyle balastu, aby wyrównać obciążenie statku przez meteoryt.

Britton obserwowała cały proces w napiętym milczeniu. Meteoryt lekko chwiał wieżę, pompy pracowały pełną mocą, statek drżał i cały ten balet trwał dobre dwadzieścia minut. W końcu zapanował spokój. Meteoryt bezpiecznie tkwił na szczycie wieży. Bez wątplenia jednak „Rolvaag” z meteorytem na wysokim rusztowaniu był znacznie mniej stabilny niż zazwyczaj. Zbiorniki balastowe ponownie zaczęły się napełniać. Tankowiec osiadał głębiej w wodzie, zyskując przez to na stabilności.

Glinn znowu powiedział coś do operatora komputera. Następnie skinął na Britton i przeszedł na tę część mostka, która znajdowała się najbliżej urwiska. Cisza trwała jeszcze

przez dobrą minutę. Nagle Britton poczuła na swoich plecach oddech pierwszego oficera, Howella. Stanął tuż za nią. Kobieta nawet się nie odwróciła, kiedy zaczął mówić jej do ucha:

- Proszę pani. Chcę, żeby pani wiedziała, że my, to znaczy wszyscy oficerowie i ja sam, nie jesteśmy zadowoleni z zaistniałej sytuacji. Nie podoba nam się sposób, w jaki panią potraktowano. Stoimy w stu procentach po pani stronie. Proszę powiedzieć tylko słowo... - Nie musiał kończyć zdania.

Britton pozostawała nieruchoma i skupiona.

- Dziękuję, panie Howell - odparła po kilku sekundach cichym głosem. - Naprawdę dziękuję.

Howell cofnął się, a kapitan Britton głęboko odetchnęła. Czas na działanie minął bezpowrotnie. Teraz już i ona, i jej załoga mieli związane ręce. Meteoryt nie był odtąd problemem związanym tylko z łądem. Znajdował się bowiem na statku. A w tej sytuacji pozbyć się go mogła wyłącznie poprzez bezpieczne doprowadzenie „Rolvaaga” do portu w Nowym Jorku. Znowu pomyślała o Glinnie, o tym, w jaki sposób namówił ją do przyjęcia funkcji kapitana tego statku, jak wiele o niej wiedział, jak zaufał jej podczas wizyty u celników w Puerto Williams. Z pewnością na swój sposób byli zgranym zespołem. Miała wprawdzie poważne wątpliwości, czy dobrze postąpiła, zrzekając się czasowo dowództwa nad statkiem. Ale czy miała jakiś inny wybór?

Wciąż nie ruszała się z miejsca. Tkwiła jak posąg, nieruchoma i skupiona.

Z zewnątrz przedostał się na mostek wyraźny odgłos kolejnego trzasku. Od górnej części wieży oderwał się rząd lśniących tytanowych prętów rozporowych, a towarzyszyło temu około pięciu niemal równoczesnych eksplozji, po których w powietrze uniosły się pióropusze dymu. Pióropusze szybko stopiły się z siwą mgłą, a meteoryt osiadł na niższym poziomie wieży. Statek znowu zadrżał, a do pracy znowu przystąpiły pompy sterujące jego balastem. Po chwili nastąpiła kolejna seria wybuchów, od wieży odłączył się rząd prętów, a meteoryt znów zbliżył się o kilka cali do pokładu tankowca.

Britton właściwie zdawała sobie sprawę, że obserwuje fantastyczne przedsięwzięcie inżynierskie: oryginalne, perfekcyjnie zaplanowane i doskonale realizowane. Jednak nie odczuwała z tego powodu żadnej przyjemności. Popatrzyła wzdłuż statku. Mgła zaczynała rzednąć, a w szyby mostka niemal poziomo uderzał drobny deszcz ze śniegiem. Wkrótce po mgle pozostanie tylko wspomnienie. I wtedy rozpoczną się najpoważniejsze trudności. A Vallenar niestety nie był problemem technicznym, który Glirifi mógłby rozwiązać, posługując się logiką i wiedzą. Jedyne zaś potencjalnie korzystne rozwiązanie tego problemu leżało

głęboko pod pokładem „Rolvaaga”, i to nie zamknięte w okrętowym areszcie, lecz zamrożone w kostnicy doktora Brambella.

„ROLVAAG”

Godz. 02.50

Lloyd chodził w tę i z powrotem po ciemnym gabinecie na statku z wściekłością dzikiego zwierzęcia zamkniętego w klatce. Na zewnątrz wzmógł się wiatr i co kilka chwil wstrząsał statkiem z taką siłą, że szyby w pomieszczeniach na rufie aż drżały. Lloyd jednak prawie tego nie zauważał.

Na chwilę przystanął, po czym wyjrzał do poczekalni przez otwarte drzwi swojego prywatnego gabinetu. Jej podłoga była słabo widoczna w czerwonym blasku żarówek oświetlenia awaryjnego. W rzędzie ciemnych monitorów, ustawionych wzdłuż jednej ze ścian, zobaczył kilkanaście swoich rozmazanych odbić.

Odwrócił się. Cały drżał. Jego ciało nabrzmiało ze złości pod garniturem, rozciągając włókna drogiego materiału. Wydarzyło się coś niepojętego. Taki oto Glinn, mężczyzna, którego on sam, Lloyd, wynajął za trzysta milionów dolarów, wyrzucił go z mostka statku, który przecież należał do niego! Glinn ograniczył jego władzę i wszelkie jej prerogatywy do jednego gabinetu i pozostawił go tu głuchego, zdezorientowanego i ślepego, pozbawionego energii elektrycznej i środków łączności. A przecież w Nowym Jorku przez cały czas działały się ważne rzeczy, rzeczy największej wagi, którymi na bieżąco należało się zajmować. Wymuszone zerwanie łączności ze światem kosztowało wielkie pieniądze. W całej sprawie było jednak coś więcej, coś dużo bardziej bolesnego niż strata pieniędzy. Otóż Glinn poniżył Lloydą w obecności oficerów pełniących służbę na tankowcu oraz wobec jego własnych pracowników. Lloyd mógł wiele wybaczyć, ale poniżenia wybaczyć nie zamierzał. Palmer Lloyd stawał już twarzą w twarz z prezydentami, premierami, szejkami, wielkimi przemysłowcami i szefami gangów. Żaden z nich nigdy nie potraktował go tak jak Glinn.

W napadzie wściekłości kopnął jedno z lekkich krzeseł, rozbijając je o biurko. Ale po chwili zakręcił się na pięcie i zaczął uważnie nasłuchiwać dźwięków z zewnątrz.

Zawodzenie wiatru i słabe odgłosy maszyn pracujących na wyspie docierały do jego uszu jak zwykle. Ale ponad te dźwięki przebił się inny, bardziej wyraźny. Ogarnięty złością, Lloyd nie od razu go wyłowił. Lecz usłyszał go znowu; bez wątplenia były to huki wybuchów. Docierały z bardzo bliska, z pewnością ze statku, ponieważ detonacjom towarzyszyło lekkie drganie pokładu.

Lloyd zastygł w oczekiwaniu. Stał w półmroku, spięty, nasłuchując; ciekawość walczyła w nim z wściekłością na Glinna. Po chwili usłyszał znowu - jakby trzask, po którym zaraz następowały drgania.

Coś działo się na głównym pokładzie.

Szybko wyszedł do poczekalni, a stamtąd korytarzem ruszył do głównego pomieszczenia biurowego. Jego sekretarki i asystentki siedziały tutaj wśród milczących telefonów i komputerów pozbawionych energii, cicho rozmawiając. Kiedy znalazł się w wąskim, niskim pokoju, wszystkie rozmowy urwały się. Z cienia jak duch wyłonił się Penfold i lekko pociągnął go za rękaw. Lloyd odepchnął go i, minawszy nieczynne windy, skierował się ku dźwiękoszczelnym drzwiom, które prowadziły do jego prywatnego apartamentu. Przeszedł przez wszystkie pokoje i wszedł do ostatniego, wyposażonego w okrągły bulaj, z którego rozpościerał się widok na cały statek, po czym rozsunał zasłony. Wyjrzał na zewnątrz.

Pokład poniżej aż roił się od ludzi. Robotnicy zabezpieczali sprzęt pokładowy, sprawdzali mocowania, wzmacniali włazy i drzwi - jednym słowem w pośpiechu wykonywali wszystkie czynności niezbędne przed wypłynięciem jednostki na pełne morze. Uwagę Lloyda przykuła jednak dziwaczna wieża, która wyrastała z głównej ładowni. Była niższa niż wtedy, kiedy ją widział po raz pierwszy; w rzeczy samej o wiele niższa. Otaczał ją dym i kłęby pary, mieszające się z rzednącą mgłą i doskonale osłaniające pokład przed ciekawskimi spojrzzeniami z zewnątrz. Gdy tak obserwował to wszystko, na tankowcu nastąpiły kolejne eksplozje. Meteoryt nieznacznie opadł i statek zadrżał. Na środek pokładu wybiegła grupa robotników, którzy w pośpiechu zaczęli uprzętać odłamki, przygotowując jednostkę do następnego wybuchu.

W tej chwili Lloyd zrozumiał, co Glinn miał na myśli, kiedy wspominał o kontrolowanym upadku meteorytu. Po prostu kazał wysadzać wieżę w powietrze, kawałek po kawałku. Obserwując realizację tego planu, Lloyd zaczynał pojmować, że był to najlepszy - a prawdopodobnie jedyny - sposób, żeby umieścić na pokładzie coś tak ciężkiego jak jego meteoryt. Na moment wstrzymał oddech, zafascynowany śmiałością tego rozwiązania.

Wkrótce powróciło rozdrażnienie, ale Lloyd przymknął oczy i odwrócił się. Kilkakrotnie głęboko odetchnął; bardzo starał się uspokoić.

Glinn mówił mu, żeby tutaj nie przylatywał. McFarlane powtarzał to samo. On jednak przyleciał. Tak jak wtedy, kiedy na meteoryt po raz pierwszy padły promienie słońca. Pomyślał, co się stało z osobnikiem o nazwisku Timmer, i mimowolnie zadrżał.

Cóż, zapewne ponowny przylot na miejsce rzeczywiście nie był najlepszym pomysłem. Wyruszył tutaj pod wpływem nagłego impulsu, a przecież Lloyd z zasady nie kierował się impulsami czy nagłymi zachciankami. Lecz cóż, życiowy sukces wydawał mu się już tak bliski, a ekspedycja na kraniec świata przekształciła się w tak osobiste przedsięwzięcie, że nie potrafił się powstrzymać. J.P. Morgan kiedyś powiedział:

Jeżeli czegoś pragniesz zbyt mocno, nigdy tego nie osiągniesz”. Lloyd stosował tę filozofię w swoim życiu. Nigdy nie bał się odstąpić w ostatniej chwili nawet od najbardziej lukratywnego interesu, jeśli ten wydawał się z jakiegoś powodu niepewny czy podejrzany. Umiejętność przerwania gry, nawet kiedy trzymał w ręce cztery asy, uważał za jedną ze swoich najlepszych cech jako biznesmena. Teraz, po raz pierwszy w życiu, nie był w stanie postąpić w taki sposób.

Lloyd uświadomił sobie, że rozgrywa grę, w której prawie w ogóle nie miał doświadczenia. Grę o zapanowanie nad własnymi emocjami. Doskonale zdawał sobie sprawę, że trzydziestu czterech miliardów dolarów nie zdobył bynajmniej porywcznością i brakiem rozsądku. Unikał pochopnego oceniania profesjonalistów, których zatrudniał. Dlatego w tej chwili, poniżony i pokonany, mimo wszystko zdolny był do logicznej refleksji, że Glinn wyrzucając go z mostka i odcinając od świata, w gruncie rzeczy działał w jego najlepiej pojętym interesie. Refleksja ta jednak podsyciła jego gniew. Bez względu na motyw, Glinn był po prostu arogancki i chamski. Jego spokój, pewność siebie i stawianie własnej osoby ponad wszystkich i wszystko dopiekły Lloydowi do żywego. Został poniżony, czego świadkami było mnóstwo ludzi, i nie miał prawa wybaczyć tego draniowi. Kiedy cała operacja się skończy, Glinn będzie musiał mu zapłacić - finansowo i w każdy inny możliwy sposób.

Najpierw jednak należało wywieźć stąd meteoryt. A Glinn wydawał się jedynym człowiekiem na świecie zdolnym tego dokonać.

„ROLVAAG”

Godz. 03.40

Pani kapitan, w ciągu dziesięciu minut meteoryt znajdzie się na swoim miejscu w ładowni i statek będzie znowu w pełni należał do pani. Będziemy mogli natychmiast wyruszyć w drogę.

Słowa Glinna przerwały ciszę, która panowała już od dłuższego czasu. McFarlane, tak jak wszystkie inne osoby obecne na mostku, patrzył na zewnątrz, obserwując powolny, ale regularny proces opuszczania meteorytu do wnętrza „Rolvaaga”.

Jeszcze przez minutę lub dwie kapitan Britton stała bez ruchu w tym samym miejscu, w którym znajdowała się, kiedy mostek opuszczał Lloyd. Wreszcie odwróciła się i popatrzyła

Glinnowi prosto w oczy. Po kilkunastu sekundach, kiedy uznała, że w dostateczny sposób zasygnalizowała mu swoje niezadowolenie, zwróciła się do drugiego oficera:

- Prędkość wiatru?

- Trzydzieści węzłów z południowego zachodu, w porywach do czterdziestu i wzrasta.

- Prąd wody?

Tymczasem Glinn pochylił się ku swojemu człowiekowi, wciąż zajmującemu miejsce przed konsolą, i polecił mu:

- Niech pan powie Puppupowi i Amirze, żeby natychmiast tu do mnie przyszli.

Za oknami rozległa się kolejna seria gwałtownych eksplozji. Statek jakby wsunął się głębiej do wody, jednak pompy balastowe po chwili wyrównały poziom zanurzenia.

- Zbliża się do nas front pogodowy - mruknął Howell. - Tracimy osłonę, jaką daje mgła.

- Widoczność? - zapytała Britton.

- Wzrasta do pięciuset jardów.

- Pozycja okrętu wojennego?

- Bez zmian, w odległości dwóch tysięcy dwustu jardów, zero pięć jeden.

Statkiem trochę ostrzej szarpnął kolejny podmuch wiatru. Niemal natychmiast rozległ się odgłos potężnego, głębokiego uderzenia, zupełnie inny od wszystkiego, co McFarlane słyszał do tej pory, i cała konstrukcja tankowca zadrżała.

- Otarliśmy się kadłubem o urwisko - powiedziała cicho Britton.

- Jeszcze nie możemy odpływać - oznajmił Glinn. - Czy kadłub to wytrzyma?

- Przez jakiś czas - odparła Britton głuchym głosem. - Zapewne. Otworzyły się drzwi i na mostek weszła Rachel. Rozejrzała się czujnym wzrokiem, szybko oceniając sytuację. Podeszła do McFarlane'a.

- Niech Garza lepiej się pośpieszy i umieści ten kamień w ładowni, zanim zrobimy dziurę w kadłubie - mruknęła.

Rozbrzmiały kolejne eksplozje i meteoryt opadł jeszcze niżej. Jego podstawa znajdowała się już poniżej poziomu głównego pokładu.

- Sam - powiedział Glinn do McFarlanea, nie odwracając się. - Kiedy umieścimy meteoryt bezpiecznie na statku, będzie on należał do ciebie. Chcę, żebyście razem z Rachel obserwowali go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chcę też natychmiast być informowany o wszelkich zagrożeniach i anomaliach. Nie życzę sobie ani jednej niespodzianki więcej z jego strony.

- Tak jest.

- Laboratorium jest gotowe, a nad ładownią skonstruowaliśmy platformę obserwacyjną. Jeśli będziesz potrzebował czegoś jeszcze, natychmiast mnie poinformuj.

- Widzę wyładowania elektryczne - odezwał się drugi oficer. - Burza jest już o jakieś dziesięć mil od nas.

Na chwilę zapadła cisza.

- Przyśpieszcie załadunek - niespodziewanie powiedziała Britton do Glinna.

- Nie możemy - odparł Glinn takim głosem, jakby myślał o czymś zupełnie innym.

- Widoczność tysiąc jardów - oznajmił drugi oficer. - Prędkość wiatru wzrosła do czterdziestu węzłów.

McFarlane z trudem przełknął ślinę. Wszystko rozgrywało się dotąd z tak wielką, wręcz zegarmistrzowską precyzją, że nieomal zapomniał o niebezpieczeństwie. Przypomniało mu się pytanie Lloyda:

Jak chcesz sobie poradzić z tym niszczycielem?”. Właśnie, jak sobie z nim poradzić? A przy okazji, co teraz robi Lloyd w pozbawionych prądu pomieszczeniach? McFarlane z zadziwianym małym żalem pomyślał o prawdopodobieństwie utraty siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów wynagrodzenia, prawie pewnej po tym, co powiedział. Teraz nie miało to jednak wielkiego znaczenia; przecież dostał wreszcie w swoje ręce meteoryt.

Rozległy się kolejne eksplozje i na pokład posypały się tytanowe wsporniki. Niektóre, rykoszetując, wpadły do morza, inne pozostały na pokładzie, a jeszcze inne powpadały aż do ładowni. Kilkadziesiąt drobnych odłamków coraz mocniejszy wiatr nawiał na szyby mostka. *Panteonero* był coraz bliżej.

Zatrzeszczała krótkofalówka Glinna.

- Jeszcze dwie stopy i operacja będzie skończona - rozległ się metaliczny głos Garzy.

- Pozostań na tym kanale. Informuj mnie o każdej zmianie sytuacji. Otworzyły się drzwi i na mostku pojawił się Puppup. Przecierał palcami oczy i ziewał.

- Widoczność dwa tysiące jardów - powiedział drugi oficer. - Mgła unosi się bardzo szybko. W każdej chwili okręt wojenny może nas zobaczyć.

McFarlane usłyszał łoskot pioruna. Niemal zagłuszył go kolejny huk, kiedy tankowiec po raz drugi uderzył o skały urwiska.

- Zwiększyć obroty głównych silników! - rozkazała Britton.

Po chwili do kakofonii dźwięków i wstrząsów doszły kolejne wibracje.

- Jeszcze osiemnaście cali - rozległ się głos Garzy, nadzorującego operację na głównym pokładzie.

- Pioruny w odległości pięciu mil. Widoczność dwa tysiące pięćset jardów.

- Rozpocząć zaciemnianie - polecił Glinn.

Niemal w tej samej chwili jaskrawo oświetlony pokład statku pogąrzył się w ciemności. Słabe światło padało jedynie na wierzch meteorytu, który już prawie zupełnie zniknął w ładowni. Cały statek się trząsał. McFarlane nie mógł odgadnąć, czy to z powodu wciąż trwającego załadunku meteorytu, czy z powodu wichury. Rozległy się kolejne eksplozje i meteoryt osiadł jeszcze niżej. Teraz rozkazy wykrzykiwali i Britton, i Glinn; statek zdawał się mieć dwóch dowódców. Po mgle nie było już śladu i McFarlane zobaczył za oknem białe grzywy wysokich fal. Patrzył w kierunku, gdzie się spodziewał dostrzec złowieszczą sylwetkę niszczyciela.

- Sześć cali - usłyszeli z radia głos Garzy.

- Przygotować się do zamknięcia ładowni - zarządzi! Glinn.

Na południowo-zachodnim niebie pojawiła się błyskawica, a zaraz potem rozległ się ogłuszający grzmot.

- Widoczność cztery tysiące jardów. Burza w odległości dwóch mil. McFarlane zdał sobie sprawę, że Rachel mocno ściska jego łokieć.

- Jezu, ale on jest blisko - mruknęła.

W tym momencie dojrzał go także McFarlane. Niszczyciel znajdował się po prawej stronie, co chwilę jaskrawo oświetlany przez błyskawice. Mgła już go nie zasłaniała i widoczny był w całej okazałości. Kołysał się niespokojnie na falach, dumny i groźny. Tymczasem na „Rolvaagu” rozległy się następne eksplozje, kadłub tankowca po raz kolejny zadrżał.

- Jest na miejscu - rozbrzmiał głos Garzy.

- Pozamykać drzwi mechaniczne - rozkazała Britton lakonicznym tonem. - Zerwać wszystkie cumy. Ruszamy, panie Howell. Najpierw powoli i ostrożnie. Proszę ustawić kurs na jeden trzy pięć.

Znowu powietrzem targnęły eksplozje i wielkie liny okrętowe, utrzymujące tankowiec przy brzegu, leniwie opadły do wody.

- Zmiana kursu o piętnaście stopni, wyrównanie na jeden trzy pięć - powiedział Howell.

„ALMIRANTE RANIREZ”

Godz. 03.55

Mniej więcej milę dalej kapitan Vallenar chodził nerwowo po własnym mostku. Mostek nie był ogrzewany i, tak jak lubił kapitan, wyposażony był tylko w najbardziej niezbędne sprzęty. Vallenar co chwilę spoglądał przez szyby w kierunku „Rolvaaga”, ale

przez gęstą mgłę nie mógł niczego wypatrzeć. Podszedł do *oficial de guardia en la mer*, oficera wachtowego, który stał we wnęce z radarem. Pochylił się nad jego ramieniem, żeby popatrzeć na ekran radaru śledzącego ruchy tankowca. Punkt odpowiadający „Rolvaagowi” wciąż tkwił w tym samym miejscu i Vallenar nadal nie znał odpowiedzi na nurtujące go pytania. Dlaczego statek ciągle cumował tak blisko brzegu? W obliczu nadchodzącego sztormu z każdą chwilą groziło mu tam coraz większe niebezpieczeństwo. Czyżby właśnie próbowano ładować na statek meteoryt? Raczej nie... Zanim wszystko zasnuła mgła, Vallenar obserwował, jak ludzie z „Rolvaaga” bezsilnie zmagają się z nim w głębi wyspy. Nawet teraz docierały do niego odgłosy pracujących maszyn. W eterze trwały chaotyczne rozmowy. Jednak podprowadzenie statku w tych warunkach pod samą wyspę było oczywistym idiotyzmem. A Glinn bynajmniej idiotą nie był.

A więc, do diabła, co się właściwie działo?

Dużo wcześniej wiatr przyniósł nad niszczyciel warkot silników wielkiego helikoptera, który wylądował, a potem zaraz odleciał. Do Vallenara dotarły także grzmoty wybuchów o wiele słabszych od tych na wyspie, ale bez wątplenia dochodzących z najbliższej okolicy statku. Lub wręcz z samego statku! Czyżby na pokładzie doszło do jakiegoś wypadku? Czy byli poszkodowani? Czy może to Timmer zdołał się uwolnić z aresztu, zdobył jakąś broń i próbował uciekać?

Odwrócił twarz od ekranu przestarzałego radaru i wbił skupiony wzrok w ciemność na zewnątrz. Odnosił wrażenie, iż poprzez strzępy mgły i mżawkę widzi światła. Mgła unosiła się i wiedział, że wkrótce ujrzy tankowiec gołym okiem. Kilkakrotnie zamrugał oczyma i znów wyteżył wzrok. Światła zniknęły. Silny wiatr dął w burty niszczyciela, świszcząc i zawodząc. Vallenar znał to zawodzenie. Zwiastowało *panteonero*.

Zdażył już zignorować kilka rozkazów powrotu do bazy. Każdy kolejny był bardziej ponaglący, bardziej stanowczy od poprzedniego. Korupcja była w kraju wszechpotężna, to odwoływali go skorumpowani przełożeni. Na miłość boską, nie posłucha ich, a na koniec i tak będą mu dziękować.

Poczuł ruch statku na spienionej wodzie, jakby ktoś obracał korkociąg. Bardzo nie lubił tego uczucia. Miał jednak nadzieję, że kotwica, którą rzucił w jedynym możliwym miejscu w Kanale Franklina, miejscu nie zaznaczonym na żadnej mapie, wytrzyma napór.

Co właściwie się działo?

Nie mógł czekać do południa na odpowiedź w sprawie Timmera. O pierwszym brzasku wystrzeli kilka czterocalowych pocisków w kierunku „Rolvaaga”. Oczywiście, nie

zatopi go, ale przestraszy Amerykanów i na pewno nie będą go już lekceważyć. Wtedy wyśle ultimatum: Timmer albo śmierć.

W rzednącej mgle coś błysnęło. Vallenar patrzył w dal z twarzą niemal przyklejoną do szyby. Po chwili zobaczył kolejny błysk i zaraz potem następny. Wreszcie dostrzegł sylwetkę wielkiego statku. Przyłożył do oczu lornetkę i statek niespodziewanie zniknął. Vallenar zaklął, lecz nie przestawał spoglądać w ciemność. Wkrótce zauważył światło, teraz tylko jedno, i to bardzo słabe.

Dranie zaciemnili statek.

Co chcieli ukryć?

Vallenar cofnął się i popatrzył na ekran radaru, próbując z niego odgadnąć, co się dzieje. Bo nie miał już wątpliwości, że działo się coś istotnego. Prawdopodobnie właśnie nadszedł moment działania.

Odwrócił się do bosmana.

- Proszę zarządzić alarm bojowy.

Bosman natychmiast nadał rozkaz przez interkom.

- Alarm bojowy, alarm bojowy, wszyscy na stanowiska!

Rozległ się sygnał dźwiękowy ogłaszający alarm. Niemał natychmiast na mostku zjawił się *jefe de la guardia en la mer*, oficer liniowy. Przepisowo zsalutował kapitanowi.

Vallenar otworzył jedną z szaf i wyciągnął z niej zestaw noktowizorów wyprodukowanych jeszcze w ZSRR. Jeden z nich nałożył na głowę, podszedł do okna i znowu wyjrzał na zewnątrz. Rosyjska technologia nie była tak dobra jak amerykańska, ale z drugiej strony sprzęt pochodzący z tego kraju był znacznie tańszy. Vallenar zaczął przypatrywać się tankowcowi.

Dzięki noktowizorowi widział go dużo wyraźniej. Po pokładzie biegało mnóstwo ludzi, bez wątpienia przygotowując jednostkę do odpłynięcia. Jednak największą aktywność Amerykanie wykazywali wokół wielkiego włazu umieszczonego na samym środku pokładu. Coś z niego wystawało, ale Vallenar nie był w stanie dokładnie tego zobaczyć.

W pewnej chwili nad otwartą ładownią pojawił się błysk kilku małych wybuchów. Noktowizor drugiej generacji, nie mający zabezpieczeń na podobne przypadki, eksplodował jaskrawym blaskiem. Vallenar zachwiał się i zaraz zrobił kilka kroków do tyłu. Oderwał od twarzy noktowizor i, przeklinając, zaczął palcami przecierać oczy.

- Namierzyć cel! - krzyknął do oficera liniowego. - Przygotować działa kalibru cztery cale. Strzelać tylko na mój rozkaz.

Mimo że przed oczyma wciąż wirowały mu jaskrawe płatki, Vallenar odwrócił się do oficera zbrojeniowego. Wystarczyło jedno spojrzenie, by ten odpowiedział:

- Rozkaz, panie kapitanie. Wszystkie systemy gotowe. Dane celu wprowadzone do programu namierzania.

Z kolei Vallenar zwrócił się do pierwszego oficera:

- Przygotować się do podniesienia kotwicy.
- Tak jest, przygotować się do podniesienia kotwicy.
- Stan paliwa?
- Pięćdziesiąt pięć procent, panie kapitanie.

Vallenar przymknął powieki i przez chwilę czekał, aż minie ból oczu. Wyjął z kieszeni cygaro i poświęcił dobre trzy minuty na jego zapalenie. Następnie znowu popatrzył przez okno.

- Amerykański statek rusza się - zameldował pierwszy oficer pochylony nad radarem.

Vallenar głęboko się zaciągnął. A więc nadszedł właściwy czas. Zapewne Amerykanie postanowili wreszcie rzucić kotwicę na bardziej bezpiecznych wodach, w osłoniętym miejscu u ujścia kanału. Tam mogliby w miarę spokojnie przeczekać burzę.

- Odpływa od urwiska. Vallenar czekał.
- Zmienia kurs. Obecnie zero osiem pięć.

Jeśli Amerykanie chcieli dotrzeć na spokojne wody, to płynęli w złym kierunku. Vallenar nadal czekał, ale w pewnej chwili jego ciało przebiegł zimny dreszcz. Minęło pięć minut.

- Nadal zero osiem pięć, przyśpieszył do czterech węzłów.
- Proszę kontynuować obserwację.
- Cel obraca się, przyśpieszył do pięciu węzłów, kurs jeden jeden pięć, jeden dwa zero, jeden dwa pięć...

Jak na tankowiec, ma cholerne przyśpieszenie, pomyślał Vallenar. Teraz jednak to, jakimi silnikami dysponował wielki tankowiec, nie miało żadnego znaczenia. Było fizyczną niemożliwością, żeby uciekł niszczycielowi.

Vallenar popatrzył na swoich ludzi.

- Wycelować w tankowiec z głównego działa i uszkodzić konstrukcję nadbudówki. Chcę go trochę uszkodzić, a nie zatopić.

- Cel płynie z prędkością pięciu węzłów, ustabilizował kurs na jeden trzy pięć.

Kieruje się na otwarte morze, pomyślał Vallenar. A więc wszystko jasne, Timmer nie żyje.

Casseo, oficer liniowy, odezwał się:

- Obiekt namierzony, panie kapitanie.

Vallenar z trudem walczył ze sobą, by zachować spokój i nie ujawnić otaczającym go mężczyznom uczuć, które nim zawładnęły. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek potrzebował jasności umysłu.

Opuścił rękę z cygarem i oblizał suche wargi.

- Przygotować się do odpalenia pocisku - powiedział.

„ROLVAAG”

Godz. 03.55

Glinn oddychał powoli i głęboko, czując, jak chłodne morskie powietrze wypełnia jego płuca. Jak zawsze przed akcją ogarniał go nienaturalny spokój. Statek zmierzał na otwarte morze, a pod stopami Glinna cicho dudniły wielkie silniki. Niszczyciel był ledwie widoczny nad powierzchnią wody, jaśniejszy punkt w półmroku, mniej więcej dwadzieścia stopni w prawo za rufą „Rolvaaga”.

Wszystko powinno się skończyć za pięć minut. Teraz powodzenie ekspedycji zależało jedynie od zgrania poszczególnych czynności w czasie.

Spojrzał w róg mostka. Puppup stał tam w głębokim cieniu, z rękami złożonymi na piersiach. Czekał. Podeszedł do Glinna, kiedy ten na niego skinął.

- Słucham pana.

- Bądź w pogotowiu, by w razie konieczności pomagać sternikowi. Być może będziemy musieli gwałtownie zmieniać kurs; wtedy będzie nam potrzebne twoje doświadczenie i wiedza o prądach morskich i topografii podwodnej.

- Podwodnej co...?

- Chodzi mi o rafy, skały, płycizny i miejsca na tyle głębokie, żeby bezpiecznie nad nimi przepłynąć. Przecież je wszystkie znasz.

Puppup nie zaprotestował. Ale po chwili popatrzył na Glinna niepewnym spojrzeniem jasnych oczu.

- Szefie?

- Słucham.

- Moja łódź zanurza się jedynie sześć cali pod wodę. Nigdy nie martwiłem się o inne głębokości.

- Wiem o tym. Wiem także, że tutejsze fale osiągają wysokość trzydziestu stóp i że właśnie mamy do czynienia z wysokimi falami. Ale ty wiesz, gdzie pod wodą znajdują się wraki i półki skalne. Bądź więc gotów do pomocy.

- Oczywiście, szefie.

Glinn przez chwilę patrzył, jak stary, drobny człowiek powraca do cienia. Następnie spojrzął na kapitan Britton, która stała na stanowisku dowodzenia razem z Howellem i oficerem wachtowym. Była piękną kobietą i doskonałym kapitanem statku, dotąd nie zawiodła jego oczekiwań. Głębokie wrażenie wywarło na nim przede wszystkim postępowanie Britton, kiedy czasowo pozbawiona została władzy. Zachowała pełną kontrolę nad własnym postępowaniem i okazała mnóstwo godności, nawet w tak trudnej chwili. Zastanawiał się, czy taka postawa była u niej wrodzona, czy też stanowiła efekt wcześniejszych ciężkich przeżyć.

Pod wpływem impulsu Glinn zabrał z biblioteki na statku tom poezji W.H. Audena. Zazwyczaj nie czytywał wierszy. Ich lektura zawsze wydawała mu się bezproduktywnym pościgiem za czymś całkowicie nieuchwytnym. Otworzył książkę na fragmencie zatytułowanym *Pochwała Limestone*, dotyczącym wszechstronnego rozwoju techniki. Lektura okazała się dla Glinna nowatorskim doświadczeniem. Dotąd nie miał pojęcia, jak wielka jest siła poezji, ile w jej zwięzłym języku można zawrzeć uczucia, myśli, a nawet mądrości. Przyszło mu do głowy, że dyskusja z Sally Britton na ten temat mogłaby się okazać niezwykle interesująca. W końcu to jej cytaty z Audena podczas ich pierwszego spotkania skłoniły go do sięgnięcia po tę książkę.

Wszystkie te myśli przemknęły przez umysł Glinna w ciągu niecałej sekundy. Prysłły, kiedy rozległ się niski sygnał alarmu.

Wyraźnym, spokojnym głosem odezwała się kapitan Britton:

- Okręt wojenny wymierzył w naszym kierunku radar kontroli ognia. - Popatrzyła na Howella. - Zanurzyć sondy.

Howell powtórzył rozkaz. Rozległ się dźwięk kolejnej syreny, tym razem głośniejszy.

Glinn podszedł do swojego człowieka przy konsoli komputerowej.

- Proszę to zablokować - mruknął.

Spojrzenie niespokojnych oczu kapitan Britton natychmiast pobiegło ku niemu.

- Zablokować to? - powtórzyła. Sarkazm w jej głosie mieszał się z napięciem. - A mogę się dowiedzieć, w jaki sposób?

- Za pomocą Szerokopasmowego Systemu Zagłuszania i Zapobiegania McDonnella-Dougłasa zamontowanego na pani maszcie. Niszczyciel zamierza strzelać do nas z dział, a może nawet wystrzeli torpedę. Na szczęście mamy sposoby, żeby zmienić tor każdego wymierzonego w nas pocisku.

Teraz to Howell popatrzył na Glinna z niedowierzaniem.

- Nasz statek niczym takim nie dysponuje - powiedział z przekonaniem.

- Myli się pan. Dysponujemy doskonałymi urządzeniami przechwytyjącymi. No i mamy pewne niespodzianki w iluminatorach na dziobie. - Glinn dotknął dłonią ramienia swojego człowieka. - Czas odkryć karty.

Mężczyzna wpisał na klawiaturze kilka komend i statek ostro szarpnął do przodu. Glinn patrzył, jak szyby z paru iluminatorów wypadają do wody. Z otworów wysunęło się sześć grubych luf dział strzelających pociskami kalibru dwudziestu milimetrów. Każdy pocisk zbudowany był ze zubożonego uranu, a działa, sterowane falami radiowymi, mogły bezbłędnie strzelać w kierunku pocisków zagrażających „Rolvaagowi” z częstotliwością trzech tysięcy strzałów na minutę.

- Jezu - jęknął Howell. - Przecież używanie czegoś takiego jest zabronione.

- Rzeczywiście.

- Dodatkowe wyposażenie zabezpieczające, chyba tak on to kiedyś nazwał - powiedziała Britton. W jej głosie słychać było tylko cień ironii.

Glinn popatrzył na nią.

- Proponuję, aby skierowała pani statek mocno w prawo, kiedy zaczniemy blokowanie.

- Mamy robić uniki? - zawołał Howell ze zdziwieniem. - Takim wielkim statkiem? Przecież w tej chwili na samo zatrzymanie „Rolvaaga” potrzeba trzech mil.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Proponuję jednak skorzystać z mojej wskazówki.

- Panie Howell, ster w prawo na burtę - rozkazała Britton. Howell z kolei zwrócił się do sternika:

- Ster w prawo, prawy silnik cała wstecz, lewy silnik cała naprzód. Britton popatrzyła na człowieka Glinna.

- Jeżeli niszczyciel zacznie do nas strzelać, ma pan moją zgodę na użycie wszelkich niezbędnych środków obronnych.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym nagle statek zaczął drżeć, powoli się obracając.

- To się nie uda - mruknął Howell.

Glinn postanowił nie reagować. Wiedział, że jego taktyka odniesie skutek. A nawet gdyby zawiodły środki elektroniczne, Vallenar będzie przecież celował wysoko w dziób, gdzie większych szkód raczej nie narobi. Na pewno nie będzie próbował zatopić „Rolvaaga”, przynajmniej jeszcze nie teraz. Na razie nie miał ku temu powodu.

W ciemności minęły dwie długie minuty. W momencie, kiedy niszczyciel otworzył ogień z czterocalowych dział, wzdłuż jego boku błysnęła iskra światła. Jakieś dziesięć sekund później przed dziobem „Rolvaaga”, mniej więcej po prawej stronie, w wodzie nastąpiły trzy eksplozje, jedna po drugiej. Ku niebu wzbily się gejzery białej piany, którą natychmiast rozwał silny wiatr. Glinn odnotował, że - tak jak się spodziewał - pociski uderzyły w wodę dość daleko od siebie.

Oficerowie na mostku wymienili spojrzenia. Ich twarze były blade i wyraźnie malowało się na nich przerażenie. Glinn obserwował ich ze współczuciem. Wiedział, że niezależnie od okoliczności znalezienie się po raz pierwszy pod ostrzałem jest traumatycznym przeżyciem.

- Niszczyciel zmienia pozycję - powiedział Howell, wpatrując się w ekran radaru.

- Proponuję państwu całą naprzód na kursie jeden osiem zero - zareagował Glinn łagodnym głosem.

Sternik nie powtórzył rozkazu, lecz popatrzył na kapitan Britton.

- Wtedy zejdziemy z głównego kanału, pomiędzy skały - zauważył.

Jego głos lekko drżał. - Nie są oznaczone na żadnej mapie...

Glinn skinął na Puppupa.

- Tak, szefie?

- Popłyniemy tą stroną kanału, po której znajdują się podwodne skały.

- Jasne.

Puppup zbliżył się i przystanął za sternikiem. Tymczasem Britton ciężko westchnęła.

- Wykonać rozkaz - powiedziała.

Jakaś większa fala uderzyła w dziób statku i po chwili przez pokład przetoczyła się spieniona woda. Puppup wyjrzał przez szybę w ciemność.

- Poproszę trochę w lewo - odezwał się.

- Proszę wykonać, panie Howell - zarządziła Britton zwięźle.

- Ster pięć stopni w lewo - rozkazał Howell. - Kurs jeden siedem pięć.

Nastąpiła pełna napięcia cisza, przerwana dopiero przez sternika:

- Rozkaz, proszę pana, utrzymuję kurs jeden siedem pięć. Howell pochylił się nad radarem.

- Zwiększają prędkość do dwunastu węzłów na godzinie ósmej. - Popatrzył ostro na Glinna. - Do diabła, co pan teraz planuje? - zapytał. - Uważa pan, że możemy uciec temu draniowi? Czy pan jest szalony? Za kilka minut będzie na tyle blisko nas, że zatopi

„Rolvaaga”, strzelając z czterocalowych dział, i na nic się zda nawet najlepsza ochrona elektroniczna!

- Panie Howell! - powiedziała Britton ostro. Pierwszy oficer natychmiast zamilkł.

Glinn spojrział na swojego człowieka przy komputerze.

- Uzbrojone? - zapytał. Mężczyzna pokiwał głową.

- Niech pan czeka na mój sygnał.

Glinn obserwował niszczyciel przez szybę mostka. Gołym okiem dostrzegł już, że okręt przyśpiesza. Nawet taka stara jednostka była zdolna do osiągnięcia w krótkim czasie prędkości trzydziestu czterech węzłów. W ciemności stanowiła piękny widok. Była ruchomym zbiorem kolorowych światełek odbijających się w wodzie. Glinn odczekał jeszcze chwilę i kiedy uznał, że odległość jest odpowiednia, zarządził:

- Ogień w rufę, poniżej linii wodnej.

Dwa gejzery wystrzeliły po prawej stronie okrętu. Wiatr wiejący w jego kierunku sprawił, że spieniona woda zalała cały pokład. Rozbrzmiał ostry dźwięk syren alarmowych i zaledwie po siedmiu sekundach niszczyciel skręcił gwałtownie w prawo.

Z dwiema uszkodzonymi śrubami kapitan Vallenar płynął nieuchronnie na skały. Glinn przez moment rozmyślał, bez głębszego zainteresowania, w jaki sposób kapitan wytłumaczy przełożonym utratę okrętu. O ile sam przetrwa, oczywiście.

Tymczasem na niszczycielu znów pojawiły się błyski. Vallenar strzelał do „Rolvaaga” z czterocalowych działek. Powietrze niespodziewanie przeszyły potężne huki. Tym razem Chilijczycy korzystali z działa czterdziesto-milimetrowego. Przez chwilę strzelali ze wszystkiego, czym dysponowali, w bezsilnej furii. Jednak radary „Almirante Ramireza” były bezużyteczne, okrętem nie można było już sterować, a zaciemniony „Rolvaag” zmierzał na pełne morze nowym kursem. Strzały Chilijczyków nie mogły więc, siłą rzeczy, wyrządzić mu żadnej szkody.

- Odrobinkę w lewo, szefie - powiedział Puppup, drapiąc swój wąs i wpatrując się w ciemność.

- Ster pięć stopni w lewo - powtórzyła Britton na użytek sternika, nie patrząc na Howella.

Zmiana kursu była niemal nieodczuwalna.

Puppup przez cały czas z uwagą patrzył przez szybę. Minęły tak dwie minuty, kiedy wreszcie zerknął znacząco na Glinna.

- Wypłynęliśmy.

Britton patrzyła, jak stary człowiek ponownie usuwa się w cień.

- Cała naprzód - rozkazała.

Echo wywoływane dudnieniem wielkich silników tankowca jeszcze długo odbijało się od szczytów gór i lodowców, lecz stopniowo słabło. Po kilku minutach „Rolvaag” skierował się na pełne morze.

Pół godziny później po zachodniej stronie wyspy Horn zwolnili na tyle, aby opuścić na wodę łódź motorową. Kiedy to się stało, Britton zarządziła:

- Panie Howell, opływamy przylądek Horn.

Na horyzoncie słabo zamajaczyły Cabo de Hornos. Zniknęło zagrożenie ze strony „Almirante Ramireza”, w powietrzu unosiło się tylko głośnie zawrodożenie wiatru. Było po wszystkim. Glinn ani razu nie obejrzał się na wyspę Desolación. Nie interesowało go jaskrawe oświetlenie pozostawionych tam urządzeń, nie interesowały go maszyny wciąż pracujące pełną parą na obszarach, które miały być obiektami szczególnego niby zainteresowania jego ludzi. Operacja została zakończona i czuł, że jego oddech staje się szybszy, a serce bije mocniej; rzecz normalna po tylu dniach skupienia i napięcia.

- Panie Glinn?

To mówiła Britton. W tej chwili patrzyła na niego lśniąco i czujno oczyma.

- Słucham?

- W jaki sposób zamierza pan się wytłumaczyć z zatopienia okrętu wojennego należącego do obcego kraju?

- Oni strzelali do nas pierwsi, a my działaliśmy w samoobronie. Poza tym nasze pociski jedynie zniszczyły ich układ sterowniczy. To *panteonero* ich zatopi.

- To nie załatwia sprawy. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie spędzimy wielu lat w więzieniu.

- Z całym szacunkiem, ale się z panią nie zgadzam, pani kapitan. Wszystko, czego dokonaliśmy podczas naszej ekspedycji, było legalne. Powtarzam, wszystko. Prowadziliśmy legalną operację górniczą. Odkryliśmy wielką rudę, przypadkiem był to meteoryt, jednak nie ma w tym żadnej sprzeczności z literą naszego kontraktu z Chile. Od samego początku prześladowano nas, musieliśmy wypłacać łapówki. Grożono nam. Jeden z naszych ludzi został zamordowany. W końcu, kiedy stąd wypływaliśmy, ostrzelał nas okręt wojenny działający wbrew rozkazom dowództwa. Poza tym przez cały okres trwania naszych prac ani rząd chilijski, ani indywidualni jego przedstawiciele nie kontaktowali się z nami. Zapewniam panią, że natychmiast po naszym powrocie Departament Stanu wystosuje najostrejszy protest przeciwko wrogiemu traktowaniu nas przez Chilijczyków. Grożono nam w niedopuszczalny

sposób. - Glinn na chwilę urwał, po czym posłał Britton słabiutki uśmiech. - Chyba nie sądzi pani, że nasz rząd będzie to widział inaczej, co?

Britton nadal mu się przypatrywała, cudownie zielonymi oczami. Wreszcie zbliżyła twarz do jego twarzy.

- Wie pan co? - wyszeptła mu do ucha. - Pan jest stuknięty. Glinn wyczuł w jej głosie podziw i najwyższe uznanie.

„ROLVAAG”

Godz. 04.00

Palmer Lloyd siedział w swoim gabinecie na statku, głęboko zatopiony w fotelu, plecami zwrócony do drzwi. Angielskimi butami, wykonanymi na zamówienie, przesunął na biurku bezużyteczny teraz telefon i laptop. Za szerokimi oknami widział wyłaniający się z mroku niespokojny ocean. Widok ten, osłabiony przez zielone światełka kontrolne w gabinecie, sprawiał, że Lloyd odnosił wrażenie, jakby znajdował się na samym dnie morza.

Patrzył bezmyślnie na jedną z bladozielonych diod. W czasie ostatnich wydarzeń nie opuścił fotela. Nie poruszyły go ani strzały, ani krótki wyścig z chilijskim niszczycielem, ani wybuchy, ani niespokojna podróż wokół przylądka.

Z cichym trzaskiem nagle zapaliły się wszystkie światła w gabinecie, natychmiast pograżając sztormowe morze za oknem w absolutnej czerni. W pokoju za ścianą powłączały się monitory telewizyjne; pojawiły się na nich dziesiątki gadających głów. W którymś z boksów biurowych zadzwonił telefon, potem następny i jeszcze jeden. Palmer jednak nadal się nie ruszał.

Nawet on nie potrafił odpowiedzieć precyzyjnie na pytanie, co teraz właściwie się dzieje w jego mózgu. Podczas przymusowego zaciemnienia miotła nim, oczywiście, złość. Po kolei odczuwał frustrację, poniżenie, upokorzenie, odrzucenie. Te uczucia były zrozumiałe. Glinn bez skrupułów usunął go z mostka i pozbawił możliwości działania. Jeszcze nigdy w życiu coś takiego mu się nie przytrafiło. Dlatego właśnie za grosz nie rozumiał ogarniającego go uczucia radości, przebijającego się ponad wszystkie inne. Załadunek meteorytu, unieszkodliwienie chilijskiego okrętu - to był w końcu kawał dobrej roboty.

W chwili absolutnej szczerości wobec samego siebie miliarder przyznawał, że odsyłając go z mostka, Glinn miał całkowitą rację. Metody postępowania Lloyda, skonfrontowane z misternie ułożonym i realizowanym przez Glinna planem działania, mogły wywołać jedynie katastrofę. Teraz światła znowu się paliły. Przesłanie Glinna dla Palmera Lloyda było kryształowo jasne.

Wciąż się nie ruszał, rozmyślając jeszcze o swoich minionych sukcesach. Obecna wyprawa także będzie jego sukcesem. Dzięki Glinnowi.

Ale w końcu kto Glinna wynajął? Kto wybrał właściwego człowieka, w gruncie rzeczy jedynego odpowiedniego człowieka na świecie, do poprowadzenia ekspedycji? Mimo upokorzenia Lloyd gratulował sobie tego wyboru. Meteoryt bezpiecznie znalazł się na pokładzie statku. Teraz, kiedy niszczyciel wypadł z gry, nic nie mogło już zagrozić powodzeniu wyprawy. Wkrótce „Rolvaag” znajdzie się na wodach międzynarodowych. A potem popłynie prosto do Nowego Jorku. Oczywiście, kiedy wrócą do Stanów, wybuchnie coś w rodzaju skandalu. Jednak Lloyd uwielbiał takie sytuacje, szczególnie kiedy bez cienia wątpliwości miał rację.

Głęboko wciągnął powietrze. Uczucie radości go nie opuszczało. Zadzwoił telefon na jego biurku, lecz Lloyd nie reagował. Ktoś zapukał do drzwi; bez wątpienia Penfold. Jego także zignorował. Gwałtowny podmuch wiatru zatrzęsł szybami w oknach i oblał je wodą i pianą. Wreszcie Lloyd wstał, wygładził na sobie ubranie i rozprostował ramiona. Jeszcze nie teraz, ale już wkrótce, bardzo niedługo, będzie czas, żeby wrócić na mostek i pogratulować Glinnowi ich wspólnego sukcesu.

„ALMIRANTE RAMIREZ”

Godz. 04.10

Kapitan Vallenar wpatrywał się w ciemność nocy nad przyładkiem Horn, zaciskając dłoń na rączce wewnętrznego telegrafu, szeroko stojąc na nogach, aby nie poddać się przechyłom okrętu na wzburzonej wodzie. Wiedział aż nadto dobrze, co się stało... i dlaczego.

Odsunąwszy od siebie wściekłość aż na skraj świadomości, skoncentrował się na szybkich obliczeniach. W sercu wiejącego z prędkością sześćdziesięciu węzłów *panteonero* niszczyciel będzie dryfował z prędkością dwóch węzłów. Jeśli dodać do tego wschodni prąd, również osiągający prędkość dwóch węzłów, łatwo obliczyć, że mniej więcej za godzinę okręt roztrzaska się o skały wyspy Deceit.

Czuł za plecami oddechy milczących oficerów. Czekali, aż wyda rozkaz opuszczenia okrętu. Cóż, rozczarują się.

Vallenar wziął głęboki oddech. Panował nad sobą tylko dzięki żelaznej woli. Kiedy się odezwał do oficerów otaczających go na mostku, jego głos był silny, nie zdradzał ani odrobiny wahania.

- Panie Santander - zwrócił się do oficera wachtowego. - Jakie mamy straty?

- Trudno ocenić, kapitanie. Wydaje się, że zniszczeniu uległy obie śruby. Naruszony jest ster, ale wciąż funkcjonuje. Kadłub jest nieuszkodzony. Jednak silniki są bezużyteczne. Jesteśmy zdani na łaskę wody.

- Proszę natychmiast wysłać pod wodę dwóch nurków. Chcę mieć dokładne dane na temat stanu śrub.

Oficerowie zareagowali na ten rozkaz absolutną ciszą. Vallenar odwrócił się bardzo powoli i każdego z nich zmierzył uważnym spojrzeniem.

- Panie kapitanie, to przecież dla nurka pewna śmierć - odezwał się w końcu oficer wachtowy.

Vallenar wytrzymał jego spojrzenie. W przeciwieństwie do pozostałych oficerów Santander miał stosunkowo niewielki staż na „Almirante Ramirezie”. Spędził na nim, na końcu świata, zaledwie sześć miesięcy.

- Rzeczywiście - powiedział Vallenar. - Doskonale rozumiem ten problem.

Santander uśmiechnął się.

- Dlatego wyśle pan pod wodę sześciu nurków. Dzięki temu przynajmniej jeden przeżyje i wykona zadanie.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Santandera.

- Chyba zrozumiał pan rozkaz? Jakikolwiek sprzeciw doprowadzi do tego, że sam pan stanie na czele zespołu.

- Tak jest - odparł oficer wachtowy.

- W przedniej ładowni C, po prawej stronie kadłuba, znajduje się duża drewniana skrzynia, oznaczona napisem „pociski 40 milimetrów”. W środku nie ma pocisków, jest natomiast zapasowa śruba. - Vallenar zawsze był przygotowany na wszelkie przeciwności, łącznie z utratą śruby napędzającej okręt. A niektóre części po prostu ukrywał na pokładzie, żeby nie wiedzieli o ich istnieniu skorumpowani urzędnicy z portu w Punta Arenas. - Po ustaleniu skali zniszczenia zabierzecie z zapasowej śruby te części, które będą niezbędne do naprawy. Dokonają jej nurkowie; dzięki temu odzyskamy pływalność. Czasu jest niewiele, gdyż w obecnym stanie rzeczy morze wyrzuci nas na wyspę Deceit w ciągu sześćdziesięciu minut. Rozkaz, aby opuścić statek, nigdy nie padnie. I nie będę miał dla nikogo litości. Albo odzyskamy pływalność, albo wszyscy razem zatoniemy.

- Tak jest - odparł oficer wachtowy niemal szeptem. Spojrzenia pozostałych oficerów nie pozostawiały wątpliwości, co sądzą o tym desperackim planie. Vallenar jednak całkowicie ich ignorował. Nie dbał o to, co myślą. Mieli tylko wykonywać rozkazy. Aż do tej pory je wykonywali.

„ROLVAAG”

Godz. 07.55

Manuel Garza stał na wąskiej metalowej rampie, spoglądając w dół na ogromną czerwoną skałę, która leżała pod jego stopami. Z tej wysokości zdawała się właściwie niewielka i przypominała egzotyczne jajko, spoczywające w gnieździe ze stali i drewna. Sieć, oplatająca i przytrzymująca meteoryt, była niemal dziełem sztuki, być może najlepszym projektem, jaki Garza w życiu zrealizował. Połączenie staranności i precyzji wykonania z ogromną wytrzymałością konstrukcji było doskonałe. Docenić to mógłby jedynie Gene Rochefort, ale jego nie było już wśród żywych. Garza nagle posmutniał. Szkoda, że Rochefort nie mógł tego zobaczyć. Wspaniałe konstrukcje techniczne były jedną z niewielu rzeczy przywołujących uśmiech na jego zazwyczaj ponurą, ściągniętą twarz.

Zespół spawaczy podążał za Garzą i robotnicy po kolei wstępowali za nim na rampę, szurając ciężkimi gumowymi butami. Tworzyli kolorową ekipę: mieli na sobie żółte kurtki i rękawiczki, a oznaczenia i napisy na ich ubraniach wykonane były w kolorze czerwonym.

- Wszyscy znacie swoje zadania - po raz kolejny stwierdził Garza. - Wiecie, co robić. Musimy unieruchomić to skurwysyństwo, i to natychmiast, zanim ocean jeszcze bardziej się wzburzy.

Brygadzysta żartobliwie mu zasalutował. Spawacze byli w doskonałych nastrojach. W końcu meteoryt znajdował się w ładowni, chilijski niszczyciel nie stanowił już zagrożenia, a „Rolvaag” płynął prosto do domu.

- Aha, i jeszcze jedno. Starajcie się w ogóle tego nie dotykać. Mężczyźni roześmiali się, jakby Garza właśnie opowiedział świetny dowcip. Nikt jednak nawet nie zbliżył się jeszcze do windy, która zjeżdżała na dno ładowni. Garza dostrzegł, że mimo dobrego humoru i niewątpliwej radości, iż wracają do domu, robotnicy są nerwowi. Meteoryt mógł sobie bezpiecznie spoczywać na „Rolvaagu”, ale nadal nie utracił nic z otaczającej go aury tajemniczości i grozy.

Jeśli Garza miał przełamać obawy i strach ludzi, musiał działać szybko.

- Do roboty - powiedział i serdecznie klepnął brygadzystę w plecy.

Bez dalszej zwłoki mężczyźni zaczęli wchodzić do windy. Garza początkowo chciał zostać na górze - przecież najlepszym miejscem do nadzorowania całej operacji był skraj rampy - jednak uznał, że takie zachowanie byłoby niewłaściwe. Wszedł do windy ostatni i zatrasnął za sobą kratę.

- Jedzie pan do brzucha bestii, panie Garza? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Muszę z bliska pilnować, żebyście nie narobili sobie kłopotów.

Zjechali na dno ładowni. Stępkę przykrywały stalowe dźwigary tworzące równą podłogę. Przypory bieły od rusztowania, w którym spoczywał meteoryt, w czterech kierunkach, rozprowadzając ciężar kamienia do wszystkich zakamarków statku. Posługując się przygotowanymi schematami, spawacze porozdzielali się i szybko zniknęli w gęstej sieci wsporników dookoła meteorytu. Wkrótce wszyscy znaleźli się na wyznaczonych miejscach, ale jeszcze przez dłuższą chwilę w ładowni panowała cisza. Można było odnieść wrażenie, że nikt nie chce zakłócić majestatycznego spokoju wielkiej skały. Wreszcie w półmroku pojawiły się jaskrawe punkciki. Spawacze, jakby na wspólny sygnał, uruchomili sprzęt i przystąpili do pracy.

Garza sprawdził szczegółową listę i harmonogram prac. Wkrótce był już pewien, że każdy robotnik wykonuje przydzielone mu zadanie. Kiedy płomienie palników zaczęły wgryzać się w metal, w powietrzu rozbrzmiał odgłos skwierczenia. Garza po kolei sprawdził stanowiska spawaczy. Było nieprawdopodobne, żeby któryś z nich okazał się nierozważnym śmiałkiem i zbliżył się zanadto do skały, jednak Garza wolał się o tym przekonać osobiście. Z pewnej odległości usłyszał odgłos kąpiącej wody. Bezmyślnie poszukując jego źródła, dotarł spojrzeniem do iluminatorów wznoszących się jakieś sześćdziesiąt stóp nad jego głową niczym okna stalowej katedry. Następnie popatrzył na dźwigary biegnące pionowo wzdłuż kadłuba. Były mokre. Sprawa zdawała się naturalna; wodę zęzową nabierały wszystkie statki na świecie. Słyszał szum fal rozbijających się o kadłub, czuł łagodne, powolne kołysanie statku. Pomyślał o trzech metalowych warstwach oddzielających go od bezdenne go oceanu. Była to niepokojąca myśl, dlatego natychmiast odwrócił wzrok od konstrukcji tankowca i spojrział na sam meteoryt, spoczywający w swej misternej klatce, będącej zarazem więzieniem. Chociaż z miejsca, w którym znajdował się Garza, meteoryt sprawiał bardziej imponujące wrażenie, pomniejszała je ogromna przestrzeń tankowca. Inżynier jeszcze raz spróbował ogarnąć umysłem zadziwiający fakt, że coś w sumie tak niewielkiego może tak dużo ważyć. Meteoryt, którego obwód w najszerszym miejscu sięgał dwudziestu stóp, był ciężki jak pięć wież Eiffla. Kulista, lekko pomarszczona powierzchnia, bez żadnych wgłębień jak w normalnym meteorycie. Olśniewający kolor, niemal nie do opisania. Garza z ochotą podarowałby przyjaciółce pierścionek z kamieniem właśnie z tego meteorytu. Kiedy przyszło mu to do głowy, zaraz wrócił myślami do szczątków mężczyzny o nazwisku Timmer, które pozostały w jednym z kontenerów na wyspie. Nie ma mowy, nie będzie żadnego pierścionka.

Popatrzył na zegarek. Piętnaście minut. Cała praca miała trwać dwadzieścia pięć.

- Jak leci? - zawołał do brygadzysty.

- Prawie skończyliśmy! - padła odpowiedź. Głuche echo zwielokrotniło ją w wielkiej ładowni.

Garza stał i czekał. Czuł, że przechyły statku są coraz większe. W powietrzu unosił się odór palonej stali, wolframu i tytanu.

Wkrótce ostatni ze spawaczy zakończył pracę na swoim odcinku. Garza pokiwał głową. Dwadzieścia dwie minuty; nieźle. Teraz jeszcze kilka dodatkowych spawów i wszystko będzie gotowe. Rochefort zaprojektował konstrukcję w taki sposób, żeby spawania było jak najmniej. Swoje projekty w miarę możliwości maksymalnie upraszczał. Dzięki temu do minimum ograniczał ewentualność występowania usterek i awarii. Był skromnym, prostym człowiekiem, lecz cholernie dobrym inżynierem. Garza westchnął, kiedy statek uniósł się na kolejnej fali. Żałował, że Rochefort nie może patrzeć, jak jego projekt staje się rzeczywistością w wielkiej, ciemnej ładowni statku. Niemal każdemu dużemu przedsięwzięciu EES towarzyszyła czyjaś śmierć. Trochę przypominało to wojnę. Zbyt głębokie przyjaźnie nie miały sensu...

Garza zdał sobie sprawę, że statek znowu gwałtownie tańczy na falach.

Ta musi być cholernie duża, pomyślał. Natychmiast usłyszał kakofonię trzasków i towarzyszących im jęków.

- Uwaga! Trzymajcie się! - zawołał do robotników i sam chwycił się jakiejś barierki, żeby nie upaść. Dziób statku z każdą chwilą wznosił się coraz wyżej.

Niespodziewanie Garza stwierdził, że leży na plecach w całkowitej ciemności, a jego ciało przeszywa potężny ból. Jak to się mogło stać? Czy minęła minuta, czy godzina? Nie potrafił tego określić. Jego głowa jakby wirowała. Z pewnością w ładowni nastąpił jakiś wybuch. Z ciemności docierał do niego straszliwy wrzask mężczyzny. Powietrze cuchnęło ozonem i spalonym metalem, ale ponad tym wszystkim unosił się odór krztuszącego dymu. Twarz Garzy pokrywało coś ciepłego i lepkiego. Przenikliwy ból pulsował w jego ciele w mocnym, równym rytmie, zgodnym z rytmem bijącego serca. Po chwili jednak zaczął szybko znikać. Tracąc przytomność, Garza nie czuł już nic.

„ROLVAAG”

Godz. 08.00

Palmer Lloyd nie śpieszył się z powrotem na mostek. Musiał wziąć się w garść, bo nie zamierzał okazywać urazy.

Kiedy się wreszcie tam znalazł, powitały go grzeczne, niemal obojętne skinienia głów. Na mostku panowała zupełnie inna atmosfera niż wtedy, kiedy przebywał tam ostatnio, i minęła długa chwila, zanim zrozumiał, w czym rzecz. Misja była prawie zakończona, a Lloyd

nie był już tylko pasażerem, uciążliwym intruzem w momencie, kiedy rozgrywały się wydarzenia decydujące o powodzeniu ekspedycji. Znowu był Palmerem Lloydem, właścicielem najważniejszego meteorytu, jaki odnaleziono na Ziemi, dyrektorem Muzeum Lloyda, prezesem Lloyd Holdings, siódmym nazwiskiem na liście najbogatszych ludzi tego świata.

Staął za plecami kapitan Britton. Ponad złotymi paskami na jej pagonie widział monitor wyświetlający pozycję „Rolvaaga”. Znał już ten monitor. Statek był na nim krzyżykiem, którego dłuższy koniec wskazywał kierunek poruszania się. Nieuchronnie zbliżał się do czerwonej linii przecinającej diagram w poprzek. Co kilka sekund ekran migotał. Dzięki łączności satelitarnej pozycja statku była na bieżąco uaktualniana. Kiedy przekroczy czerwoną linię, znajdzie się na wodach międzynarodowych. Swobodny i bezpieczny.

- Jak długo jeszcze? - zapytał.

- Osiem minut - odparła Britton. W jej głosie, chłodnym i stanowczym jak zwykle, nie było już napięcia tak widocznego podczas decydujących minut przy brzegu wyspy.

Lloyd popatrzył na Glinna. Ten stał obok Puppupa z rękami schowanymi za plecami i twarzą tak samo nieprzeniknioną jak zawsze. Mimo to Lloyd był pewien, że w jego pozornie beznamiętnym spojrzeniu widzi lekki blask samozadowolenia. Cóż, miał do tego prawo. W końcu zaledwie minuty dzieliły go od pomyślnego zakończenia największego naukowego i technicznego przedsięwzięcia w dwudziestym wieku. Glinn czekał na tę chwilę pozornie z wielkim spokojem.

Lloyd zerknął na pozostałe osoby zgromadzone na mostku. Oficerowie wyglądali na zmęczonych, lecz zadowolonych, że misja się kończy. Pierwszy oficer Howell miał zagadkowy wyraz twarzy. McFarlane i Amira stali w milczeniu obok siebie. Nawet przebiegły stary doktor, Brambell, wynurzył się ze swojej kajuty pod pokładem. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy, jakby przywołani jakimś tajemniczym sygnałem, zgromadzili się, aby być świadkami czegoś, co warto zapamiętać na całe życie.

Lloyd wyprostował się i odchrząknął, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Kiedy spoczęły na nim wszystkie spojrzenia, zwrócił się do Glinna:

- Eli, z głębi serca chciałbym ci złożyć moje najszczerze gratulacje. Glinn nieznacznie skinął głową. Niemal na wszystkich twarzach pojawiły się uśmiechy.

W tym momencie otworzyły się drzwi i na mostku zjawił się steward, pchając przed sobą lśniący wózek. Na wózku stało wiaderko z pokruszonym lodem, z którego wystawała butelka szampana. Obok na tacy ustawione były kryształowe kieliszki.

Lloyd radośnie zatarł ręce.

- Eli, stary łgarzu. Czasami zachowujesz się jak stara baba, ale twoja dzisiejsza akcja była nadzwyczajna.

- Rzeczywiście, mówiłem nieprawdę, kiedy twierdziłem, że zabrałem na statek tylko jedną butelkę szampana. W rzeczywistości mam całą skrzynkę.

- Wspaniale! Mamy więc dość czasu, żeby się nią zająć.

- Na razie musi nam wystarczyć ta jedna butelka. W końcu znajdujemy się na stanowisku dowodzenia „Rolvaaqa”. Ale niech się pan nie boi, kiedy zacumujemy w Nowym Jorku, osobiście odkorkuję pozostałe. Tymczasem, bardzo proszę, zechce pan czynić honory gospodarza. - Ruchem ręki wskazał na wózek.

Lloyd podszedł, wyjął butelkę z lodu i, uśmiechnąwszy się radośnie, wyciągnął ją przed siebie.

- Tylko niech pan jej nie upuści - odezwał się Puppup ledwo słyszalnym głosem.

Lloyd popatrzył na Britton.

- Jak długo jeszcze?

- Trzy minuty.

Silny wiatr rzucił na szyby spienioną wodę. *Panteonem* wciąż narastał, jednak - o czym Britton już doskonale wiedziała - statek zdąży okrążyć wyspę Staten i schować się na osłoniętych od wiatru wodach za Tierra del Fuego na długo przedtem, nim południowo-zachodnie podmuchy przejdą w znacznie bardziej niebezpieczną wichurę z północnego zachodu. Lloyd ściągnął drut z zimnej butelki i czekał.

Przez dłuższą chwilę na mostku słychać było tylko zawodzenie wiatru i przytłumiony, głuchy szum oceanu.

Wreszcie Britton oderwała wzrok od ekranu i spojrzała na Howella. Ten pokiwał głową na znak potwierdzenia.

- „Rolvaaq” wpłynął właśnie na wody międzynarodowe - powiedziała kapitan.

Zgromadzeni zareagowali na te słowa śmiechem i radosnymi okrzykami. Lloyd otworzył butelkę i zaczął nalewać szampana do kieliszków. Niespodziewanie stanął przed nim rozpromieniony Puppup z dwoma kieliszkami w rękach.

- Nalej tutaj, szefie - powiedział i uklonił się. - Jeden dla mnie i jeden dla mojego przyjaciela.

Lloyd napełnił oba kieliszki.

- A kto jest tym twoim przyjacielem? - zapytał z łaskawym uśmiechem.

Rola Puppupa w ekspedycji, chociaż niezbyt eksponowana, była w sumie kluczowa. Z pewnością znajdzie się dla niego dobre zajęcie w Muzeum Lloyda, na przykład w dziale

konserwacji zbiorów albo chociażby w ochronie. Albo coś jeszcze lepszego. W końcu starzec był ostatnim żyjącym Indianinem z plemienia Yaghan. Mógłby stać się żywym elementem jakiejś większej wystawy poświęconej temu ludowi. Coś takiego organizowano przecież już w dziewiętnastym wieku. Cóż, trzeba będzie o tym pomyśleć...

- To Hanuxa - odparł Puppup. Znowu się uklonił, a na jego twarzy pojawił się wesoły uśmiech.

Lloyd przez chwilę patrzył za nim, jak powraca na swoje miejsce pod ścianą i popija jednocześnie z dwóch kieliszków.

Radosną wrzawę na mostku zakłócił nagle zaniepokojony głos pierwszego oficera:

- Widzę jednostkę pływającą trzydzieści dwie mile od nas, dokładny kurs trzy jeden pięć, prędkość dwadzieścia węzłów.

Wszystkie rozmowy raptownie ucichły. Lloyd popatrzył na Glinna, jakby szukając u niego zapewnienia, że nic złego się nie dzieje. Jednocześnie przez jego ciało przebiegł nieprzyjemny dreszcz zaniepokojenia. Tymczasem na twarzy Glinna dostrzegł coś, czego jeszcze nigdy na niej nie widział: autentyczne zaskoczenie.

- Eli? - zapytał. - To jest chyba jakiś statek handlowy, co? Glinn bez słowa skierował się do swojego człowieka przy konsoli EES i wypowiedział do niego kilka stów przyciszonym głosem.

- To „Almirante Ramírez” - odezwała się Britton takim samym tonem.

- Co? Skąd to możecie wiedzieć, patrząc na ekran radaru? - zapytał Lloyd. Jego zaniepokojenie przerodziło się w niedowierzanie.

Britton spojrzała na niego.

- Nie możemy tego powiedzieć z całą pewnością ale czas i miejsce się zgadzają. Większość statków handlowych płynęłaby cieśniną Le Maire, szczególnie w taką pogodę. Ten jednak podąża prosto za nami, z maksymalną prędkością.

Lloyd przez chwilę obserwował Glinna konferującego z mężczyzną przy komputerze.

- Myślałem, że wyłączyłeś tego sukinsyna z gry - odezwał się wreszcie.

Glinn wyprostował się i Lloyd natychmiast zauważył, że jego twarz znów emanuje spokojem i pewnością.

- Okazuje się, że nasz przyjaciel jest niezwykle zaradny.

- Zaradny?

- Kapitan Vallenar zdołał naprawić swój okręt, przynajmniej częściowo. Nadzwyczajne osiągnięcie, aż trudno mi w to uwierzyć. Nie ma to jednak wielkiego znaczenia.

- Dlaczego nie? - zapytała Britton.

- Ponieważ nie będzie nas ściagał na wodach międzynarodowych.

- Moim zdaniem to bardzo pochojne założenie. Ten człowiek jest szalony, zdolny do wszystkiego.

- Myli się pani. Kapitan Vallenar jest z krwi i kości chilijskim marynarzem i oficerem. Jest lojalnym żołnierzem i człowiekiem honoru, wychowanym na abstrakcyjnych ideałach wojskowych. Właśnie dlatego nie przekroczy zakazanej linii i nie wpłynie na wody międzynarodowe. Gdyby to uczynił, wprawiłby w wielkie zakłopotanie swój rząd, no i zadartby z największym dostawcą pomocy humanitarnej dla swojego kraju. Poza tym nie zaryzykuje wypłynięcia uszkodzonym okrętem zbyt daleko na coraz bardziej wzburzony ocean.

- Dlaczego więc za nami płynie?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie zna naszego dokładnego położenia i ciągle ma nadzieję, że dopadnie nas, zanim znajdziemy się na wodach międzynarodowych. Po drugie, pan kapitan jest człowiekiem, który nie podda się do ostatniej chwili. Jak pies przy budzie, który napina łańcuch, chociaż wie, że i tak potencjalna ofiara jest poza jego zasięgiem, tak kapitan Vallenar podpłynie za nami na sam skraj wód należących do jego kraju i dopiero wtedy zawróci.

- Błyskotliwa analiza - stwierdziła Britton. - Tylko czy prawdziwa?

- Tak - odparł Glinn. - Prawdziwa. - Jego głos emanował absolutną pewnością.

Lloyd uśmiechnął się.

- Już raz popełniłem błąd, nie ufając ci w stu procentach. Twoja odpowiedź, Eli, mnie satysfakcjonuje. Skoro twierdzisz, że Vallenar nie przekroczy granicy wód międzynarodowych, oznacza to, że jej nie przekroczy.

Britton milczała. Glinn odwrócił się do niej i ku wielkiemu zdziwieniu Lloyda niemal czułym gestem ujął jej dłonie w swoje. Lloyd nie usłyszał, co Glinn do niej powiedział, jednak dostrzegł, że po jego słowach pani kapitan zaczerwieniła się.

- Dobrze - odrzekła ledwie słyszalnym głosem. Niespodziewanie z kąta wyszedł Puppup, trzymając przed sobą dwa puste kieliszki w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że prosi o ich uzupełnienie. Lloyd przyjrzał mu się uważnie. Starzec odruchowo, zupełnie nie poświęcając temu uwagi, utrzymywał równowagę, mimo że pokład pod jego stopami już mocno się kołysał.

- Jeszcze trochę - zażądał Metys. - Dla mnie i dla mojego przyjaciela.

Lloyd nie zdążył zareagować, bo przez mostek przebiegła potężna wibracja, po czym nastąpił głuchy huk, który wstrząsnął całym tankowcem. Światła na mostku zamigotały, a na monitorach pojawił się szary elektroniczny śnieg. Britton i jej oficerowie natychmiast zajęli miejsca na swoich stanowiskach.

- Do diabła, co to było? - zapytał Lloyd ostro.

Nikt mu nie odpowiedział. Glinn podszedł do swojego współpracownika i obaj zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. Rozmowa była chaotyczna, gwałtowna. Statek przez cały czas intensywnie wibrował, jakby pojękując.

Nagle wibracja ustała tak gwałtownie, jak się zaczęła. Ekran monitorów znowu wypełniły się treścią, wszystkie światła zapłonęły normalnym, mocnym blaskiem. Rozległ się też cichy szum i brzęk resetujących się urządzeń.

- Nie wiemy, co to było - odezwała się kapitan Britton, po długiej chwili odpowiadając na pytanie Lloyda. Wzrok miała utkwiony we wskaźnikach. - Najprawdopodobniej jakieś ogólne zakłócenie. Być może eksplozja. Zdaje się, że wpłynęła na działanie wszystkich systemów statku. - Zwróciła się do pierwszego oficera: - Proszę mnie natychmiast poinformować o skali uszkodzeń i zniszczeń.

Howell podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i wykonał dwa krótkie połączenia. Skończywszy drugą rozmowę, odłożył słuchawkę. Twarz miał szarą jak popiół.

- To ładownia z meteorytem - powiedział. - Zdarzył się poważny wypadek.

- Jaki wypadek? - zapytał Glinn.

- Wyładowanie elektryczne, którego źródłem był meteoryt. Glinn spojrzał na McFarlane'a, a następnie na Amirę.

- Idźcie tam. Sprawdźcie, co się stało i dlaczego. A pan, doktorze Brambell...

Doktora Brambella nie było już jednak na mostku.

„ALMIRANTE RAMIREZ”

Godz. 08.30

Vallenar wyteżał wzrok, wpatrując się w mrok, jakby samo wpatrywanie się mogło spowodować nagłe pojawienie się tankowca.

- Pozycja - znowu mruknął do oficera komunikacyjnego.

- W tych warunkach trudno powiedzieć, ponieważ zakłócają pracę naszego radaru, panie kapitanie. Oceniam jednak, że obiekt utrzymuje kurs zero dziewięć zero i płynie z prędkością około szesnastu węzłów.

- Odległość?

- Panie kapitanie, nie jestem w stanie dokładnie określić. Od obiektu dzieli nas mniej więcej trzydzieści mil morskich. Kilka minut temu spadła moc ich urządzeń blokujących działanie elektroniki.

Vallenar czuł rytmiczny ruch fal, unoszących i opuszczających okręt, powodujące mdłości wznoszenie się i opadanie pokładu pod stopami. Do tej pory odczuwał mdłości na morzu tylko raz, kiedy podczas ćwiczeń jego jednostka trafiła w sam środek sztormu na południe od wyspy Diego Ramírez. Wiedział, co oznacza takie zachowanie okrętu: odległość pomiędzy grzbietami fal zwiększała się i w tej chwili była równa mniej więcej dwóm długościom.

„Almirante Ramirez”. Przez tylne okna mostka widział wzburzony ocean: długie, potężne fale, zwieńczone pasmami piany. Uderzały w okręt od tyłu i przewalały się przez pokład, po czym znikwały w ciemności przed dziobem. Od czasu do czasu niszczyciel atakowała wyjątkowo wielka fala, *tigre*. Sternik tracił wtedy na moment zdolność do manewrowania okrętem, co groziło jego obróceniem i katastrofą.

Sięgnąwszy w zadumie do kieszeni, wydobyl *puro* i odruchowo obejrzał jego poplamione zewnętrzne liście. Pomyślał o dwóch martwych nurkach, których zimne i sztywne zwłoki spoczywały już w chłodni. Pomyślał o trzech innych, którzy nie wynurzyli się spod wody, i wreszcie o czwartym, trzęsącym się teraz w ostatnim stadium hipotermii. Wszyscy po prostu wypełnili swój obowiązek. Okręt znowu był zdolny do żeglugi. Prawda, z powodu uszkodzonych śrub nie mógł osiągać prędkości większej niż dwadzieścia węzłów. Jednak tankowiec osiągał jedynie szesnaście węzłów. A jego długa podróż na wschód, w kierunku wód międzynarodowych, dawała Vallenarowi czas, którego potrzebował, żeby wcielić w życie swoją strategię.

Odwrócił się i popatrzył na oficera łączności. Cała załoga była przerażona - potężnym sztormem i pościgiem. Ale taki strach bywał często stanem dobrym i pożytecznym. Powszechnie wiadomo, że przestraszeni ludzie pracują szybciej. Chociaż jeden Timmer wart był przynajmniej dziesięciu z nich.

Vallenar odgryzł koniec cygara i wypluł na podłogę. Timmer wart był tyle, ile cała ta załoga...

Kapitan zapanował nad emocjami. Powoli, spokojnie zapalił cygaro. W oknach czarnych jak atrament odbił się jaskrawy blask żarzącego się koniuszka. W tej chwili ludzie na „Rolvaagu” z pewnością już wiedzieli, że Vallenar znowu ich ściga. Tym razem będzie znacznie ostrożniejszy. Owszem, raz wpadł w pułapkę Amerykanów, ale na pewno nie pozwoli, żeby to się powtórzyło. Pierwotnie zamierzał tylko uszkodzić tankowiec. Ale teraz

było jasne, że Timmer nie żyje. Zwyczajne uszkodzenie „Rolvaaga” nie wchodziło więc już w grę.

Jeszcze cztery godziny, może nieco mniej, i tankowiec znajdzie się w zasięgu czterocalowych działek „Almirante Ramireza”. A jeśli morze choć trochę się uspokoi, Vallenaar wcześniej wystrzeli w kierunku Amerykanów torpedy.

Nie popełni błędu. Nie da im żadnych szans.

„ROLVAAG”

Godz. 09.00

Biegając centralnym korytarzem przedziału medycznego, z Rachel tuż za plecami, McFarlane niemal zderzył się z Brambellem wychodzącym z gabinetu zabiegowego. Był to jakby zupełnie inny Brambell, nie ten sam milczący, nadąsany mężczyzna, zasiadający przy stole podczas posiłków. W tej chwili Brambell był szeroko uśmiechnięty, a jego ruchy gwałtowne, energiczne.

- Chcemy zobaczyć... - zaczął McFarlane, jednak Brambell nie zatrzymał się i wkrótce zniknął za innymi drzwiami. Swoim gościom nie poświęcił ani odrobiny uwagi.

McFarlane zerknął na Rachel.

Poszedłszy za Brambellem, oboje weszli do jasno oświetlonego pomieszczenia. Lekarz, wciąż w chirurgicznych rękawiczkach, stał nad kozetką, badając nieruchomego pacjenta. Głowa mężczyzny owinięta była bandażami, a prześcieradło, na którym leżał, przesiąknięte krwią. McFarlane patrzył, jak Brambell gwałtownym, nerwowym ruchem zrywa opatrunek z czoła mężczyzny, po czym podchodzi do zlewu. Z trudem przełknął ślinę.

- Musimy porozmawiać z Manuelem Garzą - powiedział do lekarza.

- Absolutnie się nie zgadzam - odparł Brambell.

Zdjął rękawiczki, po czym zaczął myć ręce pod strumieniem ciepłej wody.

- Doktorze, musimy usłyszeć od Garzy, co się wydarzyło. Od tego zależy bezpieczeństwo statku!

Brambell stracił zainteresowanie myciem rąk i po raz pierwszy spojrzął na McFarlane'a. Jego twarz była ponura, lecz nad nią panował. Przez chwilę milczał, ale McFarlane wyczuwał, że doktor intensywnie myśli. W trudnych warunkach, pod wielką presją, musiał podjąć ryzykowną decyzję.

- Pokój numer trzy - odezwał się w końcu. Domył i wytarł ręce, po czym włożył świeże rękawiczki. - Pięć minut.

Znaleźli Garze w małym pomieszczeniu szpitalnym, rozbudzonego, w pełni świadomości. Twarz miał poranioną, pod oczyma czarne obwódki, a jego głowa była niemal

w całości obandażowana. Kiedy McFarlane otworzył drzwi, ranny zmierzył wchodzących szybkim spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok.

- Oni wszyscy nie żyją, prawda? - zapytał, wpatrując się w iluminator.

McFarlane zawahał się.

- Prawie wszyscy. Jeden przeżył.

- Ale on także umrze. - Było to stwierdzenie, a nie pytanie. Rachel podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Manuelu, wiem, że to dla ciebie trudne. Musimy się jednak dowiedzieć, co się stało w tej ładowni.

Garza nawet na nią nie spojrzał.

- Co się stało? A jak myślicie? Ten cholerny meteoryt znowu eksplodował!

- Eksplodował? - powtórzył McFarlane.

- Tak, wybuchnął. Tak jak wtedy, kiedy dobierał się do niego ten cały Timmer.

McFarlane i Rachel wymienili spojrzenia.

- Który z twoich ludzi dotknął meteorytu? - zapytała Rachel. Garza niespodziewanie odwrócił głowę i popatrzył na dziewczynę.

McFarlane nie był pewien, czy w jego wzroku czai się zaskoczenie, złość czy niedowierzanie.

- Nikt go nie dotknął.

- Przecież ktoś musiał to zrobić.

- Powiedziałem, że nikt nie dotknął meteorytu. Przez cały czas obserwowałem wszystkich swoich ludzi.

- Manuelu... - zaczęła Rachel. Garza ze złością uniósł się na łokciu.

- Czy uważasz, że pracowałem z szaleńcami? Oni nienawidzili każdego momentu, który musieli spędzić obok tego kamienia, bali się go śmiertelnie. Rachel, mówię ci, nikt nie zbliżył się do meteorytu na mniej niż pięć stóp.

Przez jego twarz przebiegł grymas bólu i mężczyzna zaraz opadł z powrotem na plecy.

Po chwili znowu odezwał się McFarlane:

- Spróbuj nam dokładnie opowiedzieć, co widziałeś. Powiedz, co pamiętasz sprzed samego wybuchu. Co się działo? Czy zauważyłeś coś niezwykłego?

- Nie. Spawanie było niemal skończone. Część ludzi zdążyła już zrobić swoje. Właściwie to finiszowaliśmy. Wszyscy nadal mieli na sobie ubiory ochronne. Statek się kołysał. W pewnej chwili jakby wspiął się na nadzwyczaj dużą falę.

- Pamiętam tę falę - powiedziała Rachel. - Jesteś pewien, że nikt nie stracił równowagi, nikt niechcący nie przyłożył dłoni...

- Nie wierzycie mi, co? Cholera jasna, ale to jest prawda. Nikt nie dotykał tego kamienia. Możecie sprawdzić taśmy, nagrania, jeżeli chcecie.

- Czy z meteorytem nie działo się nic niezwykłego? - zapytał McFarlane.

Garza przez chwilę się zastanawiał. W końcu potrząsnął głową. McFarlane pochylił się nad nim.

- Ta nadzwyczajna fala mocno zachwiała statkiem. Myślisz, że poruszyła meteorytem i z tego powodu nastąpiła eksplozja?

- Niby dlaczego? Nic się wtedy nie stało. Meteoryt ani drgnął. To na pewno nie była przyczyna.

Nastąpiła długa cisza.

- To ten cholerny kamień - mruknął Garza. - Sam z siebie. McFarlane zamrugał oczyma. Nie był pewien, czy dobrze usłyszał ostatnie słowa Garzy.

- Powiedziałem, że to ten cholerny kamień. On chce, żebyśmy zginęli. Wszyscy.

Wypowiedziawszy te słowa, Garza odwrócił głowę w kierunku iluminatora i nie powiedział już więcej ani słowa.

„ROLVAAG”

Godz. 10.00

Za oknami mostka ukazał się ponury poranek i wzburzony ocean. Na zachodnim horyzoncie widoczne były niezliczone grzywy potężnych fal, niestrudzenie zmierzających w kierunku tankowca i ginących na wschodzie. *Panteonem* był coraz potężniejszy. Zawodzący wiatr zdawał się rozrywać wierzchołki fal i zamieniać krople spienionej wody w płaty białej piany. Wielki tankowiec to unosił się, to opadał pomiędzy fale, jakby całkowicie zdany na ich łaskę i niełaskę.

Eli Glinn stał samotny przed jednym z okien, z dłońmi złączonymi na plecach. Bez zainteresowania patrzył na sceny rozgrywające się na zewnątrz. Był spokojny jak nigdy od czasu, kiedy rozpoczął realizację projektu. Obfitowała ona w nadzwyczajne niespodzianki i wydarzenia. Nigdy dotąd Glinn nie musiał się zmagać z podobnymi przeciwnościami i trudnościami. Nawet tutaj, na statku, meteoryt jakby z niego drwił i starał się pokrzyżować jego plany. Howell wrócił z pomieszczeń szpitalnych z informacją o sześciu ofiarach śmiertelnych i ciężko rannym Garzy. A jednak EES i tak odniosło sukces. Jedno z największych przedsięwzięć inżynierskich zakończyło się powodzeniem.

Mimo to Glinn za nic w świecie nie podjąłby się realizacji podobnego projektu w przyszłości.

Odwrócił się. Britton i kilku jej oficerów miało nosy niemal przyklejone do ekranu radaru, śledząc „Almirante Ramireza”. Lloyd przez cały czas krążył za ich plecami. Wyczuwało się w nich wszystkich ogromne wewnętrzne napięcie. Najwidoczniej zapewnienia Glinna co do kapitana Vallenara ich nie przekonały. Cóż, była to naturalna, chociaż nielogiczna reakcja. Przecież Glinn jeszcze nigdy się w takiej sytuacji nie pomylił. Poza tym znał Vallenara. Spotkał się z tym człowiekiem na jego własnym gruncie. Widział żelazną dyscyplinę panującą na jego okręcie. Dostrzegł w nim znakomitego marynarza i zarazem dumnego oficera, bezgranicznie kochającego własny kraj. Ten człowiek przenigdy nie przekroczy granicy zakazanej strefy. W każdym razie nie uczyni tego dla jakiegoś tam meteorytu. W ostatniej chwili zawróci, a to dla „Rolvaaga” będzie oznaczać koniec wszelkich kłopotów i bezpieczny powrót do domu.

- Pani kapitan - odezwał się. - Jaki kurs zaproponuje pani, żeby wypłynąć z Cieśniny Drake'a?

- Kiedy tylko „Ramirez” zawróci, zarządzę kurs trzy trzy zero, żebyśmy mogli wypłynąć na spokojniejsze wody, osłonięte od wiatru przez kontynent południowoamerykański, i wydostać się z zasięgu huraganu.

Glinn pokiwał głową.

- Doskonale. To nastąpi już niedługo. Britton znowu popatrzyła na monitor. Milczała.

Glinn podszedł kilka kroków i razem z Lloydem stanął za jej plecami. Na elektronicznym ekranie zielona kropka oznaczająca pozycję Vallenara szybko zbliżała się do granicy wód międzynarodowych. Glinn nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. Czuł się, jakby obserwował w telewizji zawody jeździeckie, których wynik znał jeszcze przed zakończeniem gonitwy.

- Czy ktokolwiek nawiązał kontakt radiowy z „Ramirezem”?

- Nie - odpowiedziała Britton. - Przez cały czas utrzymują ciszę radiową. Nie kontaktują się nawet z własną bazą. A Banks słyszał, jak baza wywoływała ich już ładnych kilka godzin temu.

Naturalnie, pomyślał Glinn. Wszystko doskonale pasuje do profilu Vallenara.

Pozwolił sobie na dłuższe przyjrzenie się kapitan Britton. Podobały mu się jej piegi, porozrzucane po całym nosie, podobała mu się jej postawa i sposób, w jaki wykonywała swoje obowiązki. W tej chwili wątpiła w trafność jego oceny Vallenara. Cóż, później przyzna mu rację. Pomyślał o odwadze, jaką okazała, o jej bezbłędnym wyczuciu sytuacji i spokoju,

którego nie straciła nawet w sytuacji wielkiego napięcia. O godności, jaką zachowała, kiedy musiał odebrać jej dowodzenie. Czuł, że Sally Britton była kobietą, której mógłby do końca i bezgranicznie ufać. Może była właśnie tą, której przez całe życie szukał? Musiał jeszcze o tym pomyśleć. Teraz zaczął się zastanawiać nad strategią jej zdobycia, nad ścieżkami, które prowadziłyby do potencjalnej porażki, nad tym, jak najlepiej postępować, żeby osiągnąć cel...

Znowu zerknął na ekran radaru. Od czerwonej linii kropkę dzieliły zaledwie minuty. Zaczął się denerwować, chociaż wziął przecież pod uwagę wszystkie czynniki. Vallenar z całą pewnością zrezygnuje z pościgu.

Celowo odwrócił wzrok od ekranu i podszedł do okna. Widok za szybą robił wielkie wrażenie. Fale przelewały się przez główny pokład tankowca i niknęły za rufą. Mimo sztormu „Rolvaag” bez trudu utrzymywał właściwy kurs. Meteoryt w środkowej ładowni służył tankowcowi za dodatkowy balast.

Glinn popatrzył na zegarek. W każdej chwili Britton powinna zameldować, że „Ramirez” zawrócił.

Nagle w grupie ludzi skupionych wokół radaru rozległ się pomruk niedowierzania.

- „Ramirez” zmienia kurs - powiedziała Britton, odrywając wzrok od ekranu.

Glinn pokiwał głową, tłumiąc uśmiech.

- Skręca na północ, na kurs zero sześć zero. Glinn czekał.

- Właśnie przekroczył linię - dodała Britton półgłosem. - Utrzymuje kurs zero sześć zero.

Glinn zawahał się.

- Może mieć kłopoty z nawigacją. Na pewno ma uszkodzony ster. Mijały kolejne minuty. Glinn odszedł wreszcie od okna i zbliżył się do radaru. Zielona kropka nadal posuwała się na północny wschód. Okręt Vallenara nie ścigał wprawdzie „Rolvaaga”, ale też nie wycofywał się. Dziwne. Glinna zaczęły ogarniać coraz większe wątpliwości.

- W każdej chwili zawróci: - mruknął.

Jednak „Ramirez” nie zawracał, a na mostku „Rolvaaga” utrzymywała się napięta cisza.

- Utrzymać prędkość - zarządził Howell.

- Skręcaj - znów mruknął Glinn.

„Ramirez” ani myślał go słuchać. Jedyne lekko skorygował kurs i teraz utrzymywał kierunek zero pięć zero.

- Do diabła, co on robi? - niespodziewanie wybuchnął Lloyd. Britton wyprostowała się i spojrzała Glinnowi prosto w oczy. Milczała, ale słowa były niepotrzebne: wyraz jej twarzy mówił wszystko aż nadto wyraźnie.

Zwątpienie przebiegło wzdłuż ciała Glinna jak krótki dreszcz, ale szybko nad sobą zapanował. Już wiedział, na czym polega problem.

- Oczywiście. Vallenar ma nie tylko kłopoty ze sterem, ale nasze urządzenia zakłócające uszkodziły jego systemy nawigacyjne. On nie wie, gdzie jest. - Rzekł, po czym zwrócił się do swojego człowieka przy konsoli: - Proszę wyłączyć osłonę elektroniczną. Niech nasz przyjaciel zorientuje się w swoim położeniu.

Mężczyzna wystukał na klawiaturze kilka poleceń.

- Zbliżył się do nas na odległość dwudziestu pięciu mil - stwierdził Howell. - Jesteśmy w zasięgu jego torped.

- Wiem o tym - mruknął Glinn.

Na mostku znów zapadła cisza. Po chwili ponownie przerwał ją Howell:

- Sprawdza nas radarem naprowadzającym. Prawdopodobnie już zna nasz kurs i odległość od niego.

Po raz pierwszy od dnia, kiedy ostatecznie zrzucił mundur komandosa, Glinn poczuł mrozącą krew w żyłach niepewność.

- Dajmy mu jeszcze kilka minut. Niech się zorientuje, że obie jednostki płyną po wodach międzynarodowych.

Znowu kilka minut upłynęło w absolutnej ciszy.

- Na miłość boską, proszę natychmiast włączyć osłonę elektroniczną! - powiedziała Britton ostrym tonem.

- Jeszcze moment. Proszę.

- „Ramirez” wystrzelił torpedę - poinformował Howell.

- Przygotować się do zastosowania automatycznej osłony antytorpedowej - rozkazała Britton.

Kolejne minuty minęły na mostku w wielkim napięciu.

Nagle statek lekko zadrżał. To zaczęły strzelać pociski antytorpedowe. Wkrótce za prawą burtą statku nastąpił potężny wybuch i w powietrze wzbija się fontanna wody. Niewielki szrapnel uderzył w szybę mostka i pozostawił na niej drobne pęknięcie w kształcie wieloramiennej gwiazdy.

- Wciąż jesteśmy namierzani radarem - odezwał się Howell.

- Panie Glinn! - zawołała Britton. - Niech pan każe swojemu człowiekowi natychmiast włączyć osłonę elektroniczną!

- Włączyć osłonę elektroniczną - zarządził Glinn słabym głosem. Musiał oprzeć się dłonią o stolik, na którym znajdowała się konsola EES.

Wpatrywał się w migający nieustępliwie punkt na ekranie, gorączkowo szukając odpowiedzi na pytanie, o co chodzi Vallenarowi, do czego zmierza. Oczywiście Glinn spodziewał się, że zostaną zaatakowani. Ale teraz, kiedy Vallenar przekonał się, że torpedy może sobie posyłać jedynie na wiwat, powinien zawrócić. Glinn czekał, wręcz błagając w myślach zieloną kropkę, żeby zawróciła.

Jednak pulsujący zielony punkt pozostawał na swoim stałym kursie. Prawda, nie był to kurs „Rolvaaga”, tym niemniej okręt przez cały czas kierował się coraz dalej ku wodom międzynarodowym.

- Eli! - zawołał Lloyd.

Niespodziewanie jego głos zabrzmiał dziwnie chłodno i spokojnie. Glinn z wysiłkiem oderwał się od swoich spekulacji i powoli podniósł głowę. Wtedy napotkał twardy jak kamień wzrok Lloyda.

- On nie ma najmniejszego zamiaru zawrócić - powiedział Lloyd. - Poluje na nas. Chce nas wszystkich zabić.

„ROLVAAG”

Godz. 10.20

Sally Britton przygotowywała się metodycznie do obrony statku przed nieuchronnym zagrożeniem, po kolei ogarniając wszystkie detale. Koncentrowała się tylko na tym, co miało się wkrótce wydarzyć. Jedno spojrzenie na bladą, ściągniętą twarz Glinna sprawiło, że opuściła ją cała złość na człowieka, którego przewidywania się nie sprawdziły. Mimo że jego błąd sprowadził na statek i płynących nim ludzi śmiertelne niebezpieczeństwo, odczuwała wobec niego jedynie współczucie. Ona sama popełniła kiedyś omyłkę, dowodząc podobnym statkiem, i nie było to wcale bardzo dawno temu.

Skierowała uwagę na tylną ścianę mostka, gdzie wisiała wielka mapa morska, rejon przylądka Horn. Wpatrując się w nią, powoli się uspokajała. Przed „Rolvaagiem” rysowało się bowiem kilka opcji wyjścia z trudnej sytuacji. Jeszcze nie wszystko było stracone.

W pewnej chwili poczuła, że stanął za nią Glinn. Odwróciła się i zauważyła, że na jego twarz powróciły normalne barwy. W oczach nie było już śladu po szoku i niepewności. Britton stwierdziła ze zdumieniem, że temu mężczyźnie jeszcze wiele brakowało do przyznania się, że poniósł porażkę.

- Pani kapitan - odezwał się. - Moglibyśmy chwilę porozmawiać? Britton kiwnęła głową potakująco.

Stanął obok niej i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki jakąś kartkę papieru.

- Mam tutaj wszystkie dane techniczne «Almirante Ramirez». Trzy tygodnie temu były w stu procentach zgodne ze stanem faktycznym.

Britton popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Skąd pan to wziął?

- Z naszego Departamentu Spraw Wewnętrznych.

- Posłuchajmy więc tych informacji.

- „Almirante Ramírez” jest niszczycielem klasy Almirante, zbudowanym dla Chile przez stocznnię Vickers-Armstrong w Zjednoczonym Królestwie. Stępkę położono w 1957 roku, właściciel odebrał gotowy okręt w 1960 roku. Jego załogę stanowi dwustu sześćdziesięciu marynarzy oraz siedemnastu oficerów. To oznacza...

- Przecież nie muszę wiedzieć, ile oni serwują dziennie posiłków. Proszę przejść do rzeczy. W jaki sposób mogą nam zagrażać?

Glinn opuścił wzrok na kartkę.

- W latach siedemdziesiątych niszczyciel został przystosowany do przenoszenia i wystrzeliwania czterech torped Aerospatiale 38 Exocet. Ich zasięg wynosi dwadzieścia pięć mil morskich. Szczęśliwie dla nas wykorzystuje się w nich radarowy system naprowadzania starszej generacji, który nie jest w stanie oszukać naszych nowoczesnych systemów osłony elektronicznej. Zatem torpedy te są właściwie bezużyteczne wobec nas, nawet jeśli Vallenar strzelałby nimi, mając z nami kontakt wzrokowy.

- Czym jeszcze dysponuje?

- Czterema czterocalowymi działkami marki Vickers, dwoma na dziobie i dwoma na rufie. Wystrzeliwiają do czterdziestu pocisków na minutę, mają zasięg dziesięciu mil morskich. Zazwyczaj kieruje się ich ogniem przy użyciu radarów naprowadzających SGR 102, jednak w razie potrzeby można także określać cel wizualnie.

- Dobry Boże... Czterdzieści pocisków na minutę z każdego działa?

- Niszczyciel posiada także cztery czterdziestomilimetrowe działa Bofors o zasięgu sześciu i pół mili. One z kolei oddają nawet trzysta strzałów na minutę.

Britton poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Każde z tych urządzeń może w ciągu kilku minut zmieść nas z powierzchni oceanu. Nie możemy więc pozwolić, żeby niszczyciel podплыwał do nas na zasięg strzału.

- Celowanie wizualne na wzburzonym morzu może być trudne. Ale ma pani rację, pod ogniem zaporowym długo nie wytrzymamy. Musimy więc zwiększyć prędkość.

Britton przez chwilę milczała.

- Zapewne wie pan, że płyniemy z prędkością szesnastu węzłów i turbiny pracują pełną mocą. - Odwróciła się do pierwszego oficera. - Panie Howell, czy możemy wycisnąć z naszego „Rolvaaga” jeszcze trochę szybkości?

- Być może jeszcze jeden węzeł.

- Bardzo dobrze. Niech pan tak zrobi. - Teraz z kolei Britton zwróciła się do sternika: - Cała naprzód, sto dziewięćdziesiąt.

Tankowiec odpowiedział dodatkowym drzeniem, kiedy obroty silnika wzrosły do stu dziewięćdziesięciu na minutę. Takie tempo da im - Britton szybko obliczyła w pamięci - dodatkowe cztery godziny, zanim statek znajdzie się w zasięgu „Almirante Ramireza”.

Z powrotem skoncentrowała uwagę na Glinnie i jego dokumentacji.

- Przyszło mi do głowy, że najlepszym wyjściem dla nas byłoby jak najszybsze wpłynięcie na wody terytorialne Argentyny. Argentyńczycy są zajadłymi wrogami Chile i z pewnością nie spodoba im się, że jakiś chilijski niszczyciel ściga nas po ich wodach terytorialnych. Mogliby to uznać nawet za akt wojny. - Popatrzyła na Glinna, jednak jego lekko zamglony wzrok niczego jej nie powiedział. - Moglibyśmy też popłynąć do brytyjskiej bazy marynarki wojennej na Falklandach lub poinformować nasz rząd przez radio, że ściga nas chilijski okręt wojenny. Być może rząd zagroziłby wtedy sukinsynowi jakąś akcją militarną.

Długo czekała na odpowiedź Glinna. Wreszcie odezwał się:

- Teraz rozumiem, o co chodziło Vallenarowi, kiedy dokonywał drobnych korekt kursu.

- O co?

- Odciał nas.

Britton szybko spojrzała na mapę. „Ramirez” znajdował się dwadzieścia mil na północny zachód od nich i płynął kursem trzy zero zero. W jednej chwili wszystko zrozumiała.

- Cholera jasna - jęknęła.

- Jeśli zmienimy kurs na Argentynę albo na Falklandy, prześcignie nas mniej więcej tutaj. - Glinn narysował palcem na mapie małe kółko.

- Skierujmy się więc z powrotem na zachód, do Chile - powiedziała Britton gwałtownie. - Przecież jeśli będzie chciał nas zatopić na redzie w Puerto Williams, na pewno nie ujdzie mu to na sucho.

- Bez wątpienia. Niestety, nawet jeśli teraz zawrócimy, Vallenar dopadnie nas tutaj. - Glinn zakreślił na mapie kolejne kółko.

- Zatem skierujmy się do brytyjskiej stacji naukowej na wyspie Georgia Południowa.

- Wtedy dopadnie nas tutaj.

Britton patrzyła na mapę, a po jej plecach przepłynęła fala zimnego dreszczu.

- Widzisz, Sally - mogę mówić do ciebie Sally? - kiedy Vallenar zmieniał kurs na północno-wschodni, przewidywał już, dokąd ewentualnie moglibyśmy mu uciec. Gdybyśmy zdawali sobie wtedy z tego sprawę i zareagowali natychmiast, najprawdopodobniej zdołalibyśmy dotrzeć przynajmniej do Argentyny. Ale teraz nawet taki kierunek ucieczki jest dla nas zamknięty.

Britton poczuła ucisk w klatce piersiowej.

- Marynarka Stanów Zjednoczonych...

- Mój człowiek już to sprawdził. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nie możemy liczyć na żadną skuteczną pomoc.

- Ale przecież na Falklandach jest baza marynarki brytyjskiej, i to uzbrojona po zęby!

- To również rozważyliśmy. Podczas wojny o Falklandy Chile było sprzymierzeńcem Brytyjczyków. Jeśli Stany Zjednoczone miałyby poprosić Wielką Brytanię o pomoc w starciu przeciwko byłemu sojusznikowi i wykorzystanie w tym celu bazy, o którą Chilijczycy dzielnie walczyli, cóż... Muszę powiedzieć, że realizacja takiej prośby zabrałaby więcej czasu, niż my w tej chwili mamy, nawet przy uwzględnieniu kontaktów moich i pana Lloyda. Nieszczęśliwie dla nas wody południowego Atlantyku nie są obszarem większego zainteresowania żadnej z potęg morskich. A z tego wynika, że jesteśmy zdani wyłącznie na siebie.

Britton popatrzyła na Glinna. Ten bynajmniej nie zamierzał unikać jej spojrzenia. Jego szare, ponure oczy miały kolor oceanu. Jednak na ich dnie czaiły się małe iskierki, świadczące, że w umyśle Glinna krystalizuje się jakiś plan. Britton aż bała się zapytać o jego szczegóły. Tymczasem Glinn powiedział po prostu:

- Popłyniemy na południe. Do granicy lodu. Britton nie wierzyła własnym uszom.

- Chcesz popłynąć do Ryczących Sześćdziesiątek, pomiędzy lód, i to podczas takiego sztormu? To szaleństwo! Nie ma takiej opcji.

- Masz rację - odparł Glinn bardzo cicho. - To nie jest żadna opcja. To jest jedyne wyjście.

„ALMIRANTE RAMIREZ”

Godz. 11.00

Wkrotce po nadejściu świtu Vallenar stwierdził, że wiatr zgodnie z oczekiwaniami nieuchronnie zmienia kierunek na zachodni. Jego plan zaczynał funkcjonować. Amerykanie poniewczasie, ale pewnie już się zorientowali, że są odcięci od wszelkich źródeł ratunku. Mogli płynąć wyłącznie na południe, ku Ryczącym Sześćdziesiątkom. Tak też postanowili, zmienili bowiem kurs na jeden osiem zero, prosto na południe. Tam ich dopadnie, tam zakończy się gra: na granicy lodu, w czarnych, zmrożonych wodach Oceanu Antarktycznego.

Spokojnie, lecz stanowczo odezwał się:

- Od tej chwili obejmuję dowodzenie na mostku. *Oficial de guardia*, oficer wachtowy, powtórzył rozkaz:

- Tak jest, kapitan obejmuje dowodzenie na mostku.

- Kurs jeden osiem zero - powiedział Vallenar do oficera nawigacyjnego.

Wykonanie rozkazu musiało sprawić, że fale zaczną uderzać prosto w rufę okrętu. Było to położenie dla niszczyciela najbardziej niebezpieczne ze wszystkich i oficerowie na mostku doskonale o tym wiedzieli. Vallenar czekał, aż oficer nawigacyjny powtórzy rozkaz i wyda polecenie sternikowi. Przez kilka chwil nic takiego się nie działo.

- Panie kapitanie... - odezwał się oficer wachtowy.

Vallenar nie odwrócił się, żeby na niego spojrzeć. Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, co się za moment zdarzy. Jedyne kątem oka dostrzegł oficera nawigacyjnego i sternika. Stali wyprostowani, bez ruchu.

A więc nastąpiło to, czego się spodziewał. Lepiej że w tej chwili niż znacznie później.

Wreszcie odwrócił się do oficera wachtowego i uniósł brwi.

- Panie Santander, czyżbyśmy mieli jakieś problemy z przepływem rozkazów na mostku? - zapytał łagodnym tonem.

- Oficerowie „Almirante Ramireza” chcieliby się dowiedzieć, jaka jest nasza misja, panie kapitanie.

Vallenar czekał w milczeniu na ciąg dalszy. Już dawno temu przekonał się, że milczenie dowódcy budzi większą grozę niż słowa. Minęła długa minuta, zanim przemówił:

- Czy chilijskim oficerom wolno sprzeciwiać się rozkazom dowódcy?

- Nie, panie kapitanie.

Vallenar wyciągnął z kieszeni *puro*, przez chwilę rolował je pomiędzy palcami, po czym odgryzł jego koniec, wsunął je pomiędzy wargi i zassał przez nie powietrze.

- Dlaczego zatem mi się pan sprzeciwia? - zapytał łagodnie.

- Z powodu niezwyklej i nietypowej natury obecnej misji, panie kapitanie.

Vallenar wziął cygaro do ręki i dokładnie je obejrzał.

- Niezwyklej i nietypowej? W jakim sensie? Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

- Odnosimy wrażenie, panie kapitanie, że minionej nocy polecono nam powrócić do bazy. Nic nam nie wiadomo o tym, by „Ramirezowi” rozkazano ścigać statek cywilny.

Vallenar skrzywił się na dźwięk słowa „cywilny”. Oficer wypowiedział je z naganą w głosie, jakby sugerował, że Vallenar podjął tchórzliwy pościg za nieuzbrojonym przeciwnikiem. Kapitan ponownie wciągnął powietrze przez niezapalone cygaro.

- Panie Santander, niech mi pan powie, czy obowiązują pana tutaj rozkazy kapitana okrętu, czy rozkazy komendanta bazy znajdującej się na lądzie?

- Obowiązują mnie rozkazy kapitana okrętu.

- I ja jestem tym kapitanem?

- Tak jest.

- A więc nie ma nad czym dyskutować.

Vallenar wyjął z kieszeni munduru pudełko zapalek, otworzył je, potarł jedną zapalną o draskę i zapalił cygaro.

- Panie kapitanie, bardzo przepraszam, ale pańskie słowa nas nie zadowolają. Zginęli ludzie, którzy naprawiali śrubę okrętu. Z całym szacunkiem prosimy o udzielenie nam informacji na temat naszej obecnej misji.

Vallenar w końcu się odwrócił. Czuł, jak rośnie w nim wściekłość. Wściekłość na aroganckich Amerykanów, wściekłość na Glinna, który przypłynął do niego na pogawędkę, wściekłość na Timmera, który dał się zabić. Cała ta wściekłość nagle zaczęła się skupiać na podwładnym, który ośmielił się zakwestionować jego postanowienia. Zaciągnął się cygarem i poczuł, jak zastrzyk nikotyny przedostaje się do jego krwi. Uspokoił się, przynajmniej pozornie, wrzucił zapalną do naczynia z piaskiem i opuścił dłoń z cygarem. *Oficial de guardia* był niedoświadczonym głupcem i Vallenar właściwie spodziewał się jego niesubordynacji. Popatrzył na twarze innych oficerów na mostku. Jeden po drugim wbijali spojrzenia w podłogę.

Płynnym ruchem Vallenar wy dobył pistolet i oparł jego lufę o pierś młodego oficera. Kiedy Santander otworzył usta, żeby zaprotestować, kapitan pociągnął za spust. Dziewięćmilimetrowy pocisk pchnął Santandera do tyłu niczym uderzenie pięścią. Oficer z

impetem padł plecami na ścianę, ale nie stracił przytomności. Z niedowierzaniem spojrzął na swoją pogruchotaną pierś i na fontannę krwi, która rytmicznym strumieniem tryskała poziomo z jego piersi. Przez wielką ranę ze świstem ulatywało powietrze. Mężczyzna opadł na kolana, następnie oparł się na łokciach. Usta miał wciąż szeroko otwarte, a jego zdziwiony wzrok stawał się coraz bardziej szklisty.

Vallenar schował pistolet w olstrze. W tym momencie jedynymi odgłosami słyszalnymi na mostku były: syk powietrza wydostającego się z płuc Santandera, jego rozpaczliwe charczenie i kapanie krwi wylewającej się z piersi konającego cienkim strumieniem na pokład.

Vallenar zerknął na oficera nawigacyjnego.

- Panie Aller, od tej chwili jest pan na okręcie pierwszym oficerem. Pan, panie Lomas, jest oficerem nawigacyjnym. Zarządziłem zmianę kursu. Natychmiast wykonaj rozkaz.

Odwrócił się, zaciągnął cygarem i popatrzył na wzburzony ocean. Jego prawa dłoń wciąż spoczywała na kolbie lugera. Czekał, bo nie był pewny, czy zdołał zdusić bunt w zarodku. Myśl, że w przeciwnym wypadku musiałby z kolei zastrzelić Allera, wcale nie była przyjemna.

Aller spojrzął na nowego oficera nawigacyjnego i słabo skinął głową.

- Ster w prawo - potwierdził oficer nawigacyjny. - Naprowadzić okręt na kurs jeden osiem zero.

- Ster w prawo, wejść na kurs jeden osiem zero - powtórzył sternik. Vallenar zdjął rękę z pistoletu. Było po wszystkim. Wystarczyło odciąć głowę i umarło całe ciało. Bunt już mu nie groził.

Okręt zaczął się obracać na wzburzonym morzu, miotany i podrzucany przez każdą falę. Po chwili przechyły i skoki były tak silne, że oficerowie na mostku, aby nie upaść, chwyтали się wszelkich umocowanych trwale przedmiotów. Wreszcie sternik oznajmił drżącym głosem:

- Utrzymuję kurs jeden osiem zero.

- Doskonale - odparł oficer nawigacyjny. Vallenar pochylił się nad rurą głosową.

- Obsługa radaru, proszę o informację, kiedy znajdziemy się na tyle blisko amerykańskiego statku, żeby skierować na niego ogień z Vickersów.

Po niedługiej chwili usłyszał odpowiedź:

- Tu radar. Panie kapitanie, przy obecnej prędkości i stałym kursie za trzy godziny i trzydzieści minut.

- Bardzo dobrze. - Vallenar wyprostował się i pokazał opuszczonym kciukiem na mężczyznę umierającego u jego stóp. - Panie Sanchez, proszę to stąd zabrać. I dokładnie wyczyścić podłogę.

Znowu skierował wzrok na wzburzony ocean.

„ROLVAAG”

Godz. 11.30

Glinn stał bez ruchu obok kapitan Britton, tuż przy stanowisku sternika. W miarę jak płynęli coraz dalej na południe, w kierunku sześćdziesiątego równoleżnika, „Rolvaag” coraz bardziej się kołysał, smagany zachodnim wiatrem, nieustającym, budującym największe fale morskie spośród znanych na ziemskim globie. Tak daleko, jak sięgał ludzki wzrok, na wzburzonym Atlantyku widoczne były potężne góry wody, przewalające się w kierunku wschodnim. W ciągu ostatniej godziny sztorm jeszcze przybrał na sile. Na oceanie nie można było dojrzeć najmniejszego płaskiego fragmentu. Linia horyzontu, która oddzielałaby wodę od nieba, właściwie nie istniała. Zawodzący wicher i niespokojne wody połączyły swe siły, wytwarzając nieskończone ilości mgiełki i piany. Kiedy statek opadał pomiędzy dwoma falami, przez chwilę panował złudny spokój. Ale po kilku sekundach wielki tankowiec znów drżał i przy akompaniamencie potężnego wichru wspinał się na grzbiet kolejnego bałwana.

Glinn jednak jakby tego wszystkiego nie widział. Od pewnego czasu był myślami zupełnie gdzie indziej, przy chilijskim kapitanie. Decydując się na pościg za „Rolvaagiem”, Vallenar postawił na szalę dosłownie wszystko - własną karierę, załogę i okręt, honor swojego kraju i własne życie. A przecież wiedział, że tankowiec przewozi jedynie skałę, wielką skałę, ale tylko skałę i nic więcej. W gruncie rzeczy ta szaleńcza pogoń nie miała najmniejszego sensu.

Cholernie się pomylił w ocenie Vallenara. Popełnił niewybaczalny błąd. Przez moment zastanawiał się, jak to będzie, kiedy EES po raz pierwszy poniesie porażkę. Porażka... Kilkakrotnie powtórzył w myślach to słowo, jakby je smakując, jakby próbując się z nim oswoić. Ale zaraz wyrzucił je ze swoich myśli. Nie ma mowy o żadnej porażce, coś takiego nigdy nie nastąpi, nie może nastąpić.

Problem nie leżał w profilu psychologicznym Vallenara czy w grubej teczce na jego temat, jaką już skompletowano w Nowym Jorku. Problem leżał w nim samym, w Glinnie. Próbując poznać Vallenara, przeoczył coś bardzo istotnego. Coś, co teraz tkwiło w jego umyśle i czekało, aż to odkryje. Gdyby zdołał zrozumieć motywy, które pchnęły Vallenara do tego szaleńczego pościgu, mógłby właściwie zareagować. Jak daleko Vallenar się posunie? Czy nadal będzie ścigał „Rolvaaga”, nawet poza granicą lodu? Glinn potrząsnął energicznie

głową, jakby chciał w ten sposób dotrzeć do poprawnej odpowiedzi, jednak ta nie nadchodziła. A bez zrozumienia motywacji Vallenara nie był w stanie przygotować żadnego planu ratunkowego.

Zerknął na Sally Britton. Wpatrywała się w ekran radaru i migotającą na nim zieloną kropkę, która oznaczała pozycję „Almirante Ramireza”.

- Od niemal pół godziny „Ramirez” płynie kursem równoległym do naszego - powiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu. - Jeden osiem zero, tyłem do wiatru, utrzymuje prędkość dwudziestu węzłów przy stałym kursie i wciąż się do nas zbliża.

Glinn milczał. Nie potrafił uwierzyć, że Vallenar zdecydował się prowadzić okręt na południe po tak wzburzonym morzu. Nawet wielki „Rolvaaag” ciężko znosił te fale, a przecież musiał sobie radzić o wiele lepiej od niszczyciela, który miał zaledwie czterdzieści stóp szerokości. Vallenar zachowywał się jak szaleniec. Istniała całkiem realna możliwość, że „Almirante Ramirez” wywróci się do góry dnem. Była to jednak tylko możliwość i Glinn musiał brać pod uwagę fakt, że Vallenar - doskonały marynarz - zdoła jej zapobiec.

- Przy aktualnej prędkości i kursie dopadnie nas dokładnie na granicy lodu - znów odezwała się Britton. - A trochę wcześniej znajdziemy się w zasięgu jego strzałów.

- Mniej więcej za trzy godziny - mruknął Glinn. - Akurat będzie zapadał zmierzch.

- Jak myślisz, czy zacznie strzelać, kiedy tylko nas namierzy?

- Nie mam co do tego wątpliwości.

- Nie będziemy mogli się bronić. Rozerwie nas na strzępy.

- Jeżeli go nie zgubimy w mroku, twoja przepowiednia niestety się sprawdzi.

Britton wreszcie popatrzyła na niego.

- A co z meteorytem? - zapytała przyciszonym głosem.

- A niby co?

Zerknąwszy z ukosa na Lloyda, jeszcze bardziej przyciszyła głos.

- Jeżeli go wyrzucimy, będziemy mogli zwiększyć prędkość.

Glinn wyprostował się. Teraz on spojrzał na Lloyda, który stojąc na lekko rozstawionych nogach, z marsową miną patrzył przez szybę. Niewątpliwie nie słyszał ich rozmowy.

Po krótkiej chwili Glinn odpowiedział:

- Zeoy wyrzucić meteoryt, musimy całkowicie zatrzymać statek. Na to potrzeba pięciu mil. Pół godziny. A to już wystarczy Vallenarowi, żeby nas dogonić. Zatopiłby nas, zanim byśmy na dobre stanęli.

- A więc nie widzisz już dla nas żadnego wyjścia? - zapytała Britton jeszcze ciszej.

Popatrzył w jej zielone oczy. Były klarowne, emanowały zdecydowaniem i były prześliczne.

- Nie istnieje coś takiego jak sytuacja bez wyjścia - powiedział. - Musimy tylko je znaleźć.

Britton przez chwilę milczała.

- Zanim odpłynęliśmy z wyspy, prosiłeś mnie, żebym ci ufała. Mam więc nadzieję, że mogę ci ufać. Bardzo bym chciała.

Glinn odwrócił głowę, gdyż poczuł, że mocniej bije mu serce. Przez kilka sekund patrzył na ekran GPS i przebiegającą przez ten ekran przerywaną zieloną linię, oznaczoną jako granica lodu. Następnie znowu spojrzął w oczy kobiety.

- Możesz mi zaufać, Sally. Znajdę wyjście z tej sytuacji. Obiecuję. Britton powoli pokiwała głową.

- Raczej nie sprawiasz wrażenia człowieka, który nie dotrzymuje obietnic. Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz. Panie Glinn... Eli... W tej chwili pragnę od życia tylko jednej rzeczy. Chciałabym jeszcze kiedyś zobaczyć moją córkę.

Glinn zamierzał coś odpowiedzieć, lecz nagle przez głowę przebiegł mu błysk zrozumienia. Tego się nie spodziewał. Mimowolnie cofnął się o krok. Ostatnie zdanie wypowiedziane przez Sally Britton pozwoliło mu zrozumieć motywy działania Vallenara.

Odwrócił się i bez słowa niemal wybiegł z mostka.

„ROLVAAG”

Godz. 12.30

Lloyd chodził nerwowo w tę i z powrotem wzdłuż mostka. Sztorm z furią rzucał wodą o okna, jednak miliarder unikał spoglądania na wzburzony ocean. Jeszcze nigdy w życiu nie widział niczego równie przerażającego. To, co znajdowało się na zewnątrz, ledwie przypominało wodę. Wyglądało raczej jak góry, zielone, szare i czarne, unoszące się, opadające, pełzające, rozdzierające się na gigantyczne kremowe lawiny. Wprost nie mógł uwierzyć, że jego statek - że jakikolwiek statek - jest w stanie przetrwać na takim morzu chociażby pięć sekund. A jednak „Rolvaag” powoli i uparcie pruł fale. Z kolei Lloyd ani myślał chociaż na chwilę się zatrzymać i stanąć bez ruchu, mimo że cały czas musiał się czegoś przytrzymywać, aby nie upaść. I tak już od dobrych sześćdziesięciu minut, to jest od momentu, kiedy Glinn pośpiesznie opuścił mostek.

Od nagłych odmian losu bolała go głowa. W ciągu ostatnich dwunastu godzin wielokrotnie zmieniał mu się nastrój. Był już rozdrażniony, upokorzony, triumfujący, a na koniec także przerażony. Popatrzył na zegar, następnie na twarze oficerów pracujących na

mostku. Howell miał ściągnięte, surowe i nieprzeniknione oblicze. Niczego nie wyrażała również twarz kapitan Britton. Kobieta na zmianę patrzyła to na ekran radaru, to na wskazania GPS. Banks stał oparty o futrynę drzwi do pokoju łączności. Lloyd miał wielką ochotę na nich wszystkich głośno wrzasnąć i wydusić jasną, konkretną odpowiedź, co się właściwie dzieje i jakie są szanse, że „Rolvaag” wyjdzie cało z opresji. Lecz zdawał sobie sprawę, że marynarze wiedzą tylko tyle, ile wie teraz on sam. Za dwie godziny statek znajdzie się w zasięgu ognia chilijskiego niszczyciela.

Lloyd czuł, że cały sztywnieje ze złości. To wszystko była wina Glinna, jego cholernej arogancji. Facet tak długo studiował i analizował wszelkie możliwe opcje rozwoju wydarzeń, że wreszcie uwierzył w swoją nieomyślność. Ktoś kiedyś powiedział: zastanawiaj się długo, a na pewno popełnisz błąd. Gdyby Glinn pozwolił mu się skontaktować z pewnymi wpływowymi osobami, nie tkwiłby teraz na tym statku, czekając na śmierć, jak bezradna mysz czeka na kota, aż ją dopadnie i zabije.

Drzwi mostka otworzyły się i stanął w nich Glinn.

- Dzień dobry, pani kapitan - powiedział nonszalancko.

Ta nonszalancja i beztroska bardziej niż wszystko inne sprawiły, że gromadząca się w Lloydzie furia eksplodowała.

- Cholera jasna, Eli! - zawołał. - Gdzie byłeś? Glinn zmierzył go spokojnym wzrokiem.

- Studiowałem akta Vallenara. Teraz już wiem, co nim kieruje.

- A kogo to, do diabła, obchodzi? Facet po prostu zmusił nas, żebyśmy popłynęli prosto w kierunku Antarktydy.

- Timmer był synem Vallenara. Lloyd znieruchomiał.

- Timmer? - zapytał zaskoczony. - Kto to taki?

- Oficer sygnałowy Vallenara. Mężczyzna, którego zabił meteoryt.

- Absurd. Odnoszę wrażenie, że ten Timmer miał jasne włosy i niebieskie oczy.

Przynajmniej tak mi o nim opowiadano.

- Był synem Vallenara i jego niemieckiej kochanki.

- Czy to kolejne twoje przypuszczenie, czy masz na to jakieś dowody?

- W dokumentach nie znalazłem na ten temat niczego, ale to jest jedyne wyjaśnienie postępowania Vallenara. To dlatego tak wypytywałem o Timmera i tak bardzo domagałem się jego powrotu. I dlatego początkowo powstrzymywałem się od zaatakowania naszego statku; przecież powiedziałem mu, że Timmer cały i zdrowy znajduje się w naszym areszcie. Ale kiedy odpłynęliśmy od wyspy, zdał sobie sprawę, że Timmer nie żyje. Zapewne podejrzewa, że go

zamordowaliśmy. Wpłynął więc za nami na wody międzynarodowe i nie podda się, nie zrezygnuje z dopadnięcia nas aż do śmierci. Swojej albo naszej.

Atak furii minął. Lloyd poczuł się nagle zmęczony, wykończony, zniechęcony do wszystkiego. Złość w tej chwili nie miała sensu. Kiedy się odezwał, był już spokojny i panował nad swoim głosem.

- Zechciej mi jeszcze powiedzieć, w jaki sposób ta psychologiczna analiza może nam przynieść ratunek?

Glinn nic nie odrzekł mu, lecz popatrzył na Sally Britton.

- Jak daleko znajdujemy się od granicy lodu? - zapytał.

- Granica jest siedemdziesiąt siedem mil morskich na południe od naszej aktualnej pozycji.

- Czy na radarze widoczny jest jakikolwiek lód? Britton odwróciła się.

- Panie Howell?

- Dryfujące góry lodowe w odległości dziesięciu mil. Kilka nawet sporych. Przed samą granicą radar wykrywa potężną wyspę lodową. A właściwie dwie; odnoszę wrażenie, że to ta sama, tylko przełamana na pół.

- Kurs?

- Jeden dziewięć jeden.

- Sugerowałbym kierować się właśnie tam - powiedział Glinn. - Proponuję wykonać powolny zwrot. Zanim Vallenar dostrzeże zmianę naszego kursu, możemy zyskać milę albo dwie.

Howell spojrzał pytająco na kapitan Britton.

- Dobrze wiesz, Eli, że przekroczenie takim wielkim statkiem granicy lodu jest równoznaczne z samobójstwem - odezwała się kobieta. - Szczególnie przy obecnej pogodzie...

- Mamy powody, żeby tam płynąć.

- Może więc zechcesz je nam przedstawić? - zapytał Lloyd. - Chyba że wolisz pozostawić nas w stanie kompletnej niewiedzy? Gdybyśmy jednak wiedzieli, co ci chodzi po głowie, może wspólnie podjęlibyśmy najtrafniejszą decyzję?

Glinn popatrzył w oczy najpierw Lloydowi, potem Sally Britton, a na końcu Howellowi.

- Jasne - odparł bez wahania. - Mamy w tej chwili tylko dwie możliwości wyboru: albo zawrócimy i będziemy się starali uciec niszczycielowi na oceanie, albo utrzymamy obecny kurs, żeby zgubić prześladowcę poza granicą lodu. Pierwsze rozwiązanie daje

stuprocentową gwarancję porażki. Drugie natomiast daje nam jakąś szansę ocalenia. Oznacza też, że „Almirante Ramírez” wpłynie na wody, na których niemal na pewno czeka go zguba.

- Co to jest ta granica lodu?

- To umowna granica, na której zmrożone wody otaczające Antarktydę spotykają się z cieplejszymi północnymi wodami Atlantyku i Pacyfiku. Oceanografowie nazywają to konwergencją antarktyczną. Granica lodu znana jest z występowania nieprzeniknionych mgieł i, oczywiście, ogromnie niebezpiecznych gór lodowych.

- Czyli proponujesz, żeby wpłynąć „Rolvaagiem” na obszar lodu i mgieł? To rzeczywiście brzmi jak samobójstwo.

- W tej chwili potrzebujemy kryjówki, żeby zgubić niszczyciela i od niego uciec. W ciemności, wśród lodów i mgły, ucieczka może nam się udać.

- Ale możemy też po prostu zatonać.

- Prawdopodobieństwo zderzenia z górą lodową jest mniejsze od prawdopodobieństwa, że nas zatopi niszczyciel.

- A jeśli nie będzie mgły? - zapytał Howell.

- Wtedy będziemy mieli kolejny problem.

Na mostku nastąpiła długa cisza. Przerwała ją dopiero kapitan Britton.

- Panie Howell. Proszę obrać kurs jeden dziewięć zero. Zmiana ma nastąpić powoli, zgodnie z radą pana Glinna.

Howell zawahał się, ale tylko na ułamek sekundy. Niemal natychmiast zaczął przekazywać polecenie sternikowi. Nie spoglądał jednak na niego, ale na Glinna. Patrzył mu prosto w oczy.

„ROLVAAG”

Godz. 14.00

McFarlane padł na niewygodne plastikowe krzesło i przetarł dłonią oczy. Rachel usiadła obok niego. Rozłupywała dłonią orzechy pistacjowe i skorupki padały na stalowy pokład przedziału obserwacyjnego, umieszczonego przy głównym przedziale ładunkowym. Jedynym źródłem światła w pomieszczeniu był rząd monitorów pod sufitem.

- Czy wcinanie tych orzechów nigdy ci się nie znudzi? - zapytał McFarlane.

Rachel przez chwilę jakby zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nie - odparła.

Pogrążyli się w ciszy. McFarlane cierpiący na morską chorobę zamknął oczy. Kiedy to uczynił, odniósł wrażenie, że kołysanie statku jeszcze się wzmoгло. Słyszał zgrzytanie

metal i szum wody przewalającej się przez pokład. Jednak z ładowni poniżej, w której znajdował się meteoryt, nie dochodziły żadne dźwięki.

McFarlane z trudem otworzył oczy.

- Sprawdź jeszcze raz - powiedział.

- Przecież sprawdzaliśmy już pięć razy - zaprotestowała Rachel. Nie doczekawszy się ze strony McFarlane'a żadnej reakcji, prychnęła ze wstrętem i pochyliła się nad tablicą kontrolną.

Spośród trzech kamer umieszczonych w ładowni tylko jedna przetrwała wybuch. McFarlane obserwował teraz, jak Rachel przesuwając taśmę z nagraniem do tyłu i przywraca normalne odtwarzanie na minutę przed detonacją. W ciszy ponownie zaczęli odliczać sekundy. Nic nowego.

Garza miał rację: nikt nie dotknął meteorytu. Nikt nawet się do niego nie zbliżył.

McFarlane wstał i znowu popatrzył na ładownię przez szybę. Po raz kolejny uważnie obejrzał rampę i ściany, jakby na nich chciał znaleźć odpowiedź na pytanie, co spowodowało wybuch. Następnie zmierzył wzrokiem cały meteoryt. Eksplozja zniszczyła niemal całe oświetlenie, poważnie uszkodziła łącza komunikacyjne, ale górna rampa i przedział obserwacyjny pozostały nienaruszone. Sieć oplatająca meteoryt także zdawała się prawie nietknięta, chociaż kilka jej elementów zostało powyginanych. Stopiona stal pozostawiła na ścianach jasne plamy, zwęgleniu uległo też kilka ciężkich dębowych podpór. Gdzieś widoczne były plamy krwi i resztki poszarpanych zwłok; ekipa porządkowa wykonała swoją pracę w pośpiechu i niedokładnie. Sam meteoryt nic się nie zmienił.

Jaka w tym wszystkim tkwi tajemnica?, zastanawiał się McFarlane. Do cholery, co takiego przeoczyliśmy?

- Podsumujmy wszystko, co wiemy - zaproponował. - Eksplozja wydaje się podobna do tej, która zabiła Timmera.

- Prawdopodobnie była jeszcze silniejsza - powiedziała Rachel. - Wielkie elektryczne piekło. Gdyby dookoła nie było tyle metalu, który zaabsorbował wyładowanie, w diabły poszłaby cała elektronika statku.

- Następnie meteoryt spowodował zakłócenia w funkcjonowaniu urządzeń radiowych. Tak jak wtedy, gdy zginął Timmer.

Rachel wzięła do ręki radionadajnik, włączyła go i zrobiła zdziwioną minę, usłyszawszy z głośnika potężny szum.

- Zakłócenia wciąż się utrzymują - stwierdziła. Znowu zapadło milczenie.

- Zastanawiam się, czy w ogóle zaistniało jakieś zjawisko, które spowodowało wybuch - odezwała się znów Rachel, przewijając taśmę. - Może to był jakiś niezwyklejszy przypadek?

McFarlane nic nie odpowiedział. To nie mógł być przypadek. Wybuch nie mógł nastąpić sam z siebie, coś go musiało wywołać. Mimo uwag Garzy i wzrastającej nerwowości całej załogi nie wierzył, że meteoryt jest przedmiotem nastawionym do ludzi wrogo i aktywnie poszukującym okazji, aby im jak najbardziej zaszkodzić.

Zastanawiał się, czy Timmer i Masangkay w ogóle chociaż raz dotknęli meteorytu. Ale nie, raczej trudno było o wątpliwości w tej sprawie. Dotykali go, bez wątpienia. Kluczem do zagadki musiał być Palmer Lloyd.

Przecież przyłożył do tej bryły nawet policzek i nic mu się nie stało. A ci dwaj wylecieli w powietrze.

Czym się różniły te dotknięcia?

Wyprostował się na krześle.

- Obejrzyjmy to jeszcze raz.

Rachel bez słowa przewinęła taśmę i monitor kontrolny znowu ożył.

Ocalała kamera ulokowana była niemal dokładnie nad meteoritem, trochę poniżej pomieszczeń obserwacyjnych. Zobaczyli na filmie Garze stojącego trochę z boku i trzymającego w rękach karty z planami prac spawalniczych. Spawacze byli rozproszeni na wyznaczonych stanowiskach dookoła meteorytu i wykonywali swoją robotę. Przeważnie klęczeli. Jaskrawe punkciki ognia, wydobywające się ze spawarek, pozostawiały na ekranie czerwone łuny. W prawym dolnym rogu ekranu elektroniczny zegar wyświetlał upływający czas.

- Włącz dźwięk - powiedział McFarlane. Zamknął oczy. Ból głowy i nudności doskwierały mu coraz mocniej. Cholerna morska choroba.

Głos Garzy dotarł do niego jakby z bardzo bliska.

„Jak leci?”, krzyczał inżynier. Ktoś mu odpowiedział: „Prawie skończyliśmy!” Potem nikt nic nie mówił. Z głośników docierał jedynie odgłos wody spływającej po ścianie oraz płonących palników. Nagle statek zaczął się przechylać i rozległy się trzaski i poskrzypywania. McFarlane usłyszał jeszcze głos Garzy: „Trzymajcie się!”.

Na ekranie pojawiła się biała pustka. McFarlane otworzył oczy.

- Cofnij o dziesięć sekund. Obejrzeliby te dziesięć sekund jeszcze raz.

- Wybuch nastąpił, kiedy statek znajdował się na samym grzbiecie fali - powiedziała Rachel.

- Ale Garza ma rację. Ten kamień był przecież niemalże poniewierany przez całą drogę na brzeg - McFarlane urwał. - Czy nie schował się za nim jeszcze jakiś robotnik? Ktoś, kogo nie widzimy na filmie?

- Już się nad tym zastanawiałam. Do ładowni weszło sześciu robotników plus Garza. Popatrz tylko, na ostatnich klatkach wszyscy są dobrze widoczni. I wszyscy znajdują się w nakazanej odległości od meteorytu.

McFarlane podparł podbródek na dłoniach. Coś w tym nagraniu mu nie pasowało, jednak nie wiedział co. Może się mylił, a może był za bardzo zmęczony...

Rachel przeciągnęła się i strzepnęła z kolan łupiny po orzechach.

- Siedzimy tutaj i próbujemy zrozumieć Garze - powiedziała. - Lecz jeśli wszyscy mają rację?

McFarlane popatrzył na nią pytająco.

- Nie rozumiem.

- Jeśli naprawdę żaden człowiek nie dotknął tego meteorytu? Jeśli coś innego go dotknęło?

- Coś innego? - powtórzył McFarlane. - Przecież nic innego nie poruszało się w tej ładowni... - Urwał gwałtownie, gdyż nagle zdał sobie sprawę, co go przez cały czas niepokoiło: szum wody. - Pokaż mi ostatnie sześćdziesiąt sekund - powiedział. - Szybko.

Unióś głowę, wpatrując się w ekran i szukając źródła dźwięku. Wreszcie zobaczył: cienki strumień na jednej ze ścian, spływający od samej góry i znikający w ciemnościach ładowni. Zaczął mu się przypatrywać. Kiedy statek się przechylił, strumień oderwał się od ściany i zaczął intensywnie kapać prosto na posadzkę ładowni, z każdą chwilą coraz bliżej meteorytu.

- Woda - stwierdził McFarlane głośno. Rachel popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Po jednej ze ścian spływał strumień wody. Pewnie któreś spośród górnych włazów były nieszczelne. - McFarlane wskazał na wąski strumień spływający po jednej z pionowych wręg. - Meteoryt wybuchnął, kiedy woda zaczęła kapać bezpośrednio na niego.

- Przecież to absurd. Ten meteoryt tkwił w mokrej ziemi przez miliony lat. Padał na niego deszcz, pokrywał go śnieg. Jest obojętny wobec wody. Jak więc woda na statku mogła wyrzucić na niego jakikolwiek wpływ?

- Nie wiem, ale popatrz.

McFarlane znów odtworzył film, wskazując Rachel, że w tym samym momencie, w którym woda zetknęła się z meteorytem, na ekranie pojawił się elektroniczny śnieg.

- Przypadek? - zapytała. McFarlane potrząsnął przecząco głową.

- Nie.

Rachel spojrzała na niego.

- Sam, jakim cudem ta woda może być inna od całej tej wody, która otaczała meteoryt na wyspie? - Na moment umilkła i nagle spadło na nią olśnienie. Wszystko stało się jasne. - Sól! - zawołała. - Przecież do ładowni kapła słona woda.

Po krótkiej chwili ciszy Rachel ciężko westchnęła.

- I wszystko jasne - powiedziała. - Teraz już wiemy, dlaczego Timmer i Masangkay spowodowali wybuch. Dotknęli meteorytu spocnymi dłońmi, dłońmi, na których była sól. A Lloyd przyłożył do meteorytu policzek w cholernie zimny dzień. W jego dotyku nie było ani odrobiny potu. Ten kamień musi cholernie gwałtownie reagować na chlorek sodu. Ale dlaczego, Sam? Co jest przyczyną tej reakcji?

McFarlane patrzył na nią, a potem spojrzał do ładowni, gdzie woda morska wciąż lśniła na ścianie, zmieniając kierunek opadania w rytmie ruchu statku.

W rytmie ruchu statku...

- Później będziemy się tym martwić - powiedział.

Wziął do ręki krótkofalówkę, włączył ją, ale ponownie usłyszał z głośnika jedynie suche trzaski.

- Cholera jasna! - zawołał i wsunął urządzenie z powrotem za pasek.

- Sam... - zaczęła Rachel.

- Musimy stąd natychmiast spieprzać - przerwał jej. - W przeciwnym wypadku usmażymy się, kiedy tylko nadejdzie jakaś duża fala.

Wstał, ale Rachel ścisnęła go za ramię.

- Nie możemy uciec - zaproponowała. - Jeszcze jedna eksplozja i pęknie sieć, która utrzymuje meteoryt w miejscu. A jeśli on zacznie luźno toczyć się po ładowni, wszyscy zginemy.

- A więc musimy coś zrobić, żeby nie zetknął się z wodą.

Przez krótką chwilę oboje na siebie patrzyli. I nagle, jakby w tym samym momencie dopadła ich identyczna myśl, ruszyli sprintem w kierunku korytarza, który prowadził do ładowni.

„ALMIRANTE RAMÍREZ”

Godz. 14.25

Vallenar stał na mostku, patrząc ponad wzburzonym morzem na wschód. W rękach trzymał starą lornetkę. Oficerowie zgromadzeni dookoła niego z trudem utrzymywali

równowagę na pokładzie dziko tańczącym pod ich stopami. Ich twarze pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu. A jednak byli przerażeni. Sposób dowodzenia Vallenara, polegający na utrzymywaniu bezwzględności posłuszeństwa wobec kapitana, zbierał teraz żniwo. Nadszedł dzień próby i Vallenar wiedział, że ci, którzy przy nim pozostali, mimo strachu nie zawiodą. Jeśli będzie trzeba, podążą za nim do piekła, a właśnie tam - pomyślał, spoglądając na mapę - zmierzał „Almirante Ramírez”.

Deszcz ze śniegiem przestał w końcu padać i niebo powoli się przejaśniało. Widoczność była doskonała. Jednak wiatr mimo wszystko wzrastał i fale robiły się jeszcze większe. Kiedy okręt opadał w dolinę pomiędzy dwie ogromne fale, pogrążał się niemal w absolutnej ciemności. Otaczające go czarne ściany wody sprawiały wrażenie, że jednostka znajduje się na samym dnie przepastnego kanionu. Szczyty tych ścian wznosiły się chwilami nawet na niewiarygodną wysokość dwudziestu metrów powyżej poziomu mostka. Vallenar jeszcze nigdy w życiu nie widział takiego morza. Poprawiająca się widoczność, mimo że pasująca do jego planów, czyniła je jeszcze bardziej przerażającym. Normalną procedurą w takich sytuacjach było ustawienie się dziobem do wiatru i podjęcie natychmiastowej próby wydostania się z obszaru zagrożenia. Ale teraz to nie wchodziło w grę. Okręt musiał płynąć na południe, kursem prawie całkowicie zgodnym z kierunkiem wiatru. W przeciwnym wypadku cięższy amerykański statek by mu uciekł.

Vallenar obserwował, jak dziób niszczyciela pruje fale oceanu, wznosząc się i opadając na straszliwie niespokojnej i spienionej wodzie. Chwilami okręt tak mocno przechylał się na lewą burtę, że mostek wznosił się nad otwartą wodą i przyskały na niego potoki piany. Aby nie upaść, marynarze przytrzymywali się wówczas wszelkich możliwych uchwytów. Były to przerażające momenty, ale niszczyciel wkrótce powracał do stabilnej pozycji. Nie utrzymywał jej jednak długo.

Vallenar doskonale znał okręt i wiedział, do czego jest zdolny, a do czego nie. Był pewien, że wyczuje, kiedy zapanuje nad nim rozwścieczony żywioł. Na razie szczęśliwie wciąż kierowali nim ludzie. Lecz ocalenie niszczyciela przed zatonięciem wymagało od nich czujności i najwyższego kunsztu. Kapitan był przygotowany na to, że w krytycznym momencie sam przejmie stery.

W oddali ujrzał kolejnego formującego się bałwana, znacznie wyższego od pozostałych, niczym wieloryb przewalającego się po morskiej kipieli. Chłodnym, niemal nonszalanckim głosem odezwał się:

- Ster na lewo, lewy silnik jedna trzecia naprzód, prawy silnik dwie trzecie. Meldować.

- Wykonano, panie kapitanie - odparł Aller. - Kurs jeden siedem pięć, jeden siedem zero...

- Proszę utrzymać jeden sześć pięć.

Fala zaczynała stopniowo ujmować okręt w swoje szpony. „Ramirez” wzniosł się na jej grzbiecie i zastygł na niej, grożąc przełamaniem. Vallenar przytrzymał się rączki telegrafu, a okręt rozpoczął błyskawiczny, wywołujący mdłości zjazd w dół. Zanim osiadł na wodzie, inklinometr zdążył wskazać blisko trzydzieści stopni. W trakcie tego zjazdu przez krótki moment z mostka rozciągnął się widok na południe, aż po kres horyzontu. Vallenar błyskawicznie przyłożył do oczu lornetkę i dopóki zdołał, wypatrywał ponad wzburzonym oceanem ściganego tankowca. To, co ujrzał, wyglądało przerażająco: ogromne szczyty i wielkie doliny kształtowane przez wodę, pograżone w totalnym chaosie. Na chwilę ten ponury obraz wyprowadził go z równowagi.

Ale kiedy okręt opadł pomiędzy fale, kapitan natychmiast się uspokoił. „Ramirez” wzniosł się znowu, a Vallenar po raz kolejny przyłożył do oczu lornetkę. I nagle poczuł ostre szarpnięcie w klatce piersiowej. Zobaczył go wreszcie, ciemną sylwetkę na tle spienionego morza. Tankowiec był znacznie większy i płynął znacznie bliżej niszczyciela, niż Vallenar się spodziewał. Kapitan trzymał lornetkę przy oczach, niemal bojąc się mrugnąć, nawet kiedy okręt opadał w dół. Gdy ponownie wspinał się na wierzchołek spienionej góry, w polu widzenia Vallenara znów pojawiał się tankowiec.

- Lewy silnik jedna trzecia w tył. Ster w prawo, utrzymać kurs jeden osiem zero.

Pokład wyraźnie przechylił się w lewo.

- Stan paliwa? - zapytał Vallenar.

- Trzydzieści procent.

Vallenar popatrzył na *ingeniero de guardia*, oficera wachtowego.

- Balast do zbiorników - rozkazał.

Wypełnienie pustych zbiorników po paliwie wodą morską musiało spowolnić okręt przynajmniej o jeden węzeł, ale dodawało mu stabilności, niezbędnej w obliczu planów, które Vallenar zamierzał wkrótce realizować.

- Balast do zbiorników - powtórzył rozkaz oficer z wyraźną ulgą w głosie.

Vallenar zwrócił się następnie do podoficera - dowódcy sterowni:

- Barometr?

- Dwadzieścia dziewięć przecinek dwadzieścia osiem i opada. Kapitan zawołał na mostek oficera liniowego.

- Mamy kontakt wzrokowy z amerykańskim statkiem - powiedziała, podając mu lornetkę.

Marynarz przyłożył ją do oczu.

- Widzę, panie kapitanie - odparł po chwili. Vallenar popatrzył na oficera wachtowego.

- Kurs Amerykanina to mniej więcej jeden dziewięć zero. Proszę ustalić kurs zbieżny.

Rozkaz został przekazany dalej i wkrótce „Ramirez” lekko zmienił kierunek. Wszystko przebiegało sprawnie, regulaminowo. Vallenar znowu zwrócił się do oficera liniowego:

- Proszę meldować, kiedy Amerykanin znajdzie się w zasięgu strzału. Nie podejmować żadnej akcji bez mojego rozkazu.

- Tak jest - odparł oficer wyważonym, neutralnym tonem. Pokonawszy kolejną wielką falę, niszczyciel zaczął zmieniać kurs. Pokład zadrżał i po chwili „Ramirez” zachybotał się w niekontrolowany sposób.

- Nie utrzymam go na jeden dziewięć zero! - zawołał sternik.

- Pracuj sterem, dasz radę.

Okręt powoli odzyskiwał równowagę, a Vallenar dostrzegł *tigre* zbliżającą się prosto od zachodu.

- Ster na wprost. Na wprost!

Wspinając się na kolejną nadzwyczaj wysoką falę, okręt rozpoczął powolny skręt. Kiedy fala przewaliła się, cały pokład tonął w wodzie.

- Ster ostro na prawo! Ostro na prawo! Okręt zakołysał się na boki.

- Płetwa steru wisi nad wodą, panie kapitanie! - zawołał sternik. Koło sterowe w jego rękach obracało się bez oporu.

- Prawy silnik dwie trzecie w tył! Lewy silnik powoli naprzód! Oficer przekazał rozkaz do maszynowni. Okręt ciągle się kołysał.

- Nie reaguje...

Vallenara nagle ogarnął strach. Nie bał się o siebie, lecz o to, że nie zakończy misji. Po chwili poczuł jednak, że „Ramirez” znowu reaguje na ruchy steru, a śruby jednostajnie miały wodę.

Powoli wciągnął powietrze do płuc i wypuścił je, po czym oparł się o głośnik telegrafu, nic specjalnego się nie wydarzyło.

- Proszę meldować o każdej jednostce powietrznej, jaka się pojawi. Był przekonany, że przy obecnej pogodzie Amerykanie nie uzyskają żadnej pomocy drogą morską. Nie był jednak pewien, czy nie wezwali jakiejś pomocy lotniczej.

- W promieniu dwustu mil nie ma żadnego samolotu - zakomunikował oficer kontrolujący radar. - Łód od południa.

- Jaki łód?

- Dwie wielkie wyspy lodowe otoczone bryłami dryfującego lodu.

Wpływając pomiędzy łód, pomyślał Vallenar z satysfakcją. Wprowadzenie tankowca poza granicę lodu było desperacką decyzją, szczególnie podczas silnego sztormu. Ale dla Amerykanów było to obecnie jedyne wyjście i takiego ruchu z ich strony się spodziewał. Zapewne mieli nadzieję, że pomiędzy górami lodowymi będą mogli bawić się z nim w chowanego albo że mu uciekną, kiedy zapadnie ciemność. A może liczyli na to, że opadnie mgła, która mu uniemożliwi pościg? Mylili się. Łód będzie wręcz działał na korzyść „Ramireza”, utrudni bowiem manewry wielkiego tankowca. Vallenar zabije ich pośród lodu, o ile sam łód nie zatopi ich pierwszy.

- Meldować, kiedy znajdą się w zasięgu strzału - powiedział do oficera liniowego.

Znowu popatrzył na wzburzony ocean. Teraz był już w stanie dostrzec amerykański statek bez lornetki. Czarny punkcik co chwilę migotał mu przed oczyma na jasnej powierzchni spienionej wody. Tankowiec znajdował się mniej więcej w odległości ośmiu mil, ale widoczny był jako doskonały, pewny cel.

- Czy kontakt wzrokowy pozwala na oddanie pewnego strzału? - zapytał.

- Jeszcze nie, panie kapitanie. Strzelanie według przyrządów celowniczych z tej odległości i na tak wzburzonym morzu będzie bardzo trudne.

- Proszę więc poczekać, aż się zbliżymy.

Kolejne minuty wlokły się w nieskończoność. Niebo pociemniało, a wiatr osiągnął prędkość osiemdziesięciu węzłów. Strach o własne życie nie opuszczał oficerów, znajdujących się na mostku „Almirante Ramireza”. Słońce powoli już zachodziło. Vallenar beznamiętnym głosem wydawał kolejne polecenia sternikowi i do maszynowni, reagując na zmieniającą się sytuację na morzu. Naprawione śruby okrętowe i ster działały obecnie bez awarii. Wszyscy jego ludzie bez słowa sprzeciwu, sprawnie wykonywali rozkazy. Szkoda, że do tej pory tyłu z nich musiało umrzeć.

Wkrótce zapadnie zmrok i „Rolvaag” nieuchronnie pogrąży się w ciemności. Vallenar nie mógł już czekać ani chwili dłużej.

- Panie Cassęo, namierzyć cel. Załadować pociski smugowe.

- Rozkaz - odpowiedział oficer liniowy. - Załadować pociski smugowe dla ustawienia przyrządów.

Vallenar spojrział na przednie działa swojego okrętu. Po minucie zobaczył, jak się obracają, a ich lufy unoszą pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni. Nastąpiły dwa strzały, jeden po drugim, a na pokład wypadły dwie lśniące łuski. Lufy cofnęły się; przez chwilę buchał z nich ogień. Mostek zatrzęsł się. Vallenar przyłożył do oczu lornetkę i obserwował, jak dwie smugi ognia mkną wysokim łukiem przez sztormowe niebo. Oba pociski chybiły, spadając w wodę daleko od tankowca.

Tymczasem okręt opadł pomiędzy dwie kolejne fale i znowu wspiął się na grzbiet jednej z nich. Wtedy działa na dziobie wypaliły ponownie. Pociski spadły do oceanu znacznie bliżej tankowca, jednak i one nie uczyniły mu żadnej szkody.

Oficer liniowy zarządził kolejną salwę, niosząc na urządzenia celownicze drobne poprawki. Po kilku minutach odezwał się:

- Panie kapitanie, mamy już wszystkie dane, żeby poprowadzić skuteczny ogień.

- Doskonale. Strzelcie teraz na wiat. Chcę, żeby zwolnili, ale jeszcze nie czas, żeby ich zatapiać. Musimy podpłynąć do nich na tyle blisko, żeby oddać decydujący strzał z najbliższej odległości.

Nastąpiła bardzo krótka chwila ciszy, po czym oficer liniowy odezwał się:

- Tak jest.

Kiedy niszczyciel wspiął się na falę, działa znów wypaliły. Wśród jaskrawych płomieni z ich luf wypadły kolejne dwa, tym razem śmiertelne pociski, i poleciały na południe.

„ROLVAAG”

Godz. 15.30

McFarlane siedział na stalowej podłodze w pomieszczeniu obserwacyjnym, oparty o przegrodę; zupełnie zignorował stojące nieopodal krzesło. Czuł się, jakby go ktoś przepuścił przez wyżymaczkę. Rwały go niezliczone małe mięśnie w nogach i w rękach. Raczej wyczuł, niż zobaczył, jak Rachel przykucnęła obok niego, był bowiem zbyt zmęczony, żeby odwrócić głowę.

Ponieważ meteoryt zakłócał działanie urządzeń radiowych i nikt nie mógł im pomóc, zmuszeni byli sami znaleźć jakieś rozwiązanie. Stojąc w korytarzu prowadzącym do ładowni, za dokładnie zamkniętymi drzwiami, w końcu wymyślili plan działania i go zrealizowali. W magazynie za nimi znajdowało się mnóstwo wodoodpornego brezentu, starannie poukładanego w wielkie płachty. Przełożyli te płachty przez sieć oplatającą meteoryt i w ten

sposób prowizorycznie osłonili go przed wodą morską. Na tę gorączkową pracę poświęcili całą godzinę. Ani na sekundę nie opuszczał ich strach przed kolejną eksplozją.

McFarlane odpiął od paska krótkofalówkę i, stwierdziwszy, że wciąż nie działa, ze wzruszeniem ramion przypiął ją z powrotem. W końcu Glinn dowie się o tym tak czy inaczej. Wydawało mu się niemal dziwne, że Britton, Glinn i pozostali przez cały czas znajdowali się na mostku, zajęci własnymi problemami, zupełnie nieświadomi kryzysu rozgrywającego się pod ich stopami. Przez głowę przemknęło mu pytanie, co się tam, do diabła, dzieje? Tutaj, wewnątrz kadłuba, wszystko wskazywało na to, że sztorm jest coraz gwałtowniejszy.

Wyraźnie czuł kołysanie statku. Było tylko kwestią czasu, kiedy woda morska znowu zetknie się z meteorytem.

Oboje milczeli. W pewnej chwili McFarlane popatrzył, jak Rachel sięga do wewnętrznej kieszeni koszuli i wyciąga opakowanie zawierające płytę CD, po czym spogląda na nie badawczo. Zaraz schowała płytę z powrotem, odetchnąwszy z ulgą.

- W całym zamieszaniu zupełnie o tym zapomniałam - powiedziała. - Dzięki Bogu, płyta nie jest zniszczona.

- Co to jest? - zapytał McFarlane.

- Zanim odbiliśmy od wyspy, przegrałam na płytę wszystkie wyniki naszych badań nad meteorytem. Wkrótce przejrzę to jeszcze raz. Oczywiście, o ile wydostaniemy się żywi z tego piekła.

McFarlane nic nie odpowiedział.

- On musi dysponować jakimś wewnętrznym źródłem energii - kontynuowała Rachel.
- W przeciwnym wypadku nie byłby w stanie wygenerować tak olbrzymiego napięcia elektrycznego, prawda? Gdyby był zwyczajnym kondensatorem, pozbyłby się wszelkiej energii już miliony lat temu. Tymczasem on generuje w sobie ładunki. - Poklepała dłonią płytę, która znajdowała się w jej kieszeni. - Odpowiedź na wszelkie pytania musi znajdować się na tej płycie.

- Ja chciałbym się po prostu dowiedzieć, z jakiego środowiska on pochodzi. To, że tak gwałtownie reaguje na słoną wodę, nie jest przypadkiem. - McFarlane westchnął. - Do diabła. Dajmy sobie chociaż na chwilę spokój z tym cholernym kamieniem.

- No właśnie - podchwyciła Rachel. - A może to nie jest kamień, może to nie jest skała?

- Tylko nie zaczynaj znowu ze swoją teorią statku kosmicznego.

- Nie mam zamiaru. Może to jest rzecz znacznie prostsza niż statek kosmiczny?

McFarlane próbował coś mówić, ale umilkł. Kołysanie statku zwiększyło się i przechyliły stały się głębsze.

Rachel także milczała. Było jasne, że doskonale wie, o czym myśli McFarlane.

- Ocean jest chyba cholernie wzburzony - powiedział. Rachel pokiwała głową.

- Na pewno.

Czekali w ciszy, a tymczasem statek chwiał się coraz gwałtowniej.

W końcu, kiedy „Roolvag” zaczął opadać z jakiejś nadzwyczajnie wysokiej fali, strumień wody ponownie przedostał się ponad wręgą i poszybował w powietrzu ku brezentowi osłaniającemu meteoryt. McFarlane zerwał się na równe nogi i popatrzył do ładowni przez szybę, wyczekując, co się stanie. Ponad szumem oceanu i odległym zawodzeniem wiatru wyraźnie słyszał kapanie wody. Spływała jednak po brezencie ku dolnym dźwigarom, nie czyniąc meteorytowi żadnej szkody.

Jeszcze przez chwilę oboje z Rachel wpatrywali się w ten widok, bojąc się nawet oddychać. Wreszcie dziewczyna głęboko westchnęła.

- Wygląda na to, że nasza osłona zadziałała - stwierdziła. - Gratulacje.

- Gratulacje? - zdziwił się McFarlane. - Przecież to był twój pomysł.

- Tak, wiem. Ale to ty pierwszy pomyślałeś o specyficznym działaniu słonej wody na meteoryt.

- Tylko dzięki twoim podpowiedziom. - McFarlane zawahał się. - Gdyby ktoś nas teraz słuchał, uznałby, że stanowimy towarzystwo wzajemnej adoracji.

Mimo zmęczenia niespodziewanie się uśmiechnął. Niemal czuł, jak wielki ciężar spada z jego ramion. Oboje wiedzieli już, jaka była przyczyna eksplozji. Podjęli środki zaradcze, mające w przyszłości im zapobiec. No i płynęli już do domu.

Spojrzał na Rachel. Jej ciemne włosy lśniły w słabym oświetleniu. Zaledwie kilka tygodni temu nie wpadłby na pomysł, że z przyjemnością posiedzi kiedyś obok niej w zupełnym milczeniu. A teraz nie do pomyslenia zdawała mu się jakakolwiek praca bez niej u boku. Kończyła za niego zdania, sprawdzała go, podpowiadała mu rozwiązania, dowcipkowała z nim. Czyżby byli sobie przeznaczeni?

Oparła się o ścianę, starając się utrzymać na nogach w momencie, kiedy statek zaczął się wspinać na kolejną falę. Wzrok miała wbity w ciemną przestrzeń i nie zdawała sobie sprawy, że McFarlane ją obserwuje.

- Słyszałeś coś? - zapytała. - Mogę przysiąc, że słyszałam jakiś odległy wybuch.

Ale McFarlane właściwie niczego nie słuchał. Ku swemu zaskoczeniu ukląkł przed Rachel i pociągnął ją ku sobie. Przepeliąło go zupełnie inne uczucie niż pożądanie, które pamiętnego wieczoru ogarnęło go w jej kabinie.

Położyła głowę na jego ramieniu.

- Wiesz co? - odezwał się. - Jesteś najmilszą przemądrzałą, podstępą asystentką, jaką spotkałem.

- Aha... Pewnie mówiłeś coś takiego wielu dziewczynom. Delikatnie pogłaskał ją po policzku. Gdy minęła kolejna fala, przysunął swoje usta do ust Rachel. Woda głośno plusnęła na brezent.

Kiedy pokład ustawił się w pozycji poziomej, pocałowali się, jednak zaraz musieli podjąć zmagania z następnym.

Niespodziewanie McFarlane oderwał się od dziewczyny. Ponad zgrzytami dobiegającymi z ładowni, ponad odległym szumem oceanu usłyszał nowy dźwięk - dziwny, wysoki pisk, zakończony metalicznym trzaskiem, głośnym jak wystrzał z broni palnej. Po chwili nastąpił kolejny trzask, a po nim jeszcze kilka.

Zerknął szybko na Rachel. Wpatrywała się w niego, utkwivszy szerokie, błyszczące oczy w jego oczach. Trzaski umilkły, ale ich echo wciąż pobrzmiwało w uszach McFarlane'a i Rachel. Zaskoczeni i przestraszeni, czekali w ciszy, co będzie dalej. Na niespokojnym tankowcu słyszeli jednak już tylko jego zwyczajne dźwięki: pojękiwanie stalowych konstrukcji, skrzypienie i postukiwanie kawałków drewna, odgłosy pracy rozciąganych nitów i spawów.

„ROLVAAG”

Godz. 15.30

Kapitan Britton obserwowała, jak pierwszy pocisk smugowy leniwie wznosi się ponad poszapaną powierzchnią oceanu i płynie w powietrzu, emanując jaskrawym światłem. Po nim wystrzelił kolejny, jednak oba upadły do wody daleko od tankowca. Lloyd błyskawicznie stanął przy oknie.

- Chryste, to niewiarygodne! Ten skurwysyn do nas strzela!

- To tylko pociski smugowe, próbne - powiedział Glinn. - Dopiero przygotowuje się do prawdziwego strzelania.

Britton zauważyła, jak Lloyd zacisnął usta.

- Panie Howell, ster ostro na lewo - rozkazała, chcąc utrudnić Vallenarowi wstrzelenie się w cel.

Zgromadzeni na mostku obserwowali, jak do oceanu spadają następne pociski smugowe, każdy z nich coraz bliżej tankowca. Któryś w końcu przeleciał nad statkiem, zalewając jego pokład jaskrawą poświatą.

- Namierzył nas - mruknął Glinn. - Teraz zacznij strzelać prawdziwymi pociskami. Niewykluczone, że któryś trafi.

Lloyd popatrzył na niego ze złością.

- A ty kim jesteś, komentatorem sportowym? Potrzebujemy planu wyjścia z tego pasztetu, a nie bzdurnych komentarzy. Nie mogę w to uwierzyć! Wydałem trzysta milionów dolarów i tak mam skończyć?

Uspokoila go Britton krótkim, lecz wyraźnym poleceniem:

- Cisza na mostku! Panie Howell, ster ostro na prawo! Cała wstecz! W momentach kryzysu jej umysł funkcjonował z kryształiczną jasnością. Można by to nawet odnieść wrażenie, że to ktoś inny myśli za nią. Spojrzała na Lloyd'a stojącego przed środkowym oknem mostka. Tłuste palce miał splecione za plecami i patrzył ponad wzburzonym morzem na południe. Z pewnością trudno mu było teraz przyznać, że za pieniądze jednak nie można kupić wszystkiego.

Jej spojrzenie przeniosło się na Glinna. Wiedziała, że w tej chwili ulegnie każdej jego sugestii, a przecież jeszcze bardzo niedawno temu jako kapitan statku za nic w świecie nie dałaby sobie narzucić czyjegoś zdania. Zdziwiająco, ale nabrała zaufania do Glinna dopiero, kiedy się po raz pierwszy pomylił. Kiedy wreszcie dowiedział, że jest człowiekiem.

Za sylwetkami dwóch mężczyzn rozpościerał się sztormowy ocean. W miarę, jak zapadała noc, Britton rozkazała stopniowo zaciemniać statek, łudząc się, że zwiedzie w ten sposób celowniczych dział Vallenara. Jednak jej nadzieje przekreślił wielki południowy księżyc, zaledwie jedną dobę przed pełnią, który wznosił się wysoko na kryształicznie czystym niebie. Odnosiła wrażenie, że uśmiecha się do niej drwiąco. *Panteonero* był dziwnym rodzajem sztormu: zwykle kończył się kryształiczną nocą, podczas której szalał morderczy wichur. W świetle księżyca spieniona powierzchnia oceanu miała upiorną poświatę. Surrealistyczny ocean nadal produkował potężne fale, które przewalały się przez statek, od czasu do czasu pogrążając go w ciemnościach głębszych niż noc.

Niespodziewany huk, słaby, lecz wyraźnie słyszalny ponad odgłosami sztormu, wstrząsnął oknami mostka. Po nim nastąpiły kolejne, w regularnych odstępach. Britton zauważyła rząd gejzerów wzbijających się ponad fale nieco na północ od statku, jeden po drugim. Zbliżały się do „*Rolvaaga*” wzdłuż linii jego poprzedniego kursu.

Wielki dziób tankowca z uporem przełamywał fale i parł naprzód. Skręć, sukinsynu, pomyślała Britton.

Niespodziewanie statek wierzgnął i zadrzał. Z dziobu wystrzelił wielki kłęb paskudnego żółtego dymu, a fragment stalowego pokładu rozgrzał się do czerwoności. Natychmiast rozległ się ogłuszający grzmot. Jeden z masztów antenowych wyleciał w powietrze, przekoziołkował i odkształcony upadł na pokład. Następnie przed dziobem wzbily się kolejne gejzery wody; pozostałe strzały były niecelne.

Przez chwilę wszyscy na mostku wpatrywali się w tę scenę bez ruchu, jakby pogrążeni w śmiertelnej hipnozie.

Pierwsza ocknęła się Britton. Przyłożyła do oczu lornetkę i zlustrowała wzrokiem dziób. Wyglądało na to, że przynajmniej jeden pocisk przebił forkasztel. Wielki statek wzniosł się na kolejną falę. W świetle księżyca Britton dostrzegła, jak przez uszkodzenie woda przedostaje się pod pokład.

- Ogólny alarm - powiedziała. - Panie Howell, proszę wysłać na miejsce zespół, który oceni rozmiar szkód. Proszę przygotować do akcji jednostkę gaśniczą i rozciągnąć linę ratowniczą wzdłuż głównego pokładu.

- Tak jest.

Niemal wbrew swej woli Britton popatrzyła na Glinna.

- Każ wyłączyć silniki - mruknął. - Zatrzymajmy się rufą do wiatru. Udawajmy, że jesteśmy unieszkodliwieni. To na razie powstrzyma Vallenara przed dalszym strzelaniem. Po pięciu minutach znowu zaczniemy uciekać. Zmusimy go do ponownego wstrzeliwania się w cel. Musimy dotrzeć do tych wysp lodowych.

Obserwowała, jak Glinn podchodzi do swojego współpracownika i naradza się z nim przyciszonym głosem.

- Panie Howell - powiedziała. - Wszystkie silniki stop. Ster trzydzieści stopni w lewo. - Statek jeszcze przez moment sunął do przodu siłą inercji, po czym powoli zaczął skręcać.

Popatrzyła na Lloyda. Jego twarz była szara, jakby strzały oddane w kierunku „Rolvaaga” do głębi nim wstrząsnęły. Być może był przekonany, że wkrótce umrze. Być może rozmyślał, jak to będzie tonąć w zimnej, czarnej wodzie, głębokiej na dwie mile. Widywała już takie twarze u ludzi, na innych statkach, w czasie innych sztormów. Nigdy nie był to miły widok.

Opuściła wzrok na ekran radaru. Dominowały na nim zakłócenia, jednak za każdym razem, gdy „Rolvaag” wznosił się wyżej na fali, urządzenie prawidłowo przedstawiało sytuację. W tej chwili statek znajdował się dwadzieścia pięć mil od granicy lodu i dwóch

wysp lodowych. Wzburzony ocean zmniejszał prędkość chilijskiego okrętu mniej więcej o jeden węzeł, ale odległość pomiędzy nim a „Rolvaagiem” skracała się nieubłaganie. Patrząc na spienioną wodę, Britton dziwiła się, jakim cudem wąski niszczyciel tak długo się na niej utrzymywał.

Nagle jak szeroko otwarły się drzwi mostka i w progu stanął McFarlane. Postąpił krok do przodu. Za nim jak cień podążała Rachel.

- Meteoryt - odezwał się McFarlane, zdyszany głosem. Jego twarz była czerwona, wręcz dzika.

- Co z nim? - zapytał Glinn ostro.

- Zrywa się z uwięzi.

„ROLVAAG”

Godz. 15.55

Glinn słuchał, jak McFarlane, z trudem łapiąc oddech, przekazuje przerażające wieści. Czuł, że po plecach przebiegają mu ciarki. Było to uczucie tym bardziej nieprzyjemne, że wcześniej prawie wcale go nie znał. Jednak kiedy się w końcu odezwał, jego głos był tak samo opanowany jak zawsze. Podniósł słuchawkę telefonu i rzucił bez pośpiechu wyraźne polecenie:

- Izba chorych? Chcę rozmawiać z Garzą. Po chwili usłyszał słaby głos Garzy:

- Tak?

- Tu Glinn. Meteoryt zrywa się ze spawów. Niech Stonecipher razem z zespołem natychmiast udadzą się do ładowni. Ty będziesz dowodził całą grupą, jasne?

- Tak jest, Eli.

- Jest coś jeszcze - powiedział McFarlane. Wciąż z trudem łapał oddech.

Glinn odwrócił się do niego.

- Ta skała reaguje na sól. Na sól, a nie na dotyk. To sól wywołała eksplozję, która unicestwiła zespół Garzy. Na razie wspólnie z Rachel okryliśmy meteoryt nieprzemakalnym brezentem. Ale pamiętajcie, jakąkolwiek podejmiecie akcję, meteoryt nie może zetknąć się ze słoną wodą. Poza tym on po wyładowaniu długo powoduje zakłócenia fal radiowych. Myślę, że w jego najbliższym otoczeniu wszelka łączność radiowa będzie niemożliwa jeszcze przynajmniej przez godzinę.

Uważnie go wysłuchawszy, Glinn ponownie unosił słuchawkę telefonu i znów zaczął mówić do Garzy. Kiedy skończył, usłyszał w słuchawce jakieś szmery, a potem dotarł do niego nosowy, wściekły głos Brambella:

- Co to za dziwactwa? Zabraniam temu człowiekowi opuszczania izby chorych. Ma wstrząśnienie mózgu, zawroty głowy, skręcony nadgarstek i...

- Dostyc, doktorze Brambell. Potrzebuję teraz Garzy i jego doświadczenia. Za wszelką cenę.

- Panie Glinn...

- Od tego zależy ocalenie statku i nasze życie. - Opuścił na chwilę słuchawkę i popatrzył na Britton. - Czy istnieje jakiś sposób, żeby ograniczyć przechył tankowca na tych falach?

Britton potrząsnęła przecząco głową.

- Na tak wzburzonym morzu wszelkie zmiany w rozmieszczeniu balastu czyniłyby statek jeszcze mniej stabilnym.

„Rolvaag” kontynuował dryf na południe, a rozwścieczony ocean na zmianę to zalewał główny pokład wodą, to unosił statek, jakby go chciał postawić do pionu. W takich chwilach ze spływników wylewały się z hukiem tony wody. Dwa kontenery zerwały się z uwięzi i wypadły za burtę. Mocowania kilku innych groziły zerwaniem.

- Do diabła, co to były za eksplozje? - McFarlane zapytał Glinna.

- Strzelał do nas chilijski okręt. - Glinn spojrzał najpierw na McFarlane, a następnie na Amirę. - Czy przychodzi wam do głowy jakikolwiek powód, dla którego sól ma wpływ na meteoryt?

- Nie wygląda mi to na reakcję chemiczną - odparł McFarlane. - Eksplozje nie pozostawiły najmniejszego śladu na meteorycie, ale też nie sól była źródłem wyzwolonej energii.

Glinn zerknął na Amirę.

- Eksplozja była zbyt potężna, żeby mogła być wynikiem reakcji chemicznej lub katalitycznej - stwierdziła.

- No to jaka reakcja jeszcze wchodzi w grę? Jądrowa?

- To raczej nieprawdopodobne. Uważam jednak, że rozważamy problem z niewłaściwej perspektywy.

Glinn spotykał się z tym już wcześniej. Umysł Amiry miał tendencję do przeskakiwania ponad ścieżkami myślenia innych ludzi. Efektem tych przeskoków były albo genialne konkluzje, albo kompletne idiotyzmy. Właśnie to było jedną z przyczyn, dla których Glinn przyjął dziewczynę do pracy.

W tej chwili, w sytuacji pełnej napięcia, doskonale zdawał sobie sprawę, że lepiej Amirę wysłuchać, niż ją zignorować.

- Mów dalej - ponaglił ją.

- To po prostu moje przeczucie. Próbujemy zrozumieć zjawisko z naszego punktu widzenia, traktując znalezisko jako meteoryt. Tymczasem powinniśmy na sprawy popatrzeć z jego punktu widzenia. Sól ma dla niego ogromne znaczenie. W jakiś sposób jest dla niego niebezpieczna albo... niezbędna.

Ciszę, która nagle zapadła, przerwał dopiero głos Howella.

- Pani kapitan, „Ramirez” oddaje kolejne strzały. - Pierwszy oficer nagle pochylił się nad radarem Dopplera, po czym niespodziewanie wyprostował się z uśmiechem na twarzy. - Śnieżycy odcięła nas od niego. Drań nas w tej chwili nie widzi. Strzela na ślepo.

- Proszę ustawić statek na kursie jeden dziewięć zero - rozkazała Britton.

Glinn podszedł do ekranu GPS i wbił wzrok w zielone punkciki. Partia szachów rozgrywana z Vallenarem stopniowo dobiegała końca. Na szachownicy pozostało jeszcze tylko kilka figur. Los ekspedycji ograniczał się do kombinacji czterech czynników: dwóch statków, sztormu i lodu. W tej prostocie straszliwy był jednak brak dobrych rozwiązań. Od trzydziestu minut Glinn uważnie wszystkie analizował, skoncentrowany do granic możliwości. Teraz przymknął oczy; pozycje „Rolvaaga” i „Ramireza” zmieniały się bardzo powoli, właściwie nie musiał patrzeć na ekran, żeby pamiętać ich położenie. Niczym szachowy arcymistrz partię szachów mógł rozgrywać bez spoglądania na szachownicę, wyobrażając sobie każdą możliwą sekwencję ruchów. Wszystkie, z wyjątkiem jednej, w stu procentach prowadziły do katastrofy. A prawdopodobieństwo sukcesu w przypadku zastosowania ostatniej opcji było nadzwyczaj niskie. Aby odnieść zwycięstwo w końcowej rozgrywce, wszelkie działania należało przeprowadzić perfekcyjnie - a i tak niezbędny był łut szczęścia. Glinn nienawidził tego słowa. Strategia, której sukces wymagał szczęścia, często bywała zębna. W tej chwili jednak, nienawidząc szczęścia, Glinn potrzebował go jak niczego innego.

Zaszumiała krótkofalówka przy pasku Glinna. Mężczyzna szybko wziął ją do ręki.

- Mówi Garza - usłyszał wśród trzasków słaby głos inżyniera. -

Jestem w ładowni. Tu są straszne zakłócenia fal radiowych, nie wiem, jak długo będziesz mnie słyszał.

- Mów.

- Spawy sieci otaczającej meteoryt puszczają z każdym gwałtowniejszym przechyłem statku.

- Przyczyna?

- Eksplozja meteorytu spowodowała pęknięcia i poluznienia w krytycznych punktach sieci. Poza tym Rochefort zaprojektował stelaż na przechyły do maksimum trzydziestu pięciu stopni. Do tego limitu wciąż brakuje dziesięciu stopni... - przez chwilę z głośnika docierały jedynie trzaski - ...ale, oczywiście, meteoryt jest dwieście pięćdziesiąt procent cięższy, niż Rochefort zakładał przy obliczeniach. To może spowodować...

- Co może spowodować?

- Właściwie trudno powiedzieć. - Transmisja radiowa urwała się na kilka sekund po raz drugi. - Sieć jest i tak znacznie mocniejsza w stosunku do projektu. Stonecipher uważa, że meteoryt jeszcze dość długo się nie zerwie. Z drugiej strony, jeśli na dobre puszczą spawy w jakimś krytycznym punkcie, cała konstrukcja może runąć bardzo szybko, w jednej chwili.

- Nie lubię słów „dość długo” albo „może”.

- Bardziej precyzyjne stwierdzenie jest niemożliwe.

- Jak szybko oznacza to „bardzo szybko”?

- Cóż, mamy zapewne pięć do dziesięciu minut. Albo trochę więcej.

- A co potem?

- Meteoryt się zerwie. Nawet niewielkie poluznienie może być fatalne w skutkach.

Grozi naruszeniem konstrukcji statku. Poza tym...

- Wzmocnijcie te krytyczne punkty.

Nastąpił trzask i połączenie się zerwało. Glinn wiedział, o czym jeszcze myśli Garza: o tym, co się wydarzyło, kiedy jego ekipa ostatnio spawała sieć oplatającą meteoryt.

- Tak jest - usłyszał niespodziewanie głos Garzy.

- I uważajcie, żeby meteoryt nie miał żadnej styczności ze słoną wodą. Odpowiedział mu znowu tylko szum.

Tymczasem wielki „Rolvaag” dryfował na południe, dokładnie na południe.

„ROLVAAG”

Godz. 17.00

Na tyłach mostka znajdowała się wnęka obserwacyjna, niewielka przestrzeń pomiędzy przedziałem radiowym i nawigacyjnym. Nie było tam żadnych mebli, a jedynie dobrze umocowana barierka i wysokie okno. Przy tym oknie stał teraz Glinn, z lornetką przy oczach, wpatrzony w ocean. Śnieżycą była już tylko wspomnieniem, oddalającym się coraz bardziej na północ. Dała im sześćdziesiąt minut wytchnienia, a potrzebowali jeszcze dwudziestu. Jednak kiedy na niebie pojawił się wielki jasny księżyc, oświetlając wzburzony ocean, stało się oczywiste, że „Rolvaag” ich nie uzyska.

Jakby na zawołanie zza kurtyny śniegu wyłonił się „Ramirez”. Był szokująco blisko, jaskrawo oświetlony, w odległości nie większej niż cztery mile. Jego dziób rytmicznie wznosił się i opadał na spienionej wodzie. Glinnowi zdawało się, że widzi przednie działa okrętu wycelowane w tankowiec. „Rolvaag” był dla Chilijczyków tak samo dobrze widoczny, jak chilijski niszczyciel widoczny był z tankowca. Na mostku rozległ się krótki szmer niedowierzania. Po nim nastąpiła nieznośna, pełna napięcia cisza. Vallenar nie tracił czasu. Rzeczywiście ustawiał działa do kolejnych strzałów.

Co gorsza, „Ramirez” zaczął wystrzeliwać w górę fosforowe race, oświetlając „Rolvaaga” i teren wokół niego.

Vallenar działał metodycznie, nie spieszył się. Był bardzo staranny. Widział już, że dopadł swoją ofiarę. Glinn sprawdził czas na złotym kieszonkowym zegarku. „Ramirez” zaraz otworzył ogień z odległości czterech mil.

„Rolvaagowi” brakowało dwudziestu minut, żeby dopłynąć do wysp lodowych. Tankowiec potrzebował dwudziestu minut szczęścia.

- Przekraczamy granicę lodu, pani kapitan - powiedział Howell. Glinn znowu popatrzył na morze. Nawet w świetle księżyca widział, że zmienia się kolor wody, od głęboko zielonego po krystaliczny, niebiesko-czarny. Przeszedł na przednią część mostka, przeszukując przez lornetkę południowy horyzont. Widział cienkie tafle dryfującego lodu, podskakujące na falach, a w momencie, kiedy na jednej z nich statek znowu się uniósł do góry, dostrzegł błysk wysp lodowych - dwie niskie, płaskie turkusowe płaszczyzny. Bardzo uważnie je obejrzał. Ta po stronie wschodniej była ogromna i miała ze dwadzieścia mil długości, a ta po stronie zachodniej - około pięciu. Tkwiły jak dwie nieugięte opoki w niespokojnym oceanie. Były tak wielkie, że ocean nie miał najmniejszej szansy, by je zniszczyć. Pusta przestrzeń pomiędzy wyspami wynosiła mniej więcej tysiąc jardów.

- Ani śladu mgły - stwierdziła kapitan Britton, przystając obok Glinna z własną lornetką.

W miarę jak Glinn kontynuował obserwację, ogarniał go coraz większy zawód. Było to przytłaczające uczucie; jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie doświadczył. Czuł ogromny ucisk w okolicy splotu słonecznego. Granica lodu nie przyniosła tankowcowi schronienia. Niebo na południu pozbawione było chmur. Jaskrawy księżyc oblewający srebrzystym blaskiem wielkie fale działał jak reflektor omiatający ocean. Race spadające do wody dookoła statku sprawiały, że było jasno jak w środku dnia. Nie było gdzie się schować. Wielki, wspaniały „Rolvaag” zdany był na łaskę i niełaskę Vallenara. Do takiej sytuacji nie powinno być dojsz i w karierze Glinna jeszcze nigdy nie doszło.

Doskonale nad sobą panując, Eli Glinn przyłożył lornetkę do oczu i uważnie obejrzał obie wyspy. „Ramirez” nie strzelał, nie spieszył się teraz, gdy jego ofiara nie miała żadnej możliwości ucieczki. Mijały minuty, a umysł Glinna wędrował ścieżkami, które w ciągu ostatnich godzin wielokrotnie już przebył. A jednak za każdym razem każdą z nich posuwał się trochę dalej, głębiej, szukając rozgałęzień, możliwości i rozwiązań, które być może, przeoczył wcześniej. Na próżno. Pozostał mu do wykonania tylko jeden prosty plan.

Pełna napięcia cisza na mostku przedłużała się.

Nad statkiem przeleciał pocisk i wbił się w wodę przed jego dziobem, posyłając w górę fontannę piany. Po chwili uderzył następny i jeszcze jeden. Ludzie Vallenara wstrzelowali się w cel. Glinn szybko spojrzał na kapitan Britton.

- Proponuję wpłynąć pomiędzy dwie wyspy i trzymać się bliżej tej większej - mruknął. - Tak blisko, jak tylko się da. Rozumiesz mnie, Sally? Następnie wpłyniesz na wodę osłoniętą od wiatru i tam zatrzymasz statek.

Britton nie odjęła lornetki od oczu.

- W takiej sytuacji Chilijczyk zacznie do nas strzelać zaraz, kiedy opłynie wyspę. To nie jest dobry plan, Eli.

- To nasza jedyna szansa. Zaufaj mi.

Gejzer wody eksplodował po ich prawej stronie. Po chwili do wody wpadł kolejny pocisk, bardzo blisko burty. Nie było wątpliwości, że każdy następny może ich trafić. Nie było też czasu na zwroty ani możliwości przeprowadzania uników. Jednak po drugim strzale nastąpiła niespodziewana przerwa. Zakończyła ją gwałtowna eksplozja, która rzuciła Glinna na pokład. Kilka okien mostka wypadło z ram i nagle na stanowisku dowodzenia rozhulał się potężny wiatr. Wszędzie walały się odłamki pleksiglasu.

Leżąc na pokładzie, lekko ogłuszony Glinn usłyszał - a może poczuł - drugą eksplozję. Wtedy zgasły wszystkie światła.

„ROLVAAG”

Godz. 17.10

Kanonada urwała się. Kapitan Britton, leżąc wśród odłamków pleksiglasu, instynktownie zaczęła nasłuchiwać odgłosu silników. Wciąż pracowały, chociaż ich wibracje były inne niż jeszcze przed chwilą. Inne i złowieszcze. Drżąc, wstała na nogi. W tym samym momencie zapaliło się oświetlenie awaryjne. Statek kołysał się na przerażająco wzburzonym oceanie. Szum wiatru i fal, wpadający przez rozbite okna, wyraźnie docierał do uszu Britton. Na mostku pojawiły się pierwsze krople słonej wody. Wytrząsając z włosów kawałki plastiku, Sally Britton podeszła do głównej konsoli. Migotało na niej mnóstwo światełek.

- Sytuacja, panie Howell? - usłyszała własny głos.

Howell także był już na nogach. Naciskał po kolei różne przyciski na konsoli i co chwilę odzywał się do mikrofonu.

- Tracimy moc w lewej turbinie.

- Ster dziesięć stopni w lewo.

- Tak jest, ster dziesięć stopni w lewo. - Howell szybko przekazał rozkaz przez interkom. - Pani kapitan, wygląda na to, że dwa pociski trafiły w pokład C. Jeden blisko zbiornika numer sześć, a drugi w pobliżu przedziału silnikowego.

- Proszę sprawdzić, jakie mamy uszkodzenia. Chcę mieć także informację o stratach w ludziach, i to natychmiast. Panie Warner, niech pan uruchomi pompy zęzowe.

- Tak jest, uruchamiam pompy zęzowe.

Na mostek wdarł się potężny podmuch wiatru, przynosząc ze sobą kolejną porcję wody. Ponieważ temperatura gwałtownie spadła, woda zaczynała zamarzać na pokładzie i na konsolach. Britton jednak prawie nie czuła zimna.

Podszedł do niej Lloyd, strząsając szkło z ubrania. Z brzydkiej, głębokiej rany na jego czole obficie płynęła krew.

- Panie Lloyd, proszę się udać do izby chorych... - zaczęła Britton odruchowo.

- Niech pani nie będzie śmieszna - odparł Lloyd ze zniecierpliwieniem, ścierając krew rękawem. - Chcę w czymś pomóc.

Wybuch jakby przywołał go z powrotem do życia.

- W takim razie niech pan nam wybierze jakieś ubrania, stosowne do sytuacji - powiedziała Britton, wskazując na magazynek w tylnej części mostka.

Zatrzeszczało radio i Howell natychmiast podjął rozmowę.

- Czekamy na pełną informację o zniszczeniach i ofiarach, pani kapitan. Niestety, w przedziale silnikowym pojawił się ogień - dodał po chwili. - Od bezpośredniego trafienia.

- Czy standardowe gaśnice wystarczą, żeby zadusić ogień?

- Niestety, nie. Ogień rozszerza się zbyt szybko.

- Użyjcie więc awaryjnego systemu CO'. Proszę też zastosować kurtyny wodne i opuścić wewnętrzne grodzie, gdzie to konieczne.

Britton zerknęła na Glinna, który nerwowo mówił coś do swojego współpracownika przy konsoli EES. Po chwili mężczyzna wstał i szybko opuścił mostek.

- Panie Glinn, bardzo pana proszę o meldunek z ładowni - rzekła. Glinn zwrócił się do Howella:

- Proszę połączyć się z Garzą.

Wkrótce zaskrzeczał zewnętrzny głośnik i na mostku rozległ się głos Garzy.

- Jezu, co się dzieje, do cholery?

- Trafiły nas dwa kolejne pociski. Co u ciebie?

- Te wybuchy poważnie wstrząsnęły ładownią. Pękły dodatkowe spawy. Pracujemy najszybciej, jak się da, ale meteoryt...

- Trzymaj się, Manuelu. Bądź dzielny.

Lloyd powrócił z magazynku i zaczął rozdawać ciepłą odzież. Britton wzięła przeznaczoną dla niej nieprzemakalną, ocieplaną kurtkę, nałożyła ją i wyjrzała na zewnątrz, przed dziób tankowca. Wyspy lodowe wylaniały się już przed statkiem bardzo wyraźnie, niebieskawe w świetle księżyca. Znajdowały się w odległości jakichś dwóch mil, a ich szczyty wznosiły się mniej więcej dwieście stóp ponad powierzchnię oceanu. Fale rozbijały się z hukiem o ich podstawy.

- Panie Howell, jaka jest pozycja jednostki wroga?

- Trzy mile za nami i zmniejsza się. Za chwilę znowu będą strzelać. Niebawem za lewą burtą eksplodował kolejny pocisk. W górę uniósł się gejzer spienionej wody, której ciężkie krople pod wpływem *panteonem* natychmiast popłynęły w powietrzu niemal poziomo. Teraz Britton słyszała już odgłosy strzelających dział, dziwnie niepowiązane z eksplozjami. Rozległ się potężny trzask, statkiem zatrzęsło i przez mostek przeleciał rozgrzany do białości stalowy szrapnel.

- Trafił w główny pokład - stwierdził Howell i popatrzył na Britton. - Zdusiliśmy ogień. Jednak obie turbiny są poważnie uszkodzone. Bardzo szybko tracimy moc.

Britton opuściła wzrok na zegar cyfrowy informujący o prędkości statku. Spadła już do czternastu węzłów, a po chwili do trzynastu. Wraz ze spadkiem prędkości „*Rolvaag*” zachowywał się na wodzie coraz gorzej. Britton czuła, że sztorm bierze górę nad statkiem i w niedługim czasie doprowadzi go do niekontrolowanego dryfu. Dziesięć węzłów. Te największe fale rzucały już tankowcem, jak chciały w dziwacznym, wywołującym mdłości balecie. Britton dotąd nie wierzyła, że ocean może tak zdecydowanie zapanować nad statkiem rozmiarów „*Rolvaaga*”. Skupiła całą uwagę na konsoli.

Zapaliły się diody ostrzegające o złej pracy silników. Nie powiedziały jej nic, czego by jeszcze nie wiedziała. Czuła pod stopami słabe dudnienie zniszczonych silników, zduszone, nierówne, przerywane. Niespodziewanie na mostku rozbłysły światła. To system awaryjny zastąpił główny system zasilania.

Wszyscy milczeli, a tymczasem statek bardzo powoli zmierzał na południe. Popychała go jeszcze ogromna siła inercji, jednak spowalniała jego ruch każda fala, która rozbijała się o dziób. „Ramirez” zbliżał się do niego coraz szybciej.

Britton popatrzyła po oficerach zgromadzonych na swoich stanowiskach. Wszyscy mieli blade, spięte twarze. Ucieczka przed Chilijczykiem dobiegała końca.

Ciszę przerwał Lloyd. Krew ze zranionego czoła niemal wpadała mu do oka. Zamrugał kilkakrotnie, jakby chciał się jej pozbyć, ale trudno było odgadnąć, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z odniesionej rany.

- To już chyba koniec - powiedział. Britton pokiwała głową.

Lloyd spojrział na McFarlane'a.

- Wiesz co, Sam? Chciałbym być teraz w ładowni. Myślę, że, jak by to powiedzieć, powinienem się pożegnać z moim meteorytem. To chyba szalone, co?

- Nie, wcale nie - odparł McFarlane.

Kątem oka Britton dostrzegła, jak Glinn, usłyszawszy ostatnie słowa, odwraca się do Lloyd'a i McFarlane'a. Milczał jednak, a statek powoli wpływał w cień gór lodowych.

„ALMIRANTE RAMIREZ”

Godz. 17.15

Przerwać ogień - powiedział Vallenar do oficera liniowego. Podniósł do oczu lornetkę i powoli zlustrował wzrokiem uszkodzony tankowiec. Znad jego prawej burty unosiły się kłęby gęstego czarnego dymu, sunąc nisko nad oceanem skąpanym w świetle księżyca. Uznał, że „Rolvaaga” dosięgły przynajmniej dwa pociski, a spośród nich jeden trafił w przedział silnikowy, przy okazji niszcząc maszty antenowe. Jeśli wziąć pod uwagę wysokość fal, oficer liniowy spisał się doskonale. Doprowadził tankowiec do stanu, w jakim można go było pozostawić na wodzie na niechybną zgubę, tak jak Vallenar zaplanował. Z minuty na minutę coraz wyraźniej widział, jak statek wpada w niekontrolowany dryf. Nie mógł się mylić, „Rolvaag” nie miał już żadnych szans.

A jednak Amerykanie wciąż zmierzali w kierunku wysp lodowych. Mogły stanowić dla nich krótkotrwałą żalostną osłonę przed jego działaniami. Kobieta kapitan wykazywała wielką odwagę. Nie zamierzała się poddać przed wyczerpaniem wszelkich możliwości ucieczki. Vallenar był w stanie zrozumieć takiego dowódcę. Ukrycie się za wyspą było imponującym wyczynem, ale obecnie najzupełniej zbędnym. Załoga tankowca nie otrzyma od niego propozycji poddania się. Wszystkich ludzi na statku czekała nieuchronna śmierć.

Vallenar popatrzył na zegarek. Za dwadzieścia minut przepłynie przez prześwit pomiędzy wyspami i zbliży się do „Rolvaaga”. Spokojna woda na obszarze osłoniętym od wiatru pozwoli mu na oddanie precyzyjnych strzałów.

Zaczął wyobrażać sobie koniec „Rolvaaga”. Nie popełni żadnego błędu, nie wydarzy się nic, co mogłoby odmienić los Amerykanów. Ustawi „Ramireza” przynajmniej milę od nich, żeby nie zahaczyć dnem o lód. Oświetli cały teren racami. Nie będzie się śpieszył: egzekucja będzie staranna, dokładna. Ale nie będzie też jej nadmiernie przedłużał, w końcu nie był sadystą, a dzielna pani kapitan zasługiwała na godną śmierć.

Pierwszy strzał trafi w rufę, dokładnie na linii wody, dzięki czemu statek powoli zacznie się przechylać. Postanowił, że nikomu nie pozwoli uciec, żeby nie pozostawić żadnego naoczego świadka egzekucji. Pierwsze łodzie ratunkowe z rozbitkami natychmiast zniszczy seriami z karabinów. To sprawi, że pozostali Amerykanie nie opuszczą pokładu tankowca do samego końca. Kiedy statek będzie tonął, stłoczą się na dziobie, gdzie będzie ich doskonale widział. Pragnął przede wszystkim obserwować, jak ginie ten najbardziej przemądrzały, kłamliwy *cabrón*. Ten człowiek szczególnie zaszedł mu za skórę. Jeśli ktokolwiek wydał rozkaz zabicia jego syna, z pewnością uczynił to właśnie on.

Tankowiec zwolnił już do pięciu węzłów i płynął pomiędzy wyspami, trzymając się bliżej tej większej. W gruncie rzeczy zbyt blisko; zapewne statek miał uszkodzony ster. Wyspy lodowe były tak wysokie i ogromne, że „Rolvaag” zdawał się wpływać do wielkiego hangaru o ścianach w kolorze ciemnego błękitu. Minąwszy przesmyk, tankowiec zaczął skręcać w lewo. Zamierzał płynąć na spokojną wodę za większą z dwóch wysp, chwilowo poza zasięg dział „Ramireza”. Cóż, smutny, beznadziejny wysiłek.

- Sonar? - zawołał Vallenar, odrywając wreszcie lornetkę od oczu.

- Czysto, panie kapitanie.

O to chodziło, pod „Ramirezem” nie było żadnego podwodnego lodu. Nadchodził czas, żeby dokończyć rozpoczęte dzieło.

- Wpływamy do przesmyku pomiędzy wyspami - rozkazał. - Utrzymywać kurs identyczny z Amerykanami. - Po czym zwrócił się do oficera liniowego: - Proszę przygotować się do ponownego otwarcia ognia i czekać na moje rozkazy.

- Tak jest, panie kapitanie.

Vallenar wrócił do przedniej szyby i znowu przyłożył lornetkę do oczu.

„ROLVAAG”

Godz. 17.50

„Rolvaag” przepłynął przesmyk i znalazł się w cichym świecie, skąpanym w świetle księżyca. Wiatr niemal zupełnie ucichł i nie hulał już więcej po mostku, na którym powybijane były prawie wszystkie szyby. Niespodziewanie statek wy dostał się ze złowrogich objęć sztormu. Nagła cisza wcale jednak nie uspokoiła kapitan Britton. Kobieta popatrzyła na klify wyrastające po obu stronach statku, proste i gładkie, jakby ktoś wyciosał je siekierą. Na linii wody, od strony nawietrznej, znajdowały się cudownie uformowane grotty. W świetle księżyca lód lśnił czystym błękitnym blaskiem, tak głębokim, że Sally Britton szybko uznała otaczające ją widoki za najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziała. Zabawne, pomyślała, jak bliskość śmierci potrafi wzmocnić w człowieku wrażliwość na piękno.

Glinn, który na moment zniknął na skrzydle mostka, teraz powrócił na stanowisko dowodzenia, starannie zamknawszy za sobą drzwi. Podszedł do kapitan Britton, otrzepując z ramion resztki wody.

- Utrzymuj kurs - powiedział po cichu. - Niech tankowiec płynie dokładnie tak jak teraz.

Britton uznała za zbędne powtórzenie tych zagadkowych poleceń Howellowi.

Statek, wykonawszy za wyspą dziewięćdziesięciostopniowy zwrot, znacznie wytracił szybkość. Obecnie sunął wzdłuż południowego brzegu wyspy z prędkością jednego węzła, ale z każdą chwilą był coraz wolniejszy. Po zatrzymaniu się nie miał już żadnej szansy, żeby ruszyć ponownie.

Britton przyjrzała się profilowi Glinna, jego nieprzeniknionej twarzy. Niemal zapytała go, czy naprawdę uważa, że są w stanie skutecznie ukryć statek o długości jednej czwartej mili przed niszczycielem. Jednak milczała. Glinn zrobił wszystko, co mógł, aby ich uratować, na nic więcej nie miał już wpływu. Za kilka minut „Ramirez” wyłoni się zza wyspy lodowej i to będzie już koniec. Starła się nie myśleć o swojej córce i o tym, że nigdy jej nie zobaczy.

Po zawietrznej stronie wyspy wszystko wydawało się dziwnie spokojne. Na mostku panowała przytłaczająca cisza; wydawanie i wykonywanie rozkazów nie miało już sensu. Nie było wiatru, a fale morskie były leniwe i niskie. Góra lodu znajdowała się w odległości zaledwie ćwierci mili od burty. Britton dostrzegła w niej małe wodospady toczące wodę do oceanu skąpanego w świetle księżyca i słyszała odległe trzaski ścierających się ścian lodowych. Dopiero w ich tle słyszała szum wiatru omiatającego wierzchołek góry. Odnosiła wrażenie, jakby znajdowała się w eterycznym, niezemskim świecie. Obserwowała górę lodową, która zapewne zupełnie niedawno oderwała się od wyspy i dryfowała obecnie na zachód. Pragnęła znaleźć się na niej i czekać, aż powoli się stopi i zniknie w oceanie. Pragnęła być gdziekolwiek, byle nie na „Rolvaagu”.

- To jeszcze nie koniec, Sally - powiedział cicho Glinn, tak że usłyszała go tylko ona. Badawczo się jej przyglądał.

- Niestety, to koniec - odparła. - Niszczyciel przemienił nas w dryfujący złom.

- Na pewno jeszcze spotkasz się z córką.

- Proszę cię, nie mów tego. - Otarła łzę z policzka. Ku jej zaskoczeniu Glinn ujął ją za rękę.

- Jeśli przez to przejdziemy... - zaczął z wahaniem, dotąd zupełnie mu przecież obcym. - Będę chciał się z tobą spotykać. Czy to możliwe? Chciałbym dowiedzieć się więcej o poezji. Może zechcesz mnie czegoś nauczyć na ten temat?

- Eli, proszę cię... Będzie nam łatwiej, jeżeli będziemy milczeli. - Lekko uściśnęła jego dłoń.

W tym samym momencie dostrzegła dziób „Ramireza” wylaniający się zza wyspy.

*

Znajdował się w odległości nie większej niż dwie mile. Płynął bardzo blisko niebieskiej ściany wyspy lodowej, dokładnie powtarzając kurs „Rolvaaga” i zbliżając się do niego jak rekin do bezbronnej ofiary. Wieżyczki strzelnicze wycelowane były w tankowiec z chłodnym rozmysłem, nie pozostawiając wątpliwości, co wkrótce powinno się wydarzyć.

Kiedy Britton wyjrzała przez tylne okno mostka, czekając już tylko na śmiertelne strzały, odniosła wrażenie, jakby czas zwolnił swój bieg. Dłuższe stały się nawet przerwy pomiędzy kolejnymi uderzeniami serca. Rozejrzała się po towarzyszących jej mężczyznach. Lloyd, McFarlane, Howell i pozostali oficerowie czekali w ciszy na dopełnienie własnego losu. Czekali na śmierć w ciemnej, zimnej wodzie.

Z niszczyciela dotarły przytłumione odgłosy strzałów i ku niebu wzniosły się race fluorescencyjne. Ekspłdowały w powietrzu, oświetlając wszystko jaskrawym blaskiem. W chwili gdy powierzchnia wody, pokład tankowca i lodowe ściany nagle zmieniły kolory, Britton osłoniła oczy. Kiedy race odrobinę się wypaliły, znowu wyjrzała na zewnątrz. Lufy działek na „Ramirezie” zmieniły położenie i wycelowane były teraz prosto w tankowiec. Z mostka widoczne były ich czarne otwory. „Rolvaag” znajdował się w połowie przesmyku pomiędzy wyspami i gwałtownie zwalniał. Nie było już wątpliwości, że Vallenar każe strzelać z najbliższej odległości.

W powietrzu zagrzmiała potężna eksplozja. Jej odgłos odbił się pomiędzy wyspami zwielokrotnionym echem. Britton drgnęła i w tej samej chwili poczuła na swojej dłoni dotyk Glinna. A więc tak miał wyglądać koniec. Zaczęła szeptać modlitwę za córkę i za to, żeby jej własna śmierć była łagodna i szybka.

Ale w lufach dział niszczyciela nie dostrzegła ognia. Zdezorientowana, uważniej popatrzyła na zewnątrz. Dopiero wysoko na górze zauważyła ruch.

Ze szczytu lodowego klifu ponad „Ramirezem” zaczęły strzelać ku niebu odłamki i bryły lodu. W czterech miejscach na brzegu pojawił się dym. Wkrótce umilkły wszelkie odgłosy, zamilkło nawet echo i powrócił absolutny spokój. Ale nie na długo. Nagle lodowa wyspa jakby się uniosła, a klif ponad „Ramirezem” niespodziewanie zaczął się zsuwać do wody. Pomiędzy nim a resztą wyspy powstała błękitna szczelina, gwałtownie się poszerzająca. Britton dostrzegła, że od wyspy oderwała się ogromna góra lodu, o wysokości co najmniej dwustu stóp. Od tej góry zaś oddzielił się wielki biały płat i opadając w dół, rozłamał się na kilka mniejszych fragmentów. Kiedy te bryły zanurzyły się w wodzie, powstała fala - najpierw czarna, stopniowo przechodząca w zieloną i białą. Fala błyskawicznie rosła, napędzana wielką masą tonącego lodu. W tym momencie do mostka dotarły odgłosy towarzyszące temu zjawisku; przerażająca kakofonia chaotycznych dźwięków, z każdą chwilą głośniejsza. A fala nadal rosła, ponura i groźna. Zmierzała nieubłaganie w kierunku lewej burty „Almirante Ramireza”.

Wtedy zadudniły silniki dieslowskie niszczyciela. To Vallenar rozpoczął manewr w rozpaczliwej próbie uniknięcia tego, co właściwie było nieuchronne. Fala była już przy nim. Niszczyciel uniósł się na niej, ponad powierzchnię wody wynurzył się cały czerwony, porzewiały dziób. Okręt na moment jakby zastygł bez ruchu, mocno przechylony na prawą burtę. Jego dwa wysokie maszty ułożyły się niemal poziomo nad wodą. Wówczas spieniona fala runęła na niego z potężnym impetem. Przez kilka decydujących sekund okręt walczył o życie i, co wydawało się wręcz nieprawdopodobne, walkę tę chyba wygrał. Britton czuła, jak serce gwałtownie bije jej w piersi. Niszczyciel wyprostował się na powierzchni oceanu, a z jego pokładu błyskawicznie zaczęły spływać ogromne ilości wody. Nie udało się, pomyślała Britton z rozpaczą. Boże, nie udało się!

Kiedy zdawało się, że „Ramirez” wygrał dramatyczną walkę z żywiołem, zaczął jednak pogrążyć się w oceanie. W ciszy rozległ się syk powietrza i nagle niszczyciel wystrzelił we wszystkich kierunkach fontannami wody. Przewrócił się najpierw na bok, a po chwili ułożył się do góry dnem, stępką ku niebu. Rozbrzmiał kolejny, jeszcze głośniejszy syk. Wokół tonącego kadłuba pojawiła się piana i bąbelki powietrza. W ciągu kilku krótkich sekund „Ramireza” pochłonęła lodowata głębina. Przez moment na powierzchni wody strzelały bąbelki powietrza, ale i one wkrótce zniknęły. Nad zatopionym okrętem pozostała tylko spokojna czarna toń.

Wszystko to trwało nie więcej niż dziewięćdziesiąt sekund.

Britton zauważyła sunącą ku „Rolvaagowi”, dziwną niewysoką falę, z każdą sekundą coraz szerszą.

- Trzymaj się - mruknął Glinn, mając na myśli statek.

Tankowiec, ustawiony bokiem do fali gwałtownie się uniósł, przechylił, ale kiedy woda się uspokoila, powrócił zaraz do normalnej pozycji.

Britton uwolniła swą dłoń z dłoni Glinna i przyłożyła do oczu lornetkę. Fakt, że niszczyciela już nie było, docierał do niej powoli i z trudem. Na powierzchni wody nie pojawiła się żadna szalupa ratunkowa, nie pojawił się żaden człowiek - nawet ponton, żaden element wyposażenia, jak choćby zapomniana butelka. „Almirante Ramirez” właściwie zniknął bez śladu.

Glinn wpatrywał się w wyspę i Britton podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Na jej skraju widoczne były cztery ciemne punkciki - mężczyźni w grubych nieprzemakalnych kurtkach, z rękami skrzyżowanymi nad głowami, dłońmi zaciśniętymi w pięści.

Glinn przyłożył do ust krótkofalówkę.

- Operacja zakończona - powiedział cicho. - Przygotujcie się na przyjęcie pontonu.

„ROLVAAG”

Godz. 17.40

Palmer Lloyd przez długą chwilę nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Był tak pewien, że czeka go nieuchronna śmierć, iż teraz, wciąż stojąc na mostku i wciąż oddychając, miał wrażenie, że doświadczył cudu. Kiedy w końcu odzyskał mowę, zwrócił się do Glinna:

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Szansa, że mój plan się powiedzie, była bardzo niewielka. Właściwie ja sam nie wierzyłem w sukces. - Usta Glinna ułożyły się w ironiczny uśmiech. - Potrzebowałem cholernie dużo szczęścia.

W nagłym przypływie emocji Lloyd podszedł do niego i objął go w niedźwiedzim uścisku.

- Chryste! - zawołał. - Czuję się jak skazaniec, któremu w ostatniej chwili wstrzymano egzekucję. Eli, czy istnieje na tym świecie problem, któremu nie byłbyś w stanie podolać? - Lloyd niespodziewanie rozplakał się, ale zupełnie się tym nie przejmował.

- To jeszcze nie koniec - ostrzegł Glinn.

Ale Lloyd po prostu uśmiechnął się. Słowa Glinna uznał jedynie za objaw fałszywej skromności.

- Czy nabieramy wodę? - zapytała Britton Howella.

- Tak, ale na razie pompy doskonale sobie z tym radzą, pani kapitan. I będą sobie radziły, dopóki działa awaryjne zasilanie.

- Jak długo będzie działało?

- Jeśli wyłączymy wszystkie zbędne systemy i uruchomimy zapasowy silnik dieslowski, to przynajmniej przez dwadzieścia pięć godzin.

- Doskonale! - zawołał Lloyd. - Jesteśmy więc w znakomitej sytuacji. Naprawimy silniki i natychmiast ruszamy w drogę powrotną. - Uśmiechnął się szeroko do Glinna i do Britton, ale wkrótce jego uśmiech osłabł. Ci dwoje wcale nie wyglądali na zadowolonych. - Jest jeszcze jakiś problem?

- Dryfujemy, panie Lloyd - wyjaśniła Britton. - Prąd morski wypycha nas z powrotem w kierunku sztormu.

- Dawaliśmy sobie radę do tej pory. Czy może nas spotkać coś jeszcze gorszego niż dotąd?

Na jego pytanie nikt nie odpowiedział. Tymczasem Britton zwróciła się do Howella:

- Co z naszą łącznością? - zapytała.

- Połączenia dalekiego zasięgu oraz łączność satelitarna nie funkcjonują - odparł.

- Proszę nadać sygnał SOS. Niech pan wywoła Georgię Południową na szesnastym kanale awaryjnym.

Lloyd poczuł nagle, że ciarki przebiegają mu po plecach.

- SOS? - zdziwił się. - A po co? I znowu nikt mu nie odpowiedział.

- Panie Howell, jak poważne są uszkodzenia naszych silników? - zapytała po chwili Britton.

Po kilku sekundach Howell odparł:

- Nie damy rady sami naprawić żadnej z turbin, pani kapitan.

- Proszę więc podjąć procedury na wypadek konieczności awaryjnego opuszczenia statku.

Lloyd nie był w stanie uwierzyć w to, co usłyszał.

- Do diabła, o czym wy rozmawiacie? Czy ten statek tonie? Britton zmierzyła go zimnym spojrzeniem swych zielonych oczu.

- Pamiętajcie, że w ładowni jest mój meteoryt - kontynuował Lloyd. - I ja nie zejść z tego statku.

- Nikt nie ma zamiaru schodzić ze statku, panie Lloyd. Ewakuacja „Rolvaaga” nastąpi tylko w ostateczności. Zresztą, jeśli nawet przesiądziemy się do pontonów ratunkowych w czasie takiego sztormu, i tak będzie to jedynie samobójstwo.

- Na miłość boską, niech pani nie przesadza. Przecież możemy przeczekać sztorm i jakoś dopłyniemy do Falklandów. Sytuacja nie jest aż taka zła.

- Niestety, nie mamy steru, nie mamy silników i nie mamy żadnej możliwości posuwania się do przodu we właściwym kierunku. Kiedy ponownie znajdziemy się w strefie sztormu, to biorąc pod uwagę wiatr wiejący z prędkością osiemdziesięciu węzłów, fale o wysokości stu stóp i prąd morski, osiągający prędkość sześciu węzłów i nieuchronnie kierujący nas do Cieśniny Bransfielda, nie będziemy mieli żadnych szans. To jest Antarktyka, panie Lloyd. Sytuacja jest bardzo zła.

Lloyd jakby się przygarbił, zupełnie zrezygnowany. Czuł już, jak martwe fale kołyszą statkiem. Na mostek wpadł pierwszy podmuch wiatru.

- Posłuchajcie - powiedział głuchym głosem. - Nie interesuje mnie, jak to zrobicie, ale nie wolno wam stracić mojego meteorytu. Czy to jest jasne?

Britton posłała mu ostre, nieprzyjazne spojrzenie.

- Panie Lloyd, w tej chwili głównie mnie obchodzi pański meteoryt. Przedmiotem mojej troski jest wyłącznie statek i ludzie znajdujący się na jego pokładzie. Czy to jest jasne, szanowny panie Lloyd?

Lloyd popatrzył na Glinna, starając się u niego znaleźć wsparcie. Glinn jednak milczał, a jego twarz niczego nie wyrażała.

- Kiedy możemy tu ściągnąć kogoś, kto wzięłby nas na hol?

- Większość naszej elektroniki nie działa, ale próbujemy wywołać Georgię Południową. Wszystko zależy od sztormu.

Kolejne pytanie Lloyd zadał Glinnowi:

- Co się dzieje w ładowni?

- Garza wzmacnia sieć nowymi spawami.

- Jak długo to potrwa?

Glinn nie odpowiedział. Nie musiał, ponieważ w tym momencie wszyscy na mostku odczuli to samo. Ruchy statku stały się gwałtowniejsze, kołysaniu towarzyszyły coraz większe przechyły. Wychodząc z przechyłów, „Rolvaag” jakby jęczał z bólu. Był to głęboki pomruk, przechodzący w wibrację. Zły duch meteorytu ożywał się.

„ROLVAAG”

Godz. 17.45

Z pokoju radiowego wyszedł Howell i powiedział do Britton: - Mamy Georgię Południową, pani kapitan.

- Bardzo dobrze. Proszę ich przełączyć na zewnętrzny głośnik. Po chwili zatrzeszczał głośnik umieszczony na mostku.

- Georgia Południowa do tankowca „Rolvaag”, potwierdzam identyfikację.

Głos operatora był bardzo słaby, jednak Britton mimo trzasków potrafiła zrozumieć poszczególne słowa.

Wzięła do ręki nadajnik i włączyła właściwy kanał.

- Georgia Południowa, jesteśmy w niebezpieczeństwie. Mamy poważne uszkodzenia, brak napędu, powtarzam, brak napędu. Dryfujemy na południowy południowy wschód z prędkością około dziewięciu węzłów.

- Przyjąłem, „Rolvaag”. Podaj swoją pozycję.

- Moja pozycja to sześćdziesiąt jeden stopni, piętnaście minut i dwanaście sekund szerokości południowej oraz sześćdziesiąt stopni, pięć minut i trzydzieści trzy sekundy długości zachodniej.

- Co macie w zbiornikach ładunkowych? Balast czy ropę?

Glinn popatrzył na nią ostro i Britton na moment wyłączyła nadawanie.

- Od tej chwili - odezwał się - zaczynamy mówić prawdę. Naszą prawdę.

Britton ponownie włączyła nadajnik.

- Georgia Południowa, w ładowni mamy tylko jedną skałę. To jest bardzo ciężki meteoryt, który wydobyliśmy z ziemi na jednej z wysp przyładka Horn.

W eterze na moment zapanowała cisza.

- Chyba nie zrozumiałem, „Rolvaag”. Powiedziała pani „meteoryt”?

- Tak, potwierdzam. Naszym ładunkiem jest meteoryt o wadze dwudziestu pięciu tysięcy ton.

- Meteoryt o wadze dwudziestu pięciu tysięcy ton - powtórzył beznamiętnie operator. - „Rolvaag”, poinformuj mnie, dokąd z nim płyniecie.

Britton doskonale wiedziała, że jest to subtelniejsza forma pytania: „Co więc, do diabła, tam robicie?”.

- Zmierzamy do Port of Elizabeth w New Jersey.

Znów zapadła cisza. Britton czekała, nieświadomie przestępując z nogi na nogę. Każdy marynarz odgadłby już, że w historii „Rolvaaga” jest coś dziwnego. Tankowiec znajdował się w odległości dwustu mil od Cieśniny Bransfielda i dryfował w samo serce potężnego sztormu. I mimo to dopiero teraz, o wiele za późno, prosił o pomoc.

- „Rolvaag”, mogę zapytać, czy dysponujecie najnowszymi prognozami meteorologicznymi?

- Tak, dysponujemy - odparła Britton, choć wiedziała, że zaraz i tak je usłyszysz.

- Około północy wiatr osiągnie sto węzłów, grożą wam fale o wysokości czterdziestu metrów. Dla Cieśniny Drake'a zapowiadany jest piętnastostopniowy sztorm.

- W tej chwili mamy już prawie trzysta.

- Rozumiem. Proszę o szczegóły dotyczące waszych uszkodzeń. Tylko dobrze się spisuj, pomyślał Glinn.

- Georgia Południowa, zostaliśmy bez ostrzeżenia zaatakowani na wodach międzynarodowych przez chilijski okręt wojenny. Jego pociski zdewastowały nasz przedział silnikowy, uszkodziły mostek i spowodowały zniszczenia na głównym pokładzie. Nie mamy ani napędu, ani możliwości sterowania statkiem. Dryfujemy, powtarzam, dryfujemy.

- Dobry Boże. Czy ten okręt nadal wam zagraża?

- Niszczyciel zderzył się z górą lodową i zatonął przed trzydziestoma minutami.

- To nadzwyczajne. Dlaczego...?

Na kanale łączności alarmowej takie pytanie było niestosowne, ale samo wezwanie o pomoc było w końcu zupełnie niezwykle.

- Nie mamy pojęcia dlaczego. Odnoszę wrażenie, że chilijski kapitan działał na własną rękę, bez rozkazów dowództwa.

- Zidentyfikowaliście ten okręt?

- Tak. To był „Almirante Ramírez”. Jego kapitan nazywał się Emiliano Vallena.

- Nabieracie wodę?

- Tak, ale nasze pompy sobie z nią radzą.

- Czy jesteście w stanie bezpośredniego zagrożenia?

- Tak. Nasz ładunek może w każdej chwili zerwać się z mocowań, a wtedy w ciągu kilku chwil zatoniemy.

- „Rolvaag”, czekaj na linii.

Zapadła cisza, która trwała około sześćdziesięciu sekund.

- „Rolvaag”, zrozumiałem waszą trudną sytuację. Tutaj i na Falklandach mamy samoloty i śmigłowce ratunkowe. Zlokalizują was, jednak nie możemy, powtarzam, nie możemy, wysłać ich do akcji ratunkowej, dopóki sztorm nie osłabnie przynajmniej do dziesięciu stopni. Czy dysponujecie łącznością satelitarną?

- Nie. Większość naszej elektroniki uległa zniszczeniu.

- Poinformujemy wasz rząd o sytuacji. Możemy coś jeszcze dla was zrobić?

- Po prostu przysłać holownik, i to jak najszybciej. Zanim skończymy na skatach w Cieśninie Bransfielda.

Głos operatora na chwilę zagłuszyły trzaski, ale zaraz powrócił.

- Powodzenia, „Rolvaag”. Niech Bóg ma was w swojej opiece.

- Dziękuję, Georgia Południowa.

Britton odłożyła nadajnik, pochyliła się nad konsolą i popatrzyła w dal, w ciemną noc.

„ROLVAAG”

Godz. 18.40

Kiedy „Rolvaag”, dryfując, wypłynął ze spokojnych wód po zawietrznej stronie wyspy, natychmiast dopadł go sztorm i potężny wiatr. Siła huraganu rosła z każdą chwilą, a mostek od dawna był już skąpany w zamarzającej mgielce wodnej. Sally Britton czuła, że statek, pozbawiony silników, znajduje się całkowicie na łasce sztormu. Było to drażniące, beznadziejne uczucie.

Sztorm wzrastał się stopniowo, jakby wszystko odbywało się według zegarka. Britton obserwowała, jak żywioł nabiera mocy, minuta po minucie, aż wreszcie osiągnął intensywność, jakiej do tej pory sobie nawet nie wyobrażała. Księżyc skrył się za gęstymi chmurami i ze stanowiska na mostku dosłownie nic nie było widać. Sztorm docierał zresztą także na mostek i do zgromadzonych na nim ludzi; był w mgielce wodnej, we fragmentach lodu ostrych jak brzytwa, unoszonych przez fale i w zapachu śmierci, który niósł w sobie. Najgorsze były jednak rozmaite złowieszcze odgłosy i dobiegający zewsząd straszliwy szum spienionej wody. Temperatura na mostku spadła do dziewiętnastu stopni w skali Fahrenheita i Britton czuła, jak na jej włosach osiada lód.

Regularnie odbierała meldunki o sytuacji, ale wydawała bardzo niewiele rozkazów. Właściwie nie miała nic do roboty. Na statku pozbawionym silników i możliwości sterowania pozostawało jedynie czekanie. Poczucie beznadziei było wprost nie do wytrzymania. Na podstawie ruchów tankowca oceniła, że fale osiągają wysokość ponad stu stóp. Były to fale nieomal okrążające cały glob ziemski, pchane przez wiatr i nigdy nie docierające do żadnego brzegu. Były to fale Ryczących Sześćdziesiątek, największe na świecie. „Rolvaag” utrzymywał się jeszcze na powierzchni oceanu tylko dzięki swoim wielkim rozmiarom. Kiedy wznosił się na grzbiety kolejnych fal, wiatr na mostku brzmiał jak przepotężny jazgot. Na szczytach spienionych bałwanów cała konstrukcja tankowca wibrowała i buczała; można było odnieść wrażenie, że wichur stara się go przepołowić. W końcu następował krótki wstrząs i statek łagodnie, powoli zsuwał się pomiędzy fale. Inklinometr beznamiętnie rejestrował te zmagania: dziesięć, dwadzieścia, dwadzieścia pięć stopni przechyłu. W chwilach, kiedy na tarczy pojawiała się wartość krytyczna, wszyscy z napięciem wpatrywali się w instrument normalnie nie mający żadnego znaczenia. Wkrótce statek pokonywał kolejną falę i osiadał na

mniej wzburzonej wodzie poza nią. Te momenty krótkotrwałego spokoju przerażały bardziej niż sam sztorm. Cały proces powtarzał się bez końca w okrutnym, niemal jednostajnym rytmie. Ani Britton, ani nikt inny nie miał na to, co się dzieje ze statkiem, żadnego wpływu.

Britton włączyła reflektory na nadbudówce, żeby obejrzeć główny pokład „Rolvaağa”. Większość kontenerów i kilka żurawików zostało zerwanych z mocowań i zsunęło się do oceanu, jednak wszystkie mechaniczne drzwi i włazy, prowadzące do ładowni i zbiorników, wytrzymały. Statek wciąż nabierał wodę - wpływającą pod pokład przez dziurę powstałą w wyniku trafienia pociskiem z „Ramireza” - ale pompy błyskawicznie ją usuwały. „Rolvaağa” był dobrze skonstruowanym statkiem pełnomorskim. Ze sztormem dawałby sobie radę doskonale, gdyby nie ogromny ciężar, jaki wiózł w ładowni.

O dziewiętnastej sztorm osiągnął piętnaście stopni, a wiatr w porywach wiał już z prędkością stu węzłów. Kiedy statek wznosił się na szczyt kolejnej fali, wichur w ciemności wprost przygniatał ludzi do ścian mostka. Britton wiedziała, że żaden sztorm nie może być aż tak gwałtowny w nieskończoność. Miała nadzieję, że wkrótce pogoda zacznie się poprawiać. Musiało tak się stać.

Co chwilę sprawdzała wskazania radaru, mając irracjonalną nadzieję, że na powierzchni oceanu wypatrzy jakąś jednostkę, która pośpieszy „Rolvaağowi” na ratunek. Niestety, radar ostrzegł ją tylko przed obecnością wyspy lodowej. Była znacznie mniejsza od tej, którą niedawno minęli, ale i tak miała kilka mil długości.

Działał przynajmniej GPS. Wskazywał teraz, że statek znajduje się w odległości około stu pięćdziesięciu mil na południowy zachód od Szetlandów Południowych, niezamieszkanego łańcucha gór przypominających kły, wystającego z Oceanu Antarktycznego i otoczonego przez podwodne skały oraz gwałtowne prądy. Dalej leżała Cieśnina Brainsfielda, a jeszcze dalej wieczny lód i surowe wybrzeże Antarktydy. Britton wiedziała, że bliżej Antarktydy ocean będzie spokojniejszy, jednak większym zagrożeniem staną się prądy morskie. Sto pięćdziesiąt mil... Gdyby Georgia Południowa rozpoczęła akcję ratunkową około szóstej nad ranem... Wszystko zależało teraz od znaleziska, które spoczywało w ładowni.

Korciło ją, by zapytać Glinna o sytuację, ale zdała sobie sprawę, że nie chce słuchać jego odpowiedzi. Glinn był równie milczący jak ona sama i nawet zaczęła się zastanawiać, o czym rozmyślał. Ona przynajmniej była doskonale świadoma tego, co się dzieje ze statkiem. Wszystkim innym pozostawał jedynie zwyczajny strach.

Tankowiec zakołysał się gwałtownie. Kiedy powrócił do normalnej pozycji, Britton niespodziewanie poczuła, że kadłubem coś dziwnie szarpnęło. W tej samej chwili Glinn przyłożył do ucha krótkofalówkę i zaczął uważnie słuchać. Uchwycił jej spojrzenie.

- To Garza - powiedział. - Z powodu tego sztormu w ogóle go nie słyszę. - Popatrzył na Howella. - Proszę go przełączyć na głośnik. Z maksymalnym wzmocnieniem.

Nagle na mostku zadudnił głos Garzy.

- Eli! - wołał inżynier.

Wzmocnienie uwypukliło panikę i desperację w jego głosie. W tle Britton wyłowiła odgłosy rozdieranego metalu.

- Jestem.

- Tracimy główne belki wzmacniające.

- Musisz sobie poradzić. - Głos Glinna był mocny i spokojny. Tymczasem statek znowu zaczął się przechylać.

- Eli, ten cały meteoryt oswabadza się szybciej, niż jesteśmy w stanie reagować... - Statek przechylił się jeszcze mocniej, a głos Garzy został zagłuszony przez dźwięk rozdieranego metalu.

- Manuelu - powiedział Glinn. - Rochefort wiedział, co robi, kiedy projektował sieć. Jest znacznie mocniejsza, niż myślisz. Powoli, stopniowo próbuj ją naprawiać.

Statek nadal się przechylał.

- Eli, ten kamień... On się rusza! Nie mogę... - Łączność nagle została przerwana.

Statek jakiś czas tkwił w głębokim przechyle, po czym cały zadrżał i powoli zaczął powracać do właściwej pozycji. Britton znowu poczuła szarpnięcie, jakby kadłub tankowca w coś uderzył.

Glinn nie odrywał wzroku od głośnika. Ten ponownie ożył i spośród trzasków i zakłóceń dobiegł głos Garzy:

- Eli? Jesteś tam?

- Tak.

- Myślę, że meteoryt przed chwilą lekko się przesunął, ale wrócił na miejsce.

Glinn niemal się uśmiechnął.

- Manuelu, widzisz, jaki jesteś przewrażliwiony? Nie panikuj. Skupiaj się tylko na punktach krytycznych, a pozostałymi się teraz nie przejmuj. Panuj nad sytuacją. W sieć wbudowanych jest mnóstwo osłon redukcyjnych, to takie nasze podwójne zabezpieczenie. Pamiętaj o tym.

- Tak jest.

Statek zaczął się wspinać na następną falę - powoli, ociężale, z wielkim wysiłkiem. Na jej szczycie Britton znowu wyczuła krótką pauzę, po czym w ruchu „Rolvaaga” wystąpiło coś nowego, ledwie wyczuwalnego, ale zupełnie innego niż dotąd. Coś, co zwiastowało dodatkowe zagrożenie.

Britton popatrzyła na Glinna, następnie na Lloyda. Stwierdziła, że niczego nie zauważyli. Kiedy meteoryt poruszył się, wyraźnie odczuła, jak ten ruch zadziałał na cały statek. Na grzbiecie poprzedniej fali potężny „Rolvaag” niemal się odwrócił. Ale wrażenie to mogło być z powodzeniem wytworem jej przeczulonej wyobraźni. Odczekała, aż statek opadnie na nienaturalnie spokojną wodę pomiędzy kolejne fale i znowu zacznie się wznosić. Włączyła oświetlenie głównego pokładu i reflektory skierowane na morze. Chciała zobaczyć zachowanie statku na wodzie. Tankowiec drżał, jakby pragnął zrzucić z siebie jakiś ciężar, a ciężka, czarna woda bezustannie przelewała się przez jego pokład i wypływała na zewnątrz przez spływniki. Kiedy osiadł na szczycie fali, meteoryt w ładowni zaczął wydawać dziwne jęki, a „Rolvaag” po chwili wolno zsunął się w dół. Dopiero przełamawszy spienioną grzywę morskiego bałwana, cały kadłub tankowca mocno zadrżał, a jego stalowy kadłub przez moment zgrzytał i pojękiwał w głośnym proteście przeciwko ogromnym naprężeniom i przeciążeniom.

Kiedyś, podczas okropnego sztormu u wybrzeży Grand Banks, Britton widziała, jak statek na grzbiecie fali przełamał się na pół. Kadłub rozerwał się ze straszliwym hałasem i natychmiast wdarła się do niego woda, docierając w ciągu kilku sekund do jego najodleglejszych zakamarków. Nikt na pokładzie nie miał szansy na ratunek. Razem z kadłubem wszyscy momentalnie pogrążyli się w morskiej głębinie. Wciąż bywały noce, kiedy ten obraz nie pozwalał Britton spokojnie zasnąć.

Zerknęła na Howella. On także był zaniepokojony zachowaniem statku. Okrągłymi oczami, w których można było dostrzec ogromny strach, wpatrywał się w pokład jak zahipnotyzowany. Twarz miał śmiertelnie bladą. Britton jeszcze nigdy nie widziała go tak przerażonego.

- Pani kapitan... - zaczął drżącym głosem i urwał.

Ruchem ręki nakazała mu, żeby milczał. Wiedziała, co zamierzał powiedzieć. Ale wypowiedzenie tych słów było jej, a nie jego obowiązkiem.

Popatrzyła z kolei na Glinna. Na jego twarzy wciąż rysowała się dziwna pogoda i pewność siebie. Szybko musiała odwrócić wzrok. Mimo swej ogromnej wiedzy ten mężczyzna po prostu nie czuł zachowania statku.

„Rolvaag” był o krok od przełamania się na dwie części.

Kiedy znowu znaleźli się pomiędzy falami, wiatr na chwilę ustał. Britton skorzystała z tego, żeby rozejrzeć się po twarzach ludzi zgromadzonych na mostku. Lloyd, McFarlane, Amira, Glinn, Howell, Banks i inni oficerowie pełniący służbę milczeli. Wszyscy mniej lub bardziej otwarcie wpatrywali się w nią. Wszyscy czekali, aż zrobi coś, co uratuje im życie.

- Panie Lloyd - odezwała się.

- Tak? - podszedł do niej, gotów służyć pomocą. Czekają ją bardzo trudne zadanie.

Tymczasem statek pokonał kolejną wielką falę, a na mostek wdarła się woda. Zaraz potem znowu spłynął w dół i zapanował krótkotrwały spokój. Można było normalnie oddychać.

- Panie Lloyd - odezwała się jeszcze raz. - Musimy pozbyć się meteorytu.

„ROLVAAG”

Godz. 19.00

Usłyszawszy te słowa, McFarlane poczuł, że zawartość żołądka podchodzi mu do gardła. Przez całe ciało jakby przebiegł mu prąd elektryczny. Nigdy. To było niemożliwe. Próbował odegnąć od siebie objawy choroby morskiej i strach, który targał nim w ciągu ostatnich kilkunastu minut.

- Absolutnie się nie zgadzam - usłyszał słowa Lloyd.

Zostały wypowiedziane bardzo cicho i były niemal niesłyszalne wśród wichru i szumu oceanu. A jednak niosły w sobie siłę i stanowczość. Na mostku zapanowało milczenie.

- To ja jestem kapitanem statku - odpowiedziała Sally Britton, równie cicho jak Lloyd.

- Od tego, co zrobimy z meteorytem, zależy życie mojej załogi i nas wszystkich. Eli, rozkazuję ci otworzyć pochylnię awaryjną i wyrzucić meteoryt do oceanu. Słyszysz? Rozkazuję!

Po krótkim wahaniu Glinn podszedł do konsoli EES.

- Nie! - wrzasnął Lloyd i złapał Glinna za ramię. - Tylko dotknij tego komputera, a uduszę cię gołymi rękami.

Wystarczył szybki, gwałtowny ruch i Glinn wyrwał się z uścisku. Lloyd na moment stracił równowagę, ale natychmiast ją odzyskał. Statek znowu wspiął się na falę i przez cały kadłub ponownie przetoczył się głośny jęk metalu. Wszyscy chwycili się najbliższych barierek, żeby nie upaść, i przez moment nic się nie działo.

Kiedy tankowiec przyjął w miarę stabilną pozycję, Britton krzyknęła:

- Czy pan to słyszy, panie Lloyd!?! - Jej głos wzniósł się ponad dźwięki wydawane przez metal. - Ten skurwysyński kamień rozpieprzył mój statek!

- Glinn, odsuń się od konsoli.

- Kapitan wydał rozkaz! - krzyknął z kolei Howell wysokim, piskliwym głosem.

- Nie! Tylko Glinn dysponuje kluczem i kodami, a on tego nie zrobi! Nie może tego zrobić, nic nie może zrobić bez mojej zgody! Eli, czy mnie słyszysz? Rozkazuję ci nie uruchamiać pochylni! - Lloyd niespodziewanie stanął przed komputerem EES, blokując dostęp do niego własnym ciałem.

Howell nie zamierzał biernie się temu przyglądać.

- Ochrona! Natychmiast usuńcie tego człowieka z mostka dowodzenia. Britton uniosła jednak rękę.

- Panie Lloyd, niech pan odejdzie od komputera. Eli, proszę wykonać mój rozkaz.

Tankowiec znów zaczął się mocno przechylać, a z jego wnętrza aż na mostek dotarły odgłosy przeraźliwych trzasków i rozdzieranego metalu. Odgłosy nagle umilkły, kiedy statek powrócił do normalnej pozycji.

Lloyd stał w miejscu z szeroko otwartymi, niemal dzikimi oczami i wciąż zasłaniał komputer.

- Sam! - krzyknął. Jego dzikie spojrzenie utkwione było w McFarlane.

McFarlane obserwował całą scenę jak wrośnięty w ziemię, niemal sparaliżowany sprzecznymi uczuciami, które nim miotaly. Z jednej strony groziła mu śmierć, a z drugiej ponad wszystko pragnął zbadać meteoryt i jego niezmierzone tajemnice. Chyba wolalby teraz razem z nim zatonać, niż go stracić.

- Sam! - Głos Lloyda brzmiał w tej chwili niemal błagalnie. - Jesteś naukowcem. Powiedz im o wynikach swoich badań, o wyspie stabilności, o nowym pierwiastku... - Lloyd mówił coraz bardziej chaotycznie. - Powiedz im, dlaczego ten meteoryt jest tak bardzo ważny. Powiedz im, dlaczego nie możemy go zatopić.

McFarlane poczuł ucisk w gardle i w tym momencie po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak nieodpowiedzialnie postąpiono, ładując meteoryt na statek. Gdyby teraz zatonał, zagłębiłby się w piachu na dnie, dwie mile pod powierzchnią wody, i już nikt nigdy nie miałby szansy go znaleźć. Dla nauki byłoby to nieopisaną stratą. Nie do pomyślenia.

Niemal ze zdziwieniem usłyszał własny głos.

- Lloyd ma rację. Ten meteoryt może się okazać najważniejszym odkryciem naukowym, jakiego kiedykolwiek dokonano. Nie możemy go po prostu wyrzucić.

- W tej chwili nie mamy już wyboru - odparła kapitan Britton. - Meteoryt i tak zatonie, niezależnie od tego, co zrobimy. Alternatywa jest tylko jedna: albo zatonie razem z nami, albo bez nas.

„ROLVAAG”

Godz. 19.10

McFarlane rozejrzał się po twarzach otaczających go ludzi. Oblicze Lloyd'a wyrażało napięcie i oczekiwanie. Twarz Glinna była jak za grubym welonem, nieprzenikniona. Amirą najwyraźniej miały takie same uczucia jak McFarlane'em. Na twarzy Britton, gdy już podjęła decyzję, widniała siła i zdecydowanie. Poza tym wszyscy wyglądali jak chodzące nieszczęścia; we włosach mieli lśniące kryształki lodu, skórę na twarzach pomarszczoną, ściągniętą i pokaleczoną drobnymi odłamkami lodu.

- Przecież zamiast wyrzucać meteoryt, sami możemy opuścić statek - powiedział Lloyd. W jego głosie brzmiała panika, gotów był przyjąć nawet najbardziej niedorzeczne rozwiązanie, byleby tylko oszczędzić meteoryt. - Niech ten statek dryfuje sobie bez nas. I tak już przecież dryfuje. Może jakoś przetrwa mimo sztormu? Nie musimy wyrzucać meteorytu.

- Wypłynięcie na taki ocean w pontonach ratunkowych byłoby prawie równoznaczne z samobójstwem - odparła Britton. - Na miłość boską, temperatura na zewnątrz wynosi znacznie poniżej zera.

- Nie możemy go po prostu wyrzucić - kontynuował Lloyd, uparty i zdesperowany. - Przecież to byłoby przestępstwo przeciwko nauce. Poza tym nie przesadzajmy z ostrożnością. Dużo już przeszliśmy, razem z tym meteorytem, przejdziemy jeszcze więcej. Eli, na Boga, powiedz jej, że przesadza.

Jednak Glinn milczał.

- Panie Lloyd, ja doskonale znam swój statek - odezwała się Britton.

Lloyd miał się dziko pomiędzy groźbami i prośbami. Znowu zwrócił się do McFarlane'a:

- Przecież musi być jakieś wyjście. Musimy coś wymyślić, Sam! Powiedz im o znaczeniu tego meteorytu dla nauki, o tym, że nic...

McFarlane spojrzał na jego twarz. W pomarańczowym blasku oświetlenia awaryjnego wyglądała jak twarz ducha. Widać było, że miliarder zmagają się z chorobą morską, strachem i zimnem, a mimo to najważniejszy jest dla niego meteoryt. Nie mógł pozwolić, żeby skończył na dnie oceanu. McFarlane'em natomiast wciąż miały sprzeczne uczucia. Pomyślał o Nestorze i o jego śmierci i zaraz potem o własnej śmierci w ciemnej, zimnej wodzie bezdennego oceanu. I nagle bardzo się jej przeraził. Sparaliżował go bezgraniczny strach.

- Sam! Jezu Chryste, powiedz im!

McFarlane próbował coś powiedzieć, ale jego słowa utonęły w gwałtownym podmuchu wiatru.

- Co? - krzyknął Lloyd. - Słuchajcie wszyscy, posłuchajcie, co ma do powiedzenia Sam! Sam...

- Wyrzucicie go - wykrztusił McFarlane.

Na twarzy Lloyda pojawił się wyraz niedowierzania. Na chwilę odebrało mu mowę.

- Słyszał ją pan - powiedział McFarlane. - Meteoryt i tak pójdzie na dno. Walka skończona.

Ogarnęło go poczucie beznadziei. W kąciach oczu poczuł jakieś ciepło i zdał sobie sprawę, że to są łzy. Taka strata, taka strata...

Lloyd gwałtownie się odwrócił. Zrezygnował z przekonywania McFarlane i całą swoją uwagę skupił na Glinnie.

- Eli? Eli! Jeszcze nigdy mnie nie zawiodłeś. Znajdowałeś wyjście z najtrudniejszych sytuacji. Pomóż mi także teraz, błagam cię! Nie pozwól im wyrzucić meteorytu.

Jego głos przybrał żalony, błagalny ton. Na oczach ludzi, których osobiście przyjął do pracy, Lloyd staczał się na samo dno.

Glinn milczał. Tymczasem tankowiec znowu gwałtownie się przechylił. McFarlane podążył wzrokiem za spojrzeniem Britton, które pobiegło w kierunku inklinometru. W chwili, gdy kolejny podmuch potężnego wicheru wpadł na mostek, umilkły wszelkie rozmowy. „Rolvaag” znów przemówił odgłosami rozdieranego metalu. Statek jakby zawahał się, przechylony na bok pod kątem trzydziestu stopni. Wszyscy rzucili się do barierki i rozmaitych uchwytów, żeby się nie przewrócić. McFarlane chwycił drążek nad grodzią. Przerazenie sprawiało, że zaczynał myśleć coraz jaśniej. W tym momencie pragnął tylko, żeby meteoryt jak najszybciej znalazł się poza zagrożonym statkiem.

- Wyprostuj się - usłyszał błagalny głos Britton. - Wyprostuj się.

Jednak statek pozostawał uparcie przechylony na lewą burtę. Bok mostka znalazł się tak nisko nad wodą, że McFarlane widział przez ocalałą szybę jedynie czarną otchłań. Poczul, że dostaje zawrotu głowy. Ale zanim stracił równowagę, statek - straszliwie drżąc - powoli się wyprostował.

Kiedy pokład przyjął właściwą pozycję, Lloyd odstąpił od komputera. Na jego twarzy mieszało się przerażenie, wściekłość i frustracja. McFarlane był niemniej przerażony, jednak właśnie to przerażenie pozwalało mu racjonalnie myśleć. Z Lloydem chyba działo się to samo.

- Dobrze - odezwał się niespodziewanie. - Wyrzucicie go - powiedział i ukrył twarz w dłoniach.

Britton zwróciła się do Glinna:

- Słyszałeś go. Wyrzuć meteoryt do oceanu. Natychmiast. - W jej napiętym dotąd głosie wyraźnie można było wyczuć ogromną ulgę.

Powoli, jakby kierował nim jakiś ukryty mechanizm, Glinn usiadł przy konsoli EES. Ułożył palce na klawiaturze i popatrzył na McFarlane'a.

- Powiedz mi, Sam, skoro meteoryt reaguje na sól, co się stanie, kiedy wpadnie do oceanu dokładnie pod naszym statkiem?

McFarlane zamarł. W całym ogromnym zamieszaniu nie miał ani chwili, żeby się nad tym zastanowić. Teraz musiał myśleć błyskawicznie.

- Woda morska jest przewodnikiem - odparł. - Dzięki niej meteoryt po prostu błyskawicznie się rozładuje.

- Jesteś pewien, że nie rozwali statku? McFarlane zawahał się.

- Nie.

Glinn jedynie pokiwał głową.

- Rozumiem - powiedział.

Czekali. Z wnętrza statku nie dochodziły tymczasem żadne odgłosy. Glinn siedział bez ruchu, pochylony nad klawiaturą. Kiedy statek zanurkował pomiędzy kolejne dwie fale, na mostku zapanaowała niemal absolutna cisza.

Glinn nieznacznie odwrócił głowę, trzymając palce uniesione nad klawiaturą.

- To nie jest konieczne - stwierdził cicho. - A poza tym zbyt niebezpieczne.

Cofnął znad klawiatury długie białe dłonie, niespiesznie wstał i stanął twarzą w twarz z pozostałymi osobami znajdującymi się na mostku.

- Ten statek przetrwa. Rochefort nigdy nie wykonał fuszerki. Nie ma potrzeby użycia pochylni. W tej sprawie zgadzam się z panem Lloydem.

Zgromadzeni w ciszy wysłuchali jego słów. W zasadzie nikt mu nie uwierzył.

- Kiedy meteoryt zetknie się z wodą, nastąpi wybuch, który prawdopodobnie zatopi statek - kontynuował.

- Przecież powiedziałem, że woda morska rozładuje energię meteorytu - odezwał się McFarlane.

Glinn przez chwilę zaciskał wargi.

- To tylko twoje przypuszczenia. Nie możemy ryzykować zniszczenia wrót, przez które mielibyśmy wyrzucić meteoryt. Gdybyśmy nie zdołali ich zamknąć, tankowiec zalałaby woda.

W tym momencie do rozmowy włączyła się Britton.

- Pewne jest jedno: jeżeli nie pozbedziemy się meteorytu, „Rolvaag” zatonie. Eli, czy ty tego nie rozumiesz? Nie przetrwamy nawet dziesięciu fal!

Statek znów zaczął się unosić na fali.

- Sally, jesteś ostatnią osobą, którą bym podejrzewał o to, że wpadnie w panikę. - Głos Glinna był spokojny, chłodny i brzmiała w nim absolutna pewność siebie. - Niestety, nie jesteśmy w stanie pozbyć się meteorytu.

Britton głośno odetchnęła.

- Eli, ja znam swój statek. Na miłość boską, to już koniec! Czy ty tego nie widzisz?

- Nie masz racji. Najgorsze jest już za nami, zaufaj mi.

Słowo „zaufaj” zawisło w powietrzu, gdy statek zaczął się przetaczać nad kolejnym spienionym bałwanem. Wszyscy zgromadzeni na mostku jakby popadli w paraliż. Znowu złapali za wszelkie możliwe mocowania, bariereki i uchwyty. Jednak ich spojrzenia utkwione były w Glinnie. Tymczasem „Rolvaag” pokonał następną przeszkodę.

Niespodziewanie z głośników rozległ się głos Garzy, słaby, chwilami zanikający:

- Eli! Sieć pęka! Słyszysz mnie? Pęka! Glinn pochylił się nad mikrofonem.

- Nie ruszaj się stamtąd, człowieku! Zaraz u ciebie będę.

- Eli, podstawa łożyska rozleciała się w drobny mak. Metal jest dosłownie wszędzie.

Muszę wycofać stąd wszystkich ludzi.

- Panie Garza - odezwała się Britton do swojego mikrofonu. - Mówi kapitan. Potrafi pan obsługiwać rampę awaryjną?

- Sam ją zbudowałem.

- Niech pan ją więc uruchomi.

Glinn stanął bez ruchu. McFarlane obserwował go, próbując zrozumieć tę nagłą zmianę w jego zachowaniu. Czy Glinn miał rację? Czy statek i meteoryt mógł jednak przetrwać? Popatrzył z kolei po twarzach oficerów. Nieskrywane przerażenie w ich oczach odpowiedziało mu, że nie ma na to szansy.

- Rampę awaryjną można otworzyć jedynie poprzez komputer EES na mostku - odrzekł Garza. - Eli zna kody...

- A nie może pan jej otworzyć ręcznie? - zapytała Britton.

- Nie. Eli! Na miłość boską, pośpiesz się. Nie mamy czasu. Ten meteoryt w każdej chwili może po prostu przebić burtę.

- Panie Garza - powiedziała Britton. - Niech pan rozkaże swoim ludziom, żeby natychmiast opuścili ładownię.

- Garza! - zawołał Glinn. - Cofam ten rozkaz. Nie przegramy tej rozgrywki. Zostańcie wszyscy na miejscu i wykonujcie swoje zadania.

- Nie ma mowy, Eli. Ewakuujemy się. - Głośnik ucichł.

Glinn był bardzo blady. Rozejrzał się po mostku. Statek znowu osiadł na spokojniejszej wodzie pomiędzy falami i zapanowała cisza.

Britton podeszła do Glinna i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

- Eli, wiem, jak ci ciężko uznać własną porażkę. Ale wiem też, że masz dość odwagi, żeby to uczynić. Jesteś jedyną osobą, która może ocalić nas wszystkich i ten statek. Uruchom rampę awaryjną, proszę.

McFarlane obserwował, jak Britton wyciąga drugą rękę i ściska dłoń Glinna. Ten jakby się zawahał.

Niespodziewanie, jak zjawa, na mostek powrócił Puppup. Był kompletnie przemoczony, znowu ubrany w swoje stare łachmany. Na jego twarzy jaśniał wyraz jakiejś dziwnej ekstazy i oczekiwania. Widok ten zmroził McFarlane.

Glinn uśmiechnął się i także on ścisnął dłoń Britton.

- Nonsens. Sally, spodziewałem się po tobie znacznie więcej. Czy nie widzisz, że nie możemy przegrać? Zbyt starannie wszystko zaplanowaliśmy. Nie ma potrzeby uruchamiania rampy awaryjnej. Poza tym w tych warunkach byłby to dla nas wszystkich wyrok śmierci. - Rozejrzał się. - Nikogo z was o nic nie winię. Wiem, że się boicie. Sytuacja jest bardzo złożona i strach jest zrozumiałą reakcją. Pomyślcie jednak o tym, przez co was wszystkich już przeprowadziłem, właściwie zupełnie samodzielnie. Obiecuję wam teraz, że sieć, która unieruchamia meteoryt, wytrzyma, a statek przetrwa sztorm. Nie możemy nagle zakończyć ekspedycji w głębinach oceanu, w miejscu, w którym się znajdujemy. Nie możemy dać się ponieść nerwom.

McFarlane zawahał się. Poczul słaby przyływ nadziei. Może Glinn miał rację? Mówił tak przekonująco, był taki pewny siebie... W końcu zdołał przetrwać nieprawdopodobne sytuacje. Dostrzegł, że również Lloyd jakby odzyskał nadzieję, jakby chciał wierzyć Glinnowi.

Statek wznosił się na grzbiet kolejnej góry wody, po czym przechylił się do przodu. Wszystkie rozmowy umilkły; każdy znowu walczył o życie, przywierając do jakiegokolwiek uchwytu. Ponownie rozległy się odgłosy rozdzieranego metalu. Były głośniejsze od sztormu. W tym momencie McFarlane ostatecznie zdał sobie sprawę, jak bardzo mylił się Glinn. Spływając po fali, statek drżał jak podczas trzęsienia ziemi. Światła awaryjne zaczęły migotać.

Po kilku sekundach, które zdawały się wiecznością, statek znowu wyprostował się pomiędzy falami. Wiatr, który jeszcze przed chwilą hulał w najlepsze po mostku, ucichł.

- Tym razem się mylisz, Glinn, ty skurwysynu! - krzyknął Lloyd głosem pełnym przerażenia. - Uruchamiaj rampę!

Glinn uśmiechnął się niemal z szyderstwem.

- Bardzo mi przykro, panie Lloyd, ale tylko ja znam kody i ponownie ocalę dla pana meteoryt, tym razem wbrew panu samemu.

Niespodziewanie Lloyd skoczył na Glinna z dzikim wrzaskiem. Ten cofnął się o jeden krok i wykonał krótki ruch ręką. Cios, który dosięgnął Lloyda, sprawił, że miliarder wyładował na podłódze. Przez chwilę z trudem łapał oddech.

Teraz McFarlane zrobił krok w kierunku Glinna. Mężczyzna odwrócił się ku niemu. Był spokojny, wciąż pewny siebie. Jego oczy były matowe, nieprzeniknione. McFarlane zdał sobie sprawę, że Glinn za nic w świecie nie zmieni swojego postanowienia. Był człowiekiem, który nigdy nie przegrywał i który gotów był zginąć, żeby to udowodnić.

Britton zerknęła na pierwszego oficera. Jedno spojrzenie na nią wystarczyło McFarlane'owi do odgadnięcia, że podjęła decyzję.

- Panie Howell - powiedziała. - Proszę natychmiast przygotować pontony ratunkowe. Opuuszczamy statek.

Oczy Glinna zwężyły się z niedowierzania. Był całkowicie zaskoczony, ale milczał.

Howell popatrzył z nienawiścią na Glinna.

- Zmuszając nas do opuszczenia statku w ten sztorm, wydałeś na nas wyrok śmierci, ty cholerny, szalony draniu.

- Jestem na tym mostku jedyną osobą, której nie dopadło szaleństwo, niech mi pan wierzy.

Lloyd z trudem podniósł się z desek. Musiał się czegoś przytrzymać, gdyż tankowiec ponownie zaczął się wspinać na falę. Nie patrzył na Glinna. Tymczasem Glinn odwrócił się i bez słowa opuścił mostek.

- Panie Howell - powiedziała Britton. - Proszę nadać na częstotliwości czterystu sześciu megahertzów sygnał SOS i rozkazać, aby cała załoga i wszyscy pasażerowie przygotowali się do ewakuacji na pontonach ratunkowych. Jeśli w ciągu pięciu minut nie wrócę na mostek, przejmie pan obowiązki kapitana.

Wypowiedziawszy te słowa, także Britton odwróciła się na pięcie i pośpiesznie zeszła z mostka.

„ROLVAAG”

Godz. 19.35

Eli Glinn stał na stalowej rampie, wznoszącej się nad środkową ładownią oznaczoną numerem trzy. Usłyszał cichy trzask drzwi prowadzących do przyległego korytarza. To Puppup przyszedł tutaj za nim. Poczul, że ogarnia go wdzięczność wobec Indianina, który był lojalny do końca, gdy tymczasem wszyscy inni, nawet Sally, całkowicie Glinna zawiedli.

Histeria, której był świadkiem na mostku, wytrąciła go z równowagi. Przecież do tej pory wyprowadzał ich cało z wszelkich opresji, powinni więc mieć do niego trochę więcej zaufania. Z zewnątrz dobiegło dudnienie okrętowego sygnału, upiorny, nieprzyjemny dźwięk. Tutaj, w ładowni, zwielokrotniło go echo. W ciągu najbliższych godzin wielu ludzi zginie na wzburzonym oceanie. A przecież wcale nie było to konieczne. Wielki „Rolvaag” przetrwa; tego Glinn był zupełnie pewien. Przetrwa, razem z ładunkiem i tymi ludźmi, którzy przy nim pozostaną. O świecie, kiedy sztorm będzie już tylko wspomnieniem, do tankowca dopłyną holowniki z Georgii Południowej. „Rolvaag” wróci do Nowego Jorku z meteorytem. Szkoda, że wraz z nim nie wróci tak wielu ludzi.

Znowu pomyślał o Sally Britton. Wspaniała kobieta. Glinn poczul ból, kiedy zrozumiał, że na sam koniec przestała darzyć go zaufaniem. Już nigdy nigdzie nie znajdzie podobnej kobiety - tego był pewien. Ocali jej statek, jednak każde pytanie o osobiste stosunki, jakie mogłyby ich połączyć, było odtąd pytaniem martwym.

Oparł się o podłużną grodz, podświadomie lekko zdziwiony, że od dłuższego czasu nie jest w stanie uspokoić oddechu. Przywarł do zimnej stali, kiedy statek zaczął się wspinać na fale. Dziób „Rolvaaga” rzeczywiście uniósł się pod niepokojącym kątem, ale do krytycznych trzydziestu pięciu stopni było jeszcze daleko. Glinn słyszał, jak ślizgają się łańcuchy, jak przeciwko przeciążeniom protestuje metal pod jego stopami. W końcu, z głuchym jękiem, statek zaczął powracać do pozycji poziomej. To tragedia, że po tym, co Glinn uczynił, po nadzwyczajnym sukcesie jego rozwiązań technicznych, członkowie ekspedycji postanowili, że ten ostatni raz już mu nie zaufają. Tak postanowili wszyscy, z wyjątkiem Puppupa. Zerknął na starego człowieka.

- Schodzimy na dół, szefie? Glinn skinął głową.

- Będę potrzebował twojej pomocy.

- Po to tu jestem.

Stanęli na skraju rampy. U ich stóp leżał meteoryt, z wierzchu pokryty nieprzemakalnym brezentem. Oświetlenie awaryjne rzucało blade światło. Ładownia ciągle była nienaruszona, sucha. Tak, statek był doskonały. Potrójne poszycie kadłuba to było świetne rozwiązanie. Nawet przykryty brezentem meteoryt wyglądał wspaniale. Cóż, od

wielu dni stanowił epicentrum wszystkich obaw i nadziei członków wyprawy urządzonej przez Lloyda. Obecnie spokojnie spoczywał w swoim łóżysku, tak jak powinien.

Wzrok Glinna powędrował ku rozporkom, klamrom i innym elementom konstrukcji. Szef EES musiał przyznać, że w wielu miejscach uległy zniszczeniom. Powyginane były wsporniki, liczne stalowe elementy popękały. Na dnie ładowni leżało mnóstwo nitów, pozrywanych łańcuchów i kawałków drewna. Słychać było trzaski i pojękiwanie naprężonego metalu. Jednak sieć zasadniczo była nietknięta.

Winda nie działała. Glinn zaczął schodzić w dół po schodach.

Statek znowu się uniósł w mozolnej wspinaczce na kolejną falę.

Glinn na moment przystanął i mocno przytrzymał się poręczy, po czym zaraz kontynuował schodzenie. Zabrało mu to więcej czasu, niż przypuszczał. Kiedy wreszcie dotarł na dno, statek znajdował się akurat bliżej pozycji horyzontalnej niż wertykalnej. Dopiero teraz Glinn dostrzegł pod brezentem czerwoną powierzchnię meteorytu. W ładowni robiło się coraz głośniejsze, odnosił wrażenie, że rozdierany metal gra dla niego jakąś piekielną symfonię, ale dźwięki te nie miały na razie żadnego znaczenia. Przy następnym przechyle Glinn wydobyl z kieszeni zegarek i trzymając go na łańcuszku w wyciągniętej ręce, próbował ocenić wielkość tego przechyłu. Dwadzieścia pięć stopni - wciąż znacznie poniżej wartości krytycznej.

Niespodziewanie usłyszał jakiś pomruk, jęk i purpurowa powierzchnia meteorytu jakby się zatrzęsała. Statek przechylił się mocniej, a meteoryt poruszył się razem z nim. Glinn nie był pewien, czy to tankowiec ma wpływ na zachowanie meteorytu, czy też jest całkiem odwrotnie. Meteoryt zdawał się utrzymywać zaledwie na skraju łożyska, gotowy w każdej chwili do wyrwania się z uwięzi. Do uszu Glinna znowu dobiegł trzask; niewątpliwie pękł kolejny wspornik. Dwadzieścia siedem stopni przechyłu. Dwadzieścia osiem.

Statek zadrzał, na krótki moment jakby znieruchomiał i znów zaczął powracać do pozycji poziomej. Glinn odetchnął z ulgą. Dwadzieścia osiem stopni. Jeszcze w granicach tolerancji. Po chwili meteoryt wstrząsnął tankowcem, powracając na centralne miejsce w łożysku. Odgłosy rozdieranego metalu w jednej sekundzie ucichły. A kiedy statek znalazł się na spokojnej wodzie między falami, ucichło nawet zawrozczenie wiatru.

Glinn ogarnął wzrokiem całą ładownię. Musiał koniecznie naciągnąć łańcuchy zamontowane najbliżej meteorytu. Konstrukcja była zaprojektowana w taki sposób, że dzięki naciągarkom ze wspomaganiami motorowymi wystarczył do tego jeden człowiek. Glinn zdziwił się, że nie uczynił tego Garza.

Szybko podszedł do głównej naciągarki i ją włączył. Zapaliły się kontrolki. Urządzenie, oczywiście, pracowało bez zarzutu.

Statek tymczasem pograżał się w kolejnym obniżeniu pomiędzy falami, dzięki czemu Glinn uzyskał nieco spokoju i stabilności, niezbędnych do pracy.

Pociągnął do siebie dźwignię naciągarki i z zadowoleniem stwierdził, że łańcuchy naciągają się, likwidując groźny luz w położeniu meteorytu. Dlaczego Garza tego nie zrobił? Powód był raczej oczywisty: przestraszył się, wpadł w panikę. Glinn poczuł głębokie rozczarowanie postawą swojego zaufanego menedżera. To było w sumie zupełnie niepodobne do Garzy. Takiego postępowania przynigdy by się po nim nie spodziewał.

Naciągnąwszy łańcuchy, zwrócił się do Puppupa:

- Weź tę torbę z narzędziami. - Wskazał na pudło, które porzucił Garza.

Dziób statku uniósł się. Znowu nastąpił przechył i niekontrolowane kołysanie. W pewnym momencie, przy akompaniamencie ogromnego hałasu, łańcuchy gwałtownie się poluźniły. Glinn popatrzył na nie i na naciągarkę, wytężając wzrok w słabym oświetleniu. Teraz zrozumiał, że Garza jednak próbował i zrobił, co mógł. Naciągarka miała po prostu połamaną zębatkę i była całkowicie bezużyteczna.

Dziób statku nadal się wznosił. Nagle Glinn usłyszał jakiś hałas. Wynurzył się spod sieci oplatającej meteoryt i spojrzał w górę.

Sally Britton właśnie wchodziła na rampę. Miała w sobie tę samą naturalną godność, która uderzyła Glinna, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, jak schodziła po schodach skąpanych w słońcu, całe wieki temu. Serce niespodziewanie zaczęło mu bić szybciej. A więc zmieniła postanowienie i zdecydowała, że zostanie na statku.

Podczas długiego i gwałtownego zjazdu tankowca z fali Britton musiała się zatrzymać. Oboje patrzyli na siebie, a meteoryt dygotał w łożysku. Statek drżał, jego konstrukcja wydawała najdziwniejsze odgłosy, jakby zadawano mu potworny ból. Kiedy wszystko ponownie się uspokoiło, Britton zawołała:

- Eli! „Rolvaag” zaraz się przełamie!

Glinn poczuł ostre ukłucie rozczarowania: a jednak pani kapitan nie zmieniła sposobu myślenia. Nie warto zatem było zawracać sobie nią głowy. Całą uwagę ponownie skupił na łożysku meteorytu. W ciągu kilku sekund zrozumiał, co trzeba zrobić, aby go unieruchomić: należało po prostu wsunąć na miejsce główną zasuwę łożyska, znajdującą się dokładnie nad meteorytem. Żeby tego dokonać, musiał przeciąć brezent. Zadanie wyglądało na proste. Zaczął się wspinać po najbliższym łańcuchu.

- Eli, proszę cię! Mamy jeszcze jeden zapasowy ponton! Zostaw ten kamień i chodź ze mną!

Ale Glinn się nie zatrzymał. Tuż za nim wspinał się Puppup ze skrzynką z narzędziami. Glinn musiał teraz koncentrować się jedynie na zadaniu, które zamierzał wykonać. Nic nie powinno go rozpraszać.

Dotarłszy na szczyt, ze zdziwieniem zauważył, że fragment brezentu jest już naddarty. Zasuwa pod nim była luźna, jak się spodziewał. W chwili gdy statek przyjął pozycję poziomą, Glinn wziął od Puppupa klucz francuski i przystąpił do mocowania zasuwy.

Lecz ta ani drgnęła. Glinn zdziwił się. Nie rozumiał, jaka siła na nią działa, jak wielkim napięciom jest poddawana, że nie chce nawet drgnąć, chociaż wkładał wszystkie siły, jakimi jeszcze dysponował, w to, aby ją poruszyć.

- Trzymaj klucz - powiedział do Puppupa.

Starzec wyciągnął zylaste ramię i posłusznie odebrał od niego narzędzie. Statek znowu zaczął się przechylać.

- Wróć ze mną na mostek, Eli - odezwała się Britton. - Może mamy jeszcze czas, żeby uruchomić rampę awaryjną, może będziemy mogli żyć.

Glinn przerwał zmagania z zasuwą i szybko zerknął na kobietę. W głosie Sally Britton nie było błagania - nigdy by sobie na to nie pozwoliła. Usłyszał w jej słowach cierpliwość, nawoływanie do rozsądku i bezgraniczne przekonanie o własnej racji. To sprawiło, że ogarnął go smutek.

- Sally - odrzekł. - Zginą jedynie głupcy na pontonach ratunkowych. Jeśli zostaniesz na statku, przeżyjesz.

- Ja znam swój statek, Eli - odpowiedziała krótko. Uklęknąwszy nad zasuwą, zaczął się zmagać z jakąś nakrętką. Ktoś już próbował tego przed nim; na metalu były świeże zadrapania. Tankowiec znowu się uniósł i meteoryt nieznacznie się przesunął. Glinn mocniej zaparł się na nogach, próbował poruszyć zasuwę, jednak bez rezultatu. Ciężko dysząc, ponownie wziął do ręki klucz francuski. Dziób statku wspinał się na falę.

Sally Britton znów się odezwała. Jej głos, silny i stanowczy, dobiegał z ciemności nad głową Glinna, przebijając się ponad wszystkie inne dźwięki:

- Eli, chciałabym zjeść z tobą kolację. Nie mam zbyt wielkiego pojęcia o poezji, ale tym, co wiem, chciałabym się z tobą podzielić. Naprawdę chciałabym się tym z tobą podzielić.

Meteoryt zadrżał i Glinn musiał z całej siły chwycić się sieci, żeby od niego nie odpaść. Wokół niego było mnóstwo lin, których końce przymocowano do kadłuba. Jedną z

nich owinał sobie wokół bioder, chcąc za wszelką cenę utrzymać pozycję. Znowu zajął się kluczem francuskim. Żeby ta nakrętka puściła chociaż odrobinę...

- I mogłabym cię pokochać. Eli...

Glinn nagle zamarł i popatrzył na kobietę. Ponownie coś powiedziała, ale jej głos został zagłuszony przez dźwięk naprężonego, niemal rozdzieranego metalu, unoszący się w przepastnej ładowni z wielokrotnionym echem. Glinn niewyraźnie widział jedynie drobną sylwetkę Sally Britton na rampie ponad swoją głową. Złociste włosy w całkowitym nieładzie opadały jej na ramiona, lśniąc ślicznie nawet w bardzo słabym oświetleniu.

Wpatrując się w nią, zaczął sobie uświadamiać, że statek długo nie wraca do pozycji poziomej. Odwrócił od niej wzrok. Spojrzał najpierw na zasuwę, a następnie na Puppupa. Starzec uśmiechał się, a z jego długich cienkich wąsów kapiała woda. Glinn poczuł złość na samego siebie za to, że przez kilka bezcennych sekund nie interesował się najważniejszym problemem.

- Klucz! - krzyknął do Puppupa.

Statek był mocno przechylony, a odgłosy, jakie wydawał naprężony metal - ogłuszające. Przez chwilę Glinn nie był w stanie trafić ręką do kieszeni, w końcu jednak udało mu się wyciągnąć zegarek na łańcuszku. Próbował ocenić wychylenie, ale zegarek tylko kołysał się w tę i z powrotem. Chciał go unieruchomić, lecz zegarek niespodziewanie wysunął mu się z ręki i rozbił się o meteoryt. Odrobiny szkła i drobne złote części zsunęły się po czerwonej powierzchni i zniknęły w mroku na dnie ładowni.

Nagle kadłub tankowca zaczął się gwałtownie rozdzierać. A może to był jedynie wytwór wyobraźni Glinna? Oczywiście, to było niemożliwe. Przecież zastosowano podwójne zabezpieczenia, wszystkie kalkulacje i obliczenia wykonywane były wielokrotnie, każde możliwe zagrożenie dla statku wzięto pod uwagę.

Glinn niespodziewanie poczuł, jak meteoryt przesuwają się pod nim. W ładowni rozległ się ogłuszający huk pękającego łożyska, nie wytrzymała również sieć, która jeszcze do tej pory skutecznie ograniczała ruchy kamienia. Nagle przed oczyma Glinn miał tylko jego jaskrawą czerwień, przywodzącą na myśl wielką, świeżą, otwartą ranę. Meteoryt zerwał się z uwięzi i pociągnął za sobą liny, łańcuchy oraz pękające jak zapalki stalowe elementy łożyska, w którym dotąd spoczywał. Tymczasem szczelina w boku tankowca stawała się coraz szersza. Glinn zaczął się desperacko szamotać, próbując rozwiązać linę, którą zaledwie przed chwilą owinał się wokół bioder, ale węzeł był taki ciasny, niewiarygodnie skomplikowany...

Usłyszał odgłos, którego nie sposób opisać, tak jakby jednocześnie otworzyły się i niebiosa, i bezkresne głębiny oceanu. Tankowiec rozerwał się na pół, a meteoryt nieuchronnie

potoczył się w ciemność, powoli, dostojnie, niczym pewna siebie bestia, i zabrał Glinna ze sobą. W jednej chwili mężczyzną pochłonęła całkowita ciemność i straszliwe zimno...

Słychać było ciche pobrzękiwanie szkła, szmer przyciszonej rozmowy. Tej pogodnej i ciepłej czwartkowej nocy restauracja L'Ambroisie była zatłoczona, wypełniona koneserami sztuki i bogatymi paryżanami. Nad dyskretnym wejściem lekko zamglony jesienny księżyc zalewał dzielnicę Marais delikatnym blaskiem. Glinn uśmiechnął się do Sally Britton, która siedziała naprzeciwko niego na krześle obitym przepięknym białym adamaszkiem.

- Spróbuj - powiedział do niej, kiedy kelner odkorkował butelkę Veuve Cliquot i nalał po odrobinie chłodnego płynu do kieliszków.

Wziął do ręki swój kieliszek i uniósł go. Sally uśmiechnęła się i zaczęła recytować:

Jak wszystko spokojnie

Odwraca się od nieszczęścia; może tylko rolnik

Usłyszał plus i krzyk zapomniany.

Lecz dla niego nie był to wypadek ważny

Niezbyt istotna porażka...

Kiedy powrócił z rozmarzenia do rzeczywistości, recytację Britton zagłuszył okropny śmiech Puppupa. A potem paryska scena rozplynęła się w olśniewającym blasku przepięknego światła.

CIEŚNINA DRAKE' A

Godz. 19.55

McFarlane desperacko trzymał się uchwytu na burcie. Ponton ratunkowy bezustannie unosił się i opadał na grzywach fal i w głębokich dolinach pomiędzy nimi. Rachel kurczowo przywierała do ramienia McFarlane'a. Ostatnie dwadzieścia minut upłynęło w totalnym chaosie. Niespodziewanie Britton opuściła mostek. Nie wróciła już, więc Howell przejął dowodzenie i nakazał wszystkim ewakuować się ze statku. W pośpiechu spuszczone na wzburzoną wodę motorowe pontony ratunkowe. Po pełnych napięcia godzinach pościgu, po zmaganiach ze sztormem i z meteorytem ocean bardzo powoli zaczynał się uspokajać. Zbawienna przemiana następowała tak niespodziewanie, że wydawała się wręcz nierealna. McFarlane po raz pierwszy rozejrzał się po wnętrzu pontonu. Był niewielką dmuchaną zadaszoną łupinką, z wąskim wejściem z boku, z małymi plastikowymi okienkami i w sumie wyglądał jak zbyt duża torpeda. Przy sterze przez cały czas stał Howell. W pontonie znajdował się Lloyd i około dwudziestu innych osób, w tym szóstka nieszczęśliwców, których ponton zerwał się z żurawia tuż przed opuszczeniem na wodę i których udało się wyłowić z zimnej kipieli.

McFarlane mocniej zacisnął dłoń na uchwycie, gdy ponton gwałtownie podskoczył na wysokiej fali. Tutaj nie było szansy na ani chwilę spokoju, ponton ratunkowy zachowywał się na falach zupełnie inaczej niż „Rolvaag”. Do środka wlewała się przeraźliwie zimna woda. McFarlane zdawał sobie sprawę, że część spośród osób wyłowionych z oceanu straciła już przytomność. Na szczęście czuwał przy nich Brambell. Robił, co mógł, żeby utrzymać ich przy życiu.

W pontonie było już mnóstwo wody. Unosiły się na niej śmiecie i wszelkie brudy, ocierając się o nogi rozbitków. Wszyscy cierpieli na chorobę morską, niektórzy wymiotowali niemal pod siebie, zupełnie nie panując nad swoimi organizmami. Nikt się nie odzywał, a marynarze w zupełnej ciszy wykonywali swoje obowiązki. Ponton jako tako chronił ludzi przed żywiołem, ale wzburzony ocean wciąż bezlitośnie nim miotał.

Howell przemówił wreszcie do towarzyszy niedoli. Jego chrapliwy głos z trudem przebijał się przez zawrocie wiatru i szum wody. Przy ustach trzymał krótkofalówkę, mówił jednak w taki sposób, żeby słyszeli go również ludzie na jego pontonie.

- Uwaga, do wszystkich pontonów ratunkowych. Naszą jedyną szansą jest skierowanie się do wyspy lodowej na południowym wschodzie i przeczekanie sztormu po jej stronie zawietrznej. Proszę przyjąć kurs jeden dwa zero, w miarę możliwości utrzymywać prędkość dziesięciu węzłów i kontakt wzrokowy pomiędzy pontonami. Kanał numer trzy ma być przez cały czas otwarty. Uruchomić sygnalizację alarmową.

Trudno było ocenić, dokąd właściwie płyną, ale księżyc znowu wyjrzał zza chmur i od czasu do czasu McFarlane widział przez wąskie okienko światła pozostałych dwóch pontonów. Ich sternicy robili wszystko, żeby nie tracić się nawzajem z oczu. W odległości mniej więcej mili nad wodą nadal wystawał fragment kadłuba „Rolvaaga”. Wciąż migotały jego światła awaryjne i McFarlane nie potrafił oderwać od nich wzroku. Lecz po chwili zerknął na Lloyda. Ten patrzył tylko pod nogi. Nie chciał widzieć ani McFarlane, ani „Rolvaaga”, który wkrótce musiał ostatecznie zatonać.

Ponton ponownie podskoczył i zaraz niemal całkowicie zanurzył się w wodzie. Wypłynął jednak, a McFarlane znowu popatrzył na wielki, śmiertelnie ranny statek. Przewaliła się po nim kolejna wysoka fala. Tankowiec powoli zanurzał się coraz bardziej w ciemnej wodzie. Nad jej powierzchnię uniosły się na moment martwe, nieruchome śruby napędowe. Koniec „Rolvaaga” był bliski. Jeszcze gdzieś na jego kadłubie paliło się intensywne niebieskie światło, upiornym blaskiem oświetlając wodę wokół śmiertelnie rannego tankowca. Nagle ponad powierzchnię oceanu wysoko ku niebu wzbił się gęsty, biały obłok pary wodnej. Niestety ponton opadł w wodną dolinę pomiędzy falami, co

uniemożliwiło oglądanie tonącego tankowca. Kiedy znów się wspiął na wierzchołek fali, ocean był już pusty i ciemny. Po wielkim statku nie było śladu.

McFarlane wyprostował się, drżący, wstrząsany atakami choroby morskiej. Nie ośmielił się spojrzeć na Lloyd'a, Glina, Brittona i trzydziestu członków załogi, personel EES oraz robotnicy zatrudnieni przez Lloyd Industries poszli na dno razem z tankowcem. Spoczął tam też meteoryt, co najmniej dwie mile pod powierzchnią wody. McFarlane zamknął oczy, mocniej się przytulił do drżącej Rachel. Jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak zimno, tak niedobrze, jeszcze nigdy tak straszliwie nie bał się o swoje życie.

Rachel mruknęła coś niezrozumiale i McFarlane przysunął ucho do jej ust.

- O co chodzi?

Próbowała mu coś wsunąć do ręki.

- Weź to - powiedziała. - Weź to.

W dłoni trzymała płytę kompaktową, zawierającą wyniki badań, jakie oboje przeprowadzili nad meteorytem.

- Dlaczego? - zapytał.

- Chcę, żebyś to miał. Zawsze. Tutaj są wszystkie odpowiedzi, Sam. Obiecuj mi, że je rozszyfrujesz.

Wsunął płytę do kieszeni. Tylko to im zostało: kilkaset megabajtów informacji. Meteoryt był dla świata na zawsze stracony. Tkwił już głęboko w gęstym szlamie na dnie oceanu.

- Obiecuj mi - powtórzyła Rachel słabym i niewyraźnym głosem.

- Obiecuję.

Przycisnęła ją mocniej do siebie. Poczuli na dłoniach ciepłą wilgoć jej łez. Meteorytu już nie było. Zginęło mnóstwo ludzi. Ale oni dwoje przecież żyją i pożyją jeszcze długo.

- Razem znajdziemy odpowiedź - powiedział.

Potężna fala znów wstrząsnęła pontonem. Ludzie zachwiali się i niemal wszyscy wylądowali na leżąco na dnie pontonu. McFarlane usłyszał głos Howella, wykrzykującego rozkazy i ostrzegającego przed atakiem kolejnej fali. Kiedy nadeszła, niemal przewróciła ponton.

- Moja ręka! - krzyknął jakiś mężczyzna. - Złamałem rękę! McFarlane pomógł Rachel usiąść, zacisnął jej niemal bezwładną dłoń na jednym z uchwytów. Ocean wciąż szumiał, chwilami wręcz wciągał ponton pod wodę.

- Jak daleko jeszcze? - zawołał ktoś.

- Dwie mile! - odkrzyknął Howell, rozpaczliwie walczący o utrzymanie pontonu na właściwym kursie. - Mniej więcej.

Woda bezustannie zalewała plastikowe okienka, pozwalając tylko na krótkie wejrzenia w ciemną noc na zewnątrz. McFarlane'a od ciągłego obijania się o boki i daszek małego pontonu bolały łokcie, kolana i ramiona. Czuł się jak piłeczka pingpongowa wrzucona do bębna pralki elektrycznej. Było mu tak zimno, że niemal zupełnie stracił czucie w stopach. Realny świat powoli zaczynał mu się mylić z iluzjami. Przypomniał sobie lato, które spędził nad jeziorem w Michigan. Całe godziny spędzał na plaży, siedząc na piasku i mocząc nogi w płytkiej wodzie. Woda... Nigdy nie była aż tak zimna jak dzisiaj. Zdał sobie sprawę, że na dnie pontonu jest jej coraz więcej. Katastrofa zdawała się nieuchronna.

Znowu wyrzwał przez okienko. W odległości kilkuset jardów dostrzegł światła pozostałych dwóch pontonów, podskakujących na falach. Zalewała je woda, a jednak utrzymywały się na powierzchni. Kiedy ich rufy za bardzo się wynurzały, silniki, których śruby nie natrąfiały na żaden opór, wyły jak opętane. McFarlane wpatrywał się w to wszystko, otępiały, wycieńczony i skrajnie przerażony.

Wtem jeden z pontonów zniknął. W jednej chwili utrzymywał się na powierzchni oceanu, jego światła pobłyskiwały nad wodą, zsuwał się z kolejnej wysokiej fali, a w następnej już go nie było. Światła zgasły, jakby ktoś je po prostu wyłączył.

- Straciliśmy łączność z pontonem numer trzy - odezwał się któryś z marynarzy.

McFarlane pozwolił, żeby głowa opadła mu na piersi. Kto się znajdował w tym pontonie? Garza? Stonecipher? Jego umysł odmawiał już posłuszeństwa. Jakaś jego część pragnęła, żeby ich ponton wreszcie zatonął, żeby ta bezsensowna agonია zakończyła się szybko i bezboleśnie. Wody na dnie było coraz więcej. McFarlane jak przez mgłę uświadomił sobie, że właściwie już toną.

I nagle ocean zaczął się uspokajać. Ponton wciąż się kołysał, lecz skończyły się wysokie fale, a wiatr znacznie zelżał.

- Jesteśmy po zawietrznej - powiedział Howell.

Włosy miał potargane i mokre, mundur pod ciepłą kurtką nasiąknięty wodą. W różowych strumykach, które ściekały po jego twarzy, krew mieszała się z wodą. A jednak w jego ochrypłym głosie brzmiało zdecydowanie i stanowczość. Znowu trzymał w ręce krótkofalówkę.

- Uwaga! Oba pontony szybko nabierają wody. Dłużej nie da się na nich utrzymać. Mamy tylko jedną szansę. Musimy się przenieść, z możliwie największą ilością zapasów, jaką zdołamy zabrać, na wyspę lodową. Zrozumiano?

Bardzo niewielu ludzi w pontonie podniosło głowy. Można było odnieść wrażenie, że nic ich już nie obchodzi. Lampkę na dziobie pontonu pokrył lód.

- Przed nami znajduje się niewielka półka lodowa. Przybijemy prosto do niej. Lewis przekaże każdemu z was trochę zaopatrzenia i będzie was wyprowadzał na lód, po dwie osoby na raz. Jeśli ktoś wpadnie do oceanu, musi robić wszystko, żeby się z niego jak najszybciej wydostać. Przy tej temperaturze śmierć w wodzie następuje w ciągu pięciu minut. A teraz, do roboty.

McFarlane przyciągnął do siebie Rachel opiekuńczym ruchem, po czym odwrócił głowę, żeby popatrzeć na Lloyd'a. Tym razem miliarder nie unikał jego wzroku. Jego oczy były ciemne, puste, rozbiegane, jak oczy zaszczutego zwierzęcia.

- Co ja zrobiłem? - wyszeptał chrapliwie. - O mój Boże, co ja zrobiłem?

CIEŚ NINA DRAKE' A

26 lipca, godz. 11.00

Nad wyspą lodową nastał świt. McFarlane co chwilę zapadał w płytką drzemkę, rozbudzał się bardzo powoli. W końcu podniósł głowę. Kiedy poruszył kocem, zatrzeszczał na nim lód. Wokół niewielka grupa rozbitków tuliła się w ciasnym kręgu, szukając ciepła. Kilka osób leżało na plecach. Ich twarze były pokryte lodem, a oczy otwarte, zamrożone. Niektórzy nieruchomo klęczeli, pochyleni do przodu. Pewnie nie żyją, pomyślał McFarlane bez żadnej emocji. Na ekspedycję wyruszyło stu ludzi. Teraz było ich ledwie dwadzieścioro.

Przed nim leżała Rachel z zamkniętymi oczyma. Z trudem usiadł, strząsając z ramion śnieg. Wiatr uspokoił się na dobre i dookoła panowała śmiertelna cisza, jeśli nie liczyć słabego szumu fal omywających wyspę.

Zobaczył płaską taflę turkusowego lodu, poprzecinaną strumieniami, które płynęły w kanionach i wpadały do oceanu. Wschodni horyzont wyznaczała czerwona linia, niczym strumień krwi urozmaicająca monotony obraz. W dużej odległości widoczne były też niebiesko-zielone punkciki gór lodowych. Były ich dosłownie setki, wyglądały jak drogocenne kamienie wynurzające się z toni i lśniące w porannym słońcu. Nie zmieniało to faktu, że krajobraz, widziany oczyma rozbitków, składał się wyłącznie z wody i lodu.

McFarlane czuł ogromną senność. Dziwne, ale w ogóle nie było mu już zimno. Walczył ze sobą, żeby nie zasnąć. Powoli wracały do niego wspomnienia ostatniej nocy: przybicie do brzegu wyspy, wspinanie się na nią w szczelinie lodowej w absolutnej ciemności, nieudolne próby rozpalenia ognia, powolne zapadanie w letarg. Zachował również wspomnienia z czasów znacznie wcześniejszych, jednak starał się je teraz odganiać. Obecnie jego świat skurczył się do brzegów tej dziwnej pływającej wyspy.

W ogóle nie czuło się tutaj jej ruchu. Zdawała się tak trwała i stabilna jak stały ląd. Po absolutnej ciemności nocy i szarości sztormu wszystko dookoła było skąpane w pastelowych kolorach: błękitny lód, różowy ocean i niebo w kolorze czerwieni i brzoskwini. Widoki były zaiste piękne, dziwne, jakby nie z tego świata.

McFarlane próbował wstać, lecz nogi zignorowały rozkaz, który popłynął z mózgu. Zdołał zaledwie unieść się na kolana, po czym padł na lód. Czuł skrajne wyczerpanie, lecz wiedział, że jeśli się szybko nie ruszy, po prostu zamarznie. Racjonalna część umysłu podpowiadała mu, że to nie jest zwykłe wyczerpanie, lecz coś znacznie poważniejszego - hipotermia.

Powinien koniecznie usiąść, wstać, ruszać się. Zresztą nie tylko on, wszyscy. Należało ich do tego zmusić.

Odwrócił się do Rachel i gwałtownie nią potrząsnął. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego. Jej wargi były niebieskie. We włosach miała mnóstwo lodu.

- Rachel - powiedział skrzekliwie. - Rachel, wstań, proszę cię. Jej usta poruszyły się. Chciała coś powiedzieć, ale z jej krtani wydobył się jedynie świst. Nie wydała żadnego artykułowanego dźwięku.

- Rachel? - Pochylił się nad nią.

Teraz usłyszał jej słowa, niewyraźne, syczące, wypowiedane z wielkim trudem.

- Meteoryt... - wyszeptała.

- Poszedł na dno - odparł. - Nie myśl już o nim. Ta historia jest skończona.

Dziewczyna słabo potrząsnęła głową.

- Nie... wcale tak nie myśl. - Zamknęła oczy i jeszcze raz poruszyła głowę. - Tak... Chcę spać.

- Rachel. Nie zasypiaj. Co mówiłaś? - Była kompletnie rozkojarzona, niemalże majaczyła, ale nie mógł pozwolić, żeby zasnęła. Znów nią potrząsnął. - Meteoryt, Rachel. Co chciałaś o nim powiedzieć?

Znów otworzyła oczy. Popatrzyła wzdłuż swojego ciała. McFarlane podążył za jej spojrzeniem, jednak nie natrafił na nic godnego uwagi. Ręka dziewczyny lekko drgnęła.

- Tam... - powiedziała.

McFarlane ujął jej dłoń. Ściągnął z niej przemoczoną, zmrożoną rękawiczkę. Po chwili zdjął jej rękawiczkę także z drugiej dłoni. Ręce Rachel były zamrożone, końce palców białe. Teraz zrozumiał: dłonie dziewczyny były odmrożone. Usiłował je masować, na co Rachel zareagowała cichym westchnieniem. W jednej z jej dłoni tkwił mały orzeszek arachidowy.

- Jesteś głodna? - zapytał. Orzeszek potoczył się w śnieg.

Rachel zamknęła oczy. Próbował ją obudzić, ale nie dawał rady. Przytulił się do niej: jej ciało było ciężkie i zimne. Przyszło mu na myśl, że ktoś mu pomoże i natrafił wzrokiem na Lloyda, leżącego na lodzie tuż obok.

- Lloyd? - wyszeptał.

- Tak... - usłyszał jego słaby, grobowy głos.

- Musimy się ruszać. - McFarlane stwierdził, że wypowiedzenie kilku słów kosztowało go tak wiele wysiłku, iż zabrakło mu oddechu.

- Ach, mam to gdzieś.

Znowu zaczął niezdarnie potrząsać Rachel, chociaż z trudem ruszał własnymi ramionami. Dziewczyna była już zupełnie bezwładna. Nie chciał, nie potrafił uwierzyć, że nie żyje. Popatrzył po nieruchomych sylwetkach dookoła. Wszystkie lśniły, pokryte warstwami lodu. Brambell, lekarz, siedział z książką dziwacznie wsuniętą pod pachę. Obok leżał Garza, z głową owiniętą zamrożonym bandażem. Tuż przy nim siedział Howell. Dalej McFarlane widział jeszcze dwadzieścia, może trzydzieści innych sylwetek. Nikt się nie ruszał. Nagle zrozumiał, że zależy mu, aby ocaleli, że bardzo mu zależy. Chciał krzyknąć, zerwać się na nogi, kopać ich, zmusić, żeby wstali, żeby się ruszali. Zabrakło mu jednak energii nawet na to, żeby cokolwiek powiedzieć. Poza tym było ich tak wielu. Nie był w stanie żadnego z nich rozgrzać, pobudzić do życia. Nie potrafił rozgrzać nawet siebie samego.

Zrobiło mu się ciemno przed oczami, zaczynał tracić świadomość. Błyskawicznie dopadała go kompletna apatia. Wszyscy tutaj umrzemy, pomyślał, ale cóż, tak musi być. Znowu popatrzył na Rachel. Starał się odepchnąć od siebie mrok. Dziewczyna miała półotwarte oczy, źrenice wysoko pod powiekami, na zewnątrz widoczne były jedynie białka. Jej twarz była szara. Wiedział, że niedługo podąży tam, gdzie ona już jest. Tak, tak musiało się stać, tak było przeznaczone. Z nieba sfrunął pojedynczy płatek śniegu i spadł na usta Rachel. Zanim się stopił, minęła bardzo długa chwila.

Ciemność powróciła do McFarlane'a i teraz powitał ją jak zbawienie, jakby znowu, już ostatni raz, układał się do snu w ramionach matki. Tak, koniecznie chciał zasnąć. Spokojny, przyjemny sen był najlepszym rozwiązaniem. Zasypiając, usłyszał głos i ostatnie słowa Rachel: „Nie... wcale tak nie myśl. Nie... wcale tak nie myśl”.

Nagle głos uległ całkowitej odmianie. Stał się wyraźny, metaliczny:

- Georgia Południowa Bravo... Widzę was... Spróbuję lądować...

Na niebie rozbłysło dodatkowe światło. Rozległ się rytmiczny warkot helikoptera. Jakieś głosy, trzeszczało radio... McFarlane starał się to wszystko ignorować. Nie, nie, już mnie zostawcie. Pozwólcie mi spać.

Wtedy poczuł atak ogromnego bólu.

WYSPA GEORGIA POŁUDNIOWA

29 lipca, godz. 12.20

Palmer Lloyd leżał na twardym prowizorycznym pościeliu w izbie chorych brytyjskiej stacji naukowej. Bezmyślnie wpatrywał się w drewniany sufit, w tkwiące w cienkich sklejkach ciemne sęki. Przebywał tutaj już od tyłu dni, że ich ułożenia nauczył się na pamięć. W powietrzu unosił się zapach nieświeżego jedzenia; nietknięty talerz stał przy jego łóżku już od lunchu. Słyszał szum wiatru za niewielkim oknem, z którego rozciągał się widok na niebieski, pokryty śniegiem płaskowyż, na niebieskie góry i na niebieskie lodowce, zajmujące większość obszaru wyspy.

Od cudownego ocalenia minęły trzy dni. Mnóstwo ludzi straciło życie - na statku, na pontonach ratunkowych, na wyspie lodowej. Ale on ocalał. Jutro helikopter przetransportuje go na Falklandy. Stamtąd wróci do Nowego Jorku. Zaczynał się zastanawiać, jak potraktują go dziennikarze, ale dochodził do wniosku, że właściwie go to nie obchodzi. Tak niewiele rzeczy miało już dla niego znaczenie... Był skończony. W gruzach legł pomysł jego muzeum, a on sam był skończony dla biznesu i dla nauki. Wszystkie jego marzenia - w tej chwili zdawały się tak odległe - wylądowały na dnie oceanu, razem z meteorytem. Pragnął tylko powrócić do swojej wiejskiej posiadłości w północnej części stanu Nowy Jork i siedząc na bujanym fotelu na werandzie, spokojnie popijać martini. Pragnął patrzeć, jak jelenie zjadają jabłka w jego sadzie.

Do pokoju wszedł sanitariusz. Zabrał tacę z posiłkiem i chciał zostawić następną.

Lloyd potrząsnął głową.

- To moja praca, przyjacielu - powiedział sanitariusz.

- Cóż, skoro musisz.

W tym momencie ktoś zapukał i do pokoju wszedł McFarlane.

Miał zabandażowaną lewą rękę i część twarzy, a oczy osłonięte ciemnymi okularami. Było widać, że wciąż bardzo niepewnie stawia każdy krok. W sumie wyglądał okropnie. Ciężko usiadł na metalowym składanym krzeselku, które w niewielkim pomieszczeniu zajmowało większość wolnego miejsca na podłodze. Krzeselko zatrzeszczało pod jego ciężarem.

Odwiedziny McFarlane'a zaskoczyły Lloyda. W ciągu ostatnich trzech dni nie spotykali się. Przyjął, że McFarlane ma go dosyć, że już nie chce go znać

- i bardzo dobrze. Prawie nikt się do niego nie odzywał. Spośród członków wyprawy Lloyda odwiedził go dotąd właściwie tylko Howell, i to jedynie po to, żeby mu podpisał jakieś papiery. Wszyscy go teraz nienawidzili.

Lloyd początkowo myślał, że McFarlane milczy w oczekiwaniu, aż sanitariusz sobie pójdzie. Mężczyzna jednak dawno zamknął za sobą drzwi, a Sam nadal się nie odzywał. Minęło mnóstwo czasu, zanim ściągnął okulary i pochylił się nad Lloydem.

Lloyd drgnął na łóżku. Oczy McFarlane'a wyglądały, jakby jeszcze niedawno płonęły żywym ogniem. Były czerwone, a skóra wokół nich obtarta. McFarlane sprawiał wrażenie brudnego, przegranego człowieka. Utrata meteorytu i śmierć Amiry bardzo mocno nim wstrząsnęły.

- Posłuchaj - odezwał się wreszcie geolog spiętym, ściśniętym głosem. - Muszę ci coś powiedzieć.

Lloyd czekał.

McFarlane pochylił się jeszcze bardziej i zaczął mówić prosto do jego ucha:

- Współrzędne geograficzne miejsca, w którym zatonął „Rolvaag”, to sześćdziesiąt jeden stopni, trzydzieści dwie minuty i czternaście sekund szerokości południowej oraz pięćdziesiąt dziewięć stopni, trzydzieści minut i dziesięć sekund długości zachodniej.

- Proszę, nie opowiadaj mi o tym, Sam. Nie teraz.

- A właśnie, że teraz - odparł McFarlane nadspodziewanie gwałtownie. Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej płytę kompaktową. Podniósł ją do góry. Padające światło odbiło się na niej wszystkimi kolorami tęczy.

- Na tej płycie...

Lloyd odwrócił głowę i wbił wzrok w drewnianą ścianę.

- Sam, to już koniec. Meteorytu już nie ma. Daj temu spokój.

- Na tej płycie znajdują się wszystkie dane, jakie zdołaliśmy uzyskać z meteorytu. Coś komuś obiecałem... Niedawno przejrzałem całą zawartość płyty.

Lloyd poczuł się zmęczony, bardzo, bardzo zmęczony. Jego spojrzenie pobiegło za okno, ku górcom pokrytym przez lodowce. Ich wysokie szczyty zakrywały chmury. Nienawidził lodu. Nie chciał już nigdy więcej patrzeć na lód. Przenigdy.

- Wczoraj - niestrudzenie kontynuował McFarlane - jeden z naukowców z tej stacji powiedział mi, że odnotowano tu bardzo niezwykle, płytkie trzęsienia ziemi pod dnem

morskim. Było ich około dziesięciu i żadne nie przekraczało dziesięciu stopni w skali Richtera. - Na chwilę umilkł.

Lloyd czekał, aż McFarlane podejmie relację, chociaż jego słowa wcale go nie interesowały.

- Współrzędne geograficzne epicentrum tych trzęsień to sześćdziesiąt jeden stopni, trzydzieści dwie minuty i czternaście sekund szerokości południowej oraz pięćdziesiąt dziewięć stopni, trzydzieści minut i dziesięć sekund długości zachodniej.

Lloyd zamrugał. Powoli odwrócił głowę i popatrzył McFarlane'owi w oczy.

- Analizowałem dane z tej płyty - kontynuował naukowiec. - Właściwie odnoszą się tylko do kształtu i struktury wewnętrznej meteorytu, ale i tak są naprawdę niezwykle.

Lloyd wciąż milczał, ale już nie odwracał głowy od McFarlane'a.

- On jest zbudowany z niemal symetrycznych warstw. To nie może być prosty wytwór przyrody.

Lloyd usiadł.

- Jest sztuczny?

Poczuł zaniepokojenie. McFarlane oszalał, potrzebował pomocy.

- Powiedziałem, że jest zbudowany z warstw. Ma zewnętrzną skorupę, pod nią grubą warstwę ochronną, a potem mnóstwo różnych warstewek, do samego środka. To nie może być przypadek. Pomyśl tylko. Spotkałeś się już z czymś takim? Przecież to jest uniwersalna struktura.

- Sam, jesteś zmęczony. Pozwól, że zawołam pielęgniarkę... McFarlane mu przerwał.

- To Amira na to wpadła. Krótco przed śmiercią. Pamiętasz, jak mówiła, że powinniśmy przestać myśleć ze swojej perspektywy i zacząć myśleć z perspektywy meteorytu? Umierając, wszystko już wiedziała. Meteoryt reagował na słoną wodę. Czekał na słoną wodę. Czekał miliony lat.

Lloyd popatrzył na przycisk umieszczony tuż nad łóżkiem. McFarlane znajdował się w o wiele gorszym stanie, niż się początkowo zdawało.

Tymczasem geolog na chwilę zamilkł. Jego oczy nienaturalnie błyszczały.

- Widzisz, Lloyd, to wcale nie był meteoryt.

W pokoju zapadła cisza. Lloyd myślał wyłącznie o przycisku, dzięki któremu mógł wezwać pomoc. Gdyby tylko zdołał go nacisnąć, nie wzbudzając uwagi McFarlane'a... Twarz geologa była zaczerwieniona, spocona, oddech płytki i gwałtowny. Utrata meteorytu, zatonięcie „Rolvaaga”, śmierć tak wielu ludzi w wodzie i na lodzie prawdopodobnie

całkowicie go załamały. Lloyd poczuł ukłucie winy; nawet ci, którzy przeżyli, byli teraz zaledwie wrakami.

- Słyszałeś, Lloyd? Powiedziałem, że to nie jest meteoryt.

- Zatem co to jest, Sam? - zdołał wreszcie wykrztusić Lloyd, starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie. Powoli przesuwał dłoń w kierunku przycisku.

- Wszystkie te słabe trzęsienia ziemi w miejscu, w którym zatonął statek...

- Co według ciebie oznaczają? - zapytał Lloyd łagodnie. Wreszcie nacisnął przycisk. Jeden, dwa, trzy razy. Zaraz zjawi się pielęgniarka i zajmie się McFarlane'em.

- My po prostu zasialiśmy ten kamień na dnie morza tak, jak się sieje rzodkiewkę. I wiesz co?

- Co? - spytał Lloyd, z wielkim trudem zachowując naturalny ton głosu. Dzięki Bogu, słyszał kroki pielęgniarki dobiegające z korytarza.

- On już puszcza pędy.

OD AUTORÓW

Granica lodu została - po części - zainspirowana prawdziwą wyprawą naukową. W roku 1906 admirał Robert E. Peary odkrył w północnej Grenlandii największy meteoryt na świecie i nadał mu nazwę Ahnighito. Natrafił na niego, ponieważ okoliczni Eskimosi używali ostrzy do włóczni wykuwanych na zimno; Peary przebadał je i doszedł do wniosku, że pochodzą właśnie z meteorytu. Zdołał odkopać Ahnighito i z wielkimi trudnościami wciągnął go na statek. Ta masa żelaza, znalazłszy się na pokładzie, zniszczyła wszystkie kompasy statku. Peary przetransportował jednak meteoryt do Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Do dzisiaj można go tam oglądać w Sali Meteorytów. Historię tę Peary opowiedział w książce *Northward over the Great Ice*. „Nigdy”, pisał Peary, „nie zrozumiałbym majestatu potęgi, jaką jest siła grawitacji, gdybym nie zajmował się tą górą żelaza”. Ahnighito jest tak ciężki, że spoczywa na sześciu stalowych podporach, które przebijają podłogę muzealnej sali meteorytów, przebijają piwnicę i opierają się dopiero na podłożu skalnym pod budynkiem.

Nie trzeba dodawać, że chociaż wiele miejsc wspomnianych w *Granicy lodu* naprawdę istnieje, Lloyd Industries, Effective Engineering Solutions i wszystkie postacie, i statki opisane w książce, zarówno amerykańskie, jak i chilijskie, są wymyślone. Warto nadmienić, że chociaż w atlasie świata można znaleźć wyspę Desolación mniej więcej trzysta pięćdziesiąt mil na północny zachód od okolic, w których osadzona jest akcja *Granicy lodu*, powieściowa wyspa Désolation - jej wygląd, rozmiary i położenie - jest wyłącznie wytworem naszej wyobraźni.

